

**Lucius Shepard**

# **SMOK GRIAULE**

*The Dragon Griaule*

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH SZYPUŁA



PIĘKNA CÓRKA  
POSZUKIWACZA ŁUSEK

# 1

Niedługo po tym, jak zgasło światło pierwszego poranka świata, kiedy ptaki wciąż fruwały do nieba i z powrotem, a najpodlejsze istoty lśniły własnym blaskiem niczym święci, bo tak czysty był drzemiący w nich okruch zła, wioska Hangtown uczepliła się grzbietu smoka Griaule'a, długiego na milę potwora, który - unieruchomiony zaklęciem czarownika, lecz wciąż żywy - władał doliną Carbonales i rządził każdym szczegółem życia jej mieszkańców, przekazując im swą wolę za pośrednictwem niemożliwych do opisanía emanacji swojego lodowatego, ważącego wiele ton mózgu. Od barków do ogona większość ciała Griaule'a była pokryta ziemią, na której wyrosły drzewa i trawa, i oglądany z niektórych miejsc smok wyglądał jak zwykły element krajobrazu, jedno z wielu wzgórz okalających dolinę. Nie licząc fragmentów cielska, odsłoniętych przez poszukiwaczy łusek, widoczny był tylko kawałek zadu z prawej strony oraz gruba szyja i masywny łeb, przy czym łeb - nawet po tym, jak opadł z półotwartą paszczą ku ziemi - sięgał niemal równie wysoko, jak okoliczne wzgórza. Hangtown znajdowało się osiemset stóp ponad dnem doliny, bezpośrednio za płytą czołowo-ciemiennową, która zwieszała się nad nim niczym omszałe urwisko. Wieś składała się z kilkudziesięciu prymitywnych chałup o łupkowych dachach i ścianach ze zmurszałych desek. Rozciągała się nad jeziorem zasilanym przez strumień, który spływał z pobliskiego wzgórza wprost na grzbiet smoka, wciśnięta między wodę i gąszcz czeremch, głogów i karłowatych dębów. Gdyby nie otaczająca ją aura nawiedzenia i tętniąca życiem cisza przywodząca na myśl atmosferę starych ruin, ktoś stojący nad jeziorem mógłby pomyśleć, że ma przed sobą całkiem zwyczajną wiejską osadę, może odrobinę mniej schludną od przeciętnej (wszędzie w Hangtown wałały się kości i wnętrzości sykaczy, odłupków i innych lęgnących się na smoku pasożytów), ale całkiem zwyczajną, jeśli wziąć pod uwagę wszechobecną apatię oraz nędzny ubiór i wredny charakter mieszkańców.

Wielu z nich - zarówno mężczyzn, jak i kobiet - trudniło się poszukiwaniem łusek: myszkowali pod obrośniętymi ziemią skrzydłami Griaule'a, a także w innych rejonach jego cielska, wypatrując popękanych lub odłamanych łusek, których kawałki odkuwali i sprzedawali w Port Chantay jako ceniony medykament. Za swoje wysiłki otrzymywali godziwe wynagrodzenie, ale byli traktowani jak pariasi przez mieszkańców doliny, którzy rzadko zapuszczali się na smoka, wiedząc żywot krótki i obfitujący w nieszczęśliwe wypadki

przypisywane niezadowoleniu Griaule'a z ich obecności. Prawdę mówiąc, owo niezadowolenie było dla nich przedmiotem nieustannej troski i znaczną część swoich zarobków wydawali na amulety mające powstrzymać złowrogi wpływ smoka. Niektórzy zawieszali sobie na szyi kawałek łuski, licząc na to, że w ten sposób oddają Griaule'owi hołd i wyrażają dla niego najwyższy szacunek. Chyba najbardziej skrajnym dowodem tego rodzaju rozumowania był sposób, w jaki owdowiały Riall wychowywał swoją córkę Catherine. W dniu jej narodzin (który był zarazem dniem śmierci jej matki) zaczął ryc w klepisku swojej chałupy, aż dokopał się do grzbietu Griaule'a i odsłonił kawał złotej łuski o wymiarach pięć na sześć stóp. Od tamtej pory przez całe osiemnaście lat zmuszał córkę do spania na obnażonej łusce; miał nadzieję, że esencja Griaule'a przesączy się w jej ciało i będzie ją chronić przed jego smoczym gniewem. Catherine z początku protestowała przeciw takiemu odosobnieniu, z czasem jednak nauczyła się cieszyć nawiedzającymi ją snami o lataniu i o innych krainach (wedle legendy, smoki pochodziły z innego wszechświata, do którego przenosiły się, lecąc prosto w słońce). Czasami, kiedy leżąc na dnie wykopanego przez ojca i oszalowanego deskami tunelu, spoglądała w górę, miała wrażenie, że nie spoczywa na twardej powierzchni, lecz oddała się od Ziemi i zapada w złocistej dali. Trudno powiedzieć, czy Riall osiągnął zamierzony cel, ale mieszkańcy Hangtown nie mieli wątpliwości, że bliski kontakt ze smoczą łuską odcisnął piętno na dziewczynie: ojciec był niski i śniady (tak samo zresztą jak matka) i nie prezentował się szczególnie efektownie, natomiast Catherine wyrosła na śliczną młodą kobietę, szczupłą, długonogą i złotowłosą, o pięknej skórze i niezrównanie subtelnej twarzy, idealnej niczym perfekcyjnie oszlifowany klejnot: zmysłowe usta, wydatne kości policzkowe i duże, wyraziste oczy, których tęczęwki były tak ciemne, że tylko przy bardzo jasnym oświetleniu dawało się je odróżnić od źrenic. Zresztą, nie tylko uroda odróżniała ją od rodziców - Catherine nie odziedziczyła także ich ponurej natury i życiowego asekuranctwa. Od najmłodszych lat bez lęku kręciła się po wszystkich zakamarkach powierzchni smoczego cielska, zapuszczając się nawet w mrok pod skrzydłami, gdzie mało który poszukiwacz łusek ważył się zaglądać. Wierzyła, że zabiegi ojca uodporniły ją na codzienne zagrożenia. Czuła więź łączącą ją ze smokiem; była przeświadczona, że jej uroda i niezwykle sny świadczą zarówno o magicznym związku między nią i Griaule'em, jak i o czekającym ją nieprzeciętnym przeznaczeniu, toteż przekonana o swojej niezniszczalności i pewna siebie, wyrosła na kobietę egocentryczną i nieco płytką. Adoratorów często traktowała z pogardą i beztroską, i choć nie była z natury oszustką (nie miała takiej potrzeby), bawiło ją podbieranie mężczyzn zakochanym w nich kobietom. Co zresztą nie przeszkadzało jej uważać się za dobrego człowieka. Oczywiście bez przesady - wiedziała, że nie jest święta; po

prostu szanowała ojca, utrzymywała porządek w domu, wywiązywała się z przypadających jej w udziale obowiązków, i choć miała swoje wady, czyniła pewne kroki (aczkolwiek nie za duże), żeby je w sobie tępić. Podobnie jak większość ludzi, obchodziła się bez precyzyjnego kompasu moralnego; nie przeszkadzało jej, że społeczne tabu i okoliczności wpływają na jej zachowanie. Kierowanie się „dobrem” i „zasadami” zostawiała sobie na coś w rodzaju intelektualnego życia po życiu, do którego zamierzała aspirować, ale dopiero w odległej przyszłości, po zaznaniu wszystkich przyjemności życia doczesnego i zebraniu doświadczeń niezbędnych do takiego awansu. Zdarzały się jej napady humorów, jak każdemu, kto żył w sferze wpływów Griaule’a, zwykle jednak patrzyła na świat pogodnie i z optymizmem. Nie znaczy to bynajmniej, że była jakąś Pollyanną i chodzącym niewiniątkiem. Żyjąc w Hangtown, poznała, co to zdrada, żal i zabójstwo, a w wieku osiemnastu lat miała na koncie sporą liczbę kochanków. Wprawdzie swoboda seksualna cechowała wszystkich mieszkańców wioski, ale ze względu na nieprzeciętną urodę i związaną z nią równie nieprzeciętną zazdrość wzbudzaną u zalotników, Catherine miała opinię wyjątkowej rozpustnicy. Bawiła ją ta reputacja, sprawiała jej nawet pewną przyjemność, ale związane z nią plotki stawały się coraz bardziej ordynarne i coraz odleglejsze od prawdy, aż pewnego dnia uderzyły w nią rykoszetem, z siłą, jakiej nigdy by się nie spodziewała.

Poniżej rogu wyrastającego Griaule’owi spomiędzy oczu, skróconego i zakrzywionego w tył, w stronę Hangtown, pochyła czaszka smoka spłaszczala się i przechodziła w górną powierzchnię pyska. Tam właśnie przyszła Catherine w pewien mglisty poranek, ubrana w luźne spodnie i bluzę i uzbrojona w haki do łusek, sznury i komplet dłut, z zamiarem odłupania sporego kawałka pękniętej łuski, którą wypatrzyła w sąsiedztwie wargi, bezpośrednio nad jednym z kłów. Mozoliła się nad nią przez kilka godzin, podwieszona nad zuchwą Griaule’a w uplecionej z lin sieci. W półotwartym pysku smoka wyrósł prawdziwy ogród złowieszczych roślin; stwardniała powierzchnia języka przezierała gdzieśgdzie spomiędzy liści niczym grudy czerwonego koralu. Porosty kreśliły skomplikowane wzory na kłach, wokół których snuła się mgła i krążyły drapieżne ptaki, nurkując od czasu do czasu w gąszcz za jakąś nieszczęsną jaszczurką albo nornikiem. Epifity pleniły się bujnie w szczelinach między zębami, zwieszając długie girlandy czerwonych i fioletowych kwiatów. Widok był zniewalający i Catherine przerywała czasem pracę, zjeżdżała niżej w uprzęży i zawisała najwyżej pięćdziesiąt stóp nad wierzchołkami krzewów, żeby zajrzeć w mroczne otchłanie smoczej gardzieli, zaintrygowana naturą przemykających wśród cieni stworzeń.

Słońce wypaliło mgłę, kiedy - spocona i zmęczona robotą - wygramoliła się na górną powierzchnię paszczy i położyła na łuskach. Podparta na łokciu, pogryzała gruszkę miodową

i patrzyła na dolinę, kanciaste zielone wzgórza, zagajniki palmowe, i odległe zabudowania Teocinte, gdzie wieczorem zamierzała tańczyć i kochać się. Powietrze tak się nagrzało, że zdjęła bluzę i wyciągnęła się na wznak, półnaga, z przymkniętymi oczami, śniąc na jawie w czystym ciepłe wiosennego dnia. Blisko godzinę przepływała z jawy w sen i z powrotem, kiedy zaalarmował ją jakiś zgrzyt. Sięgnęła po bluzę i spróbowała usiąść, ale zanim zdążyła się odwrócić i przekonać, kto - lub co - wydał niepokojący dźwięk, coś przygniotło jej żebra i zdławiło oddech. Leżała zdezorientowana, z trudem łapiąc powietrze, gdy poczuła, jak czyjaś dłoń miętosi jej pierś. Owionął ją cuchnący winem oddech.

- Spokojnie - rozległ się męski, chrapliwie pożądlivy głos. - Nie chcę od ciebie niczego więcej niż to, co pół Hangtown już dostało.

Wykręciwszy głowę, dostrzegła ściągniętą, ziemistą twarz Keya Willena. Kącik jego sardonicznie wykrzywionych ust drgnął w półuśmiechu.

- Mówiłem ci przecież, że nasz czas nadejdzie - dodał, majstrując przy trokach jej spodni.

Zaczęła się rozpaczliwie bronić - próbowała wydrapać mu oczy, szarpała go za włosy, w końcu odwróciła się na brzuch i wczepiła w skraj łuski, usiłując wysliznąć się spod Keya, ale wtedy zdzielił ją pięścią w skroń i białe gwiazdy eksplodowały jej pod czaszką. Zanim doszła do siebie, zdążył odwrócić dziewczynę na plecy, ściągnąć jej spodnie z bioder i spenetrować palcami; teraz na przemian wpychał je w nią i wysuwał, dysząc szybko i chrapliwie. Cała obolała w środku, Catherine wrzasnęła rozdzierająco. Zaczęła się miotać, szarpać go za koszulę, za włosy; krzyczała cały czas, a gdy wolną ręką zatkał jej usta, ugryzła go.

- Ty suko! Ty przekłeta... - Key odepchnął jej głowę, aż uderzyła potylicą o łuskę, na której leżała. Włazł na nią, usiadł na jej piersi i przyszpilił ramiona kolanami. Spoliczkował ją, wplątał dłoń w jej włosy i nachylił się nad nią. Kiedy mówił, pryskał śliną na jej twarz: - Posłuchaj no, świni. Nie interesuje mnie, czy będziesz przytomna, czy nie; i tak się z tobą zabawię. - Znów uderzył jej głową o łuskę. - Słyszałaś? Słyszałaś?! - Wyprostował się i jeszcze raz ją spoliczkował, mocniej. - Powiem ci, że już teraz nieźle się bawię.

- Proszę... - stęknęła oszołomiona.

- Proszę? - Roześmiał się. - To znaczy, że chcesz jeszcze? - Następny policzek. - Tak ci się to podoba? - I jeszcze jeden. - A to?

Gwałtownym szarpnięciem uwolniła jedną rękę i odruchowo sięgnęła za głowę w poszukiwaniu jakiejś broni. Kiedy zamierzył się, żeby znów uderzyć ją w twarz, złapała kij (tak jej się przynajmniej wydawało) i z impetem wyrzuciła Keya w głowę. Grot haka do łusek

- tym bowiem okazał się „kij” - wbił się w głowę Keya tuż za lewym okiem. Zanim z ledwie słyszalnym okrzykiem runął na bok, oko wypełniło się krwią i stało jednolitą czerwoną kulą, jak gumowa piłka osadzona w oczodole. Catherine wrzasnęła przeraźliwie, zepchnęła z siebie nogi Keya i odczołgała się od niego, spętana spodniami, które przez ten czas zdążyły się jej zsunąć do kolan. Ciało Keya drgało konwulsyjnie, pięty bębniły o łuskę. Siedziała i patrzyła na niego długo, nieprzerwanie, niezdolna zaczerpnąć tchu ani trzeźwo pomyśleć, ale kiedy roje czarnych much - ich przezroczyste skrzydełka cięły światło słońca na tęcze - zaczęły przysiadac w kałuży krwi wypływającej spod twarzy Keya, zrobiło jej się niedobrze. Podczołgała się do skraju paszczy i zapatrzyła na szachownicę pól ciągnącą się aż do Port Chantay, w kierunku wyrastającej na horyzoncie góry spienionych cumulusów. W jej piersi ziała lodowata pustka. Zadrzała z zimna; przebiegający ją dreszcz był echem dreszczy, które wyczuła w ciele Keya, gdy hak wgrzył mu się w czaszkę. Wezbrało w niej całe nagromadzone obrzydzenie, odraza wywołana napaścią, gwałtem, dotknięciem śmierci podeszła do gardła. Zwymiotowała. Kiedy było po wszystkim, zasznurowała ciasno spodnie; węzeł sprawił trochę kłopotu nieporadnym palcom.

Przyszło jej do głowy, że powinna coś zrobić. Na przykład, zwinąć sznury. Albo spakować uprząż do plecaka. Tyle że takie zadania, choć w teorii zupełnie proste, wydawały się teraz tak złożone, że w tej chwili kompletnie ją przerastały. Zadygotała z zimna i objęła się ramionami. Wysokość i oddalenie od domu nagle zaczęły jej dokuczać. Policzki miała obrzmiałe i zaczerwienione; mrowiące iskierki czucia (wyobrażała je sobie jako opalizujące larwy) kłębiły się pod skórą piersi i nóg. Miała wrażenie, że świat wokół niej zwalnia biegu; że czas, wcześniej wzburzony, pomału osiada jak rzeczny muł, kiedy woda uspokaja się po przejściu wiru.

Spojrzała w stronę czoła smoka. Obok rogu ktoś stał. A właściwie szedł w jej stronę. Obserwowała intruza z wyzywającą obojętnością. Chciała przede wszystkim chronić swoją prywatność, bała się, że jeśli będzie musiała się odezwać, nie zapanuje nad emocjami. Kiedy jednak rozpoznała w przybyszu jedną ze swoich sąsiadek z Hangtown - Brianne, młodą, wysoką kobietę o delikatnej urodzie, oliwkowej cerze i kasztanowych włosach - odetchnęła z ulgą. Nie przyjaźniły się, ba, kiedyś rywalizowały nawet o względy tego samego mężczyzny, ale od tamtej pory upłynął już z górą rok i teraz Catherine się ucieszyła. W obecności drugiej kobiety mogła sobie pozwolić na słabość. Brianne z pewnością okaże jej współczucie.

- Na Boga, co tu się stało?

Brianne uklękła i odgarnęła jej włosy z czoła. Czułość tego gestu przełamała tamę powstrzymującą uczucia Catherine. Opowiedziała o gwałcie, od czasu do czasu przerywając

swoją historię szlochem.

- Nie chciałam go zabić - dodała. - Zapomniałam o tym haku.

- Key prosił się o śmierć - odparła Brienne. - Szkoda tylko, że akurat na ciebie padło, żeby mu w tym pomóc. - Westchnęła, marszcząc z troską brwi. - Chyba powinnam iść po kogoś, żeby zajął się ciałem. Wiem, że to nie...

- Nie, nie, rozumiem. Trzeba coś z tym zrobić.

Catherine poczuła się raźniej, jakby odzyskiwała siły. Próbowała wstać, ale Brienne ją powstrzymała.

- Lepiej zaczekaj tutaj. Wiesz, jacy są ludzie. Zobaczą twoją twarz - Brienne dotknęła opuchniętego policzka Catherine - i zaczną się wtrącać, plotkować... Najlepiej by było, gdyby burmistrz osobiście poprowadził śledztwo. W ten sposób zdławiłby domysły w zarodku.

Catherine nie miała ochoty ani chwili dłużej przebywać sam na sam ze zwłokami, ale doceniła mądrość tych słów i zgodziła się poczekać.

- Dasz sobie radę? - upewniła się Brienne.

- Dam. Ale pośpiesz się.

- Dobrze. - Brienne wstała. Wiatr wzburzył jej włosy, które przesłoniły dolną połowę twarzy. - Na pewno dasz sobie radę?

W jej głosie brzmiała jakaś dziwna nuta, jakby w rzeczywistości chciała zadać zupełnie inne pytanie. Albo - i to wydało się Catherine bardziej prawdopodobne - jakby myślami była już przy rozmowie z burmistrzem.

Catherine pokiwała głową, ale złapała Brienne za rękę, zanim ta zdążyła się oddalić.

- Nie mów mojemu ojcu. Sama mu powiem. Jeśli dowie się od ciebie, gotów mścić się na Willenach.

- Słowa nie pisnę, obiecuję.

Brienne uśmiechnęła się, poklepała Catherine współczująco po rękę i ruszyła w drogę powrotną do Hangtown. Szybko zniknęła w gąszczu zarośli za rogiem na czole smoka.

Przez pewien czas po jej odejściu Catherine czuła się bezpieczna w kokonie pocieszenia, ale kołujący się wiatr i chłód, który przeniknął powietrze, gdy chmury zakryły słońce, sprawiły, że ponure odosobnienie wkrótce zaczęło ją przytłaczać. Pożałowała, że nie wróciła do miasteczka. Zaciśnęła kurczowo powieki, usiłując się uspokoić, jednakże cały czas przed oczami stawała jej twarz Keya z jednym okiem wypełnionym krwią. Wciąż czuła na sobie dotknięcie jego rąk. W końcu, uznawszy, że Brienne miała aż nadto czasu, żeby wypełnić swoją misję, podeszła na skraj gęstwiny i spojrzała w dół wąskiej ścieżki wijącej się po grzbiecie Griaule'a. Upłynęło jeszcze kilkanaście minut, zanim w końcu dostrzegła trzy



postaci zmierzające różnym krokiem w jej stronę: dwóch mężczyzn i kobietę. Osloniła oczy przed słońcem, które przedarło się akurat przez chmury, i wyteżyła wzrok. Żaden z mężczyzn nie miał siwiejących włosów i krępej sylwetki burmistrza. Obaj byli chudzi i bladzi, mieli czarne włosy do ramion, a w rękach trzymali obnażone noże. Nie widziała wyraźnie ich twarzy, doszła jednak do wniosku, że Brianne, najwyraźniej nadal jej nieprzychylna, postanowiła się zemścić i poinformowała braci Keya o jego śmierci.

Strach rozproszył mgłę pierwszego szoku i Catherine zaczęła gorączkowo rozmyślać, co powinna zrobić. Nie miała szans schować się w zaroślach, a ścieżka była tylko jedna. Cofnęła się do skraju pyska Griaule'a, wyminawszy kałużę krzepnącej krwi. Jedyłą nadzieją na ucieczkę było opuszczenie się w sieci lin do smoczey paszczy i szukanie schronienia w jej wnętrzu - jednakże myśl o tym, że miałyby zapuścić się w tak złowieszcze miejsce, którego nie bali się tylko szaleńcy, kazała jej się zatrzymać. Próbowała wymyślić coś innego - bez powodzenia. Brianne z pewnością okłamała Willenów, zrzuciła na nią całą winę, i teraz nie zechcą jej nawet wysłuchać. Podbiegła do samej krawędzi, wpięła się w uprząż i zsunęła ze skraju paszczy, uwijając się jak w ukropie. Zjeżdżała w nierównym rytmie, szarpnięciami po dziesięć, piętnaście stóp. Rozwarty pysk Griaule'a przesuwiał się skokami i wirował jej przed oczami - nastroszone liście, paprocie wysokie jak dorosły człowiek, olbrzymie zakrzywione kły wyrastające z dolnej szczęki, smolście czarna otchłań gardzieli.

Znajdowała się pięćdziesiąt stóp od powierzchni, gdy szarpnięta lina zadygotała. Zadarła głowę i stwierdziła, że jeden z Willenów piłuje sznur nożem. Nagle zrobiło jej się gorąco, serce zabiło jak młotem, dłonie stały się śliskie od potu. Opadła połowę odległości dzielącej ją od żuchwy i zatrzymała się w locie; bolesny wstrząs przeszył jej kręgosłup. Oszołomiona, zakołysała się bezwładnie, a potem opadła jeszcze raz, na krótszym odcinku, po czym lina u góry pękła i ostatnie dwadzieścia stóp przeleciała bez zabezpieczenia. Wyrznęła w dno paszczy z takim impetem, że straciła przytomność.

Ocknęła się w kępie paproci, widząc w górze obramowane pióropuszem liści ceglane podniebienie paszczy Griaule'a, obwieszane ciemnozielonymi epifitami jak sklepienie katedry, którą zawładnęła dżungla. Przez chwilę leżała nieruchomo, zbierając myśli i badając obolałe ciało w poszukiwaniu złamań. Nabiła sobie guza na potylicy, ale impet uderzenia przyjęła głównie na pośladki, które, choć obolałe, nie doznały chyba poważniejszych szkód. Ostrożnie, krzywiąc się z bólu, dźwignęła się na kolana i już, już miała wstać, kiedy usłyszała dobiegające z góry pokrzykiwania:

- Widzisz ją?

- Nie... A ty?

- Musiała się schować gdzieś głębiej!

Wyjrawszy ostrożnie spomiędzy liści, dojrzała dwie ciemne sylwetki zawieszono co najmniej sto stóp nad jej głową w sznurowych opłotach, jak pająki w prymitywnych sieciach. W tej samej chwili zjechały niżej i spanikowana Catherine zaczęła się odczołgiwać od wylotu paszczy. Na przemian podciągała się i odpychała od ukrytych pod poszyciem powykręcanych zdrewniałych pnączy. Pokonawszy w ten sposób jakieś pięćdziesiąt jardów, odważyła się spojrzeć wstecz: Willenowie wisieli już dosłownie dziesięć stóp nad zaroślami, a w chwili, gdy na nich patrzyła, zjechali jeszcze niżej i zniknęli Catherine z oczu. Instynkt kazał jej się wycofać w głąb paszczy, ale już w miejscu, w którym w tej chwili przykłękała, powietrze było wyraźnie ciemniejsze niż u wylotu pyska, otaczał ją szarzielony półmrok i na samą myśl o zanurzeniu się w mroki gardzieli serce przestawało jej bić.

Wyteżyła słuch, jednakże zamiast kroków Willenów słyszała tylko szelesty, szmery i upiorne poświstywania, które - choć ciche - miały złożone, wyraziste brzmienie. W jej wyobraźni ich źródłem nie były małe zyjątki, lecz powietrze prześlizgujące się przez ogromne gardło smoka. Przerażały ją jego rozmiary, tak jak przerażała ją własna małość. Nie mogła się zmusić, żeby wejść głębiej, skreśliła więc ku brzegowi paszczy, gdzie w cieniu paproci rozpleniły się szczególnie gęsto. W miejscu, w którym dno pyska zaczynało się wznosić, zagrzebała się w paprociach i znieruchomiła.

Tuż obok jej głowy znalazł się nieregularny placek bladoczerwonego ciała, w miejscu, gdzie jakaś wyrwana z korzeniami roślina odsłoniła grunt. Z zacięciem dotknęła go palcem: był suchy i chłodny, tak jakby dotknęła kawałka drewna lub kamienia. Była zawiedziona; spodziewała się, że po takim dotknięciu dokona się w niej jakaś spektakularna przemiana. Przycisnęła całą dłoń, szukając muśnięcia pulsu, ale czerwone ciało było jak martwe, a jedynymi oznakami życia pozostawały szelesty w krzakach i rzadki łopot skrzydeł nad jej głową.

Zrobiła się senna, głowa sama zaczęła opadać jej na pierś. Z początku dokładała wszelkich starań, żeby nie zasnąć, ale po paru minutach pozwoliła sobie na odrobinę odprężenia. Im dłużej analizowała swoją sytuację, tym większej nabierała pewności, że Willenowie nie będą jej tak daleko ścigać. Nie wystarczy im odwagi, żeby wejść do paszczy - będą czekać u jej wylotu jak armia oblegająca twierdzę, wiedząc, że prędzej czy później Catherine będzie musiała wyjść w poszukiwaniu pożywienia i wody. Na myśl o wodzie odczuła pragnienie, ale zdławiła je w sobie; przede wszystkim potrzebowała teraz odpoczynku. Wyjęła zza pasa jeden z haków do łusek i ściskając go w prawej ręce (na wypadek, gdyby naprzykrzało się jej jakieś zwierzę, mniej ostrożne od Willenów), oparła

głowę na nagim skrawku ciała Griaule'a. Wkrótce zasnęła kamiennym snem.

## 2

W przeszłości sny Catherine często bardziej przypominały przesyłane skądś komunikaty niż destylaty jej własnych doświadczeń, nigdy jednak nie przyśnił się jej przekaz tak ewidentny, jak owego popołudnia, gdy zasnęła w paszczy Griaule'a. Sen był prosty, pozbawiony formy wizualnej, rozbrzmiewał w nim tylko głos, którego słowa nie tyle docierały do jej uszu, ile raczej obejmowały ją całą, opływały swoim znaczeniem. Napawały Catherine otuchą i pozostawiły po sobie poczucie bezpieczeństwa tak głębokie, że jej pewność siebie trwała nawet po przebudzeniu w poczeriałym świecie, rozświetlanym tylko refleksami płomieni na obłej powierzchni smoczego kła. To był niezwykle widok: olbrzymi żąb oblany wściekłe czerwoną poświatą. W innej sytuacji byłaby śmiertelnie przerażona, teraz jednak nie przejęła się okrutną wymową obrazu i dostrzegła w nim tylko potwierdzenie swoich domysłów w kwestii Willenów. Rozpalili ognisko u wylotu pyska i czekali na nią, spodziewając się, że sama wpadnie im w ręce.

Nie miała zamiaru spełniać ich oczekiwań. Mimo że jej pewność siebie chwilami słabła, a myśl o zagłębieniu się w trzewia smoka przeczyła zdrowemu rozsądkowi, zdawała sobie sprawę, że podejmując inną decyzję, skończy z poderżniętym gardłem. Poza tym, mimo irracjonalności tego pomysłu, instynktownie wyczuwała, że Griaule nad nią czuwa i że to, co się z nią teraz dzieje, jest wyrazem jego woli. Przed oczami stanęła jej na moment twarz Keya Willena z krwawym okiem i rozdziawionymi ustami. Przypomniała sobie, jaką grozą przejęła ją jego napaść - i stwierdziła, że to wspomnienie wcale jej nie dręczy. Przeciwnie, dodawało jej sił i odpowiadało na pytania, które koniecznie należało postawić, nawet jeśli ona sama wcześniej ich sobie nie zadawała. Nie ponosiła żadnej odpowiedzialności za gwałt, w żaden sposób nie próbowała skusić Keya, ale dotarło do niej, że w pewnym sensie wystawiła się na atak przez to, że wcześniej wiodła egzystencję kompletnie pozbawioną celu, tak jakby liczyła na to, że bliżej niesprecyzowane „przeznaczenie” nada jej życiu sens. A dziś, kiedy owo przeznaczenie znalazło się na wyciągnięcie ręki, rozumiała, że mogłoby wyglądać inaczej i mieć mniej gwałtowny charakter, gdyby ona sama była inna; gdyby zamiast typowej dla siebie bierności przejawiała więcej inicjatywy w kontaktach z ludźmi i całym światem. Miała nadzieję, że ta nowo nabyta świadomość okaże się przydatna, chociaż w głębi serca w to powątpiewała. Zaszła zbyt daleko niewłaściwą ścieżką, żeby teraz jakakolwiek wiedza mogła

coś zmienić.

Rozpoczęcie podróży w głąb smoka wymagało od niej zmobilizowania całej siły woli. Szła, wodząc ręką po bocznej ścianie gardła, rozchylała liście paproci, zgarniała pajęczyny, nieustannie wyczulona na mamrotanie insektów i innych nocnych stworzeń. Ciarki przechodziły jej po plecach od wyczuwanych pod palcami obcych faktur. W pewnym momencie chciała nawet zawrócić, ale słysząc za plecami pokrzykiwania, wystraszyła się, że Willenowie podążają jej tropem, i poszła dalej.

Grunt zaczął opadać, a na zakrzywionej ścianie gardła pojawił się odbłask jakiejś słabej poświaty. Światło stawało się coraz jaśniejsze, liście zaczęły rzucać cienie, i Catherine przyśpieszyła, żeby jak najszybciej dotrzeć do jego źródła. Potykała się o wystające korzenie, płożące się zielsko pętało jej stopy, ale w końcu spadek się skończył i znalazła się w sporej komorze o poziomym dnie i w przybliżeniu okrągłym kształcie. Sklepienie ginęło w mroku, a na podłodze rozlewały się czarne kałuże, nad którymi snuły się pasma mgły. Tam, gdzie mgła musnęła powierzchnię cieczy, rozbłyskiwał jęzor żółtawo-czerwonego płomienia, budząc cienie na gruzłowatym podłożu i wyławiając z ciemności liczne brodawkowate narośle, które - intensywnie czerwone, sięgające Catherine do kolan, podziurkowane i ociekające mgłą - sterczały pomiędzy kałużami. W głębi pomieszczenia znajdował się otwór prowadzący najprawdopodobniej dalej w trzewia smoka. Powietrze było ciepłe i wilgotne i Catherine zaczęła się pocić. Wzdragała się przed wejściem do komory, która mimo oświetlenia wydała się jej o wiele bardziej obca i nieludzka niż paszcza bestii. Znow jednak zmusiła się do zrobienia kroku w przód i ostrożnie weszła między płomienie. Szybko przekonała się, że od mgły kręci się jej w głowie, i zaczęła omijać narośle szerokim łukiem.

Gdzieś z góry dobiegły przenikliwe gwizdy. Na myśl o tym, że mogłyby oznaczać obecność nietoperzy, znow przyśpieszyła. Zdążyła pokonać połowę szerokości komory, gdy na dźwięk męskiego głosu włosy stanęły jej dęba ze strachu.

- Catherine! - usłyszała. - Nie pędź tak!

Określiła się na pięcie, z hakiem gotowym do ciosu. W jej stronę kuśtykał starszy, siwy mężczyzna w złachmanionym jedwabnym surducie wyszywanym złotą nicią, do którego włożył obszarpaną koszulę z żabotem i dziurawe atłasowe rajtuzy. W lewej ręce trzymał laskę ze złotą główką. Kościste palce obu rąk miał upierścienione co najmniej tuzinem sygnetów. Zatrzymał się na wyciągnięcie ręki od niej, ona zaś nie opuściła wprawdzie haka, ale trochę się uspokoiła. Owszem, staruszek wyglądał nieco ekscentrycznie, ale na tle ludzi i innych istot zamieszkujących Griaule'a prezentował się właściwie przeciętnie. Mógł niepokoić, ale nie przerażał.

- Przeciętnie?! - Staruszek zarechotał. - Też coś! Przeciętny jak anioły, zwyczajny jak idea Boga. - Zanim Catherine zdążyła się zdziwić, że zna jej myśli, rehot się powtórzył. - Jakże miałbym ich nie znać? Wszyscy jesteśmy tworam i jego myśli, wyrazami jego kaprysów. A tutaj wszystko, co na powierzchni jest ledwie zauważalne, staje się żywą rzeczywistością, nieuniknioną prawdą. A to dlatego - postukał laską w dno komory - że otaczająca nas materia emanuje jego wolą. - Zrobił krok w przód i wbił w Catherine spojrzenie kaprawych oczu. - Ta chwila śniła mi się tysiąc razy. Wiem, co powiesz; wiem, co pomyślisz; wiem, co zrobisz. Otrzymałem od niego szczegółowe instrukcje, bym mógł zostać twoim przewodnikiem i powiernikiem.

- O czym mówisz? - Zalekwniona Catherine wzięła zamach hakiem.

- Nie o czym, lecz o kim. - Uśmiech rozkroił na dwoje jasną, pomarszczoną skórę twarzy staruszka. - O Jego Łuskowatości, rzecz jasna.

- O Griaule'u?

- Nie inaczej. - Mężczyzna wyciągnął do niej rękę. - Chodź, dziewczyno. Czekaają na nas.

Catherine cofnęła się o krok. Staruszek odął wargi.

- No dobrze, rzeczywiście mogłabyś chyba wrócić tam, skąd przysłaś. Willenowie ucieszają się na twój widok.

- Nie rozumiem - powiedziała podenerwowana Catherine. - Skąd możesz wiedzieć...

- Jak masz na imię? Albo co ci grozi? Czy ty mnie w ogóle słuchałaś? Jesteś tworem Griaule'a, córko, i to nawet w większym stopniu niż inni, ponieważ przez lata spałaś w samym środku jego snów. Całe twoje życie było wstępem do tych chwil. Nie poznasz swojego przeznaczenia, dopóki nie udasz się do miejsca, w którym rodzą się sny smoka... Do jego serca. - Mężczyzna wziął Catherine za rękę. - Jestem Amos Mauldry. Kapitan Amos Mauldry, do usług. Czekaam na ciebie od lat, od wielu, wielu lat! Mam cię przygotować do najważniejszej chwili twojego życia. Nalegam więc, byś poszła ze mną, dołączyła do Milusich i rozpoczęła przygotowania, ale... - Wzruszył ramionami. - Cóż, wybór należy do ciebie. Nie będę cię bardziej przymuszał, powiem tylko jeszcze jedno: chodź teraz ze mną, a kiedy wrócisz, przekonasz się, że nie masz się czego obawiać ze strony braci Willenów.

Puścił rękę Catherine i tylko patrzył na nią chłodno, z szacunkiem. Korciło ją, żeby zlekceważyć jego słowa, ale nie mogła się do tego zmusić: za bardzo współgrały z jej własnymi odczuciami na temat jej związków ze smokiem.

- Kim są Milusi? - zapytała.

Mauldry prychnął lekceważąco.

- To nieszkodliwe stworzenia. Życie wypełniają im spory o błahostki i kopulacja. Gdyby nie ich przydatność dla Griaule'a, którego chronią przed pewnymi szkodnikami, byłiby kompletnie bezużyteczni. No, ale są na tym świecie gorsze od nich bestie i Milusi miewają czasem swoje pięć minut. - Niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę, postukując laską o posadzkę. - Niedługo sama ich poznasz. Idziesz czy nie?

Bez entuzjazmu, za to z hakiem gotowym do ciosu, Catherine podążyła za Mauldrym do otworu w głębi komory i dalej, wąskim, krętym tunelem oświetlonym pulsującą złotą poświatą emanującą z ciała Griaule'a. Źródłem światła, jak wyjaśnił jej przewodnik, była krew, która wprawdzie nie płynęła w tej chwili w żyłach smoka, ale jej blask falował na skutek zmian składu chemicznego. Tak w każdym razie sądził Mauldry, który odzyskał już utraconą chwilowo pogodę ducha i opowiadał Catherine o czasach, gdy był kapitanem statku towarowego kursującego z Port Chantay na Wyspy Perłowe.

- Przewoziliśmy żywy inwentarz, owoce chlebowca, tran wielorybi... Właściwie nie przypominam sobie, żebyśmy czegoś nie przewozili. To było dobre życie, ale ciężkie, naprawdę ciężkie, i po odejściu ze służby... No cóż, nie miałem żony, więc kiedy nagle okazało się, że mam pod dostatkiem wolnego czasu, pomyślałem, że najwyższa pora się zabawić. Postanowiłem zwiedzić świat, a najbardziej ze wszystkiego chciałem zobaczyć Griaule'a; ludzie powiadali, że to prawdziwy cud świata - i mieli rację! Jego widok wprowadził mnie w osłupienie. Kompletnie mnie oszołomił, nie mogłem się na niego napatrzeć. Był czymś więcej niż cudem świata, był idealny. Ostrzegano mnie, że bym nie zapuszczał się w pobliże paszczy, całkiem słusznie zresztą, ale nie umiałem się powstrzymać i pewnego wieczoru, kiedy przechadzałem się po skraju pyska, napadło mnie dwóch poszukiwaczy łusek. Pobili mnie, okradli i zostawili na pewną śmierć. I pewnie faktycznie bym umarł, gdyby nie Milusi. - Staruszek zacmokał z troską. - Skoro już nadarza się okazja, opowiem ci trochę o nich. I tak powinienem cię przygotować na spotkanie z nimi, bo bez tego... Prezentują się naprawdę paskudnie, nie ukrywam. - Łypnął jednym okiem na Catherine, a kiedy nie zareagowała, po kilkunastu krokach zapytał: - Nie poprosisz mnie, że bym mówił dalej?

- Nie wydaje mi się, żebyś potrzebował mojej zachęty.

Mauldry zaśmiał się z aprobatą.

- Słusznie, słusznie... - mruknął, ale dalej szedł w milczeniu, zgarbiony, z pochyloną głową. Przypominał trochę starego zółwia, który nauczył się chodzić na dwóch łapach.

- No więc? - zirytowała się Catherine.

- Wiedziałem, że zapytasz! - Mauldry mrugnął do niej porozumiewawczo. - Z

początku sam nie wiedziałem, kim są. Gdybym wiedział, byłbym przerażony. W kolonii jest ich około pięciuset, może sześciuset; byłoby więcej, gdyby nie wysoka śmiertelność młodych i inne zabójcze zjawiska. W większości są potomkami upośledzonego mężczyzny nazwiskiem Milusi, który prawie tysiąc lat temu zabląkał się do paszczy Griaule'a. Podobno przechodził koło pyska, kiedy nagle ze środka zaczęły wyfruwać ptaki i owady, i to nie po kilka czy kilkanaście sztuk, tylko całe stada i roje. Milusi śmiertelnie się przeraził, bo pomyślał, że pewnie wypłoszył je jakiś potwór. No i postanowił się przed tym potworem schować. Tak mu się jednak pomieszało w głowie, że zamiast odbiec od paszczy, wbiegł prosto do środka i tam ukrył się w krzakach. Przesiedział tak prawie cały dzień, a potwora ani widu, ani słyhu. Jedyłą oznaką zagrożenia był stłumiony głuchy łomot dobiegający z wnętrza smoka. W końcu ciekawość zwyciężyła strach i Milusi wszedł do gardzieli. - Mauldry odkaslnął i splunął. - Tam się poczuł bezpiecznie, w każdym razie bezpieczniej niż na zewnątrz. To pewnie była sprawka Griaule'a, to poczucie bezpieczeństwa. Wiedział, że państwo Milusi muszą być szczęśliwi, jeśli mają w nim zamieszkać na stałe i służyć mu jako deratyzatorzy. Pierwszym posunięciem Milusiego było sprowadzenie z Teocinte pewnej znajomej obłąkanej; z biegiem czasu werbowali innych szaleńców, kiedy tylko takowi się napatoczyli. Byłem pierwszym zdrowym na umyśle człowiekiem, którego przyjęli. Są okropnymi szowinistami, kiedy przychodzi do podziału na normalnych i wariatów, ale Griaule, naturalnie, kazał im mnie przygarnąć. Wiedział, że będzie ci potrzebny ktoś, z kim mogłabyś porozmawiać. I tak oto zamieszkałem tutaj. - Dźgnął ścianę laską. - To mój dom, właściwie nawet więcej: to moja prawda. Moja miłość. Życie w tym miejscu zmieniło mnie.

- Trochę trudno w to uwierzyć...

- Tak? Kto jak kto, ale ty najlepiej powinnaś rozumieć bezmiar zalet Griaule'a. Nikt nie zapewni ci takiego bezpieczeństwa jak on; nikt nie zagwarantuje ci takiej wiedzy.

- Mówisz o nim jak o bogu.

Mauldry zatrzymał się i spojrzał z ukosa na Catherine. Złote światło pojaśniało, wypełniając cieniem jego zmarszczki. Wyglądał w tej chwili jakby przeżył setki lat.

- A kim według ciebie jest? - zapytał z nutą oburzenia w głosie. - Kim innym mógłby być?

Po dalszych dziesięciu minutach znaleźli się w komorze jeszcze większej i wspanialszej niż poprzednia. Miała owalny kształt, jak postawione na sztorc jajo o spłaszczonym dnie - jajo wysokie na sto pięćdziesiąt stóp, o średnicy wynoszącej nieco ponad połowę wysokości. Oświetlała je ta sama złocista pulsująca poświata, która rozjaśniała mroki tunelu, z tą różnicą, że zmiany natężenia były tutaj bardziej płynne, a ekstrema jasności



bardziej od siebie odległe - od głębokiego półmroku do blasku niemal równego światłu dnia. Górne dwie trzecie powierzchni ścian były przesłonięte piętrzącymi się jeden nad drugim rzędami małych komórek, koślawo posklejanych i tworzących strukturę, która wprawdzie pozbawiona była charakterystycznej dla plastra miodu regularności, ale mimo to, do złudzenia go przypominała, tak jakby ulepiły ją pijane pszczoły. Wejścia do komórek były przesłonięte zasłonami. Do ścian umocowano liny, drabinki sznurowe i kosze pełniące rolę wind; kilka z nich było zresztą w tej chwili w użyciu, przewożąc ludzi ubranych podobnie do Mauldry'ego. Komórki kojarzyły się Catherine z widzianym niegdyś obrazem przedstawiającym labirynty mieszkalne na dachach domów w Port Chantay - tylko że domostwa na obrazie, mimo że roztaczały aurę nędzy i rozpacz, nie kojarzyły się od razu z przegniłym ładem, który zdegenerował się do stanu perwersyjnego chaosu.

Dolną część komory (do której zresztą doprowadzał tunel) pokrywał pstry kobierzec, na który składały się całe jardy jedwabiu, aksamitu i innych kosztownych materii. Siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt osób przechadzało się po dnie jaja lub leżało na jego łagodnie zakrzywiających się ścianach. Pusty był tylko sam środek posadzki, w którym ziała czarna dziura prowadząca dalej w trzewia smoka. Przechodził też przez nią cały system rur, przenoszących - jak później Mauldry wyjaśnił Catherine - ścieki z kolonii wprost do zbiornika z kwasem, z którego w przeszłości zasilane były ognie Griaule'a. Pod kopułą jaja kłębiła się gęsta mgła, taka sama jak ta wypływająca z narośli w poprzedniej komorze. Czarnoskrzydłe ptaki z czerwonymi plamami na łbach na przemian wlatywały w jej głąb i z niej wyfruwały; kruche strzępy mgły snuły się zresztą po całym pomieszczeniu, w którym unosił się mdlący słodkawy zapach. Zewsząd dobiegały pomruki i szelesty.

- Proszę bardzo. - Mauldry szerokim gestem laski ogarnął wnętrze. - Co powiesz o naszej kolonii?

Niektórzy Milusi zauważyli już przybyszów i, zbici w małe grupki, pomalutku zaczęli się do nich zbliżać. Co parę kroków przystawali, szeptali między sobą z ożywieniem, i znów posuwali się naprzód z ostrożną ciekawością dzikusów. Mimo że nikt nie dał wyraźnego sygnału, zasłony przy wejściach do komórek odchyłały się, ze środka wysuwały się głowy, małe figurki zjeżdżały po linach, tłoczyły się w koszach, zsuwały po drabinkach... Setki ludzi śpieszyły na spotkanie z Catherine z prędkością przywodzącą na myśl spanikowane mrówki rojące się w mrowisku. Zwłaszcza że na pierwszy rzut oka naprawdę przypominali mrówki - chudzi, bladzi, przygarbieni, z płasko ściętymi, prawie bezwłosymi czaszkami, płaczkliwymi oczami i grubymi, obwisłymi wargami wyglądali jak brzydkie dzieci poprzebierane w zetłale jedwabie i atłasy. Podchodzili coraz bliżej, ci z przodu popychani przez gęstniejące szeregi za

plecami, aż Catherine, zaniepokojona ich spojrzeniami i nieskłonna słuchać uspokajających słów przewodnika, cofnęła się w głąb otworu.

Mauldry odwrócił się do Milusich, wymachując triumfalnie laską jak mieczem, i zawołał:

- Oto przybyła! Nareszcie ją do nas sprowadził! Jest wśród nas!

Kilkunastu Milusich w pierwszym szeregu zaniósł się piskliwym rżącym śmiechem, którego ton wznosił się coraz wyżej i wyżej, w miarę jak ściany pały coraz mocniejszym złotym światłem. Inni, stojący głębiej, przytknęli do piersi rozcapierzone dłonie i zaczęli podskakiwać z podniecenia. Jeszcze inni kręcili głowami i strzelali oczami na boki, rozdarci między agresją i zagubieniem, jakby nie bardzo wiedzieli, co się dzieje. Ta demonstracja upośledzenia Milusich, dowodząca kruchości ich samokontroli, jeszcze bardziej przeraziła Catherine, ale zachwycony Mauldry nawoływał w kółko: „Jest wśród nas! Jest wśród nas!”, aż w końcu zapanował tymi okrzykami nad Milusimi i od tej pory mógł nimi sterować. Zaczęli powtarzać jego słowa, kołysać się w ich rytmie i przeciągać je, aż upodobniły się do bełkotliwego „jeeeziudnaaas, jeeeziudnaaas”, syczącego i rozedrganego zarazem niczym przyśpieszony oddech olbrzyma, który niósł się rozfalowanym echem, aż wibrowała cała komora. Fala dźwięku zalała Catherine, osłabiająca w swojej intensywności, i Catherine skuliła się pod ścianą, czekając, aż Milusi złamią szyk i ją otoczą. Oni jednak tak zapamiętali się w swoich chóralnych okrzykach, że chyba zupełnie o niej zapomnieli - tłoczyli się bez celu, wpadali na siebie nawzajem, doskakiwali ze złością do tych, którzy weszli im w drogę, rzucali się sobie w ramiona, chichotali, zaczynali erotyczne igraszki - i cały czas zawodzili.

Mauldry spojrzął na Catherine. Złote światło odbijało mu się w oczach, a jego twarz - bezmyślnie rozradowana i pusta - przypominała twarze Milusich, kiedy wyciągnął do niej rękę i powiedział bezbarwnie szczerym głosem kapłana:

- Witaj w domu.

Zamieszkała w dwuizbowym lokum zawieszonym w połowie wysokości jaja, przylegającym do mieszkania Mauldry'ego i urządzonym jedwabiami, futrami i haftowanymi poduszkami. Na ścianach, również obwieszonych tymi materiałami, wisiało lustro w wysadzonej klejnotami ramie i dwa obrazy olejne - cacka pochodzące ze skarbu Griaule'a, jak twierdził Mauldry, którego większość złożono w znajdującej się gdzieś na zachodzie jaskini; jej dokładną lokalizację znali tylko Milusi. W jednym pomieszczeniu znalazła się olbrzymia misa do mycia, ale ponieważ woda była cennym dobrem (zbierano ją w miejscach, gdzie deszczówka przesączała się przez łuski), Catherine mogła się kąpać nie częściej niż raz w tygodniu. Mimo to, samo mieszkanie i warunki życia nie odbiegały od standardów Hangtown i gdyby nie obecność Milusich, mogłaby się tu poczuć prawie jak w domu. Pomijając jednak kobietę imieniem Leitha, która sprzątała u niej i gotowała jej posiłki, nie była w stanie przezwyciężyć odrazy, jaką budził w niej ich wynikający ze stuleci chowu wsobnego wygląd i nienormalne zachowanie. Zdawało się, że reagują na bodźce, które uchodziły jej uwagi: zniecka przystawali i nasłuchiwali niesłyszalnych wezwań albo wpatrywali się w niewidzialne zawirowania powietrza. Bez żadnego widocznego celu wspinali się po linach tam i z powrotem, stale roześmiani i rozgadani. Masowo kopulowali na dnie komory. Mówili jakimś pokreślonym dialektem, który ledwie rozumiała. Uwieszali się na linach przed jej mieszkaniem i kłócili się zapamiętale, krytykowali nawzajem swoje stroje i zachowania, wytykali sobie najbłahsze wady i oceniali je zgodnie ze skomplikowanym kodem, którego niuansów nijak nie potrafiła ogarnąć. Gdziekolwiek poszła, łazili za nią krok w krok - nie wsiadali z nią wprawdzie do jednego kosza, ale wspinali się albo zjeżdżali po linach równoległe do niej; gapili się na nią, dopóki nie spojrzała w ich stronę, bo wtedy kulili się i odwracali wzrok. Ubrani w fircykowate stroje, obwieszeni klejnotami, targani dziecinną małostkowością i zawiścią, jednocześnie irytowali ją i przerażali. Wyczuwała ogromne napięcie w sposobie, jakim wodzili za nią wzrokiem. Bała się, że lada chwila przestaną się jej bać i rzucają się na nią hurmem.

Przez pierwsze tygodnie rzadko wychodziła z domu, za to często rozmyślała o ucieczce. Jej samotność mąciła tylko krzątania Leithy i odwiedziny Mauldry'ego, który przychodził dwa razy dziennie, rozsiadał się wśród poduszek i rozprawiał o majestacie

Griaule'a. Nie przepadała za tymi wizytami. Jego drżący w uniesieniu głos przywodził na myśl wędrownych kaznodziejów, którzy przybywali czasem do Hangtown, zostawiając po sobie puste sakiewki i nieślubne dzieci. Pogadanki Mauldry'ego były najczęściej zwyczajnie nudne, a jeśli trafiła się jakaś ciekawsza, niepokoiła Catherine powtarzającymi się wzmiankami o chwili próby w sercu smoka. Nie wątpiła w to, że Griaule jest obecny w jej życiu. Im dłużej mieszkała w kolonii, tym żywsze sny śniła i tym bardziej skłaniała się ku przekonaniu, że zamiary smoka w jakiś sposób wiążą się z jej obecnością, ale w konfrontacji z beznadziejną egzystencją Milusich gasły jej dawne fantazje o przeznaczeniu nierozzerwalnie związanym z losem Griaule'a. Sama zaczynała się postrzegać w równie żalnym świetle; czuła do siebie taką samą odrazę, jak do otaczających ją istot.

- Jesteś naszym wybawieniem - powiedział któregoś dnia Mauldry, zastawszy Catherine przy szyciu nowych spodni; nie chciała nosić aksamitnych i haftowanych złotem lachmanów, w których gustowali Milusi. - Tylko ty możesz przeniknąć sekret smoczego serca. Tylko ty możesz zdradzić nam jego najskrytsze pragnienia i dotyczące nas plany. Wiemy o tym od dawna.

Siedząc w barbarzyńskim chaosie jedwabi i futer, Catherine wyjrzała przez szparę w zasłonie przy drzwiach. Złote światło na zewnątrz przygasło.

- Jestem waszym więźniem - zauważyła. - Dlaczego miałabym wam pomóc?

- To co, odejdziesz? A co z Willenami?

- Wątpię, żeby nadal na mnie czekali. A jeśli nawet, to wszystko sprowadza się do wyboru rodzaju śmierci: mogę umierać długo tutaj, albo zginąć szybko z ich ręki.

Mauldry pogładził złotą główkę laski.

- Masz rację - przyznał. - Willenowie nie stanowią już zagrożenia.

Catherine spojrzała na niego pytająco.

- Zginęli, gdy tylko opuściłaś paszczę Griaule'a. Wiedząc, że nareszcie należysz do niego, posłał swoje stwory, żeby się z nimi rozprawiły.

Przypomniała sobie krzyki, które słyszała, idąc po pochyłości gardzieli.

- Jakie stwory?

- To nieistotne. Najważniejsze, żebyś zrozumiała, jak subtelny potrafi być w swojej sile i jak absolutną ma władzę nad tobą i twoimi myślami.

- Ale dlaczego? Dlaczego to takie ważne? - spytała Catherine, a widząc, że jej gość ma kłopot z odpowiedzią, parsknęła śmiechem. - Cóż to, Mauldry, urwał ci się kontakt z bogiem? Nie chce ci podsunąć żadnego frazesu?

Mauldry wziął się w garść.

- To ty masz zrozumieć, po co się tu znalazłaś, nie ja. To ty musisz odkryć wnętrze Griaule'a, zbadać cudowne działanie jego ciała, stać się częścią skomplikowanego ładu jego istnienia.

Sfrustrowana Catherine uderzyła pięścią w poduszkę.

- Jeśli mnie nie wypuścicie, umrę! To miejsce mnie zabije, nie zdążę niczego odkryć ani zbadać.

- Ależ zdążysz, zdążysz... - Mauldry posłał jej przymilny uśmiech. - To również wiemy.

Skrzypnęły sznury, po chwili zasłona się rozchyliła i do izby weszła Leitha - młoda kobieta w sukni z jasnobłękitnej tafty, której stanik podkreślał blade wypukłości piersi. Przyniosła obiad dla Catherine. Postawiła tacę.

- Moja poda teraz? - spytała. - Czy moja potem przyjdzie?

Wpatrywała się w Catherine, mrugając blisko osadzonymi orzechowymi oczami i skubiąc fałdy sukienki.

- Jak chcesz - odparła Catherine.

Leitha patrzyła na nią bez słowa, dopóki Mauldry na nią nie warknął. Wtedy wyszła.

Zrozpaczona Catherine spojrzała na tacę i zauważyła, że poza tradycyjnymi jarzynami i owocami (zbieranymi w pysku smoka) podano jej tym razem kilka plastrów niedopieczonego mięsa, którego czerwony odcień do złudzenia przypominał mięso Griaule'a.

- A to co? - spytała, szturchając mięso palcem.

- Myśliwym się dziś poszczęściło - wyjaśnił Mauldry. - Od czasu do czasu wysyłamy ich w głąb przewodu pokarmowego. To niebezpieczne, ale żyją tam istoty zdolne zranić Griaule'a, więc nasze polowania są mu na rękę. A my mamy mięso. - Pochylił się i z bliska zajrzał Catherine w oczy. - Jutro wyruszają następni. Nie chciałabyś do nich dołączyć? Mogę to załatwić. Będiesz dobrze chroniona.

W pierwszym odruchu chciała odrzucić zaproszenie, ale przyszło jej do głowy, że taka wyprawa może pomóc w ucieczce. Spełnienie oczekiwań Mauldry'ego i okazanie zainteresowania wnętrzem Griaule'a byłoby mądrym posunięciem. Im lepiej pozna topografię smoka, tym prędzej znajdzie drogę na zewnątrz.

- Mówisz, że to niebezpieczne... Jak bardzo?

- Dla ciebie wcale. Griaule nie zrobi ci krzywdy. Jeśli zaś chodzi o myśliwych... Cóż, nie wszyscy wrócą.

- Wyruszają jutro, tak?

- Jutro, może także pojutrze. Nie wiemy, jak poważna jest infekcja.

- O jakich stworzeniach mówisz?

- To rodzaj węży.

Entuzjizm Catherine nieco osłabł, ale nie widziała innej szansy dla siebie, żeby zacząć coś robić.

- Dobrze. Pójdę z nimi jutro.

- Cudownie! Cudownie! - Dopiero za trzecim razem udało się Mauldry'emu wstać z poduszki, a i wtedy wsparł się mocno na lasce, dysząc ciężko. - Przyjdę po ciebie z samego rana.

- Ty też idziesz? To nie za duży wysiłek?

Mauldry parsknął śmiechem.

- To prawda, jestem już stary, ale kiedy chodzi o ciebie, dziecko, mam niewyczerpane zasoby energii.

Uklonił się z galanterią i wykuśtykał z pokoju.

Wkrótce po jego wyjściu wróciła Leitha. Zaciągnęła drugą zasłonę nad wejściem, odcinając dopływ światła do tego stopnia, że nawet w najjaśniejszej fazie jego pulsowania do środka przesączała się ledwie słabiuteńka luna. Stała przy wejściu i wbiła wzrok w Catherine.

- Chce co od Leitha? - spytała.

Nie była to bynajmniej czcza uprzejmość - Leitha już wcześniej dawała jednoznacznie do zrozumienia, dotknięciami i za pomocą innych sygnałów, że jeśli tylko Catherine tego zechce, mogą zostać kochankami. Półmrok skrywał jej zdeformowane ciało, wyglądała jak ładna młoda dziewczyna wybierająca się na potańcówkę i przez chwilę - w okowach samotności i rozpacz, wsłuchana w dobiegający z zewnątrz nieustanny pomruk Milusich, wpatrzona w Leithę, która na przemian pojawiała się w narastającej poświacie i roztopiała w ciemnościach, w pełni świadoma plemiennego obcości kolonii i kompletnej niemożności jej zrozumienia - Catherine odczuła dziwaczne podniecenie. Chwila jednak szybko minęła i zdegenerowana sobą i swoją słabością, wściekła na Leithę i całe to zdegenerowane miejsce, które powoli zżerało jej człowieczeństwo, rzuciła oschle:

- Wynoś się.

Leitha się zawahała, więc Catherine podniosła głos:

- Wynoś się, powiedziałam!

Dziewczyna, tyłem i potykając się, wycofała się z pokoju. Catherine odwróciła się na brzuch i wcisnęła twarz w poduszkę, spodziewając się, że zaraz wybuchnie płaczem, czuła

nawet wzbierający w piersi szloch - ale nie zapłakała. Została sama ze świadomością, że jest kompletnie pusta i niewarta nawet swoich własnych łez.

\* \* \*

Za jedną z komórek w dolnej połowie komory znajdowało się ukryte wejście do szerokiego korytarza, okrągłego i żebrowanego chrząstkami. W ten właśnie korytarz zagłębili się rankiem następnego dnia Catherine i Mauldry w towarzystwie trzydziestu Milusich płci męskiej, wyruszając na polowanie. Byli uzbrojeni w miecze i przyświecali sobie pochodniami, ponieważ w tym rejonie naczynia krwionośne Griaule'a biegły zbyt głęboko, by zapewnić oświetlenie. Ciszę podczas marszu mąciły tylko rzadkie pokasywania i ciche chrobotanie stóp na podłożu. To milczenie, tak nietypowe dla Milusich, ich mającące w mroku blade twarze, chybotliwy blask pochodni i coraz silniejszy gryzący, kwaśny odór potęgowały wrażenie, że są zagubionymi duszami błądzącymi po peryferiach piekła.

Przez jakiś czas szli stromo w dół i wkrótce znaleźli się w miejscu, gdzie otoczyła ich czerń poprzecinana misternymi sieciami cienkich złocistych nici, lśniących jak utkane ze złota pajęczyny na nocnym niebie. Mauldry kazał Catherine się zatrzymać, a myśliwi z pochodniami ruszyli dalej. Było oczywiste, że znaleźli się w dużej komorze, ale Catherine nie doceniała jej rozmiarów, dopóki nagle w oddali nie zapłonęła istna wieża płomieni - ogromne ognisko, w którym paliły się całe krzewy i co mniejsze drzewa. Już wielkość ogniska zapierała dech w piersi, ale jeszcze bardziej imponująco prezentował się sam gigantyczny niczym jaskinia żołądek, który światło częściowo odsłaniało przed ich wzrokiem. Musiał mierzyć co najmniej dwieście jardów długości. Ściany były wyłożone fałdami białawej skóry przesytej koronkami rozgałęziających się żył. Widoczne przez nie żebra okrywała skóra jeszcze delikatniejsza, przez którą przebijały wszystkie detale ich faktury. W jednej czwartej długości jaskini jej dno opadało, tworząc kałużę wypełnioną po brzegi ciemnym płynem. Ognisko płonęło mniej więcej na wysokości kałuży, tyle że bliżej ściany. Kłęby dymu wznosiły się w stronę zsiniałego spłachetka skóry, mierzącego około pięćdziesięciu stóp obwodu i przeciętego rozdarciem o poszarpanych krawędziach. Na oczach Catherine cały ten płat skóry zaczął nagle falować. Myśliwi zebrali się pod nim i zajęli pozycje wokół ogniska, z mieczami gotowymi do ciosu. Powoli, ociężale, z rozdarcia wyłonił się kawał grubego, rurowatego cielska i olbrzymia biała larwa uniosła ślepy łeb nad głowami myśliwych. Rozwarła okolony szczękoczułkami pysk, odsłaniając ciemnoczerwone wnętrze paszczy, i wydała przeszywający pisk, który odbił się echem od ścian i zmusił Catherine do zakrycia uszu rękami. Widząc, jak ze ściany żołądka wynurza się stopniowo reszta ciała robala, Catherine podziwiała odwagę myśliwych, którzy ani myśleli się cofać. Dym otulił larwę i jej

pisk stał się wprost nieznośny, gdy zaczęła się miotać na boki, dźgając powietrze ślepy młotem, aż w końcu - z jeszcze głośniejszym wrzaskiem - runęła w ognisko i zaczęła się wic, bryzgając snopami iskier na wszystkie strony. Wytoczyła się z ognia, od razu przygniatając kilku myśliwych, ale pozostali rzucili się na nią z mieczami, wściekle tnąc ją po łbie i malując ciemne smugi krwi na jej trupio bladej skórze. Catherine zdała sobie sprawę, że przyciska pięści do policzków i krzyczy wniebogłosy, tak bardzo zaangażowała się w to starcie. Krew larwy zbryzgała dno żołądka, skóra pokryła się bąblami i zwęgliła, makabrycznie pocięty łeb ociekał posoką, mięso zwisało w strzępach, ale ona nadal kwiczała przeraźliwie, wyginała cielsko w łuk nad głowami napastników i opadała na nich, miażdżąc ich swoim ciężarem. Już jedna trzecia myśliwych leżała nieruchomo, z rozrzuconymi niezgrabnie kończynami, wśród dopalających się resztek ogniska, ale pozostali cięli i dźgali coraz bardziej anemicznego robala, tanecznym krokiem uskakując przed jego wypadami. W końcu poczwara uniosła górną połowę cielska, zadarła łeb i na chwilę ucichła, kotysząc się leniwie jak zahipnotyzowany wąż. Potem wydała z siebie gwizd niczym monstrualny czajnik, gwizd, którego wściekle vibracje wypełniły całą jaskinię, i opadła na ziemię. Ostatni raz wierzgnęła i znieruchomiała z półotwartą paszczą. Szczękoczułki drgały jeszcze przez chwilę, odzwierciedlając jakieś dogasające funkcje organizmu.

Milusi otoczyli ją kręgiem - zdyszani, wyczerpani, wsparci na mieczach. Wstrząśnięta nagłą ciszą Catherine postąpiła kilka kroków w głąb pieczary, ramię w ramię z Mauldrym. Zatrzymała się, zawahała, i znów podeszła; przyszło jej do głowy, że mogłaby opatrzeć rany myśliwych, lecz ci, którzy leżeli na ziemi, byli martwi, mieli potrzaskane kończyny, a krew sączyła się im z ust. Podeszła do zabitego robala. Walcowate cielsko było trzy razy wyższe od niej. Oślizła i pomarszczona biała skóra miała upiornie niebieskawy odcień.

- O czym myślisz? - zainteresował się Mauldry.

Catherine nie odpowiedziała. Miała kompletną pustkę w głowie, tak jakby ogrom tego, co przed chwilą zobaczyła, wyłączył u niej proces myślenia. Zawsze jej się wydawało, że ma pewne pojęcie o rozmiarach Griaule'a i jego skomplikowanej naturze, teraz jednak zrozumiała, że wszystkie jej wyobrażenia nijak się miały do rzeczywistości i z trudem akceptowała tę nowo nabytą wiedzę.

Za jej plecami wybuchło jakieś zamieszanie: to myśliwi wykrawali kawały mięsa z cielska larwy. Mauldry objął ramieniem Catherine i dopiero pod wpływem jego dotyku uświadomiła sobie, że cała drży.

- Chodź - powiedział. - Zabiorę cię do domu.

- Do mojego pokoju, tak? - spytała rozgoryczona i strząsnęła jego rękę.



- Może nigdy nie nazwiesz go domem - zgodził się Mauldry. - A jednak nie ma drugiego miejsca, które tak idealnie by do ciebie pasowało.

Skinął na jednego z myśliwych, który podszedł do nich, zapaliwszy po drodze pochodnię od stosu płonących gałęzi.

Catherine zaśmiała się smętnie.

- Drażnisz mnie tą swoją wszytkowiedzą na mój temat.

- Wcale cię nie znam, chociaż dane mi jest częściowe rozumienie celu twojego przybycia. Za to tego, który wie o tobie najwięcej... - Mauldry postukał laską w posadzkę. - O tak, jego znam bardzo dobrze.

W ciągu następnych dwóch miesięcy trzy razy próbowała uciekać, po czym dała sobie spokój; w sytuacji, gdy nieustannie śledziły ją setki par oczu, nie było sensu marnować energii. Przez blisko pół roku po ostatniej z tych prób była tak przygnębiona, że w ogóle nie wychodziła z mieszkania. Podupadła na zdrowiu, a jej myśli blakły, gdy godzinami leżała w łóżku, rozpamiętując życie w Hangtown, które zaczęła postrzegać jako modelowo szczęśliwe. Przy braku zajęć coraz bardziej doskwierała jej samotność. Mauldry robił, co mógł, żeby ją zabawić, ale ogarnięty mistyczną obsesją na punkcie Griaule'a nie był w stanie nieść pociechy, jakiej Catherine mogłaby oczekiwać od prawdziwego przyjaciela. I tak, pozbawiona przyjaciół, kochanków, nawet wrogów, tonęła pomału w grzędawisku żalości, aż zaczęła przemyślać o samobójstwie. Myśl o tym, że nigdy więcej nie zobaczy słońca, nie zabawi się na karnawale w Teocinte, wydawała jej się nieznośna. Okazała się jednak albo nie dość odważna, albo nie dość głupia, żeby odebrać sobie życie. Doszła do wniosku, że lepiej będzie oddać się jednemu zajęciu, na które Milusi jej pozwalali, czyli badaniu wnętrza Griaule'a: mogło być obrzydliwe i ubezwłasnowolniające, ale przynajmniej niosło obietnicę czegoś więcej niż wieczne ciemności. Podobnie jak olbrzymie tybetańskie posągi Buddy, wznoszone we wnętrzu wież niewiele większych od nich samych, nieruchome serce Griaule'a - złota bryła o nieregularnej powierzchni, wielka jak katedra - było zamknięte w komorze, której ściany znajdowały się w odległości zaledwie sześciu stóp od jego powierzchni. Droga do niej prowadziła przez dawno pękniętą żyłę, pomarszczoną brunatną rurę o średnicy wystarczająco dużej, żeby dało się w niej czołgać. Przeciśnięcie się przez nią do ciasnego osierdzia było wybitnie klaustrofobicznym doświadczeniem i minęło sporo czasu, zanim Catherine się do niego przyzwyczaiła - a nawet wtedy nie umiała przywyknąć do panującego w osierdziu specyficznego klimatu. Powietrze było aż gęste od gorącej, gryzącej woni, trochę przypominającej siarczany smród po uderzeniu pioruna. W dodatku, nieruchome serce otaczała aura wysiłonego spokoju i nieustannego napięcia, jakby w każdej chwili mogło zadygotać od jakiegoś podziemnego wstrząsu. Krew nie tylko pulsowała w nim tak jak w innych rejonach ciała (z tą różnicą, że tutaj pulsowanie było gwałtowniejsze, a zakres zmian jasności nieporównanie większy), ale naprawdę krążyła w ciągu rozedrganych wewnętrznych komór, popychana zmianami temperatury i ciśnienia. Jej przepływ w połączeniu z

migotliwym blaskiem kreślił na ścianach serca wzory ze światła i cieni, przykuwające uwagę, skomplikowane i fantazyjne niczym arabeski. Obserwując je, Catherine powoli uczyła się rozumieć logikę ich powstawania i z wyprzedzeniem przewidywać ich konfigurację. Nie umiała ująć tego w słowa, ale gra światła i cieni wywoływała u niej reakcję emocjonalną, która w jakiś sposób wiązała się z powstawaniem tych deseni i pozwalała - w zgrubnym przybliżeniu - snuć domysły na temat pracy olbrzymiego organu. Przekonała się też, że jeśli zbyt długo śledzi zmieniające się wzory, zaczyna śnić, a jej sny są niezwykle realistyczne. Szczególnie jeden, który regularnie się powtarzał.

Zaczynał się od wschodu słońca: słoneczny dysk wynurzał się zza południowego widnokregu, sięgając promieniami wybrzeża usianego sterczącymi z płytkiej wody ogromnymi czarnymi głazami, na których leżały śpiące smoki. W miarę jak słońce je ogrzewało, a ich łuski rozbłyskiwały odbitym światłem, gady z pomrukiem unosiły łby, rozpościerały skórzaste skrzydła, czemu towarzyszył łopot jakby wielkich żagli wydymanych wiatrem, i wzbijały się pod indygowie niebo usiane gwiazdami w dziwnych konstelacjach. Zataczały koła i ryczały głośno w euforii... Wszystkie poza jednym, który, zatoczywszy w powietrzu krótki łuk, gubił rytm lotu i jak kamień spadał do wody. Widok był piękny i zarazem mrozący krew w żyłach: bezwładny lot, skrzydła darte na strzępy wypełniającym je powietrzem, rozwarta zębata paszcza, szpony bezradnie szukające punktu zaczepienia. Sen, choć urokliwy, miał raczej niewiele wspólnego z sytuacją Griaule'a, któremu z pewnością nie groził żaden upadek, lecz częstotliwość, z jaką się powtarzał, sugerowała, że coś musi być na rzeczy. Może Griaule obawiał się takiego ataku jak ten, który poraził lecącego smoka?

Powziąwszy takie podejrzenie, Catherine wzięła się za badanie serca smoka. Za pomocą haków wspinała się po stromych ścianach komory, czasem niczym blondwłosy pajak zawisała do góry nogami nad migoczącym organem, ale nie odkryła niczego nadzwyczajnego, żadnych niedoskonałości, które umiała wskazać. Jedyne efektem jej starań było zastąpienie snu o lataniu przez inny, prostszy, w którym widziała tylko pierś śpiącego smoka, na przemian unoszącą się i opadającą w oddechu. Nie rozumiała go i choć sen się powtarzał, z czasem przestała zwracać na niego uwagę.

Mauldry, który spodziewał się z jej strony błyskotliwych spostrzeżeń, z przygnębieniem przyjmował ich brak.

- Może przez te wszystkie lata żyłem, myśląc się? A może to już starość? Niedoleżnieję...

Parę miesięcy wcześniej rozgoryczona i rozżalona Catherine mogłaby z czystej złośliwości przyklasnąć jego słowom, ale badanie smoczego serca przyniosło jej ukojenie,

spokój, poczucie rezygnacji, a nawet coś na kształt współczucia dla więzących ją stworzeń - których przecież nie można było obwinać o to, jak żalosne wiodły życie. Dlatego odpowiedziała Mauldry'emu inaczej:

- Dopiero zaczynam się uczyć i chyba nieprędko zrozumieję, czego ode mnie chce. Co zresztą jest zgodne z jego naturą, nieprawdaż? On nie lubi pośpiechu.

- Chyba masz rację - przytaknął smętnie Mauldry.

- Nawet na pewno. Prędzej czy później doczekamy się objawienia, ale taki stwór jak Griaule nie zdradza swoich tajemnic przypadkowym gapiom. Potrzebuję czasu.

O dziwo, mimo że powiedziała to tylko po to, żeby podnieść Mauldry'ego na duchu, jej słowa zabrzmiały bardzo prawdziwie.

Zaczynała swoje badania bez szczególnego entuzjazmu, ale Griaule był tak olbrzymi, a populacja jego pasożytów i symbiontów tak niezwykła i intrygująca, że rozpałała w niej żądzę wiedzy i przez następne sześć lat Catherine prowadziła studia z wielką żarliwością, kompensując sobie w ten sposób pustkę ziejącą w jej życiu. Mając za towarzyszy Mauldry'ego i niewielkie zespoły Milusich, wyrysowała mapę wnętrza smoka. Zatrzymała się dopiero na granicy czaszki - złe przecucia powstrzymały ją przed zapuszczeniem się w te rejony. Kilkunastu najbystrzejszych Milusich posłała do Teocinte, skąd sprowadzili naczynia, książki i materiały piśmienne, umożliwiające jej stworzenie i prowadzenie prymitywnego laboratorium analitycznego. Odkryła, że gdyby smok był w pełni sił życiowych, skurcze serca napełniłyby mieszczącą kolonię jajową jaskinię kwasami i gazami, które w połączeniu z cieczą wypełniającą sąsiednią komorę tworzyły lotną mieszanę umożliwiającą Griaule'owi zianie ogniem; gdyby zaś nie zamierzał akurat nikogo spalić płomiennym oddechem, rozcięcie serca spowodowałoby opróżnienie jaskini. Przedestyłowała żrące ciecze i uzyskała z nich silny narkotyk, który - na pamiątkę swojej prześladowczy - nazwała brianiną. Z porostu rozwijającego się na zewnętrznych ścianach płuc smoka otrzymała silny środek pobudzający. Skatalogowała miriady okazów smoczej flory i fauny i obwiesiła ściany swoich pokoi wykresami i notatkami ilustrującymi ich zachowanie. Wiele zwierząt było zupełnie zwyczajnych albo niewiele się od zwyczajnych różniło - pająki, nietoperze, jaskółki i tak dalej, ale podobnie jak na powierzchni Griaule'a, również w jego wnętrzu trafiały się istoty, których obecność potwierdzała, że smok pochodzi z jakiegoś innego świata. Chyba najciekawszą z nich był metaheks, jak nazwała go Catherine, żyjące w kwasach żołądkowych stworzenie o sześciu identycznych ciałach, które rozmiarami i kolorem przypominały zużytą jednopensówkę, miały gęstość niewiele większą niż meduza, były orzęsione i wечно falowały. Z początku zakładała, że ma przed sobą sześć odrębnych istot,

przedstawicieli gatunku, którego osobniki łączą się w sekstety. Nabrała podejrzeń, że może być inaczej, kiedy po tym, jak jedną z nich zabiła, żeby przeprowadzić sekcję, pozostała piątka także zmarła. Rozpoczęty wówczas cykl eksperymentów, w których poddawała metaheksy różnym próbom i zabijała je setkami, dowiódł słuszności jej domysłów: metaheksy były połączone w szóstki za pośrednictwem pola, które pozwalało im przenosić esencję swojej istoty pomiędzy ciałami i wykorzystywać te chwilowo nieużywane jako unikatową formę kamuflażu. Ale nawet metaheks wydawał się całkiem zwyczajnym stworzeniem w porównaniu z upiorkosłą rosnącą tylko w jednym, jedynym miejscu - niewielkim zagłębieniu u nasady czaszki.

Żaden Milusi się tam nie zapuszczał; odstraszały ich te same złe przeczucia, które przy innych okazjach dręczyły także Catherine, związane z domniemaniem, że gdy tylko intruz za bardzo zbliży się do mózgu, Griaule naśle na niego swoich bardziej agresywnych mieszkańców. Catherine nie czuła jednak żadnego zagrożenia w pobliżu zagłębienia, zostawiła więc Mauldry'ego i eskortujących ją Milusich za sobą i wspięła się stromym kanałem, przyświecając sobie pochodnią. Dostała się do środka przez otwór niewiele większy niż obwód jej bioder. Stwierdziwszy, że wewnątrz jest zalane poświatą tętniących złotą krwią żył, których siateczka pokrywała sufit, zgasła pochodnię. Ze zdumieniem zauważyła, że z wyjątkiem sklepienia cała nieduża komora (mierzyła około dwudziestu stóp długości i ośmiu wysokości) jest gęsto zarośnięta pnączem o błyszczących ciemnozielonych liściach, mających skomplikowane unerwienie i zakończonych pustą rurką na czubku. Zmęczona po wspinaczce (chyba nawet bardziej niż powinna, tak jej się przynajmniej wydawało), przysiadła pod ścianą, żeby odsapnąć. Nagle poczuła się senna i przymknęła na chwilę powieki.

Ocknęła się na dźwięk głosu Mauldry'ego, który nawoływał ją po imieniu.

- Muszę chwilę odpocząć! - odrzyknęła, rozdrażniona i wciąż senna.

- Chwilę?! Siedzisz tam już trzeci dzień! Co się dzieje? Nic ci się nie stało?

- Bzdura!

Catherine próbowała wstać, ale usiadła z powrotem na widok nagiej kobiety o długich blond włosach, skulonej w kącie niespełna dziesięć stóp od niej. Leżała wtulona w ścianę zagłębienia, czubki liści pokrywały połowę powierzchni jej ciała i przesłaniały twarz.

- Catherine! - zawołał Mauldry. - Odpowiedz!

- Wszystko... wszystko w porządku! Zaraz do was zejdę!

Nieznajoma poruszyła się i jęknęła.

- Catherine!

- Mówię przecież, że wszystko w porządku!

Blondynka wyprostowała nogi. Na prawym biodrze miała bladą haczykową bliznę, taką samą jak Catherine - pozostałość po upadku w dzieciństwie. Pod prawym kolanem widniał obrzmiały placek zaczerwienionej skóry: ślad po oparzeniu kwasem sprzed roku. Catherine zaniemówiła na ich widok, ale kiedy nieznajoma usiadła i do Catherine dotarło, że ma przed sobą siostrę-bliźniaczkę, identyczną nie tylko z rysów, ale nawet z wyrazu twarzy (tę samą zrezygnowaną minę wielokrotnie oglądała przecież w lustrze), zaskoczenie ustąpiło miejsca przerażeniu. Mogłaby przysiąc, że poczuła ruch mięśni twarzy, gdy na obliczu tej drugiej odmalowały się satysfakcja i rozpoznanie. Mimo lęku, Catherine odczuwała także kielkujące w niej emocje: nadzieję i radość.

- Siostro - odezwała się tamta.

Spojrzała na swoje ciało i Catherine przez ułamek sekundy doświadczyła podwójnego widzenia: widziała jednocześnie pochyloną głowę kobiety, nagie piersi i brzuch, oglądane z jej perspektywy. Kiedy wrócił jej wzrok, spojrzała na twarz kobiety. Na swoją twarz. Mimo że od lat co rano przeglądała się w lustrze, nigdy przedtem nie dostrzegła tak wyraźnie piętna, jakie odcisnęło na niej życie we wnętrzu smoka. Wokół ust - hardych, bardziej zdeterminowanych niż dawniej - pojawiły się cienkie bruzdy, zaczątki kurzych łapek rozchodziły się promieniście z kącików oczu, zapadnięte policzki uwypukliły kości policzkowe. Wystraszyła się, widząc, że blask jej idealnej młodzieńczej urody przygasł znacznie bardziej niż się spodziewała. Najbardziej widoczna zmiana - i najbardziej wstrząsająca - przejawiała się jednak nie w szczegółach, lecz w ogólnym wyglądzie twarzy, która wyraźnie odzwierciedlała charakter właścicielki. Wcześniej, zanim Catherine weszła w paszczę smoka, jej twarz w ogóle wyrażała niewiele, a jeśli już, to malowała się na niej co najwyżej skłonność do rozpusty. Nie była zachwycona, że z taką gwałtownością narzucono jej teraz świadomość tego, jaką głupią kózą była w przeszłości.

Kobieta wyciągnęła do niej rękę.

- Nie katuj się tak, siostro - powiedziała, jakby czytając jej w myślach. - Wszyscy jesteśmy ofiarami naszej przeszłości.

Catherine się cofnęła.

- Czym jesteś? - spytała. Wyczuwała, że bliźniaczka stanowi dla niej zagrożenie, ale nie rozumiała jego natury.

- Jestem tobą. - Kobieta znów spróbowała ją dotknąć i Catherine znów się odsunęła.

Uśmiechała się, ale Catherine wyraźnie poczuła jej rozdrażnienie. Zauważyła również, że kobieta pochyliła tułów tylko o kilka stopni, cały czas utrzymując kontakt z liśćmi, jakby nie mogła zerwać łączącej jej z nimi więzi.

- Wątpię. - Catherine nadal była zafascynowana nieznajomą, ale zaczynało dręczyć ją przeczucie, że jej dotyk może być niebezpieczny.

- Ależ jestem! - upierała się tamta. - Chociaż zarazem jestem czymś więcej.

- Czym?

- Ta roślina wydobywa z organizmu esencję. Gromadzi nieskończenie małe drobiny ciała, z których następnie tworzy kopię wolną od niedoskonałości oryginału. A ponieważ w tej esencji zawarte są ziarna twojej przyszłości, to mimo że dla ciebie pozostają nieznane, ja je znam... Na razie.

- Na razie?

- Coś nas łączy... Czujesz to, prawda? - spytała zdesperowana kobieta.

- Owszem.

- Żeby żyć, muszę dopełnić tego połączenia. Muszę cię dotknąć. A kiedy to zrobię, stracę wiedzę o przyszłości i stanę się taka jak ty... chociaż osobna. Nie bój się, nie będę ci przeszkadzać. Chcę wieść odrębne życie.

Kiedy kobieta znów się pochyliła, Catherine zauważyła, że niektóre liście czepiają się rurkami jej pleców. Znów ogarnęło ją przeczucie zagrożenia, silny lęk, że dotyk bliźniaczki pozbawi ją części energii życiowej.

- Skoro znasz przyszłość, to powiedz mi... Czy uda mi się uciec z Griaule'a?

Mauldry akurat w tej chwili znów zaczął ją nawoływać. Wyjaśniła mu, że zaraz zejdzie, musi tylko pobrać wycinki tkanki do analizy, a potem powtórzyła swoje pytanie.

- Tak, tak - zapewniła ją tamta, próbując chwycić jej dłoń. - Wyjdiesz ze smoka. Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy.

Całe jej ciało zaczęło wiotczeć, a Catherine wyczuła bijący od niej narastający strach.

- Proszę! - Jej kopia wyciągnęła do niej obie ręce. - Tylko twój dotyk utrzyma mnie przy życiu. Bez niego umrę!

Catherine nie zamierzała jej zaufać.

- Musisz mi uwierzyć! Jestem twoją siostrą! Mam twoją krew, twoje wspomnienia... - Skóra na jej rękach obwisła grubymi fałdami jak u starej kobiety, policzki oklapły, twarz stawała się coraz bardziej zdeformowana. - Proszę... Pamiętasz, jak poszłaś ze Stelem pod skrzydło? Byłaś dziewczcą. Wiatr zwiewał puch ostów z grzbietu Griaule'a jak srebrny deszcz. A pamiętasz galę w Teocinte? Twoje szesnaste urodziny. Włożyłaś maskę ze złotych drucików i pomarańczowych kwiatów; trzech mężczyzn poprosiło cię o rękę. Na Boga, Catherine, wysłuchaj mnie! Major... Nie pamiętasz go? Taki młody major... Zakochałaś się w nim, ale nie poszłaś za głosem serca. Bałaś się miłości, bałaś się zaufać swoim uczuciom, bo

w ogóle sobie wtedy nie ufałaś.

Łącząca je więź słabła. Catherine musiała się postarać, żeby oprzeć się błaganiom kobiety, które mimo wszystko trochę ją poruszyły. „Siostra” usiadła ciężko. Rysy jej twarzy zaczęły się rozpływać. Wyglądało to makabrycznie, jak twarz roztapiającej się figury woskowej, ale jeszcze straszniejszy był jej uśmiech: rozpływające się wargi odsłaniały zęby, które same też traciły kształt.

- Rozumiem - powiedziała łamiącym się głosem. Parsknęła chrapliwym, lepkiem śmiechem. - Teraz rozumiem.

- Co rozumiesz? - spytała Catherine, ale tamta osunęła się na ziemię i przetoczyła na bok.

Proces rozkładu przebiegał coraz szybciej i po paru minutach z „bliźniaczki” została kałuża szarobiałej galaretowanej mazi, mającej w przybliżeniu kształt człowieka. Catherine przyjęła ten widok ze zgrozą, ale i z ulgą. Dręczyły ją tylko lekkie wyrzuty sumienia: nie była pewna, czy działała w samoobronie, czy też przez swoje tchórzostwo skazała na śmierć istotę wcale nie mniej godną wzdargy niż ona sama. Dopóki tamta żyła (o ile w ogóle można tak powiedzieć), Catherine głównie się jej bała, dopiero teraz miała czas, żeby podziwiać wizerunek stworzony przecież przez roślinę, a do złudzenia przypominający człowieka. Tym bardziej, że kobieta nie była jakąś zwyczajną jej podobizną - znała przecież jej wspomnienia. Czyżby pamięć miała podłoże fizjologiczne?

Zmusiła się do pobrania próbek szczątków kobiety oraz samego pnącza; miała nadzieję, że pomoże jej to rozwikłać tajemnicę, nawet jeśli w głębi serca powątpiewała w możliwości swojego prymitywnego laboratorium. Jej wątpliwości były zresztą o tyle zasadne, że w gruncie rzeczy wcale nie chciała przeniknąć sekretu upiorośli, bała się bowiem tego, czego mogłaby się dowiedzieć na swój temat. I tak czas mijał, a ona, choć z początku często rozmawiała o tej sprawie z Mauldrym, w końcu zarzuciła dalsze badania nad upioroślą.



Mimo że temperatura była niezmienna, nie padał deszcz ani śnieg, a złote światło pulsowało w stałym rytmie, w trzewiach smoka można było śledzić zmiany pór roku, obserwując przeloty ptaków, przedzenie kokonów przez gąsienice, jednoczesne narodziny milionów insektów. To właśnie po tych znakach Catherine zorientowała się, że jest jesień, kiedy - dziewięć lat po wejściu w paszczę Griaule'a - zakochała się. Przez poprzednie trzy lata jej entuzjazm i zapał słabły, żądza wiedzy naukowej przygasła, a proces ten nasilił się dodatkowo, gdy kapitan Mauldry zmarł (z przyczyn naturalnych) i straciła bufor oddzielający ją od Milusich, ich bezmyślności i przygnębiającego stylu życia. Zresztą, prawdę powiedziawszy, niewiele więcej mogła się nauczyć. Wykreśliła wszelkie możliwe mapy, zgromadzone przez nią zbiory i notatki zapełniły kilkanaście pomieszczeń i chociaż w dalszym ciągu zapuszczała się do smoczego serca, nie próbowała już interpretować niezwykłych snów, które nauczyła się traktować jak formę rozrywki. Zrobiła się niespokojna i znów zaczęła rozważać możliwość ucieczki. Przeświadczona, że marnuje sobie życie, chciała wrócić do prawdziwego świata i korzystać z atrakcji bardziej życiowych niż te dostępne w wielokomorowym więzieniu Griaule'a. Nie znaczy to, że nie była mu wdzięczna za dotychczasowe doświadczenia. Gdyby uciekła niedługo po przybyciu tutaj, wróciłaby do życia wypełnionego bezsensowną frywolnością. Teraz zaś - bogatsza w wiedzę, świadoma swoich silnych i słabych punktów, zarażona ambicją i kierująca się moralnością - mogła mieć nadzieję, że dokona w życiu czegoś ważnego. Zanim jednak zdążyła ustalić, czy ucieczka będzie w ogóle możliwa, w kolonii pojawił się nowy przybysz. Mężczyzna, którego Milusi zbierający w pysku Griaule'a jagody znaleźli nieprzytomnego i przenieśli w bezpieczne miejsce, nazywał się John Colmacos, miał trzydzieści parę lat i był botanikiem z uniwersytetu w Port Chantay. Najpierw opuścili go przewodnicy, gdy uparł się, że wejdzie do paszczy smoka, a potem dopadły go i zmasakrowały żyjące w paszczy małpy. Był szczupły, wręcz kościsty, miał silne ręce o grubych palcach i delikatne ciemne włosy, które nijak nie dawały się uczesać. Pociągła, nieco końska twarz celowała w kompromis między brzydotą i charakterystycznością; malował się na niej wiecznie pytający wyraz, jakby John dziwił się wszystkiemu, co widzi. Jego oczy - duże, intrygujące, z niebieskimi tęczęwkami upstrzonymi plamkami zieleni i brązu - wyglądały zdumiewająco delikatnie w porównaniu z resztą ciała.

Catherine - ucieszona, że wreszcie będzie miała jakieś rozsądne towarzystwo, w dodatku w osobie specjalisty z dziedziny, która stała się jej powołaniem - postanowiła się nim zaopiekować: miał złamaną rękę i nogę w kostce i mocno poranioną twarz. Podczas jego rekonwalescencji zaczęła fantazjować, jak to by było, gdyby zostali kochankami. Pierwszy raz spotkała mężczyznę tak łagodnego i bezpretensjonalnego i nie posiadała się ze zdumienia, że w ogóle nie próbuje jej zaimponować. Jej koncepcję mężczyzny ukształtowały doświadczenia z żołnierzami z Teocinte i bandziorami z Hangtown, teraz więc wszystko, co dotyczyło Johna, wydawało jej się fascynujące. Z początku próbowała wyprzeć się swoich uczuć, wmawiając sobie, że w tych okolicznościach zakochałaby się w pierwszym lepszym facecie, który by się nawinął. Bała się, że miłość tylko pogłębi jej więzienną frustrację - a poza tym zdawała sobie sprawę, że to Griaule kolejny raz nią manipuluje i stara się uprzyjemnić jej życie, zastępując Mauldry'ego kochankiem. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że w Johnie Colmacosie zakochałaby się także w innych okolicznościach, z wielu powodów, z których niezmiernie ważny był szacunek, jaki okazywał jej za pracę nad Griaule'em i przewycięzanie przeciwności losu. Było również oczywiste, że John odwzajemnia jej uczucie. Zdarzały im się niezręczne chwile, ale obeszło się bez taniego sentymentalizmu: oboje po prostu obserwowali to, co się z nimi działo.

- Niesamowite - powiedział pewnego dnia John, leżąc na stosie futer w mieszkaniu Catherine i przeglądając jej notatki. - To wprost nie do wiary, że nie miałaś żadnego formalnego przygotowania. - Odłożył notatnik i zmierzył Catherine spojrzeniem, pod którym spuściła wzrok. - Nie masz racji - mówił dalej. - Większość ludzi by się poddała. Nie znam nikogo, kto poradziłby sobie w takiej sytuacji. Jesteś niewiarygodna.

O dziwo, po tych słowach poczuła się niekompetentna, jakby, uznawszy prawo Johna do osądzania jej, usłyszała z jego ust pochwałę, jakiej mógłby udzielić dorosły nieporadnemu dziecku, któremu raz jeden coś się udało. Chciała mu wyjaśnić, że całą swoją działalność traktowała jak rodzaj terapii, jak hobby, które miało jej pomóc zwalczyć rozpacz, ale nie wiedziała, jak ująć to w słowa, które nie zabrzmiały niezręcznie i nie będą trąciły fałszywą skromnością.

- Ojej... - mruknęła tylko i zajęła się przygotowywaniem dawki brianiny, którą podawała mu dla złagodzenia bólu w kostce.

- Zawstydyłem cię. Przepraszam. Nie chciałem wprawić cię w zakłopotanie.

- Nie jestem... To znaczy... - Roześmiała się. - Ciągle nie mogę się przyzwyczaić do normalnej rozmowy.

John nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko.

- No co? - spytała ostrożnie, pełna obaw, że z niej kpi.

- O co ci chodzi?

- Dlaczego się uśmiechasz?

- Mogę się nachmurzyć, jeśli od tego poczujesz się lepiej.

Poirytowana jego zachowaniem, wróciła do swojego zajęcia. W mosiężnym kielichu wysadzonym nieoszlifowanymi szmaragdami utarła składniki na pastę i uformowała z niej pigułkę.

- To był żart - powiedział John.

- Wiem.

- Co się dzieje?

Pokręciła głową.

- Nic.

- Posłuchaj, ja naprawdę nie chcę, żebyś przeze mnie czuła się niezręcznie. Powiedz mi, co robię źle.

Catherine westchnęła, wkurzona na samą siebie.

- Nie chodzi o ciebie. Po prostu nie przyzwyczałam się jeszcze, że tu jesteś.

Z zewnątrz dobiegł bełkot Milusich zjeżdżających po linach na dno komory.

- Ja to rozumiem - powiedział John. - Tylko...

Zawiesił głos, spuścił wzrok i zaczął skubać okładkę notesu.

- Co chciałeś powiedzieć?

Zaśmiał się głośno.

- Nie widzisz, jak się zachowujemy? Ciągłe się z czegoś tłumaczymy... tak jakbyśmy bali się nawzajem skrzywdzić jakimś niewłaściwym słowem.

Odwróciła się do niego, spojrzała mu w oczy i zaraz spuściła wzrok.

- Chodziło mi o to, że nie jesteśmy aż tak delikatni - ciągnął John, po czym pośpiesznie dodał, jakby chciał wyjaśnić ewentualne niejasności: - Nie jesteśmy tacy... bezbronni.

Przez chwilę wytrzymał spojrzenie Catherine, ale tym razem to on spuścił wzrok, a ona się uśmiechnęła.

Nawet gdyby nie wiedziała, że jest zakochana, domyśliłaby się tego po zmianie, jaka zaszła w uczuciach, które żywiła wobec Griaule'a. Wrócił jej dawny zachwyty nad jego ogromem i niezwykłością, gdy z radością zapoznawała Johna z jego cudownościami - wilgami i jaskółkami, które nie znały światła słonecznego; lśniącem sercem; zagłębieniem, w którym pleniła się upiorośl (i do którego już się nie zapuszczała); małą komorą nieopodal

serca, gdzie źródłem światła nie była smocza krew, lecz mrowie fosforyzujących białych pajęczków, które nieustannie przemieszczały się po czarnym sklepieniu jak ożywione konstelacje po nocnym niebie. To właśnie tam pierwszy raz się pocałowali. Catherine zrazu dała się ponieść temu pierwszemu pocałunkowi, po chwili jednak otrząsnęła się i wycofała, spłoszona gwałtownością spełnienia się jej fantazji i zdezorientowana buzującymi w niej wszechogarniającymi emocjami, które były znajome i jednocześnie sprzeczne z naturą, od tak dawna ich nie odczuwała. Wytrącona z równowagi wybiegła z sali i John, który jeszcze nie odzyskał pełni sił, musiał sam przykuśtykać z powrotem do kolonii.

Unikała go wtedy prawie przez cały dzień. Usiadła z podkulonymi nogami na kawałku brzoskwiniowego jedwabiu nieopodal otworu w dnie jajowatej komory i utonęła w tłumie rozgadanych, krzątających się Milusich, wystrojonych w te swoje przechodzone zbyt kowne fatałaszk. Jak zwykle zajmowali się swoimi sprawami, niektórzy wyczuwali jednak nastrój Catherine i gromadzili się wokół niej, dotykali jej i wydawali skamlące odgłosy, które wśród nich uchodziły za oznakę czułości. Ich ziemiste, smutne, nieco psie twarze otoczyły ją ze wszystkich stron i wtedy, jakby ich smutek był zaraźliwy, Catherine się rozpląkała. W pierwszej chwili wydawało jej się, że przyczyną łez jest jej nieporadność w obliczu miłości, a potem pomyślała, że oplakuje całe swoje żalosne życie, wszystkie nieszczęsne dni spędzone we wnętrzu smoka. Z czasem jednak poczuła, że źródłem jej smutku jest smutek Griaule'a, a dręczące ją ponure uczucie uwięzienia doskonale odzwierciedla jego nastrój. Ta myśl zatrzymała potok łez. Nigdy przedtem nie myślała o smoku jak o istocie zasługującej na współczucie - i w dalszym ciągu tak go nie postrzegała, lecz wizja Griaule'a spętanej pajęczyną prastarej magii oraz pomniejszych zaklęć i pęt, wynikających z tamtego pierwotnego zniewolenia, sprawiła, że poczuła się głupio, płacząc. Dotarło do niej, że wszystko, nawet najszcześniejsze wydarzenie, może dać człowiekowi powód do płaczu, jeśli nie nauczy się go postrzegać w kontekście świata, który zamieszkuje. Jeżeli jednak zdoła spojrzeć na nie z dystansu, dostrzeże, że choć każde zachowanie może mieć oplakane skutki, należy wykorzystywać wszelkie nadarzające się okazje do działania, choćby z pozoru wydawały się najbardziej nierealistyczne i daremne, zamiast kwestionować je i podważać. Tak właśnie uczynił Griaule: mimo że unieruchomiony, znalazł sposób na to, żeby wykorzystać swoją moc.

Roześmiała się na myśl o tym, że porównuje się do Griaule'a (choćby w taki właśnie abstrakcyjny sposób). Milusi stojący najbliżej też się roześmiali. Jeden z samców, staruszek z kępkami siwych włosów sterczących na białej czaszce, przysunął się bliżej, skubiąc obłuzowany guzik sztywnego od brudu surduta z wyszywanego srebrem aksamitu.

- Katrine teraz miła-dobra? - zapytał. - Zła rzecz precz?

- Tak - odparła. - Zła rzecz precz.

Po drugiej stronie otworu tłumek nagich Milusich szamotał się w niezdarnej grze wstępnej, samce dobierały się do samców, wściekały się na siebie nawzajem, policzkowały, a potem wybuchały śmiechem, gdy udało im się znaleźć samicę i odkryć właściwą procedurę. Kiedyś byłaby tym widokiem zniesmaczona, ale to się zmieniło. Gdyby oceniać Milusich według standardów obowiązujących poza ich światem, rzeczywiście potrafili być obrzydliwi - ale tutaj byli u siebie, tak jak ona. Pogodziwszy się z tym wreszcie, wstała i podeszła do pierwszego z brzegu kosza. Staruszek pośpieszył za nią, muskając kłapy surduta w parodii gestu mającego podkreślić jego wyjątkowy status, i niczym jej oficjalny rzecznik obwieszczał wszystkim mijanym Milusim:

- Zła rzecz precz. Zła rzecz precz.

\* \* \*

Jazda w koszu na górę przypominała przejażdżkę wzdłuż setki miniaturowych teatrów, w których odgrywane są sceny z jednej sztuki: blade postaci wylegiwały się na jedwabiach, bawiąc się złotem i błyskotkami. Wodząc wzrokiem dookoła (i ignorując smród i fatalny stan komórek), miała wrażenie, że podziwia jakieś egzotyczne królestwo. Do tej pory zawsze zwracała uwagę na rozmiary kolonii i jej groteskowy wygląd. Teraz jednak uderzyło ją powszechne bogactwo i zaczęła się zastanawiać, czy garderoba Milusich została dobrana przypadkowo, czy może subtelność Griaule'a sięga tak daleko, żeby stroić te ludzkie odpadki w łachmany pozostałe po zmarłych królach i dworzanach.

Wszystkie te rozmyślenia wprawiły ją w radosny nastrój, kiedy jednak kosz zbliżył się do poziomu, na którym znajdowało się jej mieszkanie, zaczęła się denerwować. Tak dawno nie była z mężczyzną, że bała się, że może nie być dla niego dostatecznie dobra... A potem sobie przypomniała, że tak samo zamartwiała się w czasach, gdy co tydzień zmieniała kochanków.

Zacumowała kosz do pacholka, wysiadła na chodnik prowadzący do mieszkania, wzięła głęboki wdech i rozgarnąwszy zasłony, weszła do środka. Zasłoniła wejście za sobą. John spał, przykryty futrami po pierś. W słabnącej poświacie jego twarz (przyciemniona kilkudniowym zarostem) była słodko tajemnicza i skupiona, jak twarz medytującego świętego. Catherine doszła do wniosku, że powinna dać mu pospać, zaraz jednak zdała sobie sprawę, że takie myślenie świadczy wyłącznie o jej zdenerwowaniu, a nie o współczuciu dla Johna. Najlepszym wyjściem z tej sytuacji było po prostu rozprawienie się z problemem; zamiast się denerwować, powinna jak najszybciej się otrząsnąć i zobaczyć, co z tego

wyniknie.

Zdjęła spodnie i koszulę i stanęła nad Johnem. Zakręciło jej się w głowie, czuła się krucha, bezbronna, jakby zrzuciła coś więcej niż parę uncji materiału. Wśliznęła się między futra, przytulając się do niego całym ciałem. Poruszył się, ale nie obudził, co bardzo jej odpowiadało. Podobała jej się idea, że dopada go we śnie, że ma nad nim całkowitą władzę. Cała aż dygotała z dzieciennego poczucia triumfu.

John obrócił się do niej przez sen. Przycisnęła się do niego jeszcze mocniej, trochę zdziwiona tym, jaka jest gotowa, jak bardzo otwarta. Mruknął coś i stwardniał, gdy wtuliła się w niego, przyciskając brzuchem członek w erekcji. Ostrożnie podniosła nogę, oparła kolano na jego biodrze, wsunęła go sobie między uda i zaczęła poruszać biodrami w przód i w tył, ocierając się o niego powoli, powoli, drażniąc się małymi eksplozjami rozkoszy. John zamrugał, uniósł powieki i spojrzał na nią z niedowierzaniem. W półmroku jego oczy były szkliscie czarne, a skóra miała odcień przydymionego złota.

- Catherine... - wykrztusił.

Parsknęła. Kiedy w ten sposób wypowiadał jej imię, wydawało się, że ma magiczną moc. Wbił palce w jej pulchne biodra, poszturchując ją delikatnie w poszukiwaniu odpowiedniego ustawienia. Odchyliła głowę w tył i przymknęła oczy, skupiona na rozlewającym się po jej ciele gorącu i zawrotach głowy, gdy nagle w nią wszedł, głęboko, jednym mocnym pchnięciem.

Powstrzymała go.

- Zaczekaj... - powiedziała i John znieruchomiał. - Zaczekaj.

Wystraszyła się, że czuje zbyt wiele, zbyt mocno. Bała się, że narastająca czarna fala wrażeń zmiecie ją w nicość.

- Co się stało? - spytał szeptem. - Chcesz...

- Po prostu zaczekaj... chwileczkę.

Drżąc, oparła się czołem o jego czoło. Zdumiewało ją, jak wiele zmienia jego obecność w jej ciele. W jednej chwili czuła się lekka jak piórko, jakby połączenie z Johnem uwolniło ją z oków grawitacji, w następnej - gdy tylko poruszył się albo wśliznął minimalnie głębiej - miała wrażenie, że przelewa w nią swój ciężar i razem toną w chłodnych jedwabiach.

- Wszystko w porządku?

- Mhm...

Otworzyła oczy i w odległości paru cali ujrzała jego twarz. Zdziwiła się, że wcale nie wygląda obco.

- Co się dzieje?

- Tak sobie myślałam...

- O czym?

- Zastanawiałam się, kim jesteś, a potem wystarczyło, że na ciebie spojrzałam, i miałam wrażenie, że już cię znam. - Catherine powiodła palcem po jego górnej wardze. - Kim jesteś?

- Myślałem, że już wiesz.

- Być może... Ale nic konkretnego. Tylko tyle, że byłeś profesorem.

- Interesują cię konkrety?

- Owszem.

- Byłem niegrzecznym dzieckiem. Nie chciałem jeść zupy cebulowej. I nie myłem się za uszami. - Złapał ją mocniej za biodra i wbił się w nią kilkoma rozkosznie powolnymi pchnięciami, całując ją przy tym po ustach i oczach. - Kiedy byłem chłopcem - ciągnął - codziennie rano chodziłem popływać w morzu. - Poruszał się coraz szybciej, dysząc chrapliwie między kolejnymi słowami. - Nieopodal Cypla Aylera. Tam jest tak pięknie: błękitna woda, palmy... A na plaży żerowały kury i świnię.

- O Boże! - stęknęła. Oplotła nogą jego udo. Przymknęła powieki.

- Moja pierwsza dziewczyna miała na imię Penny... miała dwanaście lat, ja byłem o rok młodszy. Była ruda. Kochałem w niej to, że miała piegi. Wierzyłem, że... piegi... coś... znaczą. Chociaż nie wiedziałem co. Ale ciebie kocham bardziej od niej.

- Kocham cię!

Znalazła jego rytm i dostosowała się, próbując wchłonąć go całego. Spoglądając w miejsce, w którym się połączyli, wyobrażała sobie, że nic ich już nie dzieli, bo ich ciała zespoliły się w jedno.

- Ściągałem na matematyce, trygonometria była dla mnie za trudna... Boże, Catherine...

Głos Johna cichł, aż zamilkł zupełnie. Catherine miała wrażenie, że powietrze stężało wokół niej i zawisała w nim w błogim uniesieniu. Otulało ich frykcyjne światło, ogarniała niezwykła, niewydziałająca ciepła pożoga, i nagle usłyszała swój głos: nawoływała Johna po imieniu, wygadywała słodkie, dziecinne głupstwa, mówiła mu, jaki jest cudowny, powtarzała słowa jak ze snu, których melodia i brzmienie były ważniejsze od znaczeń. Znów poczuła wzbierającą w podbrzuszu czarną falę - i tym razem dała się jej ponieść.

\* \* \*

- Miłość jest głupia - oznajmił John pewnego dnia, wiele miesięcy później. Siedzieli w osierdziu, obserwując skomplikowane wzory pulsującego złotego światła i zawirowania cieni

na powierzchni serca. - Czuję się jak jakiś cholerny studencik. Ciągłe łapię się na myśli o tym, że powinienem zrobić coś wielkiego i szlachetnego: nakarmić głodujących, znaleźć lekarstwo na jakąś chorobę. - Prychnął z niesmakiem. - Mam wrażenie, jakbym dopiero teraz dostrzegł, że świat ma jakieś problemy, a ponieważ ja jestem szczęśliwie zakochany, to chcę, żeby wszyscy inni też byli szczęśliwi. Tymczasem utknąłem...

- Czasem też się tak czuję - przyznała Catherine, nieco zaskoczona tym przyływem szczerości. - Może to faktycznie głupie, ale nie ma w tym nic złego. Tak jak i w byciu szczęśliwym.

- Tymczasem utknąłem tutaj, gdzie nawet sami dla siebie nic nie możemy zrobić, nie mówiąc już o ratowaniu świata. Jeśli zaś chodzi o szczęście... Nie może trwać wiecznie. Na pewno nie tutaj.

- Trwa już sześć miesięcy. A skoro nie przetrwa tutaj, to czemu miałoby przetrwać gdzie indziej?

John podciągnął kolana pod brodę, podrapał się po wygojonej kostce.

- Co się z tobą stało? Kiedy się tu zjawilem, w kółko mówiłaś o ucieczce; o niczym innym nie marzyłaś, byłaś gotowa na wszystko, żeby się stąd wyrwać. A teraz? Jest ci to obojętne.

Catherine już wiedziała, co się święci.

- Bardzo chciałabym uciec. Odkąd tu jesteś, niewola stała się dla mnie znośniejsza, bez dwóch zdań, ale to nie znaczy, że nie uciekłabym, gdybym tylko miała okazję. Po prostu z tobą mogę być tutaj bez popadania w czarną rozpacz.

- A ja nie! - Spuścił głowę, nagle osowiały. Cały czas rozmasowywał kostkę. - Przepraszam, Catherine. Noga znów mnie pobolewa i mam paskudny humor. - Zerknął na nią. - Masz to świństwo przy sobie?

- Mam - przytaknęła, chociaż nie zrobiła najmniejszego ruchu, żeby mu coś podać.

- Wiem, że za dużo biorę. Ale to pomaga zabić czas.

Nastroszyła się, gotowa zapytać, czy to przez nią tak się nudzi, ale pohamowała złość. Miała świadomość, że jest współwinna jego uzależnienia od brianiny, bo podczas rekonwalescencji reagowała na jego prośby o lek jak kochanka, a nie jak pielęgniarka.

- Mogę to dostać? - zniecierpliwził się.

Niechętnie otworzyła plecak. Wyjęła butelkę z wodą i zawiniątko z pastylkami brianiny i obie rzeczy podała Johnowi. Trzęsącymi się rękami odkręcił butelkę, w nieporadnym pośpiechu rozplątał zawiniątko i w chwili, gdy już miał połknąć dwie pigułki, zauważył, że Catherine go obserwuje.



Skrzywił się ze złości, gotowy warknąć na nią, gdyby coś powiedziała, ale zaraz się rozluźnił. Przełknął pigułki i wyjął dwie kolejne.

- Ty też weź, razem ze mną. Wiem, że powinienem z tym zerwać, i zrobię to, ale dzisiaj możemy się odprężyć, zapomnieć o kłopotach... Co ty na to?

Od niedawna stosował taką taktykę, czyniąc z Catherine współniczkę w nałogu i tłumiąc w ten sposób wyrzuty sumienia. Wiedziała, że powinna mu odmówić, ale w tej chwili nie miała siły się z nim kłócić. Połknęła pigułki, splukała je łykiem wody i położyła się przy ścianie. John ułożył się przy niej, podparty na łokciu, uśmiechnięty, ze wzrokiem przymglonym przez narkotyki.

- Naprawdę powinieneś to rzucić, wiesz?

Jego uśmiech zadrżał, nim znów się ustabilizował, jakby pracował na coraz słabszych bateriach.

- Chyba masz rację.

- Jeżeli mamy uciec, musisz myśleć trzeźwo.

- O, to coś nowego - zainteresował się John.

- Dawno nie myślałam o ucieczce, wydawała mi się niemożliwa, aż w końcu mi zobojętniała... Tak, przestałam się nią interesować. To znaczy, tuż przed tym, jak się zjawiłeś, znowu zaczęłam o niej przemyśliwać, ale nie tak na serio, tylko z czystej frustracji.

- A teraz?

- Znów jest dla mnie ważna.

- Ze względu na mnie? Przez to, że cię tak nagabuję?

- Ze względu na nas oboje. Nadal nie jestem pewna, czy można stąd uciec, ale to źle, że przestałam próbować.

John przeturlał się na wznak. Osłonił oczy przedramieniem, jakby razila go bijąca z serca poświata.

- John? - Imię zabrzmiało chropawo, ospale. Catherine wyraźnie czuła wpływ narkotyku. Robiła się senna. Powolna.

- Co za miejsce... - mruknął John. - Co za przekłete miejsce.

- A myślałam... - Składanie słów w zdania przychodziło jej z coraz większą trudnością. - Myślałam, że wydaje ci się ekscytujące. Kiedy o nim mówiłeś...

- Ależ ja jestem podekscytowany! - Zaśmiał się niewesoło. - Przecież to istna składnica cudów, fantastyczna i zniewalająca. Zbyt zniewalająca, jak dla mnie. To uczucie... - Odwrócił się do Catherine. - Ty tego nie czujesz?

- Nie bardzo wiem, o co ci chodzi...

- Jakim cudem wytrzymałaś tu tyle lat? Jesteś aż tak silna? Czy po prostu nieczuła?

- Jestem...

- O Boże! - Odwrócił się do niej plecami i wbił wzrok w ścianę. Na jego twarzy niczym tatuaż odmalowały się poskręcane cienie i plamy światła, zanim cała rozbłysła złotem. - Jesteś taka spokojna, i to gdzie? Właśnie tutaj! Spójrz. - Wskazał serce smoka. - To nie serce, to jakaś przeklęta magiczna sztuczka. Za każdym razem, kiedy tu przychodzę, mam wrażenie, że za chwilę wyświecili wzór, którym mnie unicestwi. Albo zmiążdży. Albo coś innego. A ty siedzisz sobie jak gdyby nigdy nic, zamyślona, i przyglądasz mu się z taką miną, jakbyś nie mogła się zdecydować, czy powiesić zasłony, czy może raczej przemalować to cholerstwo na inny kolor!

- Nie musimy tu już przychodzić.

- Ja nie potrafię tu nie przychodzić. - John wziął do ręki pigułkę brianiny. - To jest tak, jak z tym świństwem.

Umilkli na kilkanaście minut - może nieco mniej, może ciut więcej. Czas stracił znaczenie. Catherine czuła, że unosi się w powietrzu i odpływa, z ciałem przepelnionym błogim ciepłem jak podczas seksu. Przez głowę przepływały jej sceny jak ze snu: monstualna twarz klauna; nieznany pokój o krzywych ścianach, a w nim niebieskie stołki o trzech nogach; obraz, na którym farba rozpuszcza się i spływa z płótna. Potem przyszły refleksje na temat Johna. Słabł z dnia na dzień, tracił odporność, robił się nerwowy i humorzysty. Wcześniej wmawiała sobie, że prędzej czy później John przywyknie do życia we wnętrzu Griaule'a, ale teraz zaczynała godzić się z myślą, że w przeciwieństwie do niej, raczej długo nie pożyje. Nie rozumiała tego, nie wiedziała, czy przyczyną jest jakaś jego wrodzona słabość, czy raczej (jak sam twierdził) przytłaczająca natura smoka. A może jedno i drugie? Tak czy inaczej, nie mogła dłużej zaprzeczać faktom. Nie pozostało im nic innego, jak spróbować ucieczki. Łatwo jej się o tym myślało, kiedy narkotyk krążył w żyłach. Czuła się taka wyciszona, taka zdystansowana od świata, na wszystko spoglądała ze spokojem i rezerwą, jak we śnie - a jednocześnie wiedziała, że gdy tylko brianina przestanie działać, nie będzie miała pojęcia, jak w praktyce zabrać się do rzeczy.

Mając dość myślenia, skoncentrowała się na zmieniających się świetlnych wzorach. Wydały jej się nadzwyczajnie skomplikowane i przyglądając się im dłużej, zaczęła odnosić wrażenie, że dostrzega w nich odbicie działania jakiegoś wewnętrznego mechanizmu, którego wcześniej nie zauważyła. Uświadomiła też sobie, że przenikające komorę przecucie nieuchronności stało się silniejsze niż kiedykolwiek przedtem, ale miała taką watę w głowie, że nie była w stanie skoncentrować się na swoich spostrzeżeniach. Powieki same jej opadły i

osunęła się w powtarzający się sen o śpiącym smoku. Skupiła się na białej, gładkiej, bezłuskiej skórze jego piersi. Plama bieli rozlała się szeroko, otoczyła ją i wciągnęła do białego świata, ukołysała spokojnym rytmem podnoszenia się i opadania, niezmienna i przewidywalna jak tykanie doskonałego zegara.

\* \* \*

W ciągu następnego pół roku obmyśliła wiele planów ucieczki, ale wszystkie po kolei odrzucała jako niepraktyczne, dopóki nie wpadła na taki, który - choć daleki od ideału - w swojej prostocie niósł najmniejsze ryzyko porażki. Wprawdzie bez brianiny plan nie miał szans powodzenia, ale proces jego wyboru przebiegłby szybciej, gdyby w ogóle nie istniała. Niezdolna oprzeć się urokowi narkotyku i prośbom kochanka o towarzystwo w nałogu, Catherine sama też się uzależniła i sporo czasu po prostu przeleżała z Johnem w smoczym osierdziu, kompletnie otepiała, zbyt osłabiona nawet żeby się kochać. Jej uczucia wobec niego się zmieniły - było to nieuniknione, bo i on sam się zmienił. Schudł, zaniedbał się, nabrał skłonności do wahań i zadumy, aż zaczęła się martwić o jego zdrowie fizyczne i duchowe. W pewnym sensie stali się sobie bliscy jak nigdy przedtem, gdyż jego postępująca degradacja wyzwoliła w niej instynkt macierzyński, ale wbrew sobie miała do niego żal, że tak ją zawiódł; że zamiast być dla niej podporą, stawał się coraz mniej istotnym brzemieniem. Efekt był taki, że ilekroć się od siebie oddalili, próbowała się do niego zbliżyć tylko wtedy, gdy miała w tym jakiś pragmatyczny cel - a to zdarzało się nieczęsto, gdyż w obecnym jego stanie wszelka bliskość z nim była męczarnią. Rozpaczliwie uczepliła się nadziei, że jeżeli uda im się uciec, będą mogli zacząć wszystko od nowa.

Narkotyk całkowicie nią zawładnął. Wszędzie zabierała ze sobą zapas pigułek i przyjmowała coraz większe dawki, co wpływało nie tylko na jej stan zdrowia i zasoby energii, ale także na psychikę: nie mogła się skoncentrować, źle spała, zaczęła mieć halucynacje, słyszała głosy, dziwne dźwięki, a pewnego dnia wydało jej się, że w grupie Milusich stłoczonych na dnie komory dostrzegła Amosa Mauldry'ego. Postępujące otępienie umysłu kazało jej powątpiewać w informacje płynące ze zmysłów, na karb urojeń złożyła więc także przecucie zbliżającej się kulminacji, nawiedzające ją w snach i rysujące się w zmiennym światłocieniu serca smoka. Zorientowała się, że zachowuje się podobnie do Milusich - zaczyna, na przykład, reagować na niesłyszalne sygnały - i zaczęła się bać, że stanie się jedną z nich, ale nawet ten strach nie był tak silny, jak mógłby być dawniej. Starła się ich tolerować, pomijać ich rolę w uwięzieniu jej, postrzegać ich jako bezwolnych wykonawców woli Griaule'a; nie potrafiła ich nienawidzić, tak jak nie potrafiła nienawidzić samego Griaule'a - jego ogrom i zasięg jego subtelnych wpływów przekraczały jej zdolności

pojmowania. Dlatego cały gniew Catherine skupił się na zdradzieckiej Brianne. Milusi zauważyli chyba tę zmianę, bo odnosili się do niej bardziej przyjaźnie, wszędzie jej towarzyszyli, zadawali pytania, dotykali jej i choć trudno było w tych warunkach myśleć o prywatności, to właśnie przypływ ich zainteresowania podsunął jej pomysł ucieczki.

Pewnego dnia, w asyście gromadki rozchichotanych i rozgadanych Milusich wyprawiała się w stronę podstawy czaszki, kierując się do przejścia prowadzącego do zagłębienia, którym zawładnęła upiorośl. Catherine trochę nawet kusilo, żeby znów ją zbadać, ale postanowiła tego nie robić i zawróciła. Kiedy cofnęła się do głównego korytarza, stwierdziła, że Milusi zniknęli. Zrobiło jej się słabo, tak jakby ich obecność dodawała jej sił. Osunęła się na kolana i spojrzała w głąb wąskiego mięsistego tunelu o bladoczerwonych ścianach. Jego koniec ginął w złocistym półmroku; wyglądał jak wejście do skarbcza. Poczula, jak wzbiera w niej rozdrażnienie i złość na Milusich za to, że ją zostawili. Oczywiście mogła się tego spodziewać, przecież unikali tej okolicy jak...

Usiadła, gdy dotarło do niej, co to oznacza. Ciekawe, jak daleko się wycofali: czy minęli wylot bocznego kanału prowadzącego do gardzieli? Wstała i krok za krokiem podeszła do zakrętu korytarza. Wyjrzała zza załomu, nikogo nie zobaczyła i ruszyła ostrożnie dalej, wstrzymując oddech, aż ból zaczął rozsadzać jej pierś. W końcu usłyszała głosy, wyjrzała zza następnego zakrętu i dostrzegła grupę około ośmiu Milusich: stali przy wejściu do bocznego tunelu. Jedwabne łachmany lśniły w półmroku, miecze połyskiwały odbiciami zmiennego światła.

Cofnęła się i oparła o ścianę. Koncentracja przychodziła jej z trudem, nie potrafiła uformować spójnego ciągu myśli i odruchowo zaczęła grzebać w plecaku w poszukiwaniu brianiny. Już samo dotknięcie pigułki wystarczyło, żeby się uspokoiła, a kiedy ją połknęła, od razu zaczęła swobodnie oddychać. Wbiła wzrok w niewyraźną żyłę, wrośniętą w połyskujące wilgotno sklepienie korytarza. Pulsujące światło hipnotyzowało. Poczula, że sama się rozpływa, zmienia się w złocisty, tętniący powoli płyn - i w otchłani tych wrażeń znalazła twarde rdzeń siły i nadziei.

## 6

Jest sposób, pomyślała. Na Boga, chyba naprawdę jest sposób. Doszlifowanie planu zajęło jej całe trzy dni. Przez ten czas stan Johna pogorszył się na tyle, że zaczęła się obawiać, czy będzie w stanie pomóc jej w ucieczce. Wyglądał fatalnie, był blady, miał zapadnięte policzki, a kiedy pierwszy raz próbowała wprowadzić go w tajniki planu, zasnął. Postanowiła walczyć z wpływem brianiny: zmniejszyła Johnowi dawkę i zaczęła mieszać narkotyk ze środkiem pobudzającym uzyskanym z porostów obrastających płuca Griaule'a. Minęło kilka dni i John wyraźnie się ożywił, chociaż w jego wyglądzie nie zaszły żadne zmiany. Catherine zdawała sobie sprawę, że poprawę zawdzięcza wyłącznie chemii, a dla osłabionego organizmu stymulant może być niebezpieczny, nie widziała jednak innego wyjścia, jeśli John miał żyć. Gdyby został we wnętrzu smoka i pozwolił, żeby narkotyk wyniszczał go w dotychczasowym tempie, nie dałaby mu więcej niż sześć miesięcy życia.

Plan był niewybitny i opierał się na nieskomplikowanym pomysle - Catherine przypuszczała, że gdyby nie była tak otepiała od brianiny, wpadłaby na niego dużo wcześniej. Wątpiła jednak, by wystarczyło jej odwagi, żeby spróbować w pojedynkę; gdyby coś poszło nie tak jak trzeba, dwie osoby miały znacznie większe szanse niż jedna. Perspektywa ucieczki wprowadziła Johna w euforię. Kiedy Catherine przedstawiła mu szczegóły planu, zaczął spacerować po sypialni z błyskiem w oku i plamami wypieków na policzkach. Od czasu do czasu przystawał, zadawał pytania albo rzucał jakieś niezborne komentarze.

- A Milusi? Nie... nie zrobimy im krzywdy?

- Już ci mówiłam: nie, dopóki będzie można tego uniknąć.

- To dobrze, bardzo dobrze. - John podszedł do zasłoniętego wejścia. - Nie znam się na tym, rzecz jasna, ale...

- John?

Przez szparę w zasłonach wyrzał na zewnątrz. Jego czoło, dotąd oświetlone złotym blaskiem, pociemniało.

- Aha...

- Na czym się nie znasz?

Długo trwało, zanim się odezwał.

- Na... Nie, nieważne.

- Mówiłeś o Milusich.

- Są niezwykle intrygujący - odparł z roztargnieniem John. Zachwiał się na nogach i niemrawo cofnął do siedzącej na stosie futer Catherine. Opadł na futra i spojrzał na nią smętnie. - Kiedy już stąd wyjdziemy, to... Wiem, że nie byłem... silny, nie byłem...

Pogłaskała go po głowie.

- Nie przejmuj się, nic się nie stało.

- Właśnie że się stało. Stało się.

Ożywił się, próbował usiąść, ale go powstrzymała, powtarzając, żeby się nie martwił. W końcu uspokoił się i znieruchomiał.

- Jak ty możesz mnie kochać? - zapytał po długim milczeniu.

- Nie mam wyboru.

Nachyliła się nad nim, odgarniając włosy, żeby nie opadły mu na twarz. Pocałowała go w policzek, w powieki. Chciał coś powiedzieć, ale tylko roześmiał się bez przekonania. Zapytała, co go rozbawiło.

- Myślałem o wolnej woli - odparł. - O tym, jak abstrakcyjnym pojęciem się tu stała. Tutaj nie ma mowy o wolnej woli.

Umościła się obok niego, zmęczona tym usiłowaniem podniesienia go na duchu. Przypominała sobie, jaki był krótko po przybyciu: energiczny, podekscytowany, ciekawy wszystkiego - i to pomimo obrażeń. Teraz zaś chwile największego ożywienia - takie jak ta - poświęcał na sardoniczne przekreślanie szczęśliwych możliwości. Miała dość kłótni, dość udowadniania mu, że z takim negatywnym nastawieniem wszystko w życiu można sprowadzić do żalonych odruchów, jeśli tylko tego się chce.

- To wina Griaule'a - powiedział. Przemawiał mocniejszym głosem: stymulant zaczął działać. - Tutaj wszystko należy do niego, nawet najbardziej ulotne nadzieje i pragnienia. Nasze uczucia. Nasze myśli. Kiedy jako student pierwszy raz usłyszałem o Griaule'u, o jego dominacji, jego wszechpotężnej woli, pomyślałem, że to zwyczajne głupstwo, nic więcej. Byłem wtedy optymistą, a optymista to po prostu głupiec bez doświadczenia. Sam oczywiście nie uważałem się za optymistę, lecz za realistę. Żywiłem takie romantyczne przekonanie, że sam odpowiadam za swoje działania. Dostrzegałem w tym szlachetne piękno, sublimację tragicznego stanu całkowitej, rozpaczliwej niezależności. Myślałem o tym, jak wygodne i niedorzeczne jest uzależnienie ludzi od bogów i demonów, którzy są im niezbędni, żeby określić ich role w życiu. Nie zdawałem sobie sprawy, jakie to straszne uczucie, kiedy nic z tego, co robisz i co myślisz, nie ma żadnego znaczenia; kiedy cała twoja miłość i nienawiść, wszystkie twoje błahe sympatie i antypatie są tylko elementami

jakiegoś niezbadanego planu. Nie pojmowałem, jak bezwartościowy może się poczuć człowiek, który ma taką świadomość.

Jeszcze przez jakiś czas mówił w tym duchu. Jego słowa ciążyły Catherine, napełniały ją rozpaczą, spychały nadzieję w mrok. A potem, jakby tym monologiem trącił jakąś mroczną erotyczną nutę, zaczął się z nią kochać. Nieobecna duchem, uwięziona w murach jego posepnych zdań, zareagowała z rozpaczliwym entuzjazmem i przepelnioną smutkiem pożądlivością. Patrzyła, jak rozcapierzonymi palcami miętosi jej piersi, i gest ten wydawał się jej równie wyprany z uczucia, jak wysiłki rozcwiastki próbującej ucześcić się skały - a zarazem ten bezbrzeżny smutek, któremu desperacko usiłowała zaprzeczyć, i przesywając ją dreszcz voyeurystycznej przyjemności z faktu, że jest posiadana i wykorzystywana, wywołały niezwykle gwałtowną reakcję jej ciała. Warstewka potu między ich ciałami przypominała jedwabną tkaninę, ich ruchy wydawały się doskonalsze i zwinniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Każdy impuls rozkoszy wznosił ją na nową zawrotną wysokość.

Za to po wszystkim czuła się pokonana, zdruzgotana i niekochana. Leżąc obok Johna, wsłuchana w stłumiony bełkot Milusich i zanurzona w gęstym odorze ich ciał, zdała sobie sprawę, że osiągnęła nadir swojego życia. Zjednoczyła się z Milusimi w ich zaburzonej, zwierzęcej cielesności.

Wprowadzenie planu w czyn zajęło jej następne dziesięć dni. Zaczęła rozdawać słodkie ciasteczka Milusim pilnującym jej podczas codziennych spacerów z Johnem, które zawsze kończyli przy wylocie tunelu prowadzącego do zagłębienia z upiorością. Zaczęła również rozpuszczać plotkę, jakoby jej wieloletnie badania nad smokiem miały w końcu przynieść upragnione objawienie. W dniu ucieczki wyszła na środek jajowatej komory i w otoczeniu setek Milusich stojących na dnie i zwisających na linach obwieściła donośnym głosem:

- Dzisiaj objawię wam słowo Griaule'a! Sprowadźcie wszystkich myśliwych i zbieraczy, niech tu na mnie czekają! Wkrótce wrócę i do was przemówię! Poznacie przyszłość!

Milusi zaczęli się przepychać i poszturchiwać, trajkotać, chichotać, podskakiwać; niektórzy z nadmiaru entuzjazmu pospadali z lin, lądując na głowach towarzyszy i tworząc rojące się stosy, w których piszczeli, skamleli, aż w końcu zaczęli się nawzajem rozbierać. Catherine pomachała im na pożegnanie i z Johnem przy boku wyruszyła w stronę komory upiorości. Sześciu uzbrojonych w miecze Milusich stanowiło ich straż tylną.

John okropnie się denerwował. Przez całą drogę oglądał się przez ramię i zadawał pytania, przez które jego zdenerwowanie udzielało się Catherine.

- Na pewno je zjedzą? Może nie są głodni?

- Zawsze je zjadają, kiedy wchodzimy do tunelu. Przecież wiesz.

- Wiem, wiem, po prostu... Boję się, że coś nie wyjdzie. - Przeszedł kilka kroków. - A jesteś pewna, że dałaś wystarczającą dawkę?

- Jestem pewna.

Catherine obserwowała go kątem oka. Był blady jak ściana. Mięśnie na jego szczęce nabrzmiały, policzek drżał nerwowo. Na czoło wystąpiły krople potu.

- Jak się czujesz?

- Dobrze - odparł. - Nic mi nie jest.

- Uda się, więc niczym się nie martw... proszę.

- Nic mi nie jest - powtórzył bezbarwnym głosem, wbijając wzrok w przestrzeń.

Milusi zatrzymali się przed ostatnim zakrętem i Catherine z uśmiechem rozdała im po ciasteczku, po czym ruszyli z Johnem dalej i wczłgali się w wąski tunel. Usiedli w ciemności, stykając się biodrami. Długo milczeli, zanim John w końcu szepnął:

- Ile jeszcze?

- Poczekajmy parę minut, na wszelki wypadek.

John się wzdrygnął i Catherine znów zapytała, jak się czuje.

- Jestem trochę roztrzęsiony - przyznał. - Ale poza tym wszystko w porządku.

Dotknęła jego ręki i mięśnie Johna zadrżały konwulsyjnie.

- Spokojnie - powiedziała.

Skinął głową, ale wcale się nie rozluźnił.

Sekundy płynęły wolno jak żywica z nacięcia na korze drzewa i mimo przekonania, że wszystko pójdzie zgodnie z planem, Catherine też zaczęła się denerwować. Przed oczami tańczyły jej maleńkie błyszczące zawijasy, plamki aksamitnego mroku ciemniejsze od otaczającego ich powietrza. Zdawało jej się, że słyszy szepty dobiegające z korytarza. Próbowwała zająć czymś myśli, ale problemy, na których usiłowała się skupić, materializowały się i rozplýwały mechanicznie, bez przekonania, z precyzją, która wcale nie koła skołatanych nerwów; przywodziły na myśl slajdy rzucane na ekran, na którym i tak rysuje się groźna wizja przyszłości.

W końcu dała Johnowi kuksańca, wypęzli z tunelu i zaczęli się skradać korytarzem. Przed zakrętem, za którym mieli czekać Milusi, Catherine przystanęła i nadstawiła ucha. Cisza. Wyjrzała zza rogu. Sześć ciał leżało przy wejściu do bocznego tunelu. Nawet z tej odległości było widać niedojedzone ciasteczka, które wypadły im z rąk. Kiedy ostrożnie podeszli bliżej, Catherine zauważyła, że w bezruchu Milusich jest coś nienaturalnego. Zanim



ukłękła przy jednym z nich, młodym, zaleciał ją smród opróżnionych jelit. Rozpoznała odcisnięte na jego rysach zadumane piętno śmierci - i nagle zdała sobie sprawę, że obliczając niezbędną dawkę brianiny do ciastek, nie wzięła pod uwagę delikatnej budowy Milusich. Zabiła ich.

- No chodź! - ponaglił ją John.

Podniósł dwa miecze (były tak krótkie, że w jego rękach wyglądały jak zabawki) i podał jeden Catherine. Pomógł jej wstać.

- Chodźmy... Może ich być więcej!

Oblizwał nerwowo wargi, strzelając oczami na boki. Jego twarz, ze ściągniętymi policzkami i zapadniętymi oczami, przypominała trupa czaszkę i przez chwilę Catherine - oniemiała po odkryciu, że oto dokonała zabójstwa; że mimo wszelkiej pogardy, jaką ich darzyła, Milusi jednak byli ludźmi - nie poznawała go. Patrząc na nich - szpetne lalki w złachmanionych aksamitach - poczuła nagle w sobie tę samą lodowatą pustkę, co po zabiciu Keya Willena.

John złapał ją pod łokieć i popchnął w stronę wylotu bocznego korytarza. Było zasłonięte luźno wiszącą błoną i Catherine, choć nawykła do kontaktu z ciałem Griaule'a, nie mogła się zmusić, żeby go dotknąć. John odciągnął błonę na bok, ponaglił Catherine i po chwili oboje czołgali się w złotym półmroku krętego, opadającego tunelu.

Zdarzało się, że tunel zwężał się i stawał zaledwie o kilka cali szerszy od obwodu bioder Catherine. Wtedy oboje musieli się trochę napocić, żeby się precyzyjnie przesuwać, a Catherine miała wrażenie, że olbrzymie smocze cielsko przygniata ją swoim ciężarem, że tworzące tunel mięśnie zaraz skurczą się instynktownie, zacisną i ich zmiażdżą. W zamkniętej przestrzeni jej własny oddech niósł się echem, a oddech Johna brzmiał jeszcze głośniejszym, chrypliwym i przyspieszonym - aż w którymś momencie przestała go słyszeć i stwierdziła, że John został z tyłu. Zawołała go.

- Nie zatrzymuj się! - odkrzyknął.

Odwróciła się na plecy, żeby zobaczyć, co się dzieje. John dyszał ciężko, twarz wykrzywił mu bolesny grymas.

- Co się dzieje?! - krzyknęła. Próbowwała się odwrócić, ale w wąskim przejściu nie było na to miejsca.

- Nic, nic. - Machnął ręką. - Idź dalej.

- John!

Wyciągnęła do niego rękę, ale on tylko zaparł się barkiem o jej nogi i pchnął ją do przodu.

- Psiakrew... Nie zatrzymuj się, mówię!

Popychał ją i zaklinał, żeby się ruszyła, aż w końcu zrozumiała, że nie ma innego wyjścia, odwróciła się na brzuch i zaczęła się czołgać szybciej niż przedtem, cały czas mając przed oczami jego udreńczoną twarz.

Nie umiałyby powiedzieć, ile zajęło jej dotarcie do końca tunelu - to był czas poza czasem, jedna długa nieprzerwana chwila czołgania się, wicia, odpychania od śliskich ścian i nieustannej troski o Johna - ale kiedy wreszcie z bijącym sercem wygramoliła się do gardzieli smoka, na moment zapomniała o Johnie i w ogóle o wszystkim. Istniał tylko widok, który się przed nią roztaczał. Od miejsca, w którym stała, podłoże się podnosiło, gardziel rozszerzała się i przechodziła w paszczę, przez której ogromny otwór wlewało się złote światło - nie ciężki, mineralny blask krwi Griaule'a, lecz świeże, lekkie lśnienie przebijające splątany gąszcz promieniami, które w wilgotnym i przykurzonym powietrzu skrzyły się jak kryształ. Światło dnia. Patrzyła na obłany złotem poranka czubek zakrzywionego ku górze kła i wznoszące się nad nim sklepienie smoczego podniebienia, z którego zwieszały się pnącza i epifity. Oślepiała, rozdziawiła usta, upuściła miecz i postąpiła dwa kroki ku światłu. Przyzywało ją, było takie czyste, takie przejrzyste...

Dopiero na wspomnienie Johna odwróciła się w stronę tunelu: John właśnie próbował stanąć na nogi, opierając się na mieczu. Był czerwony na twarzy i sapał jak miech kowalski.

- Popatrz! - Podbiegła do niego, wskazując światło. - Na Boga, tylko popatrz...

Podtrzymała go i zaczęła prowadzić do paszczy.

- Udało się - powiedział. - Nie wierzyłem, że damy radę.

Kiedy jego dłoń zacisnęła się na jej ręce, wzięła to za oznakę czułości, ale nagle jego uchwyt stał się boleśnie mocny i John zatoczył się do tyłu.

- John!

Próbowała go podtrzymać, gdy wtem przewrócił oczami i runął na wznak. Rzuciła się na kolana obok niego, jej dłonie zatrzepotały nad jego piersią, kiedy powtarzała „John? John?!”. Przeszył go dreszcz, z gardła dobył się cichy chrapliwy odgłos i Catherine już wiedziała, doskonale wiedziała, co znaczą te drgawki, to charakterystyczne gardłowe tchnienie. Odsunęła się, zdezorientowana; patrzyła na jego twarz, pewna, że się myli i za chwilę oczy się otworzą - ale nic takiego się nie stało.

- John?

Sama się zdziwiła, że jest taka spokojna, że mówi tak beznamiętnie, jakby zadawała jakiegoś zwyczajne pytanie. Chciała rozbić tę skorupę opanowania, uwolnić swoje prawdziwe uczucia, ale miała wrażenie, że jakaś dziwnie rzeczowa siostra-bliźniaczka kieruje jej

mięśniami i wolą. Poczwała, że ma zimne policzki. Wstała, jakby zimno promieniowało od Johna i oddalenie mogło w czymś pomóc. Przeraził ją widok jego bezwładnego ciała. Odwróciła się do niego tyłem, krzyżując ramiona na piersi. Zamrugwała, oślepiąca dziennym światłem. Kłuło w oczy. Podświetlone nim listowie i pnącza też sprawiały jej ból swoim nieuporządkowaniem, swoją chaotyczną złożonością. Nie wiedziała, co robić. Idź, powtarzała sobie w duchu. Uciekaj. Z wahaniem zrobiła krok w stronę wylotu paszczy. Nie, to bezsensowny kierunek. Nic już nie miało sensu.

Coś poruszyło się w gąszczu, ale nie zwróciła na to uwagi. Pancierz jej obojętności kruszył się, jakaś potężna siła ciągnęła ją z powrotem w głąb ciała smoka. Usiłowała się jej oprzeć. Znowu jakieś poruszenie. Szelest liści, rozchylane gałęzie. Mnóstwo drobnych szmerów. Przetarła oczy. Nie płakała, ale coś utrudniało jej widzenie, coś cienkiego, matowego, jakaś postrzępiona błona. To pewnie strzępy mojego opanowania, pomyślała i parsknęła śmiechem... Nie, właściwie dostała czkawki. Udało jej się w końcu skupić wzrok na zaroślach i zobaczyła dziesięć, nie, dwadzieścia, nie, więcej, chyba ze trzy tuziny niskich postaci, bladych, szpetnych, drobnych jak dzieci i poubieranych w lśniące łachmany. Wyszły na skraj gęstwiny. Czkawka znów dała znać o sobie, ale tym razem Catherine nie było do śmiechu. Prędeż by się popłakała. Albo porzygała. Milusi ostrożnie podeszli bliżej. Małe łajdaki. Od początku na nich czekali. Catherine i John nie mieli szans.

Cofnęła się do zwłok Johna, przykucnęła i po omacku znalazła jego miecz. Podniosła go i skierowała ostrzem w stronę Milusich.

- Nie zbliżajcie się. Po prostu nie podchodźcie bliżej, a nie zrobię wam krzywdy.

Szli dalej, szurając nogami, przygarbieni, zalęknieni, ale nieustępliwi.

- Cofnąć się! - krzyknęła. - Bo was pozabijam! - Zamachnęła się i cięła mieczem powietrze. - Przysięgam!

Milusi zachowywali się, jakby jej nie słyszeli. Parli naprzód, a ona, szlochając, raz za razem wrzeszczała na nich i wymachiwała mieczem. Otoczyli ją, trzymając się tuż poza zasięgiem ostrza.

- Nie wierzcie mi? Nie wierzcie, że was zabiję? Nie mam żadnego powodu, żeby was oszczędzić!

Żal i wściekłość przebiły się w końcu przez skorupę obojętności i Catherine z wrzaskiem rzuciła się na Milusich. Pierwszego pchnęła w brzuch, drugiemu wykreśliła krwawą linię w poprzek aksamitno-złotej piersi. Ranni padli, wyjąc z bólu. Reszta zakłębiła się wokół niej. Rozpłatała czaszkę trzeciego z taką łatwością, jakby rozłupała arbuza; krew i odłamki kości bryznęły z okrutnej rany, twarz trupa prawie pękła na dwoje i zanim runął na

ziemię, posoka pociekła mu z oczu. Wtedy opadli ją ze wszystkich stron, powalili, zaczęli tłuc pięściami, pokwikując przy tym z charakterystyczną afektacją. Była bezradna wobec ich przewagi liczebnej, ale walczyła do końca, wiedząc, że jeśli przestanie, jeśli się podda, będzie musiała zacząć znówu czuć - a tego chciała za wszelką cenę uniknąć. Bezbarwne twarze Milusich zawisły nad nią, wszystkie tak samo zadziwione, jakby nie pojmowali jej zachowania. Łagodność ich reakcji doprowadzała ją do białej gorączki. Śmierć powinna ich olśnić, wprawić - tak jak ją - we wściekłość. Czerwona mgła zasnęła jej myśli, adrenalina zawrzała w żyłach i Catherine z rykiem dźwignęła się na kolana, usiłując strząsnąć uczeplonych jej Milusich, gryząc palce, dłonie, twarze. Nagle coś wyrznęło ją w potylicę. Zwiotczała. Świat zawirował jej przed oczami i ciemność zaczęła zaciskać się wokół niej, aż został tylko ciemny tunel z dwojgiem bladych oczu na końcu. Oczy rozszerzyły się i zlały w jedno, które zmieniło się w cień ze skórzastymi skrzydłami, rozwidlonym językiem i brzuchem pełnym ognia. Cień zanurkował, rozdziawił paszczę, połknął Catherine i poniósł ją do domu.

Narkotyk łagodził żal... Może zresztą było w tym coś więcej niż tylko brianina. Upadek Johna rozpoczął się tak szybko, że przywykła do smutku w jego towarzystwie, toteż jego śmierć jej nie przytłoczyła. Wywołała raczej coś na kształt bólu w piersi i ociężałości w kończynach, jakby ktoś kazał jej stale nosić kamyki. Aby pozbyć się tego bólu i ciężaru, zaczęła przyjmować większe dawki brianiny. Zajadała pigułki jak cukierki.

I tak nie miała już po co żyć. Zrozumiała, że umrze we wnętrzu smoka, było to tak samo nieuchronne jak wszystkie inne wiadomości pochodzące od Griaule'a: śmierć miała być karą za sprzeciwienie się jego woli, za odmawianie mu prawa do kształtowania jej i wytyczania granic jej życia.

Po próbie ucieczki Milusi z początku traktowali ją podejrzliwie i wrogo, a wkrótce potem, zaaferowani jakimiś własnymi sprawami i w najwyższym stopniu podekscytowani, zaczęli ją ignorować. Od kiedy zabrakło i Johna, i Milusich, już tylko zmienne wzory na powierzchni smoczego serca były w stanie wywołać jakąś żywszą reakcję Catherine. Wpatrywała się w nie godzinami, leżąc półprzytomna w osierdziu i śledząc ich fluktuacje spod zmrużonych powiek. W miarę pogłębiania się nałogu osłabła i straciła na wadze, ale stała się prawdziwą specjalistką od interpretacji smoczych światłocieni. Obserwując olbrzymią bryłę, obłą jak złocisty dzwon, zdała sobie sprawę, że Mauldry miał rację: Griaule naprawdę był bogiem, był całym odrębnym wszechświatem rządzącym się własnymi prawami i posiadającym własne stałe fizyczne. Nienawidziła tego boga. Próbowwała skierować swoją nienawiść przeciw sercu, żeby je zniszczyć, rozerwać, spowodować zawał, wiedziała jednak, że Griaule jest na takie zabiegi odporny, tak jak był odporny na wszelką ludzką broń. Jej nienawiść była tak samo daremna jak strzał z łuku w puste niebo.

Któregoś dnia, blisko rok po śmierci Johna, obudziła się nagle w osierdziu ze snu bez marzeń i usiadła wyprężona jak struna. Miała wrażenie, że ktoś wbija jej lodowaty szpikulec w kręgosłup. Przetarła zaspane oczy, usiłując otrząsnąć się z narkotykowej apatii. Instynktownie wyczuła niebezpieczeństwo, a kiedy podniosła wzrok na serce, skamieniała. Złocisty światłocień tętnił i zmieniał się szybciej niż kiedykolwiek przedtem, był również wyjątkowo skomplikowany - a ona czytała w nim z taką samą łatwością, jakby miała przed sobą własne pismo. Pulsujące zawirowania złotego blasku i mroku płynęły po całej

pomarszczonej powierzchni. Mimo że wiadomość była prosta, Catherine w pierwszej chwili nie chciała przyjąć jej do wiadomości; nie chciała uwierzyć, że taka właśnie ma być kulminacja jej przeznaczenia, że zmarnowała młodość na taką błahostkę. Kiedy jednak wspomniała wszystkie wskazówki, sny o śpiącym smoku, powtarzającą się wizję jego podnoszącej się i opadającej piersi, opowieść Mauldry'ego o pierwszym Milusim, exodus zwierząt, ptaków i owadów, stłumiony łoskot w głębi smoczyc trzewi, po którym wszystko na tysiąc lat znieruchomiło, zrozumiała, że to musi być prawda.

Serce - tak jak uczyniło to przed tysiącem lat, i tak jak uczyni to za następny tysiąc - miało uderzyć.

Była wściekła. Nie chciała pogodzić się z faktem, że wszystkie próby, które przeszła, i całe jej cierpienie miały tylko jeden cel: ocalenie Milusich. Miała wyprowadzić ich z komory, w której zamieszkali, zanim wypełnią ją kwasy będące surowcem dla smoczego ognia. Potem zaś, po opróżnieniu komory, miała sprowadzić ich z powrotem, żeby mogli kontynuować odrobaczanie Griaule'a. Domyśliła się, że ich niedawne ożywienie ma związek z bliską zmianą w ich życiu, zapowiedzianą przez smoka w jednym z przekazów - tyle że ze względu na wrodzoną strachliwość najprawdopodobniej zlekceważyliby jego ostrzeżenie; bardziej bali się świata zewnętrznego niż ewentualnych zagrożeń płynących z wewnątrz. Jeżeli mają przeżyć, będą potrzebowali przewodnictwa, i tak jak wcześniej Griaule wybrał Mauldry'ego, żeby pomógł Catherine, tak teraz wybrał ją, żeby pomogła Milusim.

Zataczając się, miotając się to w jedną stronę, to w drugą, ogłupiała jak ptak schwyty w szklany potrzask, aż wreszcie gniew wziął w niej górę nad dezorientacją i zaczęła okładać serce pięściami, wypłakując swoją nienawiść do smoka i żal, że zrujnował jej życie. W końcu osunęła się bez sił na dno komory. Serce waliło jej jak młotem, gdy próbowała coś wymyślić. Postanowiła, że nic nie powie Milusim. Niech umrą, kiedy kwasy zaleją komorę, to będzie jej zemsta. Zaraz jednak zmieniła zdanie: śmierć Milusich byłaby dla Griaule'a zaledwie przejściową niedogodnością i wkrótce znalazłby nową bandę gotowych mu służyć idiotów. Poza tym doszła do wniosku, że i tak już zginęło przez nią dość Milusich, i skonstatowała, że na dobrą sprawę nie ma wyboru. Taka była wola Griaule'a, to on kierował jej poczynaniami przez ostatnie jedenaście lat, doprowadził ją do tego miejsca i tak ukształtował jej dzieje i sumienie, że mogła zrobić tylko jedno.

Pełna mętnych dobrych chęci wróciła do kolonii, pilnowana przez idących za nią strażników. Zatrzymała się u wylotu tunelu prowadzącego do gardzieli, nie wiedząc, jak się zachować. Kilkuset Milusich stłoczyło się na dnie komory, inni zawisli na linach przed komórkami mieszkalnymi. W olbrzymim wnętrzu wyglądali jak wielobarwne grona lśniących

owoców. Panujące w kolonii zamieszanie dodatkowo osłabiało jej pewność siebie i kiedy oszołomiona próbowała do nich przemówić, z jej gardła dobył się tylko cichy skrzek. Zebrała siły i krzyknęła, potem drugi raz i trzeci, aż w końcu stłoczyli się przed nią, milczący, z szeroko otwartymi oczami, odcinając ją od reszty pomieszczenia. Obok niej stały skrzynie, w których myśliwi trzymali miecze, pochodnie i inny niezbędny sprzęt. Milusi gapili się na nią, skubiąc rąbki jarmarcznie kolorowych szat. Nic nie mówili, ale wydawało się, że ich milczenie rozbrzmiewa basową wibracją. Chciała coś powiedzieć, jednak głos znów ją zawiódł. Odetchnęła głęboko i spróbowała jeszcze raz.

- Musimy stąd odejść - zaczęła. Słyszała, jak głos jej drży. - Musimy wyjść na zewnątrz. Nie na długo, tylko na jakiś czas... dosłownie kilka godzin, nie więcej. Kolonia zostanie... - Zawiesiła głos. Nie rozumieli jej. - Już wiem, czego chciał ode mnie Griaule. Wiem, po co mnie tu sprowadził. Znam cel, do którego przygotowywałam się przez te wszystkie lata. Serce Griaule'a uderzy, a wtedy ta komora wypełni się płynem. Jeżeli tu zostaniecie, potopicie się.

Przednie szeregi zafalowały, Milusi spojrzeli po sobie, ale poza tym nic się nie stało. Sfrustrowana Catherine zacisnęła pięści.

- Jeśli mnie nie posłuchacie, zginiecie! Musicie stąd wyjść! Przy skurczu serca komora zostanie zalana... Nie rozumiecie?! - Wskazała mgłę gromadzącą się pod sufitem. - Patrzcie: ptaków już nie ma! One wiedzą, co się święci. Wy zresztą też! Na pewno przeczuwacie niebezpieczeństwo! Ja to wiem!

Cofnęły się o krok, niektórzy się odwracali, zaczęli szeptać między sobą. Catherine złapała najbliższego - młodą samicę w rubinowych jedwabnych szatach.

- Posłuchajcie mnie!

- Kłamczucha! - powiedział jeden z samców, wyszarpując Milusię z jej uścisku. - Kłamczucha! Nie damy się już ogłupiać.

- Ja wcale nie kłamię! - Catherine podchodziła do kolejnych, kładła im ręce na ramionach, spoglądała z bliska w oczy, żeby zrozumieli, że mówi prawdę. - Serce uderzy. To będzie tylko jeden skurcz, nie musicie długo siedzieć na zewnątrz. Naprawdę.

Zaczęli się rozchodzić do swoich zajęć. Zrozpaczona Catherine pobiegła za nimi.

- Wysłuchajcie mnie, proszę!

Tłumaczyła, co im grozi, ale odpowiadały jej tylko obojętne spojrzenia. Samiec, ze złowrogim błyskiem w pustych oczach, odepchnął ją, szczerząc zęby i sycząc groźnie. Wycofała się do wylotu tunelu, roztrzęsiona i zagubiona. Zatęskniła za brianiną. Nie mogła zebrać myśli, rozglądała się bezradnie w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby jej wziąć się w

garść, ale bez powodzenia. W końcu jej wzrok padł na skrzynie z ekwipunkiem myśliwych. Czowała się tak, jakby ktoś ścisnął jej głowę w imadle i siłą odwrócił w tym kierunku. Świadomość tego, co musi zrobić, rozlała się lodowatą kałużą w jej głowie - to była nieomylna oznaka woli Griaule'a. Nie miała innego wyjścia, bez wątpienia, ale myśl o czymś tak potwornym przerażała ją. Zawahała się, obejrzała przez ramię, czy Milusi nie patrzą jej na ręce, i cał za całem zaczęła się przysuwać do skrzyń. Spuściła wzrok, udając, że przemieszcza się całkiem bez celu. W jednej ze skrzyń oprócz pochodni znalazła też krzesiwa. Schyliła się, wzięła pochodnię i krzesiwo i szybkim krokiem ruszyła w górę pochyłej ściany. Zatrzymała się przy najniższym rzędzie komórek mieszkalnych; niektórzy Milusi już przyglądali się jej ciekawie, a kiedy zapaliła pochodnię, na ich twarzach odmalowała się trwoga i falą runęli w jej stronę. Prawie przytknęła pochodnię do zasłony przed wejściem do najbliższej komórki. Na ten widok zatrzymali się, cofnęli, niektórzy wszczęli piskliwy lament.

- Błagam! - zawołała. Nogi miała jak z waty, w piersi czuła lodowaty supeł. - Nie chcę tego robić! Musicie stąd wyjść! - Zachęcona faktem, że kilku ruszyło w stronę korytarza, krzyknęła: - Tak! O to chodzi! Wystarczy, że na chwilę wyjdziecie na zewnątrz, a nie będę musiała tego robić!

Już kilkunastu zagłębiło się w korytarz i otaczający ją tłum zaczynał rzednąć; skamleli, płakali, wymykali się grupkami po pięcioro, sześcioro i znikali w tunelu. W końcu w komorze zostało ich najwyżej ze trzydzieścioro, ustawionych w nierównym półokręgu. Chciałyby móc uwierzyć, że bez dalszego przymuszania zrobią to, o co prosi, ale zdawała sobie sprawę, że stłoczyli się w korytarzu, może co najwyżej w następnej komorze, i tylko czekają, aż odłoży pochodnię. Skinęła na tych stojących najbliżej i oni również ruszyli w stronę wylotu tunelu. Kiedy dosłownie paru zostało na widoku, przytknęła pochodnię do zasłony.

Szybkość, z jaką ogień się rozprzestrzenił, zaskoczyła ją: pędził jak wzburzona fala po jedwabnych kotarach i koślawych szkieletach komórek, strojąc je w żółtoczerwone koronki płomieni, których trzask brzmiał jak złośliwy chichot. Można było odnieść wrażenie, że ma własną wolę i dla zabawy wyszukuje najbardziej skomplikowane elementy kolonii, żeby figlarnie je podświetlić; płomyki z radosnym zapalem ściagały się wśród komórek, wspinały się po słupach i wspornikach, tryskały z narożników, czubkami ognistych palców sięgały dalszych celów.

Ten widok do tego stopnia zawładnął otumanionym narkotykiem umysłem Catherine, że całkiem zapomniała o Milusich i nawet kiedy poczuła lodowate ukłucie w lewym boku, nie pomyślała o nich, tylko o niespodziewanym skutku ubocznym nadużywania brianiny.



Dopiero gdy zrobiło jej się słabo, osunęła się na kolana i zobaczyła, że jeden z nich - samiec z rzadko owłosioną czaszką - stoi tuż obok i trzyma ociekający czerwienią miecz, dotarło do niej, że to on ją pchnął. O dziwo, miała ogromną ochotę z nim porozmawiać, i to nie ze złością, ale tak zwyczajnie, bo zamiast przestraszyć się ogarniającej jej członki słabości, odczuwała nieprzepartą ciekawość; chciała zapytać, co się teraz stanie, i wbrew rozsądkowi spodziewała się, że jej kat może znać odpowiedź na takie pytanie, bo jako narzędzie woli Griaule'a posiadał wiedzę na temat absolutu. Warknął coś do niej - oskarżenie lub obelga utonęły w trzasku płomieni - i uciekł, najpierw w dół po ścianie komory, a potem tunelem do gardzieli. Została sama. Wpatrzona w ogień przeturlała się na plecy, a ból przetoczył się w niej jak odrębny byt. Część komórek runęła, sypiąc skrami i plując kłębamii czarnego dymu; nadpalone kawałki przypalonego drewna spadały na dno komory. Cała konstrukcja falowała w rozgrzanym powietrzu, nierzeczywista i nedorzeczna, oparta na pożeranym ogniem szkielecie i obszyta wydętym płonącym jedwabiem. Catherine poczuła, że spada do góry, prosto w tę pozogę. Zakręciło się jej w głowie i straciła przytomność.

Ocknęła się najdalej po paru sekundach, ponieważ nic się przez ten czas nie zmieniło - poza tym, że zapalił się materiał wyściełający dno komory. Płomienie ryczały ogłuszająco, drewno pękało z hukiem jak przy eksplozji, w nozdrzach czuła gryzący dym. Z najwyższym wysiłkiem wstała (omal znów nie tracąc przy tym przytomności) i przyciskając ręką ranę w boku, powlokła się do wyjścia. Przy wylocie korytarza upadła i dalej musiała się czołgać, dławiąc się wypełniającym korytarz dymem. Oczy jej łzawiły, gdy pełzła na brzuchu, podciągając się na rękach. Kilka razy niemal zemdląła, zanim dotarła do sąsiedniej komory, którą przebrnęła - potykając się, na czworakach, z częstymi przerwami dla złapania tchu i powstrzymania bólu w boku - okrężną drogą między kałużami płonącej cieczy i sterczącymi wszędzie czerwonymi brodawkowatymi naroślami. Dalej, do gardzieli. Kusiło ją, żeby poddać się panującej tam ciemności, żeby odpuścić, ale posuwała się dalej - już nie była popychana strachem, lecz instynktem samozachowawczym, posłuszna impulsowi, który kazał jej nie ustawać w wysiłkach. Obraz rozmywał się jej przed oczami, na skraju pola widzenia tańczyły czarne plamy i kiedy dostrzegła w oddali światło dnia i dziwaczną menażerię kształtów tworzonych przez splątane gałęzie i liście, pomyślała, że teraz może się zatrzymać, bo tego właśnie chciała - zobaczyć prawdziwe światło, zamiast umierać w upiornej poświacie krwi Griaule'a.

Położyła się ostrożnie wśród paproci, oparta plecami o ścianę gardła; przypomniła sobie, że w takiej samej pozycji spędziła przed laty pierwszą noc we wnętrzu smoka. Zaczęła osuwać się w mrok, gasnąc, kurczyć się w sobie, gdy wtem zaniepokoił ją narastający szmer i

szelest. Chwilę później z gardzieli wyroiły się miriady owadów. Przelatywały jej nad głową z pośpiesznym furkotem, ich mrowie prawie całkowicie przesłoniło wpadające do paszczy światło. Wysoko w górze, niby cienie pajaków, mały huśtały się na zwisających z podniebienia lianach, również zmierzając na zewnątrz, podobnie jak mnóstwo pędzącego na złamanie karku zwierzęcego drobiazgu, który szeleścił w poszyciu. Na widok tej powszechnej ucieczki poczuła, że wykonała swoje zadanie. Odprężyła się, oparłszy głowę o ciało Griaule'a. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio ogarnął ją taki spokój. Miała szczerze dość narkotyków, samotności, przemocy i życia w ogóle. Przez chwilę jeszcze martwiła się o Milusich, których nigdzie nie było widać, ale zdała sobie sprawę, że pewnie zachowają się dokładnie tak samo jak ich odległy przodek: przyczają się w gąszczu i przeczekają.

Zamknęła oczy. Ból w boku, odczuwany w tej chwili jako odległe pulsowanie, zupełnie jej już nie martwił - przeciwnie, rytm tego pulsu jakby unosił ją ku górze.

Ktoś do niej mówił, wołał ją po imieniu, ale powstrzymała odruch otwarcia oczu. Nie chciała wracać. Zresztą, na pewno tylko jej się wydawało. Głos jednak nadal rozbrzmiewał, coraz bardziej natarczywy, więc w końcu uniosła powieki - i prychnęła śmiechem na widok klęczącego przed nią Amosa Mauldry'ego, mglistego i niewyraźnego niczym duch. Najwyraźniej miała również halucynacje wzrokowe.

- Słyszysz mnie, Catherine? - zapytał.

- Nie - odparła i znów się roześmiała, za co tym razem przyszło jej zapłacić ciężką zadyszka. Odczuła swoją słabość w zupełnie nowy, bolesny i przerażający sposób.

- Catherine?

Zamrugnęła, mając nadzieję, że Mauldry zniknie, ale on tylko wyraźniej się zmaterializował, tak jakby z wolna porzucała życie i przechodziła do jego świata.

- O co chodzi, Mauldry? - Zakaszłała. - Chcesz mnie zaprowadzić do nieba? Po to przyszedłeś?

W odpowiedzi poruszył wargami i Catherine odniosła wrażenie, że próbuje ją pocieszyć, ale nawet wyciągając słuch, nie była w stanie usłyszeć jego słów. Zresztą i tak zaczynał już blaknąć i mętnieć, co najlepiej dowodziło, że jest zjawą - a jednak, kiedy traciła przytomność i przeżywała ostatnią chwilę paniki, dałaby sobie głowę uciąć, że złapał ją za rękę.

\* \* \*

Ocknęła się w pulsującej złocistej poświacie i zobaczyła przed sobą twarz, którą rozpoznała dopiero po dłuższej chwili, gdyż wyglądała zupełnie inaczej, niż ją sobie przez ostatnie kilka lat wyobrażała: to była jej twarz. Leżała nieruchomo, próbując ogarnąć

sytuację. Nie rozumiała, dlaczego nadal żyje, zastanawiała się, co może oznaczać widok tej twarzy i dlaczego nie odczuwa strachu. Czuła się silna, spokojna, czujna. Usiadła. Znajdowała się w małej komorze rozświetlanej złotą krwią, tętniącą w żyłach, których siateczka pokrywała sufit; ściany przesłaniał gęszcz roślin o połyskliwych ciemnozielonych liściach. Ciało - jej ciało - leżało na plecach, ubrane w koszulę, która z jednego boku przesiąkła krwią. Obok dostrzegła złożoną świeżą koszulę i spodnie, a na nich parę sandałów.

Obejrzała swój bok: rana zniknęła bez śladu. Uczucie ulgi walczyło w niej ze wzdrganiem dla samej siebie. Zrozumiała, że w jakiś sposób została przeniesiona do zagłębienia z upioroślą, która przeniosła jej esencję do drugiego ciała - a zarazem wzdrygała się przed przyjęciem tego faktu do wiadomości, tym bardziej, że przecież czuła się dokładnie tak samo jak przedtem... Nie licząc przyływu siły i spokoju oraz kompletnego braku łaknienia brianiny. Próbowwała zaprzeczyć faktom, nie zgodzić się na bycie przedmiotem, dziwacznym wytworem rośliny; wydawało jej się, że jej myśli, takie zwyczajne i znajome, najlepiej dowodzą, że ma rację - tyle że ciało stanowiło jeszcze mocniejszy dowód, że jednak się myli. Najchętniej uciekłyby w bezpieczne objęcia paniki, na co jednak nie pozwalało jej ogólne dobre samopoczucie.

Zrobiło jej się zimno, na skórze wystąpiły guzki gęsiej skórki i niechętnie włożyła przygotowane ubranie. Wyczuła coś twardego w kieszeni na piersi. Zajrzała tam i wyjęła skórzaną sakiewkę, a rozwiązawszy jej troczek, wysypała na dłoń fortunę w oszlifowanych klejnotach: diamentach, szmaragdach i kamieniach słonecznych. Nie bardzo wiedząc, co z nimi począć, schowała sakiewkę z powrotem do kieszeni.

Spojrzała na leżące ciało. Bardzo się zmieniło od czasów młodości - wyszczuplało, stało się mniej bujne, a znieruchomiła w pośmiertnym spokoju twarz, która straciła blask i idealne rysy, upodobniła się do przeciętnej twarzy atrakcyjnej kobiety... Zniechęconej kobiety. Wydawało jej się, że powinna coś czuć, że ten widok powinien ją jakoś przytłoczyć, tymczasem nie wywołał w niej żadnej reakcji. Tak jakby oglądała skórę, którą wcześniej zrzuciła. Nic ważnego.

Nie wiedziała, dokąd pójść, ale zdawała sobie sprawę, że nie może wiecznie siedzieć w tym miejscu. Obrzuciła więc zwłoki ostatnim spojrzeniem i zagłębiła się w wąski tunel wyjściowy. Dotarłszy do korytarza, znów się zawahała - nie wiedziała ani w którą stronę powinna pójść, ani nawet który kierunek jest dla niej otwarty. Ostatecznie postanowiła nie drażnić Griaule'a i ruszyła w głąb jego ciała, do kolonii, z zamiarem wspomżenia Milusich w jej odbudowie. Nie uszła jednak nawet dziesięciu stóp, gdy usłyszała, jak Mauldry woła ją po imieniu.

Stał przy wylocie tunelu, z którego przed chwilą się wynurzyła, ubrany tak samo jak w pierwszym dniu ich znajomości - w aksamitny surdut - wsparty na lasce ze złotą główką. Catherine podeszła bliżej i jego pomarszczona twarz rozpromieniła się w uśmiechu. Pokiwał głową, jakby zadowolony z jej zmartwychwstania.

- Zdziwiona?

- Ja... Nie wiem - odparła nieco zalękniona. - To byłeś ty, tam... w paszczy?

Uklonił się uprzejmie.

- We własnej osobie. Kiedy wszystko się uspokoiło, kazałem Milusim przenieść cię do tamtej komory. Właściwie, nie tyle kazałem, ile wypełniłem wolę Griaule'a w tej kwestii. Zaglądałaś do kieszeni koszuli?

- Tak.

- Czyli znalazłaś kamienie? To dobrze, bardzo dobrze.

Catherine nie wiedziała, co powiedzieć.

- Kiedyś już mi się wydawało, że cię widziałam. Kilka lat temu.

- Na pewno. Po moim odrodzeniu - Mauldry skinął w stronę komory upiorośli - nie byłem ci już potrzebny. Wydeptywałaś sobie własną ścieżkę i moja obecność tylko by ci przeszkadzała. Ukryłem się więc wśród Milusich, czekając na chwilę, kiedy znów będę użyteczny. - Zmrużył oczy. - Coś cię trapi.

- Nic z tego nie rozumiem. Jak mogę się czuć jak dawna Catherine, skoro to oczywiste, że jestem kimś innym.

- Czyżby? A czy tożsamość bądź różność nie jest tylko kwestią naszych odczuć? - Wziął ją pod rękę i pociągnął w stronę wyjścia. - Przyzwyczaisz się. Ja się przyzwyczailem, chociaż po przebudzeniu zareagowałem tak samo jak ty. - Rozłożył ręce, zachęcając, by mu się przyjrzała. - Wyglądam jakoś inaczej? A może jednak jestem tym samym głupcem co dawniej?

- Na to wygląda - odparła z przekąsem.

Przeszli kawałek w milczeniu.

- A Milusi? - zapytała w końcu Catherine. - Czy oni też...

- Odrodzenie jest tylko dla wybrańców. Milusi otrzymują nagrodę innego rodzaju, której zrozumienie nie jest mi dane.

- Nazywasz to nagrodą? Dalszą podległość kaprysom Griaule'a? A co ze mną? Mam teraz przewidzieć moment, w którym dozna skurczu kiszek?

Mauldry zatrzymał się i zmarszczył brwi.

- Jak to co z tobą? Zrobisz, co zechcesz, Catherine. Myślałem, że będziesz chciała

odejść, ale masz wolną rękę. Za klejnoty, które ci dałem, możesz wieść życie, jakie tylko ci się zamarzy.

- Mogę odejść?

- Naturalnie. Osiągnęłaś wyznaczony cel, jesteś teraz panią samej siebie. Pytanie brzmi: czy chcesz odejść?

Catherine zaniemówiła. Skinęła głową.

- W takim razie... - Mauldry znów ujął ją pod łokieć. - Chodźmy.

Kiedy szli do następnej komory, a następnie do gardła, Catherine czuła się tak, jak podobno czują się ludzie w chwili zgonu - wszystkie wspomnienia z życia we wnętrzu smoka przesuwają się jej przed oczami, razem z towarzyszącymi im emocjami: ucieczka, praca, badania, John, długie godziny spędzone w osierdziu. Przyszło jej do głowy, że to bardzo odpowiednia reakcja, gdyż w istocie nie wraca do dawnego życia, tylko przechodzi do czegoś w rodzaju życia po śmierci, równie nowego i obcego, jak niegdyś wydał się jej Griaule. Z najwyższym zdumieniem uświadomiła sobie, że przerażają ją nowe możliwości; że jej wymarzona przyszłość może okazać się groźna i że to smok jest dla niej w tej chwili najlepszym gwarantem bezpieczeństwa. Kilka razy myślała o tym, żeby zawrócić, ale zawsze wtedy besztala się w duchu za tę strachliwość i parła naprzód. Kiedy jednak dotarli do paszczy i zaczęli kluczyć wśród zarośli, jej lęk się wzmógł. Światło słońca - to samo, które jeszcze nie tak dawno ją wabiło - teraz boleśnie kłuło w oczy. Miała ochotę cofnąć się i schronić w złotym półmroku smoczej krwi. Kiedy zaś zbliżyli się do skraju paszczy i na Catherine padł cień kła, zaczęła się trząść z zimna. Zatrzymała się i objęła ramionami.

Mauldry stanął naprzeciw niej i szturchnął ją w rękę.

- O co chodzi? - spytał. - Boisz się czegoś?

- Tak. - Podniosła na niego wzrok. - Może...

- Nie wygłupiaj się. Kiedy stąd odejdziesz, poczujesz się lepiej. - Mauldry zerknął na opadające ku zachodowi słońce. - Powinnaś się pośpieszyć, lepiej nie kręcić się w pobliżu paszczy po zmroku. Wątpię, żeby stała ci się krzywda, ale ponieważ nie jesteś już częścią planu Griaule'a... Lepiej dmuchać na zimne. - Pchnął ją lekko. - No, zmykaj.

- Ty nie idziesz?

- Ja? - Mauldry parsknął śmiechem. - A co ja bym tam robił? Jestem stary, mam swoje przyzwyczajenia... Nie, lepiej mi będzie z Milusimi. Zwłaszcza że przez te lata sam stałem się takim pół-Milusim. Ty to co innego: jesteś młoda, masz całe życie przed sobą. - Znów szturchnął Catherine. - Rób, jak ci radzę, dziewczyno. Nie ma sensu, żebyś tu tkwiła.

Zrobiła dwa kroki w stronę krawędzi - i znów się zatrzymała. Polubiła tego staruszka.

Nie zbliżyli się przesadnie do siebie, ale zawsze był dla niej jak ojciec... Na myśl o tym, i o swoim prawdziwym ojcu, o którym przez ostatnie lata właściwie zapomniała i z którym też nie potrafiła być blisko, uświadomiła sobie, jak wielu rzeczy mogłaby z tęsknotą wyczekiwać i jak wiele mogłaby odzyskać. Ruszyła bardziej stanowczym krokiem i zagłębiła się w gąszcz.

- Zuch dziewczyna! - zawołał za nią Mauldry. - Idź, nie zatrzymuj się, a wkrótce poczujesz się lepiej. Nie musisz się niczego bać... a na pewno nie czegoś, przed czym mogłabyś uciec. Do widzenia! Żegnaj!

Odwróciła się, pomachała mu i zobaczyła, jak macha jej laską na pożegnanie. Roześmiała się, rozbawiona jego ekscentrycznym wyglądem: śmieszny mały ludzik w aksamitnych łachmanach, podskakujący w rozległym cieniu smoczycich kłków. Sama już wyszła z tego cienia i ciepłe, mocne światło oblało ją i ogrzało, jakby przesywało na wylot i roztopiało lód zalegający w jej kościach i myślach.

- Żegnaj! - zawołał Mauldry. - I nie smuć się! Nie zostawiasz za sobą niczego ważnego; to, co najlepsze, zabierasz ze sobą. Idź żwawo i myśl o tym, co powiesz ludziom. Będą zdumieni twoimi dokonaniem. Oszołomieni! Opowiedz im o Griaule'u, opowiedz, jaki jest. Powiedz o wszystkim, co widziałaś i czego się nauczyłaś! Opowiedz im o swojej wielkiej przygodzie!

Powrót do Hangtown był pod pewnymi względami doświadczeniem bardziej niepokojącym niż ucieczka w głąb smoka. Spodziewała się, że miasteczko się zmieniło - i rzeczywiście zaszły w nim drobne zmiany, ona jednak oczekiwała, że będzie tak samo inne od dawnego Hangtown jak ona od dawnej Catherine. Tymczasem, kiedy przystanąła na skraju wioski i obrzuciła spojrzeniem szare, sfatygowane chałupiny nad cuchnącymi płyciznami jeziora, rzadki dym z kominów, ponury cień urwistej płyty czołowo-ciemieniowej Griaule'a, gąszcz czeremch i głogów, brunatne ulice, trzech staruszków siedzących na trzciniowych fotelach przed jedną z ruder, palących fajki i przyglądających się jej z nieskrywaną ciekawością... Na pierwszy rzut oka przez ostatnie dziesięć lat nic się nie zmieniło, a to oznaczało, że jej uwięzienie, śmierć i ponowne narodziny nie miały żadnego znaczenia. Nie domagała się bynajmniej, żeby były nie wiadomo jak ważne dla innych ludzi, ale irytowało ją, że świat przetrwał ten ciężki czas bez żadnych wyraźnych blizn. Odczuwała też irracjonalny lęk, że kiedy wejdzie do wioski, w jakiś magiczny sposób cofnie się w czasie i wróci do swojego poprzedniego życia. W końcu jednak niepewnym krokiem podeszła do trójki mężczyzn, życząc im dobrego dnia.

- ...bry - odpowiedział jej łysy brzuchacz z ciemnymi plackami na czaszce i frędzlistą siwą brodą. Rozpoznała w nim Tima Weedlona. - Czym mogę panience służyć? W domu mam ładne kawałki łusek.

- Interesuje mnie tamten dom. - Wskazała stojącą nieopodal porzuconą chałupę bez drzwi, z dziurą w dachu. - Gdzie znajdzie właściciela?

Drugi z mężczyzn, chudy jak modliszka Mardo Koren z twarzą poodbarwianą w plamy i pooraną zmarszczkami, odparł:

- Tego nikt nie wie. Stary Riall nie żyje już... a, będzie z dziewięć, dziesięć lat.

Catherine zrobiło się słabo, jakby ją ktoś ogłuszył.

- Nie żyje?

- Ano nie żyje - potwierdził Weedlon, przyglądając się jej uważnie. Zmarszczył brwi i zrobił zdumioną minę. - Jego córka uciekła. Zabiła miejscowego, niejakiego Willena, i przepadła bez wieści. Tak przynajmniej wszyscy tu myśleli. Potem, jak zaginęli bracia Willena, ludzie doszli do wniosku, że to stary Riall ich załatwił, a on się nie wypierał. W

ogóle zachowywał się, jakby mu było wszystko jedno, czy będzie żył, czy umrze.

- Co było dalej?

- Proces. Uznali go za winnego. - Weedlon pochylił się i zmrużył oczy. - Catherine... to ty?

Skinęła głową, z najwyższym trudem panując nad emocjami.

- Co z nim zrobili?

- Jak to możliwe? Gdzie się podziewałaś?

- Co się stało z moim ojcem?

- Na Boga, Catherine, wiesz chyba, co się u nas robi z mordercami. Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale później prawda wyszła na jaw.

- Zabrali go pod skrzydło... i tam... zostawili. - Zacisnęła pięści, paznokcie wbiły się boleśnie w dłoń. - Tak właśnie zrobili?

Weedlon spuścił wzrok i zaczął skubać postrzępioną nogawkę spodni.

Łzy napłynęły Catherine do oczu. Odwróciła się i przeniosła wzrok na omszały klif płyty czołowo-ciemieniowej.

- Mówiłeś, że prawda w końcu wyszła na jaw?

- Ano tak. Jedna dziewczyna przyznała się, że wszystko widziała. Ponoć Willenowie zapędzili cię do paszczy Griaule'a. Zgłosiłaby się wcześniej, ale stary Willen ją zastraszył, groził, że ją zabije. Może ją pamiętasz, przyjaźniłyście się, jeśli mnie pamięć nie myli: Brianne.

Catherine okręciła się na pięcie i jadowitym głosem powtórzyła to imię.

- Nie byliście przyjaciółkami?

- Co się z nią stało?

- Nic... Co się miało stać? Wyszła za męża za Zeva Mallisona, dorobili się gromadki dzieci... Pewnie jest w domu, gdybyś chciała się z nią zobaczyć. Wiesz, gdzie mieszkają Mallisonowie, prawda?

- Wiem.

- Chcesz się dowiedzieć więcej, wpadnij tam i pogadaj z Brianne.

- Chyba tak zrobię... Tak, na pewno.

- A teraz powiedz nam, gdzie przez ten czas byłaś, Catherine? Dziesięć lat! Co takiego ważnego robiłaś, że cię tyle czasu nie było w domu?

Chłód rozlewał się po jej ciele, skuwał je jak lodem.

- Tak sobie myślę, Tim... Tak sobie myślę, że skoro już wróciłam, to może pozbię trochę łusek? Z sentymentu, rozumiesz. - Czuła, że głos jej drży, i próbowała nad nim



zapanować. Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Pożyczyłbyś mi swoje haki?

- Haki? - Weedlon podrapał się po głowie. Było widać, że nadal nie wie, co o niej myśleć. - Pewnie, czemu nie... Nie powiesz nam, gdzie byłaś? Myśleliśmy, że nie żyjesz.

- Powiem, obiecuję. Zanim znów odejdę, przyjdę i wszystko ci opowiem, dobrze?

- W porządku. - Weedlon dźwignął się z fotela. - Ale to okrutne z twojej strony, Catherine.

- Nie bardziej niż to, przez co przeszedłam - odparła z roztargnieniem. - Uwierz mi.

- Zaraz, jak to?

- Słucham?

Weedlon spojrzał na nią podejrzliwie.

- Powiedziałem, że to okrutne, trzymać starego człowieka w niepewności, nie mówiąc mu, co się z tobą działo. Przecież to będzie najsmakowitsza plotka od lat! A ty mi mówisz...

- Ojej, przepraszam, myślałam o czymś innym.

\* \* \*

Chałupa Mallisonów należała do największych w Hangtown - składała się z sześciu izb, których większość dobudowano już po zniknięciu Catherine - jej rozmiary nie dowodziły jednak bogactwa i statusu właścicieli, lecz rozlewającej się coraz szerzej nędzy. Obok schodków prowadzących do koślawo zawieszonych drzwi wały się kości, skórki z mango i inne odpadki. Muszki owocowe kołowały nad łupiną arbuza. Szary pies ze sterczącymi żebrami zniknął za węglem. W powietrzu unosił się smrodek smażonej cebuli i gotowanych warzyw. Z domu dobiegał płaczliwy krzyk dziecka. Rudera wydała się Catherine kłamstwem, jej niepozorna fasada skrywała potworną rzeczywistość: kobietę, która ją zdradziła i zabiła jej ojca. Mimo to, oplakany stan domostwa nieco złagodził jej gniew. Weszła na schodki. Z wnętrza domu dobiegł głuchy łoskot, jakby coś ciężkiego upadło na podłogę, a zaraz potem rozległ się kobiecy krzyk. Głos był chrapliwy, niższy niż go pamiętała, ale nie miała wątpliwości, że należy do Brianne. To wystarczyło, żeby znów wprawić ją w mściwy nastrój.

Zapukała do drzwi jednym z pożyczonych od Weedlona haków. Drzwi się otworzyły i stanęła oko w oko z kobietą o oliwkowej cerze, z siwymi pasmami w kasztanowych włosach, ubraną w podartą spódnicę szarej barwy - w takim samym odcieniu jak sfatygowane deski ścian, tak jakby była naturalnym produktem środowiska. Kobieta zmierzyła Catherine nieprzyjaznym wzrokiem.

- Czego?

To była Brianne - ale Brianne zdeformowana, rozplywająca się, roztopiona jak wosk na słońcu: bez talii, z pogrubionymi rysami twarzy i obwisłymi policzkami. Wstrząs

wesbraną falą zmył złość Catherine. Taki sam szok odmalował się również na twarzy Brianne.

- Nie - powiedziała półprzytomnie, jakby zaprzeczała jakiemuś błahemu oskarżeniu. - Nie! - krzyknęła i zatrasnęła drzwi.

Catherine załomotała w nie z krzykiem.

- Brianne! Niech cię szlag, Brianne!

Z wściekłością uderzyła hakiem w drzwi. Ostrze wgryzło się głęboko w drewno i kiedy próbowała je wyszarpnąć, poluzowała deskę. Podważyła ją i wyłamała, gwoździe puściły z jękiem udreżonego metalu. Przez otwór było widać Brianne skuloną pod ścianą zapuszczonej izby. Obejmowała ubranego w krótkie spodenki chłopczyka.

Używając haka jak łomu, Catherine wyłamała następną deskę, sięgnęła przez otwór do środka i otworzyła zasuwkę. Brianne pociągnęła dziecko za siebie i złapała za miotłę.

- Wynos się! - krzyknęła, wymachując miotłą jak włócznią.

W szarym i nędznym wnętrzu Catherine poczuła się nagle wielka i potężna, świetlista jak słońce w jaskini, i chociaż nie odrywała wzroku od Brianne, kątem oka rejestrowała inne szczegóły: opalany drewnem piec, na nim buchający parą przykryty garnek; przewrócone drewniane krzesło z dziurą w siedzisku; pajęczyny w rogach; szczurze bobki pod ścianą; rozchwieirutany stół, na blacie poobtlukiwana zastawa, a pod spodem gruby na palec kożuch kurzu. Wszystkie te drobiazgi nie budziły w niej jednak litości ani nie tłumiły gniewu - przeciwnie, dostrzegła w nich tylko przedłużenie samej Brianne, nowe obiekty nienawiści.

Podeszła bliżej. Brianne dźgnęła szczotką powietrze między nimi.

- Wynocha... - powiedziała bez przekonania. - Proszę, daj nam spokój.

Catherine uderzeniem haka przecięła powróz wiążący w pęk witki miotły i wytrąciła ją z rąk Brianne. Brianne cofnęła się w kąt obok pieca, ciągnąc za sobą dziecko. Podniosła rękę, zasłaniając się przed ciosem, i powiedziała:

- Nie rób nam krzywdy.

- Niby dlaczego? Dlatego, że masz dzieci? A może dlatego, że masz nieszczęśliwe życie, co? - Catherine splunęła na nią. - Zabiłaś mojego ojca!

- Bałam się! Ojciec Keya... - wyjąkała Brianne.

- Nie interesuje mnie to - przerwała jej spokojnie Catherine. - Nie obchodzi mnie, dlaczego to zrobiłaś. Tak jak nie obchodzą mnie powody, dla których mnie zdradziłaś.

- Otóż to! Nigdy nic cię nie obchodziło! - Brianne dramatycznym gestem złapała się za pierś. - Zabiłaś moje serce! Glynn też cię nie obchodził, chciałaś go tylko dlatego, że do ciebie nie należał!

Chwilę trwało, zanim Catherine skojarzyła, o kim mowa. Glynn był dawnym kochankiem Brianne. Dotarło do niej, że to jej własna bezdusność i zachłanność zainicjowały ciąg wydarzeń, które rozegrały się na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat. Ta świadomość obudziła w niej wyrzuty sumienia, lecz nie zgasiła gniewu: zbrodnie Brianne miały kaliber wielokrotnie cięższy niż jej własne ekscesy. Nadal jednak nie wiedziała, co zrobić, sama idea sprawiedliwości zaczęła ją uwierać. Przyszło jej do głowy, żeby rzucić hak i wyjść, zostawić zemstę niewiadomym siłom rządzącym przeznaczeniem mieszkańców Hangtown. Wtedy jednak Brianne przestąpiła z nogi na nogę, odchrząknęła - i w Catherine wściekłość wezbrała na nowo.

- Nie wypominaj mi tego - odparła tonem beznamiętnej groźby. - Cokolwiek ci zrobiłam, nie usprawiedliwiało tego, co ty zrobiłaś mnie. Nie masz pojęcia, co mi zrobiłaś!

Uniosła hak do ciosu. Brianne skuliła się - w kącie. Chłopczyk wyciągnął szyję i załzawionymi oczami spojrzał na Catherine.

To ją powstrzymało.

- Każ mu wyjść - powiedziała do Brianne.

Brianne pochyliła się nad dzieckiem.

- Idź do taty - powiedziała.

- Nie, zaczekaj. - Catherine zaniepokoiła się, że chłopiec sprowadzi ojca.

- A co, musisz zabić nas oboje? - spytała Brianne ochryłym z emocji głosem.

Słyszając to, chłopczyk znów się rozplakał.

- Przestań - powiedziała do niego Catherine, a gdy nie posłuchał, powtórzyła polecenie, podnosząc głos.

Dzieciak wtulił się w spódnicę matki. Szloch przycichł.

- No, dalej! - wykrzyknęła Brianne z twarzą wykrzywioną strachem. - Zrób to!

I też wybuchnęła płaczem. Skuliła się, czekając na cios. Catherine podeszła do niej, złapała ją za włosy i odchyliła jej głowę w tył, odsłaniając szyję. Przytknęła czubek haka do pulsującej tętnicy. Brianne przewróciła oczami w dół, wzrokiem szukając ostrza. Oddychała szybko, głośno, chrapliwie. Chłopczyk - złapany w potrzask między nimi dwiema - wił się i zawodził. Catherine zadrżała ręką i hak przebił skórę. Na ostrzu zalśniła kropelka krwi. Brianne zeszywniała, zatrzepotała powiekami, zamknęła oczy i rozdziawiła usta w wyrazie - tak przynajmniej widziała to Catherine - ekstatycznego wyczekiwania. Patrząc na tę twarz z bliska, Catherine czuła, jak jej emocje podlegają oczyszczeniu, rozciągają się jak nieskończenie cienki drut. Z przyjemnością obserwowała otaczający ją spokój, bezruch napiętych mięśni Brianne, puls w jej szyi wprawiający hak w delikatne drzenie. Nie

przycisnęła ostrza, napawając się przedłużonym cierpieniem Brianne.

Nagle jednak hak zrobił się dziwnie ciężki i Catherine zrozumiała, że właściwa chwila minęła bezpowrotnie; żądza zemsty straciła impet, przymus zniknął, afekt ustąpił. Wyobraziła sobie, jak nadziewa Brianne na hak - a potem wyobraziła sobie, jak wlecze ją na spotkanie z wioskowym trybunałem, zmusza do wyznania kłamstw i słucha wyroku skazującego ją na porzucenie pod skrzydłem Griaule'a na pastwę żerujących tam istot. Owszem, wizja umierającej lub martwej Brianne sprawiła jej pewną satysfakcję, ale przy tej okazji okazało się, że szczytowym aspektem zemsty było wyczekiwanie na moment, w którym się dokona, natomiast doprowadzenie sprawy do końca popsułoby ten efekt. Irytowało ją, że nie będzie żadnego zadośćuczynienia za te wszystkie lata i wszystkie zgony. Przyszło jej też do głowy, że musiała się zmienić bardziej niż sądziła, skoro tak łatwo odpuszcza sobie zemstę - i wtedy zaczęła się zastanawiać nad naturą tych zmian. Czy naprawdę była sobą, czy tylko magiczną podróbką dawnej Catherine? Nagle dotarło do niej, że sama przemiana była dla niej zadośćuczynieniem, a pragnienie zemsty jest pozostałością z poprzedniego żywota. W tym nowym życiu (którego charakter na razie pozostawał przed nią ukryty) będzie musiała znaleźć sobie nową motywację, odrzucić stare żale i przebrzmiałe namiętności.

To spostrzeżenie uderzyło ją z siłą objawienia. Wypuściła powietrze z płuc z długim, dźwięcznym westchnieniem, wraz z nim pozbywając się smutnych wibracji przeszłości, osadów dawnych miłości i nienawiści. Dopiero teraz uwierzyła, że nie jest więźniem smoka. Czuliła się nową osobą, poddaną nowym przymusom, żywą jak żyta, silną jak pszenica, stanowczo zbyt silną na to, by trwać w tak bezbarwnym otoczeniu. Właściwie nie bardzo już pamiętała, po co w ogóle przyszła do Hangtown.

Patrząc na Brianne i jej syna, odczuwała tylko cień niedawnej nienawiści. Nie byli już obiektami jej litości ani gniewu, lecz obcymi, nic nieznaczącymi bytami zamkniętymi w więzieniu szacunku dla samych siebie. Bez słowa okręciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia. Mocno wbiła hak w ścianę w geście zajadłej rezygnacji, zatrzasnęła za sobą drzwi gniewu i otworzyła drugie, nowe, wiodące do niezbadanych krain. Opuściła wioskę, nie zaspokoiwszy głodu plotek Tima Weedlona. Szła wzdłuż grzbietu Griaule'a, przedzierała się przez gąszcz, forsowała strumienie. Nie zauważyła nawet, że weszła na sąsiednie wzgórze i zostawiła smoka daleko za sobą.

Po trzech tygodniach dotarła do Cabrecaveli, niewielkiej miejsciny na przeciwległym krańcu doliny Carbonales, gdzie za otrzymane od Mauldry'ego klejnoty kupiła dom. Osiedła w nim i zaczęła pisać o Griaule'u - nie tworzyła jednak pamiętnika, lecz dzieło naukowe, analizując z perspektywy czasu wybrane spekulacje metafizyczne. Nie chciała publikować

relacji ze swoich przygód, uważała je za banalne w porównaniu z głównymi przedmiotami swoich zainteresowań, czyli fizjologią i ekologią smoka. Po wydaniu książki, którą zatytułowała *Milenium serca*, doświadczyła krótkich chwil sławy. Wzdragała się jednak przed podróżami i odrzucała propozycje wykładów i okazje do brylowania w towarzystwie; posiadaną wiedzę wołała przekazywać poprzez nauczanie w miejscowej szkole oraz prywatne rozmowy z odwiedzającymi ją naukowcami z Port Chantay. Niektórzy z nich znali Johna Colmacosa, ale Catherine nigdy nie wspominała o łączącym ją z nim związku. Uważała, że jego wizja w jej wspomnieniach nie wymaga korekty, nie jest jednak wykluczone, że nie była to ocena do końca sprawiedliwa - całkiem możliwe, że po prostu nie pogodziła się z tym wycinkiem swojej przeszłości, zwłaszcza że pięć lat po tym, jak wróciła do świata żywych, wyszła za mąż właśnie za jednego z tych naukowców, niejakiego Briana Ocoi, który spokojnym stylem bycia, a także skromnością i łatwością wypowiedzi do złudzenia przypominał Colmacosa.

Niewiele wiadomo o jej późniejszych losach - poza tym, że urodziła dwóch synów, a dalszą pracę pisarską ograniczyła do osobistego dziennika, który nie został opublikowany. Mówi się jednak o niej (podobnie jak o wszystkich tych, którzy w cieniu innych smoków, widocznych spod całkiem zwyczajnie wyglądających kopców ziemi i trawy, dokonują podobnych aktów wiary, wierząc, że łagodna stabilność ich więzów służy rozszerzaniu, nie zaś zawężaniu granic tego świata-więzienia), że żyła potem długo i szczęśliwie. Tyle tylko, że w końcu umarła. A wcześniej pękło jej serce.

# OJCIEC KAMIENI

Mieszkańcy Port Chantay nie są zgodni co do tego, w jaki sposób Ojciec Kamieni znalazł się w posiadaniu szlifierza Williama Lemos. To, że Lemos nabył kamień od importera Henry'ego Sichi, nie podlega dyskusji; nie budzi również wątpliwości fakt, że wcześniej Sichi odkupił go od krawca z Teocinte za kilkanaście bel surowego jedwabiu. Mimo że sam krawiec nie potwierdził tej informacji, świadkowie pozostają zgodni, iż odebrał go przemocą swojej siostrzenicy, która wypatrzyła klejnot, gdy połyskiwał w kępie paproci rosnącej pod wargą smoka Griaule'a. Jak jednak doszło do tego, że akurat w tamtej chwili kamień znajdował się w tym właśnie miejscu - oto prawdziwy przedmiot niekończącej się debaty. Niektórzy utrzymują, że jest naturalnym wytworem smoka, powolnym produktem jego ciała, czymś na kształt narośli, która umożliwiła mu realizację planu polegającego na popchnięciu Lemos (zamieszkałego poza naturalnym obszarem dominacji Griaule'a) do spełnienia jego woli w sprawie kapłana Mario Zemaille'a i Świątyni Smoka. Inni mówią, że owszem, Griaule jest zadziwiającym zjawiskiem (stwór wielki jak góra, który - unieruchomiony od tysięcy lat, po przegranym magicznym pojedynku - subtelną siłą woli kieruje poczynaniami mieszkańców doliny Carbonales, dyskretnie pociąga za sznurki i niepostrzeżenie wpływa na najbardziej nawet złożone wydarzenia), ale wierzyć, że jego guzy czy kamienie nerkowe przybierają postać cudownych klejnotów... No, to już jest lekka przesada. Twierdzą również, że Lemos usiłuje po prostu wpływem Griaule'a wytłumaczyć swoją zbrodnię, a sam Ojciec Kamieni jest pozostałością smoczego skarbu, porzuconą w okolicy pyska smoka przez któregoś z pożałowania godnych półgłówków zamieszkujących jego wnętrze. Ależ to oczywiste, że właśnie w taki sposób kamień się tam znalazł, odpowiadają ich oponenty. Czyżbyście uważali Griaule'a za niezdolnego do tak prościutkiej manipulacji, jak rozkazanie jednemu ze swoich sług, by ten o wyznaczonej porze podrzucił klejnot w określone miejsce? Co się zaś tyczy pochodzenia kamienia... Mamy do czynienia z potężną, tajemniczą i niemal nieśmiertelną istotą, na której ciele istnieją wsie, rosną lasy i żyją pasożyty zdolne niszczyć całe miasta. Czy zatem możliwość, że taka istota w jakimś ciemnym zakamarku swojego wnętrza wykształciła Ojca Kamieni, naprawdę jest aż tak nieprawdopodobna?

Ale swary na bok - oto fakty. Kilka lat temu, w pewną mglistą lutową noc na

posterunek policji w Port Chantay wparował młody chłopak z wiadomością, że Mardo Zemaille, kapłan Świątyni Smoka, został zamordowany, a jego zabójca, William Lemos, czeka przy świątynnej bramie na zaszczyt spotkania z policją. Kiedy funkcjonariusze dotarli na miejsce zbrodni (Świątynia Smoka znajdowała się kilkaset jardów od nasady Cypla Aylera), zastali tam przechadzającego się w tę i z powrotem Lemos - bladego czterdziestotrzyletniego mężczyznę o rudawo-złoty włosach, sympatycznej, choć całkiem przeciętnej twarzy, i szarych oczach przywodzącego na myśl roztargnionego naukowca. Skuwszy go, weszli na teren kompleksu świątynnego, który - co dziwne - był całkowicie opustoszały. W narożnym budynku znaleźli Zemaille'a: leżał z roztrzaskaną czaszką obok ołtarza z czarnego marmuru. Śmiertelny cios zadano mlecznym klejnotem wielkości pięści. Kamień był podłej jakości; z jednej strony nieobrobiony i szorstki, co zapewniało dobry chwyt, gdyby ktoś chciał nim rzucić, z drugiej zaś oszlifowany w ozdobne fasety o ostrych krawędziach. Na ołtarzu leżała Mirielle, córka Lemos, oszołomiona jakimś narkotykiem. Port Chantay było wprawdzie dużym miastem, nie tak jednak znowu ogromnym, żeby policjanci nie wiedzieli o konflikcie tłącym się między Lemosem i Zemaillem. Żona tego pierwszego, Patricia, która trzy lata wcześniej utonęła w morzu w okolicy Cypla Aylera (mówiło się, że przebywała w odwiedzinach u kochanka, zamożnego dżentelmena, którego dom stał na czubku cypla), w testamencie zapisała przypadającą jej w udziale część rodzinnego biznesu szlifierskiego Mirielle, a ona - poważnie zaangażowana w kult smoka i w związek uczuciowy z Zemaillem - oddała ten majątek świątyni. Zemaille, który zwykł był wykorzystywać szlachetne kamienie w odprawianych przez siebie rytuałach, wkrótce zaczął swobodnie czerpać z zasobów warsztatu jubilerskiego Lemosów. Wyglądało na to, że zbliżający się nieuchronnie upadek firmy, a także odrzucenie przez córkę, w połączeniu z jej wyuzdaną, rozpustną uległością wobec kapłana, wpędziły Lemosą w skrajną rozpacz i doprowadziły do morderstwa. Mając podejrzanego, który przyznał się do winy, oczywisty motyw, oraz bogactwo dowodów rzeczowych, policjanci spodziewali się rychłego i sprawiedliwego wyroku. Nie przewidzieli jednak linii obrony Lemos. Nie przewidział jej zresztą nawet jego adwokat, Adam Korrogly - na to przynajmniej wskazywała jego pierwsza reakcja.

- Pan chyba oszalał - powiedział, gdy Lemos przedstawił mu swoją wersję wydarzeń. - Albo jest pan diabelnie przebiegły.

- Taka po prostu jest prawda - odparł pośpiesznie Lemos.

Siedział zgarbiony na krześle w pokoju przesłuchań. Oświetlenie stanowiła podwieszona pod sufitem szklana kula wypełniona grudami fosforyzującego mchu. Lemos



wpatrywał się w swoje oparte na drewnianym stole dłonie takim wzrokiem, jakby nie potrafił pogodzić się z myślą, że go zdradziły.

Korrogly - wysoki, żywiolowy brunet z powiększającą się łysiną i twarzą jakby wyrzeźbioną w gładkim białym drewnie - podszedł do drzwi.

- Wiem, co mi pan sugeruje - powiedział, zwrócony plecami do Lemos.

- Niczego nie sugeruję. Nie obchodzi mnie, co sobie pan pomyśli. Powiedziałem prawdę.

- Powinno pana bardzo obchodzić, co sobie pomyślę. - Korrogly się odwrócił. - Po pierwsze, wcale nie muszę wziąć pańskiej sprawy. Po drugie, moje wystąpienie będzie o wiele bardziej wiarygodne, jeśli panu uwierzę.

Lemos uniósł głowę i spojrzał Korrogly'emu w oczy z wyrazem bezgranicznej rozpacz; przez chwilę adwokat poczuł się tak, jakby dostał pięścią w twarz.

- Zrobi pan, co zechce. Jakość pańskiego wystąpienia nie ma dla mnie znaczenia.

Korrogly podszedł do stołu, pochylił się nad nim i oparł o blat w taki sposób, że czubkami palców rozczapierzonych dłoni niemal dotykał palców Lemos. Lemos nie cofnął rąk, w ogóle jakby nie zauważył bliskości Korrogly'ego, co dowodziło, że bynajmniej nie udaje i ostatnie wydarzenia naprawdę go przytłoczyły.

Albo to, albo facet ma układ nerwowy jak u ślimaka, pomyślał Korrogly.

- Żąda pan ode mnie, żebym zastosował zupełnie nową, nieznaną dotąd linię obrony. Właściwie to aż dziw, że nikt wcześniej o tym nie pomyślał. Wpływy Griaule'a, przynajmniej w obrębie Carbonales, są niewątpliwe, ale twierdzić, że wypełniał pan jego życzenie, że jego wola, zaklęta w klejnocie, natchnęła pana w ten sposób, że stał się pan jego wysłannikiem... Sam nie wiem.

Lemos sprawiał wrażenie, jakby w ogóle go nie słuchał.

- Mirielle... Nic się jej nie stało? - zapytał po chwili.

- Z Mirielle wszystko w porządku - odparł zirytowany Korrogly. - Czy pan mnie w ogóle słucha?

Lemos spojrzał na niego pytająco.

- Pańska wersja wydarzeń wymaga zastosowania zupełnie nowej linii obrony. Takiej, na którą nikt wcześniej nie wpadł. Wie pan, co to oznacza?

- Nie. - Lemos spuścił wzrok.

- Sędziowie w ogóle nie przepadają za ustanawianiem precedensów, a sędzia, który poprowadzi pański proces, będzie temu szczególnie niechętny, ponieważ Bóg jeden wie, ilu przestępców zaczęłoby się na niego powoływać, żeby uniknąć kary.

Lemos milczał przez dłuższą chwilę.

- Nie rozumiem - powiedział w końcu. - Co pan chce, żebym powiedział?

Obserwując go, Korrogly poczuł się nieswojo. Rozpacz Lemosy wydała mu się zbyt stabilna, niewzruszona, wszechogarniająca. Bronił wielu klientów ogarniętych bezgraniczną rozpaczą, ale nawet do tych najbardziej przygnębionych w którymś momencie docierała groza ich położenia i na ich twarzach malowały się strach, desperacja albo inne tego typu uczucie. Korrogly miał zaś wrażenie, że Lemos jest inteligentnym człowiekiem, zdolnym do subtelnej oszustwa.

- Nic nie musi pan mówić - odparł. - Chcę tylko, żeby pan zrozumiał, na jaką drogę mnie w ten sposób kieruje. Gdybym mógł prosić sąd o łaskawość, uwzględnienie targających panem emocji i bezwzględnego charakteru ofiary, z pewnością udałoby mi się uzyskać łagodny werdykt. Ludzie nie przepadali za Zemaillem; wielu uważa, że miał pan moralne prawo zrobić to, co zrobił.

- To nie byłem ja - zaprzeczył Lemos tonem tak złośliwym, że przez krótką chwilę Korrogly uwierzył mu bez zastrzeżeń.

- Jeśli zaś rzeczywiście poprowadzę obronę w sposób, który sugeruje pan w swojej opowieści - ciągnął Korrogly - wyrok będzie bardzo surowy, może nawet najsurowszy z możliwych. Taki wybór strategii może podsunąć sędziemu myśl, że popełnił pan przestępstwo z premedytacją, a wtedy zaleci przysięgłym nieuwzględnianie żadnych okoliczności łagodzących. Wykluczy możliwość zbrodni w afekcie.

Lemos roześmiał się bez przekonania.

- To pana bawi? - zdziwił się Korrogly.

- Upraszcza pan sprawę, twierdząc, że premedytacja i afekt wzajemnie się wykluczają.

Korrogly cofnął się od stołu, skrzyżował ręce na piersi i przeniósł wzrok na zawieszoną nad ich głowami świetlną kulę.

- Oczywiście nie zawsze tak jest, nie wszystkich zbrodni w afekcie dokonuje się pod wpływem nagłego impulsu; w grę może wchodzić obsesja, nieodparty przymus... Zmierzałem jednak do tego, że sędzia, chcąc uniknąć ustanowienia precedensu, może w zaleceniach dla przysięgłych zamknąć przed nimi te drogi do miłosierdzia.

Lemos wyglądał, jakby znów odpłynął w sen na jawie.

- Jaka zatem jest pańska decyzja? - ponaglił go Korrogly. - Nie mogę pana wyręczyć w jej podjęciu, przedstawiam jedynie pewne zalecenia.

- W tym wypadku zaleca mi pan kłamstwo.

- Skąd ten pomysł?

- Tłumaczy mi pan, że powiedzenie prawdy będzie ryzykowne i lepiej wybrać inną, bezpieczniejszą ścieżkę.

- Ja tylko uświadamiam panu potencjalne zagrożenia.

- Granica dzieląca uświadamianie od zalecania jest bardzo cienka, nieprawdaż?

- Podobnie jak granica między winą i niewinnością! - odparł Korrogly w nadziei, że tymi słowami zmusi Lemosą do jakiejś żywszej reakcji, ale szlifierz tylko odgarnął opadający mu na oczy kosmyk włosów i dalej wpatrywał się w stół. - Doskonale. - Korrogly podniósł z podłogi swoją teczkę. - Domyślałem się zatem, że mam przedstawić pańską sprawę w sądzie tak, jak pan przedstawił ją mnie.

- Mirielle... Poprosi ją pan, żeby przyszła mnie odwiedzić?

- Poproszę.

- Ale dzisiaj? Zrobi to pan jeszcze dzisiaj?

- Chcę się z nią zobaczyć dziś po południu, wtedy zapytam. Policjanci spodziewają się jednak, że najprawdopodobniej odmówi, kiedy poproszę ją o coś w pańskim imieniu. Podobno jest zdruzgotana.

Lemos mruknął coś pod nosem, a gdy Korrogly poprosił go, żeby powtórzył, znowu mruknął tylko:

- Nie, nic.

- Mogę jeszcze coś dla pana zrobić?

Szlifierz pokręcił głową.

- W takim razie przyjdę jutro - powiedział Korrogly.

Chciał pocieszyć Lemosą, powiedzieć mu, żeby nie tracił ducha, ale w obliczu jego bezbrzeżnej rozpacz i własnego narastającego niepokoju przemyślał sprawę i zrezygnował.

\* \* \*

Warsztat jubilerski znajdował się w położonej nad oceanem Almintrze, dzielnicy Port Chantay dotkniętej nędzą i zgnilizną, ale jeszcze nie całkiem przez nie pochłoniętej. Dziesiątki sklepików i warsztatów mieściły się na parterach starych, sfatygowanych domów, zbudowanych na drewnianych szkieletach i zwieńczonych bajkowo stromymi dwuspadowymi dachami. Wyróżniały się wśród nich zamożniejsze domostwa, tworzące wyraźną linię na Cyplu Aylera: przestronne dworki z szerokimi werandami i połączanymi dachami, przycupnięte w zagajnikach palm ostowych. Rozciągająca się za cyplem gładka nefrytowa powierzchnia morza, przełamywana kreskami kredowobiałej piany przyboju, jakby się dostosowywała do narzuconej przez stateczne dwory elegancji - nawet jeśli piana odkładająca się na plażach Almintry niosła tony wodorostów, drewna i wszelkiego śmiecia.

To musi być przerażające dla mieszkańców, skonstatował Korrogly. Jeszcze nie tak dawno ich dzielnica uchodziła przecież za ekskluzywną, a dziś, kiedy odwracali wzrok od tych ciągnących się wzdłuż cypla pięknych dowodów powodzenia i wracali do swojego życia, ich oczom ukazywali się żebracy, szczury bobrujące w stosach odpadków, kraby przemykające po piaszczystych uliczkach i rozsypujące się ze starości domy. Ciekawe, czy ten fakt odegrał jakąś rolę w niedawnej zbrodni.

Korrogly nie widział motywu, nie dostrzegał żadnych korzyści z tego morderstwa, zdawał sobie jednak sprawę, że wiele aspektów sprawy wciąż jest przed nim ukrytych i nie chciał z góry niczego wykluczać. Nie wierzył Lemosowi, a zarazem nie mógł tak po prostu odrzucić jego historyjki. Na tym właśnie polegała jej błyskotliwość: niczego nie wyjaśniała, a zarazem świetnie wpisywała się w przesądny charakter mieszkańców, odwoływała się do przeświadczenia o dyskretnej wszechmocy Griaule'a, siejącego zwątpienie i zamieszanie w umyśle tego, kto chciałby ją racjonalnie ocenić. Przysięgli będą mieć diabelnie twarde orzech do zgryzienia.

Ja zresztą też, pomyślał. To było prawdziwe wyzwanie dla adwokata. Sprawy takie jak ta trafiały się nadzwyczaj rzadko. Jej charakter, perfekcyjnie dostosowany do prawniczej gry, do kruczków i forteli, które z prawa uczyniły grę, dawał Korrogly'emu nadzieję, że jednym śmiałym posunięciem może sobie wypracować znakomitą reputację. Niezdolność do uwierzenia Lemosowi mogła w jego przypadku być skutkiem nadziei, że szlifierz mówi prawdę i że faktycznie szykuje się precedens, Korrogly zaczynał bowiem uświadamiać sobie, że potrzebuje jakiegoś spektakularnego, dramatycznego wydarzenia, żeby odżyły w nim dawne nadzieje i niegdysiejszy entuzjazm. Tylko w ten sposób mógł odzyskać wiarę w siebie. Przez dziewięć lat, odkąd ukończył studia prawnicze, bez reszty poświęcił się praktyce adwokackiej, w której odniósł umiarkowany sukces - zresztą, nikt nie spodziewał się niczego więcej po synu ubogich rolników. Obserwował słabszych prawników, którym powiodło się lepiej od niego, aż w końcu zrozumiał coś, co powinien był wiedzieć od samego początku: prawo podlega niepisanyemu regułom określającym status społeczny i opisującym więzy krwi. W wieku trzydziestu trzech lat był idealistą, którego ideały z wolna wałęsały się w gruzy, a jednak jego fascynacja samą grą ani trochę się przez to nie zmniejszyła. Z tego zresztą wynikała jego podatność na niebezpieczny cynizm - niebezpieczny dlatego, że wytworzył w jego umyśle wybuchową mieszankę starych cnót i nowych, nie do końca zrozumiałych, przymusów. W ostatnim czasie, na skutek wrzenia tej mieszanki, bywał nieobliczalny, podatny na gwałtowne zmiany nastroju, skłonny do nagłego odrzucania nadziei i pryncypiów. W pewnym sensie, uświadomił sobie, jego stan ducha przypominał sytuację Almintry: oparta

na solidnych wartościach robotnicza dzielnica, kiedyś żyjąca nadzieją na awans społeczny i lepszą przyszłość, dziś aspirowała co najwyżej do miana slumsu.

Mieszkanie szlifierza mieściło się na piętrze jednego z domów, nad warsztatem. Tam właśnie przyszedł przesłuchać córkę Lemos, Mirielle. Była szczupłą, miała dwadzieścia kilka lat, długie czarne włosy, piwne oczy i mającą kształt serca twarz, której urodę zmroziło piętno rozpusty. Nosila czarną sukienkę z koronkowym kołnierzem, lecz jej poza nie miała nic wspólnego ani ze skromnością stroju, ani z ostentacyjną żałobą. Opuchnięte od łez policzki i zaczerwienione oczy bynajmniej nie przeszkodziły jej wyciągnąć się swobodnie na sofie, z koślawym zielonym cygarem w ręce i jedną nogą zarzuconą na oparcie mebla, dzięki czemu Korrogly mógł zerkać w mroczną przestrzeń między jej udami. Wyglądało na to, że żałoba pozwala jej po prostu doświadczyć nowej formy wyuzdania, a ona z zapałem tę szansę wykorzystuje.

Dumni jesteśmy z naszego małego skarbu, prawda? - pomyślał Korrogly. Lubimy go wietrzyć.

Rozwiązła czy nie, Mirielle Lemos była jednak niezwykle atrakcyjną kobietą i mimo że nie szczędziła Korrogly'emu sarkazmu, pociągała go.

Powietrze było gęste od starych zapachów kuchennych. W dużym pokoju panował typowo kawalerski bałagan - brudne naczynia, rozrzucone ubrania, walające się książki, a wszystko to wśród sprzętów, które swoje najlepsze dni miały dawno za sobą: sprężynowa sofa, dwa wyświecone od brudu i tłuszczu fotele, przetarty dywan (brązowy z wyblakłym niebieskim deseniem) i podniszczony stolik, na którym stało kilka oprawionych w ramki szkiców. Na jednym z nich kobieta bardzo podobna do Mirielle trzymała na rękach dziecko; szkło połyskiwało w mglistym świetle bladego zimowego słońca, przydając portretowi mistycznej głębi. Na ścianie też wisiały obrazy, z których największy przedstawiał Griaule'a na wpół zagrzebanego pod wielowiekowym brzemieniem drzew i trawy - było widać tylko kawałek lewego skrzydła i olbrzymi jak góra łeb gada. Korrogly zwrócił uwagę, że obraz jest podpisany: *W. Lemos*.

Odgarnął stertę brudnych ubrań i przysiadł na brzeжку fotela, zwrócony twarzą do Mirielle.

- Więc jest pan adwokatem mojego ojca... - Mirielle wydmuchnęła kłęb szarego dymu.

- Nie robi pan wrażenia kompetentnego prawnika.

- Zapewniam panią, że nie brak mi kwalifikacji - odparł Korrogly, przygotowany na nieprzyjazne przyjęcie. - Jeżeli spodziewała się pani siwowłosego starszego pana z palcami brudnymi od atramentu, któremu z kieszeni kamizelki wystają jakieś pogniecione prawnicze

papierzyska, to jestem...

- Nie. Spodziewałam się dokładnie kogoś takiego jak pan. Kogoś z minimum doświadczenia i umiejętności.

- Rozumiem zatem, że spodziewa się pani surowego wyroku dla ojca. Na pewno jest pani rozgoryczona, tym co zrobił.

- Rozgoryczona? - Mirielle parsknęła śmiechem. - Gardziłam nim jeszcze zanim zabił Mardo. Teraz go nienawidzę.

- Mimo że ocalał pani życie?

- Tak panu powiedział? - Znowu śmiech. - Niewiele ma to wspólnego z prawdą.

- Leżała pani na ołtarzu naga i oszołomiona narkotykiem, a przy Zemaille'u znaleziono nóż.

- Spędziłam niejedną noc na tym ołtarzu w dokładnie takim samym stanie, i za każdym razem doświadczałam wyłącznie rozkoszy. - Znaczący uśmiezek nie pozostawiał wątpliwości co do natury tej rozkoszy. - Wracając zaś do noża... Mardo nie rozstawał się z bronią. Nieustannie zagrażali mu głupcy w rodzaju mojego ojca.

- Co pani pamięta z chwili morderstwa?

- Pamiętam głos ojca; myślałam, że mi się przyśnił. Potem usłyszałam głośny trzask, jakby coś pękło. Wtedy podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak Mardo upada na ziemię. Miał zakrwawioną twarz.

Spieła się nieco i przeniosła wzrok na sufit. To musiało być przykre wspomnienie - ale chyba zarazem podniecające, bo odruchowo powiodła dłonią po brzuchu i udzie. Korrogly odwrócił wzrok, czując żar w podbrzuszu.

- Pani ojciec twierdzi, że było dziewięcioro świadków, dziewięć zakapturzonych postaci, które zaraz potem uciekły. Żadna z nich nie zgłosiła się na policję. Wie pani, kim mogły być?

- A po co mieliby się zgłaszać? Żeby cierpieć dalsze prześladowania z rąk ludzi, którzy nie mają pojęcia, co Mardo chciał osiągnąć?

- A co takiego?

Mirielle wydmuchnęła smugę dymu. Nie odpowiedziała.

- To pytanie padnie w sądzie - dodał Korrogly.

- Nie zdradzę naszych tajemnic. Nie obchodzi mnie, co się ze mną stanie.

- Pani ojca też nie obchodzi jego dalszy los... Tak przynajmniej twierdzi. Jest bardzo przygnębiony. Chciałby się z panią zobaczyć.

Mirielle prychnęła pogardliwie.

- Zobaczą go na szubienicy.

- Hmm... Bez względu na to, co naprawdę zrobił, szczerze wierzy w to, że chciał panią ocalić.

- Nie ma pan pojęcia, w co on wierzy - odparowała jadowitym tonem Mirielle. Usiadła na sofie i spojrzała Korrogly'emu w oczy. - W ogóle go pan nie rozumie. Udaje skromnego rzemieślnika, rękodzielnika, dobrego, uczciwego obywatela, ale w głębi duszy uważa się za nadczłowieka. Lubi powtarzać, że życie stale rzuca mu kłody pod nogi, by uniemożliwić osiągnięcie należnej mu pozycji. Uważa, że prześladowający go pech jest karą za jego inteligencję. To intrygant, spiskowiec, a jego pech wynika stąd, że wcale nie jest tak inteligentny, jak mu się wydaje. Za co się weźmie, to sfuszeruje.

Początek jej wypowiedzi do tego stopnia odpowiadał wrażeniom Korrogly'ego z rozmowy z Lemosem, że aż go zamurowało. Wypowiadanie przez Mirielle jego własnych przemyśleń jednocześnie je uprawomocniało i - ponieważ była w oczywisty sposób niechętna ojcu - unieważniało.

- To nie jest wykluczone - odpowiedział, przekładając papiery, żeby ukryć zmieszanie.

- Osobiście jednak w to wątpię.

- Sam się pan przekona. Jeśli pozna pan tylko jedną cechę mojego ojca, z pewnością będzie to jego talent do oszukiwania innych. - Mirielle znów ułożyła się na sofie. Sukienka podjechała jej na wysokość ud. - Od samego początku chciał zabić Mardo, odkąd tylko się z nim związałam. - Uśmiechnęła się półgębkiem. - Był zazdrosny.

- Zazdrosny?

- Tak... Zazdrosny jak kochanek. Uwielbia mnie dotykać.

Korrogly nie zamierzał z założenia negować teorii kazirodczej żądzy, ale przebiegłszy w myślach dossier Lemosy, odrzucił oskarżenie Mirielle. Doszedł do wniosku, że w ogóle nie powinien jej wierzyć; była zbyt zadurzona w Zemaille'u i jego stylu życia. Teraz zaś była zdruzgotana, opuszczona, o krok od rozpadnięcia się na kawałeczki. Przenikający mieszkanie smród niewiele różnił się od bijącego od niej odoru rozkładu.

- Za co nienawidzi pani ojca? - spytał.

- Za to, że jest taki pompatyczny. Taki drętwy. Za niedzisiejsze poglądy na szczęście, za nieumiejętność korzystania z życia, za bezbarwną osobowość, za...

- Trochę niepoważne te zarzuty - zauważył Korrogly. - Brzmiały jak reakcja upartego dziecka, któremu ktoś odmówił ulubionego deseru.

- Być może. - Wzruszyła ramionami. - Odprowiał z kwitkiem moich zalotników, nie pozwolił mi zostać aktorką... A miałam zadatki, wszyscy mi to mówili. Zresztą, nieważne.

Moje zachowanie, zarówno obecne, jak i w przeszłości, nie ma żadnego związku z tym, że powiedziałam prawdę. I że mój ojciec zrobił to, co zrobił.

- Rzeczywiście, nie ma związku, ale świadczy o tym, że nie zamierza mu pani pomóc.

- To nie tajemnica.

- Istotnie. Mimo to, historyczny rys pani emocji pomoże wykazać, że jest pani mściwą suką, dla której prawdą jest wszystko, co może zaszkodzić ojcu. Bez związku z faktami.

Chciał ją rozzłościć. Wiedza o tym, kiedy Mirielle przekroczy punkt krytyczny i wybuchnie, byłaby bezcenna w czasie procesu - ale ona tylko szerzej się uśmiechnęła, skrzyżowała nogi i czubkiem cygara nakreśliła w powietrzu jakiś skomplikowany kształt.

Jest bardzo opanowana, pomyślał Korrogly. Bardzo. W sądzie będzie to działało przeciwko niej. Jej zimna obojętność postawi Lemosą w lepszym świetle; przy jadowitej niewdzięcznej córce wyjdzie na cierpliwego, troskliwego rodzica. Oczywiście miałyby to większe znaczenie, gdyby obronę oprzeć na teorii źle ukierunkowanego, lecz w gruncie rzeczy szlachetnego impulsu. Korrogly doszedł jednak do wniosku, że uda mu się pożenić obie linie obrony i wygrać odrobinę współczucia przysięgłych.

- No dobrze. - Wstał. - Może później będę miał do pani jeszcze jakieś pytania, ale na razie chyba nie ma sensu kontynuować tej rozmowy.

- Wydaje się panu, że ma mnie pan w garści. Mam rację?

- W garści? Nie rozumiem, o co pani chodzi.

- Uważa pan, że mnie rozgryzł.

- Owszem, tak właśnie uważam.

- Jak zamierza mnie pan przedstawić w sądzie?

- Na pewno ma pani pewne wyobrażenie na ten temat.

- Chciałabym usłyszeć to od pana.

- Dobrze. Jeśli okaże się to konieczne, przedstawię sądowi obraz istoty zepsutej, folgującej sobie do woli i pozbawionej ludzkich uczuć. Nawet żal po śmierci ukochanego wydaje się zaledwie ornamentem, dodatkiem do czarnej sukienki. Narkotyki, czarna magia oraz niemoralne rytuały smoczego kultu do tego stopnia ją zdegenerowały, że dziś jest zdolna do odczuwania tylko takich emocji, które jej zdaniem mogą być użyteczne. Jak chciwość, powiedzmy. Albo żądza zemsty.

Mirielle zaśmiała się leniwie.

- Czyżby opis był nieprecyzyjny? - spytał Korrogly.

- Wcale nie, panie mecenasie. Bawi mnie pańskie przeświadczenie, że zdoła pan tę wiedzę wykorzystać do swoich celów. - Odwróciła się na bok i podparła głowę ręką.



Sukienka podwinęła się jeszcze wyżej, odsłaniając więcej białego, jędrnego ciała. - Będę niecierpliwie wyczekiwać naszego następnego spotkania. Może przez ten czas lepiej ogarnie pan sytuację i będzie mógł... zadać mi ciekawsze pytania.

- Mogę zadać jeszcze jedno od razu?

- Ależ naturalnie. - Mirielle przetoczyła się na wznak i spojrzała na Korrogly'ego.

- Czy ten pani popis, to całe podciąganie sukienki i tak dalej, ma mnie podniecić?

- Mhm. - Skinęła głową. - Działa?

- Ale po co? Jaką miałyby pani z tego korzyść? Myśli pani, że będę się mniej przykładał do obrony pani ojca?

- Nie wiem... A będzie pan?

- Absolutnie nie.

- W takim razie wysilam się na próżno. Ale to mi nie przeszkadza.

Nie mógł oderwać oczu od jej nóg.

- Naprawdę - ciągnęła. - Potrzebuję kochanka, od zaraz, a pan mi się podoba. Bawi mnie pan, lecz mimo to, mi się podoba.

Kiedy tak na nią patrzył, złość zmagala się w nim z pożądaniem. Niepokoiła go ta świadomość. Mógłby teraz się zgodzić i nic złego by się nie stało, nie miałyby to żadnego wpływu na przebieg procesu; po prostu by sobie pofolgował. Zdawał sobie jednak sprawę, że taka nasilająca się skłonność do folgowania sobie jest zwiastunem moralnego upadku. Odrzucenie zalotów Mirielle nie będzie zatem dowodem pruderii, lecz aktem wybawienia.

- Będzie nam dobrze - dodała. - Mam nosa do takich rzeczy.

Przesunął wzrokiem po jej udzie, aż do białej, muszlowato łagodnej krzywizny biodra. Wyobraził sobie dotyk jej długich, smukłych palców.

- Powinienem już iść - powiedział.

- Tak chyba będzie najlepiej. - Triumfowała. Jej głos ociekał szyderstwem. - Ale było blisko, prawda? Tak niewiele brakowało, żeby się pan zabawił...

\* \* \*

Przez następny tydzień przesłuchał wielu świadków, między innymi Henry'ego Sichi, od którego dowiedział się, że podczas kupna kamień do tego stopnia zaabsorbował Lemos, wręcz go zahipnotyzował, że Sichi musiał go szturchnąć pod żebro, żeby ten się otrząsnął i skończył transakcję. Rozmawiał z członkami cechu szlifierzy; wszyscy byli gotowi potwierdzić przed sądem, że Lemos jest człowiekiem uczciwym i łagodnym z natury, bez reszty oddanym pracy, która czasem tak bardzo go pochłania, że traci on kontakt z rzeczywistością. Z ich opowieści wyłaniał się obraz zupełnie innego człowieka niż wcześniej

ze słów Mirielle. Korrogly spotkał w swoim życiu sporo ludzi, którzy za fasadą wzorowego obywatela skrywali zgoła odmienny prywatny wizerunek, nie miał jednak wątpliwości, że zeznania kolegów po fachu przeważą nad oskarżeniami córki... Ba, cokolwiek Mirielle powie, choćby to były najpotworniejsze zarzuty, tylko przysłuży się sprawie Lemos, gdy sąd weźmie pod uwagę nikczemny kontekst jej wypowiedzi. Znalazł specjalistów od historii Griaule'a, rozmawiał z ludźmi, którzy na własnej skórze doświadczyli jego wpływów. Jedynym świadkiem, którego zeznanie mogłoby popsuć szyki obronie, był podstarzały pijaczyna, mający w zwyczaju odsypiać libacje wśród wydm na południe od Cypla Aylera. Twierdził on, że kilkakrotnie widział, jak Lemos ciskał kamieniami w stojący tam drogowskaz; ponoć czynił to długo i z zapalem, jakby ćwiczył przed zabójczym rzutem. Alkoholizm nie przyda wiarygodności słowom świadka, niemniej jednak nie można było całkowicie ich zlekceważyć.

Kiedy opowiedział o tej sytuacji Lemosowi, ten odparł:

- Często po południu spaceruję w okolicach cypla. Owszem, czasem rzucam sobie kamieniami, to mnie odpręża. W dzieciństwie to był mój jedyny dar i chyba do dziś poprawiam sobie nim humor, kiedy świat zbyt da mi się we znaki.

Korrogly rozumiał, że podobnie jak wszystkie inne dowody w tej sprawie, także i to stwierdzenie można różnie interpretować. Niewykluczone było, na przykład, że Griaule wybrał Lemos na swoją marionetkę właśnie ze względu na jego talent do rzucania kamieniami, i że to on kazał mu ćwiczyć w ramach przygotowań do zabójstwa.

Spojrzał na swojego klienta, siedzącego po drugiej stronie stołu. Wyglądało na to, że Lemos w więzieniu szarzeje: szarzała mu skóra, szarzały emocje, wszystko w nim szarzało. Cała ta sprawa była szara, ze swoją mętną strukturą i nieprecyzyjnymi prawdami. Korrogly czuł, że ta sama szarość dosięga także i jego, dopada go i powoli wyniszcza.

Jeszcze raz zapytał, co może zrobić dla Lemos, i Lemos ponownie odpowiedział, że chce się zobaczyć z Mirielle.

W pewną niedzielę pod koniec marca Korrogly umówił się na rozmowę z zamożną starszą kobietą, która na krótko przed zabójstwem odeszła ze Świątyni Smoka. Była znana tylko pod swoim imieniem - Kirin, a jej przeszłość skrywał cień: można by pomyśleć, że w ogóle nie istniała, dopóki nie objawiła się w świątynnej hierarchii, a po opuszczeniu jej szeregów wiodła żywot skryty i tajemniczy. Jedynym przejawem jej publicznej aktywności były napastliwe listy, którymi od czasu do czasu atakowała kult smoka na łamach gazety.

Drzwi otworzyła mu gruba, niechlujna baba, zapewne służąca Kirin. Zaprowadziła go do pokoju, który wystrojem bardziej przypominał gęsty magiczny las niż zwykłe

pomieszczenie w domu. W suficie znajdował się wielofasetowy świetlik. Pokój był poprzedzielany rzeźbionymi w drewnie parawanami, po których pięły się pnącza i epifity. W przestrzeni między parawanami kłębiła się wielka różnorodność roślin, tak gęsto ulistnionych, że pióropusze liści skutecznie skrywały donice, z których wyrastały. Słońce ożywiało dziesiątki odcieni zieleni - ciepłych i zimnych, bladych i intensywnych, żółtawych, szmaragdowych, szarawych i trawiastych. Skomplikowane cienie kładły się na drewnianej podłodze. Pióropusze paprotnika zbrojnego drżały na wietrze niczym czułki olbrzymich insektów.

Pół godziny błądził po tej niby-dżungli, coraz bardziej zniecierpliwiony, zanim usłyszał wysoki, dźwięczny kobiecy głos, który kazał mu się odezwać, żeby można go było zlokalizować wśród liści. Chwilę później z gęstwiny wyłoniła się wysoka, siwa kobieta w długiej sukni z połyskliwego szarego jedwabiu. Jej twarz - pożłobiona zmarszczkami i zdradzająca, zdaniem Korrogly'ego, surową i podejrzliwą naturę - miała barwę starej kości słoniowej. Jej dłonie nieustannie się poruszały, muskając i skubiąc liście najbliższych roślin niczym paciorki różańca jakiejś kontemplacyjnej religii. Mimo podeszłego wieku tryskała energią; gdyby zamknął oczy, mógłby dać się nabrać, że towarzyszy mu kobieta znacznie młodsza.

Wskazała mu ławkę w kącie pomieszczenia, przysiadła się do niego i powiodła wzrokiem po swoim bujnym azylu.

- Nie ufam adwokatom, panie Korrogly - zaczęła, cały czas podskubując listki i łodyżki. - Powinien pan to wiedzieć, nim zaczniemy.

- Ja również nie - odparł, licząc na wybuch śmiechu czy choćby rozładowanie napięcia, lecz Kirin tylko wydeła wargi.

- Nie zgodziłabym się na to spotkanie, gdyby reprezentował pan jakiegoś innego klienta, ale człowiek, który uwolnił świat od Mardo Zemaille'a, zasługuje na wszelką pomoc, jakiej jestem mu w stanie udzielić... Nie jestem jednak pewna, w czym miałabym mu pomóc.

- Miałem nadzieję dowiedzieć się od pani czegoś o Zemaille'u, zwłaszcza o jego związku z Mirielle Lemos.

- Ach, tak... O to chodzi.

- Mirielle nie była specjalnie rozmowna, a inni wyznawcy kultu zapadli się pod ziemię.

- Boją się.

- Czego?

Kirin prychnęła lekceważąco.

- Wszystkiego, panie Korrogly. Przy Mardo uzależnili się od strachu, więc kiedy go zabrakło i zostali sam na sam z zaszczepionym przez niego lękiem, puciekali. Świątynia już się nie podniesie. - Oderwała kawałek liścia paproci. - W jednym Mardo miał rację: w odpowiednim środowisku strach może być formą pożywienia. Ta sama prawda leży u podstaw wielu religii. Mirielle też to rozumie.

- Proszę mi o niej opowiedzieć.

Kobieta pogładziła gałązkę bambusa.

- To nie jest zła dziewczyna... Przynajmniej kiedyś nie była, dopiero Mardo ją zdeprawował. Wszystkich deprawował; łamał człowieka, a kiedy jego ofiara pękła, sączył swój czarny sok w powstałe w ten sposób szczeliny. Poznałam ją pięć lat temu i wtedy wzięłam ją za typową konwertytkę. Kiedy zjawiała się w świątyni, była przeciętną humorzastą, oburzoną dziewczyną jakich wiele. Z tych, co to nie mogą spokojnie usiedzieć na miejscu, jak to się mówi. Spodziewałam się, że Mardo ją sobie weźmie, bo brał wszystkie ładne dziewczyny, a potem odtrąci i zrobi z niej zwyczajną wyznawczynię. Nie doceniłam jednak Mirielle. Miała w sobie coś, co go zafascynowało. Z początku pomyślałam, że po prostu pasują do siebie pod względem seksualnym, zwłaszcza że inni członkowie kultu twierdzili, że Mirielle jest bardzo... - Kirin wyraźnie szukała właściwego słowa - ...zachłanna. I może nawet miałam trochę racji, ale chyba ważniejsze było to, że oboje napędzała ta sama siła. Co zresztą sprawia, że Mirielle jest tak samo niegodna zaufania jak on.

- Jaka siła? Co chce pani przez to powiedzieć?

Wbiła wzrok w podłogę.

- Trudno opowiadać o Mardo komuś, kto go nie znał, ten zaś, kto go poznał, nie potrzebuje takiego opisu. Kiedy weźmie się te jego nauki i oddzieli ziarno od plew, zostaną same banały, doktrynalne brednie, kłęb niedowarzonych idei ubrany w podniosłe, lecz puste słowa. A mimo to, słuchając go, człowiek miał wrażenie, że Mardo naprawdę coś wie, przeniknął jakąś tajemnicę, zna drogę do wielkości. I nie chodzi mi w tym momencie o charyzmę, której zresztą też mu nie brakowało. To było coś bardziej namacalnego, jakby otaczała go aura zasilana płynącą z jego wnętrza energią, której natury on sam nie ogarniał.

- I pani zdaniem, Mirielle również roztaczała taką aurę.

- Tak, właśnie tak. Ją też napędzała niepojęta siła, niepojęta nawet dla niej samej, podobnie jak Zemaillé'a. On to w niej dostrzegł i dlatego tak bardzo jej zaufał.

- A jednak wygląda na to, że zamierzał ją zabić.

Kirin westchnęła.

- Powodem, dla którego odeszłam... Nie, najpierw powiem panu, dlaczego do nich

przystałam. Wyobrażałam sobie, że szukam jakiejś prawdy o życiu, ale nawet w okresie szczytowego nasilenia tej iluzji wiedziałam w duchu, że jestem najzwyczajniej w świecie znudzona. Znudzona i stara, za stara, żeby znaleźć sobie lepszą rozrywkę. Świątynia była dla mnie mrocznym, gwałtownym romansem, którego bohaterowie bezustannie się zmieniali. To robiło na mnie wrażenie. To, i poczucie bliskości Griaule'a, jego zimna, łuskowata obecność... Jego przerażająca lodowata moc. - Wzdrygnęła się teatralnie. - Mniejsza z tym. Jakies dwa lata temu wyczułam, że sprawy zaszły za daleko i zbliża się urzeczywistnienie wielkiego dzieła, o którym Mardo tyle opowiadał. Przestraszyłam się. Strach pozwolił mi dostrzec w świątyni zło i nieprawość.

- Wie pani, czym było to... wielkie dzieło?

Zawahała się.

- Nie.

Korrogly przyglądał się jej badawczo. Domyślał się, że coś przed nim ukrywa.

- Nie mam nikogo innego, do kogo mógłbym się z tym zwrócić - powiedział. - Członkowie kultu przepadli jak kamień w wodę.

- Niektórzy może i przepadli, ale inni cały czas nas obserwują. Zabiją mnie, jeśli ujawnię jakieś tajemnice.

- Mógłbym wezwać panią na świadka.

- Mógłby pan, ale nie powiedziałabym nic ponad to, co już powiedziałam. Poza tym nie byłabym zbyt wiarygodnym świadkiem, bo gdyby oskarżyciel zaczął mnie wypytywać o moją przeszłość, odmówiłabym odpowiedzi.

- Domyślałam się, że wielkie dzieło miało coś wspólnego z Griaule'em.

Wzruszyła ramionami.

- Jak wszystko w świątyni.

- Nie może mi pani dać jakiejś wskazówki? Podsunąć tropu?

- Powinien pan przede wszystkim dobrze zrozumieć naturę kultu smoka. Ci ludzie nie czcili Griaule'a tak po prostu; Griaule napawał ich lękiem, który w ich mniemaniu był formą należnej mu boskiej czci. Mardo twierdził, że jest z nim związany specyficznymi więzami: uważał się za duchowego spadkobiercę tamtego czarownika, który przed wiekami stoczył z nim walkę. Dla niego Griaule był takim rytualnym nieprzyjacielem... Był wrogiem, ale zarazem obiektem kultu. Ten dualizm przemawiał Mardo do wyobraźni. To był dla niego szczyt wyrafinowania.

Korrogly jeszcze trochę ponaciskał, ale widząc, że wiele nie wskóra, w końcu dał sobie spokój.

- Czy Mirielle wiedziała o wielkim dziele?

- Wątpię. Zaufanie, jakim darzył ją Mardo, rozciągało się na świat materialny, a w wielkim dziele chodziło o coś więcej, o coś naprawdę poważnego. O magię. I to mnie martwiło, bo ja nie chciałam mieszać się w nic poważnego. Przestraszyłam się. Ludzie znikali, a ci, którzy nie zniknęli, zaczęli mówić szeptem. Ciemność rozlewała się w świątyni coraz szerzej. W końcu nie mogłam tego dłużej znieść. Zaczęłam też zauważać różne rzeczy. Albo może zawsze je widziałam, tylko wolałam udawać, że nie widzę. W każdym razie dotarło do mnie, że nuda bywa bardzo niebezpieczna, bo to przecież ona mnie do tego pchnęła. Zrozumiałam, że Mardo Zemaille, mimo całego swojego zaangażowania, jest po prostu złym człowiekiem, złym w najczarniejszym sensie tego słowa. Chciał opanować sztukę czarnoksiężką, która poszła w zapomnienie, gdy zabrakło adeptów dostatecznie zdegenerowanych, żeby się babrali w gnoju, w którym pogrzebane są jej korzenie.

- Co dokładnie zaczęła pani zauważać?

- Rytualne tortury, składanie ofiar...

- Z ludzi?

- Być może... Nie mam pewności. Jestem jednak przekonana, że Mardo byłby do tego zdolny.

- Czyli przyznaje pani, że zamierzał złożyć Mirielle w ofierze.

- Trudno mi w to uwierzyć, on ją tak hołubił... Ale tak, zgadzam się: to możliwe. Mógł dojść do wniosku, że dopełnienie wielkiego dzieła wymaga poświęcenia tego, co jest mu najdroższe.

Korrogly patrzył, jak cienie liści drżą na oświetlonej blaskiem słońca podłodze. Czuł się zmęczony, wyrwany ze swojego naturalnego środowiska.

Co ja tu właściwie robię? - zastanawiał się. Rozmawiam z jakąś staruszką o złu? Próbuję udowodnić, że smok zamordował człowieka? Co ja najlepszego wyrabiam?

- Wspomniała pani o łączącym ich zaufaniu...

- Tak. Mardo jasno dał nam wszystkim do zrozumienia, że gdyby coś mu się stało, ona ma stanąć na czele świątyni. Było zresztą coś więcej...

- Co takiego?

- Od początku podejrzewałam, że to zaufanie opiera się na jakimś wspólnym sekrecie z przeszłości. Instynkt mi to podpowiadał, ale... To tylko przecucie, nic więcej. Nic, co mógłby pan wykorzystać; żaden sąd nie potraktowałby tego poważnie. Domyślam się, że Mardo sporządził jakiś dokument, w którym oficjalnie przekazał jej władzę nad świątynią. Zawsze był pedantem. - Przekrzywiła głowę, przyglądając się Korrogly'emu, jakby

próbowała wyczytać z jego twarzy coś, czego wcześniej nie zauważyła. - Zaskoczyłam pana. Pierwszy raz widzę adwokata, z którego twarzy tak wiele można wyczytać.

Porażka goni porażkę, pomyślał Korrogly. Już nawet własna twarz mnie zdradza.

- Nie wiedziałem, że łącząca ich więź została urzędowo potwierdzona - przyznał.

- Może wcale nie została, pewności nie mam. Gdybym jednak miała rację, odszukanie takiego dokumentu byłoby niezwykle trudne. Mardo na pewno nie zwróciłby się z tym do żadnego adwokata. Najprawdopodobniej wolałby go ukryć gdzieś na terenie świątyni.

- Rozumiem.

- O czym pan teraz myśli?

Korrogly prychnął z niedowierzaniem.

- Wydawało mi się, że to będzie taka prosta sprawa, a tymczasem widzę, że komplikuje się na każdym kroku.

- Bynajmniej. Ta sprawa naprawdę jest prosta. - Na pomarszczoną twarz kobiety wypłynął surowy grymas. - Proszę mi wierzyć, że bez względu na to, za jakiego potwora uważa pan Williama Lemos, czyn, którego dokonał, całkowicie go uniewinnia.

\* \* \*

Któregoś wieczoru, niedługo przed rozpoczęciem procesu, Korrogly przyszedł na posterunek policji, żeby jeszcze raz obejrzeć kamień będący narzędziem zabójstwa - Ojca Kamieni, jak go nazwał Lemos. Stanąwszy przy stole w pokoju, gdzie przechowywano dowody rzeczowe, wpatrywał się w kamień złożony w blaszanym pudełku, w gniazdku uwitym z chusteczek higienicznych, i czuł, że ten przedmiot go przerasta, tak jak wszystkie inne elementy tej układanki. W jednej chwili przepływały po kamieniu ohydne okruchy otorbionego światła, ukryte pod zmętniałą mleczną powierzchnią jakby we wnętrzu tysiącletniego, cuchnącego jaja; w następnej kamień wydawał się piękny, delikatny, subtelny jak ucieleśnienie jakiejś podniosłej idei filozoficznej. W samym jego środku widniała skaza podobna z kształtu do człowieka z rozłożonymi, uniesionymi ramionami. Niczym sam Griaule, Ojciec Kamieni był tworem o nieskończonej gamie odcieni, bytem, który można interpretować na tysiąc możliwych sposobów. Widząc go, Korrogly był skłonny wierzyć, że naprawdę został zrodzony we wnętrzu smoczego ciała - nadal jednak nie potrafił uwierzyć w opowieść Lemos. Ona również miała skazę, i to wystarczyło, żeby zaprowadzić szlifierza na gilotynę. Nie było bowiem żadnego powodu (w każdym razie on, Korrogly, żadnego nie dostrzegął), dla którego Griaule mógłby chcieć pozbyć się Zemaille'a. Nawet Lemos nie miał żadnego pomysłu - po prostu upierał się przy swoim. Tylko że sam upór go nie ocali. A jednak ta właśnie skaza, ta prostota wyjaśnień Lemos kusila Korrogly'ego, żeby zagłuszyć

zdrowy rozsądek i przyjąć je na wiarę. Co za sprawa, pomyślał. Na studiach marzył o takim procesie, a kiedy ten faktycznie mu się trafił, natychmiast poczuł się nim znudzony i zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie zmarnował sobie życia. Może na żadne pytania, nawet te najbardziej fundamentalne, nie ma prostych odpowiedzi, tylko on po prostu wcześniej tego nie zauważył?

Wyjął Ojca Kamieni z pudełka i podrzucił go na dłoni. Kamień był bardzo ciężki. Jak smocza łuska. Jak prastara myśl.

Niech to szlag, pomyślał Korrogly. Niech diabli wezmą wszystkie to prawnicze korowody. Powiniennem rzucić ten fach w cholere i zapoczątkować jakąś religię. Na pewno jest na świecie wystarczająco wielu głupców, którym wydam się mądry i cudowny.

- Masz ochotę kogoś zamordować? - rozległ się za jego plecami beznamiętny głos. - Na przykład, swojego klienta?

To był Ian Mervale, prokurator o arystokratycznych rysach twarzy, ubrany w elegancki czarny garnitur. Ciemne włosy, szesane do tyłu znad szlachetnego czoła, miał przyprószone siwizną. Wodniste bladoniebieskie oczy, drzemiące w sennych fałdach wokół powiek, maskowały porywczą i agresywną naturę.

- Prędzej rzucę się na ciebie - odparł z przekąsem Korrogly.

- Na mnie?! - spytał Mervale z udawanym przerażeniem. - Jestem zdecydowanie najmniejszym z twoich zmartwień. Jeśli jednak nie chodzi ci o klienta, na twoim miejscu zastanowiłbym się nad czcigodnym sędzią Wymerem. Twoja strategia obrony chyba nie przypadła mu do gustu.

- Wcale mu się nie dziwię - mruknął Korrogly.

Mervale przyjrzał mu się badawczo, pokręcił głową i parsknął śmiechem.

- Zawsze, kiedy stajemy naprzeciw siebie, jest tak samo. Wiem, że jesteś uczciwy, wiem, że nie blefujesz, a mimo to, kiedy zaczyna się proces, z miejsca zaczynam cię podejrzewać o dwulicowość i tylko czekam, aż zaskoczysz mnie jakąś morderczą sztuczką.

- Nie ufasz samemu sobie. Jak mógłbyś zaufać komuś innemu?

- Chyba masz rację. Moja największa siła jest zarazem moją największą słabością. - Mervale odwracał się już do drzwi, ale zawahał się i zatrzymał w pół gestu. - Nie napiłbyś się czegoś?

Korrogly ostatni raz zważył w dłoni Ojca Kamieni, który wydał mu się jeszcze cięższy niż przed chwilą.

- Kieliszeczek nie zawadzi - zgodził się.

W „Ślepej Damie” przy Kancelerskiej było jak zwykle tłoczno. W barze spotykali się



aplikanci i młodzi adwokaci. Ciepło ludzkich ciał okrywało mgłą lustra na ścianach; zbłąkane strzałki, które chybiły tarczy, dziurawiły biały tynk i poczerniały belki; zgiełk uniemożliwił cichą konwersację. Korrogly i Mervale przepchnęli się przez ciżbę, podnosząc kieliszki wysoko nad głowy, żeby nie uронić ani kropli, aż w końcu znaleźli wolny stolik w głębi sali. Ledwie usiedli, stojąca obok grupka urzędników zaintonowała rubaszną piosenkę. Mervale skrzywił się i kieliszkiem zasalutował Korrogly'emu.

W końcu śpiewacy przycisnęli się bliżej wyjścia. Mervale rozparł się wygodnie, przyglądając się Korrogly'emu z lekceważeniem; ta jego pobłażliwość wynikała raczej z towarzyskiego obyczaju niż z faktu, że stali po przeciwnych stronach barykady. Był synem zamożnego szkutnika i w ich rozmowach zawsze przewijał się podtekst różnic klasowych, który próbowali zagłuszyć udawaniem, że ich znajomość opiera się na wzajemnym zaufaniu.

- No i co ty o tym wszystkim myślisz? - zagadnął Mervale. - Lemos kłamie? Jest obłąkany? Jak uważasz?

- Nie jest szalony. A czy kłamie? - Korrogly pociągnął łyk rumu. - Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że znam już odpowiedź na to pytanie, dostrzegam nagle nowy aspekt sprawy. Dlatego nie chciałbym w tej chwili zgadywać. A jakie jest twoje zdanie?

- Kłamie, rzecz jasna. Miał aż nadto powodów, żeby zabić Zemaille'a: córka, rodzinny interes... Na Boga, nie miał innego wyjścia, jak go zabić! Muszę jednak przyznać, że wymyślił sobie błyskotliwą bajeczkę. Wprost genialną.

- Czyżby? Gdybym mógł argumentować, że działał w stanie ograniczonej poczytalności, dostałby pewnie ze dwa lata, nie więcej.

- To właśnie jest w niej genialne, że wszyscy o tym wiedzą. I myślą: na Boga, facet na pewno jest niewinny, przecież w przeciwnym razie nie upierałby się przy takiej naciąganej historyjce.

- Nie nazwałbym jej naciaganą.

- Jak chcesz. W takim razie niech będzie... natchniona. Tak lepiej?

Ty nadęty gnoju, pomyślał rozdrażniony Korrogly. Tym razem cię pokonam.

- Ujdzie - odparł z uśmiechem.

- Oho, widzę, że wstąpił w ciebie prawdziwy adwokacki duch.

Korrogly znowu się napił.

- Nie jestem dziś w nastroju, Mervale. O co ci chodzi? Co próbujesz ze mnie wyciągnąć?

Na twarzy Mervale'a odmalowało się niezadowolenie.

- Co się stało? - spytał Korrogly. - Psuję ci zabawę?

- Nie wiem, co cię ugryzło. Może za dużo pracujesz.

- Po prostu nudzą mnie te twoje rytualne próby sondowania mnie. Nudzą mnie, bo ich efekt jest zawsze taki sam, czyli żaden. Robisz to tylko po to, żeby mi przypomnieć o dzielącej nas różnicy klas. Zaciągasz mnie tutaj, podlizujesz mi się z tym szkolnym uśmiechem na ustach, a potem opowiadasz o przyjęciach, na które się mnie nie zaprasza. Pewnie wydaje ci się, że wypracowujesz sobie w ten sposób przewagę psychologiczną, jednak moim zdaniem zyskujesz tylko fałszywe poczucie wyższości, które później osłabia wymowę twojego wystąpienia w sądzie. A na coś takiego nie możesz sobie pozwolić, bo najzwyczajniej w świecie jesteś kiepskim prawnikiem.

Mervale wstał sztywno i spojrzał na Korrogly'ego z góry.

- Jesteś żaloszny, wiesz? - mruknął pogardliwie. - Wiecznie zaharowany nudziarz, pozbawiony życia prywatnego, który zamiast z kobietą, sypia z kodeksami. - Rzucił na stół kilka monet. - Napij się jeszcze. Może jak się nawalisz, będziesz umiał się zabawić.

Mervale zagłębił się w ciżbę, a Korrogly odprowadził go wzrokiem, przyjmując powinszowania siedzących najbliżej aplikantów. Po co ja to w ogóle zrobiłem? - zdziwił się. Warto było?

Odczekał, aż Mervale zniknie mu z oczu, po czym wyszedł z baru, ale zamiast skierować się prosto do domu, ruszył Bulwarem Biscaya na zachód. Nie zmierzał do żadnego konkretnego celu, brnął na oślep przez gęstniejącą mgłę, zagubiony w kłębowisku przygnębiających myśli. Wydawało się, że nawet powietrze - wilgotne i słonawe - ma woń melancholii, zapach mokrego i ciemnego wiru w jego głowie. Kątem oka zarejestrował, że wszedł do Almintry, ale dopiero stanąwszy przed warsztatem szlifierza, domyślił się, że sam przed sobą ukrywał fakt, że od początku tutaj właśnie zmierzał. Chyba że pomysł przyjscia w to miejsce podsunęła mu jakaś niepowstrzymana, potężna siła, która przemówiła do niego za pośrednictwem Ojca Kamieni.

Mimo że ta myśl była podszyta drwiną, włoski na karku i tak stanęły mu dęba. A jeśli Lemos mówi prawdę? Czy ja również jestem podatny na wpływ Griaule'a?

Cisza panująca na wymarłej ulicy przyprawiała go o dreszcze. Szczyty domów wyglądały jak proste czarne góry wyrastające z płaskowyżu mgły. Nieliczne działające latarnie majaczyły wśród oparów jak złowrogie świetliste kwiaty. Witryny odbijały światło niczym obsydian, strzegąc swoich sekretów. Było jeszcze wcześniej, ale wszyscy porządni rzemieślnicy i sklepikarze pokładli się już spać... Wszyscy poza tą, która mieszkała nad warsztatem Lemos. U niej w pokoju wciąż paliło się światło.

Wpatrując się w nie, zastanawiał się, czy nakreślony przez Mervale'a obelżywy, lecz

celny obraz jego życia nie sprowokował go przypadkiem do odwiedzenia Mirielle. Byłby to najlepszy sposób, żeby zadać kłam twierdzeniu oskarżyciela. Chciał odejść, wrócić do domu, ale stał przed warsztatem jak wrośnięty w ziemię, przykuty do miejsca blaskiem światła i dobiegającym z ciemności szumem przyboju. Nieopodal zaszczekał pies, gdzieś z dala dobiegł śpiew, dźwięki skrzypiec, granie rożków - melancholijna melodia usiłująca dopasować się do jego samotności.

To szaleństwo, pomyślał. Skopie mnie ze schodów i na tym się skończy. Poprzednio tylko się mną bawiła, a zresztą, na cholere mi to... Żeby na krótką chwilę przestać myśleć?

Tak. Właśnie tak.

- Do diabła! - zawołał pod adresem całego niesłuchającego świata. - A dlaczego nie?!

Kobieta, która otworzyła mu drzwi, była wprawdzie tą samą kobietą, która podczas ich pierwszego spotkania bezwstydnie pokładała się na sofie - jednakże tylko pod względem fizycznym, bo wszystkie inne aspekty jej wizerunku uległy zmianie. Zrobiła się niespokojna i podenerwowana, pobladła, jakby cała krew odpłynęła jej z ciała, miała rozpuszczone w nieładzie włosy, a na sobie biały szlafrok z jakiegoś grubego i szorstkiego materiału. Jej twarz straciła rozpustnie obojętny wyraz i odmłodziła o ładne parę lat, upodabniając się do twarzy wewnętrznie rozdartej młodej dziewczyny. Przyglądała mu się dłuższą chwilę, jakby go nie poznawała.

- Ach... To pan - wykrztusiła w końcu.

Sploszony jej zachowaniem chciał przeprosić za późne najście i się wycofać, ale zanim znalazł odpowiednie słowa, cofnęła się od drzwi i zaprosiła go do środka.

- Cieszę się, że pan przyszedł. - Weszła za nim do salonu, który od czasu jego poprzedniej wizyty został posprzątany. - Nie mogę spać. - Usiadła ciężko na sofie, poprawiła drobiazgi leżące na stoliku, wzięła do ręki cygaro, odłożyła je i spojrzała wyczekująco na Korrogly'ego. - Proszę, niech pan siada.

Posłusznie usiadł - tak jak poprzednio, na skraju fotela.

- Miałem nadzieję, że zgodzi się pani odpowiedzieć jeszcze na kilka pytań.

- Pytań... Chodzi panu... No dobrze. Pytania. - Zaśmiała się z afektacją i nerwowym gestem skubnęła oparcie sofy. - Proszę pytać.

- Podobno Mardo miał taki plan, żeby w wypadku jego śmierci objęła pani przywództwo nad świątynią. Czy to prawda?

Pokiwała głową, wielokrotnie, trochę zbyt gwałtownie jak na zwykłe przytaknięcie, jakby próbowała wytrząsnąć z niej bolesny kłęb poplątanych myśli.

- Owszem. Miał taki plan.

- Czy sporządził stosowne dokumenty?

- Nie... To znaczy tak, możliwe... Nie, nie wiem. Wspominał mi o nich, ale nigdy ich nie widziałam. - Zakołysała się na sofie, teraz już obiema rękami podskubując nici zdobiącego mebel starego haftu. - Teraz to i tak bez znaczenia.

- Jak to? Dlaczego?

- Świątyni już nie ma.

- Co chce pani przez to powiedzieć?

- Nie ma świątyni! Po prostu. Nie ma wiernych, nie ma ceremonii, zostały tylko puste budynki.

- A co się stało?

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Ale...

Mirielle zerwała się na równe nogi, przeszła w głąb pokoju i okręciła się na pięcie. Odgarnęła opadające na policzek włosy.

- Nie chcę o tym rozmawiać! W ogóle nie chcę rozmawiać, o niczym... niczym ważnym. - Przytknęła dłoń do czoła, jakby sprawdzała, czy ma gorączkę. - Przepraszam. Przepraszam.

- Co się dzieje?

- Nic takiego: moje życie to jeden wielki bajzel, mój ukochany nie żyje, a jutro rano zaczyna się proces mojego ojca-mordercy. Wszystko jest w najlepszym porządku.

- Nie rozumiem, dlaczego przejmuje się pani losem ojca. Wydawało mi się, że go pani nienawidzi.

- Nie przestał być moim ojcem. Darzę go uczuciami, których nienawiść nie zmaże, to taki... odruch, rozumie pan, tylko odruch, ale swoją siłę ma. - Znów usiadła na sofie i wróciła do wyciągania nitek ze wzoru. - Proszę zrozumieć, nie mogę panu pomóc. Nie wiem o niczym, co mogłoby się panu przydać w czasie procesu. Gdyby coś takiego było, to powiedziałabym panu, tak mi się przynajmniej teraz wydaje. Ale nic takiego nie ma. Absolutnie nic.

Korrogly wyczuł, że rysa w obcesowej fasadzie Mirielle sięga głębiej, niż ona sama chciałyby przyznać. Jej nerwowość mogła wynikać z faktu, że zna jakieś użyteczne fakty, tylko je przed nim ukrywa. Wolał jednak nie naciskać.

- W porządku - powiedział. - O czym wobec tego chciałaby pani porozmawiać?

Rozejrzała się po pokoju, jakby szukała pretekstu do konwersacji.

Korrogly zwrócił uwagę, że jej wzrok zatrzymał się na dłużej na oprawionym szkicu

kobiety z dzieckiem. Wskazał go palcem.

- To pani matka?

Chyba zaniepokoił ją tym pytaniem.

- Tak - odmruknęła, spuszczać wzrok.

- Jest pani do niej bardzo podobna. Miała na imię Patricia, prawda?

Mirielle pokiwała głową.

- To okropne, kiedy tak piękna kobieta odchodzi przedwcześnie - ciągnął Korrogly. -

Co się właściwie stało? Jak utonęła?

- Nie umie pan normalnie rozmawiać? - spytała ze złością Mirielle. - Zawsze próbuje pan przesłuchiwać ludzi?

- Przepraszam - odparł, zaskoczony gwałtownością jej reakcji. - Chciałem tylko...

- Moja matka nie żyje. To musi panu wystarczyć.

- Chciałem podtrzymać rozmowę. Może zmienimy temat, dobrze?

- Dobrze - zgodziła się po chwili. - Porozmawiajmy o panu.

- Nie ma o czym.

- Tak to zwykle z ludźmi bywa, ale nic nie szkodzi. Nie znudzi mnie pan, obiecuję.

Zaczął - z początku bez entuzjazmu - opowiadać o swoim życiu, o dzieciństwie na maleńkiej farmie wśród wznoszących się nad miastem wzgórz. Mieli na niej bananowy zagajnik, zagrodę i trzy krowy (Rose, Alvinę i Esmeraldę). Kiedy tak mówił, miał wrażenie, że całe to dawne, niewinne życie zmartwychwstaje tuż poza obrębem murów mieszkania Mirielle. Opowiedział jej o tym, jak ze szczytu wzgórza oglądał miasto i marzył, żeby w przyszłości mieć na własność któryś z tych pięknych domów.

- I teraz go pan ma.

- Bynajmniej. Są na to odpowiednie przepisy. Piękne domy należą do ludzi, którzy mają odpowiedni status i historię po swojej stronie. Prawo jest wymierzone przeciwko takim jak ja. Wskazuje nam nasze miejsce i nie pozwala się z niego ruszyć.

- Ależ naturalnie. Wiem o tym.

Mówił dalej o tym, jak zainteresował się prawem, które ze swoim ładem i logiczną konstrukcją wydało mu się dźwignią zdolną poruszyć każdą przeszkodę, i jak z biegiem czasu odkrył, że istnieje wiele dźwigni i wiele przeszkód; kiedy usuniesz jedną zawałdrogę, inna cię zmiążdży, dlatego należy nieustannie pociągać za dźwignie, przesuwając przeszkody, a także samemu być w nieustannym ruchu i mieć się na baczności.

- Od małego chciał pan być adwokatem?

Korrogly się roześmiał.

- Nie. Najpierw chciałem być zabójcą smoka Griaule'a. Za nagrodę, która czeka na śmiałka w Teocinte, kupiłbym matce srebrny serwis, a ojcu nową gitarę.

Twarz Mirielle, jeszcze przed chwilą taka szczęśliwa, zwiotczała nagle i zubożała. Zaniepokojony Korrogly spytał, czy coś się stało.

- Proszę nie wymawiać jego imienia - odparła Mirielle. - Pan nie wie... pan nie rozumie...

- Czego nie rozumiem?

- Griaule... Na Boga! Czulałam jego obecność w świątyni. Pomyśli pan pewnie, że ponosiła mnie wyobraźnia, ale przysięgam, że tak było. Skupialiśmy na nim swoje myśli, śpiewaliśmy mu, wierzyliśmy w niego, przywoływaliśmy go w głowach - aż w końcu czuliśmy, że jest tam z nami. Zimny i ogromny. Nieludzki. Wielki łuskowaty chłód, który zagarniał cały świat.

Uwagę Korrogly'ego zwrócił niezwykle podobny dobór słów, którymi stara Kirin, a teraz Mirielle opisywały swój lęk przed Griaule'em. Chciał nawet o tym napomknąć, lecz Mirielle mówiła dalej i dał sobie spokój.

- Nadal czuję w umyśle ślad jego dotyku. Jest ciężki, ocieka czernią. Każda jego myśl, formowana przez stulecie, to gigantyczne brzemie nienawiści, wrogość w stanie czystym. Kiedy się o mnie otarł, było mi zimno przez wiele godzin. To dlatego...

- Dlatego co?

- Nic.

Mirielle zadygotała gwałtownie i objęła się ramionami. Korrogly usiadł obok niej na sofie i po chwili wahania otulił ją ramieniem. Jej włosy pachniały świeżymi pomarańczami.

- Co się dzieje?

- Wciąż go czuję. Stale jest przy mnie. - Mirielle spojrzała na Korrogly'ego i rzuciła: - Chodź ze mną do łóżka. Wiem, że mnie nie lubisz, ale w tej chwili szukam ciepła, nie uczucia. Proszę, nie będę...

- Lubię cię.

- Nie, to niemożliwe, ty... Nie.

- Naprawdę cię lubię - powiedział Korrogly i uwierzył w swoje słowa. - Dziś cię lubię. Dziś jesteś kimś, kogo można pokochać.

- Nie rozumiesz. Nie widzisz, jak mnie zmienił.

- Kto, Griaule?

- Proszę... - Objęła go w talii. - Wystarczy tych pytań. Po prostu mnie ogrzej.

\* \* \*

Kiedy Korrogly zaczynał swoją mowę wstępną, myślami był jeszcze częściowo w mieszkaniu szlifierza, gdzie - objęty białymi ramionami Mirielle, karmiony jej długimi, gibkimi nogami i różanymi sutkami piersi - odkrył, że pod zdemoralizowaną maską kryje się kobieta szlachetna i pełna słodyczy. Wspomnienie rozkoszy dominacji i uległości bynajmniej go nie rozpraszało; przeciwnie, stało się dla niego źródłem inspiracji, popychając go do bardziej żywiołowego wystąpienia, niż to pierwotnie zaplanował. Przechadzając się przed ławą przysięgłych, na której zasiadło dwanaście chodzących ideałów o ziemistej cerze wyłowionych z mrowia mniej zacnych obywateli, czuł się jak kapitan okrętu spacerujący po pokładzie swojej jednostki. Zwrócił uwagę, że sala sądowa jest idealnym skrzyżowaniem kościoła ze statkiem wodnym, z nawą państwową, która żegluje ku brzegom sprawiedliwości, mając białe ściany zamiast żagli i przewożąc świadków, sędziów i gapiów w wykonanych z czarnego drewna przegrodach niczym w ładowniach. Nad wszystkim górował stół sędziowski - olbrzymi blok tekowego drewna rzeźbiony na podobieństwo smoczycich łusek, za którym (niczym galion na dziobie tego magicznego okrętu) zasiadała wyrocznia w osobie czcigodnego Ernesta Wymera - bestia stara, siwowłosa, rumiana od alkoholu, obdarzona okrutnymi ustami, krzaczastymi brwiami i lśniącem czerwonym dziobem, zgarbiona w fałdach czarnoskrzydłej togi, gotowa rzucić się na każdą prawniczą myszkę, która zabłąka się w jej pole widzenia. Korrogly nie bał się Wymera; dzisiaj to on rządził na tej sali, nie sędzia. Wiedział, co tkwi w głowach przysięgłych, wiedział, że chcą uznać Griaule'a za winnego, bo byłaby to odpowiedź na tajemne tęsknoty ich serc, i opierając się na tej wiedzy, był gotów użyć wszelkich podstępów, by te tęsknoty przekuć w postanowienie. Mówił z przekonaniem, nie za ostro, ale i bez przesadnego opanowania, idealnie łącząc moc argumentacji z płynnością wyводу. Czuł, że źródłem tej jedności jego zamiaru i biegłości jest noc spędzona z Mirielle. Nie kochał jej... A jeśli nawet, to miłość nie była tu najistotniejsza. Natchnieniem stało się dla niego odkrycie w niej - i w sobie - czegoś czystego i nieskażonego, i bez względu na to, czy była to miłość, czy tylko cząstka jaźni nieskażona przez świat zewnętrzny, wystarczyła, żeby na nowo rozniecić w nim dawny entuzjazm.

- Wszyscy wiemy, że wpływ Griaule'a jest faktem - mówił, zbliżając się do konkluzji.  
- Można się co najwyżej zastanawiać, czy z Carbonales może sięgać aż tutaj, do Port Chantay. Lecz na dobrą sprawę tego pytania wcale nie musimy sobie zadawać. Spójrzcie państwo tam.  
- Wskazał rzeźbiony w smocze łuski stół sędziowski. - I tam. - Pokazał topornie rzeźbiony motyw smoka oplatającego pilastry nadproża przy wejściu do sali. - Jego obraz jest w Port Chantay wszechobecny, co najlepiej dowodzi jego bliskości i zasięgu woli, której macki przenikają życie nas wszystkich. Może nie jest w stanie manipulować nami z równą łatwością

jak mieszkańcami Teocinte, nie mieszkamy jednak aż tak daleko, żeby nie zdawał sobie sprawy z naszego istnienia. On nas zna, i to dobrze. Widzi nas. Pamięta o nas. Czy naprawdę myślicie państwo, że nie potrafiłby wpłynąć na nasze życie, gdyby czegoś od nas chciał? Różne rzeczy można o Griaule'u powiedzieć, ale na pewno nie brakuje mu skuteczności. Jest nieśmiertelnym, niezgłębionym bytem, tak samo silnie obecnym w naszym życiu jak idea Boga. I podobnie jak w wypadku Boga, brak nam mądrości, by określić granice jego możliwości.

Zawiesił głos i powiódł wzrokiem po kolei po twarzach zasłuchanych przysięgłych. Lęk kładł się na nich cieniem, a on wiedział, jak go wykorzystać. W skośnych promieniach zimowego słońca wydawali się wymizerowani i chorzy, jak dogorywający pacjenci wyczekujący cudownego lekarstwa.

- Griaule jest wśród nas, panie i panowie przysięgli. Obserwuje przebieg tego procesu. Może nawet w nim uczestniczy. Zajrzyjcie w swoje serca. Jesteście pewni, że jego wzrok nie spoczął właśnie na was? A to... - Wziął z prokuratorskiego stołu Ojca Kamieni. - Macie pewność, że to nie jest jego oko? Prokurator powie wam, że to tylko kamień, ja jednak twierdzę, że to coś więcej. - Podniósł go wyżej i przeszedł się wzdłuż ławy przysięgłych. Z satysfakcją zauważył, że kulą się na widok kamienia. - Oto narzędzie Griaule'a, ucieleśnienie jego mocy, nośnik jego woli, dzięki któremu oddziałuje na mieszkańców Port Chantay leżącego wiele mil poza jego tradycyjną strefą wpływów. Jeśli w to wątpicie, jeśli nie wierzycie, że Griaule mógł stworzyć Ojca Kamieni i nasycić go skomplikowaną miksturą swoich pragnień i żądz, proszę bardzo: dotknijcie go. Przekonacie się, że wprost ocieka lodowatą energią. I bądźcie pewni, że kiedy wy patrzycie na niego, on patrzy na was.

Wystąpienie prokuratora było nieskomplikowane. Jeden z policjantów zaświadczył o prawdziwości zeznań Lemos. Kilkunastu wezwanych świadków potwierdziło, że widzieli, jak Lemos szlifował Ojca Kamieni. Pijaczyna opowiedział o szlifierzu rzucającym kamieniami na plaży. Ktoś inny widział, jak Lemos włamuje się do świątyni.

Korrogly ograniczył się w przepytывaniu świadków do ustalenia, że żaden z nich nie wie, co siedzi w głowie Lemos. Niczego więcej nie potrzebował. Jego strategia musiała się obronić sama.

Pod koniec dnia, na świadka wezwano Mirielle. Jej zeznanie - choć nie ociekało goryczą w takim stopniu, jak Korrogly się spodziewał - bardzo pomogło Lemosowi. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna żywi wobec ojca ambiwalentne uczucia: nienawidziła go, ale zarazem miała wyrzuty sumienia, że zeznaje przeciw niemu. Zatem, skoro dręczyło ją sumienie, Lemos musiał być dobrym rodzicem, a jej niechęć do niego wyływała ze złego



wpływu, jaki miał na nią Zemaille. Było również oczywiste, że nie mówi całej prawdy. Zaprzeczyła, jakoby wiedziała coś o „wielkim dziele” Zemaille’a, a Korrogly miał wrażenie, że ukrywa coś jeszcze. W krzyżowym ogniu pytań ustalił, że waha się i unika odpowiedzi, gdy zapytać ją o powody, dla których przystała do kultu.

- Nie bardzo to rozumiem... - przyznał. - To chyba niemożliwe, żeby dołączyła pani do takiej mrocznej społeczności pod wpływem chwilowego kaprysu?

- To było dawno temu - odparła. - Może naprawdę był to zwykły kaprys. A może chciałam uciec od ojca.

- No tak, uciec od ojca, który chciał oszczędzić pani ekscesów i okrucieństw, jakich dopuszczano się w świątyni. Surowy z niego człowiek.

Mervale zerwał się na równe nogi.

- Jeżeli obrona zamierza nadać swoim kaznodziejskim wywodom formę pytań, sugeruję, by opatrywała je znakiem zapytania.

- Zgadzam się - przytaknął sędzia Wymer, skinąwszy ostrzegawczo głową Korrogly’emu.

- Proszę wysoki sąd o wybaczenie. - Korrogly uklonił się z szacunkiem. - Wracając do świątyni... Co panią w niej pociągało? Osoba Zemaille’a?

- Nie wiem... Ale tak, chyba tak.

- Chodziło o jego fizyczną atrakcyjność?

- To bardziej złożone.

- Mianowicie?

Twarz Mirielle drgnęła. Dziewczyna przygryzła wargę.

- Nie wiem, jak odpowiedzieć.

- Ale czemu? To proste pytanie.

- Nic nie jest proste! - odparowała ostrym tonem. - I tak by pan nie zrozumiał!

Korrogly’emu przyszło do głowy, że Mirielle z trudem powstrzymuje się od wypomnienia ojcu rzekomego molestowania. Nie obawiał się tego tematu, ale nie chciał, by wybuchnęła płaczem, a w tej chwili wydawało się to całkiem prawdopodobne. Co innego, gdyby wpadła we wściekłość. Nie mógł jednak dopuścić do tego, żeby przysięgli zaczęli jej współczuć. Zawsze przecież mógł ją wezwać po raz drugi.

Wypytyując ją, czuł, że połączyła ich specyficzna więź, jak dwoje współników w spisku, mimo że przecież w sądzie stanęli naprzeciw siebie. Miał trudności z zachowaniem profesjonalnego dystansu. Wyglądała przepięknie w koronkowej czarnej sukience i kiedy stał przy niej, wdychając woń pomarańczy i jej ciepłego ciała, zaczynał wierzyć, że darzy ją

gorącym uczuciem, jakby spod nagromadzonych przez lata pokładów rozczarowań i porażek udało mu się wyłowić coś prawdziwego i potężnego.

Zeznanie Mirielle zakończyło prezentację sprawy przez prokuratora i sędzia ogłosił przerwę do następnego poranka. Lemos przesiedział całe posiedzenie sądu z obojętną miną, nie okazując żadnych emocji, jak ponure ucieleśnienie rozpacz, i żadne słowa Korrogly'ego nie były w stanie podnieść go na duchu. W więzieniu został ostrzyżony - blond kosmyk zniknął, uszy zostały odsłonięte; nowa fryzura, w połączeniu z coraz wyraźniejszą bledością skóry i utratą wagi, nadawały mu wygląd ofiary długotrwałych, nieludzkich męczarni.

- Jest dobrze - powiedział Korrogly, kiedy później usiadł obok niego przy stole obrony. - Do rozpoczęcia procesu nie miałem pewności, jak przysięgli zareagują na naszą taktykę. Bałem się, że znamy za mało szczegółów, zaczynam jednak podejrzewać, że nie będą nam potrzebne. Oni chcą panu uwierzyć.

Lemos chrząknął i palcem wskazującym powiódł wzdłuż słoików drewna na blacie stołu.

- Mimo to, bardzo by nam pomogło, gdybyśmy mogli podać powód, dla którego Griaule chciał śmierci Zemaille'a - ciągnął Korrogly.

- Mirielle... Dzisiaj wydała mi się jakoś mniej nieprzychylna niż wcześniej. Mógłby ją pan jeszcze raz poprosić, żeby mnie odwiedziła?

- Dobrze - zgodził się Korrogly, którym targnęły lekkie wyrzuty sumienia. - Zapytam ją wieczorem.

Lemos spojrzał na niego z ukosa.

- Dziś wieczorem?

- Tak, specjalnie po to się do niej wybiorę, żeby o to zapytać - wyjaśnił Korrogly, usiłując pośpiechem pokryć niezręczność. - Ja naprawdę chcę, żeby się z panem spotkała. Jestem zwolennikiem wszystkiego, co pomoże się panu otrząsnąć z letargu. Tu chodzi o pańskie życie!

- Wiem o tym.

- A zachowuje się pan, jakby nie wiedział. Zapytam Mirielle, czy zechce się z panem spotkać, osobiście jednak radziłbym panu chwilowo o niej zapomnieć i skoncentrować się na procesie. Kiedy będzie pan wolny, zajmie się pan odbudową waszego związku.

Lemos zamrugał i zapatrzył się na rozpostarte za oknem czerwieniejące na zachodzie niebo.

- Dobrze - powiedział ospale.

Zniechęcony Korrogly zaczął się pakować.

- Ja wiem - odezwał się Lemos.

- Co pan wie? - spytał zaabsorbowany papierami Korrogly.

- Wiem o panu i Mirielle. Zawsze umiałem poznać, z kim sypia. Na takich mężczyzn inaczej patrzy.

- Proszę nie żartować! Ja...

- Ja wiem! - Szlifierz spojrzał na Korrogly'ego z błyskiem w oku. - Nie jestem głupi.

Zaskoczony Korrogly zaczął się zastanawiać, czy zawołane aluzje o kazirodczych upodobaniach Lemosy nie są jednak tak bezpodstawne, jak mu się zdawało.

- Nawet gdybym...

- Nie chcę, żeby się z nią pan spotykał w takim charakterze! - Szlifierz zacisnął dłoń na krawędzi stołu. - Ma pan natychmiast przestać!

- Porozmawiamy, kiedy się pan uspokoi.

- Nie pozwolę na to! Odkąd dorosła, ludzie tacy jak pan stale próbowali ją wykorzystywać, ale tym razem...

Korrogly trzasnął teczką w stół.

- Proszę mnie posłuchać. Chce pan umrzeć? Bo jeśli tak, to zrobienie sobie wroga z własnego adwokata jest krokiem we właściwym kierunku. Uprzedzam, że jeśli natychmiast się pan nie uspokoi, zacznę traktować pańską sprawę tak samo beznamyślnie jak pan. Nie wiem, czy życie naprawdę tak panu obojętniało... Bo jeśli pan tylko udaje, to doradzałbym większy umiar w rozmowach ze mną.

Pokonany Lemos osunął się w głąb krzesła. Korrogly miał wrażenie, że tym razem przynajmniej przebił się przez jego maskę: Lemos wcale nie chciał umierać. Jego obojętność była tylko pozą, a całe usprawiedliwienie kłamstwem.

Co czyniło z Korrogly'ego współlnika w zbrodni. Mógłby się wycofać z procesu, tłumacząc się poznaniem nowych, niekorzystnych faktów, ale biorąc pod uwagę nieprzyjazne nastawienie sędziego, i tak ryzykowałby postawienie zarzutów. Tymczasem w tej sprawie niczego nie mógł być pewny; sprzeczne informacje tak zamąciły mu w głowie, że stracił zaufanie do swojego zdrowego rozsądku. Perwersyjne uczucie wobec córki (pod warunkiem, że i ono nie było udawane) naprawdę mogło wyrwać Lemosy z apatii i zmusić do reakcji.

Strażnik odprowadził Lemosy do celi. Korrogly szedł powoli przez spowite zmierzchem miasto w stronę Almintry, nie zważając na wieczorny ruch. W głowie miał kompletny chaos. Powodem jego wzburzenia nie była jednak wyjątkowa złożoność sprawy Lemosy, lecz fakt, że zagroził klientowi, że zwróci się przeciwko niemu. To było ostateczne zszarganie drogich mu ideałów, naruszenie umowy, jaką zawarł z prawem. Jak mogło do tego

dojść? Czy to wpływ Mirielle? Nie, nie potrafił mieć do niej pretensji; on sam był w tej kwestii jedynym winnym. Nie pozostało mu nic innego, jak od tej pory bronić szlifierza najlepiej jak potrafi, bez oglądania się na jego winę czy niewinność. Musi również zerwać znajomość z Mirielle; jeśli chce być uczciwy, nie ma prawa dalej dręczyć Lemosą. Chociaż dawno już nie czuł się tak swobodnie w towarzystwie kobiety...

Mimo wszystko zakończę tę znajomość, obiecał sobie w duchu. Nie pozwolę, żeby ta sprawa przerodziła się w ściek, w którym utonie resztką mojego sumienia.

Kiedy jednak trafił do mieszkania szlifierza, jego determinacja ulotniła się bez śladu. Mirielle była jeszcze bardziej namiętna niż poprzedniej nocy i minęło sporo czasu, zanim znów pomyślał o Lemosie - a i wówczas zdarzyło mu się to tylko przelotnie, w przyływie wyrzutów sumienia. Mirielle leżała na boku, z nogą zarzuconą na jego biodro, nadal z nim złączona. Jej drobne białe piersi w przygnonym świetle latarń emanowały mleczną i czystą poświatą, jak Ojciec Kamieni. Widoczne pod skórą sine żyłki rozwidlały się i znikwały w zagłębieniu u nasady szyi. Kiedy Korrogly przesunął po nich językiem, oddech Mirielle przyspieszył. Przytrzymując obiema dłońmi jej pośladki, zaczął poruszać biodrami z łagodną natarczywością. Wbiła mu paznokcie w plecy, sama też zaczęła się poruszać, coraz szybciej, aż w końcu dała upust swemu uczuciu w chrapliwym krzyku.

- Na Boga! - wydyszała. - Na Boga, jak dobrze!

Niewiele myśląc, Korrogly powiedział, że ją kocha.

Cień okrył jej twarz.

- Co się stało?

- Nie mów tak.

- Ale boję się, że to prawda. Nie mam wyboru.

- Nie znasz mnie. Nie wiesz, co robiłam.

- Z Zemaillem?

- Kochałam się z innymi ludźmi, ze wszystkimi, z którymi mi kazał. Robiłam takie rzeczy... - Zamknęła oczy. - Właściwie nie chodzi nawet o to, co sama robiłam. Gorzej, że patrzyłam biernie, jak Mardo... - Wtuliła twarz w zagłębienie przy jego obojczyku. - Na Boga, nie chcę o tym mówić.

- To i tak bez znaczenia.

- Wcale nie. Nie można przejść przez coś takiego i pozostać sobą. Może ci się wydawać, że mnie kochasz, ale...

- A co ty do mnie czujesz?

- Nie oczekuj, że powiem „Kocham cię”.

- Nie spodziewam się niczego poza prawdą.

- Doprawdy? - Mirielle wybuchnęła śmiechem. - Gdybym знаła prawdę, byłoby o wiele łatwiej.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Posłuchaj. - Ujęła jego twarz w dłonie. - Nie każ mi nic mówić. Między nami dobrze się układa. To pomaga. Czasem chcę ci powiedzieć różne rzeczy, ale nie jestem na to gotowa. Mam nadzieję, że kiedyś będę, ale jeśli zmusisz mnie, żebym powiedziała coś w tej chwili... Wiem, to przewrotne z mojej strony. Sama sobie odmawiam tego, co dobre. Tak mnie nauczono: ukrywam przed sobą to, co mnie uszczęśliwia.

- Mnie to wystarczy.

- Naprawdę? Oby tak było.

Pocałował ją w usta i położył dłonie na jej piersiach. Sutki stwardniały między jego rozcapierzonymi palcami.

- Chciałbym jednak, żebyś coś dla mnie zrobiła. Spotkaj się z ojcem.

Odwróciła głowę.

- Nie mogę.

- Dlatego że cię... molestował?

- A jak myślisz?

- Moim zdaniem pewne poszlaki wskazują, że byłaś przez niego molestowana.

- Molestowana... - Wymówiła to słowo z taką precyzją, jakby chciała docenić jego smak. - Nie umiem o tym rozmawiać - dodała po chwili. - Nigdy nie umiałam. Nie potrafię się zmusić, żeby... opowiedzieć o tym, co się stało.

- To jak? Spotkasz się z nim?

- To mu nie pomoże. Nie uszczęśliwi go. A tobie przecież o to właśnie chodzi, prawda? Żeby mu poprawić humor?

- Można to w ten sposób ująć.

- Uwierz mi, moja wizyta tylko by go rozstroiła.

- Tak, chyba rzeczywiście będę musiał ci uwierzyć. Przecież cię nie zmuszę. Po prostu chciałbym, żeby bardziej zaangażował się w proces.

- Nadal uważasz, że jest niewinny?

- Nie wiem... być może. Zresztą, ty chyba też masz wątpliwości.

Chciała od razu odpowiedzieć, ale zacisnęła wargi i długo milczała.

- Nie - odparła w końcu. - Nie mam.

Kiedy Korrogly próbował coś powiedzieć, położyła mu palec na ustach.

- Nie mówmy już o tym, proszę.

Wyciągnięty na wznak Korrogly patrzył, jak kruche cienie mgły przetaczają się pod białym sufitem, i myślał o Lemosie. Nic mu się nie zgadzało, w nic nie potrafił uwierzyć. Możliwość, że szlifierz molestował córkę, wydawała się zarazem oczywista i nieprawdopodobna, podobnie jak kwestia jego winy lub niewinności. Mirielle z pewnością wierzyła w to, że była molestowana, ale Korrogly, mimo że ją kochał, powątpiewał w jej poczatalność i kwestionował jej osąd. Wątpliwości budziły również powody, dla których się z nim związała. Trudno było mu pogodzić się z tym, że jest szczerą w swoich odpowiedziach. Przebijająca z jej słów - choć niewypowiedziana wprost - niechęć do zaangażowania się jasno dowodziła wewnętrznego zamętu, o jaki ją przyprawiał, a mimo to, nie mógł do końca pozbyć się wrażenia, że go wykorzystuje... Chociaż nie miał zielonego pojęcia do czego. Szedł przez ruchome piaski, przez cień, w którym zewsząd nawoływały go niezrozumiałe głosy.

- Martwisz się czymś - odezwała się Mirielle. - Niepotrzebnie. Będzie dobrze.

- Z nami?

- A to cię właśnie trapi?

- Między innymi.

- Spróbujemy. Chociaż nie mogę ci obiecać, że spodoba ci się to, co z tego wyjdzie.

Chciał zapytać, dlaczego jest gotowa spróbować, co takiego w nim odkryła, że uznała, że warto, ale przypomniał sobie, jak go ostrzegęła, żeby nie naciskał.

- Nadal się czymś gryziesz.

- Nie umiem przestać.

- Ależ umiesz. - Jej dłoń zsunęła się po jego piersi, po brzuchu, rozniecając leniwy żar.

- Tego akurat jestem pewna.

\* \* \*

Sąd odrzucił sprzeciw Korrogly'ego i następnego dnia Mirielle znów została wezwana do sądu jako świadek oskarżenia. Mervale przedstawił dowód rzeczowy w postaci pliku dokumentów opatrzonych podpisem Mardo Zemaille'a, parafowanych przez Mirielle i zawierających testament kapłana, w którym zapisano, że w razie jego śmierci świątynia i otaczający ją teren mają przejść w ręce dziewczyny. Oskarżyciel wygrzebał je z miejskiego archiwum, dostarczył też przekonujących dowodów na autentyczność podpisów i - tym samym - legalność testamentu.

- Jaką wartość, pani zdaniem, przedstawiają nieruchomości wymienione w testamencie? - spytał Mervale, zwracając się do Mirielle, ubranej dziś w niebieską aksamitną sukienkę z wysoką stójką.

- Nie mam pojęcia.

- Czy można powiedzieć, że są warte dużą sumę pieniędzy? Fortunę?

- Świadek odpowiedział już na to pytanie - zauważył Korrogly.

- Istotnie - zgodził się z nim sędzia Wymer i skarcił Mervale'a wzrokiem.

Oskarżyciel wzruszył ramionami, podszedł do stołu i poprosił o włączenie wyceny nieruchomości do akt.

- Czy pani ojciec wiedział o istnieniu tego testamentu? - spytał, kiedy formalnościom stało się zadość.

- Tak - mruknęła Mirielle.

Korrogly zerknął na Lemosę, który sprawiał wrażenie, jakby nie słuchał.

- Skąd się o nim dowiedział?

- Ode mnie.

- Przy jakiej okazji?

- Przyszedł do świątyni. - Mirielle wzięła gwałtowny wdech, po czym powoli wypuściła powietrze, jakby narzucała sobie dyscyplinę. - Chciał, żebym z niej odeszła. Mówił, że kiedy Mardo się mną znudzi, pozbędzie się mnie, a wtedy nasza rodzina zostanie bez pieniędzy. Stracimy warsztat... wszystko. - Kolejny wdech. - Rozzłościł mnie. Powiedziałam mu o testamencie, powiedziałam, że Mardo zadbał o moją przyszłość znacznie lepiej niż on sam. Wtedy zapowiedział, że postara się, by wykazać nieposiadanie przeze mnie zdolności prawnej; zagroził, że wynajmie adwokata i zabierze mi wszystko, co Mardo mi zostawił.

- Wie pani, czy rzeczywiście spotkał się z adwokatem?

- Tak, spotkał się.

- Czy tym adwokatem był Artis Colari?

- Tak.

Mervale wziął ze stołu następny plik papierów.

- Pan Colari uczestniczy obecnie w innym przewodzie sądowym i nie mógł wziąć udziału w naszym dzisiejszym posiedzeniu, mam tu jednak jego zeznanie, w którym stwierdza, że dwa tygodnie przed morderstwem oskarżony zwrócił się do niego z prośbą o pomoc w nadaniu córce statusu częściowo niepoczytalnej wskutek nadużywania narkotyków.

- Uśmiechnął się do Korrogly'ego. - Świadek jest do pańskiej dyspozycji.

Korrogly poprosił o możliwość konsultacji z klientem, a kiedy znaleźli się na osobności, spytał Lemosę:

- Wiedział pan o testamencie?

Skinienie głowy.

- Ale to nie dlatego poszedłem do Colariego. Pieniądze mnie nie interesowały, nie chciałem mieć do czynienia z niczym, czego tknął się Zemaille. Bałem się o Mirielle. Chciałem ją stamtąd zabrać i wydawało mi się, że jedynym sposobem będzie stwierdzenie jej niepoczytalności.

Lemos przemawiał z niezwykłym u niego zaangażowaniem, co poruszyło Korrogly'ego. Pierwszy raz od momentu aresztowania szlifierz się ożywił.

- Czemu nie powiedział mi pan o tym wcześniej?

- Nie pomyślałem.

- Dziwne, że akurat o tym pan zapomniał.

- Nie tyle zapomniałem, ile... Proszę posłuchać. - Lemos wyprostował się na krześle i przygładził włosy. - Wiem, że ma pan ze mną trudną przeprawę, ale mnie... To było... Nie umiem wytłumaczyć, jak się czułem. Pan mi chyba nie uwierzył, i wydaje mi się, że nadal nie wierzy, co dodatkowo mnie przygnębiło. Przepraszam, wiem, że powinienem być bardziej skory do współpracy.

Mimo ziemistej cery, więziennego stroju i nowej fryzury Lemos wyglądał jak ucieleśnienie szczerości i skruchy, a świeżo odzyskany wigor odmładzał go o całe lata.

Korrogly nie wiedział, czy powinien być zadowolony, czy raczej zdegustowany. To jest po prostu niesamowite, pomyślał. Facet jest niewiarygodny, a zarazem w tej swojej niewiarygodności tak przekonujący, że prawie godny zaufania. No i Mirielle... Jak mogła to przed nim ukryć?

I jak to wróży ich znajomości? Czy jej nienawiść do ojca była tak silna, że unieważniała wszystkie inne zasady? Czy aż tak pomylił się w jej ocenie?

- Nie wygląda to dobrze, prawda? - spytał Lemos.

Korrogly powstrzymał się od parsknięcia śmiechem.

- Mamy jeszcze swoich świadków - odparł. - Poza tym nie odpuszczę Mirielle tak łatwo.

- Co pan zamierza?

- Odwrócić niekorzystne skutki pańskiego przygnębienia. Wracajmy na salę.

\* \* \*

Korrogly obszedł stanowisko dla świadków. Mirielle była podenerwowana, skubała szwy sukienki.

- Dlaczego nienawidzi pani ojca? - spytał znieczeka.

Zaskoczył ją.



- To proste pytanie - ciągnął. - Dla wszystkich na tej sali jest oczywiste, że chce pani, by przysięgli uznali go za winnego.

- Sprzeciw! - rozległ się przenikliwy okrzyk Mervale'a.

- Proszę się ograniczyć do zadawania pytań, panie Korrogly - powiedział sędzia.

Korrogly pokiwał głową.

- Dlaczego nienawidzi pani ojca?

- Dlatego... - Mirielle posłała mu błagalne spojrzenie. - Dlatego że...

- Dlatego że uważa go pani za nadopiekuńczego?

- Tak.

- Dlatego że próbował rozdzielić panią z ukochanym?

- Tak.

- Dlatego że pani zdaniem jest pompatyczny, drętwy i ma niedzisiejsze poglądy?

- Tak.

- Czy możemy domniemywać, że ma pani więcej powodów, by go nienawidzić?

- Tak! - krzyknęła rozpaczliwie Mirielle. - Tak! Co pan robi?!

- Ustalam, że nienawidzi pani ojca, panno Lemos. Że ta nienawiść jest dostatecznie silna, żeby chciała pani przekształcić jego proces w melodramat, co gwarantowałoby wyrok skazujący. Że ukrywa pani przed sądem pewne fakty, które następnie ujawni pani w odpowiednio teatralnym momencie, wspomagana w tym dziele, być może przez pana Mervale'a, który jest urodzonym aktorem...

- Sprzeciw!

- Panie Korrogly... - upomniał Korrogly'ego sędzia Wymer.

- Najważniejszy jest jednak fakt, że złożyła pani fałszywe zeznanie...

- Panie Korrogly!

- ...ma pani nieszczerze zamiary i okłamuje sąd!

- Panie Korrogly, proszę natychmiast przestać, bo inaczej...

- Przepraszam, wysoki sędzie.

- Stąpa pan po kruchym lodzie, panie Korrogly. Nie pozwolę na drugi taki wybuch.

- Spieszę zapewnić wysoki sąd, że drugiego takiego wybuchu nie będzie. - Korrogly podszedł do ławy przysięgłych i oparł się o nią w geście, który w zamierzeniu miał go z nimi zjednoczyć i wywołać wrażenie, że dalsze pytania będzie zadawał w ich imieniu. - Panno Lemos, wiedziała pani o testamencie nie od dziś, prawda?

- Tak.

- Powiedziała pani o nim oskarżycielowi?

- Tak.

- Kiedy?

- Wczoraj po południu.

- Dlaczego nie wcześniej? Musiała pani przecież zdawać sobie sprawę z jego wagi.

- Jakoś... zapomniałam. Tak mi się wydaje.

- Zapomniała pani. - Głos Korrogly'ego ociekał sarkazmem. - Tak się pani wydaje... -  
Odwrócił się do przysięgłych. - Czy jest coś jeszcze, o czym zapomniała pani powiedzieć?

- Sprzeciw!

- Oddalam. Proszę odpowiedzieć.

- Ja... Nie.

- Mam nadzieję - powiedział Korrogly. - Tak byłoby lepiej dla pani. Czy ojciec powiedział pani, że chciał uznania panią za niepoczytalną, żeby móc zabrać panią ze świątyni i ochronić przed zagrożeniem ze strony Zemaille'a?

- Wspomniał o tym, ale...

- Tak czy nie? Proszę odpowiedzieć.

- Tak.

- Wracając do testamentu... Znała pani jego treść. I to dokładnie, ze szczegółami.

- Tak, naturalnie.

- Domyślam się, że rozmowa, w której powiedziała pani ojcu o testamencie, była, że tak powiem, bardzo ożywiona?

- Tak.

- A zatem podczas ożywionej wymiany zdań, żeby nie powiedzieć: kłótni, zachowała pani dość przytomności umysłu, żeby wprowadzić ojca w treść tego dość skomplikowanego dokumentu? Ze wszystkimi szczegółami?

- No nie, nie aż tak...

- Nie? - Korrogly w zdumieniu uniósł brwi. - A co dokładnie mu pani powiedziała?

- Nie... nie pamiętam. Nie tak dokładnie.

- Wyjašnjmy sobie coś, panno Lemos. Pamięta pani, że powiedziała ojcu o testamencie, ale nie przypomina sobie pani, czy zapoznała go z jego treścią. Czy jest zatem możliwe, że wypnęło się pani tylko jakieś ogólne stwierdzenie, że Mardo zatroszczył się o pani przyszłość...?

- Nie, ja...

- W takim razie powiedziała pani...

- On dobrze wiedział, o co mi chodzi! - Mirielle podniosła głos. - Wiedział! -

Spojrzała na Lemos a oczyma pałającymi nienawiścią. - Zabił go dla pieniędzy, ale nigdy się...

- Proszę usiąść, panno Lemos - wtrącił się sędzia. - Natychmiast!

Kiedy go posłuchała, w krótkich, konkretnych słowach wyjaśnił jej, że nie będzie więcej tolerował takiego zachowania.

Korrogly wrócił do zadawania pytań.

- Czyli podczas kłótni wyrwało się pani jakieś niespójne...

- Sprzeciw!

- Podtrzymany.

- Wyrwały się pani jakieś słowa, których nie potrafi sobie pani dokładnie przypomnieć, ale wie, że dotyczyły testamentu. Czy można tak właśnie powiedzieć, panno Lemos?

- Pan przekręca moje słowa!

- Bynajmniej, panno Lemos. Ja tylko powtarzam to, co pani przed chwilą powiedziała. Wygląda na to, że jedynymi osobami, które ze szczegółami znały treść testamentu, była pani i Mardo Zemaille.

- To nie tak, ja...

- To nie było jeszcze pytanie, panno Lemos. Załedwie wstęp. Biorąc pod uwagę, że ewentualny wyrok skazujący w tej sprawie może pani przynieść całkiem wymierne korzyści, ponieważ uniemożliwi ojcu wszczęcie procedury uznania pani za niepoczytalną, to czy w takim kontekście pani zeznania nie są przypadkiem zabarwione nutą chciwości?

- Niczego nie pragnęłam mieć tak bardzo jak Mardo Zemaille'a.

- Z pewnością wszyscy słyszeli, że właśnie zaklasyfikowała pani Mardo Zemaille'a do kategorii przedmiotów nieożywionych.

- Sprzeciw nie będzie potrzebny, panie Mervale - odezwał się sędzia i zwrócił się do Korrogly'ego: - Dałem panu sporo swobody, panie Korrogly, ale właśnie wyczerpał pan jej zasób. Czy to jasne?

- Tak, wysoki sędzie. - Korrogly sięgnął po leżące na stole notatki, przekartkował je i stanął naprzeciw Mirielle. Jej twarz była gniewną maską. - Wierzyła pani w Mardo Zemaille'a, panno Lemos?

- Nie rozumiem, o co panu chodzi.

- Czy wierzyła pani w jego słowa? W to, co mówił podczas wystąpień publicznych? W przedstawiane przez niego doktryny teologiczne? W jego dzieło?

- Tak.

- Czym było jego dzieło? Jego wielkie dzieło?

- Nie wiem... To wiedział tylko Mardo.

- Mimo to, wierzyła w nie pani?

- Wierzyłam, że Mardo został natchniony.

- Natchniony... Czyli przyjęła pani podyktowane przez niego zasady za swój kodeks postępowania?

- Tak.

- Czy wobec tego nie uważa pani, że poznanie tych zasad byłoby dla pani oświecające?

- Nie wiem...

- Moim zdaniem byłoby. - Korrogly przewrócił kartkę w notatniku. - O, mam: „Czyń wolę swoją, oto całe prawo”. Wierzyła pani w to?

- Ja... tak, wierzyłam.

- Hmm... A to? W to też pani wierzyła: „Krew potrzebna do wielkiego dzieła zostanie dostarczona”?

- Tego nigdy nie rozumiałam.

- Naprawdę? I mimo to, przyjęła pani te słowa za część natchnionej doktryny Zemaille’a?

- Na to wygląda.

- A to: „Żadna zbrodnia, żaden grzech, żadne wykroczenie przeciw regułom rządzącym społeczeństwem nie są zbrodnią, grzechem ani wykroczeniem, jeśli służą wielkiemu dziełu”. To też?

Mirielle skinęła głową.

- Tak.

- Domyślam się, że pod mianem grzechu można rozumieć między innymi grzech kłamstwa?

Posłała mu gniewne spojrzenie.

- Zrozumiała pani pytanie?

- Tak.

- Więc?

- Tak, tak mi się wydaje, ale...

- Pod mianem zbrodni zaś, między innymi, krzywoprzysięstwo?

- Owszem, ale ja już nie wyznaję tych poglądów.

- Naprawdę? Przecież jeszcze do niedawna wychwalała pani Mardo Zemaille’a jako wzór cnót wszelakich.

Zacisnęła usta.

- Sytuacja się zmieniła.

Korrogly zdawał sobie sprawę, że wkracza teraz na niebezpieczny teren; ryzykował, że Mirielle odniesie się bezpośrednio do zmian, jakie on wprowadził w jej życiu, doszedł jednak do wniosku, że zdąży powiedzieć swoje i wycofać się, zanim dziewczyna mu zaszkodzi.

- Śmiem twierdzić, że w tym wypadku nic się nie zmieniło, panno Lemos. Twierdzą, że wielkie dzieło, bez względu na to, czym jest, będzie pod pani patronatem kontynuowane. Twierdzą, że wszystkie poronione zasady nim rządzące pozostaną w mocy i że będzie pani gotowa dopuścić się każdego kłamstwa, każdej...

- Ty draniu! - krzyknęła Mirielle. - Ja cię...

W sali wybuchła wrzawa, Mervale próbował zgłosić sprzeciw, Wymer walił młotkiem w stół.

- ...każdej zbrodni - mówił dalej Korrogly - byle tylko nadal je realizować. Twierdzą, że interesuje panią wyłącznie wielkie dzieło, natomiast w najmniejszym stopniu nie jest pani zainteresowana powiedzeniem prawdy.

- Tak się nie robi! - darła się Mirielle. - Nie możesz przychodzić do mojego...

Ryk sędziego Wymera zagłuszył jej słowa.

- Nie mam więcej pytań - powiedział Korrogly.

Z mieszanymi uczuciami patrzył, jak woźni wyprowadzają krzyczącą kobietę z sali.

\* \* \*

Niedługo po tym, jak rozpoczęło się przesłuchanie pierwszego świadka obrony - historyczki i biolożki Catherine Ocoi, pięknej, niespełna czterdziestoletniej blondynki - sędzia przywołał Korrogly'ego do siebie na szeptane konsultacje. Wychyliwszy się nad stołem, Wymer pokazał przyniesione przez Catherine ilustracje, szczególną uwagę zwracając na stojący obok stołu obrony spory obraz przedstawiający wielkiego jak góra smoka.

- Ostrzegałem pana, żeby nie robił pan z sądu cyrku.

- Nie wydaje mi się, żeby przedstawienie wizerunku Griaule'a...

- Pańska mowa wstępna była majstersztykiem zastraszenia. Nie potępiłem jej, ale nie zgadzam się na dalsze straszenie przysięgłych. Proszę usunąć ten obraz.

Korrogly już zamierzał się sprzeciwić, gdy nagle dostrzegł dla siebie korzyść płynącą z podporządkowania się poleceniu: fakt, że sąd uznał obraz za dostatecznie ważny, żeby nakazać jego usunięcie, tylko przydawał wagi słowom adwokata.

- Słucham wysokiego sądu - powiedział więc tylko.

- I proszę uważać, panie Korrogly. Bardzo uważać.

Przysięgli odprowadzili wzrokiem wynoszony obraz, kiedy zaś zniknął im z oczu, odetchnęli z wyraźną ulgą. Korrogly doszedł do wniosku, że ta ulga może się okazać cenniejsza niż ciężąca wszystkim obecność obrazu w sali. Dzięki niej mógł grać na uczuciach przysięgłych, przypominać im o Griaule'u, popychać ich z ulgi w lęk i z powrotem - i w ten sposób kontrolować.

Poprowadził Catherine Ocoi przez zawilosci jej zeznania - historii o tym, jak zmanipulowana przez Griaule'a przemieszkała dziesięć lat w jego wnętrznościach wyłącznie po to, by nadzorować jeden z aspektów jego gospodarki wewnętrznej. Pozwolił jej następnie opowiedzieć o cudownościach znajdujących w ciele smoka, o lekarstwach, które osobiście wydestylowała z jego rozmaitych wydzielin, o obficie pleniących się tam pasożytach i roślinach - czasem dziwnych, czasem wspaniałych. Nie słyszała o Ojcu Kamieni, ale niesamowitości, o których opowiedziała, nie pozwalały przysięgłym wątpić, że niezwykle kamień naprawdę mógł być wytworem smoczego cielska. Wśród przyniesionych przez nią dowodów rzeczowych (wszystkie, co do jednego, znaleziono we wnętrzu Griaule'a) znajdowała się, między innymi, szklana gablotka pełna pajaków, w których sieciach dawało się dostrzec najbardziej fantastyczne obrazy; fragmenty niezwyklej rośliny, zdolnej tworzyć kopie zwierząt, które zasnęły w jej splotach; oraz - najbardziej adekwatne - bursztynowej barwy grudy, do złudzenia przypominające bryły minerału, powstałe, jak twierdziła Catherine, na skutek petryfikacji kwasów żołądkowych Griaule'a.

- Jestem pewna, że to też jest wytwór Griaule'a - powiedziała, podnosząc Ojca Kamieni ze stołu. - Także teraz, kiedy go dotykam, czuję Griaule'a. Przez dziesięć lat bardzo dobrze poznałam uczucia przenikające każdą jego cząstkę. To jego kamień.

Mervale nie bardzo miał jak podważyć jej zeznanie. Catherine Ocoi cieszyła się nieposzlakowaną opinią, a dzięki swojej historii i odkryciom stała się powszechnie znana. Za to z następnymi świadkami - filozofami i kapłanami, którzy wypowiadali się na temat talentu Griaule'a do manipulowania ludźmi - obszedł się mniej łagodnie. Pomstował na nich i ciskał gromy, oskarżał ich o zmyślanie, a Korrogly'ego o degradowanie instytucji prawa.

- Robi się nam z tego jakaś debata metafizyczna - zauważył sędzia Wymer, wezwawszy prokuratora i adwokata na konsultacje.

- Metafizyczna? - powtórzył Korrogly. - Być może, ale taki jest charakter każdej debaty dotyczącej fundamentalnych aspektów prawa. Nasze prawo jest oparte na kodeksie moralnym, który przekazano nam w formie przykazań religijnych. Czy to nie jest metafizyka? Metafizykę przetwarza się w prawo w oparciu o wspólnie uzgodniony światopogląd moralny,

bazujący na religii i powszechnie akceptowany w społeczeństwie jako wyznacznik granic przyzwoitego ludzkiego zachowania. Ja zaś nade wszystko staram się dowieść, że istnieje powszechna zgoda w kwestii wpływu Griaule'a na nasze życie. Wystarczyłoby wyjść na ulicę i rozpytać się wśród przechodniów; ręczę, że każdy zagadnięty wierzy w Griaule'a, w mniejszym lub większym stopniu. O takiej jednomyślności nie można mówić nawet w kwestii wiary w Boga.

- To niedorzeczne! - prychnął Mervale.

- Po drugie - ciągnął Korrogly - poprzez zeznania specjalistów próbuję również wykazać, że istnieje konsensus w kwestii zasięgu i ograniczeń wpływu Griaule'a. To sprawy fundamentalne, kluczowe nie tylko dla wszelkich decyzji w kwestii winy lub niewinności mojego klienta, lecz także dla ustanowienia ewentualnego precedensu. Gdyby wysoki sąd odrzucił tę argumentację, automatycznie podważyłby racje oskarżonego, ponieważ zaś, rozpoczynając proces, racje te przyjął, musi również zaakceptować leżące u ich podstaw argumenty.

Wymer długo przetrwał jego słowa, w końcu zerknął pytająco na Mervale'a. Oskarżyciel westchnął.

- No dobrze - powiedział. - Mając na względzie zwięzłość procesu, mogę się zgodzić, że wpływ Griaule'a rzeczywiście istnieje i jest...

- Obawiam się, że zwięzłość procesu niekoniecznie musi iść w parze z dobrem mojego klienta - wtrącił Korrogly. - Jeżeli ma tu zostać ustanowiony precedens, chcę położyć pod niego solidne podwaliny. Zamierzam przedstawić przysięgłym historię Griaule'a i rozmaitych przejawów jego wpływu. Uważam za absolutnie niezbędne, by przysięgli dogłębnie zrozumieli tę skomplikowaną i delikatną materię, jeśli mają później wydać sprawiedliwy wyrok.

Tym razem to Wymer westchnął ciężko.

- Panie Mervale?

Mervale poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu tylko rozłożył bezradnie ręce i wrócił do swojego stołu.

- Proszę kontynuować, panie Korrogly - polecił sędzia. - Tylko niech pan do minimum ograniczy popisy krasomówcze, dobrze? Wątpię, żeby cokolwiek, co nam pan tu przedstawi, przeważało nad testamentem. Nie traćmy niepotrzebnie czasu.

Do tej sytuacji doszło już pod koniec dnia, ale Korrogly nie chciał prosić o przełożenie rozprawy na następny dzień. Wolał, żeby Lemos od razu przedstawił swoją wersję wydarzeń, z którą przysięgli się prześpią, zanim oskarżenie weźmie go w krzyżowy

ogień pytań. Pytaniami pomocniczymi poprowadził szlifierza przez wstępne zeznania, czekając cierpliwie, aż ten oswoi się ze statusem świadka i obecnością przysięgłych, po czym poprosił go, żeby własnymi słowami opowiedział, co się stało po tym, jak odkupił Ojca Kamieni od Henry'ego Sichi.

Lemos oblizał wargi, spuścił wzrok na poręcz okalającą stanowisko świadka, westchnął, a potem zgodnie z zaleceniem Korrogly'ego spojrzął przysięgłym w oczy i zaczął mówić:

- Pamiętam, że chciałem jak najszybciej wrócić z kamieniem do domu. Wtedy jeszcze nie wiedziałem dlaczego, czułem tylko, że muszę go spokojnie obejrzeć. Wróciłem i usiadłem na chwilę przy warsztacie. Ta część kamienia, którą w tej chwili państwo widzicie, tkwiła w uścisku szponów jakiejś pomarańczowej materii, jakby rdzy, która łuszczyła się pod dotykiem i była miękka, jak drewno albo inna substancja organiczna. Od samego kamienia zaś nie mogłem oderwać oczu. Jego mleczna powierzchnia wydała mi się cudownie tajemnicza, budząc we mnie przekonanie, że w głębi tkwi uwięzione jeszcze większe piękno, które - tego byłem pewien - mogę wyzwolić. Zwykle do obróbki kamienia zabieram się najwcześniej po wielu tygodniach, często wręcz miesiącach od zakupu, tym razem jednak wpadłem w jakiś trans, oładnęła mną niezwykła pewność, że znam ten kamień, znam go od zawsze, a jego struktura wewnętrzna jest mi równie znajoma jak ścieżki, po których błądzą moje myśli. Starłem tę pomarańczową substancję, włożyłem kamień w imadło, założyłem okulary ochronne i zacząłem go obrabiać. Miałem wrażenie, że każde kolejne uderzenie dłuta rozszczepia drzemiącą we wnętrzu kamienia poświatę, krzesze świetlne skry, które biją mi promieniami prosto w oczy i tworzą w moim mózgu całe pęki obrazów, jakby i on był klejnotem poddanym obróbce. Pierwszy obraz przedstawiał Griaule'a, nie takiego, jakim znamy go dzisiaj, lecz pełnego werwy i życia, ziejącego ogniem na maleńką ludzką postać w szacie czarownika - szczupłą, śniadą, z wydatnym nosem. Następna wizja przedstawiała ich obu, smoka i człowieka, unieruchomionych po tamtej potyczce. Dalsze obrazy następowały po sobie zbyt szybko, żebym zdążył je skatalogować. Mój umysł tętnił światłem, w uszach dźwięczała mi świetlna muzyka, każdym skrawkiem swojej istoty czułem, że szlifuję jeden z najwspanialszych klejnotów na świecie. Pomyślałem, że nazwę go Ojcem Kamieni, ponieważ po oszlifowaniu stanie się archetypem pięknego minerału. Kiedy jednak odłożyłem dłuto i przyjrzałem się swojemu dziełu, byłem, oględnie mówiąc, rozczarowany. Kamień był krzykliwy, błyszczący, lecz przy tym pozbawiony głębi i subtelności odcienia. Miałem wręcz wrażenie, że jest pusty w środku; gdyby nie znaczny ciężar, mógłbym pomyśleć, że trzymam w ręce kawałek dmuchanego szkła. Zmartwiłem się, że wyrzuciłem pieniądze w błoto. Nie



pojmwalem, co mi wczesniej chodzilo po glowie, przeciez powinienem byl od razu sie zorientowac, ze to nic niewarte szkiełko. Warsztat i tak juz byl na krawedzi bankructwa, zakup kamienia z pewnošcia nie przyslužyl sie moim interesom. W koncu postanowilem sprezentowac kamieñ Zemaille'owi, który juz od jakiegoš czasu nachodził mnie i dopraszał sie o jakiś niecodzienny rekwizyt do swoich rytuałów. Pomyšlałem, ze może powierzchowna jarmarczna uroda kamienia oślepi go i uniemożliwi mu dostrzeżenie jego marności. Miałem poza tym nadzieję, ze przy okazji uda mi sie spotkać z Mirielle. Zawinałem kamieñ w kawalek aksamitu i czym prędzej udałem sie do świątyni, która jednak była zamknięta. Pukałem i pukałem, ale nikt nie odpowiadiał. Nigdy nie uważałem sie za człowieka gwałtownego, kiedy jednak, pokonawszy taki szmat drogi, odkryłem, ze nie zostanę wpuszczony do środka, poczułem sie upokorzony. Jakiš czas przechadzałem sie przed bramą w tę i z powrotem, pokrzykując na próżno, a gniew i frustracja wzbierały we mnie coraz bardziej. W koncu, nie mogąc dłużej nad sobą zapanowac, postanowilem wspiąć sie po murze świątyni, czepiając sie porastających go pnączy. W ten sposób dostałem sie do ogrodu (o ile pleniące sie tam bujnie ohydztwa zasługują na taką nazwę), przedarłem sie przezeń, coraz bardziej rozeźlony, aż wreszcie usłyszałem śpiew dobiegający z budynku stojącego w rogu świątynnego kompleksu. Pośpieszyłem w jego kierunku; byłem juz tak wściekły, ze zamierzałem cisnąć kamieñ Zemaille'owi do stóp, obrzucić Mirielle pogardliwym spojrzeniem i wybiec stamtąd, zostawiając ich sam na sam z ich perwersjami. Kiedy jednak znalazłem sie w środku, barbarzyństwo rozgrywającej sie na moich oczach sceny przyćmiło mój gniew. Komnata, do której trafiłem, miała kształt pięciokąta i czarne jak heban, zdobione płaskorzeźbami ściany. Okryta czarnym mchem podłoga opadała od zewnątrz ku środkowi, tworząc zagłębienie, w którym stał ołtarz z czarnego kamienia, pokryty rzeźbionymi wyobrażeniami Griaule'a. Okalały go pochodnie, zatknięte w dziwacznych stojakach z kutego żelaza. Obok stał odziany w srebrno-czarne szaty Zemaille: śniady mężczyzna z haczykowatym nosem, z uniesionymi błagalnie rękami, śpiewał pieśń, w której towarzyszyło mu dziewięć zakapturzonych postaci stojących wokół ołtarza. Po chwili otworzyły sie drzwi w głębi komnaty i do środka wprowadzono Mirielle, nagą, odzianą tylko w naszyjnik z wypolerowanych do połysku smoczyc łusek. Było oczywiste, ze jest czymś upojona: głowa opadała jej na bok, spod powiek łyskały białka oczu. Widok córki w takim stanie wstrząsnął mną, kompletnie mnie oszołomił i przykuł do miejsca, tak jakby ostatecznie potwierdził beznadziejność mojego życia; przez chwilę chyba nawet myšlałem, ze tak właśnie powinno być, ze na to właśnie zasługuję. Patrzyłem, jak układają Mirielle na ołtarzu. Rzuciała głową na boki, chyba nie rozumiała, co sie z nią dzieje. Pieśń zabrzmiała głošniej, Zemaille wznioł

wyżej ręce, i zawołał: „Ojczy! Wkrótce będziesz wolny!”, i zaczął mówić w języku, którego nie znam. W tej właśnie chwili poczułem obecność Griaule’a. Nie było żadnych objawów fizycznych, żadnych fajerwerków... może tylko wrażenie zwiększenia dystansu do rozgrywających się przede mną wydarzeń. Nie czułem zupełnie żadnych emocji, co wydaje mi się niezwykle dziwne, ponieważ nigdy nie jestem obojętny na los Mirielle. Czułem bliskość smoczey jaźni i, patrząc z góry na ołtarz, wiedziałem dokładnie, co się dzieje i dlaczego muszę powstrzymać Zemaille’a. Posiadałem wiedzę znacznie bardziej złożoną niż świadomość niebezpieczeństwa grożącego mojej córce; wiedzę prawną i tajemną, odnoszącą się do jakiegoś gwałtownego wydarzenia. Wciąż odczuwam piętno, jakie odcisnęła w moim umyśle, mimo że szczegóły zatarły się w mej pamięci. Wystąpiłem naprzód i zawołałem Zemaille’a. Odwrócił się w moją stronę. To dziwne, przedtem okazywał mi wyłącznie pogardę, teraz zaś dostrzegłem malujący się na jego twarzy ogromny strach, tak jakby wiedział, że to nie ja jestem jego wrogiem, lecz sam Griaule. Przysięgam na Boga, że wcześniej nie myślałem o zabiciu go, kiedy jednak zacząłem iść w jego stronę, wiedziałem bez cienia wątpliwości nie tylko to, że muszę go zabić, ale że muszę to zrobić właśnie teraz. Zdażyłem nawet zapomnieć o ściskanym w dłoni kamieniu, gdy nagle bez namysłu, nawet bez udziału świadomości, po prostu cisnąłem nim w niego. To był niewiarygodny rzut. Dzielilo nas co najmniej pięćdziesiąt stóp, a mimo to, kamień trafił go dokładnie w sam środek czoła. Rozległ się ohydny głuchy trzask. Zemaille upadł, nie wydawszy żadnego dźwięku.

Lemos na chwilę spuścił głowę i mocniej zacisnął dłonie na poręczy.

- Spodziewałem się, że ta dziewiątka przy ołtarzu natychmiast mnie zaatakuje, ale oni po prostu uciekli i przepadli w mrokach nocy. Może też instynktownie wyczuli obecność Griaule’a. Ja byłem swoim czynem przerażony. Jak już mówiłem, wiedza o tym, do czego prowadził rytuał, ulotniła się z mojej pamięci, wyparowała jak mgła. Wiedziałem tylko tyle, że zabiłem człowieka, nikczemnego wprawdzie, ale jednak człowieka. Podszedłem do Zemaille’a; miałem nadzieję, że jednak jeszcze żyje. Ojciec Kamieni leżał obok niego na podłodze, a ja zauważyłem, że coś się w nim zmieniło. Wziąłem go do ręki i stwierdziłem, że już nie wydaje mi się pusty w środku: w samym jego sercu pojawiła się skaza, którą wszyscy państwo możecie teraz obejrzeć, skaza w kształcie mężczyzny z uniesionymi ramionami. - Opadł na oparcie krzesła i odetchnął głęboko. - Resztę już państwo wiecie.

Pytania Mervale’a były celne i dociekliwe, ale po zakończeniu obrad sądu w tym dniu Korrogly doszedł do wniosku, że gdyby nie testament, miałby całkiem realne szanse na uzyskanie wyroku uniewinniającego; waga materiału dowodowego z pewnością nie

wywarłaby na przysięgłych takiego wrażenia jak zeznania świadków obrony i opowieść samego Lemos. Na razie jednak fakt, że Lemos nie umiał podać żadnego powodu, dla którego Griaule'owi mogłoby zależeć na śmierci Zemaille'a, zdaniem Korrogly'ego przechylał szalę na korzyść oskarżenia.

Zasiedział się w sądzie do późna, międląc w głowie szczegóły sprawy, ale w końcu po jedenastej, dużo bardziej sfrustrowany, zgarnął swoje papiery i udał się do Almintry; z nadzieją na udobruchanie Mirielle. Może uda mu się ją przekonać, że miał dobre zamiary, a potraktował ją tak ostro wyłącznie z powodów zawodowych.

Zanim dotarł do Almintry, ulice opustoszały, a mgła odcięła podupadłe domy od plaży, nieba i całego świata, latarnie zaś przemieniła w puszyste białe kwiaty. Leniwy szum przyboju brzmiał jak trzask wymierzanych ogromną dłonią policzków. Powietrze było paskudnie wilgotne. Korrogly postawił kołnierz i przyspieszył kroku. Naniesiony wiatrem piasek zgrzytał pod podeszwami. Mignęło mu własne odbicie w sklepowej szybie - błądy, wystraszony człowieczek z marsem na czole, jedną ręką przytrzymujący rozchylające się poły płaszcza, pośpiesznie przemierzający czarną przestrzeń... Przestrzeń należąca do Griaule'a, jak sobie wyobrażał, nośnik winy, niewinności i wszystkich ludzkich pytań. Przyspieszył kroku; chciał utopić wątpliwości w ciepłe Mirielle.

Z przodu, we mgle zamajaczyła jakaś sylwetka. Stała nieruchomo, jednak w tej nieruchomości było coś złowieszczonego. Nie wygłupiaj się, zbeształ się w duchu Korrogly, i szedł dalej, nie zwalniając kroku. W miarę jak tajemnicza postać wyłaniała się z mgły, ubrana w pelerynę albo płaszcz z kapturem, coraz bardziej się denerwował. Wytężył wzrok. Szata z kapturem. Przystanął przy wylocie bocznej uliczki; przypomniawszy mu się opowieść Lemos i dziewięciu zakapturzonych świadków. Znów skłął się w myślach za swoją głupotę, nie mógł się jednak pozbyć wrażenia, że postać we mgle (w tej chwili odległa najwyżej o czterdzieści, pięćdziesiąt stóp) czeka na niego. Przyciskając teczkę do piersi, postąpił kilka ostrożnych kroków naprzód. Sylwetka ani drgnęła.

Uznał, że nie ma sensu niepotrzebnie ryzykować i nie spuszczać intruza z oka, cofnął się do wylotu przecznicy, a potem odwrócił się i czmychnął w głąb zaułka. Zatrzymał się dopiero na jego końcu, na skraju plaży, skąd - ukryty za stertą spróchniałych desek - popatrywał w kierunku ulicy. Chwilę później zakapturzona postać skręciła w zaułek i zaczęła się zbliżać.

Lodowaty dreszcz przeszedł mu po kręgosłupie, jądra się skurczyły, nogi zatrzęsyły i ugięły. Ściskając kurczowo teczkę, popędził przez mrok, ślizgając się na miękkim piasku. Potknął się o wyciągniętą na brzeg łódź rybacką i prawie przewrócił. Nic nie widział, równie

dobrze mógłby biec przez szklistą ciemność, którą dostrzegł w tamtej witrynie. Przeszkody wyłaniały się z mgły niespodziewanie, oświetlone słabiutką poświatą z okien domów: rybie szkielety, pusty kubek, wyrzucony przez morze kawał drewna... Fale przyboju mlaskały nierówno, wilgotno i kleiście niczym olbrzymie, ciężko pracujące płuca.

Biegł tak dobre kilka minut, przystając tylko na ułamki sekund, żeby obejrzeć się przez ramię w poszukiwaniu pościgu. Podskakiwał przy lada hałasie, obracał się, usiłował przewiercić wzrokiem mglistą noc, aż w końcu wpadł w coś, co przypominało grubą i lepą pajęczynę. Zaplątał się w nią i przewrócił. Spanikował. Wydał zduszony krzyk, zaczął się szarpać; dopiero kiedy się uwolnił, odkrył, że wpadł nie w pajęczynę, lecz w zwykłą sieć rybacką suszącą się na drewnianym stelażu. Znow puścił się biegiem, kierując się tym razem w stronę ulicy, która majaczyła widmową poświatą pomiędzy domami. Kiedy do niej dotarł, odkrył, że znajduje się zaledwie o przecznice od domu szlifierza. Dopadł do niego sprintem, zdyszany doskoczył do drzwi i oparł się o nie ręką.

Nagle poczuł wstrząs i dłoń przeszył mu potworny ból. Podniósł wzrok. Ze zgrozą stwierdził, że dłoń ma przybitą do drzwi sztyletem o długim ostrzu, którego rękojeść - opleciona ozdobnym wizerunkiem smoka - jeszcze drży. Krew pociekła z rany, spłynęła po nadgarstku i przedramieniu. Pojękując cicho, zdołał wyszarpnąć sztylet z deski, chociaż niewiele brakowało, żeby zemdlął przy tym z bólu. Chwiejąc się na nogach, wpatrywał się w wąskie rozcięcie na dłoni, w którym wzbierała krew. Powiódł dzikim wzrokiem po omglonej ulicy. Nikogo nie było widać.

Zawołał Mirielle i zdrową ręką zabębnił w drzwi. Bez skutku. Znowu załomotał w deski i tym razem nie przestawał. Co ona się tak guzdrze?!

W końcu usłyszał kroki na schodach.

- Kto tam? - zapytała Mirielle. - Kto tam jest?

- To ja - odparł.

Spojrzał na zranioną dłoń. Od widoku krwi kręciło mu się w głowie i zbierało na mdłości. Rana pulsowała bólem. Próbował go uśmierzyć, ściskając się mocno za nadgarstek.

- Idź sobie!

- Pomóż mi! - zawołał. - Proszę, potrzebuję pomocy!

Drzwi się otworzyły.

Omdlewający Korrogly pokazał Mirielle okaleczoną rękę, jakby się spodziewał, że wytłumaczy mu, co się właściwie stało. Na jej twarzy odmalowała się zgroza. Poruszyła ustami, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. I nagle Korrogly stwierdził, że leży na piasku, oglądając z bliska jej stopę. Nie miał pojęcia, w jaki sposób się tam znalazł, a ponieważ nigdy

przedtem nie widział ludzkiej stopy z takiej perspektywy, przyglądał się jej wzrokiem oszołomionego estety. Po chwili stopę zastąpiło białe kolano. Mlecznobiałe. W tym samym odcieniu, co Ojciec Kamieni. Miał wrażenie, że na jego białym tle ogląda kolejnych świadków, dowody rzeczowe, wszystkie komplikujące sprawę Lemoso materiały. Przesuwały się w jego polu widzenia, tak jak - podobno - przed oczami umierającego człowieka przepływają obrazy z jego życia; tak jakby proces Lemoso był dla niego ważniejszy niż życie. Tuż przed tym, jak stracił przytomność, odniósł wrażenie, że zaraz zrozumie coś niezwykle istotnego.

\* \* \*

Z powodu zranienia dostał dzień zwolnienia z prac sądu, a że przez dwa następne dni miało trwać święto religijne, miał prawie siedemdziesiąt dwie godziny na to, żeby obmyślić nową taktykę lub przedstawić dowody, które ocala Lemosowi życie. Nie bardzo wiedział, jak powinien kontynuować obronę, nie był nawet pewien, czy w ogóle chce ją kontynuować. Nie tylko on padł tej nocy ofiarą napaści: Kirin, starsza kobieta, z którą rozmawiał przed procesem, zniknęła bez śladu, a na progu jej domu znaleziono zakrwawiony sztylet, taki sam jak ten, który przeszył dłoń Korrogly'ego. Wyglądało na to, że wyznawcy kultu smoka chcą za wszelką cenę doprowadzić do skazania Lemoso i w tym celu uciszają wszystkich, którzy mogliby mu pomóc.

Pierwszy dzień poświęcił na przejrzenie notatek. Z niepokojem stwierdził, że przeoczył mnóstwo potencjalnych tropów. Był tak pochłonięty romanssem z Mirielle oraz bieżącymi zawłościami procesu (które ostatecznie donikąd go nie doprowadziły), że zaniedbał masę podstawowych spraw, jakie powinien wykonać adwokat przed wejściem na salę sądową. Okazało się na przykład, że poza znalezieniem świadków, którzy opisali przed sądem charakter Lemoso, w ogóle nie zainteresował się przeszłością oskarżonego. A przecież powinien był zbadać jego małżeństwo, wypytać o okoliczności utonięcia żony, o dzieciństwo Mirielle, o jej przyjaciół... Takich rutynowych drobiazgów, które sobie odpuścił, było tyle, że samo stworzenie ich spisu zajęłoby mu niemal całe najbliższe dwa dni. Zamierzał przesłuchać Kirin po raz drugi, był bowiem pewien, że wie więcej, niż mu powiedziała, ale zauroczony Mirielle kompletnie zapomniał o tym pomysle - teraz zaś staruszka zniknęła, a wraz z nią przepadły jej tajemnice.

Upłynął cały dzień, potem noc i drugi dzień, zanim dotarło do niego, że nie wystarczy mu czasu na dalsze śledztwo; zaniedbał swoje obowiązki wobec sądu, a także wobec klienta, którego uratować mógłby już chyba tylko cud. Oczywiście będzie jeszcze mógł złożyć apelację; wtedy zyska dość czasu, żeby spokojnie zbadać wszystkie okoliczności. Jeśli jednak

powszechnie szanowany sędzia odmówi wydania precedensowego werdyktu, wygranie apelacji wymagałoby dostarczenia niezwykle przekonującego dowodu niewinności Lemos, co - biorąc pod uwagę charakter sprawy - wydawało się mało prawdopodobne.

Doszedłszy do takiego wniosku, pozamykał notatniki, odsunął na bok papiery i zamyślił się, gapiąc się przez okno gabinetu na zmierzch nad oceanem i Cyplem Aylera. Gdyby wychylił się i obrócił głowę, kilkaset jardów za cyplem zobaczyłby czarne pagodowate dachy świątyni kultu smoka, widoczne wśród rosnących na plaży palm i słoniowych uszu.

Nie zamierzał jednak wychylać się przez okno - nie zamierzał robić nic, co przypominałoby mu o poniesionej porażce. Nawet jeśli Lemos naprawdę dopuścił się zarzucanej mu zbrodni, to i tak zasługiwał na rzetelniejszą obronę niż ta, jaką zapewnił mu Korrogly. Nawet jeśli był łotrem, to łotrem małego kalibru - z pewnością nie dorównywał Mardo Zemaille'owi.

Nad Port Chantay zapadła stosunkowo pogodna noc. Typowe dla tej pory roku mgły jakimś cudem się nie zmaterializowały i zza pędzących po niebie bladych chmur przeświecały gwiazdy. Światło z okien domów padało na znużone falowaniem morze. W większej odległości białe grzywacze zbiegały się ku Cyplowi Aylera; podczas odpływu, rozgarnięte na boki, łamały się na samym koniuszku cypla. Korrogly przyglądał się im ze świadomością, że z ich zachowania powinna płynąć dla niego jakaś nauka; że patrząc na nie, powinien coś odkryć. Jeśli jednak rzeczywiście tak było, ta lekcja mu umknęła. Rozdrażniony i sfrustrowany, z tęsknotą pomyślał o Mirielle. W końcu postanowił wybrać się do „Ślepej Damy” na drinka. Albo na kilka drinków.

Zanim jednak zdążył się zebrać i wyjść, usłyszał pukanie do drzwi i kobiecy głos nawołujący go po imieniu. Myśląc, że to Mirielle, pobiegł do drzwi i je otworzył, ale kobieta, którą zobaczył na progu, była znacznie starsza od córki szlifierza. Na głowę miała narzucony ciemny szal. Luźna kurtka i spódnica nie skrywały jej niezgrabnej figury.

Korrogly cofnął się odruchowo; postać w szalu nieprzyjemnie kojarzyła mu się z nocnym napastnikiem.

- Mam coś dla ciebie - powiedziała z wyraźnym północnym akcentem, podając mu kopertę. - Od Kirin.

Dopiero teraz rozpoznał w niej służącą Kirin, grubą kobietę, która otworzyła mu drzwi, gdy przed kilkoma tygodniami przyszedł odwiedzić jej panią: obfite piersi, szerokie biodra i twarz tępa jak maska.

Wcisnęła mu kopertę do ręki.

- Kirin powiedziała, żeby ci to dała, jeśli coś jej się stanie.

Otworzył kopertę. W środku były dwa ozdobne klucze i krótki list bez podpisu.

*Panie Korrogly,*

*jeżeli czyta Pan te słowa, to wie już, że nie żyję. Może nie wie Pan jeszcze, z czyjej ręki zginęłam, ale jeśli tak jest, to najwyraźniej przeceniłam Pańską przenikliwość.*

*Jeden klucz otwiera zewnętrzną furtkę świątyni, drugi - drzwi do pokojów Mardo w głównym budynku. Jeżeli chce Pan poznać prawdę o wielkim dziele, natychmiast po otrzymaniu tego listu proszę udać się do świątyni. Niech Pan weźmie ze sobą Janice, pomoże Panu. Proszę nie zwlekać - nie można wykluczyć, że inni też wiedzą to, co ja. Proszę też nie mieszać w to policji, jest infiltrowana przez kult. Członkowie kultu obawiają się świątyni; to, co się tam wydarzyło, napawa ich lękiem i mało który waży się tam przychodzić, ale fanatycy na pewno będą gotowi bronić sekretów Mardo.*

*Proszę dokładnie przeszukać jego komnaty, a znajdzie Pan coś, co się Panu przyda i, być może, wystarczy, żeby ocalić Pańskiego klienta. Musi Pan działać starannie, ale szybko.*

Korrogly złożył list i spojrzał na Janice, która przyglądała mu się z istic krowim stoicyzmem. Nijak nie umiał sobie wyobrazić, w czym mogłaby mu być pomocna.

- Masz broń? - zapytała.

Zrobił żalostną minę i pokazał jej obandażowaną rękę.

- Kiedy dotrzemy do świątyni, pójdę przodem - ciągnęła. - Trzymaj się blisko mnie.

Zanim zdążył zapytać, co mu z tego przyjdzie, wyjęła długi nóż zza pazuchy. Ten widok dał mu do myślenia. To mógł być podstęp, pułapka zastawiona przez wyznawców smoka.

- Dlaczego mi pomagasz? - zapytał.

Janice zrobiła zdziwioną minę.

- Kirin mnie o to poprosiła.

- Narazasz się na niebezpieczeństwo tylko dlatego, że Kirin cię poprosiła?

Długo na niego patrzyła, zanim się odezwała:

- Nie przepadam za smokami.

Podciągnęła bluzkę, wetkniętą dotąd za pasek spódnicy, i odwróciła się tyłem do

Korrogly'ego, odsłaniając plecy. Na jasnej, gładkiej skórze poniżej łopatek miała wypalone piętno w kształcie zwiniętego smoka. Skóra wokół piętna była obrzmiała i odbarwiona.

- Zemaille ci to zrobił?

- Nie tylko to.

Korrogly nadal nie był przekonany. Wcale by się nie zdziwił, gdyby co bardziej fanatyczni wyznawcy okaleczali się w taki sposób.

- Idziesz czy nie? - spytała Janice, a widząc jego wahanie, dodała: - Boisz się mnie?

- Jestem ostrożny.

- Mnie to obojętne, czy pójdziesz ze mną, czy nie, ale decyduj się szybko. Jeśli mamy iść do świątyni, musimy to zrobić pod osłoną mroku.

Rozejrzała się po pokoju i podeszła do stołu, na którym stała karafka z brandy i szklanki. Nalała trunku do jednej ze szklanek i podała mu ją.

- Dla kurażu - powiedziała.

Zakłopotany Korrogly duszkiem opróżnił szklankę i od razu nalał sobie drugą, którą sączył już powoli, rozmyślając o swojej sytuacji. Wypytał Janice o jej panią i choć odpowiadała wymijająco, z jej słów wyłaniał się obraz dzielnej starszej damy, która dokładała wszelkich starań, żeby pokrzyżować złowieszcze plany Zemaille'a. Tym też go zawstydziła. Co ze mnie za adwokat, pomyślał, skoro nie jestem gotowy zaryzykować życia dla klienta? Może stało się to pod wpływem brandy, a może z powodu pogardy, jaką odczuwał wobec siebie za niezapewnienie Lemosowi odpowiedniej obrony - tak czy inaczej, nagle poczuł przypływ odwagi i determinacji i doszedł do wniosku, że albo uczyni teraz dla Lemoso coś absolutnie wyjątkowego, albo już nigdy nie będzie w stanie uprawiać swojej profesji.

- Dobrze - powiedział, zdejmując płaszcz z wieszaka. - Jestem gotowy.

Spodziewał się, że Janice z zadowoleniem przykłaśnie jego decyzji, ona jednak tylko prychnęła i odparła:

- Oby się nie okazało, że zastanawiałeś się zbyt długo.

\* \* \*

Wyłożona olbrzymimi płytami szarego kamienia droga do świątyni ciągnęła się wzdłuż brzegu oceanu przez kilkanaście mil, do punktu, w którym zakrecała w głąb lądu w stronę rządzonej niepodzielnie przez Griaule'a doliny Carbonales. Podobno miejsce pod budowę świątyni wybrano specjalnie w taki sposób, żeby znajdowała się na teoretycznie wytyczonej linii wzroku smoka, który w ten sposób mógł mieć kult stale na oku. Przy samej świątyni trakt wyraźnie się rozszerzał, tak jakby jego budowniczkowie chcieli umożliwić podróżnym ominięcie jej szerokim łukiem - i ta idea nagle wydała się Korrogly'emu



niezwykle atrakcyjna. Kiedy stał przed furtką i patrzył na olbrzymią mosiężną kłódkę w kształcie smoka, na wysokie czarne mury oplecione pnączami, na których zakwitły storczykowate kwiaty koloru surowej wołowiny, na pagodowate dachy piętrzące się nad nim jak dziwnie wystylizowane góry - miał ochotę przestać zgrywać przyzwoitego obywatela i sumiennego funkcjonariusza prawa i czym prędzej wrócić do swoich bezpiecznych pokojów. Nawet pogodna noc nijak nie łagodziła złowrogiego wizerunku świątyni. Kaskadowy szum pędzonych porywistym wiatrem fal przyboju przyprawiał go o ciarki na plecach. Gdyby był sam, zwałby bez skrępułów. Jednakże tępe spojrzenie Janice, w którym dostrzegał odbicie zrezygnowanego wzroku Lemosy, nie pozwoliło mu uciec. Kompletnie zbiła go z tropu i choć powtarzał sobie, że jej odwaga wywodzi się z nieświadomości, wobec czego nie jest żadną odwagą, nie potrafił sobie wmówić, że ma to jakiś związek z jego własnym tchórzostwem.

Drżącą ręką otworzył kłódkę. Furtka otworzyła się do wewnątrz, zdumiewająco łatwo, tak jakby albo sama świątynia, albo rządząca nią siła chciała go jak najprędzej powitać we wnętrzu. Janice weszła pierwsza, trzymając nóż w pogotowiu. Korrogly ruszył za nią po krętej ścieżce wśród krzewów obwieszonych przejrzalymi jagodami i niskich, rozłożystych drzew o czarnzielonych liściach. Ponad gęstwiną ledwie widział dachy budynków. Wiatr nie przenikał za mury i w ogrodzie panowała taka cisza, że każdy szelest wywołany otarciem się o krzaki rozbrzmiewał nienaturalnie głośno. Korrogly wyobrażał sobie, że słyszy bicie swojego serca. Malowane księżycową poświatą liście wyglądały jak lakierowane, na kamiennych płytach kładły się kratownice cieni. Miał wrażenie, że nieprzyjazna cieplarniana atmosfera dławi go w płucach i odbiera oddech - i wcale nie pomagała mu świadomość, że to tylko objaw jego lęku. Szedł ze wzrokiem wbitym w szerokie plecy Janice i usiłował o niczym nie myśleć, jednakże w miarę zbliżania się do budynku, w którym mieszkał Zemaille, coraz wyraźniej dręczyło go przeczucie, że ktoś go obserwuje... I to nie byle kto. Ktoś zimny, potężny, ogromny. Przypomniawszy sobie, w jakich słowach Kirin i Mirielle opisywały swój strach przed Griaule'em; myśl o tym, że smok może teraz patrzeć właśnie na niego, przyprawiła go o atak paniki. Zaciśnął pięści i zęby, nie był w stanie przełknąć śliny. Cienie urosły, zgęstniały i nagle wydało mu się, że w ich czarnych obrysach materializują się potwory, gotowe w każdej chwili rzucić się na niego i rozszarpać go na strzępy.

Weszli do środka i znaleźli się w korytarzu rozświetlonym upiorną mozaiką placków świecącego mchu, który niczym żyły promieniującego zielononiebieską poświatą minerału wił się po tekowych ścianach. Korrogly odczuwał coraz większy strach. W tej chwili nie miał już cienia wątpliwości, że wyczuwa Griaule'a; z każdym krokiem odczucie obecności smoka stawało się coraz wyraźniejsze. Miał wrażenie, że czas się zatrzymał... Albo nie, raczej, że

czas był czymś mało istotnym, mniej ważnym niż smok; że stał się bytem, któremu Griaule narzucił własne warunki i który nauczył się kontrolować. I jeszcze te ściany, te żyły mchu... Wydawało mu się, że ich układ jest odwzorowaniem myśli smoka. Jakby znalazł się we wnętrzu Griaule'a i podążał którąś z arterii jego ciała.

Ledwie o tym pomyślał, zdał sobie sprawę, że naprawdę może tak właśnie być. Budynek świątyni od tak dawna służył wyznaczonym przez smoka celom, że mógł się do niego dostroić i stać odpowiednikiem jego ciała, bez reszty podległym jego woli. Ta myśl przyprawiła Korrogly'ego o atak klaustrofobii. Z najwyższym trudem zdusił rodzący się w gardle krzyk.

To niedorzeczne, powtarzał sobie w duchu, kompletnie niedorzeczne. Zanadto puścił wodze fantazji. Nie umiał się jednak otrząsnąć z poczucia uwięzienia pod tonami zimnego cielska i kośćmi wielkimi jak kil okrętu.

Kiedy w końcu Janice wskazała mu drzwi do apartamentów Zemaille'a, z ogromną ulgą włożył klucz do zamka. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie ucieknie z tego korytarza. Miał nadzieję, że pokoje okażą się mniej przytłaczające, jednakże już pierwszy z nich, mimo że dobrze oświetlony kulami fosforyzującego mchu, tylko podsycił płomienie jego wyobraźni. Za przewężeniem przy wejściu rozciągała się groteskowo urządzona sypialnia, wyklejona tapetą w intensywnie szkarłatnym kolorze z ozdobnym pasem barwy fuksji. Po ścianach wokół całego pokoju wiła się mosiężna płaskorzeźba przedstawiająca ogon i obrzmiałe cielsko gada, których cudownie wycyzelowane łuski przechodziły w końcu w olbrzymi smoczy łeb z szeroko otwartą zębatą paszczą, sterczący na dobre dziewięć stóp ze ściany naprzeciw wejścia. Znajdujące się w niej łoże przypominało smoczy jęzor z czerwonego pluszu. Ślepia smoka były okryte powiekami, przez które przeświecały opalizujące półksiężycy. Z przodu, spod łóżka wychylały się smocze szpony, a nad wezgłowiem, pod sufitem, wisiał ogromny odłamek błyszczącej łuski, szeroki na cztery stopy i długi na pięć, lekko pochylony, tak że każdy, kto wchodził do sypialni (tak jak w tej chwili Korrogly), widział w nim swoje przyciemnione odbicie.

Korrogly stanął jak wryty, spoglądając to na smoka, to na łuskę, przekonany, że Griaule ogląda go właśnie za pośrednictwem jakiejś tajemniczej aparatury. Stałby tak zapewne bardzo długo, gdyby Janice go nie ponagliła:

- Pośpiesz się! To nie miejsce na ociąganie się!

Poza łóżkiem, w pokoju było niewiele sprzętów: biurko, mały kufer, dwa krzesła. Korrogly pośpiesznie przeszukał kufer i biurko, ale znalazł tylko ubrania i pościel. Odwrócił się do Janice.

- Czego szukamy?

- Chyba jakichś dokumentów - odparła. - Kirin wspominała coś o zapiskach Mardo. Ale nie jestem pewna.

Stanęła na straży przy drzwiach, a Korrogly zaczął obmacywać ściany w poszukiwaniu schowków. Gdzie Zemaille mógł chować kosztowności? zastanawiał się, gdy nagle doznał olśnienia: gdzieżby indziej? Spojrzał na łóżko w smoczej paszczy. Świadomość, że kiedyś spała w nim Mirielle, wydała mu się odrzucająca; z podobną niechęcią myślał o przeszukaniu ciemnej wnęki za wezłowiem, ale chyba nie miał wyboru. Przyklęknął na łóżku. Kiedy zahaczył przy tym nogawką spodni o smoczy kiel, serce na moment przestało mu bić, ale po chwili roztrzącił poduszki i wczołgał się do wnęki. Miała sześć stóp głębokości i ściany wyłożone jakimś gładkim materiałem, przypominającym w dotyku kamień. Powiódł po nich palcami, szukając szczeliny, wybrzuszenia, śladu skrytki. W końcu natrafił na małe zagłębienie... nie, nie jedno, lecz pięć zagłębień, w sam raz na opuszki palców. Nacisnął je, ale nic się nie stało. Opukał kamień. Odpowiedziało mu głuche dudnienie.

- Znalazłeś?! - zawołała Janice.

- Coś tu jest, ale nie mogę tego otworzyć.

Wczołgała się do niego, przynosząc słabą, słodkawą woń, która wydała się Korrogly'emu znajoma. Pokazał jej zagłębienia w kamieniu. Zaczęła je naciskać.

- Może ważna jest sekwencja? - zasugerował. - Może trzeba je naciskać pojedynczo, w ustalonej kolejności?

- Coś poczułam, jakby drżenie... O, w tym miejscu. Oprzyj się o ścianę.

Zapał się barkiem o mur, pchnął, poczuł, że kamień się przemieszcza, a w następnej sekundzie ściana ustąpiła i Korrogly runął jak długi na podłogę. Przerażony, natychmiast poderwał się do pozycji siedzącej i stwierdził, że znajduje się w okrągłej komnacie o jasnych, żyłkowanych jak marmur ścianach, emanujących bladą czerwoną poświatą. Na podłodze stało pudełko z czarnej laki. Sięgnął po nie, kiedy jednak je podniósł, żyły w kamieniu spęzczyły, zatętniły, wystąpiły ze ścian niczym żmije z obrzmiałymi gardzielami. W głębi ściany, jakby uwięziona w czerwonym żeluzie, pojawiła się postać Mardo Zemaille'a - śniadego mężczyzny z haczykowatym nosem, w czarno-srebrnych szatach, z dłońmi zaplecionymi w zawile mudry, z których tryskały małe błyskawice.

Korrogly zaczął z krzykiem łomotać pięściami w ścianę. Obejrząwszy się przez ramię, ujrzał, jak węże oplatają się nawzajem; niektóre zaczynały pełznąć w jego stronę. Zemaille przemówił w jakimś gardłowym języku, wpatrując się w niego z demoniczną nieustępliwością. Formujące się na czubkach jego palców wyładowania przybrały postać

skwierczących ognistych kul, plujących piorunami niczym maleńkimi strzałami na wszystkie strony. Korrogly naparł na ścianę ze wszystkich sił. Dyszał ciężko, a z każdym oddechem z jego płuc dobywał się chrapliwy krzyk. W każdej chwili spodziewał się ataku żmij albo osmalenia ognistą kulą. Nagle kostkę przeszył mu ból: spojrzął w dół i zobaczył, że jedna ze żmij zatopiła kły w jego ciele. Wrzasnął przeraźliwie, wierzgnął, strząsnął wczepionego w stopę węża, lecz w tej samej chwili w łydkę ukąsił go drugi, a zaraz potem trzeci. Ból był nie do zniesienia. Korrogly czuł, jak jad niczym czarny lód zaczyna mu krążyć w żyłach. Pół tuzina żmij wgryzło mu się w nogi, z ranek ściekały strużki krwi. Zaczął się trząść, prawa noga drgała mu konwulsyjnie. Jego serce, już i tak rozdęte ponad miarę, pęczniało jeszcze bardziej, nabrzmiewając jadem; wydawało mu się, że w jego piersi jakaś ogromna pięść zaciska się na cierniu. Jedna z ognistych kul trafiła go w rękę, przylgnęła do niej i zaczęła pożerać przedramię, trawiąc ciało i ubranie. Głos Zemaille'a - głos zagłady - odbił się echem od ścian, potężny i nieartykułowany jak dźwięk gongu. A potem ściana otworzyła się na zewnątrz i Korrogly wypadł z komnaty. Potknął się, padł na kolana, rzucił się niezgrabnie na łóżko i tam złapała go Janice.

- Spokojnie - powiedziała. - To tylko jedna z jego iluzji.

- Iluzji?!

Z bijącym sercem spojrzął w głąb komnatki: była pusta i pulsowała czerwonym blaskiem. Ból zniknął. Nie było ran, nie było krwi.

Janice sięgnęła po porzucone przez niego pudełko, uniosła je do ucha i potrząsnęła nim.

- W środku jest coś twardego, raczej nie papier. Może to nie tego szukamy.

- Tam nic więcej nie ma! - Korrogly wyrwał jej pudełko z rąk. Chciał jak najszybciej stamtąd uciec. - Chodźmy!

Ześliznął się z łoża i ruszył do drzwi, zanim obejrzał się przez ramię: Janice właśnie spuściła nogi na podłogę, ale jeszcze nie zdążyła wstać. Zamierzał ją ponaglić, kiedy jego uwagę zwrócił jakiś ruch nad łóżem.

W wypolerowanej do połysku łusce zobaczył swoje odbicie... i coś jeszcze: w głębi, jakby na drugim planie, materializowała się postać leżącego na wznak mężczyzny w szatach czarownika. W pierwszej chwili Korrogly wziął go za Zemaille'a, ponieważ byli do siebie podobni - tak samo śniadzi, z takimi samymi haczykowatymi nosami. Dopiero później dostrzegł, że mężczyzna na łożu jest pomarszczony i stary, niewiarygodnie stary, a w jego półprzymkniętych oczach nie widać białek, tęczówek ani źrenic; były zupełnie czarne, pożyłkowane włóknistymi krechami niebiesko-zielonego ognia. Obraz rozpląnął się po

sekundzie, był jednak tak niewiarygodny, że Korrogly nie potrafił oderwać oczu od łuski, przeświadczony, że to dopiero początek jakiegoś przekazu i lada chwila pojawi się coś więcej. Otrząsnął się dopiero kiedy Janice pociągnęła go za rękaw, przypominając mu, że wciąż grozi im niebezpieczeństwo. Razem przebiegli przez korytarz do drzwi.

Wiatr się wzmógł - wzburzył wierzchołki krzewów, a konarami drzew kołysał jak olbrzymimi ramionami uniesionymi w geście zgody. Po panującej we wnętrzu budynku ciszy zawrodożenie wiatru i szum przyboju zdeorientowały Korrogly'ego, dał się więc prowadzić Janice, na której ostatnie wydarzenia najwyraźniej nie zrobiły większego wrażenia.

W połowie drogi przez ogród do furtki stanęła jak wryta, przekrzywiając głowę.

- Ktoś idzie - powiedziała.

- Nic nie słyszę - odparł Korrogly, ale Janice szarpnęła go i zaczęła ciągnąć z powrotem drogą, którą przyszli. Postanowił jej zaufać.

- Jest druga furtka - wyjaśniła. - Od strony urwiska. Gdybyśmy się rozdzielili, idź plażą na zachód i ukryj się na wydmach.

Pośpieszył za nią, przyciskając lakową skrzyneczkę do piersi. Tylko raz obejrzał się przez ramię, usiłując się zorientować, kto ich ściga. Przysiągłby, że za zakrętem mignęły mu mroczne, zakapturzone postaci.

W niespełną minutę dopadli do furtki, kilka sekund zajęło Janice jej otworzenie i już brnęli przez głęboki piasek na skraju urwiska, oddalając się od Cypla Aylera. W dole, przyciągane księżycem, posłuszne odpływowi fale cofały się od brzegów cypla. Korrogly odczuwał ogromną ulgę, że zostawili świątynię daleko za sobą, chociaż był raczej zdeorientowany niż wystraszony. Przyszło mu do głowy, że może Janice się przesłyszała, a jemu samemu tylko przywidziały się sylwetki w kapturach. Biegł swobodnie, czuł się zdumiewająco mocny, tak jakby wcześniej, w świątyni, coś przyćmiewało mu umysł i wysysało z niego siły. Wkrótce wyprzedził Janice, a kiedy zwolnił, by mogła go dogonić, machnęła ręką, żeby na nią nie czekał. Na widok jej stężałej ze strachu twarzy przyśpieszył kroku. Dobiegł akurat do zejścia na plażę - piaszczystej ścieżki wśród wysokich traw - gdy usłyszał za plecami okrzyk bólu. Kiedy się odwrócił, zobaczył Janice z rozwianymi włosami i szalem powiewającym na wietrze jak proporzec: stała na krawędzi urwiska, zaciskając dłonie na rękojeści sterczącego z jej piersi sztyletu, spod którego tryskała fontanna krwi. Przewróciła oczami, zachwiała się, spadła z klifu i zniknęła mu z oczu.

Wszystko to wydarzyło się tak nagle, że Korrogly znieruchomiał, nie wierząc własnym oczom - ale już ułamek sekundy później, gdy dotarł do niego niesiony wiatrem okrzyk, puścił się biegiem po ścieżce. W trzech czwartych drogi na dół potknął się o coś i

koziołkując, sturlał się do stóp urwiska. Strach go otrzeźwił. Po omacku znalazł pudełko i rzucił się ku wydmom, które wznosiły się nad wąską krecną mokrego piasku, białe jak sól.

Bez tchu wdrapał się na szczyt pierwszej z nich i przystanął, dysząc ciężko i wodząc wzrokiem po skapanej w blasku księżycy okolicy, gdzie wśród pagórków i połaci trawy kryły się głębokie kałuże cienia. Pobiegł dalej. Potykał się, upadał na kolana, zahaczał o wystające korzenie, aż w końcu resztkami sił rzucił się w zagłębienie terenu pod niewielkim wzniesieniem i najlepiej jak umiał zagrzebał się w piasku i przysypał trawą.

Przez chwilę słyszał tylko skowyt wiatru i przytłumiony chrzęst przyboju. Pierwsze chmury przesunęły się na tle księżycy, ich krawędzie płonęły srebrem, a on modlił się, żeby zasnuły niebo i okryły ziemię całunem ciemności. Po jakichś dziesięciu minutach usłyszał okrzyk, któremu chwilę później odpowiedział następny. Nie rozumiał słów, wydawało mu się jednak, że pobrzmiwa w nich ton gniewnej desperacji. Przytulił głowę do piasku i uroczyście obiecał Bogu, że jeśli tylko dożyje rana, będzie przestrzegał wszystkich Jego przykazań i czynił dobro.

Długo trwało, zanim pokrzykiwania ucichły. Korrogly nadal tkwił w swojej kryjówce, bojąc się choćby podnieść głowę. Patrzył na chmury: wiatr osłabł i obłoki płynęły nieśpiesznie po niebie jak olbrzymie, postrzępione galeony niebieskie. Jak kontynenty. Jak wszystko, czego chciałby się dopatrzeć w ich niedookreślonych kształtach. Jak smok, na przykład: olbrzymia, skłębiona masa z okrutnym łbem, w którym lśniąca srebrzyście jedno kuliste oko, wiła się przez cały firmament; krawędzie łusek połyskiwały na granatowoczarnej tle jak gwiazdy. Wypatrywały go, pilnowały, a może tylko obserwowały, może zwyczajnie pilnowały zdjętego grozą pionka. Patrzył, jak smok oddala się zamaszystymi łukami, jak na przemian szybuje i nurkuje, kreśląc na niebie rysunek, który wciągał go bez reszty, pętał, jak pentagram pęta demona, hipnotyzował, aż w końcu uśpił, zsyłając mu rozliczne sny.

Nastał szary, mżysty świt. Chmury przypominały spiętrzone kłęby szarych mydlin na horyzoncie. Głowa tak go bolała, jakby pił przez całą noc. Był obolały i brudny, nawet oczy miał brudne. Wyjrzał ze swojej kryjówki i zobaczył tylko wydmy, smagane wiatrem trawy, rozkołysany ocean łupkowej barwy i rozkrzyczane mewy, tnące niebo swoim lotem jak kosą. Złożył głowę na piasku, zbierając siły na powrót do miasta, gdy nagle przypomniał sobie o pudełku. Nie było zamknięte na klucz; najprawdopodobniej Zemaille uznał, że jego iluzja skutecznie zniechęci ewentualnych intruzów.

Otworzył je bardzo ostrożnie, na wypadek gdyby miało zawierać jakieś niespodzianki, ale w środku znalazł tylko oprawny w skórę dziennik. Przekartkował go, zatrzymując się od

czasu do czasu, żeby przeczytać jakiś dłuższy kawałek. Po przejrzeniu jednej trzeciej jego zawartości wiedział już, że może wywalczyć uniewinnienie dla klienta, ale nie czuł z tego powodu satysfakcji ani triumfu. Nic nie czuł.

Może dlatego, że ciągle się wahał, czy może zaufać Lemosowi. Może problem polegał na tym, że powinienem był wcześniej odkryć motyw. Kirin podsunęła mu wskazówkę, którą wtedy, w ogólnym zamęcie, zlekceważył. Może to śmierć Kirin i Janice tak go znieczuliła. Może, może...

Roześmiał się z goryczą. Wiatr uniósł cichy dźwięk w dal. W tej chwili nie było po co się wysilać i próbować cokolwiek zrozumieć. Najpierw musiał się wykapać, przespać, coś zjeść; może potem świat nabierze sensu. Chociaż mocno w to wątpił.

\* \* \*

Następnego dnia rano, wbrew sprzeciwom Mervale'a ponownie wezwał Mirielle na świadka. Włożyła brązową sukienkę ze skromnym dekoltem, taki strój nauczycielki. Włosy upięła skromnie, jak stara panna. Sprawiała wrażenie, jakby otrząsnęła się już z żaloby. Trochę się zdziwił, że nie ubrała się na czarno; mogło to sygnalizować wahanie z jej strony, zmianę nastawienia wobec ojca - ale w gruncie rzeczy nie miało znaczenia. Patrząc na nią, nie odczuwał żadnych emocji. Była mu znajoma, lecz odległa, jak ktoś, kogo poznał przelotnie przed laty. Zdawał sobie sprawę, że mógłby skrócić dzielący ich dystans i wykrzesać swoje niedawne uczucia wobec niej, nie miał jednak na to najmniejszej ochoty. Wiedział wprawdzie, że wciąż są niezwykle silne, ale nie miał pewności, czy objawiłyby się w postaci miłości, czy nienawiści. Wykorzystała go, oszołomiła swoją seksualnością, podkopała jego pewność siebie i prawie, prawie zabiła swojego ojca, który najprawdopodobniej był niewinny. Twierdziła, że mogła być niezłą aktorką, i rzeczywiście, w udawaniu miłości okazała się niedościgniona: tak perfekcyjnie weszła w rolę, że dziś Korrogly miał wrażenie, że na zawsze skradła mu kawałek serca. Dopuszczała się jednak krzywoprzysięstwa i zapewne innych, jeszcze gorszych przestępstw, a on miał obowiązek za wszelką cenę obnażyć przed sądem jej prawdziwą naturę.

- Dzień dobry, panno Lemos - zagał.

Spojrzała na niego pytająco, ale odwzajemniła powitanie.

- Dobrze pani spała?

- Sprzeciw! - zawołał Mervale. - Czy obrona zamierza również wypytywać świadka o dzisiejsze śniadanie? A może o sny?

Sędzia Wymer posłał Korrogly'emu posępne spojrzenie.

- Chciałem po prostu rozluźnić atmosferę - wyjaśnił Korrogly. - Zależy mi na dobrym

samopoczuciu świadka, gdyż ciąży mu na sumieniu okrutne brzemię.

- Panie Korrogly... - wtrącił ostrzegawczym tonem sędzia.

Korrogly machnął ręką w taki sposób, jakby przyjmował ostrzeżenie do wiadomości i jednocześnie zbywał je lekceważeniem, po czym oparł ręce na poręczy miejsca dla świadków i nachylił się do Mirielle.

- Czym jest wielkie dzieło? - zapytał.

- Świadek odpowiedział już na to pytanie - zauważył Mervale.

- Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć - odparła jednocześnie z nim Mirielle.

- Może, dla odmiany, prawdę? - zasugerował Korrogly. - Bo widzi pani, ja mam całkowitą pewność, że nie była pani z nami szczerą tu, przed tym sądem.

- Jeżeli obrona zamierza przedstawić jakieś fakty, sugeruję, żeby to zrobiła, zamiast dręczyć świadka - wtrącił Mervale.

- Zrobię to - zapewnił przysięgłych Korrogly. - Wszystko w swoim czasie. Dla mojego wystąpienia kluczowe jest jednak precyzyjne wykazanie, w jakim stopniu i w jakim celu pewne fakty zostały zatuszowane.

Wymer westchnął.

- Proszę kontynuować.

Korrogly znowu zwrócił się do Mirielle:

- Pytam zatem jeszcze raz: czym jest wielkie dzieło? Radzę mówić prawdę, ponieważ tym razem nie uniknie pani odpowiedzialności za swoje kłamstwa.

Na twarzy Mirielle odmalowało się powątpiewanie, kiedy odparła:

- Powiedziałam wszystko, co wiem.

Korrogly obszedł miejsce dla świadka i stanął przed ławą przysięgłych.

- Jaki był cel ceremonii odprawianej w dniu, kiedy został zabity Zemaille?

- Nie wiem.

- Czy była częścią wielkiego dzieła?

- Nie... To znaczy, chyba nie.

- Jak na osobę blisko związaną z Zemaillem, zna go pani zaskakująco słabo.

- Mardo był z natury skryty.

- Czyżby? Rozmawialiście kiedyś o jego rodzicach?

- Tak.

- Czyli nie ukrywał swojego pochodzenia?

- Nie.

- A czy rozmawialiście o jego dziadkach?



- Nie jestem pewna... Mógł o nich wspomnieć raz czy drugi.

- A inni krewni? Przewijali się w waszych rozmowach?

- Nie pamiętam.

- Czy Zemaille wspominał kiedykolwiek o swoim odległym przodku, który, podobnie jak on, interesował się magią?

Twarz Mirielle stężała.

- Nie.

- Odpowiedziała pani z dużym przekonaniem, mimo że przed chwilą nie pamiętała pani, czy kiedykolwiek rozmawialiście z Zemaillem o innych jego krewnych.

- Coś takiego bym zapamiętała.

- Tak, nie wątpię... - Korrogly podszedł do stołu. - Czy imię Archiochus wydaje się pani znajome?

Mirielle siedziała całkowicie nieruchomo, tylko oczy lekko jej się rozszerzyły.

- Czy mam powtórzyć pytanie?

- Nie trzeba, słyszałam... Po prostu musiałam się zastanowić.

- I co, zastanowiła się pani już?

- Tak. Słyszałam to imię.

- Kim zatem może być ów Archiochus?

- Wydaje mi się, że czarownikiem.

- I to chyba nie byle jakim czarownikiem, nieprawdaż? Żył dawno temu... Jak dawno? Tysiące lat?

- To możliwe. - Mirielle wyraźnie coś rozważała w myślach. - Tak, już sobie przypominam. Mardo uważał go za swojego duchowego ojca. Archiochus nie był jego prawdziwym krewnym, tak mi się przynajmniej wydaje.

- Czy to wszystko, co wie pani na jego temat?

- Niczego więcej sobie nie przypominam.

- To dziwne... - Korrogly bawił się swoją teczką, na przemian otwierając ją i zamykając. - Wróćmy do tej ceremonii w noc śmierci Zemaille'a. Czy miała ona coś wspólnego z Archiochusem?

- To możliwe.

- Nie jest pani pewna?

- Nie.

- Pani ojciec zeznał, że w pewnym momencie Zemaille wykrzyknął: „Ojczy! Wkrótce będziesz wolny!”. Czy mógł mieć na myśli swojego duchowego ojca?

- Tak. - Mirielle wyprostowała się na krześle z gorliwą miną, jakby bardzo chciała okazać się pomocna. - Teraz, jak pan o tym wspomniał, pomyślałam, że on naprawdę mógł chcieć nawiązać kontakt z Archiochusem. Mardo wierzył w świat duchów. Często urządzał seanse spirytystyczne.

- Sugeruje pani, że ta uroczystość była czymś w rodzaju takiego seansu?

- To całkiem możliwe.

- I że jej celem było nawiązanie kontaktu z duszą Archiochusa?

- To również możliwe.

- Czy jest pani pewna, panno Lemos, że nic więcej pani o nim nie wie? Na przykład, czy Archiochus miał coś wspólnego z Griaule'em?

- Ja... Mógł mieć.

- Mógł mieć... - powtórzył w zadumie Korrogly. - Mógł mieć. Mnie się wydaje, że miał, i to sporo. Zapytam wprost: czy to nie Archiochus, czarownik, z którym Zemaillé'a łączyło duchowe, choć nie faktyczne, pokrewieństwo, przed tysiącami lat stoczył walkę z Griaule'em?

Na sali wybuchła wrzawa i sędzia Wymer musiał uciszyć słuchaczy stukaniem młotka.

- Tak czy nie? - spytał Korrogly.

- Tak - przytaknęła Mirielle. - Rzeczywiście, to był on. Zapomniałam o tym.

- Ależ naturalnie. Kolejny raz pamięć splątała pani figła... - Korrogly spojrzął na przysięgłych i się uśmiechnął. - Jeśli wierzyć legendom, nie tylko Griaule został w tamtym pojedynku uśpiony: ten sam los miał spotkać także czarownika, który z nim walczył. Słyszała pani o tym?

- Tak.

- A Mardo? Też o tym słyszał?

- Tak przypuszczam.

- Czyli Mardo wierzył, że ów potężny czarownik żyje?

- Tak.

- Porozmawiajmy teraz o pracy. Nie o wielkim dziele, lecz o zwyczajnej, codziennej pracy. Czy to prawda, że brała pani udział w seksualnych rytuałach Zemaillé'a, które odbywały się w tej samej komnacie, w której zginął?

Żyłka na skroni Mirielle zapulsowała żywiej.

- Tak.

- Czy ich elementem były stosunki płciowe z Zemaillé'em?

- Tak!

- A z innymi osobami?

Mervale wstał.

- Wysoki sędzie, nie rozumiem, do czego obrona zmierza.

- Ja również - przyznał Wymer.

- To się wkrótce wyjaśni - zapewnił ich obu Korrogly.

- Dobrze. - Sędzia zaczynał się niecierpliwić. - Ale zalecam większą zwięzłość. A świadka proszę o odpowiedź.

- Jak brzmiało pytanie? - spytała Mirielle.

- Czy w celach rytualnych uprawiała pani seks z innymi osobami niż Zemaille? - podpowiedział Korrogly.

- Tak.

- Po co? Czemu ta rozpusta miała służyć?

- Sprzeciw!

- Przeformułuję pytanie. - Korrogly oparł się o stół obrony. - Czy seks pełnił w tych rytuałach konkretną funkcję?

- Tak... chyba tak.

- Jaka?

- Nie jestem pewna...

Korrogly zaczął się bawić leżącym w teczce dziennikiem Mardo. Otworzył go.

- Czy chodziło o to, żeby przygotować ciało?

Mirielle zeszywniała.

- Mam powtórzyć pytanie?

- Nie, ja tylko...

- Co to znaczy, panno Lemos, „przygotować ciało”?

Pokręciła głową.

- Mardo by wiedział... Ja nigdy tego nie rozumiałam.

- Czy przed udziałem w tych rytuałach stosowała pani środki służące kontroli urodzin?

Na przykład, piła pani jakieś wywary z ziół i korzeni albo w inny sposób próbowała zapobiegać zajściu w ciążę?

- Tak.

- Jednakże w noc śmierci Mardo Zemaille'a nie zastosowała pani takich środków.

Mirielle zerwała się na równe nogi.

- Skąd o tym...

Ugryzła się w język i usiadła.

- O ile mi wiadomo, zdaniem Zemaille'a w ową noc przypadała rocznica bitwy Griaule'a z Archiochusem - ciągnął Korrogly. - Mam rację?

- Nie wiem.

- Przedstawię później dowody potwierdzające, że Zemaille istotnie tak właśnie myślał - powiedział Korrogly, zwracając się do przysięgłych, i znów spojrzął na Mirielle. - Czy tamtej nocy chciała pani zajść w ciążę?

Mirielle milczała.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie, panno Lemos - ponaglił ją sędzia.

- Tak - wyszeptała.

- Dlaczego akurat w tę jedną konkretną noc? Czyżby zależało pani na poczęciu jakiegoś wyjątkowego dziecka?

Mirielle posłała Korrogly'emu nienawistne spojrzenie.

Korrogly wyjął dziennik z teczki.

- Czy dziecko, które miała pani urodzić, miało otrzymać imię Archiochus?

Mirielle wlepiała wzrok w dziennik Zemaille'a. Rozdziawiła usta.

- Czy zamiarem Zemaille'a, ostatecznym celem jego wielkiego dzieła, do którego realizacji dążył z wykorzystaniem najohydniejszej magii, nie było wyzwolenie duszy Archiochusa? Czy do tego celu nie potrzebował ciała, które byłoby tak splugawione i zbezczeszczone, że stanowiłoby naturalne środowisko dla czarnej jak noc duszy tego złego, zepsutego do szpiku kości człowieka? Pani splugawionego ciała, panno Lemos. Czy pani rola nie polegała na dostarczeniu plugawego łona, w którym duch owego odrażającego czarownika odrodziłby się w niewinnym ciele? I czy po osiągnięciu dorosłości i odzyskaniu dawnej mocy, w czym Zemaille miał mu pomóc, Archiochus nie zamierzał ponownie spróbować zniszczyć smoka Griaule'a?

Zamiast odpowiedzi, z ust Mirielle dobył się okrzyk czystego bólu i rozpacz, tak przejmujący, że wszyscy na sali umilkli oszołomieni. Spuściła głowę, oparła ją na poręczy i dłuższą chwilę siedziała skulona, aż w końcu się wyprostowała. Jej twarz stała się maską nienawiści.

- Tak! - przytaknęła. - Tak! I gdyby nie on - tu gwałtownym gestem wskazała Lemos - zabilibyśmy tę przekłątą poczwagę! A wy, wy wszyscy, dziękowalibyście nam! Wychwalalibyście Mardo jako wyzwoliciela! Stawialibyście mu pomniki...

Sędzia Wymer próbował ją uciszyć, ale bez powodzenia. Wszystkie mięśnie jej twarzy były napięte do granic możliwości, oczy wytrzeszczone, dłonie kurczowo zaciśnięte na

poręczy.

- Mardo! - wykrzyknęła, zadzierając głowę i patrząc w sufit, jakby, przebiwszy go wzrokiem, mogła zajrzeć do krainy umarłych. - Mardo, usłysz mnie!

Nie mogąc jej uciszyć, Wymer kazał ją w końcu skuć i wyprowadzić do pokoju przesłuchań. Odesłał także Lemosą do celi i zarządził przerwę w obradach sądu. Sala opustoszała, a wpatrzony tępo w przestrzeń Korrogly siedział wciąż przy stole, bawiąc się dziennikiem Zemaille'a. Jego myśli wystrzeliwały jak fajerwerki, przez chwilę płonęły jasno, a potem gasły w ciemności.

- Chyba powinienem ci pogratulować - powiedział Mervale, siadając na skraju blatu.

- To jeszcze nie koniec.

- Ależ tak! Nie skażą go, i dobrze o tym wiesz.

Korrogly pokiwał głową.

- Nie jesteś zachwycony.

- Jestem zmęczony.

- Jeszcze to do ciebie nie dociera, ale wkrótce dotrze. To dla ciebie chwila triumfu.

Będziesz sławny.

- Hmm...

Mervale wstał i podał rękę Korrogly'emu.

- Puśćmy urazy w niepamięć. Wiem, że wtedy, w tamten wieczór, byłeś przemęczony. Jeżeli ty o wszystkim zapomnisz, ja zrobię to samo.

Korrogly uściśnął podaną mu dłoń i ze zdziwieniem zauważył malujący się na twarzy Mervale'a prawdziwy szacunek - ze zdziwieniem, bo sam siebie w tej chwili nie szanował. Wciąż myślał o Mirielle, wciąż jej pragnął, mimo że przecież wiedział, że w tym, co ich połączyło, nie było krzty prawdy. Poza tym, wcale nie odczuwał satysfakcji. Sprawa Lemosy przypominała układankę, w której wszystkie elementy do siebie pasują, ale całość po ułożeniu nie ma za grosz sensu.

- Nie napiłbyś się czegoś? - spytał Mervale.

- Nie.

- Daj spokój, stary... Może i miałeś wtedy trochę racji, ale od tamtej pory przemyślałem sprawę. Nie będę cię już traktował protekcjonalnie. Chodź, postawię ci drinka.

- To nie takie proste. - Korrogly wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Na jednym się nie skończy.

\* \* \*

Upływ czasu wcale nie umniejszył niezadowolenia Korrogly'ego. Nadal powątpiewał

w niewinność Lemos, a późniejsze skutki jego uniewinnienia tylko podsyciły rozczarowanie. Po uznaniu Mirielle za niepoczytalną teren świątyni przeszedł na własność szlifierza, który bezzwłocznie sprzedał go za grube pieniądze. Nowy nabywca wyburzył budynki i przygotowywał się do postawienia w ich miejsce hotelu. Lemos odsprzedał również Ojca Kamieni z powrotem Harry'emu Sichi, i to z pokaźnym zyskiem, ponieważ uznany za relikwię Griaule'a kamień stał się wręcz bezcenny i Harry'emu zależało na tym, żeby wystawić go w swoim muzeum, wybudowanym specjalnie dla takich właśnie eksponatów. Większość nowo nabytej fortuny Lemos zainwestował w fabryki indygo i kopalnie srebra. Kupił także dworek na Cyplu Aylera, w którym za zgodą sądu on sam i wynajęte przez niego pielęgniarki opiekowali się wracającą do zdrowia Mirielle. Rzadko widywano ich publicznie, ale mówiło się, że się pogodzili i rekonwalescencja postępuje wyśmienicie.

Nieliczne wolne chwile - nie było ich zbyt wiele, gdyż po głośnym procesie praktyka adwokacka zajmowała mu masę czasu i przynosiła pokaźne zyski - Korrogly poświęcał na procedury przedprocesowe, które wcześniej zaniedbał, i kontynuował śledztwo w sprawie śmierci Zemaille'a, ale na przełom w tej sprawie musiał czekać aż półtora roku, kiedy to udało mu się porozmawiać z dawnym wyznawcą kultu smoka. Spotkali się na plaży u stóp urwiska, na którym niegdyś stała świątynia. Drobny, łysiejący człowieczek, którego niewinny wygląd przeczył rozpustnej przeszłości, był wyraźnie zdenerwowany i Korrogly musiał mu sownie zapłacić za szczerość, ale i wtedy większość jego opowieści okazała się bezużyteczna. Dopiero pod koniec rozmowy wypłynęły informacje, które mogły stać się pożywką dla wątpliwości Korrogly'ego.

- Wszyscy byli zaskoczeni, kiedy Mirielle związała się z Mardo - powiedział. - Zwłaszcza po tym, co stało się z jej matką.

- Co ma pan na myśli? - spytał Korrogly.

- Jej matkę, Patricję. Pewnej nocy przyszła do świątyni. W noc swojej śmierci, dokładnie rzecz biorąc.

- Jak to?

- To pan nie wie?

- Pierwsze słyszę...

- Nie mówi się o tym głośno. Przyszła tylko ten jeden raz i tej samej nocy się utopiła.

- Co dokładnie się stało?

- A kto to może wiedzieć? Podobno Mardo zaciągnął ją do łóżka. Może czymś ją nafaszerował, może mu się opierała... To by mu się nie spodobało.

- Chce pan powiedzieć, że to on ją zabił?

- Sama się nie utopiła.

- Dlaczego wcześniej nikomu o tym nie powiedzieliście?

- Baliśmy się.

- Czego?

- Griaule'a.

- To niedorzeczne!

- Czyżby? To pan doprowadził do niewinnienia Lemos. Pan wie najlepiej, co Griaule potrafi.

- Pańskie słowa rzucają zupełnie nowe światło na tę sprawę. Lemos i Mirielle mogli uknuć spisek, żeby się zemścić. Może...

- Nawet jeśli tak było, pomysł wyszedł od Griaule'a.

Po tej rozmowie Korrogly sprawdził, jak wyglądały przyływy i odpływy w noc śmierci Patricii: fale cofały się spod świątynnego urwiska w stronę Cypla Aylera, gdyby więc ciało wylądowało w wodzie nad ranem, mogło zostać wyrzucone na plażę na cyplu - i tak właśnie się stało. Na tym jednak rewelacje się skończyły i choć zbadał wszystkie pokrewne tropy, nie znalazł żadnych dowodów na to, żeby szlifierz lub jego córka spiskowali przeciw Zemaille'owi. Sprawa nie dawała mu spokoju, przyprawiała go o koszmary senne i bezsenne noce. Wiedząc, że został wykorzystany, czuł nieprzepartą potrzebę poznania natury tego wykorzystania. Gdyby udało mu się nabrać dystansu do faktów, mógłby opisać swój los. Nie był pewien, czy wolałby, żeby się okazało, że manipulował nim Griaule, czy Lemos z córką. Bywały chwile, w których rozpaczliwie czepiał się idei wolnej woli i chciał wierzyć, że padł ofiarą sztuczek człowieka, nie jakiejś istoty niezgłębionej niczym sam Bóg. Kiedy indziej marzyło mu się, że wygrał proces uczciwie i doprowadził do uwolnienia niewinnego człowieka. Wiedział jedno: chciał mieć pewność.

W końcu nie pozostało mu nic innego, jak zaczerpnąć informacji u źródła, udał się więc do dworku Lemos na Cyplu Aylera i poprosił o spotkanie z właścicielem. Służąca wyjaśniła mu, że pan gdzieś wyszedł, ale jeśli gość zechce chwilę poczekać, ona sprawdzi, czy zastał panią domu. Wróciwszy po krótkiej nieobecności, zaprowadziła go na osłonecznioną werandę z zapierającym dech w piersi widokiem na ocean i Almintę. Mocne promienie słońca kładły się połyskliwą warstwą na powierzchni wody, rozbryzgując się szerzej, gdy wiatr rozwiewał czubki maleńkich fal. Domy ze stromymi dachami wyglądały staroświecko i malowniczo; odległość maskowała ich nędzny stan.

Odziana w szlafrok z beżowego jedwabiu Mirielle pólleżała w wygodnym fotelu. Obok niej na stoliku leżała długa fajka i garść czarnych granulek - zapewne opium, jak

domyślał się Korrogly. Mirielle miała przymglony wzrok i choć wciąż wyglądała prześlicznie, ślady rozpusty przytępiły wyrazistość jej urody. Mokry od potu czarny lok przylgnął do spoconego policzka. Skóra połyskiwała niezdrowo.

- Cudownie cię widzieć - powiedziała, przeciągając zgłoski i wskazując mu sąsiedni fotel.

- Naprawdę?

Poczuł, jak budzą się w nim dawne tęsknoty i dawne rozgoryczenie. Na Boga, pomyślał, wciąż ją kocham. Mimo wszystko. Cokolwiek by zrobiła, nadal będę ją kochał.

- Ależ oczywiście! - Zaśmiała się lekko. - Pewnie mi nie uwierzysz, ale ja cię naprawdę polubiłam.

- Polubiłaś! - W jego ustach to słowo zabrzmiało jak obelga.

- Mówiłam ci przecież, że pokochać cię nie mogę.

- Ale powiedziałaś, że spróbujesz.

Wzruszyła ramionami i uczyniła ruch, jakby chciała sięgnąć po fajkę.

- Nic nie wyszło tak, jak chciałam.

- Tego bym nie powiedział. - Korrogly gestem ogarnął luksusowe wnętrze. - Nie najgorzej ułożyłaś sobie życie.

- A ty nie? Podobno odniosłeś wielki sukces. Wszystkie kobiety chcą cię na swojego...

- Mirielle zachichotała - ...adwokata.

Duża fala roztrzaskała się o brzeg poniżej werandy, okrywając pół plaży koronką piany. Szum morza jakby usypiał Mirielle: zatrzepotała powiekami, przymknęła je i westchnęła głęboko. Szlafrok rozchylił się, odsłaniając jasną, falującą pierś.

- Chciałam być wobec ciebie uczciwa. I byłam. Tak uczciwa, jak tylko umiałam.

- Dlaczego zatem nie powiedziałaś mi o swojej matce i Zemaille'u?

Otworzyła oczy.

- Słucham?

- Słyszałaś, co powiedziałem.

Usiadła, zgarnęła poły szlafroka i obrzuciła Korrogly'ego spojrzeniem, w którym zmieszanie łączyło się z niezadowoleniem.

- Po co przyszedłeś?

- Szukam odpowiedzi. Potrzebuję ich.

- Odpowiedzi! - Mirielle parsknęła śmiechem. - Gorszy z ciebie głupiec, niż myślałam.

To zabolalo.



- Może i głupiec, ale nie dziwka - odparł.

- Adwokat, któremu się wydaje, że nie jest dziwką! Ten świat nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

- Powiedz mi. Nic wam już nie grozi, twój ojciec nie może drugi raz stanąć przed sądem, więc mi powiedz: to była twoja robota, prawda? Wszystko zaplanowałaś, uknułaś zabójstwo Zemaille'a, żeby pomścić matkę. Nie wiem, jak udało ci się tego dokonać, ale...

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Naprawdę muszę to wiedzieć, Mirielle. Nie skrzywdzę cię, obiecuję. Nie mógłbym cię skrzywdzić. To, co zrobiłem ci w sądzie, omal mnie nie zabiło.

Długo patrzyła mu w oczy.

- To było łatwe. Ty byłeś łatwy. Dlatego cię wybraliśmy... Byłeś taki samotny. Taki naiwny. Wystarczyło cię tylko odpowiednio nakręcać: miłością, strachem, błędnym tropem. Na koniec narkotykiem. Zanim zabrałam cię, a właściwie zanim Janice zabrała cię do świątyni, dosypałam ci narkotyku do drinka. Stałeś się bardzo podatny na sugestie.

- To dlatego halucynowałem?

- Chodzi ci o schowek Mardo? Nie, ta iluzja była jego dziełem. Nadzwyczaj wiarygodnym. A ty pod wpływem narkotyku uwierzyłeś w to, co chciałam: w zagrożenie, pościg i tak dalej.

- A łuska?

- Jaka łuska?

- W łusce zawieszanej nad łóżem Zemaille'a objawiła mi się podobizna nieżyjącego czarownika, zapewne Archiochusa.

Mirielle zmarszczyła brwi.

- Widocznie ze strachu miałeś zwidy.

Wstała, zachwiała się na nogach i musiała się oprzeć o balustradę. Korroglly miał wrażenie, że jej twarz złagodniała i odmalował się na niej cień tej samej tęsknoty, którą sam odczuwał; wydawało mu się również, że dostrzega tam ślad obłędu, niezrównoważenia. Musiała być szalona, żeby zrobić to, co zrobiła - jednocześnie być i nie być zakochaną, grać z przekonaniem obie te role naraz, kłamać i oszukiwać z taką nałogową precyzją i starannością.

- Gdybyśmy przedstawili fakty w prosty sposób, tata mógłby zostać skazany - mówiła dalej. - Musieliśmy sterować procesem, manipulować przysięgłymi, żeby tańczyli, jak im zagramy. Dlatego wybraliśmy cię na dyrygenta, a ty wypadłeś w tej roli fantastycznie! Wierzyłeś we wszystko, co ci podsuwaliśmy. - Odwróciła się i zsunęła szlafrok, odsłaniając idealnie gładkie plecy. - Nie przepadam za smokami - dodała z wyraźnym północnym

akcentem.

Przemówiła głosem Janice.

Korrogly wytrzeszczył oczy. Nic z tego nie rozumiał.

- Ale ona spadła w przepaść. Sam widziałem.

- Siatka pod szczytem klifu.

Te słowa wypowiedziała dźwięcznym głosem starszej kobiety. Głosem Kirin.

- Na Boga... - wyszeptał Korrogly.

- Odrobina makijażu czyni cuda. A ja zawsze miałam talent do naśladowania głosów.

Planowaliśmy to przez całe lata.

- Nadal nie rozumiem... Jest przecież tyle zmiennych, nie mogliście kontrolować wszystkich. Na przykład, tamtych dziewięcioro świadków. Skąd wiedzieliście, że uciekną?

Spojrzała na niego z politowaniem.

- No tak - powiedział. - Oczywiście. Nie było żadnych świadków.

- Tylko Mardo i ja. Naturalnie, tato wcale nie rzucił kamieniem; nie mogliśmy ryzykować, że spudłuje. Razem obezwładniliśmy Mardo i dopiero wtedy wyrznął go kamieniem w głowę. Potem przyjąłem narkotyk, żeby uwiarygodnić historię o tym, jak leżałam na ołtarzu. Kult już wtedy rozpadł się na dobre. Bali się wielkiego dzieła, zaczęli odchodzić zanim jeszcze do nich przystąpiłam. To było sedno naszego planu: odciąć Mardo od wyznawców. Całymi godzinami zachęcałam go do realizacji wielkiego dzieła, bo wiedziałam, że tamci go porzucą, kiedy dojdą do wniosku, że naprawdę może je urzeczywistnić. Bardziej bali się Griaule'a niż jego.

- Czyli to akurat była prawda?

Mirielle skinęła głową.

- Mardo miał obsesję na punkcie uśmiercenia Griaule'a. Był szalony!

- A nóż? A zakapturzona postać, która nim rzuciła?

Ukloniła się.

- Nie chciałam cię zranić, tylko nastraszyć. Później byłam taka zmartwiona właśnie dlatego, że zrobiłam ci krzywdę. Miałam obiec warsztat od tyłu i wdrapać się po schodach na górę, żebyś myślał, że cały czas siedziałam w mieszkaniu, ale w tamtej chwili niewiele brakowało, żebym porzuciła cały plan i pobiegła ci na pomoc. Tak mi przykro. Przepraszam.

- Przykro ci! Na Boga!

- Naprawdę nie masz na co narzekać. Żyjesz dziś jak panisko, a śmierć Mardo, jak sam powiedziałeś, dla nikogo nie była wielką stratą. Był złym człowiekiem.

- Złym? Ja już nawet nie wiem, co to słowo oznacza.

Z perspektywy czasu jak na dłoni widział wszystkie tropy i wskazówki, które powinien był dostrzec dawno temu: podobnie nerwową gestykulację Mirielle i Kirin, przesadną reakcję, kiedy próbował porozmawiać o jej matce, drobne niespójności, nieprzekonująco gładkie skojarzenia. Ależ był durniem!

- Mój ty biedny Adamie... - Podeszła bliżej i pogłaskała go po głowie. - Spodziewasz się, że świat będzie taki prosty, a on jest... inny niżbyś chciał.

Podnieciła go otaczająca ją woń nagrzanego pomarańcza. Przyciągnął ją do siebie, zły i pożądlivy jednocześnie, i posadził sobie na kolanach. Jedna jego część chciała ją odrzucić, ponieważ wiedział, że pragnąc jej, godzi się na dwulicowość, której padł ofiarą, i coraz bardziej strzepi materię swojej moralności. Jednakże druga część, ta silniejsza, potrzebowała jej. Pocałował ją w usta, smakując przydymioną słodycz opium. Przesunął wargami po łuku szyi, aż do zbroczy piersi. Z początku zareagowała niemrawo, ale potem ożywiła się gwałtownie i szepnęła w zapamiętaniu:

- Tęskniłam za tobą. Kocham cię. Naprawdę cię kocham.

Wydawało się, że znów jest taka sama jak dawniej: szczerą, szczerą, miękka. Wstrząsnęło to Korroglym, który uświadomił sobie, że jej skrywana pod rozpustnością wrażliwość wcale nie była udawana. A przecież już zdążył zważyć we wszystko, co się z nią wiązało.

Znów ją pocałował i wziąłby ją tam i wtedy, gdyby nie męski głos, który im przerwał:

- Mogłabyś być dyskretniejsza, kochanie.

Korrogly aż podskoczył. Mirielle zjechała na podłogę.

Stojący w progu Lemos uśmiechnął się półgębkiem. Wyglądał jak człowiek zamożny i zadowolony z życia, w niczym nie przypominał bezbarwnego nieudacznika, którego Korrogly bronił w sądzie. Miał kosztowne ubranie, sygnety na palcach i otaczała go aura zdrowia i powodzenia, która wydawała się wprost nieprzyzwoita, jak rumiana cera u nasyconego wampira.

Mirielle wstała i podeszła do niego. Objął ją ramieniem.

- Nie spodziewałem się tu pana zastać, panie Korrogly - powiedział Lemos. - Ale chyba nie powinienem się dziwić. Trudno się oprzeć urokowi mojej córki, prawda?

- Powiedziałam mu, tato - odezwała się Mirielle dziecinnym, cukierkowo słodkim głosem. - O Mardo.

- Ach tak?

Korrogly ze zgrozą patrzył, jak Lemos pieści pierś córki przez beżowy jedwab. Mirielle wygięła plecy w łuk, podstawiając się pod pieśczość, ale na jej twarzy malowało się

lekkie napięcie.

Szlifierz musiał zauważyć, że ten widok napawa Korrogly'ego odrazą.

- Nie powiedziałaś mu chyba wszystkiego? - spytał.

- Nie mówiłam o mamie. Myśli, że...

- Wyobrażam sobie, co myśli.

Uśmiech nie schodził Lemosowi z twarzy, lecz głębiej, w tych szarych oczach, kryło się coś zimnego i bezlitosnego. Korrogly'ego przeszedł dreszcz.

- Wydaje się pan zaniepokojony - ciągnął Lemos. - A przecież człowiek z pańskim doświadczeniem na pewno potrafi sobie wyobrazić miłość łączącą ojca z córką. Owszem, ludzie krzywo na to patrzą, lecz społeczne potępienie takich związków wcale nie musi umniejszać ich siły. W naszym przypadku było dokładnie odwrotnie: doprowadziło nas do ostateczności.

Ostatnie kawałki układanki wpadły na swoje miejsca w umyśle Korrogly'ego.

- To nie Zemaille zabił pańską żonę. Pan to zrobił.

Lemos prychnął z rozbawieniem.

- Miałyby pan nie lada problem z udowodnieniem tego, niemniej jednak... Dla dobra naszej konwersacji umówmy się, że ma pan rację. Powiedzmy, że aby móc w pełni... cieszyć się sobą nawzajem, potrzebowaliśmy z Mirielle odrobiny prywatności, co przy Patricii było niemożliwe. A któż lepiej nadawał się do roli czarnego charakteru niż Mardo Zemaille? Wrota świątyni były podówczas szeroko otwarte dla wszystkich ciekawskich. Ktoś, na przykład ktoś taki jak ja, z łatwością mógł przekonać Patricię, że warto się tam któregoś wieczoru wybrać.

- Zabił ją pan i zamierzał obarczyć winą Zemaille'a?

- Orzeczono, że jej śmierć była wynikiem nieszczęśliwego wypadku. Nie potrzebowalem kozła ofiarnego.

- A potem dostrzegł pan nadarżającą się okazję wykorzystania Zemaille'a.

- Mardo był człowiekiem słabym, lecz mającym wielką władzę. Takimi ludźmi łatwo manipulować. Trochę to trwało, ale ostateczny efekt był nieunikniony.

Dłoń Lemos'a zsunęła się niżej, na brzuch Mirielle. Nie zaprotestowała, lecz Korrogly wyczuwał instynktownie, że jest raczej niewolnicą niż kochanką, a jej przyjemność wypływa z przymusu. Twarz Mirielle przybrała beznamiętny, niezdrowy wyraz; nie wyglądała tak, kiedy to on jej dotykał.

- Chyba nigdy panu należycie nie podziękowałem - mówił dalej Lemos. - Tymczasem bez pana najprawdopodobniej nadal tkwiłbym w Almintrze. Jestem pańskim dozgonnym

dłużnikiem.

Korrogly przyglądał się im obojgu, nie bardzo wiedząc, jak się zachować.

- Zastanawia się pan zapewne, skąd ta szczerłość? To nie tajemnica. Jest pan zawziętym człowiekiem, panie Korrogly, za co ogromnie pana szanuję. Miałem pełną świadomość, że kiedy raz podejmie pan trop (a wiem, że natrafił pan na niego dość dawno), nie odpuści pan, dopóki nie odkryje całej prawdy. Wiedziałem, że prędzej czy później odegramy tę scenę. Mogłem kazać pana zabić, ale, jak już wspominałem, jestem panu wdzięczny i wolę zachować pana przy życiu. Nie sądzę, żeby mógł mi pan w jakikolwiek sposób zagrozić, mimo to, proszę traktować moje słowa jak ostrzeżenie. Będę pana obserwował. Jeśli przyjdzie panu do głowy szkodzić mi, będzie to jedna z pańskich ostatnich myśli. Gdyby naszły pana wątpliwości, czy aby na pewno nie żartuję, proszę sobie przypomnieć, czego się pan dziś o mnie dowiedział; proszę pomyśleć o tym, do czego jestem zdolny i co potrafiłem zrobić, nie mając władzy, a potem wyobrazić sobie, co mogę zrobić dzisiaj, kiedy tę władzę mam. Rozumie mnie pan?

- Tak, rozumiem.

- To dobrze. - Lemos puścił Mirielle, która, zataczając się, wróciła na fotel. - W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć panu miłego dnia. Może jeszcze kiedyś pan do nas wpadnie? Na przykład na kolację? Zresztą, Mirielle może pan odwiedzać, kiedy chce. Ona naprawdę pana lubi, a ja nauczyłem się nie odczuwać zazdrości. Nie chciałbym odmawiać jej przyjemności płynącej z kontaktów z panem. Obawiam się, że spełnienie moich wymagań sporo ją kosztowało; może pomoże jej pan dojść do siebie. - Oparł rękę na plecach Korrogly'ego i, delikatnie go popychając, pokierował do wyjścia. - Rozkosz to rzadki towar i nikomu jej nie żałuję. Tego nauczyło mnie życie w zbytku. To zresztą kolejny powód, dla którego powinienem być panu wdzięczny. - Otworzył drzwi. - Dlatego, kiedy mówię, że wszystko, co należy do mnie, należy także do pana, to mam na myśli najgłębsze, najbardziej intymne znaczenie tych słów. Proszę śmiało korzystać z naszej gościnności, kiedykolwiek pan zechce.

Pomachał gościowi na pożegnanie i zamknął za nim drzwi. Korrogly zamrugał, oślepiiony słońcem. Czuł się jak rozbitek wyrzucony na skalistą wysepkę pośrodku niezbadanego morza.

\* \* \*

Zmierzchało się (czas do wieczora wypełniły mu spacer i rozmyślenia), zanim ostatecznie wylądował w muzeum Henry'ego Sichi, przed szklaną gablotą, w której był wystawiony Ojciec Kamieni. Lemos miał rację: Korrogly nie mógł nic zrobić, żeby

sprawiedliwości stało się zadość, i musiał się pogodzić z faktem, że został wykorzystany przez człowieka, który - o ile to możliwe - okazał się potworem gorszym niż sam Griaule. Doszedł do wniosku, że najlepiej byłoby wyjechać z Port Chantay, i to jak najszybciej, bo nawet jeśli Lemos mówił poważnie, to przecież w każdej chwili mógł zmienić zdanie i uznać Korrogly'ego za zagrożenie.

Jednakże najboleśniejsze wcale nie było grożące mu niebezpieczeństwo. Wpojone Korrogly'emu zasady moralne (cecha głupców, jak powiedziała by Lemos) wciąż kazały mu domagać się sprawiedliwego wyroku dla szlifierza. Świadomość, że nie może na to liczyć, przygnębiała go i przyprawiała o myśli samobójcze, gdy patrzył, jak jego wymarzony uporządkowany wszechświat rozpada się na kawałki.

Wpatrywał się w Ojca Kamieni, połyskującego w zagłębieniu w granatowym aksamicie: tajemnicza mleczna gruda, mieniąca się pryzmatycznymi odblaskami, w której jądrze dziwaczna plama mroku w kształcie człowieka jakby się poruszała i wiła w mękach, jak najprawdziwsza uwięziona dusza. Skoncentrował na niej wzrok - i nagle mrok ogarnął go ze wszystkich stron, jakby wpadł w maleńką strefę nocy. Zobaczył człowieka leżącego na ziemi - starego, bardzo starego człowieka w szatach czarownika, o zapadniętych policzkach, haczykowatym nosie i czarnych oczach pożyłkowanych kreskami niebiesko-zielonego ognia. Wizja trwała zaledwie kilka sekund, zanim jednak zbladła, odczuł bliskość tej samej lodowatej i potężnej jaźni, którą wyczuwał w świątyni, i kiedy otrząsnął się z majaków i wrócił do rzeczywistości, w której stał przed gablotą z Ojcem Kamieni, nie był przestraszony ani wstrząśnięty, lecz zachwycony. A zatem to jednak naprawdę był Griaule. Wizja mogła oznaczać tylko jedno: Zemaille był poważnym zagrożeniem i smok musiał go usunąć. A on, Korrogly, naprawdę widział wtedy, w świątyni, konającego czarownika. Wcale nie halucynował. To smok próbował go oświecić.

Roześmiał się i uderzył otwartą dłońią po udzie. Owszem, Lemos zrealizował swój plan, lecz rację miał tamten były wyznawca kultu smoka, kiedy twierdził, że to myśl Griaule'a natchnęła szlifierza do działania - za pośrednictwem tego właśnie mlecznego kamienia.

Zachwyt Korrogly'ego nie wypływał z faktu, że Lemos okazał się (w pewnym sensie) niewinny; „niewinność” w ogóle nie była właściwym słowem do opisanego szlifierza - lecz z nowo nabytej świadomości, jak bardzo złożone i subtelne było działanie Griaule'a. Smok do niego przemówił. Rozkazywał mu. Nauczył go nowego prawa, które Korrogly zaniedbywał przez całe swoje wcześniejsze życie: prawa samostanowienia. Rozumiał już teraz, że tylko takie prawo może być źródłem sprawiedliwości; jeśli chciał jej zadośćuczynić, musiał zdać

się na siebie, zamiast liczyć na system i sądy - a na to akurat był całkiem nieźle przygotowany. Nie rozumiał, jak mógł wcześniej nie wyciągnąć takich wniosków; domyślał się tylko, że sprawa Lemosy tak go pochłonęła i tak namąciła mu w głowie, że nie pomyślał o działaniu. Może zresztą wcale nie był gotowy do działania, może miał zbyt wątpliwą motywację.

Teraz motywacji mu nie brakowało.

Mirielle.

Może nie zdoła jej ocalić, może zabrnęła za daleko w perwersję i nie ma dla niej ratunku - ale przez tę chwilę, gdy trzymał ją w ramionach, znów była kobietą, którą kochał. Nie udawała. Mógł więc przynajmniej ocalić ją przed człowiekiem, który ją zdominował, uwiódł i zdeprawował. A że przy okazji wymierzy sprawiedliwość... To tylko dodatkowa frajda.

Wyszedł z muzeum i przystanął na schodach, spoglądając ponad mroczniejącą lawendową tonią oceanu w stronę Cypla Aylera. Dokładnie wiedział, co teraz robi. Sam Lemos wskazał mu drogę do sukcesu, kiedy mówił o Zemaille'u:

- Mardo był człowiekiem słabym, lecz mającym wielką władzę - powiedział. - Takimi ludźmi łatwo manipulować.

Oczywiście to samo odnosiło się do Lemosy.

Miał mnóstwo słabych punktów: inwestycje, Mirielle, zbrodnie, które popełnił, fałszywe poczucie wszechmocy. Zwłaszcza to ostatnie - to była jego największa słabość. Zakochany w swojej władzy, uwierzył w nieomylnność swych sądów i do głowy by mu nie przyszło, że mógł źle ocenić Korrogly'ego. Zakładał, że adwokat albo zaniecha wszelkich starań, albo poszuka sprawiedliwości w sądzie; nie spodziewał się, że Korrogly wystąpi przeciw niemu dokładnie w taki sam sposób, w jaki on sam wystąpił przeciw Zemaille'owi.

Zemaille pewnie też źle ocenił Lemosy.

Korrogly uśmiechnął się pod nosem, doceniając cudowną złożoność tego ciągu olśnień, który jednego człowieka po drugim zmuszał do podjęcia zdecydowanych działań. Żwawo zszedł po schodach na Bulwar Biscaya i skierował się do „Ślepej Damy”, żeby napić się piwa i podumać nad losem swoim i Lemosy. Nie przeszedł jeszcze przecznicy, gdy w jego głowie zaczął kiełkować plan.

Nagle, niepokojąca myśl powstrzymała jego entuzjazm. A jeśli cały czas, we wszystkim, wypełnia wolę Griaule'a, który oddziałuje na niego poprzez Ojca Kamieni? Jeśli, zamiast brać swój los w swoje ręce, w rzeczywistości jest posłuszny życzeniom smoka i jako pionek uczestniczy w jego niecznych knowaniach? Może, odrzucając zwykłe środki działania i tradycyjne zasady moralne, ryzykuje, że stanie się takim samym potworem jak Lemos, i

zginie później z rąk jeszcze innego pionka Griaule'a? Tego nie wiedział. Niespodziewana determinacja mogła przecież być skutkiem jego własnych rozważań, długich lat przeżytych w niespełnionym idealizmie. Tak jak rozstrzygnięcie sprawy Lemoso mogło dopełnić miary i ostatecznie złamać jego kruchy kręgosłup moralny.

Długo stał w miejscu, snując takie rozważania. Zdawał sobie sprawę, że może je snuć w nieskończoność, i szukał usprawiedliwienia, które pozwoliłoby mu o nich zapomnieć, porzucić tę nieustanną analizę, zaniechać kwestionowania faktów - aż odkrył, że ma wybór, tak jakby decyzja o podjęciu działania wyzwoliła go ze starego potrzasku, uwolniła od uciążliwego brzemienia ideałów, w zamian otwierając mu drogę do poznania nowej, znacznie skuteczniejszej - choć z pewnością moralnie wątpliwej - magii. Jakie to ma znaczenie, kto nim kieruje? Co za różnica, kto pociąga za sznurki? Prędzej czy później trzeba przestać myśleć i zacząć być; przestać zamartwiać się złożonością i zmiennością życia i zacząć żyć. Nic nie jest pewne, nie ma ścieżki całkowicie bezpiecznej ani moralnie idealnej. Człowiek robi, co może, dla siebie i swoich bliskich i ma nadzieję, że taki zakres trosk i obowiązków zapewni zdrowie jego duszy. A jeśli nie... Cóż, nie było sensu zawracać sobie głowy taką perspektywą. Po co zadreć się wyrzutami sumienia w świecie, w którym nikt nie jest niewinny?

Ruszył dalej. Szedł stanowczym krokiem, uśmiechając się do przechodniów. Ukłonił się uprzejmie starszej pani zamiatającej schody przed domem, pogłaskał małego chłopca po głowie - i cały czas planował kampanię przeciw Lemosowi, wyobrażał go sobie w różnych stadiach życiowej ruiny, myślał o tym, jak to będzie, trzymać Mirielle w ramionach, błędził nieskrępowaną myślą po królestwie możliwości, wkładał sędziowską togę, wydawał bezstronne wyroki, sprawiedliwy i niewzruszony, emanujący niezmierną mądrością; widział się również na słonecznej werandzie dworku na Cyplu Aylera, na białym jachcie, w lśniącej sali balowej, w ociekających przepychem wnętrzach, wśród wiernych przyjaciół, pięknych kochanek oraz wrogów, których tajemnice przeniknął. Życie, które przez tyle lat było odległe jak nieosiągalny skarb, teraz otaczało go ze wszystkich stron i zamykało wokół niego, oszałamiając go intensywnymi woniami i pięknem widoków. Nieważne, pomyślał, kto rządzi światem - bo świat wcale nie smakuje przez to mniej słodko i nie staje się mniej przyjemny. Roześmiał się w głos i mrugnął do ślicznej dziewczyny, planując fałsz i zdradę. Wszystko to sprawiało mu radość.

Tak czy inaczej, uwolniony smok grasował swobodnie w Port Chantay.



CZŁOWIEK,  
KTÓRY POMALOWAŁ  
SMOKA GRIAULE'A

„Poza Kolekcją Sichel jedyne zachowane dzieła Cattanaya znajdują się w Galerii Muncypalnej w Regensburgu: jest to osiem obrazów olejnych, z których najsłynniejszy nosi tytuł *Pomarańczarka*. Zostały pokazane na studenckiej wystawie kilka tygodni po tym, jak ich autor wyjechał z rodzinnego miasta na południe, do Teocinte, by przedstawić ojcom miasta swoją propozycję. Mało prawdopodobne jest, by doszły go słuchy o tym, jaki los spotkał jego dzieła; najprawdopodobniej nie dowiedział się również, że krytyka przyjęła je dość obojętnie. Z punktu widzenia współczesnych krytyków najbardziej interesujący z całej grupy i najcelniej zapowiadający późniejszą sferę zainteresowań Cattanaya jest jego *Autoportret*, namalowany w wieku lat dwudziestu ośmiu, na rok przed opuszczeniem miasta.

Większość płótna wypełnia powleczone grubą warstwą werniksu czerń, w której rysują się słabo widoczne deski podłogi. W dwóch nieregularnych złotych plamach na ciemnym tle widzimy szczupłą twarz artysty i fragment jego okrytych koszulą barków - oglądamy je z góry, jakbyśmy zaglądali przez otwór w dachu, a malarz z zadartą głową patrzył wprost na nas, mrużąc oślepione światłem oczy. Usta wykrzywia mu grymas wyężonej koncentracji. Kiedy oglądałem obraz po raz pierwszy, uderzyło mnie emanujące z niego napięcie. Miałem wrażenie, że podglądam człowieka uwięzionego w półmroku zapieczętowanym dwiema sztabami złota, udręczonego niemożnością oglądania światła poza murami więzienia. Może była to reakcja historyka sztuki, a nie mniej wykształconego i przez to bardziej godnego zaufania bywalca galerii, ale wydało mi się również, że to uwięzienie jest dobrowolne i że artysta, gdyby chciał, z łatwością by się uwolnił. Mając jednak świadomość, że ograniczenie wolności jest niezbędnym paliwem jego artystycznej ambicji, sam spętał się uciążliwymi i całkowicie niedorzecznymi więzami obowiązkowej percepcji...”

- doktor Reade Holland,

*Meric Cattanay: Polityka rozumienia*

# 1

W roku 1853, w dalekim południowym kraju, w świecie oddzielnym od naszego tylko najcieńszym z możliwych marginesem możliwości, smok imieniem Griaule zawładnął doliną Carbonales - żyznym obszarem ze stolicą w Teocinte, słynącym z produkcji srebra, mahoni i indygo. Żył wówczas na świecie więcej smoków, w większości zamieszkujących skaliste wyspy na zachód od Patagonii, lecz były to stworzenia drażliwe i drobne - największe miały rozmiary jaskółki. Griaule natomiast był jedną z pradawnych bestii, pod których władaniem upływały całe epoki. Na przestrzeni wieków urósł tak bardzo, że mierzył siedemset pięćdziesiąt stóp w kłębie i sześć tysięcy stóp od czubka nosa do końca ogona. (Należy w tym miejscu zauważyć, że rosnącego cielska smoka nie zasilają kalorie przyjmowane w pożywieniu, lecz energia czerpana bezpośrednio z upływu czasu). Gdyby nie błędnie rzucone zaklęcie, byłby martwy od tysięcy lat. Czarownik, któremu powierzono zadanie zabicia Griaule'a, zdawał sobie sprawę, że magiczne skutki unicestwienia smoka stanowią śmiertelne zagrożenie także dla niego samego, i w ostatniej chwili lęk wziął w nim górę nad determinacją. Ta właśnie brakująca uncja odwagi sprawiła, że potencjalnie śmiercionośny czar nie okazał się zabójczy. Czarownik zniknął, a Griaule przeżył: jego serce stanęło, oddech zamarł, umysł jednak wrzał nieprzerwanie i emanował złowieszczymi wibracjami, zniewalającymi każdego, kto dostatecznie długo pozostawał w ich zasięgu.

Trudno jest zdefiniować, w jaki właściwie sposób przejawiała się ta dominacja Griaule'a. Ludzie z doliny składali swój posepny charakter na karb życia w psychicznym cieniu smoka, lecz przecież w okolicy nie brakowało wiosek i miast, które również pokazywały światu szorstkie oblicze, a nie miały smoka, na którego można by zrzucić za to odpowiedzialność. Mieszkańcy Carbonales wpływem Griaule'a tłumaczyli także swoje częste najazdy na sąsiednie ziemie - a czy i to nie było po prostu normalnym przejawem ludzkiej natury? Chyba najłatwiejszym do udowodnienia przejawem supremacji Griaule'a był fakt, że mimo wyznaczenia nagrody w postaci fortuny w srebrze dla śmiałka, który odważyłby się go zgładzić, nikomu się to nie udało. Przedstawiono setki planów, żadnego jednak nie zrealizowano - czy to z powodu ich niepraktyczności, czy też wskutek ogólnego marazmu. Archiwa Teocinte pękały w szwach od projektów gigantycznych mieczy parowych i innych niewiarygodnych machin, lecz wszyscy ich twórcy zasiedzieli się w końcu w dolinie i

dołączyli do jej wiecznie niezadowolonej populacji. Żyli sobie spokojnie, jedni przybywali, inni wyjeżdżali, ale zawsze wracali, nierozłącznie związani z Carbonales, aż do pewnego wiosennego dnia roku 1853, kiedy to Meric Cattanay zjawił się w Teocinte i zaproponował, żeby pomalować smoka.

Był szczupłym młodzieńcem z grzywą czarnych włosów i ściągniętą, wynędzniałą twarzą. Nosił luźne chłopskie spodnie i koszulę i gestykulował gwałtownie, gdy chciał podkreślić wagę swoich słów. Kiedy słuchał, oczy mu się rozszerzały, jakby nadmiar olśnień rozsadał mu umysł. Zdarzało mu się też bełkotać bez ładu i składu o „konceptualnej deklaracji śmierci przez sztukę”. Ojcowie miasta nie mogli oprzeć się wrażeniu, że Cattanay z nich drwi - choć nie mieli stuprocentowej pewności i dopuszczali możliwość, że po prostu taki ma styl bycia. Z pewnością nie zamierzali mu zaufać, ponieważ jednak przybył uzbrojony w masę schematów i wykresów, zmuszeni byli poważnie rozważyć jego słowa.

- Nie sądzę, żeby Griaule dostrzegł zagrożenie ze strony czegoś tak subtelnego, jak artystyczny proces twórczy - tłumaczył im Meric. - Będziemy działać tak, jakbyśmy zamierzali po prostu go pomalować, przyozdobić jego ciało wizjonerskim dziełem sztuki, a w istocie przez cały czas będziemy podtruwali go farbą.

Ojcowie miasta postanowili wyrazić w tym miejscu swoje niedowierzanie i Meric niecierpliwie czekał, aż umilkną. Traktował to spotkanie jak zło konieczne. Wazniacy ze skwaszonymi minami zasiedli przy długim stole; olbrzymia plama sadzy na ścianie nad ich głowami wyglądała jak emanacja ich wspólnych, paskudnych myśli. Przypominali mu członków Stowarzyszenia Kupców Winnych z Regensburga, którym kiedyś nie spodobał się namalowany przez niego grupowy portret.

- Farba potrafi być zabójcza - odezwał się, gdy szmer rozmów ścichł. - Weźmy na przykład taką zieleń werońską, otrzymywaną z tlenków chromu i baru: wystarczy się nią raz zaciągnąć, żeby zemdleć. Musimy jednak podejść do sprawy poważnie, stworzyć prawdziwe dzieło sztuki. Gdybyśmy po prostu zaczęli mu mazać farbą po skórze, mógłby przejrzeć nasz podstęp.

W pierwszym etapie, tłumaczył rajcom, należy zbudować rusztowanie, wyposażone w dźwigi i drabiny i oparte o zrogowaciałe płyty nadoczne smoka. W ten sposób uzyska się bezpośredni dostęp do kwadratowego wypłaszczenia czaszki za okiem, gdzie powstanie główna platforma ładunkowa i baza całej operacji. Według szacunkowych rachunków, dziewięćdziesięciu ludzi powinno zbudować ją w ciągu pięciu miesięcy, zużywając na to osiemdziesiąt jeden tysięcy stóp deskowych drewna. Ekipy naziemne, wspomagane przez chemików i geologów, miały rozpocząć poszukiwania pokładów wapienia (niezbędnego do

zagruntowania łusek) oraz źródeł barwników - zarówno organicznych, jak i mineralnych, takich jak lazuryt czy hematyt. Inne zespoły zajęłyby się oskrobaniem skóry smoka z glonów, złuszczonej skóry i innego materiału organicznego, a po ich usunięciu zaprawiłyby jej powierzchnię żywicą.

- Najłatwiej byłoby wyługować skórę wapnem, ale zatarlibyśmy wtedy powstałe z wiekiem zrogowacenia i przebarwienia, ja zaś uważam, że to one powinny nadawać kształt naszemu dziełu. Bez nich wszystko, co namalujemy, będzie przypominało najzwyczajniejszy tatuaż.

Musiały powstać zbiorniki na rudę, gniotowniki do oddzielania z niej barwników, młyny kulowe do rozdrabniania pigmentów na proszek, mieszarki łopatkowe do łączenia ich z olejem, kadzie warzelnicze oraz kalcynatory - piętnastostopowe piece do produkcji wapna gaszonego wchodzącego w skład utrwalaczy.

- Większość z nich wybudujemy na łbie smoka, żeby mieć do nich jak najłatwiejszy dostęp. Na płycie czołowo-ciemieniowej. - Meric zajął do notatek. - Z moich informacji wynika, że płyta ma trzysta pięćdziesiąt stóp szerokości. Zgadza się?

Ojcowie miasta byli w większości tak oszołomieni propozycją, że nie zareagowali. Tylko jeden skinął głową, a inny wykrztusił:

- Ile czasu trzeba będzie czekać, by umarł?

- Trudno powiedzieć - brzmiała odpowiedź Merica. - Nie wiemy, ile trucizny potrafi wchłonąć bez szkody dla zdrowia. Może się okazać, że wystarczy kilka lat. W najgorszym zaś wypadku, po upływie czterdziestu albo pięćdziesięciu lat przez łuski przesączy się dość chemikaliów, żeby osłabić szkielet. Wtedy cały smok zawali się jak spróchniała stodoła.

- Czterdzieści lat! - wykrzyknął ktoś. - To niedorzeczne!

- Albo pięćdziesiąt - powtórzył z uśmiechem Meric. - Mielibyśmy wtedy więcej czasu na dokończenie malowidła.

Podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na zbudowane z białego kamienia domy Teocinte. Przyszedł czas na najtrudniejszą część rozmowy, ale jeśli dobrze ocenił rajców, nie uwierzą w powodzenie planu, jeżeli wyda im się zbyt prosty. Musieli mieć świadomość, że coś poświęcają i że to poświęcenie tworzy szlachetną więź z wielkim dziełem.

- Jeżeli ten proces rzeczywiście potrwa cztery czy pięć dziesięcioleci, poważnie nadszarpnie wasze zasoby: drewno, minerały, zwierzęta... To dzieło pochłonie je w ogromnych ilościach. Wasze życie nieodwracalnie się zmieni. Zapewniam was jednak, że pozbędziecie się smoka.

Zebrani zareagowali hałaśliwym oburzeniem.

- Chcecie go zabić czy nie?! - wykrzyknął Meric. Oparł się pięściami o stół. - Od stuleci czekacie na kogoś, kto przyjdzie i odrąbie mu łeb albo wysadzi go w powietrze. To się nie stanie! Nie ma prostego rozwiązania, jest natomiast rozwiązanie praktyczne. Eleganckie. Do zniszczenia go wykorzystamy wytwory krainy, nad którą panuje. Nie będzie łatwo, ale się go pozbędziecie. A przecież o to wam właśnie chodzi, czyż nie?

Zapadła cisza. Rajcy spoglądali po sobie, a Meric wiedział już, że ich przekonał; uwierzyli, że potrafi to zrobić, i teraz zastanawiali się już tylko nad tym, czy koszt nie będzie zbyt wysoki.

- Potrzebuję pięćset uncji srebra, żeby opłacić inżynierów i rzemieślników. Dam wam kilka dni, przemyślcie to, a ja tymczasem obejrzę sobie tego waszego smoka, przyjrę się z bliska jego łuskom i w ogóle... Kiedy wrócę, powiecie mi, co postanowiliście.

Pomrukiwali, drapali się po głowach, ale w końcu zgodzili się przedłożyć całą kwestię społeczeństwu. Poprosili Merica o tydzień do namysłu i przydzielili mu przewodniczkę w osobie Jarcke, która była burmistrzem Hangtown. Miała zaprowadzić go do Griaule'a.

\* \* \*

Dolina ciągnęła się z północy na południe przez siedemdziesiąt mil, ograniczona porośniętymi dzunglą wzgórzami, których fałdziste stoki i skaliste grzebienie kazały ludziom przypuszczać, że śpią pod nimi ukryte potwory. Na jej dnie uprawiano banany, trzcinę cukrową i melony; trafiały się też kępy palm ostowych i gęste zarośla jagód, a także - z rzadka - olbrzymie figowce, niczym zadumani wartownicy pełniący straż nad mniejszymi krewniakami. Jarcke i Meric wyjechali za miasto, po półgodzinie spętałi konie i ruszyli pieszo łagodnym zboczem prowadzącym w szczybę między dwoma wzgórzami.

Spocony i zdyszany Meric musiał w jednej trzeciej drogi przystanąć i odpocząć, Jarcke zaś krok za krokiem brnęła dalej, nieświadoma faktu, że idzie sama. Z natury była boleśnie szczera, z wyglądu zaś przypominała beczkę na piwo o brunatnej, ogorzalej twarzy. Wyglądała na dobre dziesięć lat starszą od Merica, w rzeczywistości zaś była prawie w jego wieku. Ubrała się w szarą szatę spiętą skórzanym pasem, za który zatknęła cztery noże do rzucania. Przez ramię przewiesiła sobie zwój liny.

- Daleko jeszcze?! - zawołał Meric.

Odwróciła się, marszcząc brwi.

- Na razie stoimy mu na ogonie. Reszta jest za wzgórzem.

W brzuchu Merica rozkwitł kłujący, lodowaty dreszcz. Spuścił wzrok na trawę, jakby się spodziewał, że ta za chwilę się roztopi, odsłaniając lśniące łuski.

- Dlaczego zostawiliśmy konie? - zapytał.

- Nie lubio tu wchodzić. - Jarcke prychnęła z rozbawieniem. - Tak jak i większość ludzi, prawdę mówiąc.

I powlokła się dalej.

Dwadzieścia minut później znaleźli się na grzbiecie wzgórza, wysoko nad dnem doliny. Teren nadal się wznosił, ale już łagodniej. Powykręcane karłowate dęby wyrastały ponad zagajniki czeremchy, owady bzycały wśród traw. Można by pomyśleć, że idą szeroką na kilkaset stóp naturalną półką skalną, gdyby nie grube, krzywe, zielonkawoczarne kolumny wyrastające przed nimi w miejscu, gdzie grunt wznosił się bardziej stromo. Między kolumnami zwisały płyty skórzastej materii, upstrzone grudkami ziemi i usiane pleśnią jak brokatem. Przypominały zawaloną palisadę; otaczała je upiorna aura prastarych ruin.

- To skrzydła - powiedziała Jarcke. - W większości so zakryte, ale tu, przy skraju, wyłażo na wierzch. A niedaleko Wiszuncego Miasta so takie miejsca, gdzie można pod nie wejść. Chociaż nie radze.

- Chciałbym zobaczyć, jak jest za krawędzią - powiedział Meric, nie mogąc oderwać oczu od skrzydeł. Powierzchnie liści lśniły w słońcu, lecz zdawało się, że skrzydła pochłaniają światło, jakby ich wiek i obcość uniemożliwiały odbijanie go.

Jarcke wyszła na polanę, na którą padał zielony cień stłoczonych na obrzeżu dębów i drzewiastych paproci. Przywiązała jeden koniec liny do dębu, drugim opasała Merica.

- Szarpnie raz, kiedy bedzie chciał, żeby sie zatrzymać. Szarpnie drugi, to go wciągnę - powiedziała.

Merica szedł tyłem przez gąszcz, napinając wypuszczaną przez Jarcke linę. Paprocie łaskotały go w kark, liście dębu szorowały mu po policzkach, gdy nagle wynurzył się z gęstwiny i oślepiło go słońce. Spojrzawszy w dół, stwierdził, że opiera nogi o fałd smoczego skrzydła; patrząc w górę, zobaczył, jak skrzydło to znika pod okrywą ziemi i roślinności. Dał się opuścić jeszcze kilkanaście stóp, po czym szarpnął linę i spojrzał na północ wzdłuż krzywizny olbrzymiego cielska Griaule'a.

Wybrzuszone łuski miały kształt sześciokątów, średnicę trzydziestu stóp, grubość piętnastu i najczęściej zielonkawo-złoty kolor; niektóre były białawe i obwieszane skrawkami martwej skóry, inne porośnięte zielono - niebieskim mchem, jeszcze inne pokryte deseniami alg i porostów, które do złudzenia przypominały litery jakiegoś pokrętnego alfabetu. W szparach pomiędzy nimi gnieździły się ptaki, z węższych szczelin wyrastały paprocie, tysiącami kołyszące się na wietrze. Był to jeden wielki wiszący ogród, którego skala zaparła Mericowi dech w piersi. Wrażenie było takie, jakby oglądał zakrzywiającą się powierzchnię

skamieniałego księżycy. Od nagromadzonego w łuskach brzemienia stuleci zakręciło mu się w głowie. Stwierdził, że nie jest w stanie odwrócić głowy, panorama na dobre przykuła jego wzrok. Jego dusza kurczyła się w obliczu ponadczasowości i ogromu tej istoty, której skóry uczeplił się jak mucha. Nie był w stanie ogarnąć jej rozumem; Griaule był większy niż samo niebo, wytwarzał własną grawitację i całkiem rozsądne wydawało się założenie, że można by przejść po jego opadającym pionowo boku i nie spaść. Meric nawet próbował to zrobić, gdy Jarcke, która nagle napięcie liny zinterpretowała jako umówiony sygnał, zaczęła go wciągać na górę, wlec po skrzydło, po ziemi, przez paprocie, z powrotem na polanę. Tam padł u jej stóp, bez tchu, niezdolny wykrztusić słowa.

- Duży jest, nie? - Jarcke wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Kiedy Meric wreszcie się pozbierał i wstał, ruszyli krętą ścieżką w stronę Hangtown. Nie uszli nawet stu jardów przez gąszcz, gdy Jarcke wyszarpnęła zza pasa nóż i cisnęła nim w stworzenie wielkości szopa, które zniemacka wyskoczyło spomiędzy krzewów.

- Ty sykacz - wyjaśniła, klękawszy przy zwierzęciu. Wyciągnęła nóż tkwiący w jego szyi. - Tak się nazywają, bo strasznie syczą, jak biegno. Jędzo węże, ale jak człowiek nie uważa, mogą zjeść i dziecko.

Merik przyklękł obok niej. Ciało sykacza było porośnięte krótką czarną sierścią, łeb natomiast był nagi, trupio blady i pomarszczony jak po zbyt długim moczeniu w wodzie. Sykacz miał zmrużone oczy, płaski nos i nieproporcjonalnie wielką zuchwę, która przy otwarciu odsłaniała paskudne zębiska.

- Mieszkają na smoku - dodała Jarcke. - W pysku. - Przycisnęła od spodu łapę sykacza: wysunęły się haczykowato zakrzywione pazury. - Czai się taki pod wargi i poluje na inne zwierzęta, które się zapuszczają do środka. A jak się nic nie zapuści... - Nożem podważyła język zwierzęcia: był opatrzony zadziarami niczym pilnik. - Wtedy zlizują sobie kolacje z Griaule'a.

W Teocinte Meric wyrobił sobie proste wyobrażenie smoka: wielki jaszczur, w którym kołaczę się jeszcze resztką życia i tłą się strzępki rozumu. Dopiero teraz zaczął podejrzewać, że ta resztką i te strzępki są o wiele bardziej skomplikowane niż wszystko, co w życiu widział.

- Moja babka gadała, że stare smoki to potrafią doskoczyć do słońca i w mgnieniu oka wrócić do swojego świata, a kiedy wracają, przynoszą ze sobą sykacze i całą resztę. Mówiła też, że są nieśmiertelne. I że tylko młode do nas przylatują, bo potem rosną za duże, żeby latać na Ziemi. - Jarcke się skrzywiła. - Sama nie wiem, czy jej wierzyć.

- W takim razie jesteś głupia - powiedział Meric.



Jarcke spojrzała na niego pytająco, odruchowo sięgając po nóż.

- Jak możesz tu mieszkać i nie wierzyć?! - spytał Meric, dziwiąc się samemu sobie, że z takim zapalem broni mitu. - Na Boga, przecież to... - Zawiesił głos, widząc cień uśmiechu na twarzy Jarcke.

Zacmokała z wyraźną satysfakcją.

- Chodź. Przed zachodem słońca chce być przy oku.

\* \* \*

Segmenty złożonych skrzydeł Griaule'a, całkowicie porośnięte trawą, krzewami i karłowatymi drzewami, niczym dwa wzgórza o ostrych konturach wznosiły się nad Hangtown i wąskim jeziorem, nad którym rozpościerało się miasteczko. Jarcke twierdziła, że jezioro jest zasilane przez strumień wypływający ze wzgórza za smokiem; potem woda przeciekała przez błonę jego skrzydeł i spływała mu na bark. Pod skrzydłem jest przepięknie, tak powiedziała Mericowi: paprocie, wodospady... Ale mówiło się, że to złe miejsce.

Z daleka miasteczko wyglądało malowniczo - sielankowe domki, dymiące kominy... Jednakże, w miarę jak się do niego zbliżali, domki stopniowo zmieniały się w zdewastowane rudery z powybijanymi oknami i dziurami w ścianach. Na płycznach jeziora unosiły się brudne mydliny i rozmaite śmieci. Nie licząc paru mężczyzn, beczynnich przesiadujących na gankach, okolica była jak wymarła. Wiatr leniwie poruszał źdźbłami trawy, wśród ruder przemykały pająki, mięscina dusiła się w ospałej atmosferze rozkładu.

Jarcke sprawiała wrażenie zawstydzonej stanem miasteczka. Nie próbowała nikogo przedstawiać Mericowi, zatrzymała się tylko po to, żeby z jednej z ruder zabrać dodatkowy zwój liny, a kiedy szli pomiędzy skrzydłami, przez kostne wyrostki na karku smoka - las zielonozłotych szpikulców, lśniących w blasku zachodzącego słońca - wyjaśniła Mericowi, czemu mieszkańcy Hangtown zawdzięczają Griaule'owi życie. Medycy i wytwórcy talizmanów cenili sobie rosnące na jego grzbiecie zioła, podobnie jak skrawki złuszczonej skóry, a przedmioty pozostawione przez poprzednie pokolenia mieszkańców były gratką dla kolekcjonerów wszelkiej maści.

- So jeszcze poszukiwacze łusek - dodała z wyraźnym niesmakiem. - Henry Sichi z Port Chantay płaci grubszą kasę za kawałki łusek. To przynosi pecha, ale so tacy, co sie czasem odważo i odłupio jakieś luźniejsze łuski. - Zawiesiła głos, przeszła kilka kroków w milczeniu. - Ale niektórzy majo lepsze powody, żeby tu mieszkać.

Róg wyrastający Griaule'owi z czoła ponad ślepiami był u nasady kręty jak róg narwala i zakrzywił się w tył, ku skrzydłom. Jarcke umocowała dwie liny do zainstalowanych w nim śrub oczkowych, po czym jedną z nich przewiązała się w talii, a

drugą przepasała Merica. Kazała mu zaczekać, a sama zjechała kawałek w dół, asekurując się liną. Po chwili zawołała, żeby do niej dołączył. Znow zakręciło mu się w głowie przy zejściu. Daleko w dole mignęła pazurzasta łapa i omszałe kły sterczące z niewiarygodnie długiej szczęki, a potem zaczął obracać się na linie i objąć o łuski. Jarcke zgarnęła nadmiar liny i pomogła mu usiąść na górnej krawędzi oczodołu.

- Szlag by to... - mruknęła i tupnęła.

Uderzeniem nogi oddzieliła długi na trzy stopy fragment najbliższej łuski. Meric przyjrzał mu się z bliska i zobaczył, że choć kolorem i fakturą odłamek nie różni się od łuski, nie stanowi z nią jedności, gdyż oddziela go od niej cieniutka jak włos linia. Zdegustowana Jarcke tak długo kopała go i poszturchiwała nogą, aż odsunął się poza zasięg ciosu.

- Odłupek - wyjaśniła, kiedy Meric zapytał, co to takiego. - Taki insekt. Ma tako długo rure, które wciska między łuski i ssie krew.

Wyciągniętą ręką wskazała nieodległe miejsce, w którym stado ptaków krążyło nad jakimś punktem na boku Griaule'a. W tej samej chwili złoisty odłamek oderwał się od skóry gada i koziołkując, spadł na dno doliny.

- Ptaki je odrywają i zrzucają na dół, a kiedy taki odłupek pęka, wyzerają mu bebechy. - Przykucnęła obok Merica. - Naprawdę myśli, że mu się uda?

- Co, zabić smoka?

Jarcke pokiwała głową.

- Oczywiście - odparł i skłamał na oczekaniu: - Doskonaliłem tę metodę przez wiele lat.

- Chce cało farbę trzymać tu, na jego łbie, nie? A jak go będzie prznosił do miejsca, gdzie maluje?

- To żaden problem: przepompuje się ją rurami tam, gdzie akurat będzie potrzebna.

- Cwane - przyznała, znow kiwając głową, ale widząc, że Meric chce jej podziękować za komplement, dodała: - To nic nie znaczy. Samo cwaniactwo to betka; człowiek albo się z tym rodzi, albo nie. Tak jak jeden jest wysoki, a drugi niski.

I odwróciła się tyłem, uznając rozmowę za zakończoną.

Merica znużyło już trochę nieustanne zachwywanie się Griaule'em, ale nie mógł nic poradzić na to, że oglądane z bliska smocze oko zaparło mu dech w piersi. Według jego szacunków, musiało mieć siedemdziesiąt stóp długości i około pięćdziesięciu wysokości. Okrywała je matowa błona, lśniąca wilgotno i - o dziwo - zupełnie wolna od glonów i porostów, pod którą przesuwaly się czasem niewyraźne kolorowe plamy. Kiedy zachodzące słońce poczerwieniało i opadło między dwa odległe wzgórza, błona zaczęła drzeć, aż w końcu

rozpękła się pionowo na dwoje; z namaszczoną powolnością podnoszącej się kurtyny połówki membrany rozsunęły się, odsłaniając pałające żarem ciało szkliste. Meric - przerażony, że Griaule go zobaczy - zerwał się na równe nogi, ale Jarcke złapała go za rękę.

- Niech siedzi i patrzy - powiedziała.

Właściwie i tak nie miał wyboru: widok oka był hipnotyzujący. Źrenica była wąska i jednolicie czarna, za to materia wypełniająca gałkę oczną... Nigdy jeszcze nie widział tak ognistego błękitu, szkarłatu, złota. Nagle zrozumiał, że to, co z początku brał za przypadkowe błyski, dziwne refleksy zachodzącego słońca, to w rzeczywistości były ślady reakcji fotoelektrycznych. Czarodziejskie świetlne kręgi rozkwitały w głębi oka, rosły, jeżyły się kolcami, zalewały ciało szkliste, a potem blakły i znikały, natychmiast zastępowane przez kolejne. Meric czuł presję spojrzenia Griaule'a i nacisk wiekowego umysłu, który przenikał go na wylot - i jakby w odpowiedzi na ten napór, w jego mózgu wzbierały wspomnienia. Wyjątkowo wyraziste wspomnienia. Widok miski z wodą po płukaniu pędzli, która zamarzła w zimową noc - delikatny, kruchy kwiat brudnożółtej barwy; archipelag skórek pomarańczowych, które jego dziewczyna rozrzuciła na podłodze pracowni; wschód słońca na szczycie Jokenamu, kiedy szkicował regensburskie domy, pokryte śniegiem, powykrzywiane na wszystkie strony jak potrzaskane płyty bruku i oświetlone srebrnymi snopami światła zza ołowianych chmur. Tak jakby ktoś specjalnie podsuwał mu te sceny do obejrzenia. Po chwili zmyła je fala czegoś, co z pozoru również wyglądało na wspomnienie, lecz wydało się Mericowi kompletnie obce. Nurzał się w świetlistym krajobrazie. Dookoła rozkwitały słupy i wstęgi opalizującego ognia, w ogłuszającym ryku obraz rozmywał się w oślepiającej jasności, aż w końcu Meric znalazł się w rozpalonym do białości jądrze pieca, a serce wezbrało mu radością z odczuwanej siły i potęgi.

Zapadł zmierzch, nim zauważył, że oko się zamknęło. Siedział z rozdziawionymi ustami, językiem przyschniętym do podniebienia i obolałymi od patrzenia oczami. Jarcke siedziała obok niego, w cieniu, całkiem nieruchomo.

- To... - Musiał przełknąć zalegającą w gardle wydzielinę. - To dlatego tu mieszkasz, prawda?

- Po części. Kiedy tu przychodzę, widzę różne rzeczy: takie, których trzeba się bać, i takie, którym warto się lepiej przyjrzeć.

Jarcke wstała, podeszła do skraju oczodołu i splunęła za krawędź. Za jej plecami rozciągała się dolina - szara i nierzeczywista, z ledwie widocznymi w półmroku wzgórzami.

- Ciebie też widziałam. Wiedziałam, że przyjdiesz.

\* \* \*

Tydzień później, po długich oględzinach i wielu rozmowach, wrócili w dolinę, do Teocinte. Miasto wyglądało jak slumsy: powybijane okna, hasła wymalowane na ścianach, ulice zasłane szkłem, strzępami transparentów i psującymi się odpadkami. Zupełnie jakby przez ten tydzień mieszkańcy świętowali, a przy okazji stoczyli jakąś walną bitwę - co zresztą było zgodne z prawdą. Ojcowie miasta przyjęli Merica w ratuszu i poinformowali, że jego plan został zaakceptowany. Wręczyli mu skrzynię zawierającą pięćset uncji srebra i powiedzieli, że oddają do jego dyspozycji wszelkie zasoby, jakimi dysponuje społeczność doliny. Podstawili mu zaprzężony wóz, żeby miał jak przewieźć skrzynię ze srebrem do Regensburga, i spytali, czy pod jego nieobecność mogą zacząć jakieś prace przygotowawcze.

Merica zważył sztabę srebra w dłoni. Jej zimny blask był ucieleśnieniem jego pragnień: dwa, może nawet trzy lata zupełnej swobody; praca, którą naprawdę chciał wykonywać; wolność od przyjmowania nowych zleceń.

Nie było to jednak wcale takie proste. Zerknął na Jarcke: stała przy oknie i wyglądała na zewnątrz, zostawiając go samego z tą decyzją. Odłożył sztabę do skrzyni i zatrzasnął wieko.

- Poślijcie z nią kogoś innego - powiedział.

Rajcy spojrzeli po sobie z ukosa, a on wybuchnął śmiechem i śmiał się w głos z tego, z jaką łatwością wyzbył się marzeń i oczekiwań.

„(...) Od mojej poprzedniej wizyty w dolinie upłynęło jedenaście lat, a od rozpoczęcia pracy nad malowidłem - dwanaście. Byłem wstrząśnięty zmianami, jakie przez ten czas zaszły. Wiele wzgórz straszło brunatnymi, ogołoconymi z drzew stokami, rzucał się też w oczy brak dzikich zwierząt, ale oczywiście najbardziej zmienił się sam Griaule. Z jego grzbietu zwieszały się rusztowania, podwieszeni do pajęczyny lin rzemieślnicy roili się na jego boku, a wszystkie łuski przeznaczone do zamalowania zostały już albo pomalowane, albo przynajmniej zagruntowane. Na wieży wznoszącej się na wysokość smoczego ślepiea kłębili się robotnicy. Nocami z ustawionych na łbie Griaule'a kalcynatorów i kadzi płomienie buchały pod niebo; można by pomyśleć, że gdzieś tam, wśród chmur, znajduje się olbrzymie hutnicze miasto. U stóp smoka przycupnęła nędzna miejscina zamieszkała przez prostytutki, robotników, hazardystów i nicponiów wszelkiej maści. Mieszkali w niej również żołnierze - wysoki koszt przedsięwzięcia pchnął rajców miejskich Teocinte do sformowania sił milicyjnych, które nie tylko regularnie plądrowały sąsiednie państewka, ale w niektórych z nich utrzymywały nawet stałe garnizony okupacyjne. Stada przerażonych zwierząt kłębiły się w zagrodach przed ubojniami, czekając na przerobienie na oleje i barwniki. Wozy pełne rud i warzyw turkotały po uliczkach. Sam przywiozłem do miasta ładunek korzenia marzanowca, z którego zamierzali pozyskać różowy pigment.

Nielatwo było się umówić na spotkanie z Cattanayem. Nie zajmował się wprawdzie osobiście malowaniem, ale czas w biurze wypełniały mu konsultacje z rzemieślnikami i inżynierami oraz rozwiązywanie problemów natury logistycznej. Kiedy wreszcie udało mi się z nim zobaczyć, odkryłem, że zmienił się równie mocno jak sam Griaule. Włosy mu posiwiały, twarz poźłobiły głębokie bruzdy, a na prawym ramieniu, w połowie długości, pojawiło się niekształtne wybrzuszenie, pozostałość po upadku i złamaniu. Rozbawiła go moja propozycja - chciałem nabyć malowidło, zabrać (po śmierci Griaule'a) tworzące je łuski; chyba nie potraktował mnie poważnie. Na szczęście, nieodstępująca go na krok Jarcke wyjaśniła mu, że jestem szanowanym biznesmenem i że kupiłem już kości i zęby smoka, a nawet ziemię spod jego brzucha (którą zresztą później sprzedałem jako proszek o magicznych właściwościach).

- Cóż... - mruknął Cattanay. - I tak do kogoś musiałyby trafić.

Wysliśmy na dwór, żeby obejrzeć malowidło.

- Nie będzie pan rozdzielał łusek? - zapytał.

- Nie - zapewniłem go.

- Jak tylko dostanę to na piśmie, obraz będzie pański.

Słyszając to, osłupiałem, ponieważ spodziewałem się raczej długich i zajadłych targów.

W jeszcze większe osłupienie wprawiły mnie jednak dalsze słowa Cattanaya:

- Uważa pan, że jest coś wart?

Nie uważał malowidła za wytwór swojej wyobraźni. Wolał myśleć, że tylko iluminuje kształty naturalnie występujące na skórze Griaule'a, i wyznawał pogląd, że ponieważ po nałożeniu farby wykształcają się pod nią nowe formy, dzieło wymaga nieustannych zmian i poprawek. Stawiał się raczej w roli rzemieślnika niż artysty. Jego pytanie było jednak całkowicie uzasadnione, gdyż w tym okresie ludzie zaczęli z wolna zjeżdżać się z całego świata, żeby podziwiać obraz. Niektórzy twierdzili, że na lśniącej powierzchni smoczej skóry dostrzegają wizje swojej przyszłości; inni na jej widok doświadczali przeistoczenia i stawali się innymi ludźmi; jeszcze inni - ci, którzy sami uważali się za artystów - usiłowali przenieść wizję Cattanaya na własne płótna, licząc na to, że wyrobią sobie opinię przynajmniej zdolnych kopistów. Obraz był niefiguracywny - ot, połać bladozłotego koloru rozpościerająca się na boku smoczego cielska, za to spod tej gładkiej powierzchni przeświecały miriady opalizujących plam, z których - w miarę jak słońce przesunęło się po niebie, a światło dnia rozkwitało i bladło - materializowały się niezliczone kształty i sylwetki, pozostające w nieustannym ruchu. Nie będę nawet próbował ich opisać, ich różnorodności bowiem nie było końca; były tak samo zróżnicowane, jak okoliczności, w jakich je oglądano. Powiem tylko, że rankiem tego dnia, kiedy spotkałem się z Cattanayem, ja sam (uosobienie pragmatyzmu, pozbawione najmniejszej krzty wizjonerstwa) czułem, że obraz mnie wciąga i zanurzam się w mrowiu świetlnych kształtów i tęczy sieci wytyczających mi drogę po krawędziach chmur, że pędzę wśród świetlistych kul, wirów i kół żywego ognia...".

- Henry Sichi,

*Cała ta sprawa Griaule'a*

Odkąd Meric przybył do doliny, przez jego życie przewinęło się kilkanaście kobiet. Większość zwabiła jego sława i otaczająca smoka aura tajemniczości - i większość z tych samych powodów go opuszczała, gdy poczuły się onieśmiałe i niedocenione. Lise była inna z dwóch powodów: po pierwsze, dlatego że naprawdę szczerze pokochała Merica, a po drugie, dlatego że była żoną (choć nieszczęśliwą) człowieka nazwiskiem Pardiell, brygadzysty ekipy od kalcynatorów. Nie kochała go tak, jak Merica, ale darzyła go szacunkiem i czuła się zobowiązana do przemyślenia wszystkich za i przeciw, zanim postanowi zakończyć ten związek. Meric nie znał drugiej tak introspektywnej duszy. Lise była o dwanaście lat młodsza od niego, wysoka i śliczna; miała włosy barwy słońca i piwne oczy, które ciemniały i zwracały się do wewnątrz, kiedy się zamyśliła. Miała zwyczaj analizować dosłownie wszystko, co jej dotyczyło; odcinała się od swoich emocji i poddawała je oględzinom z bezpiecznej odległości, niczym rój tajemniczych insektów, które rozpełzły się po jej sukience. Mimo że ta skłonność do autoanalizy nie pozwalała się jej zbliżyć do Merica, on sam ku swojemu zaskoczeniu postrzegał ją jako zaletę - cierpiał na klasyczny zespół objawów miłosnych, który przesłaniał mu wszystkie wady ukochanej. Przez prawie rok byli najszczęśliwsi na świecie; wyprawiali się na długie spacerunki i rozmawiali bez końca, kiedy zaś Pardiell musiał więcej pracować i sypiał w sąsiedztwie swoich pieców, spotykali się nocami i kochali w przepastnych przestrzeniach pod skrzydłem smoka.

Te okolice nadal cieszyły się złą sławą. Powiadano, że żyje tam bestia stokroć gorsza od sykaczy i odłupków, którą obarczano winą za wszystkie zaginięcia, nawet kiedy bez wieści przepadali najwięksi malkontenci wśród robotników. Meric nie wierzył w te plotki. Prawie, prawie wmówił sobie, że Griaule wybrał go na swojego kata i nie pozwoli go skrzywdzić. Poza tym było to jedyne miejsce zapewniające odrobinę prywatności.

W dół, pod skrzydło, prowadziły toporne stopnie wykute w smoczej skórze - z całą pewnością dzieło poszukiwaczy łusek. Zdradziecka ścieżka biegła sześćset stóp nad dnem doliny, ale Lise i Meric ubezpieczali się linami, a z biegiem czasu, gnani siłą namiętności, po prostu się przyzwyczaili. Ich ulubione miejsce znajdowało się pięćdziesiąt stóp od skraju cienia pod skrzydłem (Lise zresztą nie chciała głębiej wchodzić - Meric mógł nie czuć lęku, ale ona nadal się bała), przy wodospadzie ściekającym po skórzastych fałdach błony, która

mieniła się w wodzie jak klejnot. Miejsce było niezmiernie piękne, jak nawiedzona galeria w teatrze. Strzępy martwej skóry zwisały się z cienia jak poszarpane welony ektoplazmy. Na kościach skrzydeł, grubszych niż kolumny wspierające strop katedry, rosły paprocie. Jaskółki krążyły w czarnym powietrzu. Czasem, kiedy leżeli ukryci bezpiecznie w zgięciu skrzydła, Meric dochodził do wniosku, że to bicie ich serc ożywia to miejsce i że z chwilą, gdy odchodzą, woda przestaje płynąć, a jaskółki znikają. Niezłomnie wierzył, że łączące ich uczucie ma moc zmieniania świata.

Pewnego ranka, kiedy ubierali się i szykowali do powrotu do Hangtown, zaproponował Lise, żeby z nim uciekła.

- Ale dokąd? W inną część doliny? - Zaśmiała się. - Co by nam to dało? Pardieli poszedłby za nami.

- Nie - odparł Meric. - Do innego kraju. Gdziekolwiek, byle daleko stąd.

- Nie możemy - odparła Lise. Kopnęła w skrzydło. - Musimy poczekać, aż Griaule umrze, zapomniałeś?

- Nawet nie spróbowaliśmy.

- Ale inni próbowali.

- My będziemy silniejsi, ja to wiem!

- Romantyk z ciebie - mruknęła smętnie i spojrzała ponad bokiem smoka w dół, w dolinę.

Wschodzące słońce oblewało wzgórza szkarłatem, nawet czubki skrzydeł Griaule'a jarzyły się matową czerwienią.

- Pewnie, że romantyk! - Meric wstał. Był wściekły. - Co w tym złego, do diabła?

Lise westchnęła z irytacją.

- Nie zostawiłbyś swojej pracy. Zresztą, gdybyśmy odeszli, czym byś się zajął? Czy...

- Czy ty musisz tworzyć problemy?! Mógłbym tatuować słonie! Malowałbym murale na piersiach olbrzymów! Iluminowałbym wieloryby! Nikt nie ma takich kwalifikacji jak ja!

Lise się uśmiechnęła. Złość Merica rozviała się jak mgła.

- Nie o to mi chodziło - wyjaśniła. - Zastanawiam się, czy cokolwiek innego sprawiłoby ci taką satysfakcję, jak to, co robisz teraz.

Podawała mu rękę, a on przyciągnął Lise do siebie i wziął w ramiona. Tuląc ją do piersi i napawając się wonią jej skropionych olejkiem waniliowym włosów, ujrzał nagle w dolinie małą ludzką sylwetkę. Wydała mu się nierzeczywista, jakby zobaczył czarnego homunkulusa, i nawet kiedy zaczęła się zbliżać i rosnąć w oczach, bardziej niż człowieka przypominała dziurkę od klucza, otwierającą się w pomalowanym na czerwono zboczu



wzgórza. Poznał jednak - po rozkołysanym chodzie i szerokich barach - że widzi Pardiela, i to uzbrojonego w hak na długiej rączce, jakiego rzemieślnicy używali do przemieszczania się wśród łusek.

Zmartwiały. Lise obejrzała się przez ramię, zaciekawiona, co go tak zaniepokoiło.

- O mój Boże... - szepnęła, uwalniając się z jego uścisku.

Pardiel zatrzymał się w odległości kilkunastu stóp od nich. Milczał. Jego twarz skrywał cień, hak kołysał mu się leniwie w dłoni. Lise zrobiła krok w jego stronę, ale zaraz potem cofnęła się do Merica, jakby chciała go osłonić. Na ten widok Pardiel wydał nieartykułowany okrzyk i rzucił się naprzód, biorąc zamach hakiem.

Meric odepchnął Lise w bok i zrobił unik. Poczł siarkowy odór kalcynatorów, gdy Pardiel minął go i wyciągnął się jak długi, potknąwszy się o występ na powierzchni łuski. Śmiertelnie przerażony Meric, wiedząc, że nie ma szans w pojedynku z robotnikiem, złapał Lise za rękę i razem wbiegli głębiej pod skrzydło. Miał nadzieję, że Pardiel wystraszy się bestii, która miała zamieszkiwać te ostępy, i nie będzie ich gonił - ale się pomylił. Brygadzysta ruszył za nimi miarowym krokiem, uderzając hakiem w udo.

Wyżej, bliżej grzbietu Griaule'a, błona skrzydła była w wielu miejscach zapadnięta pod ciężarem narośli, przez co tworzyła istny labirynt komór i korytarzy, w dodatku tak nisko sklepionych, że co rusz musieli poruszać się w kucki. Ciasne przestrzenie zwielokrotniały ich ciężkie oddechy i szuranie stóp, i wkrótce Meric przestał słyszeć kroki Pardiela. Nigdy wcześniej nie zapuścił się tak głęboko. Spodziewał się, że będzie tu ciemno choć oko wykol, ale oblepiające skrzydło fluorescencyjne glony i porosty upstrzyły wszystkie powierzchnie, nawet łuski pod stopami uciekinierów, spiralkami zielonego i niebieskiego ognia emanującymi słabą poświatą. Czuli się jak olbrzymi czołgający się przez wszechświat, którego gwiazdna materia nie zgęstniała jeszcze w galaktyki i mgławice. W bladej poświacie, na zalanej łzami twarzy Lise (widocznej w tych chwilach, gdy odwracała się do Merica) malowała się rozpacz - do momentu, gdy, znalazłszy się w jednej z wyższych komór, Lise wyprostowała się i wrzasnęła z przerażenia.

W pierwszej chwili Meric pomyślał, że Pardiel zdołał ich jakoś wyprzedzić. Kiedy jednak sam wszedł do środka, stwierdził, że Lise przestraszyła się mężczyzny siedzącego pod ścianą naprzeciw wejścia. Wyglądał jak zmumifikowany. Na głowie zachowały się resztki rzadkich włosów, kości przezierały przez skórę, zamiast oczu ziały dwie puste dziury. Między nogami, gdzie kiedyś musiały się znajdować genitalia, została kupka proszku.

Meric popchnął Lise w głąb następnego tunelu, ona jednak stawiała mu opór i wyciągnęła rękę przed siebie.

- Jego oczy... - wykrztusiła.

W oczach mężczyzny, które na pierwszy rzut oka wydawały się absolutnie czarne, Meric nagle dostrzegł opalizujące rozbłyski. Poczuł, że musi przy nim uklęknąć; nagły, niczym nieuzasadniony przymus chwycił go w swoje szpony, nagiął do swej woli - i sekundę później puścił wolno. Oparłszy się dłonią o łuskę, Meric musnął ciężki, masywny pierścień spoczywający pod podkurczonymi palcami mumii. Wprawiony w niego kamień był smoliście czarny, pocięty błyskami identycznymi jak w oczach trupa i przyozdobiony rżniętą literą S. Meric zwrócił uwagę, że coś odciąga jego wzrok od oczu nieznajomego i kamienia w pierścieniu, jakby były naładowane ładunkiem odpychającym zmysły. Dotknął zaszuszonej ręki. Ciało było twarde jak skała, skamieniałe - ale żywe. Na mgnienie oka uzyskał wgląd w życie tego mężczyzny, zrozumiał, jakie to uczucie, przez stulecia wpatrywać się stale w ten sam wycinek nieziemskiego ognia; pojął, co czuje umysł, który wykroczył poza ramy szaleństwa i rozplątał się w perwersyjnym uniesieniu, pogrążony w rozważaniu jakichś odrażających praw.

Z odrazą cofnął dłoń.

Wzdrygnął się, słysząc jakiś dźwięk za plecami. Pchnął Lise w głąb tunelu.

- Idź w prawo - polecił jej szeptem. - Zatoczmy krąg i wrócimy do stopni.

Pardiel był już jednak zbyt blisko, żeby dać się zwieść taką prostą sztuczką, i dyskretna ucieczka przerodziła się we wściekły pościg. Szamotali się, potykali, przewracali, Mericowi kilka razy mignęła usmolona dymem twarz Pardiela, aż w końcu - znalazłszy się w jednej z większych komór - poczuł, jak hak wgrzyza mu się w udo. Upadł, łapiąc się za nogę. Udało mu się wyrwać hak i w następnej chwili Pardiel runął na niego. Nad ramieniem napastnika Meric zobaczył Lise, ale Pardiel odtrącił ją w bok, złapał Merica za włosy i wyrznął jego głowę o łuskę. Lise wrzasnęła. Białe światło eksplodowało Mericowi pod czaszką. Pardiel uderzył ponownie. I jeszcze raz. Jak przez mgłę Meric zobaczył Lise szarpiącą się z mężem, który odepchnął ją i wzniósł hak do ciosu, gdy nagle wykrzywiający mu twarz okrutny grymas zniknął, usta otworzyły się szeroko i Pardiel sięgnął ręką za plecy, jakby chciał się podrapać po łopatce. Strużka ciemnej krwi pociekła mu z ust, kiedy osunął się na Merica, przygniatając go i dusząc swoim ciężarem. Meric słyszał głosy. Próbując zrzucić z siebie ciało Pardiela, zużył resztki siły. Zakreśliło mu się w głowie i wirując, poleciał w czerni, równie otchłanną i niezgłębianą jak oczy skamieniałego mężczyzny.

\* \* \*

Ktoś położył sobie jego głowę na kolanach i przemywał mu czoło zwilżoną szmatką. Przypuszczał, że to Lise, ale kiedy spytał, co się stało, odpowiedziała mu Jarcke:

- Żem go musiała zabić.

Głowa pulsowała mu bólem, noga rwała go jeszcze bardziej, nie mógł zogniskować wzroku. Miał wrażenie, że zwieszające się nad nim strzępki martwej skóry wiją się konwulsyjnie. Domyślił się, że leży na zewnątrz, blisko krawędzi skrzydła.

- Gdzie Lise?

- Niech się nie martwi, jeszcze się spotkacie.

- Ale gdzie ona jest?

- Odesłałam ją do Wiszuncego Miasta. Źle by to wyglądało, gdyby kto zobaczył, jak trzymacie się za rączki w tym samym dniu, co Pardiela zniknął.

- Nie odeszłaby... - Meric zamrugał, usiłując skupić wzrok na twarzy Jarcke. Głębokie bruzdy wokół jej ust przypominały mu linie porostów na łusce smoka. - Co zrobiłaś?

- Przekonałam ją, że tak będzie najlepiej. Nie widzi, że ona się tobo bawi?

- Muszę z nią porozmawiać.

Miał okropne wyrzuty sumienia, poza tym nie mógł znieść myśli, że Lisa została sama ze swoją żalobą. Kiedy jednak próbował wstać, ostrze bólu przeszło mu nogę.

- Dziesięciu stóp by nie uszedł - powiedziała Jarcke. - Jak się trochę otrząśnie, pomoże mu i zejdzie po schodach.

Merik zamknął oczy. Postanowił odszukać Lise natychmiast po powrocie do Hangtown; potem razem postanowią, co dalej. Łuska, na której leżał, była zimna. Jej chłód przeniósł się na jego skórę i w głąb ciała, jakby jednoczył się z nią i stawał jednym z wyrostków na jej powierzchni.

- Jak się nazywał tamten czarownik? - zapytał po chwili, przypomniawszy sobie skamieniałego człowieka, pierścień i wrytą w kamieniu literę. - Ten, który usiłował zabić Griaule'a...

- Nie wiem. Chyba nigdy żem nie wiedziała. Ale tak sobie myślę, że to chyba on.

- Widziałaś go?

- Kiedyś żem go miała poszukiwacza łusek, który podprowadził mi line. No i żem jego znalazła. Nie wiem, kto to, ale żał mi go.

Jarcke powiodła palcami po ramieniu Merica w delikatnym, czułym geście. Wtedy się nie zorientował, co ten gest może oznaczać; martwił się o Lise, pochłaniały go przerażające możliwe konsekwencje niezwykłego odkrycia. Dopiero po latach, kiedy sprawy zaszły za daleko, przeklinał się w duchu za swoją tępotę.

Po jakimś czasie pomogła mu wstać i razem zeszli do Hangtown, jego żalów i gorzkich prawd, porzuciwszy Pardiela na pastwę ptaków, pogody i innych, gorszych rzeczy.

„(...) Uważa się powszechnie, że zakochana kobieta postępuje wbrew nakazom religijnym, gdy waha się i zbyt długo analizuje sytuację, zamiast ślepo słuchać swoich odruchów i emocji. Sama na sobie doświadczyłam nagminności tego poglądu: ludzie obwiniali mnie o to, że nie zadziałalam szybko i zdecydowanie - bez względu na to, jakie działanie miałabym podjąć. Może rzeczywiście byłam nazbyt ostrożna. Nie twierdzę, że jestem całkowicie niewinna; nie poczuwam się tylko do świętokradztwa. Przypuszczam, że w końcu odeszłabym chyba od Pardiela, nasz związek nie był dość intensywny, żeby którekolwiek z nas mogło w nim być szczęśliwe, miałam jednak dobre powody, żeby nie podejmować pochopnej decyzji. Mój mąż nie był złym człowiekiem i obowiązywała nas wzajemna lojalność.

Po śmierci Pardiela nie byłam w stanie spojrzeć Mericowi w twarz. Przeprowadziłam się do innej części doliny. Wielokrotnie zabiegał o spotkanie ze mną, lecz zawsze odmawiałam. Kusiło mnie, ale wyrzuty sumienia były silniejsze. Kiedy cztery lata później Jarcke zginęła pod kołami wozu, jedna z jej współpracownic napisała do mnie list, z którego wynikało, że Jarcke kochała się w Mericu i że to ona doniosła Pardielowi o naszym romansie, a także - najprawdopodobniej - ukartowała to morderstwo. Ten list przyniósł mi pewną ulgę i zaczęłam się zastanawiać, czy nie zacząć się znów spotykać z Merikiem. Minęło jednak zbyt wiele czasu, nasze ścieżki się rozeszły... Postanowiłam tego nie robić. Po kolejnych sześciu latach, kiedy wpływ Griaule'a osłabł na tyle, że emigracja stała się możliwa, przeprowadziłam się do Port Chantay. Przez następne dwadzieścia lat Meric nie dawał znaku życia, aż nagle pewnego dnia dostałam od niego list, którego fragment w tym miejscu zacytuję:

»(...) przed kilku laty sprowadził się do nas Louis Dardano, mój stary znajomy z Regensburga. Pisze moją biografię. Ma lekkie pióro; kiedy się go czyta, człowiek mógłby pomyśleć, że słucha opowieści snutej przy stole w gospodzie, co - jeśli pamiętasz, jak opowiadałem ci o początkach tej historii - jest nadzwyczaj stosowne. Kiedy jednak się w nią wczytam, zdumiewa mnie, że moje życie było takie proste. Jedno zadanie. Jedna pasja. Na Boga, Lise, mam siedemdziesiąt lat i wciąż śnię o tobie! Często też myślę o tym, co się wydarzyło tamtego ranka pod skrzydłem. Dziwne, że potrzebowałam aż tyle czasu, żeby zrozumieć, że to nie Jarcke była temu winna, nie ty i nie ja, lecz Griaule. Jakież to mi się teraz wydaje oczywiste! Nosilem się z zamiarem odejścia, a on chciał, żebym dokończył dzieło sztuki powstające na jego boku, wyraził jego sen o lataniu, jego marzenie o ucieczce; chciał, żebym uśmiercił jego pragnienie. Z pewnością pomyślisz, że pochopnie wyciągam wnioski, nie zapominaj jednak, że ta pochopność zajęła mi czterdzieści lat. Znam Griaule'a, jestem

świadomy ogromu jego subtelności; dostrzegam ją w działaniu, we wszystkim, co wydarzyło się w dolinie od czasu mojego przybycia. Byłem głupcem, nie rozumiejąc, że to jego moc zdecydowała o naszym smutnym rozstaniu.

Teraz rządzi u nas wojsko, o czym zresztą z pewnością wiesz. Mówi się o planowanej kampanii zimowej przeciwko Regensburgowi. Coś podobnego! Ich ojcowie byli ograniczeni, ale obecne pokolenie jest po prostu bezdennie głupie! Poza tym, u mnie wszystko w porządku: praca idzie mi dobrze, większych zmian w moim życiu nie ma. Ramię mnie boli, dzieci oglądają się za mną na ulicy, ludzie szepczą, że jestem obłąkany...«”.

- Lise Claverie,

*Pod skrzydłem Griaule'a.*

### 3

Szczupły, arogancki, dziobaty i kulejący major Hauk był młodym człowiekiem. Gdy Meric wszedł, akurat ćwiczył swój podpis - zamaszystą sygnaturę złożoną z licznych pętli i zawijasów, bez wątpienia mającą przetrwać stulecia. Kiedy później, podczas rozmowy, przechadzał się po pokoju, często przystawał, żeby podziwiać swoje odbicie w oknie, poprawić poły czerwonej kurtki albo przeciągnąć palcami po zaprasowanym kancie białych spodni. Tak wyglądał nowy model munduru, który Meric pierwszy raz oglądał z bliska, z rozbawieniem odnotowując tłoczony na epoletach wizerunek smoka. Zastanawiał się, czy Griaule doceniłby taką ironię. Czy jego wpływ był dostatecznie dyskretny, by niepostrzeżenie zaszcześcić w umyśle jakiejś generalskiej żony ideę tego komicznie operowego ryszunku?

- ...nie jest kwestią stanu liczebnego wojska, lecz... - Major zawiesił głos. Odchrząknął.

Merice, wpatrzony dotąd w plamy na wierzchu swoich dłoni, podniósł wzrok. Laska, którą trzymał opartą o kolano, zsunęła się i zaklekotała na podłodze.

- ...kwestią *matériel* - dokończył stanowczym tonem major. - Na przykład, cena antymonu...

- Prawie go nie używam - przerwał mu Meric. - Nie potrzebuję już mineralnych czerwieni.

Na twarzy majora odmalowało się zniecierpliwienie.

- Świetnie. - Pochylił się nad biurkiem i zaczął przekładać papiery. - Następna rzecz: rachunek za ładunek mątw, z których pozyskuje pan...

- Brąz syryjski - odparł szorstko Meric. - Też już zbędny. Potrzebne mi są złoto i fiolet, do tego odrobina błękitu i różu.

Miał nadzieję, że Hauk da mu w końcu spokój. Nie chciał się spóźnić na zachód słońca przy oku.

Major kontynuował jednak swoją wyliczankę i wzrok Merica zbłądził za okno. Otaczające Griaule'a slumsy dawno rozrosły się jak miasto i rozlały po okolicznych wzgórzach. Większość budynków przebudowano w drewnie i kamieniu, nadając im trwały charakter. Strome dachy i dym snujący się znad ulokowanych na obrzeżach fabryk przypominały Regensburg. Malowidło wchłonęło całe naturalne piękno doliny. Na wschodzie

zbierały się szaroczarne deszczowe chmury, ale popołudniowe słońce świeciło jeszcze jasno, zalewając bok Griaule'a gęstą złotą poświatą. Wyglądało to tak, jakby promienie słoneczne stanowiły przedłużenie lśniących żywic, przez co grubość warstwy farby wydawała się nieskończona.

Głos wojskowego ścichł do nieszkodliwego brzęczenia w uszach Merica, który dał się uwieść olśniewającej, rozproszonej wizji - do chwili, w której dotarło do niego, że Hauk wypytuje go o możliwość zakończenia pracy.

W pierwszym odruchu spanikował - próbował przerwać rozmówcy, zaproponować, ale major nie dał się zagłuszyć i po chwili refleksji opór Merica osłabł. Malowidło nigdy nie będzie skończone, a on czuł się już zmęczony. Może rzeczywiście należało zakończyć dzieło, objąć katedrę gdzieś na jakimś uniwersytecie i trochę nacieszyć się życiem.

- Rozważamy czasowe wstrzymanie robót - ciągnął major Hauk. - Potem, jeżeli kampania zimowa się powiedzie... - Uśmiechnął się. - I jeżeli nie nawiedzi nas żadna zaraza ani plaga, uznamy, że wszystko jest pod kontrolą. Ale, rzecz jasna, interesuje nas pańskie zdanie na ten temat.

Meric poczuł nagły przyływ nienawiści do tego małego, zarozumiałego potworka.

- Moim zdaniem, jesteście idiotami - orzekł. - Nosicie wizerunek Griaule'a na mundurach, wyszywacie go na sztandarach, a przy tym nie macie zielonego pojęcia, co to naprawdę oznacza! Dla was to po prostu użyteczny symbol...

- Pan wybaczy... - wtrącił oschle major.

- Nie, nie wybaczę! - Meric sięgnął po omacku po laskę i wstał. - Uważacie się za zdobywców. Myślicie, że kształtujecie przeznaczenie. Tymczasem wszystkie te wasze rzezie i gwałty to przejawy mocy Griaule'a! Wyraz jego woli! Pasożytujecie na nim tak samo jak sykacze.

Major usiadł, wziął do ręki pióro i zaczął pisać.

- Nie przestaje mnie zdumiewać - ciągnął Meric - jak możecie żyć tuż obok cudu, obok źródła tajemnicy, i traktować je jak dziwnie uformowany kawałek kamienia.

Major pisał.

- Co pan robi? - zainteresował się Meric.

- Wydaję zalecenie - odparł Hauk, nie podnosząc wzroku.

- Jakiej treści?

- Każę natychmiast wstrzymać prace.

Wymienili wrogie spojrzenia. Meric okręcił się na pięcie i podszedł do drzwi. Kiedy jednak sięgnął do klamki, major przemówił ponownie.

- Jesteśmy pańskimi dłużnikami - powiedział.

Wyraz jego twarzy, na której politowanie mieszało się z szacunkiem, dodatkowo rozszerzył Merica.

- Ilu ludzi pan zabił, majorze? - spytał, otwierając drzwi.

- Nie jestem pewien... Służyłem w artylerii, tam zawsze trudno to określić.

- Ja dokładnie wiem, ilu zginęło przeze mnie. Umierali przez czterdzieści lat: piętnaście tysięcy dziewięćdziesięcioro troje mężczyzn i kobiet - zatrucia, poparzenia, śmiertelne upadki, ataki zwierząt. Morderstwa. Proponuję przyjąć, że wyrównaliśmy rachunki.

\* \* \*

Dzień był gorący i parny, ale wracając do wieży, Meric marzył - przenikał go wewnętrzny chłód, od którego kręciło mu się w głowie i nogi się pod nim uginały. Zastanawiał się, co dalej. Im bardziej oddalał się od kancelarii majora, tym mniej atrakcyjna wydawała mu się posada akademicka; szybko znudziliby mu się pełni uwielbienia studenci i dogłębne analizy jego dzieł dokonywane przez zazdrosnych kolegów po fachu.

Na bazarze pozdrowił go jakiś mężczyzna. Meric pomachał mu w odpowiedzi, ale się nie zatrzymał.

- Ten Cattanay? - usłyszał głos innego mężczyzny.

(Ten obszarpany wrak człowieka?).

Kolory bazaru były zbyt jaskrawe, zapach gotowanego na węglu drzewnym jedzenia zbyt duszący, tłum zbyt gęsty. Skręcił w stronę bocznych uliczek, kuśtykając obok jednoizbowych tyklowanych domków i maleńkich sklepików, w których sprzedawano olej spożywczy na uncje i przecinano cygara na pół, jeśli klienta nie było stać na całe. Odpadki, tornada kurzu i much, pijacy o zakrwawionych ustach. Ktoś obwiązał drutem bezpańską sukę o obwisłych sutkach. Drut werznął się w ciało i suka leżała nieruchomo u wylotu zaułka, dysząc ciężko, z różową pianą znaczącą sterczące pod skórą żebra i wzrokiem utkwionym w dal. To ją powinni mieć na fladze, pomyślał Meric. Nie Griaule'a.

Wjeżdżając dźwigiem na wieżę, oddał się staremu nawykowi notowania spraw do załatwienia w dniu następnym: co robi ten sąg drewna na piątej kondygnacji? Na dwunastej kondygnacji wyciek żółci chromowej z przewodów...

Dopiero na widok mężczyzny rozbierającego fragment rusztowania przypomniał sobie zalecenie majora Hauka. Nagle zrozumiał, że wydano już odpowiednie rozkazy, i dotarło do niego, że oto stracił zajęcie. Ze ściśniętym sercem i łzami w oczach oparł się ciężko o balustradę, ale zaraz się wyprostował, zawstydzony. Słońce opadło nisko nad zachodnie



wzgórza, zawieszane w szarawej jak żelazo mgiele, czerwone, obrzmiałe i złowieszcze jak pierzasty kołnierz sępa. To skażone niebo było jego dziełem w takim samym stopniu jak malowidło; dobrze będzie się z nim rozstać. Kiedy wyjedzie z doliny i zostawi za sobą wszystkie jej emanacje, będzie mógł spokojnie pomyśleć o przyszłości.

Na dwudziestej kondygnacji, tuż poniżej oka, siedziała młoda dziewczyna. Był taki okres, przed laty, w którym rytuał oglądania oka osiągnął istic religijne proporcje - ludzie modlili się przy nim, śpiewali, dyskutowali o swoich przeżyciach. Teraz jednak, w tych bardziej pragmatycznych czasach, młodzi ludzie, którzy o zachodzie słońca gromadzili się przy oku, za dnia przesiadywali za biurkami maszyny administracyjnej rodzącego się imperium. To o nich powinien pisać Dardano, o nich i o innych ekscentrycznych postaciach z tego wolno rozgrywającego się widowiska.

O Cygance, która co wieczór tańczyła przed okiem, chcąc w ten sposób rzucić na Griaule'a urok i zmusić go do zabicia jej niewiernego kochanka; odeszła zadowolona. O człowieku, który próbował wyrwać smokowi kieł; nikt nie wiedział, co się z nim stało. O poszukiwaczach łusek. O rzemieślnikach. Sama historia Hangtown zapełniłaby opasłe tomiszcze.

Po spacerze był osłabiony i zdyszany. Przysiadł niezręcznie obok dziewczyny. Uśmiechnęła się do niego. Nie mógł sobie przypomnieć jej imienia, ale często bywała przy oku: drobna, śniada, trochę skryta - przypominała mu Lise. Zaśmiał się w duchu: prawie wszystkie kobiety w taki czy inny sposób przypominały mu Lise.

- Dobrze się czujesz? - spytała, marszcząc z troską brwi.

- Tak, nic mi nie jest - odparł. Miał ogromną ochotę porozmawiać z kimś, żeby przestać rozmyślać, ale nic więcej nie przyszło mu do głowy.

- To mój ostatni raz - powiedziała dziewczyna. - Przynajmniej na jakiś czas. Będzie mi tego brakowało - przyznała i zanim Meric zdążył o coś zapytać, dodała: - Jutro wychodzę za mąż. Wyprowadzimy się stąd.

Pogratulował jej i zapytał, kto jest szczęśliwym wybrankiem.

- Taki jeden chłopak. - Odgarnęła grzywkę lekceważącym ruchem, jakby dawała mu do zrozumienia, że przyszły mąż nie jest najważniejszy. Spojrzała na przymkniętą błonę mrużną. - Co czujesz, kiedy oko się otwiera?

- To samo, co wszyscy: wracają wspomnienia... z całego mojego życia. I z życia innych.

Nie powiedział jej o wspomnieniach Griaule'a, który w nich latał. Tylko Lise o nich wiedziała.

- Tyle jest tam uwieczonych skrawków dusz... - Dziewczyna wskazała oko. - Czym dla niego są? Dlaczego je nam pokazuje?

- Przypuszczam, że ma w tym swój cel, ale nie umiem tego wytłumaczyć.

- Kiedyś przypomniało mi się, jak byłam z tobą. - Zerknęła na niego nieśmiało spod ciemnych loków. - Pod skrzydłem.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Opowiedz mi o tym.

- Byliśmy... blisko. - Zarumieniła się. - Tak intymnie, rozumiesz. Bałam się tego miejsca, jego dźwięków i cieni, ale tak bardzo cię kochałam, że nie miało to żadnego znaczenia. Kochaliśmy się przez całą noc. Byłam zaskoczona, bo myślałam, że taka namiętność zdarza się tylko w bajkach, które ludzie wymyślają, żeby sobie wynagrodzić przeciętną rzeczywistość. A raniem nawet to straszne miejsce okazało się piękne. Czubki skrzydeł żarzyły się czerwienią, szum wodospadu niósł się echem... - Spuściła wzrok. - Odkąd poznałam to wspomnienie, jestem w tobie troszkę zakochana.

- Lise... - powiedział. Czuł się przy niej bezradny.

- Tak miała na imię?

Skinął głową i przytknął dłoń do czoła, usiłując powstrzymać zalewające go wspomnienia.

- Przykro mi. - Jej usta musnęły jego policzek. Delikatny dotyk jeszcze bardziej go osłabił. - Chciałam ci powiedzieć, co wtedy czuła, bo może ona ci tego nie powiedziała. Bardzo się czymś gryzła; mogła zapomnieć ci powiedzieć.

Reakcja Merica spłoszyła dziewczynę. Odsunęła się od niego i długo siedzieli w milczeniu. Meric zatracił się zupełnie w widoku łusek, które zachodzące słońce szło czerwonym złotem; patrzył, jak roztopione światło spływa strumieniami po ich krawędziach, błędąc w miarę jak dzień dobiegał końca.

Aż podskoczył, kiedy dziewczyna zerwała się na równe nogi i cofnęła w stronę windy.

- On nie żyje... - powiedziała z niedowierzaniem w głosie.

Merik spojrzał na nią pytająco.

- Widzisz? - Wskazała na słońce, z którego został szkarłatny skrawek nad wzgórzem. - On nie żyje - powtórzyła, a na jej twarzy strach mieszał się z uniesieniem.

Ogarnięcie idei śmierci Griaule'a przekraczało możliwości umysłu Merica. Spojrzał na oko, szukając w nim zaprzeczenia, ale pod błoną nie było już widać świetlnych błysków. Dźwig zaskrzypiał, gdy dziewczyna zaczęła zjeżdżać na ziemię, a Meric dalej czekał. Może smok tylko stracił wzrok? Ale nie. Pewnie to nie był zbieg okoliczności, że akurat w dniu

dzisiejszym ogłoszono koniec prac przy malowidle.

Siedział oszołomiony i wpatrywał się w okrywającą oko martwą błonę, aż słońce zniknęło za wzgórzami. Dopiero wtedy wstał i podszedł do dźwigu, zanim jednak pstryknął przełącznikiem, lina zawibrowała z brzękiem. Oczywiście: dziewczyna poniosła wieść w świat i teraz wszyscy Haukowie i ich podwładni pędzą zbadać odruchy Griaule'a. Nie chciał przy tym być, nie chciał patrzeć, jak będą pozowali do zdjęć ze zdobyczą jak wędkarze ze swoimi trofeami.

Nie było mu łatwo wspiąć się na płytę czołowo-ciemieniową po chybotałej drabinie i przy smagającym go wściekle wietrze, toteż, zanim w końcu wygramolił się na górę, kręciło mu się w głowie i kłuło go w piersi. Podkuśtykał do jednej z kadzi i oparł się o jej pokrytą skorupą rdzy ścianę. Dookoła majaczyły górujące nad nim olbrzymie piece i kadzie, coraz słabiej widoczne w zapadającym zmierzchu; miało się wrażenie, że cały ten system ognistych urządzeń cuchnących wygotowanym mięsem i minerałami to zmaterializowana na zewnątrz czaszki Griaule'a maszyna, w której rodzą się jego myśli - tyle że zapomniana i pozbawiona zasilania. Nie używano ich od... Od jak dawna? Od blisko pięciu lat, bo tyle czasu minęło, odkąd zastąpiły je bardziej nowoczesne maszyny zainstalowane na niższych kondygnacjach. Pajęczyny spowiły stosy drewna opałowego, schody prowadzące na krawędź kadzi zmurzały, powierzchnia czaszki smoka była poślizgnięta brudami i pokryta śluzem.

- Cattanay!

Ktoś zawołał go z dołu. Drabina zadrżała. Na Boga, przyszli po niego! Z gratulacjami, planami dziękczynnych kolacji, projektami tablic i medali pamiątkowych. Obwieszą go chorągiewkami w narodowych barwach, odleją w brązie i podstawią gołębiom do obsrania. Tyle lat mieszkał wśród nich, będąc zarazem ich niewolnikiem i panem, lecz nigdy nie czuł się tu jak u siebie.

Wsparłszy się ciężko na lasce, obszedł róg na czole smoka (poczerniały po latach pławienia się w oleistym dymie) i zszedł pomiędzy skrzydła, do Hangtown, które zmieniło się w miasto duchów. Chwasty zarosły zawałone rudery. Jezioro stało się cuchnącą kałużą, odkąd osuszono je po tym, jak latem dziewięćdziesiątego pierwszego utopiło się w nim kilkoro dzieci. W miejscu, gdzie dawniej stał dom Jarcke, zalegała teraz sterta zwierzęcych kości, połyskujących lekko w półmroku. Wiatr zawodził w wystrzępionych zaroślach.

- Meric!

- Cattanay!

Głosy się zbliżały.

Ha! Jest jedno takie miejsce, gdzie na pewno za nim nie pójda.

Kruche, popleśniałe liście gęstych krzewów osypywały się, gdy je roztrącał. Przy wykutych przez poszukiwaczy łusek stopniach zawahał się; nie miał liny. Wielokrotnie wspinał się tą drogą bez zabezpieczenia, ale od ostatniego razu minęło kilka ładnych lat. Podmuchy wiatru, krzyki, panorama doliny, widok światełek rozsypanych w niej jak diamenty na szarym aksamicie... Wszystko to tworzyło chwiejne, niestałe środowisko. Usłyszał chrzęst łamanych niedaleko gałęzek i jeszcze więcej głosów.

Raz kozie śmierć! Zacisnął zęby, gdy ból przeszył mu ramię, zatknął laskę za pasek, ostrożnie wszedł na stopnie, zacisnął palce dłoni na chwytach. Wiatr tarosił na nim ubranie, groził, że strąci go i zepchnie w przepaść. Raz się pośliznął. Raz znieruchomiał, długo niezdolny posunąć się w górę ani w dół. W końcu jednak zszedł na sam dół i przetraversował skosem w górę, do płaskiego miejsca, w którym mógł wygodnie stanąć.

Tajemniczość tego miejsca nagle zaczęła mu ciążyć. Przestraszył się, przez moment chciał się cofnąć w stronę stopni, gotowy wrócić do Hangtown i czekającej go wrzawy, ale zaraz zdał sobie sprawę, jak niemądry byłby to pomysł. Zalewały go kolejne fale słabości, serce waliło mu jak młotem, przed oczami latały białe plamy. Pierś ciążyła mu niczym żelazo. Roztrzęsiony postąpił kilka kroków naprzód; stukot laski rozbrzmiewał głośno w ciszy. Ściemniało się i widział zaledwie zarysy kształtów, ale wiedział, że przed sobą ma załom skrzydła, pod którym kiedyś chronili się z Lise. Ruszył zdecydowanie w jego stronę, chcąc go ponownie zobaczyć, gdy nagle przypomniał sobie dziewczynę spod oka i zrozumiał, że to pożegnanie ma już za sobą. Bo to naprawdę było pożegnanie, rozumiał to doskonale. Szedł dalej. Czerń wzbierała i wypływała z przegubu skrzydła, z wejść do labiryntu fosforyzujących tuneli, w których natknęli się na skamieniałego człowieka. Czy to naprawdę był ten wiekowy czarownik, w imię magicznej sprawiedliwości skazany na gnicie za życia? To by miało sens. Pasowałyby do losu innych czarowników, którzy zabili swoje smoki.

- Griaule? - szepnął w mrok i przekrzywił głowę, jakby naprawdę spodziewał się odpowiedzi.

Dźwięk jego głosu podkreślił ogrom i pustkę galerii rozpościerającej się pod skrzydłem, a Meric pomyślał o tym, że przed laty ta okolica tętniła życiem: prześlizgujące się po łuskach odłupki, sykacze, niezwykle insekty burczące w gęstwinie, smętni mieszkańcy Hangtown, wodospady... Nigdy nie umiał sobie wyobrazić Griaule'a w pełni sił życiowych - witalność tego rodzaju (i w takiej skali!) wykraczała poza możliwości jego imaginacji - teraz jednak się zastanawiał, czy jakimś cudem smok nie ożył, czy nie leci w tej chwili przez złotą noc wprost do serca słońca. A może to był tylko sen? Błyszczący skrawek tkanki w otchłani wielotonowego, zimnego mózgu?

Roześmiał się. To już lepiej zapytać gwiazd, jak mają na imię; prawdopodobieństwo uzyskania odpowiedzi byłoby większe.

Uznał, że dalej nie idzie - chociaż, prawdę mówiąc, miał w tej kwestii niewiele do powiedzenia. Ból w ramieniu nasilił się do tego stopnia, że wyobraził sobie, że jego kości świecą. Ostrożnie, bardzo ostrożnie osunął się na ziemię, położył się i oparł na łokciu, nie wypuszczając laski z rąk. To było dobre, magiczne drewno, kij wycięty z głogu rosnącego na grzbiecie Griaule'a. Pewien człowiek oferował mu kiedyś za niego prawdziwą fortunę, a dziś? Kto by go dziś zechciał? Stary Henry Sichi pewnie chętnie zabrałby do swojego muzeum, postawił w szklanej gablocie obok swoich butów. To by dopiero był żart!

Meric położył się na brzuchu i oparł brodę na przedramieniu. Chłód twardego jak kamień podłoża łagodził ból. To zabawne, pomyślał, jak z czasem człowiek zmienia rozmach podejmowanych decyzji. Postanawia pomalować smoka, wysłać setki ludzi na poszukiwanie malachitu i insektów do wyrobu koszenili, pokochać kobietę, uwypuklić ten czy ów odcień, a na koniec ułożyć ciało w określonej pozycji. To już chyba koniec tego procesu. Bo co mogło być dalej? Starał się oddychać miarowo, ulżyć obolałej piersi, gdy nagle coś zaszeleściło u nasady skrzydła. Przetoczył się na bok. Wydawało mu się, że dostrzega jakiś ruch, że połyskliwa czerń płynie w jego stronę... A może to tylko przypadkowe impulsy w nerwach wzrokowych płatały mu figle. Bardziej zaskoczony niż przestraszony, wyteżył wzrok. Jego serce tłukło w nierównym rytmie o powierzchnię smoczej łuski.

„Głupotą byłoby wyciąganie prostych wniosków ze skomplikowanego splotu wydarzeń i choć przypuszczam, że to życie i te fakty muszą nieść w sobie jakieś przesłanie, jakąś prawdę, dociekanie ich zostawię prowokatorom i krytykantom; historykom, socjologom, specjalistom od tłumaczenia rzeczywistości. Ja wiem tylko tyle, że pokłócił się z dziewczyną o pieniądze i zostawił ją. Przysłał list, w którym pisał, że udaje się na południe, skąd wróci za kilka miesięcy z taką fortuną, że ona nigdy nie zdoła jej przepuścić. Nie wiedziałem, co zrobi. Cała ta afera z Griaule'em wzięła swój początek na pewnym spotkaniu towarzyskim. Siedzieliśmy w »Czerwonym Niedźwiedziu«, przepijając moją wypłatę (udało mi się sprzedać artykuł), kiedy ktoś powiedział tak:

- Czy nie byłoby cudownie, gdyby Dardano nie musiał pisać artykułów, a my nie musielibyśmy malować obrazów, które pasują kolorystycznie do mebli naszych zleceniodawców, albo tyrać jak woły przy uwiecznianiu ckliwych uśmiezków na twarzach małych bratanków i siostrzeńców?

Posypały się najbardziej nieprawdopodobne pomysły na zarabianie pieniędzy: rabunki, porwania... W końcu ktoś rzucił myśl, żeby wykiwać rajców miejskich z Teocinte. W parę minut plan nabrał konkretnych kształtów, szkicowany na serwetkach i gryzmołony w notatnikach. To była praca zbiorowa. Próbuję sobie przypomnieć, czy komuś zaszklily się wtedy oczy, czy poczułem w mózgu dotknięcie lodowatych macek umysłu Griaule'a, ale nic z tego. To była półgodzinna sensacyjka, nic więcej. Pijacki kaprys. Artystyczna metafora. Niedługo potem pieniądze nam się skończyły i wytoczyliśmy się na ulicę. Padał śnieg; duże, lepkie płatki topniały nam na kołnierzach. Boże, ależ byliśmy napruci! Zaśmiewaliśmy się do rozpuku. Balansowaliśmy na oblodzonej balustradzie Mostu Uniwersyteckiego. Drwiliśmy z okutanych po uszy mieszczan i ich spasionych małżonek, którzy wymijali nas, sapiąc jak kowalskie miechy, buchając parą i nie zaszczycając nas spojrzeniem. Nikt, nawet oni, nie wiedział wtedy, że właśnie przeżywamy z wyprzedzeniem swoje szczęśliwe zakończenie...”.

- Louis Dardano,

*Człowiek, który pomalował smoka Griaule'a*

# DOM KŁAMCY

W trwającej wieczność chwili przed Początkiem, zanim w ogniu zostało wypowiedziane Słowo, na długo przed tym, jak z pierwotnej pożogi wyłoniła się i ostygła drobinka historii, coś, czego działania nie da się w pełni opisać żadnym czasownikiem, zawarło w sobie ziarno wszelkiej możliwości, otuliło je ze wszystkich stron niczym chmura, niczym wszechogarniająca idea, i wszystko, co wyłoniło się ze stwórczego ognia, w taki lub inny sposób musiało odzwierciedlić strukturę tego fundamentalnego dualizmu. Powiada się, że ze wszystkich żywych istot najpełniejszy wyraz znalazła owa dwoistość w smokach, gdyż wyfrunęły one, w pełni ukształtowane, z paszczy Nicości, pierwsi królowie Stworzenia, i poszybowały przez rozpalony żar, który dopiero po upływie eonów miał zgęstnieć w gwiazdy, światy i wszelką wyśnioną materię. Z tego też powodu smocza dusza jest związana z ciałem materialnym w sposób wiernie odzwierciedlający konstytucję Stwórcy: obejmuje je, otacza i kieruje nim od zewnątrz, zamiast - jak to się dzieje w przypadku ludzi - tkwić uwięziona w środku. Żaden zaś przedstawiciel smoczego rodzaju nie ucieleśniał tej reguły w sposób bardziej przejmujący i spektakularny niż Griaule.

Jak doszło do tego, że Griaule został pokonany przez czarownika, który sparaliżował go za pomocą magicznego podstępu - dokładnie nie wiadomo, historia ta bowiem rozegrała się bez świadków. Faktem jednak pozostaje (i to dobrze udokumentowanym), że w tym podobnym do śmierci stanie smok przetrwał wiele tysiącleci i przez cały ten czas rósł, aż osiągnął ponad milę długości. Spoczywał w dolinie Carbonales, przecinając ją w poprzek w jej najdalej na zachód wysuniętym skrawku. Z biegiem czasu upodobił się do wysokiego wzgórza, porośniętego trawą, krzewami i karłowatymi drzewami, spod których gdzieniegdzie przezierały fragmenty łusek, i tylko olbrzymi łeb - doskonale widoczny, odsłonięty, nieokryty roślinnością - obrzucał wszystko spojrzeniem ogromnych złotych ślepi o wąskich źrenicach, oddziaływał na rozgrywające się dookoła wydarzenia i emanował złowieszczym wpływem, który deformował otoczenie wedle okrutnych zamysłów bezcielesnego intelektu, rozkoszującego się swoimi machinacjami i napawającego zemstą. W późniejszym okresie całkiem spore miasto - Teocinte - wyrosło u boku Griaule'a i rozprzestrzeniło się na sąsiednie wzgórze, lecz początkowo, przed wiekami, kiedy mało kto ważył się zbliżyć do smoka, było zaledwie przerośniętą wioszczyną, otoczoną gęstymi zagajnikami palm i bananowców,



wtłoczoną pomiędzy wyniosłość Griaule'a i porośnięty sosnowym lasem pagórek; miejscina obskurna, brzydka i zdezelowana, gdzie przy koślawych bitych drogach stały rudery z rdzewiejącymi dachami z blachy. Status miasteczka zawdzięczało Teocinte skupisku rozchwiejących chałup o szkieletowej konstrukcji, mieszczących karczmy, sklepiki i jedną jedyną gospodę. Liczyło kilkanaście tysięcy mieszkańców obojga płci - rzeźmieszków, rabusiów i morderców oraz ich krewnych i przyjaciół, z których wszyscy, prawie bez wyjątku, żyli w przeświadczeniu, że bliskość smoka przydaje im szczególnej mocy (co wcale nie było wykluczone), i nie zawracali sobie głowy rozpowszechnionym gdzie indziej przekonaniem, jakoby osiedlili się w Teocinte tylko dlatego, że ich nieprawość współgrała z nieprawością natury Griaule'a, czyniąc ich wyjątkowo podatnymi na jego manipulacje. Jakże to ma znaczenie, czyjej woli służymy? - mogliby zapytać. Najważniejsze, że przy okazji służymy swojej własnej.

Powiadano, że najokrutniejszym obywatelem Teocinte (a także, w wieku czterdziestu dwóch lat, obywatelem najstarszym) był Hota Kotleb - ponury, z grubą ciosany typ o skołtunionych siwiejących włosach, którego podbródek i policzki szpeciły liczne blizny od noży. W wielgachnych dłoniach mógłby zmiażdżyć spory melon; szerokie bary, muskularne ręce i siłę wołu zawdzięczał wieloletniej pracy przy rozładunku statków w Port Chantay. Głęboko osadzone oczy były jedynym żywym elementem twarzy, która poza tym wyglądała raczej topornie i przywodziła na myśl zerodowany głaz. W przeciwieństwie do wielu swoich znajomych, którzy wypuszczali się daleko w świat, żeby tam popełniać zbrodnie, a potem wracali i znów nurzali się w otaczającej smoka aurze, Hota nigdy nie opuszczał doliny. Kiedy jedenaście lat temu wóz należący do kapitana portu przejechał mu na ulicy żonę, Hota odrzucił niepewne koleje kapryśnej urzędowej sprawiedliwości i przemocą wdarł się do domu właściciela pojazdu. Kapitan portu kazał go wyrzucić, a wówczas Hota zadźgał nie tylko jego samego, ale także jego dwóch synów i licznych służących, sam odnosząc przy tym liczne rany. Kiedy dotarło do niego, że jeśli nie wyjedzie z miasteczka, zawisnie na szubienicy, dokonał rabunku i uciekł, zabijając po drodze trzech policjantów, którzy usiłowali go zatrzymać przy wyjściu. W niespełną godzinę przekreślił skromne życie wypełnione potulną pracą i zamordował dziesięciu ludzi.

Nie uczęszczał do szkół i o wielu rzeczach nie miał pojęcia, nie był jednak tępakiem, toteż, przemyślawszy ostatnie wydarzenia - krwawe zwycięstwo i poprzedzający je ponury chaos - zdołał zracjonalizować swój postępek. Nie miał wyrzutów sumienia po zabiciu kapitana portu i jego synów: byli ciemieżcami i spotkał ich los ciemieżców. Jeśli zaś chodzi o resztę... Żałował, że musieli zginąć; przypuszczał, że przynajmniej niektórzy by ocalili,

gdyby gniew nie przyćmił mu rozumu. Nie chcąc jednak oszukiwać sumienia gniewem, przyznał po prostu, że zawsze miał skłonność do okrucieństwa i przemocy. Nie życzył żonie śmierci, ale też jej nie kochał - trzynastcie lat małżeństwa zgasiło iskrę, która kiedyś między nimi przeskoczyła, z łączącego ich związku zostały pozory i obojętność. Byli jak para perszeronów zaprzężonych razem do pługa w wiecznej orce na jałowym poletku - bez dzieci, bez nadziei, podtrzymywani w smętnym mozole litanią wzajemnych pustych obietnic. Można było odnieść wrażenie, że śmierć żony nie tyle wywołała, ile raczej usprawiedliwiła gwałtowny wybuch Hota, który od dawna marzył o tym, żeby kogoś zabić, sfrustrowany bezradnością zrodzoną z wielu lat życia w skrajnej nędzy. Teraz zaś, kiedy ta jego skłonność już się ujawniła, spodziewał się, że coraz chętniej będzie się przejawiała w jego życiu. Wolał więc nie nawiązywać z ludźmi bliższych kontaktów, nawet jeśli doskwierała mu samotność.

Ukradzione z domu kapitana portu pieniądze i klejnoty zapewniły mu żywot tak komfortowy, jak tylko pozwalały na to prymitywne wygody Teocinte. Wynajął pokój z oknem na podwórze na piętrze krytej blachą gospody „Smoczy Las” - podupadłego pudełkowatego budynek z szynkiem na parterze i doklejonym nowszym, parterowym skrzydłem, w którym mieszkały prostytutki. Popielatą fasadę zdobił krzykliwy szyld przedstawiający smoka na płomiennym niebie. Stojąca na skraju miasteczka gospoda obsługiwała napływających gości pragnących zobaczyć Griaule’a - z jej frontowych okien roztaczał się widok na bok smoka. Właściciel, Benno Grustark, twierdził, że drewno użyte do konstrukcji karczmy pochodzi z drzew rosnących na grzbiecie Griaule’a, przez co jej bywalcy, którzy doskonale wiedzieli, że mało kto ważyłby się postawić stopę na skórze smoka (nie mówiąc już o wycinaniu rosnących na niej drzew), nazywali ją Domem Kłamcy.

Nie musząc zarabiać na życie, Hota dużo czasu poświęcał na rzeźbienie w drewnie, hobby, które wciągnęło go w dzieciństwie i które nadal sprawiało mu przyjemność, mimo że wcale nie miał talentu snycerskiego. Ponieważ w miasteczku nie bardzo było na czym oko zaczepić, zaczął rzeźbić podobizny Griaule’a: dziesiątki smoczyc wizerunków zagracały mu regały, biurko i krzesła, a także wały się po podłodze. Czasem dawał rzeźbę w prezencie jakiemuś dzieciakowi albo dziwce, z którą akurat dzielił łóżko, ale niespecjalnie zmniejszało to bałagan w pokoju. Aby zatem uniknąć jego dalszego zaśmiecania, zaczął pracować w większej skali: wyprawiał się na wzgórza, tam ścinał drzewa i rzeźbił smoki w sterzących z ziemi pniakach, po czym porzucał je na pastwę deszczu i robactwa. Mimo że nie przywiązywał wielkiej wagi do swojej pracy (po prostu cieszył się, że ma czym zająć ręce), to jednak sprawiało mu przyjemność fakt, że w okolicznych lasach przybywa jego dzieł, topornych rzeźb, upodabniających się z czasem - podobnie jak model, na którym były

wzorowane - do tworów naturalnych, którym tylko kaprysy pogody nadały formę do złudzenia przypominającą smoka.

Jedenaście lat po przybyciu do Teocinte, wczesną wiosną, Hota opłacił woźnicę, żeby ten zawiózł mu pień białego dębu na grzbiet wzgórza, z którego roztaczał się widok na profil Griaule'a i rozpościerającą się w dali dolinę - łagodnie falującą połąć palm, karłatek, figowców i awokado, poprzecinaną rdzawymi bitymi drogami - i tam zajął się realizacją swojego najambitniejszego projektu. Do tej pory rzeźbił smoka takiego, jakim ten mógł być w zamierzonych czasach, gdy wykazywał więcej oznak życia - w locie, przyczajonego lub wspiętego na tylne łapy. Teraz zamierzał stworzyć portret Griaule'a takiego, jakim był obecnie: dziwnie wąły, nieco ptasi łeb, na wpół rozwarłe szczęki, język i zęby okryte porostami, splątane pnącza zwieszające się z podniebienia, niebiesko-zielone fałdy i kolce grzebienia ciemieniowego, tym samym kolorem obrzeżone złote łuski; węzowe cielsko: zad, boki i grzbiet pokryte lasem, którego ciemnozielona faktura do tego stopnia przypominała ciągnące się za nim wzgórza, że Hota zaczynał się zastanawiać, czy i one nie skrywają olbrzymich smoków. Przez pierwszy tydzień tylko planował i doskonalił projekt, przez następne kilkanaście dni notował w pamięci szczegóły wyglądu Griaule'a i czekał, aż ta wiedza spłynie mu do rąk.

Pewnego dnia, około południa, był akurat pochłonięty rzeźbieniem, gdy zauważył, że coś fruwa wokół pyska smoka, patrzył jednak pod słońce i nie mógł rozeznaczyć, co właściwie widzi, zwłaszcza że obiekt ten wydawał się przy smoczjej paszczy tak samo niepozorny jak jaskółka krążąca nad byczym nosem. Dopiero po dłuższej chwili skonstatował (z niemałym zdumieniem, do tej pory bowiem przypuszczał, że Griaule jest jedynym żyjącym przedstawicielem swojego gatunku), że widzi innego smoka: trzydzieści, może czterdzieści stóp długości, lśniące brązowe łuski. Urzeczony patrzył, jak smoczyca (wobec ogromu Griaule'a istota wydała mu się tak filigranowa, że odruchowo myślał o niej jak o samicy) wznosi się, kołuje i nurkuje, krążąc po tej samej przewidywalnej trajektorii, tak jakby przez cały czas kreśliła w powietrzu jeden i ten sam znak, niby jakiś rytualny symbol. Jej skrzydła, zamiast łopotać w powietrzu, marszczyły się i falowały; długa szyja poruszała się z wdziękiem trzciny unoszonej nurtem strumienia; ogon smagał przestrzeń z zajadłością, która Hocie wydawała się wręcz lubieżna. Domyślał się, że smoczyca usiłuje porozumieć się z Griaule'em. A może to Griaule porozumiewał się z nią? Może wzór, który kreśliła w locie, był odwzorowaniem zawirowań jego myśli? W końcu przestała fruwać w kółko i przysiadła na szerokim grzbiecie Griaule'a, zniknąwszy Hocie z oczu za grzebieniem ciemieniowym.

Wypuścił z ręki dłuto i popędził w dół stoku, po ścieżce, która dalej łączyła się z jedną

z bitych dróg przecinających dolinę wzdłuż i wszerz, i obiegnął Griaule'a z boku, kierując się ku wypiętrzeniu utworzonemu przez przednią łapę. Kiedy smocza sylwetka zawisła mu złowrogo nad głową, nagle ogarnęła go zgroza: gęsto osadzone łuski na zuchwie, szare zęby z siateczką porostów podobne do potrzaskanych murów obronnych, wybrzuszenie łuku brwiowego. Oglądane z bliska monumentalne części smoczego ciała przerażały, a kiedy Hota zagłębił się w cień smoka, otuliło go coś zimniejszego i gęstszego niż powietrze, jakby brnął przez niewidzialne błoto. Jednakże fascynacja była silniejsza od strachu. Podniecała go perspektywa zobaczenia smoka, który się porusza. Jego zachwyty nie miał w sobie nic z akademickiego czy artystycznego zainteresowania. Hota po prostu chciał zobaczyć smoka.

Wdrapał się na pokrytą zaroślami łapę, skąd, czepiając się krzewów, wspinał się na porośnięty zagajnikiem bark. Dyszał ciężko i ociekał potem, kilka razy niewiele brakowało, żeby spadł. Kiedy, chwyciwszy się mocno gałęzi sosny, stanął wreszcie na grzbiecie Griaule'a i spojrzął w dolinę, na położone setki stóp niżej Teocinte - brzydki szary placek na wszechobecnej zieleni - zrozumiał w pełni głupotę swojego postępowania. Nagle poczuł się bezbronny wobec strzał losu, tak jakby naruszył jakieś tabu i w ten sposób pozbawił się wszelkiej osłony. Dodatkowo niepokoił go fakt, że w pobliżu znajduje się smoczyca, która, gdy tylko wyczuje jego obecność, zechce rozszarpać go na strzępy... Chyba że odleciała, kiedy się tu wspinał, ale to akurat wydawało mu się wątpliwe. Znowu wezbrał w nim strach, ale Hota nie cenił już swojego życia tak wysoko jak dawniej (sam się czasem zastanawiał, dlaczego tak wiele starań włożył w uniknięcie stryczka tamtej nocy w Port Chantay) i nadal bardzo chciał zobaczyć smoczycę. Ostrożnie stawiając stopy i rozgarniając gałęzie, zaczął brnąć przez gąszcz, kierując się do miejsca, w którym - zgodnie z jego domysłami - musiała wylądować.

Dzień zrobił się upalny i Hota pocił się obficie. Rozcapierzone igły karłowatych sosen i pożółkłe okrągłe liście dominujących w gęstwinie krzewów ograniczały widoczność do kilku jardów, kleiły mu się do mokrego karku, policzków i rąk. Po kwadransie błędzenia na oślep zaczął podejrzewać, że smoczyca w ogóle nie wylądowała, lecz tylko zanurkowała za grzebień na potylicy Griaule'a, tam wyrównała lot i poleciała nad wzgórza. Usiadł na kawałku nagiego podłoża, rozważając zakończenie poszukiwań, gdy nagle zaalarmował go jakiś ruch w krzakach. Ludzie powiadali, że wiele zwierząt żyjących w i na Griaule'u jest jadowitych, i Hota uznał, że jak na jeden dzień to dość się już nawydurniał. Wstał więc i ruszył w drogę powrotną. Kiedy jednak po półgodzinie nie wyszedł na skraj gęstwiny, uświadomił sobie ze złością, że jakimś cudem musiał zatoczyć łuk i teraz idzie wzdłuż kręgosłupa smoka. Wspinał się na palce, wypatrzył grzebień na grzbiecie Griaule'a i - wiedząc

już, gdzie mniej więcej się znajduje - zaczął iść równolegle do niego.

Po kolejnej półgodzinie jego rozdrażnienie zmieniło się w panikę. Ktoś - z pewnością Griaule we własnej osobie - bawił się jego kosztem, przyćmiewał mu umysł, kazał chodzić w kółko. Jeszcze raz namierzył się na grzbiet smoka i ruszył przez gąszcz, ale wbrew jego oczekiwaniom grunt wcale nie opadał, a kiedy znów zorientował się w przestrzeni, stwierdził, że wcale nie posuwa się naprzód.

Po dwóch godzinach panika ustąpiła miejsca rezygnacji. Zatem to taki los zgotowała mu jego porywczosć: zamknięty w magicznym potrzasku, którego natury nie miał szans zgłębić, będzie się błakał po grzbiecie Griaule'a, aż w końcu osłabnie, upadnie i umrze z gorąca i pragnienia. Już chyba lepiej było dać się powiesić, tym bardziej, że przecież zasłużył na gorszy los.

Zgasły w nim ostatnie iskierki oporu. Już nawet kopniakami roztrącił połamane gałęzie, robiąc sobie miejsce, żeby usiąść i czekać na śmierć, ale po chwili namysłu ruszył dalej; lepiej się zmęczyć i przyspieszyć to co nieuniknione. Szedł coraz szybciej. Nie próbował się już kryć; domyślał się, że drugi smok był zwykłym złudzeniem, przynętą w zastawionej przez Griaule'a pułapce. Roztrącał gałęzie, przepychał się przez gąszcz, a gdy tylko robiło się więcej miejsca, przechodził w ociężały trucht. Z biegiem czasu odczuwał coraz większe upojenie - prawdopodobnie wywołane tym, że nareszcie miał jakieś konkretne zajęcie. Lata picia i nieporadnej snycerki, a także cały poprzedni okres w jego życiu - otepiająca harówka, nędzne, byle jakie dni, milczące wieczory wypełnione smętnym wodzeniem wzrokiem za żoną... Dobrze, że skończą się właśnie tu i teraz. I tak nikt nie miał z nich żadnych korzyści, a już z pewnością nie on.

Im dłużej rozważał perspektywę rychłej śmierci, tym bardziej chciał ze sobą skończyć. Po co miałby dalej żyć? Co go czekało? Kilka nudnych lat, po których straci zdrowie i padnie ofiarą młodszych i silniejszych: napadną go, obrabują i zostawią bez środków do życia. A to jeszcze wcale nie byłoby najgorsze.

Upojenie przeszło w stan bliski rozkoszy. Przyspieszył kroku. Gałęzie drzew dźgały go po całym ciele i ocierały mu skórę, ale nie zwracał uwagi na ból. Przypomnił sobie inną sytuację, w której czuł podobnie rozpierające go... Co właściwie? Entuzjazm? Radość życia?

Obłąd.

Tak, to było właśnie to słowo.

Prawie tak samo czuł się wtedy, gdy był w domu kapitana portu w Port Chantay.

Ta świadomość trochę go otrzeźwiła. Zwolnił, usiłując przetrwać tę myśl. Czyżby te emocje, odczuwane wtedy i teraz, świadczyły o jego psychicznej ułomności? A może o

jakiejs przypadłości fizycznej? Ciągłe się nad tym zastanawiał, gdy odsunawszy zasłaniającą mu przejście sosnową gałąź, wyszedł na polanę, na której stała smukła kobieta o brązowej skórze i włosach opadających na wysokość bioder. Była naga.

Ten widok tak go oszołomił, że w pierwszej chwili nie uwierzył własnym oczom. Uznał, że ma przed sobą albo wytwór swojego obłąkanego umysłu, albo kolejną sztukę Griaule'a. Kobieta stała odwrócona bokiem, z jedną ręką uniesioną do policzka, jakby poruszona nagłym wspomnieniem. Jej ciało pokrywał deseń z nieregularnych ciemnych linii, przywodzący na myśl rysunek gadzich łusek. W pierwszej chwili Hota wziął go za tatuaż - dopóki nie zwrócił uwagi, że z każdą chwilą coraz bardziej blednie. W tym samym momencie uświadomił sobie, że łuski smoczyca miały identyczny odcień jak skóra kobiety.

Słyszac jego zduszony krzyk, spojrzala na niego przez ramie. Nie okazywala strachu, wbrew temu, czego można by się spodziewać po nagiej kobiecie zaskoczony obecnością mężczyzny o tak niepokojącej powierzchowności. Nie poruszyła się, spokojnie taksowała go wzrokiem, a Hota - który gorąco pragnął uwierzyć, że oto stoi przed nim przeobrażona w tajemniczy sposób smoczyca, lecz zarazem nie potrafił się z tym faktem pogodzić - wahał się między pragnieniem ucieczki i żądzą dowiedzenia się o niej czegoś więcej. Po następnych paru sekundach linie na jej skórze zniknęły całkowicie, ona zaś odwróciła się do niego (tak jakby wcześniej proces zaniku łusek jakoś ograniczał swobodę jej ruchów) i suchym, jak gdyby przydymionym głosem powiedziała:

- Hota...

Dźwięk jego imienia w jej ustach, w dodatku wypowiedzianego - jak mu się wydawało - z nutą groźby w głosie, pchnął go do ucieczki. Nie mógł jednak oderwać od niej oczu, cofnął się więc o krok, ale nie zdążył puścić się biegiem, bo potknął się i runął na ziemię.

Zanim dźwignął się na jedno kolano, stała już nad nim.

- Boisz się? - zapytała, przekrzywiając głowę.

Miała ciemne oczy o dużych tęczęwkach, przy których prawie nie było miejsca na białka. Jej twarz - z wyrazistymi kośćmi policzkowymi, pełnymi wargami i delikatnie zarysowanym nosem - wydawała się przesadnie doskonała, pozbawiona życia, jak na obrazie miernego artysty. Wyglądała jak dorosła kobieta, nie dziewczynka, ale jej piersi i biodra nie zdradzały śladów wieku. Kiedy powtórzyła pytanie, jej głos był tak samo pozbawiony ludzkiego charakteru jak twarz. Pytanie brzmiało zresztą czysto pragmatycznie, jakby nie wiedziała, czym jest strach, i chciała się nauczyć rozpoznawać jego symptomy.

Hota z powrotem usiadł. Zaniemówił.

- Niepotrzebnie się boisz. Nas dwoje czeka długa droga.

Chmura przesłoniła słońce. Kobieta zadarła głowę, przepatrzyła niebo i dodała:

- Będzie mi potrzebne jakieś ubranie.

Hota, czując się nieco pewniej, odsunął się od niej i wstał. Znow przyszło mu do głowy, żeby uciec, ale przypomniawszy sobie, jak niedawno pobłądził, uznał, że bieganie po lesie nie przyniesie mu nic dobrego.

- Słyszałeś? - spytała kobieta znow bez cienia gniewu czy zniecierpliwienia. - Potrzebuję ubrania.

Hota też chciał o coś zapytać, ale strach knebłował mu usta.

- Masz na imię Hota, prawda?

- Tak.

Obliżał wargi, zbierając się na odwagę, żeby zadać swoje pytanie, ale na próżno. Z jego gardła dobył się tylko pomruk zmieszania.

- Magali - powiedziała, dotykając swojej piersi. - Jestem Magali.

Nie umiał rozpoznać jej nastroju, zupełnie jakby kryła się przed nim w pięknej skorupie, tłamszącej jej prawdziwą naturę. Ona zaś czekała, aż przemówi, a kiedy długo milczał, sama się odezwała:

- Wiesz, kim jestem. To ci przeszkadza?

- Widzę cię pierwszy raz w życiu.

- Ale wiesz, kim jestem. Widziałeś mnie w locie. Widziałeś mnie również, zanim przeszłam całkowitą przemianę.

Te słowa, mimo że stanowiły odpowiedź na niezadane przez Hotę pytanie, zmieszały go do tego stopnia, że tylko pokręcił głową w odpowiedzi.

- Jak możesz w to nie wierzyć? Widziałeś to, co widziałeś. Nie musisz się mnie obawiać, jestem teraz kobietą. Mam takie samo ciało jak ty. - Podała mu rękę. Jej dłoń była ciepła. - Rozumiesz?

- Nie, ja... - Potrząsnął głową. - Nie.

- Zrozumiesz. - Puściła jego dłoń. - Możesz mi przynieść jakieś ubranie?

- W Teocinte nie ma sklepów z damską odzieżą.

- To coś pożycz. Albo przynieś mi coś swojego.

- Dobrze. - Miał nadzieję, że godząc się na jej żądanie, będzie mógł wreszcie uciec. - Pójdę już.

- Ale wrócisz. Nie myśl, że nie.

- Oczywiście, że wrócę.

Roześmiała się. Hota pomyślał, że to jej pierwszy prawdziwie ludzki odruch.

- Wcale tak nie myślisz - powiedziała.

- Skąd wiesz, co myślę?

- Czytam w twojej twarzy jak w książce. Nie możesz się doczekać, żeby stąd uciec; ledwie stracisz mnie z oczu, puścisz się biegiem. Tak ci się przynajmniej teraz wydaje. Później jednak dojdiesz do wniosku, że jeśli do mnie nie wrócisz, znajdę cię. I rzeczywiście: znalazłabym cię. Poza tym masz jeszcze inne, głębsze powody, żeby wrócić.

- Niby jakie? Nic nas nie łączy, w każdym razie nic, co by mogło chociaż udawać racjonalną więź.

Odeszła kilka kroków, odwróciła się do słońca i cień liści padł na jej biodro, przypominając Hocie wzór, który nie tak dawno zniknął z jej skóry. Zgarnęła włosy w taki sposób, że opadły jej na piersi, jakby ubrała się we własne czarne loki.

- Wrócisz, bo nie masz dokąd pójść; twoje życie było dotąd puste i masz nadzieję, że ja zdołam je jakoś wypełnić. Wrócisz, bo tego chcesz. Wrócisz, bo zrobiliśmy już pierwszy krok na naszej wspólnej drodze.

\* \* \*

Kiedy Hota z Magali (ubraną w nietwarzową sukienkę do ziemi, którą pożyczył dla niej od prostytutki) zjawili się tego wieczoru w Domu Kłamcy, Benno Grustark - jegomość zażywny i krótkonogi, o krągłej, śniadej i poźłobionej bruzdami twarzy wiecznego zrzędy, którą okalał wianuszek czarnych, przetłuszczonych, kręconych włosów - wyskoczył z kantorka, żeby przestrzec Hotę, że jeśli ta kobieta ma z nim spędzić noc, będzie musiał za nią dodatkowo zapłacić. Potem jednak zaczął się jej bliżej przyglądać, ona obrzuciła go swoim beznamiętnym spojrzeniem i słowa zamarły mu w gardle. Kiedy weszli po schodach - zostawiwszy w przykurzonej sieni Grustarka, który odprowadził ich wzrokiem, lecz powstrzymał się (co było u niego niezwykle) od dalszych reprimend - Hocie przyszło do głowy, że karczmarz nie przywykł do goszczenia tak pięknych kobiet w swoich progach.

Wprowadził ją do swojego pokoju i od razu przeprosił za jego nędzny stan, lecz Magali, obojętna na bałagan, podeszła do ściany przy łóżku i zaczęła z bliska oglądać sfatygowane szare deski i wodzić palcem po skomplikowanym wzorze czarnych słoików, podziwiając fakturę ścian, jakby wykonano je z najlepszego marmuru. Hota, wciąż trochę nieswój, zajął się porządkowaniem pokoju: zbierał rzeźbione smoki i upychał je po szufladach, koszulą wycierał toporne meble z kurzu. W którymś momencie podniósł wzrok i stwierdził, że Magali przysiadła na łóżku i skubie fałdy sukienki.

- Chciałabym mieć zieloną sukienkę - powiedziała. - Ciemnozieloną. Macie tu w



mieście jakąś krawcową?

Hota zwinął w kłębek brudną od kurzu koszulę i rzucił ją na krzesło.

- Tak, chyba tak... Na pewno.

Magali pokiwała z namaszczaniem głową, jakby podzielił się z nią jakąś wielką mądrością, a potem podciągnęła nogi na łóżko i położyła się na wznak.

- Zdrzemnę się - oznajmiła. - Potem moglibyśmy coś zjeść.

- Na dole coś upichcą, ale to żadne frykasy...

Z westchnieniem przymknęła oczy i po minucie albo dwóch, kiedy Hota uznał już, że zasnęła, obróciła się niespodziewanie na bok, skręcając gwałtownie całe ciało, i odmruknęła w poduszkę:

- Byle dawali mięso.

\* \* \*

Przez pierwsze dni Hota czuł się skrępowany. Magali wychodziła z pokoju tylko do znajdującej się w korytarzu łazienki, a poza tym większość czasu przesypiała, tak jakby - jak się domyślał - musiała się zaaklimatyzować w swojej nowej postaci. Kiedy zaś nie spała, gapiła się na deski albo po prostu siedziała w milczeniu na łóżku. Rzadkie rozmowy miały charakter czysto funkcjonalny i ograniczały się do wyrażania jej potrzeb; kiedy Hota nie biegał dla niej na posyłki, siedział na krześle i czekał, aż się obudzi.

Krawcowa uszyła dwie ciemnozielone sukienki i Magali przebierała się w nie bez cienia wstydu na oczach Hoty, który odczuwał bolesne ukłucia pożądania. Nie mogło być inaczej, nie przywykł przecież do takiej ostentacji. Jego żona co wieczór kładła się do łóżka szczelnie zakutana w kilka warstw ubrań; nawet prostytutki, z którymi sypiał, po prostu zadzierały spódnicę. Ciało Magali - z drobnymi, jędrnymi piersiami, szczupłymi biodrami i długimi, zgrabnymi nogami - było ucieleśnieniem rzeźbiarskich snów o niewinnej zmysłowości. Żądza jednak nie była w stanie nim zawładnąć: nadal bał się tej kobiety, a w głowie kłębiło mu się zbyt wiele pytań. Nie zbliżał się do niej, wolał spać na podłodze lub na krześle. I ciągle się zastanawiał, co to za droga, którą mają razem przebyć. Czy Magali naprawdę była smokiem w ciele kobiety, czy też Hota padł ofiarą jakiegoś podstępu, spisku chwili i przypadku? No i rzecz najważniejsza: dlaczego to wszystko się wydarzyło? I jak mogło się wydarzyć?

Przesiadując przy niej dzień po dniu i tydzień po tygodniu, zniechęcał się coraz bardziej do swojego pokoju - prawdopodobnie dlatego, jak sobie tłumaczył, że jej obecność podkreślała jego nędzny wygląd. Zaczął się przykładać do sprzątania, przynosić kwiaty, wymienił poduszki na krzesłach, kupił nawet obrazki do powieszenia na ścianach, żeby

ożywić zszarzałe od dawna wnętrze. Zasłonił drzwi kocami, by wyciszyć dobiegające z korytarza irytujące odgłosy kroków i rozmów. Kupił na bazarze pachnidła, żeby zwalczyć panujący w pokoju stęchły zaduch.

Magali nie zwracała uwagi na te udoskonalenia. Z powodów, których nie rozumiał, interesowały ją wyłącznie deski ścian. Dopiero którejś z kolei nocy, kiedy ona spała, a on spacerował po pokoju, zauważył, że rysunek słoików wydaje się ostrzejszy niż przedtem, znacznie bardziej wyrazisty, niżby to się dało wytłumaczyć codziennym odkurzaniem. Zaciekawiony, przyjrzał im się bliżej w świetle oliwnej lampki i odkrył, że deseń naprawdę się uwypuklił, a w splotach czarnych linii prawie, prawie daje się dostrzec jakiś kształt - takie przynajmniej w pierwszej chwili odniósł wrażenie, bo kiedy dłużej im się przyglądał, pewne formy zaczęły się wyróżniać i dominować. Dostrzegł wąskie, poszarpane skrzydła rozpięte na sterczących kolcach, węzowe, okryte łuską ciała, zębate gadzie łby. Całe mrowie smoków. Takie misternie nakreślone obrazy widniały na każdej desce, a do tego nieustannie pojawiały się nowe, jakby wcześniej skrywał je topniejący teraz szary śnieg. Przytrzymując lampę nad głową, wpatrywał się w nie, aż zaczęło mu się wydawać, że zamiast wizerunków różnych smoków ogląda niezliczone podobizny tylko jednego z nich. Dostrzegał podobieństwo w zarysie łusek, w ptasim profilu, w...

- Co widzisz?

Hota aż podskoczył. Kwiknął i okręcił się na pięcie, stając twarzą w twarz z Magali, która na bosaka zaszła go od tyłu. Rozpięta do pępka sukienka odsłaniała piersi. Dopiero się obudziła, miała włosy w nieładzie, ale typowe dla niej obojętne spojrzenie zniknęło bez śladu: była ożywiona i podekscytowana, co trochę tłumiliło lęk, jaki w nim wzbudzała. Powtórzyła pytanie.

- Smoki... Albo może jednego smoka, nie jestem pewien. Ty też to widzisz?

- Coś jeszcze? - spytała, puszczając jego pytanie mimo uszu.

- Nie. A jest coś jeszcze?

- Nie ma końca rzeczom, które można zobaczyć. - Stała obok niego i pieszczotliwie powiodła palcem po jednej z desek. Wskazała. Hocie jeden z obrazów. - Spójrz. Widzisz te sterczące pod kątem kły? Nie przypominają ci czegoś?

Nie rozumiejąc, o co jej chodzi, Hota gapił się na deskę przez dobrą minutę, zanim doznał olśnienia.

- Griaule! To Griaule, prawda?

- Wszystko tutaj to jego życie. - Magali wykonała zamaszysty gest. Jej głos drżał od tajonych emocji. - Zapisane w drzewach, które wyrosły na jego grzbiecie. Cała gospoda jest

jego biografią. Są tu zapisane wszystkie jego dni.

Aha, pomyślał Hota, więc Benno jednak nie kłamał. Trudno było w to uwierzyć. Odkąd Hota go znał, Benno nigdy nie przejawiał choćby krzty odwagi i myśli o tym, że miałby wycinać drzewa na grzbiecie Griaule'a, budziła pusty śmiech. Równie nieprawdopodobny był zresztą pomysł, że mógłby wynająć kogoś, kto zrobił to za niego. Nieliczni śmiałkowie, którzy twierdzili, że stąpali po cielsku Griaule'a, wspinali się najwyżej na jego ogon; nikt nie zapuścił się tak daleko, jak ostatnio Hota. Teraz zaś przypomniał sobie, w jaki sposób Benno gapił się na Magali. Czyżby ją rozpoznał? Czy jego spojrzenie dowodziło, że lepiej niż inni zna się na smokach i w jakiś sposób wyczuł jej prawdziwą naturę?

- Cokolwiek jeszcze jest tu do zobaczenia... - odezwał się. - Czy ja też to zobaczę?

- Kto wie... - Magali wróciła do łóżka. Moszcząc się na nim i wygladzając sukienkę, dodała: - Widziałeś to co niezbędne.

- Dlaczego niezbędne dla mnie jest zobaczenie akurat tego i niczego więcej? O co w tym chodzi?

Magali położyła się i podparła na łokciu.

- O to, żebyś ogarnął prawdziwy zakres dominacji Griaule'a. I żebyś ją zaakceptował.

Zirytowała go tą półodpowiedzią, lecz nagle zabrakło mu pewności siebie, żeby głośno wyrazić gniew.

- Ale dlaczego to takie ważne? Przecież ja i bez tego wiem, jak naprawdę wygląda nasze życie.

- Wiedza i akceptacja to dwie zupełnie różne rzeczy.

- O czym ty mówisz?

Zasłoniła oczy przedramieniem. Nie odpowiedziała.

- Mam uznać jego władzę? Po co? Wyjaśnij mi to.

Magali nie powiedziała już jednak nic więcej na ten temat, za to niedługo później kazała mu przynieść z gospody coś do jedzenia. Hocie nie podobało się, że traktuje go jak dziecko, udzielając mu odpowiedzi, które sugerują, że lepiej dla niego będzie, jeśli nie będzie wiedział zbyt wiele (bo tak właśnie interpretował jej słowa). Kiedy w kłębach dymu i pary stał przy drzwiach do kuchni i czekał na przygotowanie posiłku, obserwując gorączkową krzątanie dwóch korpulentnych kucharek i gromadki brudnych dzieciaków, myślał o Magali z pogardą. Skąd mu przyszło do głowy wątpić, że nie jest tym, za kogo się podawała? Wygląd to nie wszystko, ta baba zachowywała się jak najprawdziwsza jaszczurka! Przesypiała całe dnie, wstawiała tylko po to, żeby się wysikać albo pogapić na ścianę. A jak jadła! Przywodziła mu na myśl gekony z Port Chantay, które godzinami tkwiły nieruchomo na ścianach, zanim

młaśnięciem długiego jezora zgarnęły moskita, podnosząc...

Jeden z posługaczy, niosący do jadalni talerz z ryżem i siekaną wieprzowiną, potrącił go. Hota warknął na niego, ale zaraz poczuł wyrzuty sumienia, że bez potrzeby straszy chłopaka. I zadał sobie pytanie, co właściwie robi w tym miejscu? Pomieszkuje z kobietą, która ma wobec niego jakieś tajemnicze plany. Wyleguje się w pokoju, w którym na ścianach manifestują się wizerunki smoków. Powinien dać sobie z nią spokój. Z nią i z Teocinte. Kiedy znów każe sobie podać jedzenie, on powinien zgarnąć torbę z klejnotami i gotówką i ruszyć w głąb łądu, na przykład do Caliche. Albo w ogóle na drugi koniec kraju, na Cypel na Horyzoncie. Tylko czy będzie mógł odejść? Oto pytanie. Może będzie się błąkał zdezorientowany po dolinie, nie mogąc przekroczyć jej granic i co rusz wracając do Teocinte? Doszedł do wniosku, że najpewniej tak właśnie się stanie; wciąż tkwił w potrzasku, który Griaule zastawił na niego w dniu, w którym poznał Magali, i jeżeli kiedyś uda mu się z niego wymknąć, to tylko dlatego, że przestanie być smokowi potrzebny.

Mimo rozdrażnienia Hoty to właśnie ta rozmowa stała się punktem zwrotnym w ich związku. Wprawdzie także przez kolejny miesiąc nie dałoby się nazwać Magali osobą rozmowną, ale od czasu do czasu oprócz wydawania mu poleceń pytała, jak się czuje; stojąc przy oknie, komentowała pogodę albo brzydotę miasteczka; naśmiewała się z furmana, któremu koła wozu ugrzęzły w błocie. Wyglądało na to, że rozwija się w niej osobowość - minimalistyczna wprawdzie i wredna, ale jednak osobowość. Nie porzuciła zwyczaju rozbierania się na oczach Hoty, który dzięki temu mógł śledzić zmiany zachodzące w jej ciele: zarysowującą się powoli fałdkę na brzuchu, pierwsze ślady kurzych łapek w kącikach oczu, ledwie widoczne okłapięcie piersi. Nikt inny nie zauważyłby tych zmian, ale mężczyznę, którego jedynym zajęciem przez ostatnie siedem tygodni było ich obserwowanie, kłuły w oczy jak góry wyrastające z równiny. Zastanawiał się, czy sygnalizują ostatnie stadium jej przemiany, i wbrew wszelkiej logice coraz częściej myślał o niej jak o kobiecie. W efekcie ogień pożądania zapłonął w nim z nową siłą, mimo obaw, że takie zachowanie traci perwersję.

W ósmym tygodniu pobytu w Domu Kłamcy Magali zrobiła się bardziej aktywna - mniej spała i częściej angażowała się w rozmowy z Hotą, które, choć krótkie, wzmacniały łączącą ich więź. Któregoś wieczoru nie posłała go, jak zwykle, po kolację, tylko zaproponowała, żeby razem zjedli ją w gospodzie na dole. Jej sugestia bynajmniej nie zachwycała Hoty, który, nie dość, że z natury był samotnikiem, to jeszcze obawiał się reakcji Magali na obecność tłumu. Kiedy jednak weszli do jadalni - nisko sklepionej sali o ścianach ze znajomych, poszarzałych desek, umeblowanej długimi stołami i ławami i oświetlonej

ozdobnymi latarniami, w których tafle matowego szkła tkwiły w uścisku kutych z żelaza smoków - zastali w niej zaledwie pięcioro klientów: dwie dziwki, które przyszły z klientami na kolację, oraz przysadzistego blondyna o pulchnej twarzy, grubych wargach i zaróżowionej cerze, pijącego piwo z glinianego kufła. Znaleźli sobie miejsce z dala od ludzi, przy ścianie, i zamówili sarninę i wino. Magali siedziała w milczeniu, chłonąc całą scenę. Hota przyglądał się z jej z większą niż przeciętna natarczywością. Zgiełk i gniewne pokrzykiwania w kuchni, śmiech prostytutek - wszystkie dźwięki w gospodzie ścichły gdzieś w oddali. Miał wrażenie, że w pomarańczowym blasku lamp zakłęte jest bijące serce, tworzące pulsujące świetlne tło dla siedzącej przed nim kobiety o promiennobrazowej skórze. Gapił się na nią bezmyślnie - a właściwie poddał się jednej bezkształtnej myśli, rozwijającej się w jego głowie i wymuszającej na nim niemal rytualną koncentrację.

Podano jedzenie. Magali skubnęła stek z dziczyzny, przeżuła, odrzuciła głowę w tył i przełknęła. Powtarzała to zachowanie przy każdym kęsie. Hota pochłonął kolację, nie czując jej smaku; nie odrywał oczu od Magali.

Staruszek z żalonymi strzępkami siwych włosów na pokrytej plamami czaszce, ubrany w połatany fioletowy płaszcz, wszedł do gospody i zaczął wygrywać piskliwie na bambusowej fletni. Podeszedł do innych gości, zebrząc o pieniądze, ale na widok srogiej miny Hota ominął ich stolik.

Hota zdawał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Coś przytępiało mu umysł, tłamsiło tok myśli, on jednak nie miał dość silnej woli, żeby opierać się tej nieznamym sile, czymkolwiek była; twarz i figura Magali bez reszty przykuły jego uwagę. Czerpał szczególną przyjemność z obserwowania konwulsyjnej pracy jej przełyku, pedantycznych ruchów palców i zębów. Jak staruch podglądający młodą dziewczynę, spragniony nie seksu, lecz życia, pożądający jakiejś zakazanej esencji. Dostrzegwał w sobie ten brzydki rys i chciał go odrzucić, ale nie potrafił; śledził więc wzrokiem każdy jej gest i każdą zmianę wyrazu twarzy, ona zaś nie dawała po sobie poznać, czy zauważa intensywność lub specyficzny charakter jego spojrzenia. Tylko z faktu, że ani razu nie spojrzała mu w oczy, wnioskował, że wie, że jest obserwowana, i wszystko, co robi, robi na pokaz. Poczł żar pod czaszką, jakby jego mózg też zaczął pulsować miękkim pomarańczowym światłem.

Gości przybywało i wkrótce rozmowy i śmiechy zagłuszyły odgłosy z kuchni, jednakże w kącie, w którym siedzieli Hota z Magali, nadal panowała względna cisza. Nic nie zakłócało ich odosobnienia. Dwóch barczystych mężczyzn w brudnych roboczych ubraniach dosiadło się do blondyna. Pili szybko, opróżniali kufle paroma haustami, aż w końcu zaczęli popatrywać na Magali, która tymczasem pochłaniała drugi stek. Nachylili się ku sobie,

poszeptali chwilę i wybuchnęli głośnym śmiechem.

W innej sytuacji Hota zignorowałby ich drwiny, ale teraz gniew wezbrał w nim jak ciecz podgrzana w wąskiej fiołce. Zerwał się z ławki, podszedł do ich stolika i spojrzał na nich spode łba. Musieli go znać, przynajmniej ze słyszenia, bo jeden pojednawczym tonem mruknął jego imię, a drugi wbił wzrok w stół. Za to blondyn albo był nowy w Teocinte, albo całkowicie odporny na strach.

- Czego chcesz? - zapytał.

Jeden z pozostałej dwójki posłał mu znaczące spojrzenie, jakby zalecając większą ostrożność, ale blondyn nie przejął się tym zbytnio.

- Czemu się boisz tej kupy gówna? Posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

Widziany przez soczewki gniewu nie wyglądał już jak człowiek, lecz jak ohydny stwór uczepiony poczerńiałego od sadzy pachółka w porcie, paskudztwo o obrzydliwych popędach i apetytach, z różową, gumiąstą gębą będącą karykaturalną namiastką ludzkiej twarzy.

- Co jest, nie umiesz mówić? Trudno, w takim razie ja będę mówił. - Blondyn oparł się wygodnie o ścianę, wsparłszy stopę na ławce. - Wiesz, kim jestem?

Hota milczał.

- Nie wiesz? Mniejsza z tym. Ważniejsze jest to, kim ty jesteś. Jesteś człowiekiem, którego nie trzeba przedstawiać. Bezużytecznym, tępym kłosem. Mógłbyś nosić na szyi tabliczkę z takim podpisem. Świadczyś o sobie wszędzie, gdzie się zjawisz. Wszystkim, co robisz.

Hota miał wrażenie, że jego skóra jest cienką skorupką, pod którą buzuje jakaś wrząca, roztopiona substancja.

- Pewnie najłatwiej byłoby ci myśleć o mnie jak o swoim przeciwieństwie - ciągnął tymczasem blondyn. - Zatrudniam takich jak ty. Wykorzystuję ich do swoich celów. Mógłbym dać się namówić do zatrudnienia ciebie... pod warunkiem, że naprawdę jesteś taki silny, na jakiego wyglądasz. A jesteś?

Na twarzy Hoty zagościł mimowolny uśmiech.

Blondyn parsknął śmiechem.

- Siła to nie wszystko, przyjacielu - powiedział. - Pokonałem wielu takich, którzy byli ode mnie silniejsi. Wiesz jak? - Postukał się palcem w skroń. - Moja siła tkwi tutaj. Mógłbym ci coś odebrać, a ty nie zdołałbyś mnie powstrzymać. Na przykład twoją kobietę. Piękna! Myślałem o tym, żeby cię od niej uwolnić, ale doszedłem do wniosku, że przy tobie będzie się czuła jak w domu. - Prychnął z udawanym zakłopotaniem. - Przez wzgląd na ciebie mam

szczerą nadzieję, że kiedy się rznie, mniej przypomina świnie niż przy jedzeniu.

Kiedy Hota wyciągnął rękę, żeby złapać blondyna za nogę, bliżej siedzący z pozostałej dwójki uderzył go pięścią w czoło. Nie wyrządził mu żadnej krzywdy, za to Hota wyrznął go łokciem prosto w usta, wybijając mu zęby i zrzucając go pod sąsiedni stół. Chwycił blondyna za kostkę i wywlókł na środek sali, przytrzymując mu stopę w górze, tak że tamten nie mógł stanąć na nogi. Trzeci z mężczyzn rzucił się na niego, ale zrobił to bez przekonania, z wyraźnym wahaniem. Hota kopnął go w krocze, po czym złapał blondyna jedną ręką za gardło i uniósł kilka cali nad podłogę. Blondyn wymachiwał rozpaczliwie rękami, próbował odgiąć zaciśnięte palce napastnika. Twarz mu zsiniała, piana pociekła z ust. Nieporadnie wyciągnął zza pasa sztylet i usiłował dźgnąć nim Hotę, ale ten drugą ręką wytrącił mu broń i mocno ścisnął rękę, która przed chwilą trzymała rękojeść. W tej samej chwili rozluźnił uchwyt na gardle blondyna, który osunął się na kolana, wyjąc z bólu, gdy kości miażdżonej dłoni pękały z trzaskiem i chrobotały o siebie.

- Hota!

Magali stała przy drzwiach prowadzących na ulicę. Mimo nagłego tonu zachowywała niewzruszony spokój. Hota puścił blondyna, który przetoczył się na bok, tuląc do piersi okaleczoną dłoń i przeklinając swojego oprawcę. Wokół zebrało się paru gapiów, których wygląd sugerował, że są gotowi do bitki. Hota spiorunował ich wzrokiem, wypiął pierś i zamiast udzielać im jakichś ostrzeżeń, po prostu na nich ryknął.

Dźwięk, który dobył się z jego piersi, był czymś więcej niż konsekwencją poplątanego życia, dawnych złości i społecznych niemożności; wydawało się, że pochodzi z jakiegoś o wiele głębszego źródła, brzmiał jak łoskot obracającego się świata, jak dźwięk wszelkiego Stworzenia zdążającego ku zapomnieniu, triumfalny i wyzywający w swojej grozie; jak dźwięk, który pozostawał niesłyszalny, dopóki nie znalazł właściciela godnego go wyartykułować.

Niedoszli napastnicy cofnęli się w stronę kuchni, Hota zaś, widząc, że nie stanowią już zagrożenia, spokojnie stanął u boku Magali. Z jej twarzy trudno było coś wyczytać, ale wyraźnie wyczuwał emanującą od niej aurę zadowolenia. Wzięła go pod rękę - i to chyba nie bez dumy - i razem wyszli w miasto.

\* \* \*

Nocą Teocinte wydawało się jeszcze bardziej podupadłe niż za dnia: koślawe budy, płomyki migające przez szpary w drzwiach i zza szmat powieszonych w oknach, smagane wiatrem puste ulice, których ciszę z rzadka mąciły krzyki albo śmiech; porzucone dziecko taplające się nago w kałuży pozostałej po wieczornym deszczu; przesłaniający gwiazdziste

fioletowe niebo zarys porośniętego drzewami grzbietu Griaule'a. Miasteczko miało w sobie coś z plemiennej wioski - ludzie kulili się w kruchych schronieniach przed grozą nocy, stale żyjąc w cieniu tejże grozy.

Tej nocy Hota czuł się zupełnie obco - zarówno w Teocinte, jak i we własnym ciele, dręczony jakąś niepokojącą siłą, która utkwiała mu w głowie i pchnęła go do gwałtu - ale bliskość Magali, jej zapach, muśnięcia jej biodra i dotyk piersi na ramieniu nie pozwalały mu popaść w dłuższą zadumę. Szli powoli biegnącą w dół ulicą przed Domem Kłamcy, kierując się w stronę smoczej głowy.

- Powinniśmy teraz lecieć - odezwała się nagle Magali.

- Jak to lecieć? - zdziwił się Hota.

- To najpiękniejsza rzecz na świecie: wspólny lot.

Domyślał się, że coś przed nim ukrywa, i wiedział, że nie lubi być wypytywana, ale tym razem korciło go, żeby ją przycisnąć. Rzadko mówiła o swoim życiu sprzed tamtego pierwszego spotkania. Hota bardzo chciał jej wierzyć, nawet jeśli nie był przekonany, że jest tym, za kogo się podaje. Sam się sobie dziwił, że tak mu na tym zależy; do tej pory nie bardzo wiedział, czego chce, teraz zaś był absolutnie pewien: chciał, żeby Magali okazała się istotą nie z tej ziemi, a on - częścią jej niewiarygodnych planów. Spodziewając się, że tym razem może go posłucha, zapytał, czy mogłaby opowiedzieć o lataniu.

Nie odpowiedziała od razu, Hota pomyślał nawet, że - jak zwykle - zbędzie jego słowa milczeniem, ale po pięciu czy sześciu nieśpiesznych krokach odparła:

- Pewnego dnia sam się przekonasz.

- Nie rozumiem...

- Bo nie możesz rozumieć. Jeszcze nie.

Te słowa inspirowały do dalszych pytań, Hota jednak postanowił pozostać przy tym pierwszym.

- Na pewno możesz mi coś powiedzieć.

Znów przeszli chwilę w milczeniu, zanim się odezwała:

- Każdy lot jest jak ten pierwszy, który nastąpił w chwili stworzenia. Jest ciemno, czujesz się senny, prawie jakbyś nie istniał, a potem budzi cię jakaś potrzeba. Przymus. Wstajesz, twoje skrzydła chrzęszczą, łoskoczą jak grzmot. A potem otacza cię światło i wiatr. Wiatr jest wszystkim. Twoja siła, powiew wiatru, łopot skrzydeł, światło... Wszystko staje się jedną potęgą. Jednym głosem.

Dopóki mówiła, miał wrażenie, że ją rozumie, ale kiedy umilkła, echo jej słów straciło moc i rozmyło się w ogólniki. Próbował je jeszcze badać, odzyskać z nich ułamek odczuć,



jaki budził w nim jej głos, ale na próżno.

Na skraju miasteczka wznosił się porośnięty palmami pagórek, za nim zaś, wśród wysokich traw, spoczywał kanciasty głaz, blisko dwa razy wyższy od człowieka, przypominający skamieniały ząb olbrzyma. Wspięli się na niego i usiedli, zapatrzeni na odległy o sto jardów łeb Griaule'a. Na tle nieba rysował się zarys grzebienia ciemieniowego, ale poza tym głowa smoka była bezkształtnym ciemnym kopcem.

- Ciągłe mi udowadniasz, że czegoś nie rozumiem - poskarżył się Hota. - To frustrujące. Chcę coś zrozumieć, a nie rozumiem nic. Jak to możliwe, że siedzisz tu ze mną w tej postaci... jako kobieta?

Magali uniosła głowę i przymknęła oczy, jakby pławiła się w blasku słońca, po czym opowiedziała mu o duszach smoków. O tym, jak w przeciwieństwie do ludzkich zawierają w sobie postać materialną, zamiast same dać się w niej zamknąć.

- Nasze dusze nie są więźniami ciał, lecz ich strażnikami. Dlatego możemy zmieniać postać w sposób, który dla was jest niedostępny.

- Możesz się zmienić w co tylko zechcesz? Dobrze rozumiem?

- Tylko w smoka lub w kobietę... Tak mi się przynajmniej wydaje, nie jestem pewna.

Hota przetrwał jej słowa.

- Dlaczego Griaule nie zmieni się w człowieka? - spytał.

- Po co miałby to robić? Kto jest bardziej nietykalny: sparaliżowany smok czy sparaliżowany człowiek? W postaci smoka Griaule trwa; w postaci człowieka dawno pożarłyby go jakieś zwierzęta. Zresztą, przemiana jest bolesna, nikt nie lubi jej przechodzić, dopóki nie jest bezwzględnie konieczna.

- Nie wyglądałaś na cierpiącą... kiedy cię znalazłem.

- Kiedy przyszedłeś, ból już osłabł.

Z początku, w głowie Hota kłębiło się tyle pytań, że nie umiał żadnego wybrać, lecz wkrótce jedno z nich wybiło się nad pozostałe: jaka to „bezwzględna konieczność” kazała się jej zmienić w kobietę? Już miał o to zapytać, gdy Magali się odezwała:

- Wkrótce wszystko zrozumiesz - zapewniła go. - Latanie, władzę duszy nad ciałem, sposób i cel mojego przybycia do ciebie... Cierpliwości.

Księżycowa poświata oblała zachodnie wzgórze. W bladym świetle Magali wydawała się niewzruszona, całkowicie wolna od wszelkich emocji, ale przyjrząwszy się jej, Hota ze zdumieniem stwierdził, że jej twarz coś jednak wyraża, jakiś błogi spokój... A może raczej brak czegoś, co dotąd zawsze się na niej malowało, jakby ulotniła się z niej odrobina lęku.

- Griaule... - dodała półszepem.

- Tak? Co z nim? - spytał Hota, zaintrygowany nabożnym tonem jej głosu.

Ale Magali tylko pokręciła głową w odpowiedzi.

Coś czmychnęło w trawę pod głazem. W cieniu głowy Griaule'a coś lekko rozbłysło: to światło zalśniło na czubku kła. Wiatr się wzmógł, ożywił nieruchome dotąd palmy, rozkołysał ich pióropusze, obudził je z westchnieniem niemego wyczekiwania. Magali skrzyżowała ręce na piersi.

- Jestem gotowa - powiedziała.

Hota spodziewał się, że ma na myśli po prostu powrót do Domu Kłamcy, ponieważ chwilę później zeskoczyła z głazu i zaprowadziła go z powrotem do pokoju, ale gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, stało się jasne, że chodziło jej o coś więcej. Szybko się rozebrała i stanęła przed nim w milcząco zapraszającej pozie. Jej skóra lśniła w migotliwym świetle. Opadające na piersi pasma włosów przywodziły na myśl czarne dopływy rzek na zmysłowej mapie brązowej krainy. W jej oczach jarzyły się pomarańczowe ognie. Wyglądała jak magiczny kobiecy skarb, którego wewnętrzny blask przyćmiewa światło lamp. Kruche opory Hoty przed fizyczną bliskością rozplynęły się bez śladu. Zrobił krok w jej stronę i dał się pociągnąć na łóżko.

Przez pierwsze trzydzieści jeden lat życia Hota kochał się tylko z jedną kobietą: swoją żoną. Po niej jednak było znacznie więcej kobiet i uważał się za dość doświadczonego kochanka, ale zachowanie Magali znacząco poszerzyło jego horyzonty. Przez większość czasu leżała spokojnie, z półprzymkniętymi oczami, jakby błędziła myślami gdzie indziej i po prostu dawała mu się penetrować. Zdarzały się jednak chwile, w których znenacka zaczynała się miotać i szarpać, odpychała go i drapała, krzycząc chrypliwie i rzucając się na wszystkie strony z taką desperacją, że niemal wysadzała go z siodła. Za pierwszym razem potraktował to jako odrzucenie i z niej zeskoczył, ona jednak przyciągnęła go z powrotem i gdy tylko znów się w niej znalazł, ponownie znieruchomiła. To przechodzenie z trupiego bezwładu do dzikiego wzburzenia i z powrotem niepokoiło Hotę do tego stopnia, że nie umiał dać się ponieść zmysłom; jednym uchem cały czas nasłuchiwał dobiegających z sąsiednich pokoiów odgłosów kupionych namiętności. Kiedy po wszystkim wyciągnął się obok niej na łóżku, spocony i zdyszany, zażyczyła sobie powtórki. Drugie zbliżenie do złudzenia przypominało pierwsze, było równie niezręczne i puste emocjonalnie, a Magali w fazie szału jakby współuczestniczyła w akcie w jeszcze mniejszym stopniu, niż kiedy leżała spokojnie. Zaczęła kąsać go po rękach i ramionach, chrypiąc przy tym gardłowo. Za to trzecie spotkanie, do którego Hota został z zapalem przymuszony, wyglądało inaczej.

Magali podciągnęła kolana, z zapamiętaniem wychodziła na spotkanie jego pchnięć,

cały czas obejmując go za szyję i nie odrywając wzroku od jego twarzy, aż w końcu z jej piersi wydarł się rozedrgany krzyk, a kolana zacisnęły się na bokach Hoty, unieruchamiając go całkowicie.

Kiedy się wycofał (zadowolony, że udało im się naprawdę do siebie zbliżyć), starał się być czuły i delikatny, lecz ona nie odzywała się i unikała jego dotyku. Zmieszany jak nigdy przedtem, Hota domyślił się, że Magali wciąż czuje się obco w nowym ciele, i doszedł do wniosku, że najlepiej będzie zachować cierpliwość. Tak daleko zaszli, że bez względu na to, co ich jeszcze czeka, zdążą zażegnać wszelkie problemy. Przeniósł znużone spojrzenie na sufit. W świetle lamp wyrysowane w słojach smoki poruszały się, dygotały z ożywieniem, jakby szykując się do lotu. Patrzył na nie i wyobrażał sobie, że jeśli będzie je obserwował dostatecznie długo, któryś w końcu pofrunie: maleńki czarny szkic oderwie się od deski i zatoczy krąg w pokoju. W końcu zasnął.

Następny dzień wstał szary, dżdżysty, chłodny. Hota obudził się i zobaczył, że Magali stoi przy uchylonym oknie: ubrana w ulubioną zieloną sukienkę wyglądała na ulicę. Usiadł półprzytomnie i potarł oczy. Sprężyny łóżka jęknęły przeraźliwie, ale Magali nie zareagowała.

- Magali? - odezwał się.

Udała, że nie słyszy. Deszcz się nasilił, zabębnił głośno w blaszany dach. Czując ukłucie zimna, Hota spuścił nogi na podłogę, wygarnął ze zmiętej pościeli koszulę i zaczął ją wciągać przez głowę.

- Coś się stało? - zapytał.

- Dałeś mi dziecko - odparła, nie odwracając się.

Hota znieruchomiał z koszulą zaplątaną wokół szyi. Chciał zapytać, skąd może to wiedzieć, ale w porę sobie przypomniał, że Magali posiada rozległą wiedzę, do której on nie ma dostępu.

- Syna - dodała zgaszonym głosem. - Będę miała syna.

Idea ojcostwa już od jakiegoś czasu nie figurowała w planach Hoty, toteż pierwszą jego reakcją było zaniepokojenie, jak też sobie poradzi z taką odpowiedzialnością. Obciągnął koszulę, zakrywając brzuch.

- Nie wyglądasz na szczęśliwą. Nie chcesz dziecka?

- To, czego chcę, nie jest ważne - odparła i dodała po chwili wahania: - Poród będzie bolesny.

Jej zachowanie - tak odmienne od wszystkiego, czego mógł się po niej spodziewać - także u niego wywołało dziwną reakcję: zaczął się zastanawiać, jakie to uczucie, zostać

ojcem.

- Może nie będzie tak źle - pocieszył ją. - Znam kobiety, które nie cierpiały przy porodzie. A potem będziemy mieli syna i może to nam...

- To nie jest twój syn - przerwała mu. - Ty go spłodziłeś, ale będzie synem Griaule'a.

Deszcz jeszcze bardziej się wzmógł i jego wzmocniony przez blachę łoskot wypełnił pokój. Hota ledwie słyszał własny głos. Ledwie słyszał nawet własne myśli.

- To niemożliwe - powiedział.

Magali odwróciła się do niego.

- Czy ty mnie w ogóle nie słuchałeś?

- A w którym momencie powiedziałaś mi coś, co wyjaśniałoby takie słowa?

Patrzyła na niego z twarzą kompletnie bez wyrazu.

- Griaule jest najstarszą ze wszystkich żywych istot. Na przestrzeni wieków jego dusza rosła razem z ciałem. Nie umiem powiedzieć, jak daleko sięga, ale z pewnością daleko poza granice tej doliny. Leciłam nad morzem, kiedy mnie przyciągnął. - Opadła na krzesło stojące przy oknie. Położyła ręce na kolanach. - Dusza otula go jak wielki bąbel; nie jest wykluczone, że ten bąbel rozpościera się dziś na cały świat, jest natomiast pewne, że ty przez całe życie pozostawałeś w jego obrębie. A teraz Griaule przyciągnął także ciebie. Całkiem możliwe, że to on sprowokował wydarzenia, które doprowadziły do twojej ucieczki z Port Chantay; to by do niego pasowało, o ile mogę w ogóle oceniać jego charakter i działanie tak skomplikowanego, pokrętnego umysłu.

Hota bardzo chciał zaprzeczyć, nie umiał jednak zbudować żadnej konstrukcji logicznej, która udźwignęłaby takie zaprzeczenie.

- Nie rozumiesz? Griaule zapragnął mieć syna. Ponieważ nie mógł uczestniczyć w akcie poczęcia, obmyślił sposób, który pozwolił mu spłodzić potomka swojej woli. W tym celu znalazł mężczyznę, ucieleśniającego niektóre jego cechy: statecznego, silnego, wytrzymałego i zdolnego do wielkiego gniewu - jego ludzki odpowiednik, który spełni wyznaczoną mu rolę. A potem wybrał mnie, bym wytrzymała narodziny.

Deszcz zaciął przez okno do środka. Hota przeszedł przez pokój, zamknął je i wrócił na łóżko.

- Musiałaś wiedzieć od początku. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Magali zacmokała z rozdrażnieniem.

- Nie wiedziałam wszystkiego. Nadal nie wiem. Poza tym, jak ci już mówiłam, wszystko, co się z nami dzieje, dzieje się nie z mojej woli. A nawet gdybym miała coś do powiedzenia, to nie jestem taka jak ty, Hota. Inaczej myślę. Kieruję się innymi motywami.

Pytałeś, dlaczego byłam nieszczęśliwa... Ja nigdy nie jestem szczęśliwa. Moje uczucia... Nie rozumiałbyś ich.

- Powinnaś mi była powiedzieć - upierał się smętnie.

- Tylko byś się zdenerwował. I tak nic byś na to nie poradził.

- Tak czy inaczej, okłamałaś mnie. Nie zasłużyłem sobie na to, żeby ukrywać przede mną fakty.

- Wcale cię nie okłamałam! A czy ukryłam przed tobą część prawdy? Tak. Musiałam. Wszystko, co wiem, i wszystko, czego nie wiem, może mieć dla ciebie dobre lub złe skutki. I to właśnie naprawdę cię interesuje, prawda? Chcesz wiedzieć, co się z tobą stanie. I dowiesz się, zobaczysz; doczekasz się odpowiedzi na wszystkie swoje pytania i będziesz zadowolony. Przynajmniej tak mi się wydaje, choć pewności mieć nie mogę. W tym rzecz, rozumiesz? Każda moja odpowiedź byłaby w gruncie rzeczy kłamstwem. Każda poza „nie wiem”.

Jej wywód miał na Hotę tak samo dezorientujący wpływ jak deszcz. Wierzył jej, ale czuł się tak, jakby w nic nie wierzył i nic nie wiedział. Siedział ze zwieszoną głową, ospały i apatyczny, gapiąc się na swoje dłonie i poruszając palcami.

- A my? Co będzie z nami?

- Razem przemierzmy całą drogę i przekonamy się, co nam zgotował los. Tylko tyle mogę ci powiedzieć.

- Nie wierzę ci.

- W co dokładnie nie wierzysz?

- W to, co mówisz o swoich uczuciach. Wiem, że w nocy byłaś szczęśliwa. Przynajmniej przez pewien czas.

Nachyliła się ku niemu i odparła powoli, z przesadną emfazą, jakby mówiła do dziecka:

- Dawniej żyłam w jaskini na skale urwiska. Byłam sama, a jednak niczego mi nie brakowało. Wystarczał mi świat, który znałam. - Cofnęła się i rozsiadła wygodnie na krześle.

- A ta noc, to było coś... dziwnego. Nieważne: było, minęło. Ten zakręt drogi mamy za sobą.

Nagle jakby straciła zainteresowanie rozmową i jej wzrok zbłądził na ścianę z desek.

Światło deszczowego dnia tłumilo i umniejszało jej urodę.

- A ty jesteś szczęśliwy? - spytała po długim milczeniu.

- Chyba byłem. Przez chwilę. - Hota dostrzegł swoje leżące na podłodze spodnie, wszedł w nie i zaczął je podciągać. - Dlaczego Griaule to robi? Po co mu syn?

- Nie mam pojęcia. Może to z jego strony jakaś gra. Nikt nie zna zamiarów Griaule'a. Potrafi snuć plany, których realizacja trwa tysiące lat. Jest jedyny w swoim rodzaju, tak

bardzo różny ode mnie, jak ja jestem różna od ciebie. Nikt nie jest w stanie zgłębić jego zamysłów.

Deszcz nagle ustał i zza chmur wyrzowało blade słońce. Powiał wiatr. Zniekształcony cień okna - jasne szyby i ciemne szprosy - zadrżał na podłodze.

- Muszę coś zjeść - oznajmiła Magali.

\* \* \*

Hota, który miał nadzieję, że wspólna noc będzie początkiem zacieśnienia ich znajomości, wkrótce się przekonał, że w rzeczywistości była jej szczytowym momentem, po którym związek osunął się w fazę użytecznego oddalenia. Hota przynosił Magali jedzenie i wszystko inne, czego potrzebowała, a także strzegł jej z zapalem godnym fanatycznego wyznawcy. W miarę jak jej brzuch rósł, rozmawiali coraz rzadziej i poruszali coraz mniej tematów - brzuch zaś pęczniał o wiele szybciej niż przy typowej ciąży: po zaledwie czterech tygodniach Magali wyglądała jak kobieta tydzień przed terminem. Prawie nie wstawała z łóżka. Nie schodzili już do gospody, nie spacerowali razem po miasteczku. Pogrążony w zadumie Hota, na zmianę, to przesiadywał na krześle, to stawał przy oknie. Okno zresztą poznał wkrótce nie gorzej niż ciało Magali. Nauczył się dostrzegać wszystkie jego szczegóły: zielonkawe plamy pleśni na futrynie, pęknięcie na środkowym szprosie, spęczniałe plamy wilgoci, fragmenty spróchniałe i rojące się od korników. Myślał wtedy, że postępujący szary rozkład okna jest typowy nie tylko dla samego pokoju, lecz także dla całego jego życia - szarej, nędznej przestrzeni, więżącej jego ducha i ograniczającej wzrost.

Zauważył, że zmienił się jego status w Teocinte. Dawniej mieszkańcy go unikali i mało kto ważyłby mu się narazić - teraz, kiedy przechodził ulicą, nikt go nie witał ani nie pozdrawiał, za to ludzie na jego widok zbijali się w grupki, szeptali między sobą i posyłali mu złośliwe spojrzenia. Powody tej zmiany pozostawały nieznane do pewnego popołudnia, kiedy to po wejściu do gospody Benno Grustark zaczepił go przy drzwiach i zażądał dwa razy wyższego czynszu niż dotychczas.

- Przez ciebie tracę klientów - powiedział. - Musisz mi to wynagrodzić.

Hota przypomniał mu, że Dom Kłamcy jest jedyną w Teocinte gospodą, w której przyjezdni mogą się zatrzymać na noc, i dodał, że wobec tego wątpi w prawdziwość jego słów.

- Niektórzy, kiedy o tobie usłyszą, wolą spać pod gołym niebem, niż wynająć pokój u mnie - odparł Benno.

- Kiedy o mnie usłyszą? - zdumiał się Hota. - A co takiego się o mnie mówi?

Benno - ubrany tego dnia jak zwykle w brązowe spodnie z moleskinu i opiętą na

wydatnym brzuchu czerwoną bluzę, które nadawały mu niestosownie jowialny wygląd - przestąpił z nogi na nogę i strzelił oczami na boki, jakby się bał, że ktoś trzeci może go usłyszeć.

- Chodzi o twoją kobietę. Ludzie gadają, że to... wiedźma.

Hota parsknął śmiechem.

- To wcale nie jest zabawne - ciągnął Benno. - Co innego mają myśleć? Jest z tobą od paru miesięcy, a zaraz będzie rodzić!

- Była brzemienna, zanim ją tu sprowadziłem.

- Ach tak... To gdzie ją wcześniej trzymałeś, w kieszeni? A może zapłodniłeś ją na odległość?

- To nie moje dziecko - odparł Hota i zdał sobie sprawę, że w przeciwieństwie do poprzedniego stwierdzenia, to jest tylko częściowo fałszywe.

- Widziałem ją, kiedy przyszła tu pierwszy raz - przypomniał Benno. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie. - Nic nie było po niej widać. Później też ją jeszcze raz widziałem, z miesiąc temu, w korytarzu. Też nie miała brzucha.

- Są kobiety i kobiety. Sam wiesz.

Benno zamierzał dalej protestować, ale Hota nie dał mu dojść do słowa.

- Skoro jesteś taki spostrzegawczy, to domyślam się, że właśnie ty rozsiewasz plotki na jej temat - powiedział.

Benno wybałuszył oczy i zamachał rękami na wysokości piersi w teatralnym geście zaprzeczenia.

- Mnóstwo ludzi ją widziało! Inni goście, niektóre z moich dziewczyn... Jej ciąża to nie tajemnica.

Hota wygrzebał z kieszeni kilka monet i wcisnął je Bennowi w dłoń.

- Masz. I daj nam spokój.

Ciężkim krokiem ruszył ku schodom.

Benno poszedł za nim, zatrzymał się dopiero na pierwszym stopniu.

- Jak tylko będzie mogła podróżować, macie się wynieść! Oboje! Słyszałeś? Nie będę was tu trzymał ani dnia dłużej, niż to konieczne!

- Z przyjemnością się wyprowadzimy. - Hota zatrzymał się w połowie długości schodów i odwrócił do Benno. - Ale jedno sobie zapamiętaj: zanim to nastąpi, lepiej zrobisz, skupiając się na uciszaniu plotek na jej temat, niż na ich rozpuszczaniu. - Przeszedł mu do głowy pewien pomysł. - Powiedz no, co ci do łba strzeliło, żeby drewno do budowy gospody wziąć z drzew rosnących na grzbiecie Griaule'a?

Na twarzy Benno lęk ustąpił miejsca zakłopotaniu, a Hota uświadomił sobie, że sam ostatnio często miewa taką właśnie minę.

- Po prostu je ściałem i już - odpowiedział Benno. - Taką miałem chęć.

- To kolejne z twoich kłamstw? Czy po prostu nie znasz odpowiedzi?

\* \* \*

Przez następne dwa tygodnie Magali coraz łatwiej się irytowała; zamiast prosić Hotę o przysługi, wydawała mu rozkazy i bez ogródek wyrażała swoje niezadowolenie, kiedy ociągał się z ich wykonaniem, poza tym zachowywała oschłe milczenie. Pozostawiony sam sobie Hota zamartwiał się o los dziecka, bo wyobrażał sobie, że na świat przyjdzie jakiś mutant o odrażającym wyglądem i paskudnym charakterze. A kiedy Magali urodzi takiego potwora, dokąd z nią pójdzie? Gdzie znajdą miejsce, w którym ludzie zechcą ich tolerować? Nie potrafiłby jej porzucić - chociaż nie umiałby powiedzieć, czy była to cecha jego charakteru, czy Griaule'a. Zresztą, wcale nie szukał odpowiedzi na to pytanie, po prostu pogodził się z tym, że w tej chwili tak właśnie wygląda jego życie, i starał się uodpornić na zwątpienie i melancholię. Tyle tylko, że zwątpienie i melancholia krążyły wokół niego jak sępy nad zranionym psem. Łoskot deszczu, który ostatnio nieustannie bębnił o blaszany dach, niósł się echem w jego snach i bez reszty wypełniał jawę. Hota patrzył przez okno, jak ulica zmienia się w grzęzawisko, ludzie przy każdym kroku rozchlapują wodę, gnijące strzechy spływają brunatno-zieloną mazią, a zmoknięte bezpieczeństwa psy kulą się pod schodami i okapami domów. Drewno i ubrania śmierdziały pleśnią. Świat tonął w deszczowej szarudze, a on czuł, że tonie w szarudze własnej egzystencji.

Aż nadszedł dzień, w którym deszcz prawie ustał i Magali się ożywiła. Była całkiem spokojna, zgoła nieskłonna do irytacji, ba, nawet przeprosiła go za swoje humory i zainicjowała rozmowę o tym, czego będzie potrzebowała po narodzinach dziecka. Zapytał, kiedy nastąpi poród.

- Wkrótce - odparła. - Ale to nie twoje zmartwienie, ty po prostu dostarczaj mi jedzenie. Mięso. I pilnuj, żeby nikt mi nie przeszkadzał. Resztą sama się zajmę.

Wyjaśniła, że potrzebuje ziela, które rośnie po drugiej stronie ogona Griaule'a i jest najskuteczniejsze, kiedy zebrać je w szczytowym okresie pory deszczowej. Opisała mu je dokładnie, prosząc, żeby jeszcze tego samego dnia udał się we wskazane miejsce i zebrał go tyle, ile zdoła, bo chciałyby zacząć je przyjmować najszybciej, jak to możliwe. Musnęła ustami jego policzek, co było najbliższą namiastką pocałunku w całym okresie ich znajomości, i próbowała go nakłonić, żeby natychmiast wyruszył w drogę, ale ta nieśmiała oznaka czułości, tak zupełnie do niej niepodobna, kazała Hocie zapytać, co do niego czuje.



Prychnęła w odpowiedzi, zniecierpliwiona.

- Przecież ci mówiłam: odczuwam inne emocje niż ty.

- Nie jestem głupi, mogłabyś spróbować mi wyjaśnić.

Przysiadła na skraju łóżka i obrzuciła go taksującym spojrzeniem.

- A ty? Co do mnie czujesz?

- Jestem ci oddany - odparł po chwili namysłu. - Tak chyba można powiedzieć.

Chociaż to się zmienia: cały czas jestem ci posłuszny, ale zdarzają się chwile, kiedy mnie denerwujesz... i kiedy się ciebie boję. A kiedy indziej pożądam cię.

Zapatrzyła się w podłogę, jakby śledziła wynurzające się z drewna czarne sylwetki smoków.

- Miłość i żądza - powiedziała w końcu z wyraźną nostalgią w głosie. - A ja... - Zirytowana pokręciła głową. - Nie wiem.

- Postaraj się!

- Takie to dla ciebie ważne?

- Bardzo.

Zacisnęła wargi.

- Nieuchronność i wolność. To właśnie czuję w odniesieniu do ciebie, do naszej sytuacji... - Rozłożyła bezradnie ręce. - Lepiej nie umiem tego określić.

Zagubiony Hota poprosił, żeby wyjaśniła, co ma na myśli.

- Nie planowałeś nic z tego, co się wydarzyło, a jednak wszystko było nieuniknione. To Griaule narzucił nam tę nieuchronność. Ale nieważne, musimy wspólnie przebyć wyznaczoną nam drogę i postarać się zrobić to jak najlepiej. Dlatego... połączyła nas więź.

- A wolność? O co chodzi z tą wolnością?

- Odkrywanie własnej drogi do wolności w ramach tego co nieuniknione, w granicach narzuconych przez los więzów... Tym właśnie jest dla mnie miłość. Dopiero kiedy pogodzisz się z ograniczeniem, możesz się z niego wyzwolić.

Hota pokiwał głową, jakby ją rozumiał - i w pewnym stopniu naprawdę tak było, nie umiał jednak odnieść swojego rozumienia do tego, co sam czuł, i co chciał, żeby ona czuła.

Musiała to chyba wyczytać z jego twarzy, ponieważ dodała:

- Często odczuwam też inne emocje, a raczej ich cienie... ich szepty. Są chyba podobne do twoich. Niepokoją mnie, ale nauczyłam się je akceptować. - Skinęła na niego, żeby podszedł bliżej, i wzięła go za rękę. - Nasze losy już zawsze będą powiązane. Kiedy się z tym pogodzisz, odnajdziesz wolność. - Położyła się i odwróciła na bok. - Proszę, idź już. Przynieś mi to ziele. Dziś jest najlepszy dzień.

Nie było drogi na skrót do miejsca, w którym rosła ta roślina - chyba że w poprzek cielska Griaule'a, a Hota nie palił się do powrotu w tamte okolice. Wyszedł więc na wzgórze za miastem i przez godzinę maszerował przez porastający ich grzbiety sosnowy las, aż dotarł do przełęczy, którą niemal w całości wypełniał podłużny trawiasty wzgórek, wijący się wśród wzgórz: ogon Griaule'a. Przeszedł na jego drugą stronę i szedł jeszcze pół godziny przez gąszcz karłatek, aż znalazł się na spłachetku łagodnie pofalowanej łąki w okolicy tylnej łapy smoka, gdzie wśród wysokich traw rosło ziele o drobnych niebieskich kwiatach.

Pracował zawzięcie, zrywał rośliny, wrzucał do worka i ubijał. Napęlniwszy worek w dwóch trzecich, usiadł pod karłatką, której liście wciąż jeszcze ociekały deszczówką, naprzeciw olbrzymiego zielonego kopca smoczego cielska, i wyjął drugie śniadanie, na które składały się chleb z serem i piwo.

Siedział i jadł, a zdarzenia z jego życia same układały się przed nim w schludne szyki, aż uświadomił sobie, że pierwszy raz ma jakiś ważny cel do osiągnięcia. Pomijając chwilowe impulsywne zrywy, nigdy niczego naprawdę nie pragnął, dopóki na grzbiecie Griaule'a nie spotkał Magali. Tak jak do dnia śmierci żony nie zrobił niczego z własnej woli, tylko działał mechanicznie, kopiując życie ojca i stryjów, urodzeniem zmuszony do przestrzegania praw rządzących jego klasą. Oczywiście dopuszczał możliwość... Nie, właściwie to był pewien, że od samego początku ktoś inny kierował jego życiem. To nie Hota podjął decyzję o tym, co zrobił w Port Chantay i jak potem żył; był po prostu pionkiem w planie Griaule'a. I nie miało znaczenia, czy siłą sprawczą były w tym wypadku magiczne knowania smoka, czy przymus społeczny. Główna różnica polegała jego zdaniem na tym, że do celu, który obecnie realizował - roli ojczyzna dziecka i opiekuna kobiety, która była smokiem - został specjalnie wybrany, jako najlepszy z grona wielu dostępnych kandydatów. Ta myśl zrodziła w nim uczucie, którego doświadczał tak rzadko, że miał trudności z jego nazwaniem: dumę. Duma przenikała go do szpiku kości, łagodząc lęk i niechęć do bycia wykorzystywanym w tak dziwny sposób.

Z południa nadciągnęła armada chmur o ciemnych brzuchach i posrebrzonych krawędziach, ocierając się o ostre szczyty odległych wzgórz i grzmiąc, jakby skały rozdierały im kadłuby. Białe błyskawice baraszkowały między nimi i dźgały ziemię. Spadły pierwsze krople deszczu, duże, uderzające jak zimne szrapnele. Hota porzucił resztki posiłku na pastwę mrówek i wrócił do pracy, rwąc rośliny garściami i upychając je w worku. Wkrótce grzmiało już wszędzie dookoła, ogłuszające grzmoty przewalały mu się nad głową, przelewały jeden w drugi. Nagle usłyszał basowe dudnienie, dochodzące z jakiegoś miejsca bliższego niż niebo, jakby potężny, zgrzytliwy głos wyrażający triumf, nasycenie i ślepą

rozkosz, który rozbrzmiewał o wiele za długo jak na zwykły grom. Wypuścił worek z rąk i wybałuszył oczy na Griaule'a. Spodziewał się, że olbrzymi kopiec lada chwila strząśnie z barków płaszcz ziemi i drzew i zacznie chodzić. Oczekiwał również, że gigantyczny łeb podniesie się i przyszpili go spojrzeniem złotego oka. Deszcz pozlepiał mu włosy i ściekał po twarzy, a on stał jak skamieniały, czekając, aż głos zabrzmi ponownie.

Czas jednak płynął, a Hota nie słyszał nic niezwykłego i zaczynał powątpiewać, czy za pierwszym razem się nie przesłyszał - mimo że głos dudnił mu wciąż w pamięci, głęboki i gardłowy; głos, który mógłby być głosem samej ziemi albo głosem demona rozkoszującego się smakiem świeżo pożartej ludzkiej duszy. Jeżeli jednak naprawdę go słyszał, i jeżeli to był głos Griaule'a (Griaule'a, który nigdy się nie odzywał), to Hocie przychodziła do głowy tylko jedna rzecz, która mogła wywołać tak niecodzienną reakcję: dziecko.

Z nowym zapalem wrócił do napełniania worka, szarpiąc zielsko i nie bacząc na deszcz. W końcu, kiedy wypełniony worek osiągnął średnicę koła od wozu, zarzucił go sobie na ramię i ruszył w drogę powrotną do Teocinte.

Zanim skręcił z grzbietu wzgórze, żeby przez sosnowy las zejść do centrum miasteczka, dygotał na całym ciele. Był przemoczony do suchej nitki, ale myślał tylko o dobru Magali, nie o swoich wygodach. Na pewno potrzebowała ziela w związku ze zbliżającym się rozwiązaniem; cierpiała okrutnie, nie mając do niego dostępu. Myśl o tym, że mógłby ją zawieść, dręczyła go stokroć bardziej niż przenikliwy ziąb. Przyśpieszył kroku na stromym zboczu, zsuwając się z niego bokiem, w nierównym rytmie, z workiem przewalającym się po plecach. Niżej, gdzie sosny rzedyły, ustępując miejsca bananowcom i krzewom, usłyszał ludzkie głosy. Mignęli mu jacyś ludzie biegnący w górę stoku, zanadto jednak troskał się o los Magali, żeby zadać sobie pytanie o przyczynę ich pośpiechu. Rozgarnął ostatnie krzewy i wypadł na bitą drogę w miasteczku. Poprawił worek, który zsunął mu się z ramienia, i spojrzał w lewo, gdzie znajdował się Dom Kłamcy.

I stanął jak skamieniały. W głębi błotnistej i wyboistej ulicy, obfitującej w kałuże, sieczonej deszczem i obstawionej z obu stron chałupami, którym koślawość i ogólne wyniszczenie nadawały wygląd wysuszonych na wiór drewnianych czaszek w blaszanych kapeluszach, stały zgliszcza gospody. Wyglądała, jakby w środku doszło do eksplozji: ściany i dach zostały odrzucone na zewnątrz, ale niezbyt daleko - w sam raz, żeby utworzyć coś na kształt olbrzymiego gniazda z potrzaskanych szarych desek, połamanych mebli, porozdzieranych materaców i kawałków blachy; efekt psuł tylko jeden jedyny ocalały narożny słup z kawałkiem podłogi. W samym środku tej ruiny ujrzał brązowołoską smoczycę. Siedziała z podniesioną głową, ciałem otulała szarobiałe jajo dwa razy większe od

przyniesionego przez Hotę worka z ziele. Od czubka nosa do końca ogona mierzyła około czterdziestu stóp. Znad otaczających ją desek unosił się słup czarnego dymu, rozmywany w tej chwili przez deszcz. Dymiły również zgłiszczona rudery naprzeciw gospody. Zionęła ogniem, domyślił się Hota, i poczuł ukłucie żalu, że tego nie widział.

Nikogo nie było w pobliżu; instynktownie wyczuwał, że Teocinte opustoszało. Wszyscy uciekli, włącznie ze złodziejami i mordercami. Tylko on został. Ludzie, których minął na obrzeżach miasteczka, musieli być maruderami. Worek nagle zaczął mu ciążyć, więc Hota zrzucił go na ziemię. Nawet mu przez myśl nie przeszło, żeby uciekać. Chłonał rozgrywającą się przed nim scenę z zachłannością konesera spustoszenia, napawając się każdym szczegółem, każdą zmianą odcienia, każdym potrzaskanym węglem. Dom Kłamcy został zbudowany z dokładnie takiej ilości drewna, jaka była niezbędna do utworzenia gniazda - było go dostatecznie dużo, żeby zapewnić jaju ochronę, a zarazem w sam raz, żeby nie ograniczał pola widzenia wysiadującej jajo Magali. Kolejny pomysł Griaule'a wcielony w życie, pomyślał Hota. Deski ułożyły się idealnie: te, które stanowiły ściany między pokojami, eksplodowały na zewnątrz i niczym ochronny mur stanęły wokół właściwego gniazda; te zaś, które składały się na ściany zewnętrzne, zapadły się do środka, tworząc usiane odłamkami przedpole, zdradzieckie i trudne do pokonania przez intruzów.

Trwał jeszcze w zachwycie nad precyzją planu Griaule'a i doskonałością jego realizacji, gdy Magali zwróciła ku niemu osadzoną na giętkiej szyi głowę i wydała z siebie dźwięk, który - choć pozbawiony chtonicznej mocy grzmotu, jaki słyszał poprzednio - sam w sobie był wystarczająco potężny, żeby go przerazić. Zaczął się jako gardłowe krakanie, po czym wzniósł się do przenikliwego świszczącego wrzasku, który jak lodowaty drut przeszył mu mózg. Teraz już najchętniej by czmychnął, ale widok przykuł go do miejsca: wyglądała tak pięknie, tak niezwykle, siedząc na gnieździe wśród ruin, z dzieckiem zamkniętym w połyskliwej skorupie, gdy dym wznosił się nad nimi jak czarne kadzidło palone na cześć jakiegoś bożka. Jej grzebień, również brązowy, miał nieco inny odcień niż reszta ciała, jakby pożerała go korozja; tak samo wyglądały krawędzie niektórych łusek. Kształtem głowy różniła się od Griaule'a - przypominała raczej węża, nie ptaka. Jej ślepia - ciemne, osadzone głęboko w oczodołach - mieniły się różnokolorowymi jasnymi plamkami. Złożone skrzydła były czarne jak obsydian, a ich rozpory drapieźnie ostre. Wyglądała jak prastary orientalny skarb zakuty w jarmarczny pancerz. Krzyknęła ponownie i tym razem Hota odniósł wrażenie, że rozumie, co wyraża jej natarczywy głos.

Ziele. Chciała dostać swoje ziele.

Zarzucił worek na ramię, zmusił się do postawienia pierwszego kroku i powłóczę

nogami, ruszył w jej stronę - stanowczy, choć bliski omdlenia, z moszną zimną i skurczoną ze strachu. Zatrzymał się w miejscu, gdzie z dawnych frontowych schodów zostały drzazgi. Próbował sobie wyobrazić, jak wyglądała ta gwałtowna zmiana. Podłoga nie wytrzymała nagle powiększonego ciężaru Magali, która uderzeniami głowy i smagnięciami ogona zmiotła ściany. Dym i deszcz nie były w stanie przytłumić bijącej od niej gorzkawej woni ozonu.

Kiedy otworzył worek, zamierzając wysypać zawartość na ziemię, krzyknęła po raz trzeci. Uderzenie dźwięku omal go nie ogłuszyło.

Bliżej.

Kazała mu podejść.

Zdawał sobie sprawę, że już z tej odległości mogłaby wyciągnąć szyję i zgarnąć go jednym kłapnięciem szczęk, więc właściwie nie miał powodów, żeby coraz bardziej się bać, a mimo to, strach w nim narastał. Zarzucił worek na ramię i zaczął ostrożnie brnąć przez zgliszcza, wśród połamanych kanap, pofałdowanych dywanów ciężkich od zalewającej je deszczówki, palisad potrzaskanego drewna, stosów drobiazgów osobistych należących do gości gospody: bielizny, butów, okularów, książek, blaszanych pudełek, sakw, piersiówek... Kolekcja ludzkich skarbów, podartych i połamanych. Pokonując ostatnią z tych przeszkód, dostrzegł przed sobą szponiastą łapę; pazury lśniły czernią, a równiutkie łuski, z których się wyłaniały, były nie większe od męskiej dłoni. Deski, po których w tej chwili stapał - te, które rozsypały się od środka na zewnątrz, okalając gniazdo - tętniły ożywionymi postaciami smoków: sylwetki maleńkich gadów o idealnych kształtach poruszały się i zmieniały, wyraźniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Przepływając jedna w drugą, naśladowały ruch, jakby Griaule chciał za pomocą zrodzonych w swoim umyśle ruchomych obrazów przekazać synowi dzieje jednego smoka, historię jego lotów, polowań i rządów. Hocie przywodziły na myśl dekorację w dzieciennym pokoju: były wprawdzie magiczne, ale poza tym niewiele się różniły od ryb, które namalował na suficie pokoju w Port Chantay, gdy żona oznajmiła mu, że jest w ciąży. Później, kiedy dowiedział się, że tym kłamstwem chciała po prostu zatrzymać go przy sobie, zamalował ryby.

Znalazłszy się w cieniu łukowato wygiętej szyi i łuskowatej piersi Magali, stwierdził, że nie potrafi podnieść na nią wzroku. Wytrząsnął zielsko z worka i stał ze spuszczoną głową, sparaliżowany mocą jej świszczącego jak maszyna parowa oddechu, wstrząśnięty jej bliskością i witalnością. Zamknął oczy i czekał, aż zagryzie go, przeżuje i połknie, gdy nagle poczuł szturchnięcie, po którym zatoczył się w bok, odbił od ściany gniazda i klapnął na tyłek. Smukła, klinowata głowa gada zawisła sześć stóp nad ziemią i przyszpiliła go spojrzeniem opalizującego oka. Z żebrowanych nozdrzy dobyło się delikatne prychnięcie. W

smoczym brzuchu zaburczało, łeb Magali zatoczył krótki łuk i znalazł się na wprost twarzy Hoty. Owionął go wilgotny oddech. To wszystko nie mieściło mu się w głowie: jego własne nasienie przemieniło się w nasienie smoków i splodził jajo, a piękna kobieta, z którą się kochał, stała teraz nad nim w przebraniu z łusek i kłów - istne ucieleśnienie grozy. Przeniósł wzrok na jajo, połyskujące szaro w deszczu, i obok niego dostrzegł coś, co nim wstrząsnęło: ludzkie podudzie, pozbawione stopy, z rozoraną krwawo łydką, do której przylgnęły strzępy brązowego moleskinu. Benno. Najwyraźniej zapłacił za swoją nadgorliwość, stając się pierwszym poporodowym posiłkiem Magali.

Magali zadarła łeb i z jej piersi dobył się czwarty wrzask. Hota i tym razem zrozumiał go bezbłędnie.

Przynies mi jedzenie, powiedziała.

Mięso.

\* \* \*

Dalsze dni ich znajomości upływały bardzo podobnie do poprzednich. Hota siedział - najczęściej na schodach szopy po drugiej stronie ulicy - i pilnował Magali. Ona od czasu do czasu wrzaskiem dawała mu sygnał, a wtedy on szedł do pobliskiej stajni, w której nocowała znaczna liczba koni porzuconych przez zdjętych strachem mieszkańców Teocinte. Wyprowadzał jednego z nich na ulicę (żadnego nie udało mu się przekonać, żeby choć zbliżył się do ruin gospody) i tam podrzynał mu gardło, po czym ćwiartował go i w krwawych kawałkach zanosił smoczycy. Widywał czasem przemykających opłotkami ludzi: jedni wracali po porzucone w panice drobiazgi osobiste, inni chcieli się przekonać, kiedy będą mogli wrócić do domu. Przeklinali go i obrzucali kamieniami, ale uciekali, gdy tylko próbował się do nich zbliżyć. Sam się zastanawiał, czy nie uciec, pętały go jednak jakieś umysłowe kajdany, przymus bezczynności równie niewzruszony jak wiecznie padający deszcz. Domyślał się, że to sprawka Griaule'a, co jednak nie miało żadnego znaczenia: gdziekolwiek szedł i cokolwiek robił, smok w taki czy inny sposób wykorzystywał jego działanie. Jego myśli krążyły stale po tych samych nużąco zapętlonych torach. Zastanawiał się, czy Magali wiedziała, że wróci do swojej pierwotnej postaci; przypuszczał, że tak, tak jak domyślał się, że wszystko, co mu powiedziała, było jednocześnie prawdą i kłamstwem. Naprawdę potrzebowała tego ziela, ale wysłała go po nie w konkretnym momencie, żeby podczas jej przemiany znalazł się jak najdalej od gospody, dzięki czemu uniknął zranienia lub nawet śmierci. Tak właśnie wyglądało życie, przynajmniej jego życie: nawet najprawdziwsze prawdy okazywały się kłamstwami. Każdą lśniąca powierzchnię przyćmiewał czarny cień. Każde światło gasło. Z roztargnieniem zastanawiał się, co ze sobą pocznie, kiedy ona już

odejście, bo przecież musi kiedyś odejść. Zaczął planować podróż. I pracę, bo uznał, że warto byłoby znaleźć sobie jakieś zajęcie. Zbyt długo już próżnował. W końcu jednak dotarło do niego, że się okłamuje: nie spodziewał się, żeby przeżył jej odejście. I właściwie - chociaż i to mogło być kłamstwem - niespecjalnie się tym przejmował.

Popadł w marazm. Zaczął pić. Wyszukiwał w ruinach gospody nienaruszone butelki i opróżniał je na jedno posiedzenie. Spał tam, gdzie go dopadł sen: na ulicy, w szopie, w ruinach Domu Kłamcy. Nawet wylęgnięcie się złotoskórego dziecka nie wzbudziło jego zainteresowania. Trzask pękającej skorupy wyrwał go z pijackiego stuporu, ale narodziny potomka nie przysporzyły mu radości. Gapił się tępo na małe monstrum, pomiaukujące i zataczające się na nogach u boku matki, zadające pierwsze trudne pytania, uczące się jeść świeżą koninę. W którymś momencie próbował nadać mu imię - ot, takie ćwiczenie w drwinach z samego siebie, zainspirowane niby-ojcostwem. Przychodziły mu do głowy same obelżywe imiona, dobre dla potworów z bajek. Bajorzec. Chrząkiel. Śmierdziipyta. Kiedy przynosił jedzenie, Magali szturchała go pyskiem. Nauczył się traktować ten gest jako oznakę przywiązania, ale wiedział, że swoje najważniejsze uczucia smoczyca lokuje gdzie indziej. Zawsze tak było.

Cały ten okres zlewał mu się w jeden długi, szary dzień, pocięty przez deszczowe noce na kawałki, wypełniony samotnością i niezmiennym przygnębieniem. Tygodnie chłania, zarzynania koni, wpatrywania się w śpiącą smoczycę i jej gadzi przychówek. Z rzadka zdarzały mu się chwile, w których zdobywał się na odrobinę rzeczowego dystansu i zastanawiał nad naturą swojego potomka. Wedle tradycji smocze młode przychodziły na świat w licznych miotach i z faktu, że Magali urodziła tylko jedno, Hota wnioskował, że w ciele małego smoka tkwi ludzkie serce, dusza albo inna istotna częśćka człowieczej natury, dzięki której łatwiej niż matka będzie mógł zmieniać kształty i ducha. Czasem spoglądał najpierw na Griaule'a - masywny zielony kopiec ze sterczącą opuszczoną głową, potem na siedzącą w gnieździe Magali, i zdawało mu się, że ociera się o tajemnicę łączącego ich trójkąta, skomplikowanego splotu o niezgłębionym potencjale. W takich momentach z nowej perspektywy dostrzegał dwoistość jej urody, piękno kobiety i urok kształtnej bestii o łuskach jakby pociągniętych lakierem, wdzięk kusicielki i potwora.

Pora deszczowa miała się ku końcowi. Coraz częściej budziły go promienie słońca, jego myśli pozostały jednak szare, a w rządzonej rutyną życiu nic się nie zmieniło. Mały smok urósł (choć nadal był dobre dwa razy mniejszy od wołu) i przy każdej okazji rozkładał skrzydła, próbując wzbić się w powietrze. Potrzebował coraz więcej jedzenia i Hota, który zarznął już wszystkie konie, musiał zapuszczać się na wzgórze, gdzie polował na

dziki: skakał im na grzbiet z gałęzi drzewa i dźgał je nożem, albo, jeśli to nie przynosiło skutku, skręcał im kark. Czuł się splugawiony brutalnością tej walki o życie: zwierzęcy odór, kwik, zalewająca mu ręce gorąca krew - pod ich wpływem coś się w nim zmieniło. Zaczął postrzegać siebie jako prymitywną, małopokształtną istotę, która mieszka w ruinach i udaje człowieka. Nocami błąkał się po miasteczku z otwartą butelką w garści, zawodził fałszywie barytonem, wył do księżyca i śpiewał serenady drewnianym czaszkom w blaszanych kapeluszach; zwracał się do siebie po imieniu, dawał sobie dobre rady i zagadywał sam siebie na różne sposoby. Uparcie nie chciał przyjąć do wiadomości, że wykazuje objawy pomieszania zmysłów. Dobrze wiedział, co robi: po prostu sobie folgował, nic więcej. Lubił tak właśnie spędzać czas. A jednak zastanawiał się... Może to właśnie jest wstęp do obłądzenia? Tak czy inaczej, nie zamierzał porzucać tych praktyk. Dźwięk własnego głosu odrywał go od złych myśli i odstraszał mieszkańców, którzy coraz częściej zapuszczali się do miasteczka, chociaż nikt nie ważył się zbliżyć do Domu Kłamcy. Dniem i nocą wykrzykiwali groźby ze wzgórz, na których wielu z nich znalazło kryjówki. W odpowiedzi Hota śpiewał im i dzielił się z nimi swoim najnowszym odkryciem - że wszystkie życiowe cele i dążenia człowieka, a nawet, być może, wszystkie jego myśli są dziełem siły wyższej. Dlatego wszystkie tortury, jakim chcieliby go poddać, są mu przeznaczone od momentu urodzenia.

Jego sny nabrały fantazyjnych cech, zupełnie różnych od dni przeżywanych na jawie - zwłaszcza jeden, powtarzający się regularnie i przypominający wyciąg ze wszystkich pozostałych. W tym śnie biegł przez pola i lasy, niezmordowany i bez lęku, przepelniony euforią i radością z biegu. Zbliżał się do grzbietu wzgórza, które po drugiej stronie opadało stromą przepaścią, ale zamiast się zatrzymać, przyśpieszał, wybijał się w powietrze i wznosił w przestworza na skrzydłach wiatru. Wznosił się ku słońcu, gdy nagle dostrzegł Magali. Dołączał do niej w locie i razem na przemian kołowali i pikowali, kreśląc nieskończony wzór nad ogromnym zielonym wzgórzem - tym samym, z którego wystartował do lotu. Było tam też ich dziecko, latało razem z nimi, chociaż niżej i z mniejszym wdziękiem, dopiero próbując sił w zmaganiach z powietrzem.

Przypuszczał, że to sen Griaule'a, bo choć przynosił mu uczucie wolności, była w nim także obca, zimna nuta. Przypomniał sobie słowa Magali o tym, że pewnego dnia przekona się, jak to jest latać. Zastanawiał się, czy powracający sen to tylko przypomnienie tamtej obietnicy, czy raczej sposób jej dotrzymania. Z pewnością nie wynagradzał Hocie wszystkiego, co od tamtej pory przeszedł, ale i tak sprawiał mu ogromną radość - do tego stopnia, że stał się jedynym naprawdę wyczekiwany elementem jego monotonnego życia.

Któregoś poranka obudził się na ulicy nieopodal zburzonej gospody. Miał sztywne



stawy, pozlepiane ropą powieki, cuchnącą gorycz w ustach. Światło dnia sprawiało mu ból. Upał wydobywał z porzuconego miasteczka odór zgniłego mięsa i psujących się warzyw. Hota spojrział w stronę karczmy. Wzrok mu się mglił. Kiedy siedząca w gnieździe Magali wrzasnęła, odruchowo odwrócił się ku wzgórzom, przekonany, że dopomina się o jedzenie, ale wtedy krzyknęła po raz drugi. Zatrzymał się, przetarł oczy i spojrział nieco przytomniej. Na grzbiecie Magali, pomiędzy skrzydłami, wczepiony drobnymi szponami w jej grzebień siedział mały smok. Zanim Hota zaprzął rozum do pracy i dotarło do niego, co widzi, Magali rozpostarła obsydianowe skrzydła (każde z osobna dłuższe niż całe jej ciało) i machnęła nimi. Rozległ się ogłuszający odgłos, jakby trzaśnięcie wielkiego bicia; podmuch powietrza zmiotł Hotę z nóg. Magali wskoczyła na krawędź gniazda, wybiła się z potrzaskanych desek i wystartowała, podrywając w powietrze porzrzucone na ulicy papiery. Chwilę później szybowała już pod niebem, a Hota, oszołomiony gwałtownością jej odlotu, poczuł się pusty i porzucony jak samo Teocinte.

Kiedy zniknęła za grzbietem Griaule'a, pozbierał się i wstał. Przez chwilę stał nieruchomo, z rękami bezwładnie zwieszonymi po bokach, niezdolny przywołać choćby jedną składną myśl. Dopiero po jakimś czasie przegramolił się przez szczątki Domu Kłamcy i wszedł do wewnętrznego gniazda. Nie umiałby powiedzieć, czego szuka. Może jakiegoś znaku. Przypadkowego daru. Łuski, która oblużowała się i odpadła. Skrawka zielonej sukienki. Znalazł jednak tylko odchody i zakrwawione kości. Obrazy smoków - ruchome i nie - zniknęły z powierzchni desek, zapadły się w głąb. Cisza ciążyła mu boleśnie; odczuwał irracjonalną tęsknotę za basowymi pomrukami Magali i piskliwymi wrzaskami młodego.

Ty durniu, zbeształ się w duchu, i uderzył w pierś. Trzeba być głupcem, żeby tęsknić za potworem i za poronionym związkim z nim, w dodatku zaaranżowanym przez jeszcze większego potwora. Podniósł kawałek deski i cisnął nim w kierunku górującego nad miastem zielonego wzgórza, tak jakby jego płynąca z gniewu siła mogła sprawić, że odłamek niczym pocisk przebije łuskę, ciało i wnętrze i sięgnie olbrzymiego serca. Deska wylądowała z pluskiem w kałuży, a on poczuł się jak skończony idiota. Wyczołgał się z gniazda, wyszedł na ulicę i siadł pod ostatnim ocalałym narożnym słupem karczmy. Pomyślał o tym, że jeśli zostanie w miasteczku zbyt długo, ludzie zaczną wracać i będzie miał kłopoty. Powinien jak najszybciej zniknąć. Opuścić sobie szukanie pieniędzy i klejnotów i po prostu odejść. W innym miejscu znajdzie jakąś pracę. Ten pomysł przeszedł mu przez głowę, ale nie zagościł w niej na dłużej. Splótł dłonie, zwiesił głowę i czekał na nowy impuls.

I wówczas, równie nagle, jak wcześniej zniknęła, Magali wróciła. Przeleciała nisko nad Domem Kłamcy. Szum jej skrzydeł zmałował ciszę. Pomknęła jak strzała nad wzgórzem za

miastem, ale nawróciła do drugiego, jeszcze niższego przelotu.

Hota - podniesiony jej widokiem na duchu - zerwał się na równe nogi. Patrzył, jak nurkuje i zatacza pętle, i wkrótce zorientował się, że powtarza pewien wzór, daje swoim lotem sygnał, nadaje rytualny komunikat, tak jak robiła to wiele miesięcy wcześniej nad głową Griaule'a. Potwierdzenie. Albo pożegnanie. Po każdym przelocie nad ulicą - smuga brązowych łusek, cień skrzydeł - wzbijała się i wydawała z siebie okrzyk. Z tej odległości nie było w nim słyhać basowych, gardłowych nut; przypominał upiorną, świszczącą melodię złożoną z trzech żałośliwych nut, jakby wyjętych z dłuższej pieśni, której melodia rozbrzmiewała gdzieś wyżej, bliżej słońca.

Latała tak przez godzinę albo dłużej. Jak szal przeciągany w poprzek nieba. Wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany, aż zaczął rozumieć znaczenie tkanego w powietrzu wzoru. To był węzeł, wielce wymowny spłot opisujący okoliczności, które związały ich dwoje. Poznali się, zostali wkomponowani w pomniejszy temat muzyczny zaprzęgnięty w służbę większej melodii, a teraz się rozstaną - lecz nie na długo, ten węzeł bowiem połączył ich na wieki. Wszystkie kreślone przez Magali pętle koncentrowały się na Domu Kłamcy i Hota zrozumiał, co chciała mu powiedzieć w tym dniu, kiedy posłała go na zbiór ziela; zrozumiał związek nieuniknioności i miłości, przeznaczenia i pożądania, a pogodziwszy się z nim, mógł cieszyć się jej wolnością i mieć pewność, że podobna wolność wkrótce stanie się także jego udziałem.

Patrzył w niebo jeszcze długo po tym, jak odleciała i zniknęła wśród wzgórz, i liczył na to, że znów się pojawi. Nie czuł jednak żalu ani rozgoryczenia w sercu. Nie wiedział, jak do tego dojdzie, ale wierzył, że Magali do niego wróci. Może nigdy nie będą razem w taki sposób, jak to sobie mógł dawniej wyobrazić, ale ich związek był nierozzerwalny.

Pójdzie w głąb ładu, w stronę Cypla na Horyzoncie, gdzieś po drodze znajdzie sobie odpowiedni dom i jakąś synekurę i będzie czekał na jej powrót. I nie będzie to bierne oczekiwanie. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów poczuł, jak budzi się w nim ambicja. On też poszybuje pod niebo - na swój sposób. Nie ograniczy się do mozolnej egzystencji.

Z głową pełną na wpół ukształtowanych planów i możliwości odwrócił się tyłem do gospody, gotowy zrobić pierwszy krok na nowej drodze, i zobaczył nadciągającą ulicą grupę ludzi: kilkudziesięciu mężczyzn, brudnych i brodatych po tułaczce wśród wzgórz, ubranych w łachmany, uzbrojonych w noże i pałki. Druga grupa, podobnie liczna, szła z przeciwnej strony. Skręcił w przecznicę przy gospodzie - i napatoczył się na trzecią bandę. Czwarta posuwała się w jego kierunku z drugiego końca tej samej uliczki. Osaczyli go.

Bał się, ale nie był to strach wszechogarniający. Nadal przepełniała go pewność siebie,

przeświadczenie, że wszystko, co w życiu najlepsze, jeszcze przed nim. Nie zamierzał poddawać się panice. Trzecia grupa wydała mu się najmniejsza. Wyciągnął nóż, którym zabijał dziki, i zaszarżował wprost na intruzów, licząc na to, że w ten sposób ich zastraszy. Kiedy środek szyku - punkt, w który celował - cofnął się o krok, Hota ryknął chrapliwie i przyśpieszył, chlaszcząc nożem powietrze. Parę sekund później wpadł między nich. Na ich wychudzonych, zarośniętych twarzach malowały się strach i zdumienie, kiedy próbowali go łąpać i dźgać nożami, on jednak był tak rozpędzony, że bez szwanku przedarł się przez ich szeregi, minął ostatnie chałupy Teocinte i przepadł wśród palm, bananowców i karlatek na obrzeżach miasteczka. Uskrzydłony tym triumfalnym pokazem siły biegł zygzakiem wśród drzew, roztrącając palmowe pióropusze i potykając się na wybojach, ale utrzymując całkiem niezłe tempo. Napawał się wysiłkiem fizycznym niez mordowanych mięśni, cieszył się potem, który wystąpił mu na skórę. Zastanawiał się, czy sen o wspinaczce na zielony kopiec Griaule'a (biegł dokładnie w tym kierunku) nie był przypadkiem snem proroczym; czy po dobiegnięciu na miejsce naprawdę skoczy z grzbietu smoka i wzbije się w powietrze.

Był wprawdzie silny, ale jednak niezbyt szybki, i wkrótce usłyszał kroki biegnących ludzi po bokach i przed sobą. Usłyszał ich okrzyki. Mijał właśnie wysoki bananowiec z pióropuszem poszarpanych żółtych liści, gdy ktoś leżący w ukryciu wyciągnął rękę i złapał go za kostkę. Hota wyciągnął się jak długi, nóż wyleciał mu z ręki. Dźwignął się na kolana, rozejrzał się i dostrzegł nóż w trawie, dziesięć stóp dalej. Nie zdążył po niego sięgnąć, bo ktoś inny skoczył mu na plecy i wgniół mu twarz w ziemię. Zanim Hota poradził sobie z pierwszym napastnikiem, zwalili się na niego kolejni, dławiąc go i okładając kijami i pięściami. Śmierdzieli jak zwierzęta i pochrząkiwali jak zwierzęta, jakby duchy zabitych przez niego dzików przysły się zemścić. Ogłuszył go cios w skroń.

Nie było wyraźnego rozgraniczenia świadomości od nieświadomości - a może po prostu Hota nie stracił do końca przytomności, lecz tylko zapadł się kilka cali pod powierzchnię jawy i jak człowiek zanurzony głową w strumieniu cały czas słyszał stłumione głosy i widział zdeformowane postaci. Wiedział więc, że go poszturchują i kopią, a potem dźwignęli go w powietrze i gdzieś ponieśli, ale ocknął się na dobre dopiero stojąc przy ostatnim ocalałym węgle Domu Kłamcy. Coś zaciskało mu się na szyi, otaczał go tłum rozwrzeszczanych mężczyzn, kobiet i dzieci; domagali się jego krwi. Chciał zerwać to coś, co uciskało go w szyję, ale odkrył, że ręce ma skrepowane za plecami. Podniósł mętny wzrok i stwierdził, że ktoś przerzucił sznur przez trzymający się słupa kawał podłogi piętra i że jeden koniec tego sznura oplata mu szyję. Prerażony rzucił się w przód, próbując się uwolnić, ale ktoś, kto trzymał linę, napiął ją, zmiażdżył mu gardło i nie pozwolił się ruszyć. Hota oddechał

plytko, wodząc wzrokiem po otaczających go twarzach. Żadnej nie rozpoznawał, a zarazem wszystkie wyglądały znajomo, tak jakby miał przed sobą stado kotów, psów albo koni, nie potrafiąc dostrzec dzielących ich różnic, które dla nich samych były oczywiste. Jakaś kobieta, której szczupłą twarz wykrzywił wściekły grymas, opluła go. Inni podchwycili ten wyśmienity pomysł i ci stojący najbliżej też zaczęli pluć. Plwocina spływała mu po twarzy. Nie podobała mu się świadomość, że umrze, ociekając ich śluzem. Wylał twarz o bark.

Z tłumu wystąpił blondyn, którego Hota pobił w gospodzie. Teraz Hota rozpoznał go nie po pulchnej twarzy i różowej cerze, lecz po okaleczonej prawej ręce. Blondyn podstawił mu ją pod nos, a potem gestem uciszył tłum i powiedział:

- Jeżeli chcesz jeszcze w życiu przemówić, mów teraz.

- Nie ponoszę winy za to, co się tu wydarzyło - odparł wciąż oszołomiony Hota.

Krzyki i pogardliwe śmiechy. Blondyn drugi raz nakazał gapiom milczenie.

- Kogo zatem mamy winić?

- Griaule'a - odparł Hota. Resztę swojej wypowiedzi musiał wykrzyknąć, żeby zagłuszyć nowy wybuch śmiechu: - Jak miałbym sprowadzić tu smoka?! Jestem tylko człowiekiem!

- Czyżby? - Blondyn zdrową ręką złapał go za przód koszuli i przyciągnął do siebie. - Bo zaczynaliśmy już wątpić...

- Oczywiście, że jestem człowiekiem! Zostałem zmanipulowany! Wykorzystany! Griaule mnie wykorzystał!

Blondyn udał, że się zastanawia.

- To możliwe - przyznał po dłuższej chwili. - Powiedziałbym wręcz: prawdopodobne.

Tłum odpowiedział pomrukiem niezadowolenia.

- Widzisz, problem polega na tym... - Blondyn się uśmiechnął. - Raczej nie powiesimy Griaule'a, prawda? Będziesz musiał go zastąpić.

Gwizdząc i wyjąc z uciechy, gapie wygrażali Hocie pięściami; niektórzy szarpali go za ubranie, inni próbowali bić po głowie i drapać po twarzy. Blondyn kazał im się cofnąć.

- Zabiłeś nasze konie. Okradłeś nas. To przez ciebie ta suka rozszarpała Benno Grustarka. Mógłbyś zawisnąć za każde z tych łotrostw z osobna.

- Co miałem zrobić?!

- Mogłeś z nami porozmawiać. Pomóc nam. Przynieść nam jedzenie. - Blondyn machnięciem kikuta wskazał wzgórze. - Masz pojęcie, ilu z nas zmarło z głodu? Z braku dachu nad głową?

- Nie wiedziałem! Gdybyście mi powiedzieli, zamiast grozić... Ja w ogóle o was nie

myślałem! Nie byłem w stanie! Nie miałem wyboru!

- Brak wyboru... Często przeszkoda, ale chyba kiepska linia obrony przed sądem. - Blondyn odsunął swoich ludzi jeszcze dalej, ostrzegając, że Hota może wierzgać przy wieszaniu, a potem spojrział na niego i spytał beztrąsko: - Coś jeszcze?

Hocie przyszło do głowy sto rzeczy naraz: błagania, argumenty, oświadczenia, życiowe przemyślenia, nauki warte przekazania... Nie mógł jednak zmusić się, żeby cokolwiek powiedzieć. Szyja swędziała go od sznura, jądra miał zimne i ściśnięte, kolana mu drżały. Powiódł wzrokiem w głąb ulicy, ponad obsychającym błotem, obok koślawych baraków o poplamionych rdzą dachach, i wyczuł w głowie jakąś obecność, wyraźnie powiązaną z wyrastającą nad miastem zieloną sylwetką, jakby Griaule zdradzał mu jakąś tajemnicę, podnosił go na duchu albo zwyczajnie się z niego naśmiewał - trudno było powiedzieć. Wezbrało w nim pragnienie, wielka żądza życia, która wzmagała się i narastała, aż zaczęło mu się wydawać, że lada chwila zerwie więzy i ucieknie przed przeznaczeniem, któremu tak długo się wymykał.

- Powiesić go - polecił blondyn. - Byle nie za wysoko. Chcę widzieć jego twarz.

Szarpnięcie poderwało Hotę z ziemi. Ryk tłumu wznosił się razem z nim i złał w jedno z dudnieniem rozbrzmiewającym mu pod czaszką - łoskotem życia, tętnieniem uwięzionej krwi. Wyglądało to trochę tak, jakby siła dźwięku sama uniosła go nad ziemię. Sznur szarpnął mu głowę w dół, przed oczami zrobiło się czerwono. Widział zadarte twarze ludzi, rozdziawione czarne usta, wytrzeszczone oczy. Widział również swoje własne spazmatycznie drgające nogi; zrzucił już jeden but. Pod czaszką robiło mu się coraz goręcej, ale żar narastał powoli, jakby ogień śmierci dopiero się rozpałał. Dławiąc się, rozluźnił napięte jak postronki mięśnie szyi. Żar zelzał.

Źle zawiązali węzeł i wciąż mógł zaczerpnąć powietrza, niewiele, ale dostatecznie dużo, żeby nie umrzeć. Miał zatem problem: oddychać i walczyć z losem, czy rozluźnić się i odejść. Wkrótce decyzja i tak zapadnie, bez względu na to, co zrobi, ale chciał mieć w niej swój udział.

Nagle nowy ciężar zacisnął sznur.

Dwójka dzieci uczepliła się jego nóg poniżej kolan i zaczęła się na nich huścić. Dotarło do niego, że próbują mu złamać kark. I jeszcze chichoczą, gnoje! Zacisnął powieki, koncentrując całą energię i wolę na oddychaniu.

Po kręgosłupie przebiegały mu ogniste błyskawice bólu. Białe światło eksplodowało pod powiekami. Jeden z tych błysków rozkwitł oślepiającą jasnością, z której wyłoniła się należąca tylko do niego rozległa, głęboka i migotliwa kraina. Coś w nim drgnęło, poczuł

dziwny, potężny ruch, jakby rozkwitanie, wypychanie na zewnątrz... I nagle zobaczył siebie - już nie tylko nogi, lecz całą kręłą sylwetkę; dzieci uwieszone u jego łydek; tłum gapiów; umęczone miasteczko, wyprane z wszelkich kolorów poza czerwienią jego dogorywającego spojrzenia.

Zaraz jednak stracił zainteresowanie tym zjawiskiem i w ogóle całym światem i dał się ponieść rozprzestrzeniającej się sile. Wspomniał Magali i pomyślał, że to właśnie jest spełnienie jej obietnicy, w każdym razie początek tego spełnienia; oto jego dusza rozrasta się, żeby ogarnąć jego materialną postać, otoczyć ją w taki sposób, jak robią to smocze dusze...

I nagle rozległ się trzask, jakby gdzieś blisko uderzył piorun albo zatrzęsła się ziemia. Do głowy przyszła mu myśl kojąca wszystkie lęki, a może po prostu to już był koniec i skończył się także strach... Pomyślał, że to wszystko był sen, jego sen, w którym biegł, rozpierany radością, a potem skoczył (i zaraz potem upadł, prawdę mówiąc, ale to bez znaczenia), wzbil się w powietrze i teraz szybuje pod niebem; trzask, który przed chwilą usłyszał, to w rzeczywistości był łoskot jego skrzydeł zagarniających powietrze; łoskot pod czaszką to upojenie typowe dla pierwszego lotu; światło - to blask zawieszzonego wysoko świętego słońca. Wkrótce zobaczy Magali i polecą razem, wspólnie kreśląc skomplikowany wzór przeznaczenia, a ich dziecko będzie leciało w dole ponad zielonym wzgórzem ich religii. To była jego nagroda, jego przemiana. To było spełnienie wszelkich obietnic.

Albo wielkie kłamstwo.

# ŁUSKA TABORINA

# CZEŚĆ PIERWSZA



# ROZDZIAŁ 1

Gdyby mierzyć człowieka miarą przedmiotu jego obsesji, George'a Taborina można by nazwać człowiekiem bardzo małym, mniejszym nawet od ćwierćludzi, którzy podobno zamieszkują tasmańskie lasy. Z zawodu był numizmatykiem, z powołania zaś miłośnikiem starych i rzadkich monet. Spędzał całe dnie na katalogowaniu, czyszczeniu i kontemplacji tychże, wyobrażając sobie przy tym społeczeństwa, których siłę napędową stanowiły. I tak, na przykład, pocierając profil Ptolemeusza umieszczony na srebrnej drachmie znalezionej w Aleksandrii, a wybitej mniej więcej w czasie najazdu Demetriusza Poliorketesza na Cypr (najprawdopodobniej w Salaminie, która ostatnia ugięła się przed oblegającymi ją wojskami), nie tylko przywoływał w myślach historyczny kontekst epoki cesarstwa rzymskiego i Egiptu Ptolemeuszy, ale też doświadczał wizji tak plastycznych, że wprost czuł na ramionach ciężar napierśnika zbroi, a nozdrza wypełniała mu woń nafty ze strzały, która po zamoczeniu w greckim ogniu trafiła w cel i tli się jeszcze w ciele ofiary. Zupełnie jakby dotyk jego kciuka uwalniał z monety jakąś niezwykłą energię, esencję chwil, których była świadkiem. Tak było zawsze, odkąd na szóste urodziny stryj sprezentował mu fenickiego miedziaka. Można by się zatem spodziewać, że George, teraz już mężczyzna czterdziestoletni, będzie pedantycznym, marzycielskim pasjonatem w okularach, niskim, z wydatnym brzuszkiem, garstką wiernych przyjaciół i minimalistycznym życiem podzielonym na schludne wycinki przypominające tace, na których prezentował najpiękniejsze okazy ze swojej kolekcji. I wizja taka byłaby całkiem bliska prawdy - gdyby nie jeden szczegół: George Taborin wcale nie był niski. Wyrastał o szerokość dłoni powyżej sześciu stóp, a nawet więcej, gdyby mierzyć go od czubka gęstej czarnej czupryny, która przy dłuższym niemyciu miała skłonność do układania się w sterczące na wszystkie strony szpikulce; powiadano żartem, że gdyby George, idąc ze spuszczoną głową (jak to miał w zwyczaju), wpadł na jakiegoś przechodnia, ten mógłby mówić o szczęściu, jeśli udałoby mu się wyjść z tego spotkania bez żadnej dziury w ciele. Dzięki rodzicom - parze wieśniaków, którzy widzieli w nim raczej pożądaną dziecięcą siłę roboczą niż wyczekiwanego nowego członka rodziny - wyrósł na silnego i barczystego młodzieńca. Później siedząca praca osłabiła go i rozmiękczyła mięśnie, nie na tyle jednak, żeby ktoś śmiał mu podskoczyć: reputacja wojowniczego twardziela, jaką wyrobił sobie jeszcze na szkolnym podwórku, przylgnęła do niego na dobre. Miał lekko cofnięty podbródek

i prosty nos - wyróżniający się tylko tym, że był zbyt duży jak na tę twarz; nawet oddychać wolał przez usta, ze względu na wieczne kłopoty z zatokami. Mimo to, naprawdę niewiele mu brakowało, żeby można go było nazwać przystojnym - z pewnością pomogłoby mu, gdyby jego twarz emanowała większą pewnością siebie. Jej rysy w połączeniu z potężnym szkieletem i mięśniami sprawiały trochę głupkowate wrażenie, tak jakby niezbyt mądry tykowitzki dzieciak za szybko wyrósł na mężczyznę, i kiedy patrzył w lustro (co starał się czynić jak najrzadziej), odnosił wrażenie, że jego dusza nie nadążyła za rozwojem materialnej powłoki i telepie się po niej bezwładnie, o wiele za mała i niedopasowana do ciała, które ożywia.

Zgodnie z życzeniem rodziców (którzy obawiali się, że jeśli nie ożeni się młodo, to już nigdy nie znajdzie kobiety), w wieku piętnastu lat ożenił się z Rosemary LeMaster, pulchną, smętną i nieszczególnie pociągającą dziewczyną, która przez następną ćwierć wieku wyrosła na kokieterijną matronę w typie kobiet z obrazów Rafaela. Bóg nie pobłogosławił ich dziećmi, ale ponieważ George bardzo chciał mieć dużą rodzinę i Rosemary zgadzała się z nim w tym względzie (choć George podejrzewał, że przedsięwzięła jakieś kroki, żeby zapewnić sobie bezpłodność), nadal dzielili małżeńskie łóżko - raz w tygodniu, regularnie jak w zegarku. Odkąd jednak prowadzony przez George'a interes („Monety i antyki Taborina”) rozkwitł i zaczął przynosić regularne dochody wystarczające do opłacenia służby, Rosemary - zwolniona z domowych obowiązków - natychmiast zaczęła nadrabiać stracone chwile i rzuciła się w wir młodzieńczych eksperymentów, na które wcześniej nie miała czasu. Zaprzyjaźniła się z gronem żon przedstawicieli wyższej klasy średniej w Port Chantay, tworzących grupę samozwańczych „Strażniczek z Whitestone” (od nazwy dzielnicy, w której większość z nich mieszkała), uważających się za ładniejsze, modniejsze i bardziej wyrafinowane niż naprawdę były. Wpadła w towarzyską orbitę przyjęć i błahych przedsięwzięć społecznych (takich jak rozstawienie doniczek wzdłuż nabrzeża w porcie), służących za pretekst do spotkań z mężczyznami, z którymi ona i jej siostry-strażniczki flirtowały później i romansowały. Choć George był wzburzony niewiernością małżonki (nie miał twardych dowodów, ale zdawał sobie sprawę, z jaką dezynwolturą Strażniczki traktują ideę więzów małżeńskich), to się nie skarżył. I tak prowadzili z Rosemary praktycznie osobne życie i ta dodatkowa separacja w żaden sposób nie zakłócała ich małżeńskiej rutyny. Zresztą nie miał powodów do narzekań, bo sam regularnie zdradzał żonę.

Co roku na wiosnę wyprawiał się do Teocinte, gdzie spędzał trzy tygodnie, włócząc się po burdelach Morningshade - dzielnicy, do której słońce docierało dopiero po południu,

tak wtulonej w monstrualny cień smoka Griaule'a<sup>1</sup>, że jego klatka piersiowa wyrzuszała się nad nią niczym zielonozłote niebo<sup>2</sup>. Poza burdelami Morningshade słynęło także ze sklepów i straganów ze starociami, gdzie można było kupić antyki, relikwie Griaule'a (najczęściej podrabiane), fajki i wisioriki w kształcie smoka, oraz mnóstwo drobiazgów ozdobionych jego podobizną: talerze, chorągiewki, zabawki (drewniane mieczyki miały wielkie wzięcie), obrusy, łyżeczki i kubki, jak również mapy wskazujące rzekomo drogę do smoczego skarbu<sup>3</sup>. George spędzał całe popołudnia na przekopywaniu się przez te góry szpargałów w poszukiwaniu starych monet. W pewien majowy wieczór, po zakończeniu jednej z takich handlowych eskapad, udał się do „Wiecznej Nagrody u Alego” (ktoś dodał do szyldu wypisane topornymi literami słowo „Piekielna” wraz ze strzałką wskazującą, że należy je wstawić po „Nagrodzie”), burdelu znajdującego się w nieco bardziej słonecznej części Morningshade - żeby tam nad kuflem piwa obejrzyć najnowsze zdobycze.

Sala jadalna, oświetlona lampami naftowymi i właściwie pusta o tak wczesnej porze, miała kształt wielkiej litery I. Pachniała smażoną cebulą, zwiędłym piwem i dziesięcioleciami tłuszczu. Czarne od sadzy belki kroiliły na kwadraty sufit, pod którym znalazły się ławy, stoły, drewniana podłoga, bielone ściany (pokryte szarymi plamami od dymu kuchennego i niezliczonymi odciskami brudnych, tłustych rąk) i bar, za którym dostojnie pełnił straż korpulentny barman w fezie (nie Ali, Ali bowiem był postacią fikcyjną), od czasu do czasu mącąc ciszę plaśnięciem packi na muchy. Trzy młode kobiety w luźno przepasanych szlafrokach siedziały na środku sali i rozmawiały przyciszonymi głosami. Na zewnątrz turkotały wozy, jakaś przekupka piskliwym głosem zachwalała ciasteczka kokosowe. George, siedzący przy oknie w rogu sali, słyszał rozmowy przechodniów jako eksplozje niezrozumiałych słów gęsto przetykane przekleństwami.

Bobrując w słoiku z kupionymi hurtem monetami, guzikami i blaszanymi przypinkami, odkrył wśród nich kawałek jakiegoś skórzastego materiału, pociemniały ze starości i sztywny od brudu. Miał kształt paznokcia męskiego kciuka, był jednak trzy razy większy i znacznie grubszy. George wyjął zestaw czyszczący i przetarł odłamek wata nasączoną rozpuszczalnikiem. Chwilę się z nim mozolił, ale w końcu udało mu się odsłonić

---

<sup>1</sup> Długi na milę smok sparaliżowany zaklęciem czarownika. W jego cieniu wyrosło miasteczko Teocinte.

<sup>2</sup> Kawałki tego nieba - łuski odpadające od smoczego cielska - spadały czasem na miasteczko i burzyły stojące pod nimi domy. Parcele, na których te domy pobudowano, zyskiwały na wartości, gdyż prawdopodobieństwo powtórzenia się takiej katastrofy było znikome.

<sup>3</sup> Powiadano, że na przestrzeni wieków goście przybywali z najdalszych zakątków świata, żeby składać Griaule'owi ofiary. Podlegli woli Griaule'a ludzie i inne istoty przynosili dary do kryjówki, której nikt poza nim nie znał; jej lokalizację wymazywał z pamięci swoich sług, gdy wypełnili wyznaczone im zadanie. Niektórzy twierdzili, że zgromadzone skarby przechodzą wszelkie wyobrażenia. Inni utrzymywali, że cała ta historia to jedna wielka konfabulacja.

błękitno-zieloną plamkę w samym środku odłamka. Zaintrygowany, założył okulary, których używał zawsze do zajęć wymagających precyzji, skoncentrował się i zaczął mocniej trzeć watką, powiększając barwną plamę. Zielonkawy błękit miał połysk szlachetnego kamienia. George założył na okulary lupę jubilerską i podniósł odłamek do oka.

- Co tam masz?

Prostytutka - szczupła, śniada dwudziestoparoletnia brunetka z kręconymi włosami, ubrana w szlafrok z brzoskwińowego jedwabiu, ładna, ale o rysach nieco zbyt ostrych jak na gust George'a - przysiadła się do niego i wyciągnęła rękę.

Spłoszony nie tylko jej pojawieniem się, ale także faktem, że sala nie wiadomo kiedy wypełniła się hałaśliwym tłumem, George upuścił tajemniczy odłamek na jej dłoń - i natychmiast tego pożałował. Zaczął się bać, że dziewczyna ucieknie ze zdobyczą.

- Nie widziałam czegoś takiego, odkąd jako dzieciak ganiałam po ulicy z gołym tyłkiem - powiedziała, odgarniając włosy z oczu. - Moja babcia nosiła taką na rzemyku na szyi. Obiecała, że mi ją zostawi, ale zabrała ją do grobu, wiedźma jedna.

- Chcesz powiedzieć, że wiesz, co to jest?

- Smocza łuska. Ale nie z takiego wielgachnego monstrum jak Griaule. Młode mają taki niebieskawy kolor niedługo po urodzeniu<sup>4</sup>. Tak słyszałam. Chyba że to jest łuska Griaule'a, tylko z czasów, kiedy był mały. Od wieków nie widziano u nas młodych smoków. Ta łuska babci przechodziła z pokolenia na pokolenie; należała do jej prapraprababki.

George sięgnął po łuskę, ale dziewczyna zacisnęła dłoń.

- Daj mi ją, to się z tobą zabawię. - Rozchyliła poły szlafroka, odsłaniając piersi i kołysząc ramionami.

George pstryknął palcami.

- Oddaj ją.

- Co tak ostro? - Przytrzymała łuskę na dłoni, jakby szacując jej ciężar, zanim mu ją oddała. - Mam propozycję: będę twoja przez tydzień. Obiecuję ci, że po powrocie do Port Chantay będziesz mógł wspominać coś więcej niż tylko zwiedzanie Griaule'a.

- Skąd wiesz, że mieszkam w Port Chantay?

Prychnęła pogardliwie.

- Mam dar.

Piersi miała pełniejsze, niż mu się wydawało, całkiem kształtne, z dużymi

---

<sup>4</sup> Stwierdzenie to było prawdziwe wyłącznie w odniesieniu do smoków zamieszkujących tamte okolice, gdyż smoki pochodzące z innych krain miały łuski najróżniejszych kolorów. Śnieżne smoki z Antarktyki były białawe jak kość słoniowa, te zaś, które zamieszkiwały pustkowia na północ od jeziora Baikul, były najczęściej czerwonożłote za młodu, z wiekiem zaś brązowiły.

cynamonowymi brodawkami. Jak na pragmatycznego handlarza przystało, zdawał sobie sprawę, że łuska jest raczej osobliwością, ciekawym bibelotem niż wartościowym towarem dla jego tradycyjnych klientów - ale postanowił wykorzystać swoją przewagę.

- Zostanę tu jeszcze przez dwa tygodnie - powiedział. - Jeżeli przez ten czas będziesz do mojej dyspozycji, dam ci łuskę.

- Do twojej dyspozycji? To za mało, jakieś konkrety poproszę. Nie wiem, jak bardzo jesteś pokrecony, ale nie dam ci się związać, na przykład.

- Mieszkam w „Siedmiu burzach”. Chciałbym, żebyś się do mnie wprowadziła.

- W „Siedmiu burzach”... - Pokiwała z podziwem głową. - Co jeszcze?

George precyzyjnie i ze szczegółami wyliczył swoje oczekiwania.

Dziewczyna skinęła głową.

- Umowa stoi. - Wyciągnęła rękę i tak samo jak on przed chwilą pstryknęła palcami. - Dawaj.

- Za dwa tygodnie. Jedno z nas musi zaufać drugiemu, że dotrzyma umowy. Wolę, żebyś to ty zaufała mnie.

## ROZDZIAŁ 2

Po śmierci smoka Griaule'a rajcy miejscy Teocinte musieli sobie odpowiedzieć na pytanie, które wcześniej nie przyszło im do głowy: kiedy ma się do czynienia z istotą, której serce bije raz na tysiąc lat, jak określić, czy istota ta naprawdę umarła? Ponieważ jedyną widomą oznaką zgonu Griaule'a było zamknięcie przezeń oczu, pojawiły się sugestie, że smok po prostu zapadł w śpiączkę wywołaną przez truciznę zawartą w farbie, której nieprzeliczone galony pokryły jego bok podczas tworzenia malowidła autorstwa Merica Cattanaya<sup>5</sup>. Żyjące w nim i na nim pasożyty nie uciekły, nie było również widać żadnych śladów zepsucia (nie należało się ich spodziewać jeszcze przez długie lata, jeśli gnicie miało postępować równie powolnie jak inne procesy życiowe Griaule'a). Pojawiła się nawet teoria, że skoro smok jest istotą magiczną, jego zwłoki mogą w ogóle nie podlegać rozkładowi.

Kiedy kilka dziesięcioleci wcześniej rajcy przystali na przedstawiony przez Cattanaya plan, byli tak pewni siebie, że porozumiewszy się z różnymi miejscowymi przedsiębiorcami, zlecili im pozbycie się zwłok Griaule'a i, nie czekając na jego zgon, sprzedali im interesujące ich fragmenty ciała. Do miejskiego skarbcza wpłynęły miliony. Jednakże nowa rada miejska wycofała się z decyzji poprzedników i odmówiła dotrzymania zawartych przez nich umów<sup>6</sup>. Nie mając pewności, że smok nie żyje, nadal się go bali; można było sobie tylko wyobrażać jego reakcję na próbę wiwisekcji. Do tego dochodziły jeszcze kwestie estetyczne. Dzięki odkryciu źródeł mineralnych na południe od miasta oraz - nade wszystko - dzięki obecności samego Griaule'a, Teocinte stało się modną miejscowością turystyczną i urządzenie w miasteczku rzeźni, wokół której walać się będą setki ton smoczego mięsa i kości, nie byłoby

---

<sup>5</sup> Proces twórczy, którego zwieńczeniem była domniemana śmierć Griaule'a, trwał ponad trzydzieści lat. Użyto w nim specjalnych farb, zawierających arsenik i ołów, którymi namalowano obraz na skórze smoka. Ich produkcja doprowadziła do wyniszczenia porastających dolinę Carbonales gęstych lasów (drewno opałowe było niezbędne do podgrzewania kadzi, w których prowadzono destylację farb) i stanowiła tak poważne obciążenie dla miejscowej gospodarki, że dla zapelnienia skarbcza Teocinte zmuszone było stoczyć kilka wojen z sąsiednimi miastami-państwami.

<sup>6</sup> Cele Van Alstynne z Port Chantay, która nabyła prawa do serca Griaule'a (jego ciężar szacowano na dziewięć milionów funtów) i chciała za wszelką cenę postawić na nogi swoją chylącą się ku upadkowi firmę farmaceutyczną, zdecydowała się wystąpić na drogę sądową. Dołączyła do niej grupa spekulantów, którzy łącznie nabyli około stu sześćdziesięciu milionów funtów kości smoka (nie kupili tylko czaszki, którą sprzedano królowi sąsiedniej Temalagui) i zamierzali je eksportować jako środki na potencję, talizmany, pamiątki i tym podobne, oraz konsorcjum właścicieli ważącej dwieście milionów funtów skóry Griaule'a (z wyłączeniem części pokrytej malowidłem, które miało trafić do Muzeum Cattanaya). Wynajęci przez rajców adwokaci grali na zwłokę, podkreślając, że skoro nie udało się potwierdzić zgonu smoka w sposób nie budzący wątpliwości, należy odrzucić wszystkie pozwy.

najlepszą reklamą dla ludzi szukających zabawy i relaksu. Rada miejska zwlekała więc z decyzją, ale mieszkańcy, od pokoleń żyjący pod dyskretnym wpływem smoka, coraz głośniejsze domagali się oficjalnego rozstrzygnięcia. Delikatna sytuacja wymagała delikatnego rozwiązania, toteż rajcy zachowali się jak na rasowych polityków przystało: niewiele robili i udawali, że działają w imię kompromisu. Zlecieli rozbiórkę rusztowania, na którym Cattanay malował swoje dzieło. Kazali oczyścić kły smoka z mchu i wypłenić porastającą jego ciało roślinność, z wyjątkiem gęstwiny okalającej ulokowane na grzbiecie ruiny Hangtown, w których mieszkał już tylko dozorca (tę okolicę ogłosili strefą zabytkową). Obwiesili Griaule'a sznurowymi chodnikami i zaczęli organizować wycieczki po smoku, zachęcając turystów do wędrówek do miejsc, do których miejscowi bali się zapuszczać. W ten sposób chcieli zademonstrować, że zgadzają się z opinią o zgonie smoka, a zarazem, wobec braku niezaprzeczalnych dowodów tego faktu, mieli nadzieję odwlec ostateczne rozstrzygnięcie sprawy. A gdyby się okazało, że Griaule żyje i jacyś turyści przypłaciliby życiem udział w tym eksperymencie z zakresu dynamiki społecznej... Cóż, zdarza się. Wybudowali również kilkanaście luksusowych hoteli (wśród nich „Siedem burz” na zboczach Zmiennej Grzędy), z których rozpościerał się wyśmienity widok na smoka.

Następnego dnia po znalezieniu łuski George stanął przy oknie swojego apartamentu w „Siedmiu burzach”, z poranną kawą w ręce i cygarem w zębach, i zapatrzył się na Griaule'a - olbrzymiego złotozielonego jaszczura, górującego jak opatrzone złowieszczym łbem wzgórze nad leżącym w jego cieniu slumsem. Wijący się ogon smoka znikał wśród niższych pagórków. Światło słońca lśniło na czubku kłya, prześlizgiwało się po grzebieniu na karku, złotą polewą okrywało malowidło na boku, które z tego miejsca było zupełnie nieczytelne. Olbrzymie kadzie na farby, stojące niegdyś na spłaszczonym fragmencie czaszki, zostały rozebrane, żeby nie psuły dramatycznego widoku.

Dziewczyna - Sylvia<sup>7</sup> - zaczęła się krzątać po sypialni. George usiadł przy biurku i wrócił do czyszczenia łuski; niewiele go to kosztowało, a Sylvia dostanie przynajmniej ładnie wypolerowaną pamiątkę. Pokrywający łuskę brud był niezwykle oporny i George'owi udało się doczyścić tylko jej środek (mniej więcej czwartą część powierzchni), kiedy do pokoju weszła Sylvia, ubrana tylko w luźne beżowe spodnie i sandały. Wycierając włosy ręcznikiem, klapnęła ciężko na fotelu przy biurku i westchnęła.

George skinął jej głową i wrócił do swojego zajęcia. Sylvia prychnęła,

---

<sup>7</sup> Przyjęła takie *nom d'amour* po tym, jak George'owi nie spodobało się pierwsze podane przez nią imię, Ursula, i w procesie selekcji zostały tylko trzy inne: Otile, Amaryllis i właśnie Sylvia. George wybrał to ostatnie, ponieważ kojarzyło mu się z piękną żoną pewnego sklepikarza z Port Chantay, pochodzącą z dalekiego południa kraju, skąd miała też wywodzić się nowa „Sylvia”.

zniecierpliwiona, ale udał, że jej nie słyszy. Przerzuciła nogi przez oparcie fotela. Ręcznik zsunął się jej na uda.

- Nie rzniesz się jak sklepikarz - powiedziała beztrzesko. - To jedno trzeba ci przyznać.

- Domyślam się, że to taka twoja wersja duserów - odparł rozbawiony George.

- Czego?

- Rodzaj komplementu, powiedzmy.

Wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz.

- No więc... - Zdrapał paznokciem wyjątkowo upartą plamkę. - Jak się rzną sklepikarze?

- Większość sprawia wrażenie, jakby wstydziła się leżeć między moimi nogami. Chcą jak najszybciej załatwić sprawę i zniknąć. Kiedy zapinają spodnie, odwracają się plecami. I nie chcą, żebym coś mówiła w czasie bzykanka. - Potrząsnęła mokrymi włosami. - Co nie znaczy, że mam siedzieć cicho. Inne moje odgłosy bardzo ich rajcują.

- Nasuwa się kolejne pytanie: jak ja się rznę?

- Jak desperat.

- Desperat? - George cierpliwie tarł łuskę. - Nie, to niemożliwe.

- Może „desperat” nie jest najlepszym słowem. - Sylvia leniwym gestem podrapała się po biodrze. - Miałam wrażenie, że pragniesz tego, co naprawdę mogę ci dać, a nie tylko mojej zabaweczki. Chciałeś, żebym była sobą, nie jakąś tam Sylvia.

- Rzeczywiście, chyba tego właśnie chciałem. - Robota szła mu całkiem nieźle: niebieski fragment łuski przypominał teraz widzianą z lotu ptaka rzekę wijącą się wśród błot i czarnej ziemi. - Od tej pory będę cię nazywał Ursulą.

- To też nie jest moje prawdziwe imię.

- A jakie jest?

- Nie chcesz wiedzieć. Brzmi paskudnie. - Przeciągnęła się jak kot na słońcu. Jej odwrócona ku oknu twarz rozplynęła się w świetle. - Prawdę mówiąc, Sylvia mi odpowiada. Pasuje do mnie, nie uważasz?

- Mhm.

Przez chwilę w milczeniu przyglądała się George'owi przy pracy, wyczulona na każdy pisk materiału trącego o łuskę.

- Podobam ci się? - spytała w końcu. - Dobrze ci się ze mną rozmawia?

Zerknął na nią kątem oka.

- No co, po prostu jestem ciekawa.



- Owszem, muszę przyznać, że przypadłaś mi do gustu.

- Pomyślałam, że mogłabym spróbować częściej być sobą. Ciągłe udawanie kogoś innego jest okropnie męczące. - Klęknęła na fotelu. Ręcznik spadł na podłogę, a ona oparła się na biurku i spojrzała na łuskę. - Śliczny ten niebieski! Ile jeszcze czasu potrzebujesz, żeby ją wypucować?

- Najpierw wyczyszcze, potem wypoleruje... Z tydzień.

Nachyliła się tak blisko, że piersiami musnęła blat biurka. Odgarnęła włosy z oczu wpatrzonych w przecinający łuskę pasek błękitu. Jakże się różniła od oschłej profesjonalistki, którą poznał „U Alego”! Z początku próbowała trwać w tej roli, ale z czasem coraz częściej odrzucała pozę, odsłaniając siedzącą w niej prostą dziewczynę. Domyślał się, jaka była jej historia - wielodzietna wiejska rodzina, córka sprzedana do burdelu w wieku dwunastu lat zaczęła na siebie zarabiać - i spodziewał się, że przy bliższym poznaniu okażą się sobie bardzo bliscy. Miał jednak świadomość, że Sylvia chce, żeby tak właśnie myślał, bo wtedy wzrastały jej szanse na większy napiwek. To właśnie jest w kurwach najpiękniejsze: choćby były nie wiadomo jak chytre i przebiegłe, człowiek zawsze wie, na czym stoi. Patrzył na jej twarz, której skupienie dodawało uroku, i machinalnie pocierał kciukiem łuskę.

Nagle usłyszał dźwięk, z początku ledwie słyszalny, trochę przypominający syczenie, a trochę darcie tkaniny, jakby gdzieś daleko jakiś kosmiczny miecz rozciął materię rzeczywistości (albo gdzieś całkiem blisko zetlały, znoszony materiał podarł się sam z siebie, poddany nagłemu naprężeniu). Dźwiękowi towarzyszyła wizja, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczył: miał wrażenie, że wszystkie przedmioty w pokoju - ciężkie mahoniowe meble, kremowa tapeta w żaglówki, właściwie całe otoczenie - są w istocie wodą w morzu, które gwałtownie odpływa, znika gdzieś, jak ocean cofający się od brzegu przed nadejściem pierwszej fali przyływu. Cofająca się woda nie odsłaniała ścian i podłóg sąsiednich pokoi ani białych domów Teocinte, lecz zalaną słońcem równinę, porośniętą wysoką płową trawą i kępami karlatek i okoloną wzgórzami pokrytymi sosnowym lasem. On i Sylvia stali pośrodku tej równiny, wdychali jej roślinne wonie, słyszeli świergot i bzyczenie owadów, czuli delikatne muśnięcia wiatru... A potem w jednej chwili wszystko się rozpląnęło; drzewa, równina i wzgorza zniknęły błyskawicznie, jakby ktoś zwinął płótno, na którym je namalowano. Znowu znajdowali się w pokoju. George gapił się na stojący pod ścianą kufer podróżny. Sylvia, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, skuliła się w fotelu, strzelając oczami na boki.

- Coś ty zrobił? - spytała drżącym głosem. Powtarzała to pytanie raz po raz, oskarżycielskim, piskliwym tonem, jakby coraz bardziej przekonana, że to вина George'a.

- Ja? - George przeniósł wzrok na łuskę. - Nic.

- Potarłeś ją! Widziałam! - Wyrwała mu łuskę z ręki i zaczęła ją trzeć ze złością, a kiedy nic z tego nie wynikło, oddała mu ją z powrotem. - Ty spróbuj.

George'owi przyszło do głowy, że pojawienie się równiny może mieć jakiś związek z wizjami, których doświadczał przy pocieraniu monet, żadna z nich nie uwzględniała jednak tak szczegółowych wrażeń zmysłowych. Żadna też nie była widoczna dla osób postronnych. Na myśl o tym, że mógłby spróbować jeszcze raz, zdjął go lęk. Schował łuskę do kieszeni na piersi.

- Ubierz się - powiedział do Sylvii. - Zejdziemy na śniadanie.

Złożył scyzoryk, spakował komplet do czyszczenia monet, po czym jedno i drugie włożył do kieszeni.

Grymas gniewu wykrzywił twarz Sylvii.

- Spróbuj - powiedziała. - Chociaż raz.

Udał, że nie słyszy.

Posłała mu pogardliwe spojrzenie, owinęła tułów ręcznikiem i wzburzona wybiegła do sypialni.

Pociągnął łyk kawy, która zdążyła przez ten czas wystygnąć. Przez cienki materiał koszuli łuska wydawała się nienaturalnie zimna w dotyku. Wyjął ją i położył na biurku. Może jeszcze okazać się bardziej wartościowa, niż mu się zdawało. Szturchnął ją czubkiem palca. W pokoju nic się nie zmieniło.

Sylvia wróciła z sypialni - wciąż owinięta ręcznikiem i wciąż wściekła, chociaż tym razem starała się maskować złość przymilnością.

- Potrzym ją jeszcze raz, proszę. - Pocałowała go w kark. - Zrób to dla mnie.

- Za pierwszym razem się przestraszyłaś. Dlaczego tak ci zależy na powtórce?

- Wcale się nie przestraszyłam! Po prostu byłam zaskoczona. To ty się przestraszyłeś. Żałuj, że nie widziałeś swojej miny.

- Nasuwa się pytanie: dlaczego tak ci zależy?

- Kiedy Griaule objawia swoją wolę, lepiej go posłuchać, niż narażać się na niebezpieczeństwo.

- Wierzysz zatem w te brednie? - George się uśmiechnął. - Że Griaule jest bogiem?

- To nie brednie. Wiedziałbyś, gdybyś tu mieszkał. - Sylvia oparła ręce na biodrach i wyrecytowała tekst, który musiał być cytatem: - Niegdyś był śmiertelny, długowieczny, lecz nie wieczny, z czasem jednak nie tylko urósł, ale także zmienił swój status. Być może, słowo „demiurg” jest zbyt mocne, żeby określać nim przerośniętą jaszczurkę, nie można jednak

zaprzeczyć, że Griaule'owi niewiele do tego statusu brakuje. Jego ciało zespoliło się z ziemią, zna jej wszystkie drgania i konwulsje. Jego myśli błądzą swobodnie, jego umysł niczym chmura ogarnia cały świat. Jego krew jest szpikiem czasu. Stulecia przepływają przez niego, zostawiając osad, który on wkomponowuje w swoją istotę. Czy to takie dziwne, że kieruje naszym życiem i zna nasze losy?<sup>8</sup>

- Brzmi pięknie, ale niczego nie dowodzi. Z czego to?

- Z książki, którą ktoś zostawił „U Alego”.

- Nie pamiętasz tytułu?

- Jakoś nie bardzo...

- Ale cytat zapamiętałaś.

- Zdarza się, że nie ma nic do roboty i się nudzę. A kiedy się nudzę, to czytam.

Czasem też piszę.

- Co piszesz?

- Historie o innych dziewczynach, na przykład. Różne rzeczy. - Pogładziła go po policzku. - Spróbuj jeszcze raz, proszę.

Z demonstracyjnym (i tylko częściowo udawanym) zniecierpliwieniem wzięła łuskę do ręki i - nie oczekując niczego szczególnego - przesunął kciukiem po lśniącem błękitnym pasku, mocno go przyciskając. Tym razem odgłos rozdarcia był głośniejszy, a przejście z hotelowego pokoju na osłonecznioną równinę błyskawiczne. George przewrócił się z głuchym łomotem w wysoką trawę, kiedy krzesło, na którym siedział, rozpląnęło się w powietrzu, i leżał nieruchomo, ściskając w dłoni łuskę i mrużąc oczy przed brylantowym blaskiem słońca na niebie bezchmurnym i błękitnym jak lazuruwa emalia. Sylvia pisnęła ze strachu i wczepiła się w jego ramię, gdy dźwignął się na kolana. Coś powiedziała, ale jego umysł - owładnięty narastającą zgrozą - nie zarejestrował słów. Niedookreśloną wcześniej mieszanię zapachów ziemi i trawy zastąpiły ostre, gryzące wonie. Słońce nie grzało już łagodnie, lecz prażyło jak w piecu. Poczul, jak kropla potu ścieka mu spod pachy. Owady furkotały im nad głowami, wysoko w gorze kołował jastrząb. To nie była wizja. To łuska gdzieś ich przenosiła, może w inną część doliny. W oddali było widać łagodne, zalesione wzgórza okalające niekształtne mniejsze i bliżej położone pagórki. George mijał podobne wzniesienia w drodze z nadmorskiej równiny do Teocinte, tyle że tamte były zupełnie nagie.

W panice zaczął ponownie pocierać łuskę, licząc, że pozwoli mu to wrócić do

---

<sup>8</sup> Wyimek pochodzi z przedmowy do Griaule'a wcielonego Richarda Rossachera. Rossacher, młody lekarz, wyekstrahował z krwi Griaule'a silny narkotyk, od którego w późniejszym okresie uzależniła się znaczna część nadmorskiej populacji Temalagui. Doświadczony objawienia, stał się kimś w rodzaju smoczego ewangelisty i do końca swoich dni nauczał i pisał o boskości Griaule'a.

hotelowego pokoju, ale bez powodzenia. Sylvia usiadła ciężko na ziemi i zwiesiła głowę. Jej bezradność dodała George'owi sił, obudziła w nim instynkt opiekuńczy. Rozejrzył się w poszukiwaniu oznak życia w dolinie.

- Powinniśmy poszukać schronienia - powiedział. - I wody.

Odpowiedziała mu jakimś nieartykułowanym chrząknięciem i odwróciła głowę.

- Może tam będzie woda. - Wskazał odległe wzgórze. - I jakaś wioska.

- Wątpię, żebyśmy znaleźli tu wioskę.

- Dlaczego?

- Nie poznasz? - Zniechęcona Sylvia wskazała machnięciem ręki najbliższe wzniesienie, znajdujące się na prawo od nich, nieco z tyłu. - To Zmienna Grzęda; tam stał hotel. Na tym następnym pagórku Griaule opierał łeb. Widzisz to zagłębienie z lewej, z tymi euterpami? Tam rozciągało się Morningshade. A tam jest Gaj Yulina. Wszystko jest na swoim miejscu, brakuje tylko domów i ludzi.

Jeszcze przez chwilę kontynuowała wyliczanie charakterystycznych punktów w okolicy i George musiał przyznać jej rację. Spodziewał się, że będzie wstrząśnięta, przerażona, o krok od hysterii, ona zaś była zupełnie spokojna (na pewno spokojniejsza niż on!), choć przygnębiona. Zapytał, skąd u niej tyle zimnej krwi.

- Jesteśmy tu przyzwyczajeni do takich sztuczek. To sprawka Griaule'a. Ta łuska... Domyślałem się, że zrzucił ją, kiedy był młody, potem trafiła do tego słoja, a teraz z jakiegoś powodu sprawił, że to ty ją znalazłeś. Pewnie po to, żebyś mógł ją oczyścić i potrzeć.

- To niedorzeczne - odparł odruchowo.

Niezobowiązująco machnęła ręką w stronę Grzędy.

- Teocinte zniknęło. Masz jakieś inne wyjaśnienie?

Kraj był pusty, jeśli nie liczyć kołyszących się traw, targanych wiatrem pióropuszy palm i rozproszonych pod niebem ptaków. To dziwne, pomyślał George, że ptaki zachowują się tak bez troski, kiedy w pobliżu krąży jastrząb. Osłoniwszy oczy przed słońcem, zaczął szukać drapieżnika, ale jastrząb zniknął na tle słońca.

- Nie możemy tu zostać - powiedział, czując narastający niepokój.

Sylvia przewiązała się ręcznikiem jak bluzką. Wyglądała, jakby czekała na dalsze polecenia.

Jakiś owad zabzyczał George'owi przy uchu. Odpędził go bez przekonania.

- W którą stronę powinniśmy iść? - zapytał.

Sylvia apatycznym gestem skubnęła opadający lok. Była gotowa poddać się woli Griaule'a albo jakiejś innej niezrozumiałej sile. George złapał ją za nadgarstek i przyciągnął

do siebie.

- Jeżeli wiesz, gdzie znajdowało się Teocinte, to wiesz także, gdzie może być woda.

- Gdzieś tam powinien płynąć strumień - odparła niespodziewanie, wskazując pozostałe po Morningshade zagłębienie terenu. - Kiedy go ostatnio widziałam, był bardzo brudny, ale teraz, kiedy nikt tu nie mieszka, woda powinna być czysta.

- Chodźmy - powiedział George, a kiedy nie zareagowała, popchnął ją.

Uderzyła go pięścią w czoło. Rozpląkała się i złapała obolałą rękę w drugą dłoń.

- Złóścisz się? - spytał. - To dobrze.

- Nie popychaj mnie! - zawołała przez łzy. - Nie zgadzam się!

- Dopóki będziesz się zachowywać tak, jakby coś wyssało ci kręgosłup, dopóty będę cię popychał, kiedy zechcę. Przy innej okazji będziesz się użalać nad sobą i czekać na śmierć.

## ROZDZIAŁ 3

Zanim przeszli trzecią część drogi do strumienia, pragmatyzm wziął w George'u górę nad obawami. George zaczął układać plany przetrwania na wypadek, gdyby ich sytuacja - jakakolwiek by była<sup>9</sup> - miała się w najbliższym czasie nie zmienić. Kiedy jednak przygotowywał się do samotnego (i nie wiadomo jak długiego) życia z Sylwią, planował budowę (i późniejszą rozbudowę) schronienia, oraz obmyślał różne użyteczne sposoby spędzania czasu, znów dostrzegł jastrzębia, który tym razem, zamiast zataczać kręgi, zniżał lot, rosnąc przy tym w oczach do takich rozmiarów, że George porzucił wszelkie analogie z jastrzębiem i innymi znajomymi drapieżnikami. Złapał Sylwię wpół, dźwignął ją, nie bacząc na jej piski, i zaczął biec. Smok opadł tak nisko, że owionął ich podmuch powietrza spod jego skrzydeł. Z błyskiem zielono-złotych łusek wzbił się wyżej, ostro zawrócił, zanurkował w ich kierunku i tym razem, wściekle łopocząc skórzastymi skrzydłami, wylądował w trawie nie dalej niż pięćdziesiąt stóp przed nimi. Zniżył pyk i ryknął. Był to bardzo złożony dźwięk, jakby pół tuzina lwów ryknęło jednocześnie, lecz nie do końca unisono. Na widok lśniącej w mrocznej gardzieli pomarańczowej iskierki George pchnął Sylwię na ziemię i rzucił się na nią, przykrywając ją swoim ciałem. Spodziewał się, że smok lada chwila zionie ogniem. Kiedy płomienie się nie pojawiły, uniósł głowę. Smok nie ruszył się z miejsca, sapał tylko ciężko jak przeciążona lokomotywa. Tak jakby czekał, co zrobią. Sylvia poskarżyła się cicho i George zsunął się z niej, ale na widok smoka z jękiem ukryła twarz w trawie.

George wstał, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów. Bał się okropnie, nogi się pod nim uginały i właściwie spodziewał się, że w każdej chwili mimowolnie usiądzie, ale udało mu się utrzymać w chwiejnym półprzysiadzie. Spuszczony łeb smoka znalazł się prawie na równi z jego głową, chociaż grzbiet gada wznosił się znacznie wyżej. Smok musiał mieć około dwudziestu pięciu stóp długości, może nieco więcej, od czubka nosa do końca ogona. Złoto-zielone łuski gładko okrywały muskularne ciało, ułożone ciasno i precyzyjnie jak u łuskowca. Smok rozdziawił paszczę uzbrojoną w kły dłuższe niż męskie przedramię i wydał dudniący pomruk. Gorkawa, zwierzęca woń otulała go jak dym, aż

---

<sup>9</sup> Mimo że okoliczności wskazywałyby na uskok w czasie albo rozpęknięcie się wymiarów, George skłaniał się raczej ku teorii Peri Haukkoli, carbajalskiego profesora filozofii na Uniwersytecie Helweckim. Haukkola twierdził, że w ekstremalnym stresie ludzie są w stanie zmieniać stan fizycznego wszechświata, a nawet tworzyć miniaturowe rzeczywistości alternatywne. George przypuszczał, że w rzeczywistości stworzonej przez przeżywającą kryzys tożsamości Sylwię zawiera tę właśnie bezludną równinę.

George'a ścisnęło w gardle. A jednak, mimo złowieszczego wyglądu gada, było coś dziwnie psiego w sposobie, w jaki przekrzywił łeb i przyglądał się dwojgu ludziom - niczym szczeniak (wielki jak domek na wsi) zafascynowany dwoma intrygującymi okazami owadów.

- Sylvia... - George wyciągnął rękę. Jego palce musnęły ręcznik.

W odpowiedzi usłyszał słabe „Nie”.

- Gdyby chciał nas zabić, już by to zrobił - dodał bez przekonania.

Nie odrywając oczu od smoka, znów sięgnął po omacku i tym razem złapał Sylvię za przegub dłoni i szarpnięciem postawił na nogi. Wtuliła twarz w jego ramię; nie chciała patrzeć na smoka. Objął ją w talii i popchnął w kierunku, z którego przyszli. Z każdym krokiem coraz bardziej się bał.

Nie uszli nawet trzydziestu stóp, kiedy rozległ się szeleszczący trzepot skrzydeł i smok zastąpił im drogę. Przysiadł na zadzie, burknął basowo i zarzucił łbem na bok. Sylvia pisnęła; ogarnięty zgrozą George nie był w stanie zebrać myśli. Smok drugi raz kiwnął łbem i ryknął z głębi piersi, aż przygięły się pobliskie trawy. Sylvia i George znieruchomieli, przytuleni, z zamkniętymi oczami. Smok zadarł głowę pod niebo i wrzasnął przeraźliwie; w piskliwym tonie i nateżeniu dźwięku dało się chyba wyczuć frustrację. Zarzucił łbem jeszcze dwa razy, za każdym w tę samą stronę, i tym razem George odniósł wrażenie, że gestykulacja gada jest przesadzona - i chyba nieprzypadkowa. Zrobił dwa niepewne kroki we wskazanym kierunku, ciągnąc za sobą Sylvię. Smok nie okazał ani akceptacji, ani dezaprobaty dla jego zachowania, George szedł więc dalej - w stronę wzniesienia, na którym niegdyś wspierał się potężny łeb Griaule'a.

Rozpoczęli niepewną wędrowkę, potykając się na nierównym gruncie, ponaglani pomrukami smoka. Oddalali się od miejsca, w którym dawniej leżało Teocinte. Minęli wzgórze i znaleźli się na rozległej równinie, poprzecinanej wydeptanymi przez zwierzynę ścieżkami i porośniętej żółknącym buszem, nad którą wznosiły się wzgórza jak głowy cukru. Od czasu do czasu smok wpychał się przed nich, wygniatał szerokie placki w gęstej roślinności i w ten sposób wymuszał na nich zmianę kierunku marszu. W nieznośnie narastającym upale George zaczynał tracić kontakt z rzeczywistością - do tego stopnia, że kiedy zatrzymali się na odpoczynek i usiedli, a smok ponaglił ich rykiem, zerwał się na równe nogi i zaczął na niego wrzeszczeć. Po dobrych kilku godzinach znoju i udręki dotarli do miejsca, w którym strumień tworzył rozlewisko o średnicy osiemdziesięciu, może dziewięćdziesięciu stóp, a dalej przepływał przez mniejsze jeziora wśród niebotycznych euterp, mniejszych drzew i krzewów - chłodna, skomplikowana oaza zieleni na pustyni ciernistych zarośli i kolczastych chwastów. Tam smok ich zostawił: wydał ostatni

ostrzegawczy (zdaniem George'a) ryk i wzbiał się w powietrze. Po chwili skurczył się do rozmiarów jastrzębia, a wkrótce później zniknął w chmurze. Byli wyczerpani i oszołomieni, a zniknięcie smoka przyjęli z ulgą, ale i z rozpaczą. Kąpiel w największym jezioru trochę ich orzeźwiła. Przed zmierzchem George nazrywał pomarszczonych pomarańczy z drzewa nad rozlewiskiem i zjedli kolację złożoną z owoców i orzechów, a wkrótce później, zbyt zmęczeni, żeby chociaż porozmawiać, usnęli.

Rankiem rozważali powrót do miejsca, w które zostali przeniesieni, ale widok krążącego im nad głowami smoka skutecznie rozwiął wszelkie wątpliwości i George zabrał się do budowy krytego palmowymi liśćmi bambusowego szałas, a Sylvia zajęła się łowieniem ryb, w czym, jak twierdziła, miała pewną wprawę. Po półgodzinie patrzenia, jak pochylona tkwi nieruchomo w wodzie, czekając, aż ryby zapomną o jej obecności i będzie mogła je wyłapać, gdy spróbują przepłynąć jej między nogami, George stracił nadzieję na rybkę na obiad, ale - o dziwo - kiedy znów do niej zajrzał, okazało się, że złowiła już dwa średniej wielkości okonie.

Wieczorny zefirek skutecznie odpędzał moskity, kiedy wyciągnęli się na ułożonym w szałasie posłaniu z liść palm i bananowców, wpatrzeni w lśniące w wodzie odbicie fioletowego nieba, na którym błyszczało więcej gwiazd niż na firmamencie w teatralnej dekoracji; wyglądało jak jedwab wyszywany cekinami... Pełny brzuch i skromne wygody pomogły George'owi przynajmniej częściowo zapomnieć o ich trudnej sytuacji, ale Sylvia miała z tym wyraźny kłopot, bo kiedy próbował wziąć ją w ramiona, oparła mu się zdecydowanie i powiedziała:

- Znaleźliśmy się o krok od śmierci, a tobie tylko jedno w głowie!

- Daleko nam do śmierci - odparł. - Smok zadbał o to, żeby było nam dobrze. Mógł nas przecież wyprowadzić w o wiele mniej gościnną okolicę.

- Mów, co chcesz. Sprawy wyglądają kiepsko.

- Nie przesadzaj. - George mrugnął porozumiewawczo, usiłując rozbawić Sylvie komplementem: - Taka ładna dziewczyna na pewno da sobie radę.

W odpowiedzi posłała mu miazdzące spojrzenie.

- Dlaczego nie możemy cieszyć się chwilą? - spytał.

Prychnęła lekceważąco.

- Bardziej bym się cieszyła, gdybyśmy obmyślili jakiś sposób wyplątania się z tarapatów.

- Zawarliśmy umowę... - przypomniał bez przekonania.

- Tak, w Teocinte. Tutaj umowy nie obowiązują.



- Ja to widzę inaczej.

- Trudno. To mój głos jest decydujący. Nie zabrałam żadnych medykamentów i nie zamierzam ryzykować zajścia w ciążę w takim miejscu. Wynagrodzę ci to, kiedy wrócimy do Teocinte, a do tego czasu... Sam musisz o siebie zadbać. Tylko byłabym ci wdzięczna, gdybyś nie robił tego w mojej obecności.

Aromatyczny wiatr zaszeleścił w poszyciu dachu. George - mimo że rozumiał reakcję Sylvii - poczuł się urażony.

- Wszystko przez ciebie - mruknął.

Usiadła na posłaniu. W blasku gwiazd jej twarz była blada.

- Że co?

Streścił jej teorię Haukkoli o wpływie stresu na rzeczywistość konsensualną.

- Najpierw mówisz, że gadam bzdury, kiedy oskarżam Griaule'a o wpuszczenie nas w maliny, a potem wyjeżdżasz mi z tym Haukkermanem, tak jakby...

- Haukkolą.

- ...to o czymkolwiek świadczyło! Jakby samo sformułowanie kretyńskiej teorii miało dowodzić jej prawdziwości! I to ja wygaduję bzdury?! - Zaśmiała się sarkastycznie. - Mam nadzieję, że widziałeś smoka?

- Ależ oczywiście! Jego pojawienie potwierdza słuszność teorii Haukkoli: masz obsesję na punkcie Griaule'a, dlatego do swojej fantazji włączyłaś jednego z jego małych przyjaciół.

Te słowa wprowadziły Sylvie w osłupienie.

- Przecież to był Griaule! Nie zauważyłaś? Te same kolory, ten sam kształt łba... Owszem, nie ma tylu zadraśnień i blizn, poza tym jest mniejszy, ale to on!

- Naprawdę potrafisz rozpoznać, która jaszczurka jest która? - George parsknął śmiechem.

- Widywałam Griaule'a regularnie przez większość życia i jego na pewno potrafię rozpoznać. - Sylvia położyła się i odwróciła do niego plecami. - Ty i ten twój Haukkola! Dwaj durnie. Jeśli chcesz mieć do mnie pretensję, proszę bardzo. Ja idę spać.

## ROZDZIAŁ 4

Krótko przed świtem wiatr ucichł i w szalasie zaroilo się od moskitów. Obudziły Sylwię i George'a i zmusiły ich do poszukania schronienia w wodzie. Kiedy słońce wspięło się wyżej i zaczęło przypiekać, ze smętnymi minami wyszli na brzeg. Nie mając nic lepszego do roboty, George wzmocnił ściany schronienia i podniósł sufit, nadając szalasowi mniej szalasowaty wygląd, a potem poszedł szukać jedzenia. Nie chcąc brnąć przez gąszcz, przedzierał się przez ciernie i oganiał od gzów, szedł z biegiem meandrującego strumienia, wśród bambusów i karłatek o zbrązowiałych od słońca liściach. W pewnym momencie dostrzegł kołującego w górze smoka; przypadł wtedy do ziemi i odczekał, aż potwór zniknie mu z oczu. Przez następną godzinę marszu zamiast myśli miał w głowie jednostajny szum, aż w końcu wyszedł na trawiastą polanę wśród krzewów - owalną, względnie chłodną i ocienioną samotnym mangowcem, na którego gałęziach dojrzewające owoce wisały w gronach jak paciorki w ozdobnych żyrandolach. Zrobił z koszuli nosidło i zaczął napełniać je owocami, gdy nagle dostrzegł dwie przemykające w buszu sylwetki. Zaniepokojony ich podejrzanym zachowaniem, zawiązał koszulę, żeby nie rozsypać mango, i zaczął się wycofywać.

Dwaj mężczyźni zastąpili mu drogę. Jeden - wychudzony, łysawy, opalony, z wynędzniałą twarzą i ciałem pokrytym śladami po ukąszeniach moskitów, ubrany w spódniczkę z lian i liści - pogroził mu pięścią.

- To nasze mango! - zawołał.

Brud pogłębiał widoczne na jego twarzy bruzdy, przydając jej złowieszczy charakteru.

Towarzyszył mu pulchny młodzik z sięgającymi do ramion rozczochranymi włosami i czołem szerokim i gładkim jak świeżo postawiony nagrobek. Miał dużą głowę i drobne, całkiem przeciętne rysy twarzy, która sprawiała wrażenie niedokończonej. Był ubrany w zlachmanione sztruksowe spodnie i uzbrojony w solidny kij, którego mógłby użyć jako pałki - gdyby nie fakt, że chował go za nogą i nie chciał spojrzeć George'owi w oczy: prawdziwe uosobienie niechętnego wojownika. George uznał, że nie stanowią zagrożenia, ale starał się mieć na oku także inne kryjące się w gąszczu postaci.

- Zebrałem najwyżej tuzin, nie więcej - odparł. - Wystarczy dla wszystkich.

Łysawy zrobił minę, która miała chyba uchodzić za srogą, ale prędzej można było

pomyśleć, że okropnie rozboleł go brzuch. Pulchny szepnął mu coś do ucha. Łysawy odchrząknął z niesmakiem.

- Zatrzymaliśmy się daleko stąd - mówił dalej George. - Nie chciałbym wracać do obozu z pustymi rękami. Przepuście mnie. Nie będę się wam więcej naprzykrzał.

Pulchny spojrzał pytająco na łysawego, który po krótkim namyśle odparł:

- To prawda, parę sztuk nie robi nam różnicy. Przepraszam, że byłem nieuprzejmy. Mamy ostatnio kłopot z sąsiadami, podkradają nam jedzenie.

- Z sąsiadami? Jest w okolicy jakaś wioska?

- Nie, tylko ludzie tacy jak my. I wy. Wygnani przez Griaule'a na równinę. W sumie będzie z pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób, ale trudno dokładnie powiedzieć, bo to w większości samotnicy, w dodatku rozproszeni na znacznym obszarze.

George zarzucił nosidło z mango na ramię.

- Przez Griaule'a, powiadasz? To ten niewyrośnięty smok?

- Ten sam, który was tu zapędził. Zgodą, wygląda inaczej niż Griaule, do którego przywykliśmy, ale jak mu się dobrze przyjrzeć, to da się go rozpoznać.

- Od dawna tu jesteście?

- Będzie ze trzy miesiące, może ciut dłużej. To znaczy, ja i moja rodzina. Bo Edgar - łysawy wskazał pulchnego - dołączył do nas tydzień później.

Edgar wyszczerzył zęby w uśmiechu i skinął George'owi głową.

- To jest twoja rodzina? - George wskazał chowających się po krzakach ludzi. - Powiedz im, proszę, że nie stanowią zagrożenia.

- Na pewno sami się zorientowali, mój panie. To oczywiste, że jesteś dżentelmenem. - Łysawy pogrzebał paluchem w piasku, jakby był zakłopotany. - Moja córka okropnie się przelękała, kiedy Griaule zaczął ryczeć i w ogóle... Zawsze miała trochę nierówno pod sufitem, a teraz jeszcze zaczęła się bać ludzi... Wszystkich oprócz Edgara. - W jego głosie pojawiła się dyskretna nuta niezadowolenia. - Edgara wprost uwielbia.

- Ile ludzi jest z panem? - zainteresował się Edgar.

- Jesteśmy tylko we dwójkę - odparł George, nieco zaskoczony, bo zaczął już podejrzewać, że Edgar jest niemową.

Przedstawił się i dowiedział, że łysawy nazywa się Peter Snelling, ma żonę Sandrę i córkę Peony. Po dokonaniu prezentacji zapytał, czy wiedzą, jaką rolę przeznaczył im smok.

- Równie dobrze mógłbyś zapytać, ile waży księżyc - prychnął Edgar.

- Dociekanie jego zamysłów prowadzi donikąd - zawtórował mu Snelling.

- Ale na pewno się zastanawialiście - nalegał George.

- Raczej nie chce nas zjeść - odparł Snelling. - Nie zadawałby sobie tyle trudu, chociaż... tamtego przecież zjadł.

- No, niezupełnie... - Edgar podrapał się po szczęce. - Przeżuł go i wypluł.

- Facet próbował uciekać - wyjaśnił Snelling. - W ten sposób Griaule dał nam do zrozumienia, że mamy być grzeczni.

George nie pojmował, jak można zostać poddanym takiej próbie i nie próbować ze wszystkich sił rozwikłać jej zagadki. Zachowanie Edgara i Snellinga nie najlepiej świadczyło o ich inteligencji.

Zapytał, jak wylądowali na tym odludziu. Czy ich także przeniosła jakaś magiczna siła?

- Musiałbyś porozmawiać z Peony - powiedział Snelling. - Bawiła się czymś, ale nie chciała mi pokazać, co to jest. Nagle nasz dom zniknął i znaleźliśmy się tutaj, na łonie natury. Peony wrzasnęła i wyrzuciła tę swoją zabawkę. Powinienem jej być poszukać, tak sobie myślę... - Zgarbił się i zrobił smętną minę. - Trudno się było pogodzić z myślą, że to jej sprawka, ale teraz jestem tego pewny.

- Nawet gdybyś to coś znalazł, na nic by ci się zdało - uspokoił go George.

Nagle Edgar zerknął w bok. George też spojrział w tym kierunku i zobaczył niewiarygodnie grubą kobietę o głupawej, spalonej słońcem twarzy okolonej masą splątanych siwych kudłów, która - ubrana w udający sukienkę kawał płótna wielkości namiotu - rzuciła się na niego, biorąc zamach odłamaną gałęzią. Gałąź trafiła go w bok szyi i bark, mniejsze gałązki podrapały mu twarz, liście zasłoniły oczy; cios raczej go oszołomił niż ogłuszył. George zatoczył się w bok, ale nie upadł. Snelling skoczył mu na ramiona i kiedy współ z żoną usiłował obalić go na ziemię, Edgar szturchnął go kijem, czym zresztą bardziej drażnił George'a, niż robił mu krzywdę. Jego krągła jak księżyc w pełni twarz na przemian pojawiała się i znikła George'owi z oczu.

Zdołał odepchnąć kobietę, a kiedy próbowała rzucić się na niego po raz drugi, kopnął ją w brzuch. Impet uderzenia odrzucił ją w tył i kaczym krokiem przetoczyła się wstecz przez całą polankę, młócąc rozpaczliwie rękami, jakby chciała odfrunąć i w ten sposób wyratować się z opresji. W końcu jednak wychrypiała coś niezrozumiale i runęła na wznak w krzaki; sukienka podjechała jej na wysokość bioder, odsłaniając pokryte plamami nogi.

Snelling wczepił się w niego mocno, gryzł i drapał, dopóki George nie złapał go za włosy i nie wyrzucił pięścią w usta. Edgar odrzucił kij, wycofał się na skraj polany i tam stał, wyłamując palce. Na jego twarzy odmalował się najpierw ból, potem obojętność, a na koniec bezmyślny uśmiech, który George wziął za naturalny układ jego rysów.

Starł krew z rozharatanej gałązką brody. Snelling leżał na boku, dysząc ciężko. Krew barwiła mu zęby na czerwono. Jego żona z wysiłkiem usiadła, zachwiała się, poplirtowała chwilę z grawitacją i ostatecznie znów padła na wznak.

- Sandra! - Krzyk Snellinga zabrzmiał żałością, niemal tęskniąco, ale wcale nie ostrzegawczo ani współczująco.

- Powariowaliście? - George kopniakiem obsypał go piaskiem i podniósł wypełnione owocami nosidło. - Odpieprzyło wam? Żeby ryzykować życie dla paru mango... Idioci.

Słyszając jakiś szmer za plecami, odwrócił się błyskawicznie, gotów się bronić. Na skraju polany stała tykowata dziewczynka. Mogła mieć dwanaście, może trzynaście lat i przedstawiała sobą żalosny widok. Rude włosy opadały jej na twarz grubymi strąkami, zeszmaczona niebieska sukienka nie była w stanie zasłonić niedojrzałych piersi. Na tułowiu i nogach miała nie tylko wysypkę śladów po ukąszeniach owadów, ale także liczne ślady po uderzeniach - w tym wiele całkiem świeżych - dowodzące okrutnego traktowania. Na chwiejnych nogach wyszła spomiędzy drzew. Wargi jej drżały, gdy łamiącym się głosem poprosiła:

- Pomóż mi...

Potknęła się i upadłaby, gdyby George jej nie podtrzymał. Była tak drobna, że kiedy objął ją ramieniem, niechęć uniósł ją z ziemi.

Snelling obrócił się na plecy. Nadal nie mógł złapać tchu, za to jego żona zaczęła chyba odzyskiwać dawny wigor, bo wrzasnęła:

- Łapy precz od mojej córki!

Edgar z niezwykłą u niego zajadłością rzucił się na George'a z wyciągniętymi rękami i rozcapierzonymi palcami, jakby zamierzał wydrapać mu oczy. George usunął mu się z drogi i koszulą pełną owoców zdzielił go w twarz. Edgar padł jak wór ziemniaków, z zakrwawionym nosem, i się rozplakał. Jego szloch prawie zagłuszał Peony, która powtarzała niemal bezgłośnie:

- Ona nie jest moją matką... Ona nie jest moją matką...

- Kłamczucha! - wydarła się pani Snelling. - Niewdzięcznica!

- Nawet jeśli ona jest twoją córką, to ty na pewno nie jesteś jej matką! - warknął George. - Prawdziwa matka nigdy by nie dopuściła, żeby ktoś tak się znęcał nad jej dzieckiem.

- Ty łajdaku! W Morningshade kazałabym cię obić!

- W takim razie mam fart, że nie jesteśmy w Morningshade. A ty masz fart, że ważniejsze od wymierzenia sprawiedliwości jest w tej chwili opatrzenie ran twojej córki. -

Gniew rozsądzał George'a. - Na Boga, co z was za ludzie?! Żeby tak traktować dziecko! Dzikie zwierzęta bywają bardziej ludzkie! Zabieram ją. Jeżeli spróbowacie mi przeszkodzić, dokończę to, co zacząłem: pozabijam was.

Dla zilustrowania swoich słów kopnął Edgara w udo, a potem tyłem wycofał się z polanki. Kiedy stracił ich z oczu, podniósł Peony i puścił się biegiem.

Pokonał najwyżej dwadzieścia pięć jardów, gdy dobiegający z góry ogłuszający dźwięk i towarzyszący mu podmuch powietrza omal nie zwały go z nóg. Spojrzał na niebo i zobaczył przesuwający mu się nad głową biały, pękaty brzuch i wężowy ogon. Chwilę później zachrzęściły zmiażdżone olbrzymim ciężarem zarośla i basowy pomruk obwieścił, że Griaule wylądował i przedziera się przez krzaki. George rzucił się na ziemię, zagrzebał w stercie suchych liści przy pniu euterpy, przygarnął Peony i zakrył jej usta dłonią, żeby nie krzyknęła. Chrząst się nasilił, suche gałązki trzaskały seriami jak fajerwerki, w końcu dał się słyszeć głęboki, mlaszczący smoczy oddech. Przez szparę wśród liści George dostrzegł grubą, łuskowatą nogę zakończoną łapą szeroką jak poducha kanapy, z ostrogą na pięcie i czterema poźółkłymi szponami. Peony, która wiła się w jego uścisku, nagle zwiotczała. Jego umysł zalało lodowate odczucie, zimne i zarazem wrzące pianą, jak skraj fali przyboju. Czuł bliskość istoty zdegenerowanej przez gromadzący się od stuleci gniew; kipiącej złem samowolnej siły, przy której kaprysach ginęły jego najgłębsze pragnienia; potężnego bytu, któremu mógł tylko służyć. Z tego zimna uformował się komunikat, wyrazisty jak wibracje gongu, uciszający wszelkie inne wewnętrzne głosy, i George zrozumiał, że jego miejsce jest przy rozlewisku strumienia i nigdy więcej nie wolno mu wracać pod mangowiec. Wiedział - z taką samą pewnością, z jaką rozpoznawał wytarte portrety cesarzowych na rzymskich sestercjach - że drugi raz nie ujdzie mu to płazem. Zamknął oczy, porażony grozą umysłu Griaule'a (wrażenie było zbyt mocne i zbyt silne, żeby tłumaczyć je zrodzoną ze strachu halucynacją) i otworzył je dopiero słysząc łopot skórzastych skrzydeł i gadzi wrzask przetaczający się wysoko nad równiną.

W drodze powrotnej nad rozlewisko powstrzymał się od rozważań na temat faktu, że smok do niego przemówił (choć był pewien, że tak się właśnie stało); wszelkie wspomnienia z tego spotkania schował w głowie na strych i zamknął tam na cztery spusty. W obliczu takiej potęgi wyparcie było jedyną racjonalną reakcją. Szukając innych zajęć dla swojego umysłu, zaczął poszturchiwać pianę myśli, szukając w niej przyczyn wybuchu takiej złości wobec Snellingów. Od czasów szkolnych na nikogo nie podniósł ręki w gniewie i teraz, mimo że działał w obronie własnej, nie pojmował morderczych emocji, które nim zawładnęły. Nie przypominał sobie innego wydarzenia, które wywołałoby u niego tak gwałtowną reakcję -

ale zdawał sobie sprawę, że sięgnął do zasobów brutalności, która musiała się w nim gromadzić od lat, czekając na okazję, kiedy będzie potrzebna. To nie były puste groźby. Był gotów je spełnić.

## ROZDZIAŁ 5

Peony była zbyt słaba na tak długą wędrówkę i George przez większość drogi musiał ją nieść. Kiedy zapytał ją o Snellingów, oparła głowę o jego ramię i zasnęła. Czuł na piersi bicie jej serca, słabiutki i pośpieszne jak u ptaka. Z każdym krokiem coraz wyraźniej odczuwał jej delikatność i coraz mocniej czuł się z nią związany. Od czasu do czasu przystawał i chował się w zaroślach, żeby upewnić się, że nikt nie idzie ich tropem. Zanim wczesnym popołudniem wrócili do obozowiska, jego umysł odwrócił sytuację o sto osiemdziesiąt stopni i George traktował Peony w sposób typowy dla opiekuńczego rodzica.

Sylvia łowiła ryby, przykucnięta w rozlewisku i półnaga, tylko w podkasanych spodniach. Udała, że nie słyszy jego kroków, więc ją zawołał. Odwróciła się z wyrazem irytacji na twarzy, który na widok Peony zmienił się w niezadowolenie.

- Cóż to, powiększasz stajnię? - spytała złośliwie. - Jedna kobieta nie wystarczy takiemu byczkowi jak ty?

- Patrzysz, a nie widzisz. Przecież to jeszcze nie kobieta.

Kiedy wyjaśnił, co się wydarzyło, Sylvia kazała mu wnieść dziewczynę do szałas, a następnie pogoniła go precz, oznajmiając, że sama się nią zaopiekuje. Na skraju rozlewiska leżało na płaskich kamieniach pięć dorodnych ryb. Ich lśniąco boki pulsowały w ostatnich tchnieniach. Jedna miała srebrne tygrysie paski na oliwkowozielonym grzbiecie - tej George nie rozpoznał. Obciął im głowy, wypatroszył je i odfiletował, po czym zawinął mięso w liście bananowca. Następnie zagłębił się w busz, znalazł kolczaste drzewo rosnące obok kępy hibiskusów i zaczął obrywać sterczące na końcach gałązek ciernie. Układał je na liściach bananowca, które następnie kładł na obwodzie obozowiska. Zapełniał właśnie dziewiąty liść, gdy Sylvia wynurzyła się z krzaków u jego boku i zapytała, co robi.

- Zastawiam na ścieżkach pułapki na intruzów. Wielkiej krzywdy nikomu nie zrobią, ale przynajmniej usłyszymy, że ktoś się zbliża.

Sylvia nie odpowiedziała, przyglądając się, jak pracuje.

- Peony śpi? - zapytał.

Skinęła głową i uklękła obok niego.

- Trzeba się nią opiekować. Ja... zrobię, co mogę, ale... Sama nie wiem.

- Co się dzieje?



Sylvia pokręciła głową.

- No powiedz - nalegał George.

- Takie już jest życie pięknych i młodych dziewcząt, kiedy nie ma się nimi kto opiekować.

George, który dobrze pamiętał, jak wygląda Peony, miałby kłopot z nazwaniem jej piękną.

- O co ci chodzi?

- O mężczyzn. Wygląda na to, że wykorzystywali ją, odkąd skończyła osiem lat. - Głos Sylvii drżał z emocji. George domyślał się, że jej współczucie dla Peony może wynikać z podobieństwa życiowych doświadczeń. - Mężczyźni najbardziej ją skrzywdzili - mówiła dalej - ale matka też ją molestowała.

George chciał zauważyć, że molestowanie przez własną matkę musi mieć druzgocący wpływ na psychikę, ale akurat stonoga wdrapała mu się na kostkę i wyciągnął rękę, żeby ją strącić.

- Czy Snellingowie są jej rodzicami? Mówiła coś na ten temat?

- Pytałam, ale trochę trudno ją zrozumieć. Wszystko jej się miesza. Dobrze, że ją do nas przyprowadziłeś. - Sylvia zerwała źdźbło trawy. - Przepraszam za wcześniej... Za to, co powiedziałam.

- Nic się nie stało.

- Niepotrzebnie tak mówiłam, traktujesz mnie przecież lepiej niż przeciętny facet. - Na chwilę zawiesiła głos. - Znalazła łuskę Griaule'a w twoich rzeczach. Powiedziałam, że może ją zatrzymać. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

- Pewnie. Przecież i tak jest twoja.

- Mógłbyś przez jakiś czas spać gdzie indziej? - spytała po chwili milczenia. - Peony jest ci wdzięczna, ale bardzo dobrze by jej zrobiło, gdyby nie musiała spać w pobliżu mężczyzny.

- I tak będę musiał zbudować większy szałas - odparł po namyśle George. - Wygląda na to, że zabawimy tu dłuższą chwilę. Znalazłem nawet niezłe miejsce, przy jednym z tych mniejszych jeziorok. Jeśli tam go postawię, zapewni wystarczająco dużo prywatności.

- Dziękuję.

- Skończę tylko z tymi pułapkami i wezmę się do pracy.

Sylvia zaczęła wstawać, ale zatrzymała się w pół ruchu, przykucnięta, z ręką opartą o ziemię, i znów uklękła.

- Jeszcze jedna sprawa: mogę ci zabrać koszulę? Chcę ją pociąć, zrobić bluzkę dla

Peony, taką bez pleców.

- Nie trzeba jej ciąć: będzie trochę przyduża, ale się nada.

- Pomyślałam, że i mnie przyda się jakiś łach. Wiem, że lubisz się gapić na moje cycki, ale mnie trochę ciążą.

Usłyszał w jej głosie nutę skargi, chociaż jej twarz pozostała niewzruszona.

- I tak zrobiłeś sobie z niej nosidło - dodała. - Nie jest ci chyba bardzo potrzebna?

Zdjął koszulę i oddał ją Sylvii.

- Tylko radzę ją najpierw przeprać.

Wstała, trzymając koszulę w obu rękach. George znów odniósł wrażenie, że chce mu jeszcze coś powiedzieć, ale kiedy milczała, wrócił do oskubywania gałęzi z kolców.

- Zostawcie mi jedną rybę - powiedział.

# CZEŚĆ DRUGA

## ROZDZIAŁ 6

Niedługo po zapadnięciu zmierzchu spracowany i wyczerpany rozstrojem emocjonalnym George zasnął w nieukończonym nowym szałasie. Był przemęczony i źle spał, budzony skurczami znużonych mięśni - a wtedy patrzył, jak czarne chmury pędzą po niebie, odsłaniając wąskie ściegi gwiazd, i słuchał, jak wiatr targa palmową strzechę i szeleści w zaroślach. Podczas jednej z takich chwil na jawie cień wśliznął się do szałasu i wyciągnął na posłaniu. George poczuł dotyk palców przesuwających się jak pajak po jego brzuchu, w stronę krocza. Chciał jej powiedzieć, że jest wykończony i obolały, ale nie całkiem się jeszcze obudził i zmysły miał przyjemnie przytłumione, kiedy wzięła go w usta. Jej język dokonywał cudów. George skończył szybko, a wtedy wysliznęła się bezgłośnie z szałasu, tak jakby to wiatr i mrok zmówiły się, żeby stworzyć zmysłową kochankę będącą ciepłym, żywym odpowiednikiem szeleszczących liści i wzdychającej gęstwiny.

Rano wstał późno i długo jeszcze się zastanawiał, czy nie był to sen albo jakieś dziwne nawiedzenie - dopóki siedząca nad strumieniem Sylvia nie posłała mu uśmiechu, który przekonał go, że nocne rozkosze nie były ani ułudą, ani nie miały nic wspólnego z duchami. Peony stała obok, ale na jego widok schowała się za Sylvią, jakby przestraszona. W innej sytuacji mógłby jej nie poznać, chociaż ślady bicia na czystej skórze rysowały się wyraźniej niż przedtem. Zaczesane w tył włosy odsłaniały twarz o wydatnych kościach policzkowych, ogromnych chabrowych oczach, ustach zbyt szerokich jak na tak delikatną szczękę i ostro zarysowanym podbródku. Jej uroda była tak niezemska, że w pierwszej chwili wstrząśnięty George nieco się zaniepokoił. Obie z Sylvią miały na sobie bluzki zrobione z jego koszuli, w których - choć do siebie niepodobne - przypominały matkę i córkę (Sylvia nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata, jednak w porównaniu z Peony wydawała się bardzo dojrzała, i to w specyficznie matczynej sposób). Spodobał mu się pomysł, że we troje mogliby stworzyć rodzinę.

- Jestem George - powiedział, zwracając się do Peony. - Pamiętasz mnie?

Zerkała na niego ponad ramieniem Sylvi, ale teraz spuściła wzrok, odwracając się profilem.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Boję się - odparła, nadal nie patrząc na niego.

- Niepotrzebnie. Ludzie, którzy cię skrzywdzili...

- Nie chodzi o nich - wtrąciła Sylvia. - Boi się Griaule'a.

- On mi chce coś pokazać - powiedziała Peony. - Ale ja nie patrzę.

George rozmasował obolały bark.

- Nie rozumiem...

- Wszystko będzie dobrze. - Sylvia spojrzeniem dała mu do zrozumienia, żeby nie ważył się sprzeciwić. - Peony jest u nas bezpieczna, prawda?

- Ależ tak, naturalnie - przytaknął George. - Całkowicie bezpieczna.

Rozcierając bark, zapytał Peony, skąd zna myśli Griaule'a.

- Z tą łuską od Sylvii jest trochę trudniej - przyznała Peony. - Moja była lepsza, ale...

George czekał, co powie, lecz ona umilkła na dobre, skubiąc końcówki włosów.

- Dlaczego jest trudniej? - zapytał w końcu.

- On tak jakby do mnie szeptał, tylko że bez głosu.

- Słyszysz, jak mówi? Przemawia do ciebie?

- Każe mi oglądać straszne rzeczy. Wszystkim nam każe.

- Słyszysz go czasem bez dotykania łuski? Słyszałaś go, kiedy zabrałem cię od Snellingów?

Tym razem spojrzała na niego. Zrobiła zdziwioną minę.

- Wielu ludzi go słyszy, kiedy jest zły.

- Myślisz, że Snellingowie też go słyszeli?

- No, ja muszę wracać do łowienia ryb - odezwała się Sylvia. Przyklęła na jedno kolano i zaczęła podwijać nogawkę spodni. - Im później, tym trudniej się je łapie. Uważajcie na siebie. Może narwiecie jakichś owoców? Byłoby miło.

George spochmurniał.

- Chciałem poszukać młodych drzewek, potrzebne mi są na podpory. Wiesz, do szałas.

- I co, nie możesz jej zabrać ze sobą? - Sylvia wstała i dodała szeptem: - Muszę trochę pobyć sama. - Skinieniem głowy wskazała Peony i skrzywiła się, jakby dziewczyna się jej naprzykrzała. - Może znajdziecie winogrona - dodała już normalnym głosem. - Podobno kiedyś dużo ich tu rosło.

- Winogrona! - Chichot Peony trącił obłąkaniem.

- Tak, winogrona - przytaknęła Sylvia. - A o co chodzi?

- Jedzenie winogron przypomina jedzenie oczu. Tak mówi Edgar.

- Jaki Edgar?

- Facet, który mieszka z jej rodzicami - wyjaśnił George.

- Nie smakują jak oczy, ale tak samo młazszcżą, jak się je zgryzie - dodała Peony.

- A skąd Edgar o tym wie? - zainteresowała się Sylvia. - Lubi czasem przekąsić jakieś ładne oczko? Pewnie macza je w stopionym maśle i łyka w całości?

Peony miała wyraźny kłopot z odpowiedzią na to pytanie. Jej twarz przybrała obojętny wyraz, wzrok zblądził w dal.

- Założę się, że jest pożeraczem oczu - powiedziała Sylvia. - Jak większość mężczyzn.

\* \* \*

Jak wkrótce przekonał się George, w tej rozmowie Peony wzniosła się na wyżyny swoich możliwości intelektualnych, najczęściej bowiem nie reagowała nawet na pytania skierowane bezpośrednio do niej, cały czas tylko nucila albo podśpiewywała bezbarwnym głosem i bawiła się kamykami, listkami i wszystkim, co jej wpadło w ręce. Mimo to, udało mu się poskładać z jej słów wizję życia z Edgarem i Snellingami. O Sandrze nie chciała mówić, spinała się przy każdej próbie poruszenia tego tematu, ale przyznała, że pan Snelling miał w zwyczaju dobierać się do niej, ilekroć Sandra nie miała ochoty pełnić obowiązków małżeńskich. Odwracał ją na brzuch i bił za brak entuzjazmu. Edgar wkradł się w jej łaski, udając przyjaciela, i przymilnie nakłonił ją do zaspokojenia go ustami po długim i ciężkim dniu objadania się mango. Jego zamięłowanie do praktyk seksualnych kojarzonych z marynarzami w długich rejsach wydało się Peony odstręczające, lecz mimo to, wspominała go znacznie czulej niż Snellingów. Wysłuchawszy jej, George ostrze swej pogardy skierował głównie przeciw Edgarowi - był młody i silniejszy od Snellingów i mógł pomóc dziewczynie, a zamiast tego wolał zaspokajać swoje żądze, przyczyniając się do jej przemiany w tę nieszczęsną istotę.

Od tej pory zajmował się nią od rana do późnego popołudnia, kiedy Sylvia przejmowała pałeczkę. Zabierał ją ze sobą na poszukiwanie jedzenia; wykarmienie trojga ludzi pochłaniało im mnóstwo czasu i mimo że bardzo się do tego przykładali, chudli i słabli w zastraszającym tempie. Taki układ dnia sprawiał, że rzadko mieli z Sycwią czas dla siebie. Na pewno nie tak wyglądało wymarzone życie rodzinne z wyobrażeń George'a, było jednak dość podobne do życia, jakie wiódł z Rosemary - tyle że było w nim więcej obowiązków i znacznie mniej seksu. Sylvia nie odwiedzała go w nowym szałasie po tamtej pierwszej nocy. Doszedł do wniosku, że wtedy zrobiła to z wdzięczności za interwencję w sprawie dziewczyny; zanosilo się na to, że jeśli chciał liczyć na regularne przywileje seksualne, powinien masowo ratować młode dziewczyny z tarapatów. Kusiło go, żeby wmówić jej, że potrzebuje pociechy, bo coraz bardziej doskwierają mu codzienne troski i napięcie związane z

nieustannym wypatrywaniem smoka (nawet nie byłoby to takie wielkie kłamstwo - kiedy nie spał, większość czasu zajmowało mu snucie depresyjnych myśli), ale siedemnaście dni po tym, jak Peony pojawiła się w ich życiu, Sylvia znów go odwiedziła. Właśnie zasypiał, kiedy wśliznęła się do szalasu.

Zmierzający do pełni księżyc oświetlał wnętrze domku i złocił posłanie z bananowych liści, a kiedy Sylvia dosiadła George'a, obrysował jej sylwetkę złotym blaskiem. Burza jej włosów przypominała czarne płomienie; trzask strzechy na wietrze dodatkowo potęgował to wrażenie. Była namiętna i gorąca jak nigdy przedtem i George - z nadzieją, że oznacza to coś więcej niż zwykłą zwierzęcą chuć - również reagował entuzjastycznie. Później jednak przerwała posterotyczne milczenie takimi słowami:

- Nie wyobrażaj sobie za wiele. Po prostu swędziało mnie i nie mogłam sama się podrapać.

- Dlaczego miałbym myśleć inaczej?

Światło księżyca zmyło zmarszczki z jej twarzy. Wyglądała jak młodsza, mniej stroskana wersja samej siebie.

- Wiem, jacy bywają mężczyźni.

- Straszne z nich prymitywy, prawda? - zakpił George. - Łatwo się podniecają, szybko wpadają w gniew, ale poza tym są jak niedorozwinięte dzieci.

- W niektórych sprawach tak. A co ty sobie myślisz, że jestem taka głupiotka i nie widzę, że zraniłam twoje uczucia? Przykro mi, po prostu nie chcę, żebyś sobie coś pomyślał.

- Zapewniam cię, że doskonale wiem, na czym stoję.

Milczenie się przeciągało. Tym razem pierwszy odezwał się George:

- Jedno mnie zastanawia: wcześniej mówiłaś, że seks nie wchodzi w grę, bo nie masz swoich medykamentów.

- Peony mówi, że nie zabawimy tu długo. Jeżeli przez ciebie przybliżę się do założenia rodziny, zajmę się tym po powrocie do Teocinte.

- Wierzysz jej? Wierzysz na słowo dziecku, które całymi dniami gapiłoby się w słońce, gdybyśmy mu na to pozwolili?

- Zdarzało mi się akceptować bardziej nieprawdopodobne wydarzenia. Pogodziłam się z tym, że to twoje pocieranie smoczej łuski nas tu ściągnęło. Ludzie tacy jak Peony często przejawiają talenty, które równoważą ich upośledzenie. Kto by jednak...

- No nie, nie mów mi, że w to też uwierzyłaś!

- Kto by pomyślał, że taki porządny obywatel jak ty będzie miał taki dar?

- To obelga? „Porządny obywatel”?

- Nie taki był mój zamiar, ale skoro tak chcesz to rozumieć...

- Domyślam się, że „porządny obywatel” musi brzmieć jak obelga dla... - George ugryzł się w język.

- Dla kurwy? Tego słowa szukasz?

- Razem tkwimy w tym bagnie, nie ma sensu się kłócić.

- Może i nie ma, ale ja...

- Przestań! - Objął ją i przyciągnął, aż wsparła się piersią o jego pierś. - Mamy większe zmartwienia. I gorszych wrogów.

- Puszczaj!

Nie ustąpił, kiedy próbowała się wyrwać. Odsunęła się od niego na ile pozwalał jego uścisk, jakby chciała nań spojrzeć z nowej perspektywy.

- Czego chcesz? - zapytała.

- Żebyśmy się dogadywali.

- A to... - Mimo ograniczonych ruchów, zdołała mu dać do zrozumienia, że mówi o ich cielesnej bliskości. - To nie jest dogadywanie się?

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Dzielimy się pracą, każde z nas po trochu opiekuje się Peony. Co jeszcze ci nie pasuje?

- Mogłabyś być dla mnie miła.

- Aha! Więc mam udawać?

- Wcale nie, chcę tylko, żebyś była taka jak w hotelu. Pamiętasz? Pytałaś, czy podobasz mi się, kiedy nie udajesz, że jesteś kimś innym.

- Myślisz, że wtedy nie udawałam? - spytała rozbawiona.

George zdławił ogarniający go gniew.

- Nie interesuje mnie, co wtedy robiłaś, chcę tylko, żebyś dalej się tak zachowywała. Nawet jeśli ty wierzysz w jasnowidztwo Peony, to i tak mogą jeszcze upłynąć miesiące albo lata, zanim wrócimy do domu. Równie dobrze możemy tu tkwić do śmierci. Albo się postaramy i jakoś ułożymy sobie życie razem, albo powariujemy.

- Nie musimy sobie układać życia, nie jesteśmy małżeństwem.

- Czyżby? Ciągłe się kłócimy, rzadko uprawiamy seks i mamy dziecko na utrzymaniu. Dla mnie to brzmi jak małżeństwo. Tyle że w odróżnieniu od prawdziwych małżeństw nie możemy się z tego na chwilę wyrwać, wychodząc wieczorem do knajpy. Dlatego, cokolwiek robiłaś, udawałaś czy nie udawałaś, dobrze by było, gdybyś znowu zaczęła to robić. Nie jesteśmy ufni z natury, ale musimy sobie zaufać. Nie wiemy, co nas czeka, może będziemy



musieli polegać na sobie nawzajem jeszcze bardziej niż do tej pory. Musi nas połączyć jakaś więź, bo bez tego zginiemy.

- Skończyłeś?

- Chyba tak.

- To mnie puść.

Prychnął z irytacją i odepchnął ją od siebie. Podniosła się na kolana. Strzępki liścia bananowca przykleiły się jej do spoconego biodra i uda; wyglądały jak częściowo zmasane pismo, tak jakby, kochając się, wypisali na jej skórze jakieś zielone stwierdzenie, które późniejsza kłótnia w większości zatarła. Spodziewał się, że Sylvia bez dalszych słów wybiegnie z szałas, ale stanęła przed nim ze zwieszoną głową, włosami opadającymi na oczy i palcami splecionymi na wysokości bioder.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

Pociągnęła nosem.

- Nie chciałem cię zdenerwować. Sugeruję tylko, że będzie lepiej dla nas obojga, jeżeli będziemy wobec siebie szczerzy. Jeżeli postaramy się stworzyć związek, nawiązać przyjaźń, to kto wie, co z tego wyniknie. Iskra, która ma dość czasu, żeby zapłonąć...

- Czy ty nigdy nie przestaniesz? - Złapała się obiema rękami za głowę, jakby się bała, że za chwilę mózg jej eksploduje. - Jak ci coś do łba strzeli, to nic, tylko w kółko o tym nawijasz! Gównu cię obchodzi, co czują inni, byłeś tylko słyszał swój głos! - Pociągnęła nosem, wytarła go i zgarbiła się. - Przepraszam. Naprawdę przepraszam.

Z tymi słowami wybiegła w mrok i George został sam. Rozmyślał o swoich błędach, główkował nad przeprosinami Sylvii i wsłuchiwał się w wiatr zawodzący stale jedno i to samo zdanie, bez spółgłosek, jak inwokację do jakiegoś skretyniałego boga.

\* \* \*

Mając w pamięci zakończenie tej rozmowy, nie obiecywał sobie żadnych pozytywnych jej skutków. Ostateczny efekt był jednak taki, że Sylvia zaczęła odwiedzać go regularnie co kilka nocy: najpierw się kochali, a potem dyskutowali o bieżących sprawach, najczęściej związanych z Peony. Naprawdę stawali się rodziną - może niezbyt tradycyjną, ale z pewnością funkcjonalną. Domyślał się, że Sylvia nie wkłada serca w to przedsięwzięcie, ale utrzymywane przez nią pozory sprawiały mu przyjemność, urzeczywistniały jego wieloletnią fantazję i dodawały sił w obliczu dwóch niezmiennie przytłaczających składników rzeczywistości: gorąca i smoka. Bywały takie chwile, że nie umiał ich od siebie oddzielić: patrolujący niebo smok wydawał się symbolem upału, a lejący się z nieba żar był wysysającą siłą emanacją smoczej tajemniczości i zgrozy. Bez czułości ze strony Sylvii i ojcowskiej

troski nad Peony mógłby popaść w depresję.

Dni upływały w nieznośnej identyczności: zbyt jasny poranek, południe jak w piecu, nisko płynące szare chmury o brzuchach ciemnych od deszczu, który nigdy nie padał, na koniec wilgoć i zaduch, zmieniające powietrze w gęstą zupę, jakby żyli w paszczy jakiejś gigantycznej bestii, zbyt wielkiej, by ogarnąć ją rozumem, dającej się poznać tylko poprzez nieprzyjemne i niemiarodajne sugestie jej obecności. Oczywiście, smok stanowił najpoważniejsze zagrożenie, na które nie było wytłumaczenia ani lekarstwa. George, który wcześniej wytykał Edgarowi i Snellingom brak zainteresowania tą kwestią, wkrótce zdał sobie sprawę, że każda próba analizy zachowania smoka byłaby tylko czczą spekulacją. Najsensowniej brzmiało wyjaśnienie, w którym równina stanowiła dla smoka olbrzymi magazyn świeżego pożywienia - ale i wtedy nasuwały się pytania, szczególnie o to, dlaczego Griaule miałby wybierać swoje ludzkie przysmaki w tak dziwnie skomplikowany sposób (oczywiście, przy założeniu, że inni także zostali tu przeniesieni wskutek dotykania lub pocierania łusek młodego smoka). Próbował porozmawiać o tym z Peony, ale zapytana o zamysły Griaule'a odpowiedziała ogólnikami, powtarzając starą śpiewkę o tym, że smok chce mieć w nich świadków, i dodając, że są „szczęśliwcami”. A kiedy próbował ją trochę przycisnąć, łzy napłynęły jej do oczu i wymamrotała coś o jakimś „ogniu”.

\* \* \*

Cały czas nie mógł pogodzić się z myślą, że smok nad równiną to Griaule, bo oznaczałoby to, że Griaule nadal żyje. Niemożność dogadania się w tej kwestii z Peony doprowadzała go do szału. Próbował wszelkich możliwych podstępów, ale nie powiedziała nic więcej i w końcu był zmuszony odłożyć dyskusję na kiedy indziej. Dla zabicia czasu zaczął udzielać Peony lekcji przyrody, chociaż odnosił wrażenie, że nie jest w stanie przyswoić sobie jego nauk. Kiedy włączyli się po równinie w poszukiwaniu pożywienia, wskazywał różne drzewa i krzewy i powtarzał ich nazwy, albo objaśniał jej, na czym polega wschód słońca i skąd się bierze deszcz. Często wtedy tłumaczył rzeczy oczywiste, czym zapewne rozdrażniłby Sylwię, ale Peony nie miała nic przeciwko temu.

Pewnego dnia, w zaroślach na zachodnim brzegu strumienia natknęli się na obwieszone ciemnopomarańczowymi owocami drzewko kumkwatowe, które uszło uwagi ptaków. George usiadł pod nim i zmajstrował prowizoryczny kosz z liści bananowca. Peony przez ten czas pojadała owoce. Zjadła ich kilkanaście, zanim George zwrócił jej uwagę, że jeśli nie przestanie, może się nabawić rozstroju żołądka. Kiedy zerwała następny, powtórzył swoje ostrzeżenie, aż w końcu nie wytrzymał i wydarł się na nią, zakazując dalszego obżerania się. Upuściła owoc na ziemię i odwróciła wzrok. George poklepał ją po ramieniu,

czując się jak tyran, i szczegółowo objaśnił jej możliwe konsekwencje przejadania się owocami.

Kiedy słońce zbliżało się do zenitu, znalazł kawałek cienia, w którym oboje się pomieścili, i ułożył się do drzemki. Peony wyciągnęła się obok niego.

Przebudzony z erotycznego snu odkrył, że Peony rozpięła wiszące na nim w strzępach spodnie i zaczęła go pieścić. Najpierw półprzyciemnie pomyślał, że nadal śpi, ale po chwili ją odepchnął. Jęknęła błagalnie i próbowała znów wziąć go do ręki. Krzyknął na nią, żeby przestała. Zasłoniła głowę rękami, jakby spodziewała się ciosu.

- Nie wolno ci tego robić - powiedział. - Nie musisz. Nikt cię nie skrzywdzi, jeśli tego nie zrobisz.

Spojrzała na niego. W jej oczach nie było śladu zrozumienia. Łza złościła kanalik w plamie brudu na policzku.

- Nic się nie stało - dodał. - Nie jestem zły na ciebie, tylko na ludzi, którzy nauczyli cię, że masz ich w ten sposób zadowalać.

Gapiała się na niego tępo, z twarzą pustą jak świeżo umyta miska ozdobiona egzotycznym deseniem. Czubkiem palca nakreśliła w piasku falującą linię i znów spojrzała na George'a.

- Rozumiesz? - zapytał. - Nie musisz już tego robić. Nikomu.

Zmarszczka troski przecięła jej czoło.

- Ale ja chcę uszczęśliwiać ludzi.

- Kiedy dotykasz innych ludzi i pozwalasz, żeby oni też cię dotykali... Najważniejsze, żeby to tobie było przyjemnie.

Wykonała niezdarne gesty, jakby chciała coś złapać, i spuściła wzrok. Zobaczyła upuszczony kumkwat. Sięgnęła po niego, ale zaraz cofnęła rękę.

- Od tej pory, jeśli będziesz chciała kogoś w ten sposób uszczęśliwić, albo jeśli ktoś cię o to poprosi, najpierw masz przyjść do mnie i zapytać, co zrobić. Albo do Sylvii. Zrozumiałaś?

Pokiwała głową i podniosła owoc. George znów zamierzał ją zbesztać, ale uznał, że już wystarczająco dał jej do myślenia.

Oddawszy ją pod opiekę Sylvii, zaczął się zastanawiać, skąd wziął się ten moment zawahania, zanim ją odepchnął. Może to nie senność, tylko skłonność do perwersji spowolniła jego reakcję? Ale dopiero wieczorem przyszło mu do głowy, że kiedy pierwszego dnia po ocaleniu Peony Sylvia przyszła do niego w nocy... to wcale nie musiała być Sylvia. Pozostało mu wspomnienie, że jej dotyk był wówczas mniej wprawny niż zwykle, mniej

pewny, co bardziej pasowałoby do Peony. Poza tym, Sylvia z pewnością by się do niego odezwała, nie była przecież specjalnie wstydliva ani nieśmiała z natury. Im dłużej o tym rozmyślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że dziewczyna wyraziła swoją wdzięczność w jedyny znany sobie sposób. Myśl ta, choć obrzydliwa, nie dawała mu spokoju. Snucie wspomnień z tamtej nocy sprawiało mu dziwnie lubieżną przyjemność, co było jeszcze bardziej odrażające. Domyślał się, że tak właśnie działa umysł ogarnięty obsesją - na każdym kroku próbuje oszukiwać sam siebie; obrzydza każdy czysty impuls, przypisując mu podłe motywy - a mimo to, w miarę upływu czasu coraz bardziej chciał się ukarać za swoją zbrodnię. Nawet kiedy pochłaniała go walka o przetrwanie, część jego umysłu koncentrowała się na Peony i na rozważaniu wszystkiego, co zrobił i czego nie zrobił.

Sprawę powinno się dać łatwo wyjaśnić, ale przy kolejnych odwiedzinach Sylvii zdjął go strach, że każda jej odpowiedź na jego pytanie tylko utwierdzi go w słuszności dawno wydanego wyroku. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie zachować cień wątpliwości w kwestii swojego upadku moralnego. Tej nocy nie wyszło mu z Syla. Wymówił się dolegliwościami żołądkowymi i po prostu leżeli obok siebie, wsłuchani w szum wiatru nad równiną. Gnane nim chmury prześlizgiwały się po połowce księżyca, który rysował ich sylwetki srebrnym ogniem.

I wtedy George pozwolił sobie na chwilę słabości, zmienił zdanie i opowiedział Sylvii o tym, co dzień wcześniej wydarzyło się między nim i Peony. Zapytał też, czy to ona przyszła do niego tamtej pierwszej nocy, i wyjaśnił, czego się obawia.

Milczała przez sekundę, zanim odwróciła się do niego.

- Więc to to cię tak nakręciło? Oczywiście, że to byłam ja! - Pacnęła go żartobliwie pięścią. - Czuję się urażona, że mnie nie rozpoznałeś!

Później zdał sobie sprawę, że gdyby naprawdę chciał usłyszeć szczerą odpowiedź, zadałby pytanie bez zbędnych wstępów i bez przyznawania się, że o tamte nocne odwiedziny podejrzewa Peony. Mógł po prostu powiedzieć Sylvii, że miał taki sen i zastanawia się, ile było w nim prawdy. Nie powinien był dawać jej czasu na zastanowienie się, na podjęcie decyzji, że lepiej zrobi, kłamiąc, bo w ten sposób wzmocni jego pewność siebie i będzie mogła w przyszłości liczyć na to, że ją obroni. Owszem, ten scenariusz zakładał błyskawiczne i dogłębne zrozumienie problemu z jej strony, ale George już dawno stwierdził, że Sylvia w gruncie rzeczy jest kobietą inteligentną i wyrafinowaną. I tak oto nierozstrzygnięty problem drążył podstawy jego równowagi psychicznej, odwracając uwagę od innych, poważniejszych spraw.

Całe dni musiał spędzać w towarzystwie Peony, starał się jednak ograniczyć do

minimum kontakt fizyczny z nią i traktował ją z chłodnym dystansem; nie było mowy ani o uściskach, ani nawet o trzymaniu się za ręce. Fakt, że brak takiej czysto fizycznej pociechy nie sprawił Peony żadnej różnicy, powinien przynieść mu ulgę, ponieważ wyraźnie dowodził tego, jak bardzo została skrzywdzona i jak niewielki jest wpływ działań innych ludzi na panujący w jej głowie zamęt - ale jego udręka tylko się wzmogła i jeszcze bardziej niż wcześniej wziął sobie jej dobro do serca. Każde zadrapanie kolano i skaleczony palec stawały się powodem zmartwienia; każdy jęk skargi przyciągał jego niepodzielną uwagę. Kiedy nie mógł zasnąć (co zdarzało mu się coraz częściej), dla zapewnienia bezpieczeństwa Peony patrolował peryferia obozu (starając się nie wpaść we własne pułapki) z regularnością, której mógłby mu pozazdrościć smok.

Któregoś wieczoru jak zwykle wyszedł się rozejrzeć po okolicy, i wtedy z gąszczu za szalasem dobiegły jakieś krzyki. Ucichły, kiedy ruszył w tę stronę, i znów było słychać tylko wiatr. Spłaszczony do owalu księżyc wynurzył się zza chmur na południu, srebrząc szeleszczące czubki krzewów i oświetlając mu drogę. Wkrótce znów usłyszał głosy. Zaczął się skradać w ich kierunku, zerkając spomiędzy liści. Dwóch mężczyzn siedziało na wydeptanej przez zwierzynę ścieżce, oddzielonej w tym miejscu wąskim pasem zarośli od brzegu jednego z mniejszych jezior. Cieniutkie strużki krwi, czarne w świetle księżyca, spływały im po nogach - wpadli w zastawioną przez George'a pułapkę i teraz byli zajęci wyciąganiem kolców z ciała. Jeden z nich - niższy, żylasty, z przesłaniającą pół twarzy szopą bujnych ciemnych włosów, ubrany w zniszczone, butwiejące spodnie - zaklął, wydłubując cierń czubkiem wędkarskiego noża. Drugim mężczyzną był Edgar. Odniósł mniej obrażeń. Pojękiwał cicho, ostrożnie wyłuskując kolce.

Gniew zawładnął umysłem George'a jak jeździec, który z wprawą dosiada wierzchowca. Tak jakby od tygodni szykował się do tej chwili i teraz, kiedy nadeszła, był aż nadto gotowy, by wypełnić wynikające z niej obowiązki. Wyszedł na ścieżkę, ale zanim zdążył się odezwać, żylasty zerwał się na równe nogi i kulejąc niezgrabnie rzucił się na niego z nożem. Ostrze nakreśliło mu na brzuchu linię palącego bólu. Drugie cięcie rozorało przedramię. George spanikował, skoczył naprzód, wszedł w zwanie i chwycił mężczyznę za przegub dłoni trzymającej nóż. Chybocząc się jak para pijanych tancerzy, wpadli w zarośla i wytoczyli się na brzeg strumienia. Przeciwnik był silny, ale znacznie wyższy od niego George mógł łatwiej użyć dźwigni. Odwrócił napastnika, chwycił mocniej i powalił go na kolana nad samą wodą. Nóż upadł na piasek, a gdy napastnik po niego sięgnął, George rozpląszczył go swoim ciężarem na ziemi i wepchnął mu głowę pod wodę. Mężczyzna wynurzył się i przekrzywił głowę w bok, odsłaniając zarośnięty policzek, wykrzywione usta i jedno oko,

wściekle połyskujące w sieci mokrych włosów. Bijący od niego smród owionął ich obu. Napastnik stęknął i zaczerpnął haust powietrza, ale wtedy znów został przytopiony. Szarpał się i miotał spazmatycznie, burząc wokół siebie wodę; na oślep sięgnął lewą ręką za plecy, szukając paznokciami twarzy George'a, ale ten tylko splótł palce obu dłoni na jego karku i przycisnął mocniej, wbijając wzrok w przeciwległy brzeg rozlewiska. Na skraju zarośli mignęła mu przykucnięta Sylvia, ale właściwie nie zarejestrował jej obecności. Ciałem napastnika wstrząsały konwulsje, obleśne dygotanie, jak u kochanka na chwilę przed spełnieniem. George na wszelki wypadek nie rozluźniał chwytu, dopóki nie nabrał pewności, że jest po wszystkim. Dopiero wtedy sturlał się z ofiary i zdyszany legł obok.

Księżyc zaświecił jaśniej. George czuł pulsujący ból w brzuchu. Usiadł i obejrzał ranę - wydawała się powierzchowna. Gorzej wyglądało cięcie na przedramieniu. Gdyby nie rany od kolców, które osłabiły napastnika, nie wiadomo, kto by teraz leżał tu nieruchomo. Ręce mu się trzęsły. Głowa topielca podskakiwała lekko, unoszona leniwym nurtem. Oczami wyobraźni George widział ryby wyjadające oczy trupa i nawet chciał go wyciągnąć z wody, ale nie mógł się do tego zmusić. Wszechobecny smród tamtego oblepiał mu skórę i przyprawiał o mdłości.

Sylvia uklękła obok niego. Coś mówiła, ale jej nie rozumiał. Jej widok wstrząsnął nim na bardzo głębokim, fundamentalnym poziomie, wywrócił wszystkie pewniki do góry nogami. Chciał odwrócić wzrok, ale jej natarczywe spojrzenie przykuło jego uwagę. Znów coś powiedziała, wyraźnie rozdrażniona.

- Nic mi nie jest - odparł.

Spoliczkowała go.

- Ten drugi ucieka!

Rozejrzał się, ale nikogo nie zobaczył.

- Trzymaj! - Wcisnęła mu w dłoń nóż zabitego. Ostrze ociekało czerwienią.

Nie rozumiał, po co mu ten nóż.

- To tylko Edgar - powiedział.

- Edgar? Facet, który więził Peony? - A ten... - Sylvia wskazała zwłoki. - To Snelling?

- Tego nie znam. - George odłożył nóż na trawę. - Ale sam Edgar nie stanowi zagrożenia. Jest nieszkodliwy.

- Przecież nie przyszedł tu sam, prawda? Namówił kumpla na małą eskapadę, powiedział mu, że gdzieś tu znajdują fajną laskę, i zasugerował, że mogliby ją sobie wziąć. To ma być „nieszkodliwe”? - Sylvia zawiesiła pytająco głos, a kiedy George nie odpowiedział, dodała: - Jeśli ty czegoś z nim nie zrobisz, ja się tym zajmę.

Sięgnęła po nóż, ale George pierwszy zacisnął dłoń na rękojeści i sztywno wstał. Kręciło mu się w głowie jak od gorączki. Wcale nie miał ochoty szukać Edgara, ale miał dość gderania Sylvii.

Edgara nietrudno było wytropić. Upłynęło zaledwie parę minut, gdy George usłyszał dość głośny męski głos. Trzydzieści stóp dalej natknęli się na krzew parolistowca, obdarty z większości liści i rzucający skomplikowany cień. W środku tego cienia siedział Edgar, niczym młody, niewinny demon o magicznie przywołanej księżycowatej twarzy. Skubnął wbity w piętę kolec, zauważył ich dwoje i uśmiechnął się z zażenowaniem, jakby przyłapali go na jakichś bezeceństwach.

- A nie mówiłem? - odezwał się, najwyraźniej sam do siebie. - Kazałem ci przecież zostawić ich w spokoju.

George przykucnął przed nim.

- Gdzie Snellingowie?

Edgar wyraźnie schudł, policzki mu się zapadły, brzuch skurczył. Pokiwał głową, jakby słuchał odpowiedzi kogoś niewidzialnego na swoją połajankę. George wrzasnął, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, i powtórzył pytanie.

- Peter nie żyje. A Sandra się pochorowała. To dlatego przyszliśmy tu z Tonym. Myśleliśmy, że może macie lekarstwo.

Sylvia prychnęła pogardliwie.

- Skoro po to przyszliście, to dlaczego Tony chciał mnie zabić? - indagował George.

Edgar przetrawił jego słowa.

- Zaskoczyłeś go - odparł. - Widział cię pierwszy raz w życiu.

- Ale ty chyba mogłeś zareagować, prawda? Mogłeś powiedzieć, kim jestem.

Edgar przeczesał palcami skołtunionie włosy.

- Mnie też zaskoczyłeś.

- Skończ to - wtrąciła beznamiętnie Sylvia.

- Mam do niego jeszcze parę pytań - zaoponował George.

- Przecież on zmyśla, nie widzisz tego?

- Przyznaj się, chcieliście się spotkać z Peony? - zwrócił się George do Edgara.

- Zawsze chętnie się z nią spotkam, ale nie po to przyszliśmy.

- Mówiłeś o niej Tony'emu?

Edgar skrzywił się, jakby posmakował czegoś gorzkiego.

- Nie pamiętam.

Sylvia rozłożyła ręce w teatralnym geście.

- Czy naprawdę nie możemy zakończyć tej farsy?

George wstał i odciągnął ją na bok, żeby Edgar ich nie słyszał.

- Może kłamie, może nie, ale nie robi nam krzywdy. Jest po prostu głupi.

- To ty tak mówisz. Ja twierdzę, że udaje. Ale nawet jeśli masz rację, co będzie, jak spotka jakiegoś nowego Tony'ego? Myślisz, że nie powie mu o Peony? On chce ją odzyskać, nie rozumiesz?

- Przeżyliśmy jednego Tony'ego, przeżyjemy i następnych.

- Ledwie przeżyliśmy. Jeśli chcesz ryzykować życie bez powodu, proszę bardzo, ale na mnie nie licz.

George obejrzał się na Edgara, który wrócił do wyskubywania sobie kolca ze stopy.

- To jego obwiniasz za obecny stan Peony - przypomniała Sylvia. - Mam rację?

- Uważam, że czasem należy odpuścić. Nie zawsze musimy reagować natychmiast.

- Ty popieprzony idioto! - Zrobiła taką minę, jakby za chwilę miała go opluć. - Tyle czasu tu spędziliśmy, tyle razem przeszliśmy, a ty ciągle nie wiesz, kim jesteś, ani gdzie jesteś. Przed chwilą zabiłeś człowieka za to, że nam zagrażał; trzymałeś go pod wodą tak długo, aż mu rozsadziło płuca. A teraz nie chcesz dokończyć roboty. Pewnie wolisz udawać, że masz zasady; że jesteś zbyt wrażliwy na zabójcę. Potrzebujesz czasu, żeby oswoić się z tą ideą, wkomponować ją w swoją filozofię życiową. Nie wiem, może poczujesz się wtedy lepiej, ale twoje samopoczucie nie zmienia faktu, że tu nie ma miejsca na moralność. Zresztą nie było go też w Morningshade ani nigdzie indziej.

- Bzdury gadasz. Mówię ci, że Edgar nie stanowi dla nas zagrożenia.

- Każdy stanowi zagrożenie! Tutaj Griaule jest prawem. Gdyby całymi godzinami nie latał nam nad głowami i nie płoszył ludzi, byłiby odważniejsi. Zaczęliby się rozglądać po okolicy. Wtedy Peony i ja najprawdopodobniej harowałybyśmy na wznak dniem i nocą, a ty byłbyś trupem. Mamy szczęście, że nasi sąsiedzi okazali się tchórzami. - Szturchnęła go wyprostowanym palcem w pierś. - Prędzej czy później Edgar opowie o nas komuś, kto jest lepszy w zabijaniu niż ty. Komuś, kto nie zawraca sobie głowy moralnością. Wtedy się przekonamy, ile warte są twoje zasady.

Edgar coś zamamrotał. Wiatr ucichł i George wyraźnie słyszał szmer strumienia, nużący i melancholijny.

- Chcesz, żeby umarł? - Podał Sylvii nóż. - Ja już przelałem dość krwi jak na jedną noc.

Jej twarz stężała, opancerzona nieprzeniknioną miną. George spodziewał się, że nie podejmie wyzwania i się wycofa, ale zanim zdążył prowokacyjnie zapytać, na co jeszcze



czeka, wyrwała mu nóż i stanowczym krokiem ruszyła do Edgara.

W ostatniej chwili odwrócił się do niej z szerokim uśmiechem. Z krótkim, urwanym w połowie okrzykiem wbiła mu nóż w bok szyi. Siła uderzenia powaliła go na ziemię. Sylvia wypuściła nóż z ręki i przysiadła na ziemi, wstrząśnięta skutkami swojego ciosu. Edgar miauknął płacząco i zacisnął dłoń na sterczącym z szyi kawałku stali. Ciemna krew trysnęła mu spomiędzy palców na blady bark. Napiął wszystkie mięśnie jakby rozpaczliwie walczył z samym sobą, zapewne rozdarty między chęcią wyrwania noża i świadomością, że to byłby jego koniec. Wierzgnął nogami, przez ułamek sekundy wyglądało to, jakby biegł w miejscu, a potem zwiotczał i legł bezwładnie u stóp parolistowca.

Wrzask smoka poniósł się przez noc.

## ROZDZIAŁ 7

Po tej nocy niektóre złudzenia zostały bezpowrotnie unicestwione. Pierwszą ofiarą była iluzja rodziny. Na mocy zgodnej, choć niewypowiedzianej głośno umowy przestali uprawiać seks, w ogóle nastąpiło ograniczenie wzajemnych uprzejmości - ale wszystko to były symptomy innej, głębszej zmiany, których najpoważniejszym objawem był przytłaczający nastrój przygnębienia i porażki. Tak jakby iskra, która dała im życie, nagle przygasła. Wciąż jeszcze zdarzało się, że syczała, traskała, rozpalala się jaśniej i przynosiła powiew optymizmu - tak jak kiedy Sylvia opowiadała jedną z napisanych przez siebie (i zapamiętanych) historii, jak zwykle osadzoną „U Alego”, a traktującą o dziewczynie z burdelu, która wdała się w romans z mężczyzną podobnym jak dwie krople wody do Mańkuta z talii wróżebnych kart. Peony była jej opowieścią zauroczona, a George nie mógł się jej nachwalić, czym wywołał uśmiech na twarzy Sylvii, ale ten przypływ pogody ducha nie trwał długo i wkrótce wszystko wróciło do normy: troje poranionych ludzi pozbawionych łączących ich więzów, które chroniłyby ich przed uciskiem nieba i rozczarowaniami świata. Po śmierci Edgara Peony bardzo się ożywiła i choć Sylvia zaklinała się na wszelkie świętości, że dziewczyna spała, George przypuszczał, że widziała egzekucję... Albo przynajmniej w jakiś sposób ją wyczuła. Przysiadła na piętach i kołysała się w tej pozycji w przód i w tył, zaciskając pięści i wydając odgłosy, jakie mogłby wydawać mały imbryk. Nic nie było w stanie jej rozweselić. Po czterech dniach trochę się uspokoiła. Całymi godzinami siedziała nieruchomo i bawiła się łuską, czasem popadała w bliską katatonii apatię - ślina się tylko i nie reagowała na żadne bodźce.

George'a prześladowały wspomnienia i sny, w których główne role grali Tony (którego zabił) i Edgar (w którego zabójstwie uczestniczył). Zastanawiał się, czy Sylvia też ma problemy ze spaniem i czy jej usprawiedliwienia są skuteczną bronią w walce z sumieniem; wyglądało na to, że radzi sobie znakomicie. On jednak sypiał płytko i nerwowo i zwykle budził się długo przed świtem, przez co wieczorami bywał zmęczony, osowiały i przysypiał, siedząc lub nawet stojąc.

Dziesięć dni po zabójstwach, po jednej z takich wieczornych chwil słabości, wyszedł na skraj obozowiska i powiódł półprzytomnym wzrokiem po równinie. Żółtoczerwona luna rozświetlała horyzont pod wałem ołowianych chmur. W pierwszej chwili pomyślał, że ogląda zachód słońca, ale patrzył w przeciwną stronę, a kształty, które początkowo wziął za chmury,

były w rzeczywistości wierzchołkami ciągnących się na wschodzie wzgórz. Poświata emanowała z jakiegoś punkt między wzgórzami i obozowiskiem. Przez minutę ze zdumieniem patrzył, jak światło jaśnieje i rozlewa się coraz szerzej. Usłyszał piskliwe krzyki i dostrzegł czterech albo pięciu ludzi przedzierających się przez zarośla - ale ponieważ smok przed chwilą zatoczył łuk i zawrócił, George uznał, że uciekają właśnie przed nim. Głupcy, pomyślał.

Poświata zafalowała. W powietrzu zapachniało dymem. Jeszcze przez chwilę patrzył tępo przed siebie, zanim w końcu dotarło do niego, co się dzieje. Równina stała w ogniu, a silny wiatr pchał ścianę płomieni prosto na niego.

Z krzykiem pognął do szałas. Peony i Sylvia czekały na zewnątrz, przerażone, wtulone w siebie i wpatrzone w niego pytającym wzrokiem. Machnął ręką na wschód i wyjaśnił:

- Busz płonie, wiatr niesie ogień prosto na nas. Musimy uciekać!

Niebo zdążyło pociemnieć, zanim z wawym krokiem ruszyli na zachód, zabrawszy tylko ubrania, które mieli na sobie, i kilka drobiazgów: zjednoczona strachem prehistoryczna rodzina. Wkrótce pędzili przez czarną noc, ale nie musieli długo czekać, żeby pożoga rozświetliła mrok; widzieli już pojedyncze jęzory ognia i słyszeli odległy huk płomieni. George starał się trzymać blisko strumienia, ale Griaule nękał ich i zaganiał tak długo, aż obrali wskazany przez niego kierunek; George nie miał wątpliwości, że to on wzniecił pożar, żeby ułatwić sobie to zadanie. Od czasu do czasu sfruwał spod nieba - stwór zrodzony z cieni, okryty polerowanymi ogniem łuskami - i rykiem, który przez moment dołączał do grzmotu płomieni, wymuszał na nich zmianę kierunku. Napotykali po drodze innych ludzi, nigdy jednak nie widzieli ich na tyle wyraźnie, żeby móc ich rozpoznać albo policzyć, zwłaszcza że tamci cofali się przed nimi, jakby życie na równinie nauczyło ich strachu i podejrzliwości. Ogniste żywopłoty zamykały się wokół nich, kiedy, potykając się i zataczając, brnęli przez busz. Czarna sadza osadzała im się na błyszczących od potu twarzach, gdy uskakiwali na boki przed kolejnymi ograniczającymi im ruchy krechami ognia. Peony upadła i George pomógł jej wstać; Sylvia zaczęła się słaniać na nogach, więc podtrzymał ją drugą ręką. W przesyconym dymem powietrzu oddychanie stało się udręką i to w końcu przełamało jego determinację. On również zaczął odczuwać zmęczenie. Tymczasem Griaule nieustannie ich popędzał, co rusz wynurzając się z mroków nocy z na wpół rozpostartymi skrzydłami. Skrywająca go ciemność nadawała mu jeszcze bardziej złowieszczy wygląd niż zwykle: tu błysnął czerwienią obnażony kiel, tam płomień załśnił w złotym ślepiu, a ryk zagłuszał płomienie - trzaskające, huczące płomienie, które wysysały tlen z powietrza i tak je

rozgrzewały, że przy każdym oddechu George miał wrażenie, że gardło mu pęka. Poblądził już całkowicie i zaczął podejrzewać, że Griaule się z nimi bawi, że zamierza ich zadreńczyć i porzucić, by spłonęli żywcem, ale był za bardzo zmęczony, żeby obmyślić plan ucieczki, i zbyt wyczerpany, żeby się tym martwić. Złapał się na tym, że czeka na szybkie rozstrzygnięcie, bez względu na formę, jaką miałyby przyjąć.

Wiatr musiał się zmienić, nagle bowiem zrobiło się chłodniej, a luna przygasła, przytłumiona mieszaniną dymu i mgły, smok jednak nadal ich ponaglał. Wyszli z buszu na trawiaste zbocze wzgórza, które po trzydziestu jardach stało się bardziej strome i skaliste. George niewiele widział i musiał poruszać się po omacku; miał wrażenie, że wspinają się na skalną turnię, która w dolnych partiach przypomina z gruba ciosane schody o stopniach wysokości dwóch stóp. Nie słyszał już pożaru, ale - choć zaskoczony tą konstatacją - był zbyt osłabiony, żeby się tym przejmować. Niedługo potem usłyszał szmer ściszonych głosów, a gdy jego oczy przywykły do ciemności, zorientował się, że schody są bardzo szerokie i w wielu miejscach siedzą na nich rozproszone grupki ludzi. Wymijając ich, znalazł skrawek wolnego miejsca, na którym mogli usiąść. Z dołu dobiegało porykiwanie smoka, lecz teraz było w nim więcej zadumy niż groźby - przynajmniej tak interpretował je George. Miał dość uciekania. Nie zdołałby ruszyć się z miejsca.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Sylvia, przysuwając się bliżej. Pochłodziło i obie z Peony tuliły się do niego w poszukiwaniu ciepła.

- Nie wiesz?

- Wydawało mi się, że cofamy się w stronę Teocinte... To znaczy tam, gdzie dawniej było Teocinte. Ale w pobliżu miasta nie ma takiego miejsca jak to.

- Rano to rozgryziemy. Teraz odpocznij.

George, jak na mężczyznę przystało, usiłował pełnić straż, ale uwiodły go równe, ciche oddechy kobiet i zapadł w sen bez marzeń. Kiedy się obudził, stwierdził, że niebo poszarzało, a otaczająca ich gęsta mgła przykuwa ich do kamiennych stopni. Znajdowali się w czymś na kształt amfiteatru, który mógł być tworem naturalnym<sup>10</sup>. Poranny wiatr tarosił pasma mgły i rwał je na strzępy, odsłaniając fragmenty równiny. George z niepokojem

---

<sup>10</sup> Amfiteatr nie był wytworem sił natury. Został wykuty w skalistym zboczu podczas nieobecności Sylvii i George'a w Teocinte (która - wbrew ich odczuciom - trwała całe lata, a nie kilka miesięcy), aby pomieścić publiczność przybywającą na widowisko „światło i dźwięk”. Samo widowisko nigdy się nie odbyło, mimo że zainstalowano stosowne oświetlenie i wybudowano scenę dla orkiestry. Mieszkańcy snuli domysły, że pomysł budowy amfiteatru nie wyszedł wcale od ojców miasta, jak powszechnie uważano, lecz zrodził się w innym, o wiele subtelniejszym umyśle, którego skłonność do tego rodzaju ironii przewijała się przez całe dzieje Teocinte. Przypuszczali również, że od początku nie był przeznaczony dla turystów, lecz dokładnie dla tej publiki, która zajmowała go rankiem następnego dnia po tym, jak George, Sylvia i Peony zostali zmuszeni do opuszczenia obozowiska.

patrzył na zielonkawy busz, bezskutecznie wypatrując śladów pożaru. Nawet powietrze nie śmierdziało dymem. Był cały obolały i kusilo go, żeby rozruszać się i trochę rozejrzeć, tak jak robili to ludzie na niższych stopniach amfiteatru (o ile dobrze widział, było ich w sumie niespełna pięćdziesięcioro - chociaż pewności mieć nie mógł, nie przy tej mgle), ale ponieważ zależało mu na tym, żeby Peony i Sylvia się wyspały, zadowolili się bierną obserwacją.

Zbici w grupki ludzie byli tak samo obszarpani i usmoleni jak on. Spoglądali podejrzliwie na innych, nie zamierzając się do nich zbliżać; może mieli nadzieję, że to koniec ich udreń, i na razie nie interesowali się cudzymi sprawami. Nadzieja ta nie utrzymała się jednak długo, gdyż naprzeciw amfiteatru z mgły zaczęła się wyłaniać olbrzymia sylwetka i mimo że George nie miał powodów, by rozpaczać (wprost przeciwnie - roztaczający się przed nim znajomy widok powinien swoją zwyczajnością przynieść mu ogromną ulgę), widok Griaule'a - nie jego mniejszego wcielenia, lecz olbrzymiego oryginału, sparaliżowanej bestii o złowieszczym pysku, kłach oplecionych lianami i porośniętych epifitami, łuskach haftowanych porostami i ptasim guanem, przepastnej paszczy, w której zalegało dość mroku, by wypełnić nawy czterech lub pięciu katedr, ogromnego cielska, które jak strome wzgórze górowało nad blaszanymi dachami, slumsami i fabrycznymi rejonami Morningshade, nad którym niósł się właśnie dźwięk dzwonów... Widok potwora tonącego w widmowych kłębach mgły, która wraz z zachmurzonym niebem przyćmiewała blask złoto-zielonych łusek, miał w sobie tak ponury, symboliczny ciężar - niczym jakaś niemożliwa do ogarnięcia mroczna idea skrywająca bramy królestwa w otchłani - że George poczuł, jak opuszczają go resztki sił. Inni świadkowie reagowali podobnie. Szmer rozmów umilkł i ludzie znieruchomieli, tworząc tuzin osobnych żywych obrazów. Peony obudziła się z krzykiem i wtuliła twarz w bark George'a. Sylvia z zapartym tchem wbiła mu paznokcie w ramię. Rozległo się chroniczne dudnienie, dźwięk do tego stopnia wszechogarniający, że zdawało się, iż pochodzi jednocześnie z ziemi i nieba, z serca wszechrzeczy, jakby sama istota materii została obdarzona głosem i artykułowała swoją skargę. Z pyska Griaule'a - najpierw wąską strużką, a potem powodzią, od której czerniały trawy - zaczęły się wysypywać stworzenia zamieszkujące jego gigantyczne cielsko: pełzły, czołgały się, szły na czworakach, skakały, leciały i biegły na dwóch lub czterech nogach (wśród węży, pajaków, sykaczy i odłupków<sup>11</sup> nie zabrakło również bezdomnych ludzi, którzy z niewiadomych powodów poszukali schronienia w trzewiach smoka, w zagłębieniach, wąwozach i jaskiniach utworzonych przez jego kości, ścięgna i organy wewnętrzne). Od strony rozpraszających się po równinie uciekinierów

---

<sup>11</sup> Pasożyty występujące na ciele Griaule'a. Sykacze był stosunkowo niegroźne, natomiast odłupki, udające fragmenty łusek, wydzielaly przez skórę truciznę, która stała się przyczyną śmierci wielu nieświadomych niebezpieczeństwa poszukiwaczy łusek.

dobiegał stłumiony odległością zgiełk, do którego dołączały okrzyki przerażonych mieszkańców Morningshade i przeróżne sygnały alarmowe. Griaule otworzył oczy - złote kręgi upstrzone plamkami mineralnych barw, każdy przedzielony wąską poziomą źrenicą, nadające jego pyskowi nieprzyjazny wyraz. W głębi gardzieli zakwitał żar, z początku pomarańczowy, później stopniowo ogniście bielejący, aż upodobił się do gwiazdy uwięzionej w smoczym przełyku. Na ten widok jakieś dziesięć, może piętnaście ze znajdujących się w amfiteatrze osób puściło się biegiem w dół. Wśród nich była Peony: odepchnęła ramię George'a, uniknęła jego chwytu, gdy próbował ją powstrzymać, i zaczęła zbiegać po stopniach.

Sylvia bez entuzjazmu wstała.

- Pójdę sam - zaofiarował się George. - Mniejsze ryzyko. Czekać na nas na równinie, znajdziemy cię.

Na twarzy Sylvii odmalowała się ulga przemieszana ze wstydem.

- Ona chyba nie wie, gdzie był jej dom - powiedziała. - Szukaj jej w świątyni Griaule'a. Wnętrze jej się podobało.

- Gdzie jeszcze?

- Nie wiem. - Pokręciła głową, ale kiedy George zaczął biec, zawołała: - W burdelu! Może być w burdelu, po tym, jak nasłuchiwała się moich opowieści.

Siedzieli prawie na samej górze amfiteatru. George pokonał mniej więcej dwie trzecie jego wysokości, kiedy Griaule z chrapliwym stęknieniem, znamionującym ogromny wysiłek, obrócił głowę i skręcił całe ciało w stronę Zmiennej Grzędy. Jego pysk wzniósł się nad krytymi blachą domkami, gdy jednocześnie - z przeraźliwym trzaskiem i skrzypieniem zwapniałych stawów (takie dźwięki mogłyby wydawać łamane drzewa) - dźwignął się z ziemi. Poruszał się powoli, z chwiejną statecznością zrodzoną z tysiącleci nieużywania mięśni. Widok tej monumentalnej przemiany, tego ożywienia kolosa wydawał się nierzeczywisty. Griaule zrobił krok w przód i z łoskotem, od którego zadrżała ziemia, postawił przednią łapę wśród ruder Morningshade, miażdżąc spory kawał dzielnicy wraz z mieszkańcami i wzbijając tumany kurzu, które całkiem przesłoniły olbrzymią kończynę. Olbrzymie płaty ziemi wokół Hangtown zsuwały się ze smoczego grzbietu i skrzydeł wraz z porastającą je roślinnością. Za nimi podążyły tworzące wioskę chałupy, rozpadając się w powietrzu. Z miejsca, w którym znajdował się George, nie sposób było ocenić, gdzie dokładnie spadną. Griaule ryknął<sup>12</sup> i moc tego dźwięku niczym grzmot ogłuszyła George'a,

---

<sup>12</sup> Ryk smoka zabił lub okaleczył tysiące ludzi; większość została poraniona odłamkami szkła z niezliczonych strzaskanych okien. Blisko połowa mieszkańców straciła słuch - częściowo lub całkowicie.

sprawiła mu fizyczny ból, powaliła go na kolana. Zatkanął uszy rękami, zacisnął kurczowo powieki, a kiedy znów je otworzył, zobaczył jezor ognia (przeszywany wykwitami płynnego oranżu, które przydawały mu koronkowej lekkości) tryskający z paszczy smoka na drugą stronę doliny, gdzie ogarnął hotele pobudowane na zboczu Grzędę. Wystarczyło kilka sekund, żeby wszystkie stojące tam budowle, włącznie ze znajdującymi się na samym szczycie gmachami rządowymi, stanęły w ogniu. Smok zachwiał się na nogach, ale nie upadł. Opuścił nieco łeb, odwrócił go lekko w prawo i zionął szerokim pokosem ognia na wysuniętą dzielnicę Cerro Bonito, gdzie wśród niskich wzgórz pobudowali swoje rezydencje zamożni cudzoziemcy. Krople ognia ściekające z warg Griaule'a i odrywające się od głównego płomiennego jezora wzniewały pożary w innych rejonach miasta. Wyraźnie wyczuwalna w odorze ognia gryząca, chemiczna nuta drażniła nozdrza George'a.

Owładnął go zwierzęcy strach i tylko głęboko zakodowany obowiązek opieki nad Peony pozwolił mu zignorować zarówno lęk, jak i ból. Dobrze się chyba stało, że stracił słuch, bo zanim dotarł do stóp wzgórza, większość miasta stała już w ogniu (nietknięte pozostały tylko rejony leżące tuż obok smoka lub pod jego brzuchem) i spanikowany tłum pędził jak wartka struga w przeciwną niż on stronę - ludzie poparzeni, zakrwawieni, z ustami otwartymi (jak się domyślał) w krzyku, który tylko wzmógłby narastającą panikę. Na obrzeżach Morningshade struga przerodziła się w zmierzającą ku równinie rwącą rzekę, której prądowi musiał się przeciwstawić, jeśli chciał wejść głębiej do miasta. Przed nim - wyrastająca ponad rdzewiejące dachy, spowita chmurą kurzu - przednia łapa Griaule'a sterczała ze slumsów jak zielono-złote żylaste drzewo, które wykiełkowało w jakimś piekielnym sadzie i przebiło ziemię od spodu. Brudnobiały brzuch gada obwisł nisko nad kwiatonem iglicy poświęconej mu czterokondygnacyjnej świątyni. Przypominał raczej wydęte brudne prześcieradło z łoża olbrzyma niż skrawek nieba.

Z lewej strony między dwiema witrynami sklepowymi George wypatrzył wąski zaułek. Uskoczył weń, precyzyjnie się przez tłum, żeby spokojnie obmyślić plan działania, ale gdy tylko oddalił się od ludzkiej masy, sytuacja wydała mu się beznadziejna. Dotarło do niego, że podjął się niewykonalnego zadania. Zamierzał ponownie dać nura w ciżbę i przyłączyć się do uciekinierów, gdy w głębi zaułka rozpoznał szyld z topornie namalowanym rogiem obfitości. Mieszczący się pod nim lombard znajdował się nieopodal „Alego” i George doszedł do wniosku, że chwila zwłoki nie zawadzi; zawsze jeszcze zdąży poddać się ogólnej panice. A Peony była zachwycona burdelowymi fantazjami Sylvii i - jeśli nadal żyła - mogła schronić się właśnie w miejscu, które Sylvia opisywała jako dom kochającej się rodziny. Pobiegnął uliczką przed siebie, przebił się do „Alego” przez nieco rzadszy w tym rejonie tłum, z

impetem otworzył drzwi i wparował do środka.

\* \* \*

Jedynym gościem w jadalni był wychudzony, zgarbiony siwowłosa mężczyzna. Siedział przy barze i pił, ściskając kieliszek obiema rękami. Wszędzie leżały przewrócone ławy i stoły, potłuczone butelki i skorupy naczyń zaścierały podłogę. George częściowo odzyskał słuch - dzwoniło mu w uszach, ale pomału zaczynał rozróżniać wyższe dźwięki. Zapytał nieznajomego, czy nie widział Peony, ale ten w żaden sposób nie zareagował na jego słowa. Płynąca z ucha krew, teraz już krzepnąca, ściekała mu po poźłobionym bruzdami policzku. Nagle ściany zadrżały, deski podłogi podskoczyły, kurz osypał się z dźwigarów i z półki za kontuarem posypały się następne butelki: Griaule znów się przemieścił. Wystarczyły dwa jego kroki, żeby wtrącić świat ludzi w chaos.

George wbiegł na piętro i przemykając korytarzem, otwierał po kolei drzwi do pokojów. W środku znajdował nieposłane łóżka i koszule nocne przerzucone przez oparcia krzeseł, nigdzie jednak nie było śladu Peony. Był przekonany, że lada chwila zostanie zmiażdżony lub spopielony żywcem, i to przeświadczenie z każdą sekundą się nasilało. W pokoju na końcu korytarza, z którego roztaczał się widok na miasto, rdzawe światło kreśliło trójkątny deseń na kremowej tapecie. Pulchna brunetka w różowym flanelowym szlafroku siedziała na skraju łóżka i patrzyła, jak Teocinte płonie. Na widok George'a radosny uśmiech rozlał się po jej obliczu jak topiące się masło. Poklepała łóżko obok siebie, zapraszając go, żeby usiadł. Chciał jej powiedzieć, że powinna uciekać, ale zobaczył w wyrazie jej twarzy jakąś dziwną słabość, która kazała mu zrezygnować z tego pomysłu.

Muskularny, łysawy mężczyzna przepchnął się obok niego w drzwiach i wszedł do pokoju. Obrzucił George'a wrogim spojrzeniem i zdjął spodnie.

Kobieta znów odwróciła się do okna, nerwowo skubiąc połą szlafroka. George zostawił ich samych z ich niewiadomymi zamiarami, zbiegł po schodach i wypadł na ulicę. Niewiele brakowało, żeby przeoczył przykucniętą przy drzwiach drobną rudowłosą postać. Peony kołysała się na piętach, ale nie protestowała, kiedy podniósł ją z ziemi. Była oszołomiona i zobojętniała.

O ile zachowanie spotkanej „U Alego” pary uderzyło go jako ostateczne w swej rozwiązłości, o tyle mieszkańcy na ulicach posunęli się w tej ostateczności o krok dalej, tworząc istną wieżę Babel niesłyszanych przez George'a dźwięków i głosów, obłądny chaos ściskających, chwytających i kopiących ludzi. W pewnym momencie potrącony przez kogoś stracił równowagę i przykleknął na jedno kolano. Podparł się ręką, żeby nie upaść, i natrafił dłonią na posiniaczoną, zdeformowaną twarz stratowanego przez tłum chłopca. Z



obrzydzeniem szarpnął rękę z powrotem, ale ten bliski kontakt ze śmiercią utwierdził go w zamiarze przetrwania i George skoncentrował się bez reszty na ucieczce. W pełni wykorzystywał swoje gabaryty, traktował ludzi jak przeszkody, w razie potrzeby okładał ich pięścią, spychał i roztrącał na boki bez zastanawiania się nad ich losem czy stanem swojej duszy, już wcześniej napiętnowanej jedną śmiercią, a teraz z pewnością kolejnymi. Z ciżby wyłaniały się przerażone twarze, z którymi po kolei się rozprawiał. Kurz, zapach strachu, woń wściekłości - wszystkie toksyny obłędu zatruwały powietrze. On jednak - wyprany z wszelkich emocji - był niewrażliwy na strach, nie do zatrzymania, niepokonany. Na skraju miasta, gdzie kończyła się bita droga i zaczynało zbocze wzgórza, po którym rozpraszali się uciekinierzy, rozdzierający powietrze trzask wzbił się ponad ogólny zgiełk. George, który miał wrażenie, że dźwięk dobiega jednocześnie z jego wnętrza i gdzieś z zewnątrz, odwrócił się i stwierdził, że smocza łapa ugięła się i pękła. Spomiędzy łusek nad kolanem sterczał szokująco biały odłamek kości, krew sączyła się z rany - i George uświadomił sobie, że oto spełnia się przepowiednia Cattanaya<sup>13</sup>. Gigantyczny łeb Griaule'a zwrócił się w lewo, złowrogie złote oko spojrzało w dół i chociaż pewnie tysiące ludzi pomyślały w tej chwili podobnie, George nie mógł się oprzeć wrażeniu, że smok patrzy prosto na niego. W jego gardzieli znów zapłonęła biała gwiazda. Łapa smoka wygięła się jeszcze bardziej, smok zaczął się przechylać - i wtedy George ruszył sprintem pod górę, jeszcze szybciej i bardziej rozpaczliwie niż wcześniej, niosąc Peony pod pachą jak zrolowany dywanik. Lament tłumu przeszedł w rozpaczliwy wrzask, gdy ludzie próbowali uciekać przed upadającym na nich cielskiem.

Może to czas zwolnił biegu, w chwili prawdziwej śmierci Griaule'a podporządkowując się nowej grawitacji, a może po prostu chemia grozy niewiarygodnie rozciągnęła sekundy - tak czy inaczej, George miał wrażenie, że biegnie bardzo, bardzo długo. W pewnym momencie usłyszał upiorny syk i gorący podmuch uderzył go w plecy z takim impetem, że aż się zatoczył. Złapał równowagę i biegł dalej. Czas zwolnił jeszcze bardziej. George wyraźnie słyszał swój ciężki oddech, zagłuszający dzwonięcie w uszach i krzyki otaczających go ludzi. A potem usłyszał ostatni dźwięk w życiu: przedśmiertny ryk smoka, dudniący łoskot, który niczym piorun przeszył mu uszy i przeszedł w syk pochłaniający wszystkie inne dźwięki. Syk ten słabł i gasł coraz bardziej, aż w końcu uwięził George'a w otchłani czystej, niczym niezmaconej ciszy. Ziemia zadrżała, zadygotała jak skóra na grzbiecie kota, i wyrzuciła go w powietrze; jakimś cudem udało mu się nie wypuścić

---

<sup>13</sup> Cattanay nie przewidział wprawdzie, że Griaule się przebudzi, ale powiedział rajcom miejskim, że zawarta w farbie trucizna przesączy się do jego organizmu i osłabi szkielet do tego stopnia, że ten nie zdoła dłużej podtrzymać ciężaru ciała i smok „zawali się jak spróchniała stodoła”.

Peony z objąć i uchronić ją przed obrażeniami. Nie stracił przytomności, ale leżał na brzuchu przez dobre dziesięć albo piętnaście minut, może nawet dłużej, poruszając to ręką, to nogą. Nie sprawdzał, czy może chodzić, zadowalał się przypadkowymi ruchami, ciesząc się, że może tak po prostu leżeć i o niczym nie myśleć. Dopiero kiedy w końcu usiadł i stwierdził, że Peony jest wprawdzie nieprzytomna, ale oddycha równo i spokojnie, odwrócił się i wśród dymu i kurzu spojrzął w stronę Teocinte.

W lepszych dzielnicach - Cerro Bonito, Zmiennej Grzędzie i Gaju Yulina - wciąż szalały pożary, czarny dym wznosił się pod niebo z tysiąca zarzewi. Z Morningshade, które spłonęło jak domki z papieru, zostały dymiące zgliszcza. Pożoga przeszła przez slumsy z taką prędkością, że nieliczne solidniejsze budowle, zaopatrzone we własne ujęcia wody (jednym z nich była świątynia Griaule'a), przetrwały prawie nienaruszone. Płomienie owionęły je na chwilę i błyskawicznie przesunęły się dalej, nie stwarzając wielkiego zagrożenia - tym bardziej, że ich mieszkańcy i obsługa zapewne w miarę możliwości zabezpieczyli je przed pożarem. Olbrzym, który był Griaule'em, leżał na boku, odwrócony grzbietem do wzgórza, na którym znaleźli się George i Peony, z szyją wygiętą pod takim kątem, że jego łeb celował prosto w niebo, podobny do łuskowej wieży. Spomiędzy kłów bezwładnie zwisał rozwidlony język. Potrzaskane żebra przebiły skórę w pięciu albo sześciu miejscach. Ruiny wyglądały przy nim jak zabawki. Cała scena była tak rozległa i tak niewiarygodna, że George nie był w stanie ogarnąć jej umysłem i jeszcze przez długie lata - zanim powszechna wizja śmierci Griaule'a wyparła prawdziwe wspomnienia - wspominał ją tylko kawałkami. Najistotniejszym jej elementem był dla niego nie Griaule, lecz wznoszące się za miastem wzgórze. Większość zabitych spłonęła żywcem, spalona nadnaturalnie gorącym oddechem smoka, pozostawiając po sobie niemożliwe do odróżnienia kupki popiołu, ale pod koniec moc smoczego tchnienia chyba osłabła, ponieważ stok wzgórza był usłany tysiącami zwęglonych ciał, które można by uznać za doskonałe kopie żywych oryginałów, gdyby nie fakt, że były całkowicie czarne i tak kruche, że przy lada dotknięciu rozpadały się na kawałki. Były prochem utrzymywanym w starym kształcie wyłącznie siłą przyzwyczajenia, a mimo to, wydawały się twarde i solidne, tworząc skomplikowany splot ludzkich kształtów, który można by uznać za dzieło jakiegoś apokaliptycznego artysty.

Peony poruszyła się i otworzyła zaciśniętą pięść. Łuska wyśliznęła się jej z dłoni. George podniósł ją i ze zdumieniem poczuł w niej tę samą zimną, mrowiącą żywotność, na którą zwrócił uwagę w dniu, kiedy pierwszy raz zobaczył Peony. Nagle doświadczył wizji: przed oczami stanęła mu złota moneta, bizantyjski solid, bardzo rzadki, z czasów panowania cesarza Aleksego. Po niej ujrzał inną monetę, srebrną, nieznaną, choć podobną do egipskich.

Dalej pojawiały się kolejne, a po nich klejnoty niezwyklej czystości, prastare złote puchary wysadzone nieoszlifowanymi kamieniami, zdobione klejnotami sztylety, zwierciadła w złotych ramach... Takich przedmiotów był cały kopiec, skarb nad skarbami. Wiedział, że powinien przede wszystkim zadbać o przetrwanie (wcale nie byli jeszcze bezpieczni), był jednak zmęczony, a złoto wyglądało tak kusząco, że świat śmierci, ognia i dymu wydawał się przy nim nieskończenie odległy. Potem zorientował się, że wychodzi z jaskini, w której znajduje się skarb. Przyświecając sobie pochodnią, szedł krętym tunelem, stąpając powoli i cicho jak we śnie, a gdy wyszedł na zewnątrz, w świetle dnia nigdzie nie widział wylotu tunelu. Zniknął wśród paproci i pnączy, może pomogła mu w tym także starożytna magia - ale George nie zawracał sobie głowy takimi drobiazgami. Znał swoje przeznaczenie i był absolutnie spokojny w swym przeświadczeniu, że jeszcze kiedyś znajdzie skarb.

# ROZDZIAŁ 8

FRAGMENT

*OSTATNICH DNI GRIAULEA*

SYLVII MONTEVERDI

Dopadli go następnego dnia - szarlatani, złodzieje i przedsiębiorcy; ci, którzy mieli faktyczne prawa do jego ciała, i ci, którzy ich nie mieli. Ich nabożny lęk zgasł w obliczu chciwości niewiele słabszej od strachu. Obleźli trupa, zaczęli go ciąć i szarpać, zabrali się do przekopywania wzgórza, przy którym leżał - wszystko w poszukiwaniu smoczego skarbu. Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, było to odrażające - ale i fascynujące zarazem. Większość następnej dekady poświęciłam na dokumentowanie tych wydarzeń w formie książek i opowiadań o odrodzeniu miasta i powstaniu najnowszej gałęzi jego gospodarki - handlu szczątkami Griaule'a (prawdziwymi i nie). Przez ten czas rzadko opuszczałam Teocinte, tak się jednak złożyło, że osiem lat - niemal dokładnie co do dnia - po tym, jak ostatni raz widziałam George'a i Peony w amfiteatrze, znalazłam się w Port Chantay, gdzie przedłużyło mi się załatwianie interesów z wydawcą. Pod wpływem kaprysu odezwałam się do George'a i zaprosiłam ich oboje na lampkę wina. Zaproponował, żebyśmy się spotkali w „Jedwabiu”, modnej nadmorskiej restauracji zaopatrzonej w ogromne okna i filigranowe meble, gdzie na próżno szukać by jedwabiu - jeśli nie liczyć właścicielki, od której imienia wzięła swoją nazwę.

Wiedziałam już wcześniej, że oboje stracili słuch, a Peony dodatkowo doznała amnezji i zamieszkała u George'a jako jego podopieczna. Słyszałam również, że George rozwiódł się i wszedł w posiadanie pokażnej fortuny, mówiło się nawet, że to on znalazł skarb Griaule'a. Mówiło się również o jego niestosownym związku z Peony, chociaż na pierwszy rzut oka wyglądali jak przeciętni ojciec i córka. Wskutek głuchoty George mówił trochę niewyraźnie, ale poza tym nieźle się trzymał. Posiwiął, za to zapuścił wąsy i kozią bródkę, które wraz z szytym na miarę garniturem i precyzją ruchów dodawały mu ogłady. Fizyczne zmiany były jednak niczym w porównaniu z jego ewolucją psychiczną. Miejski prostak, którego znałam, zniknął bez śladu wraz z towarzyszącym mu poczuciem zagubienia, przesadną powagą i skłonnością do paranoi. Zachowywał spokój i rezerwę, wynikające, jak

się domyślałam, z całkowitego braku emocji. Niepokoiło mnie to. Nie byłam pewna, czy dałabym radę znów nim sterować, tak jak udawało mi się to przed laty.

Mimo że George bardzo się zmienił, zmiana, jaka zaszła w Peony, była jeszcze bardziej niezwykła. Wyrosła na piękną, wytworną i pod każdym względem uroczą kobietę. George twierdził, że amnezja wymazała z jej pamięci wszelkie wspomnienia molestowania i pomogła jej dojrzeć. Trudno było ją zrozumieć, kiedy próbowała coś powiedzieć, ponieważ nie pamiętała dźwięków słów i na co dzień posługiwała się językiem migowym, mając George'a za tłumacza. Po wymianie uprzejmości przeprosiła, że o mnie zapomniała, i wyszła do ogródka napić się kawy z przyjaciółką, żebyśmy mogli z George'em porozmawiać.

- Monteverdi... - powtórzył. - To chyba nie jest twoje prawdziwe nazwisko?

- Oczywiście, że nie! Kimże byłabym bez pseudonimu?

To miał być żart, ale George się nie uśmiechnął. Pokiwał tylko głową, tak jakby to zdanie ujawniało jakąś podstawową prawdę na mój temat. Aż zaczęłam się zastanawiać, czy naprawdę tak nie było.

- Przepraszam, że nie próbowałam was szukać - powiedziałam. - Po pożarze i później...

- Zapanował chaos. Tylko niepotrzebnie traciłabyś czas.

- Ale to nie dlatego was nie szukałam.

- Tak?

- Bałam się, że się we mnie zakochujesz.

Pokiwał głową w zadumie.

- Wtedy byłem gotowy zakochać się prawie w każdym. Ty po prostu znalazłaś się we właściwym miejscu we właściwym czasie.

- A ty zachowywałaś się jak wariat, w każdym razie, nim Griaule zagnał nas z powrotem do Teocinte. Nie miałam ochoty z tobą przebywać.

Upłynęło dobre pięć sekund, zanim uśmiechnął się i odparł:

- Teraz jesteś bezpieczna.

- Wcale się tak nie czuję. - Długo czekałam na jakąś reakcję, ale bez powodzenia. - Denerwuję się przy tobie.

- Peony twierdzi, że często tak działałam na ludzi. A w twoim wypadku efekt potęgują pewnie wyrzuty sumienia.

- Wyrzuty sumienia? Z jakiego powodu? Nie zrobiłam nic...

- To nieistotne, naprawdę. Błahostka.

- Chcę wiedzieć, o co mnie oskarżasz!

- O nic. Zapomnij, że to powiedziałem. - Sięgnął do kieszeni marynarki, jakby chciał coś stamtąd wyjąć, ale nie cofnął ręki. - Przeczytałem tę twoją książeczkę, w której o nas piszesz.

Byłam poirytowana, ale zarazem ciekawa, co myśli o mojej pracy.

- I jak ją oceniasz?

- Celna. Nawet jeśli niezbyt wnikliwa. Miałaś rację, byłem dokładnie taki, jak mnie opisałaś: zdesperowany. Rozpaczliwie pragnąłem uciec od swojego dawnego życia, ale wtedy za żadne skarby bym się do tego nie przyznał.

- O co ci chodzi z tym „niezbyt wnikliwa”?

- Pominęłaś to co najlepsze.

- Napatrzyłam się na śmierć Griaule’a, jeśli do tego pijesz. A poza tym byłam świadkiem odbudowy miasta, czego o tobie nie można powiedzieć.

- Miasto jest nieważne. A co do Griaule’a... - Parsknął śmiechem. - Nie docenialiśmy go. Rąbiąc go na kawałki i roznosząc je po najdalszych zakamarkach naszego globu, zrobiliśmy dokładnie to, o co mu chodziło. Teraz jego władza rozciąga się na cały świat.

- Jak to?

- Zacytowałaś mi kiedyś Rossachera, pamiętasz? „Jego myśli błądzą swobodnie, jego umysł niczym chmura ogarnia cały świat”. Może było w tym trochę przesady, ale to prawda. Czy teraz tak trudno ci to zaakceptować?

- Chcesz powiedzieć, że Griaule... żyje? Że jest bezcielesny, ale pozostał żywy w każdej części swojego ciała?

Przekrzywił głowę i skinął ręką w taki sposób, jakby dawał mi do zrozumienia, że nie zamierza drażnić tego tematu. Dopiliśmy wino.

- Nie wydaje ci się to dziwne, że tak się zamieniliśmy rolami? Dawniej to ja wierzyłam, a ty byłeś sceptykiem.

Wyjął rękę z kieszeni i podsunął mi leżący na dłoni wisiołek z zamkniętym w szkle lśniącem niebieskozielonym odłamkiem, na brzegach przechodzącym w matowy lazur.

- To moja łuska? - zapytałam.

- Mnie i Peony nie będzie już potrzebna. A Griaule chyba chciał, żeby należała do ciebie.

Szkoło było zimne. Dotknąwszy go, poczułam dziwne mrowienie. Kiedy powiedziałam o tym George’owi, odparł:

- Możliwe, że oboje z Peony jesteśmy obłąkani i że od czasu rozczłonkowania Griaule’a nie istnieje siła, która kierowałaby naszym życiem. Możesz to sprawdzić:

wystarczy, że stłuczysz szkło i dotkniesz łuski. Wrażenie będzie wtedy o wiele silniejsze.

- Dowiem się, gdzie znajduje się skarb Griaule'a? - spytałam półzartem.

- Spóźniłaś się. Ale nie wątpię, że coś dla ciebie zachował. Odkąd się poznaliśmy, całe nasze życie jest elementem jego planu.

Schowałam łuskę do torebki.

- Może mi wyjaśnisz, skoro jesteś taki pewien swojej wiedzy, dlaczego uznał za konieczne wypędzenie z domów takiej masy ludzi i wygnanie ich na równinę? Chciał mieć w nich świadków swojej śmierci? Czy chodziło o coś innego?

- Nauczyłem się trochę rozumieć Griaule'a, ale nie wiem tyle, co on. Czy to przerośnięte ego kazało mu zachować część z nas przy życiu, żebyśmy mogli świadczyć o jego śmierci? Tak przypuszczam, ale to nie wszystko. Jeśli tylko zechce, może mieć wpływ na wszystkie aspekty naszego życia. I nasze życie - twoje, moje, Peony i tysiąca innych osób - było w ten właśnie sposób kontrolowane. Stanowimy element planu, który w przyszłości pozwoli mu zapanować nad światem, w taki sposób, w jaki zdaniem Rossachera już tego dokonał. Na razie przy jego realizacji posługiwał się narzędziami nieprecyzyjnymi i nieporęcznymi. Popełniał błędy. Lecz teraz, kiedy jest wszędzie, może nami manipulować dyskretniej i dokładniej, żeby ustrzec się dalszych pomyłek. Spodziewam się, że kiedyś w końcu o nim zapomnimy, a on... przestanie się nami interesować. Całkiem możliwe, że właśnie tak, z konieczności, rozwijają się wszystkie związki ludzi z bogami. - George poprawił sobie serwetkę i dodał karcącym tonem, jakby mówił do dziecka: - Ale przecież kiedyś już to wszystko wiedziałaś. Naprawdę zapomniałaś?

- Zapomniałam? Może przykładam dziś mniejszą wagę niż kiedyś do poszczególnych nakazów wiary, ale nie: nie zapomniałam.

Przez chwilę milczał, siedząc nieruchomo, a ja pomyślałam o tym, jaki oszczędny w ruchach zrobił się przez te lata. Nie wyglądało przy tym na to, żeby poruszanie się sprawiało mu trudność czy ból - raczej miałam wrażenie, że przywykł do bezruchu. Odchrząknął, napił się wina i zaproponował:

- Nie mówmy więcej o tym. - Szturchnął palcem menu, odwracając je w taki sposób, żeby odczytać pierwszą stronę. - Zamówić coś? Mają tu przepyszne ciasteczka z wodorostów. A wiśnie w czekoladzie świetnie będą się komponowały z twoim portwajnem.

\* \* \*

Kiedy nasze spotkanie dobiegało końca, byłam wzruszona. Wiele razem przeszliśmy i nasza rozmowa - choć chłodna - obudziła miłe wspomnienia, o których istnieniu nawet nie wiedziałam. Miałam ochotę dopełnić to doświadczenie pożegnaniem uściskiem i liczyłam na

to, że George czuje się podobnie, ale on tylko uklonił się lekko, zabrał Peony i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Nie stłukłam jeszcze szybki, za którą tkwi łuska - ale pewnego dnia to zrobię, chociażby po to, żeby zaspokoić swoją ciekawość w kwestii George'a. Przed powrotem do Teocinte jeszcze raz wpadłam na nich na ulicy: dwa dni po spotkaniu w „Jedwabiu” wyszłam na poranny spacer na promenadę, żeby obejrzeć statki w porcie, popodziwiać egzotyczne linie ich kadłubów i jasne żagle o dziwnych kształtach, dowodzące kosmopolitycznego charakteru Port Chantay. George i Peony stali przy barierce nad samą wodą, pogrążeni w ożywionej rozmowie - przynajmniej Peony sprawiała wrażenie bardzo poruszonej. Schowałam się za niewysoką palmą (jednym z wielu doniczkowych okazów rozstawionych na promenadzie), żeby mnie nie zauważyli. Pożegnaliśmy się już i choć było to pożegnanie spóźnione i zgoła nieefektywne, czułam się niechciana. Przyszłam na tamto spotkanie gotowa odrzucić awanse George'a i nie spodziewałam się z jego strony takiej powściągliwości. Gdyby była wystudiowana, złożyłabym jego słowa i zachowanie na karb urażonych uczuć - ale jego lekceważenie było całkowicie niewymuszone i naturalne.

Stał oparty o barierkę, plecami do oceanu, z rozpostartymi rękami i twarzą wystawioną do słońca jak rozmodlony pokutnik. Peony krążyła wokół niego, drobiażkami pośpiesznym, prawie tanecznym krokiem w tę i z powrotem, zawracając z wdziękiem i gestykulując z ożywieniem. Wyobrażałam sobie, że opowiada mu o czymś, co ją poruszyło lub uszczęśliwiło, ale przyglądając się im dłużej, zaczęłam ich widzieć w innym świetle i - choć w ich zachowaniu nie nastąpiła żadna ewidentna zmiana - postrzegać w tym tańcu motywy erotyczne. Przypomniałam sobie, jak w świątyni Griaule'a w Morningshade niektóre z moich sióstr z burdelu krążyły wokół posągu smoka, pieszcząc go od czasu do czasu. W każdym związku młodej dziewczyny z ojcem jest obecny podtekst seksualny i jestem pewna, że tylko tego dopatrzyłam się między George'em i Peony... A nawet jeśli nie, to przecież miała już dwadzieścia jeden lat i była panią swojej woli. Podobnie jak większość ludzi musiałam obrzydzić sobie coś, co chciałam porzucić - zwłaszcza coś, co przez tyle lat zaniedbywałam bez ważnych powodów. Dlatego wołałam wyobrażać sobie zakazany romans George'a i Peony i wmówić sobie, że to nie moja sprawa co robią, jakiemu bogu oddają cześć i jakie życie prowadzą - ponieważ nic dla mnie nie znaczą. Może te uczucia i wspomnienia, które obudziło nasze spotkanie, zrodziły się - jak to często ze wspomnieniami bywa - z połączenia fałszywych emocji i niedostatecznej znajomości faktów. Może nasze życie jest siecią kłamstw i iluzji. A jednak, kiedy teraz wspominam George'a i Peony, wszystkie te rozważania tracą sens. Rzadko zdarzają się takie dni, żeby o nich nie myślała.



# CZASZKA

# I

Oto, co wiadomo:

Kiedy po śmierci smoka Griaule'a jego ciało zostało obdarte z łusek, krew odsączono i zmagazynowano, kawałki mięsa i organy wewnętrzne w różny sposób zakonserwowano, a zmielone kości przeznaczono do sprzedaży jako lekarstwo na raka, nietrzymanie moczu, artretyzm, niestrawność, egzemę i rozliczne inne przypadłości... Po tym wszystkim czaszkę Griaule'a (długą na blisko sześćset stóp) załadowano na wielokołową platformę i przetransportowano tysiąc sto mil przez dżunglę na dwór w Temalagui. Gdyby spisać dzieje tej wędrówki, która trwała dwa dziesięciolecia, pochłonęła tysiące ofiar, obfitowała w dziesiątki zajadłych bitew i wymagała krótkiej przeprawy przez morze, omal nie zakończonej katastrofą, zajęłyby one kilka woluminów. Może ktoś kiedyś opowie tę historię - dla naszych celów wystarczy stwierdzenie, że zanim czaszka dotarła na miejsce przeznaczenia (kawał gruntu przylegający do terenów królewskiego pałacu), król Carlos VIII, który nabył ją był od ojców miasta Teocinte, zmarł i został pochowany, a na Onyksowym Tronie zasiadł jego syn Adilberto I.

Adilberto nie podzielał ojcowskich pasji. Podczas swojego panowania koncentrował się głównie na prowadzeniu najazdów na ziemie sąsiadów i smocza czaszka, która z czasem porosła pnączami i grzybem, stała się wielkim ptasim gniazdowiskiem, a także schronieniem dla małych wężów i szczerów palmowych. Jego syn, również Adilberto, choć mniejszego kalibru, przywrócił jej dawną świetność. Stworzył wokół niej egzotyczny ogród, kazał okuć brązem olbrzymie kły, a oczodoły i szczękę opleść filigranem ze spiżu, miedzi i jadeitu, który uwypuklił ich złowieszczy charakter i zainspirował twórców blaszanych masek, które w późniejszych latach trafiły na turystyczne bazy. Od środka wyłożono czaszkę tekciem i hebanem, inkrustowanymi złotem, jedwabiem i szlachetnymi kamieniami, a urządzone w jej wnętrzu bachanalia (w czasie których morderstwa, tortury i gwałty były na porządku dziennym) ustanowiły nowe standardy rozpasania i walenie przyczyniły się do bankructwa państwa, którego gospodarkę już wcześniej osłabiły ekscesy Adilberto I i Carlosa VIII.

Po śmierci Adilberto II (w okolicznościach, które nawet najbardziej wyrozumiały obserwator określiłby jako podejrzane) władzę przejął trzeci Adilberto, zwany *El Frio* (Zimnym), pokonawszy po długiej i krwawej rodowej waśni swojego starszego brata

Gonsalvo. *El Frio*, religijny zelota i okultysta, zamierzał zniszczyć czaszkę, nadworni wróżbici przestrzegli go jednak, że taka profanacja nie przyniesie mu nic dobrego. Zamiast tego poświęcił się więc systematycznemu wyrzynaniu nieprzyjaciół, których musiał chyba widzieć dosłownie pod każdym kamieniem, bo podczas swojego panowania wymordował ponad dwieście tysięcy rodaków. Jego dziedzic, czwarty z kolei Adilberto, tak się wstydził spuścizny ojca, że zmienił nazwisko na Juan Miel (dźwięcząca w tym imieniu proletariacka nuta ucieleśniała jego protomarksistowski światopogląd) i zniósł monarchię, czym zapoczątkował okres bezprecedensowego zamętu w obfitujących w okresy zamętu dziejach Temalagui. Czterdzieści cztery dni po wprowadzeniu tej radykalnej reformy został poćwiartowany przez tłum zbieraczy trzciny cukrowej, do których akurat przemawiał, a których do działania podjudził jego główny rywal w rozpoczynającej się kampanii prezydenckiej - zamożny plantator - dając im do zrozumienia, że jeśli tego nie zrobią, mogą stracić pracę. Później krajem rządzili kolejni generałowie i politycy, tłumiący ze wszystkich sił niezliczone rewolucje i studzący ekonomiczne zapędy silniejszych państw z północy. W początkach dwudziestego wieku pałac królewski doszczętnie spłonął, a zanim nastąpiły lata czterdzieste, dżungla wchłonęła ogrody Adilberto II i czaszka zniknęła w gęstwinie. Nadal jednak zajmowała ważne miejsce w świadomości miejscowych, uważających ją za przyczynę popadnięcia Temalagui w niełaskę - tak jakby kiedykolwiek wcześniej cieszyła się czyjąś łaską.

Od czasu do czasu czaszkę odwiedzali podróżnicy. Chętnie pozowali do zdjęć we wnętrzu paszczy, stając obok okutych brązem i pokrytych grynszpanowym nalotem kłów, a potem czym prędzej opuszczali to miejsce, przepłoszeni złowieszczą atmosferą hebanowego pyska i jego barbarzyńskich ornamentów, połyskujących w gęstych cieniach, wśród epifitów i paproci. Ci, którzy odważyli się tam spędzić noc, opowiadali o niepokojących snach. Kilkunastu awanturników i naukowców, którzy zaryzykowali dłuższy pobyt, przepadło bez śladu - wśród nich pewien herpetolog, którego wiele lat później znaleziono na wybrzeżu: mieszkał wśród tamtejszych Indian i nie pamiętał nic ze swojego poprzedniego życia. W latach sześćdziesiątych wokół spoczywającej w dżungli czaszki wyrosło miasto, Ciudad Temalagua; wypączkowało koncentrycznie jak niegdyś Teocinte wokół Griaule'a, jakby posłuszne tym samym niezbadanym relatywistycznym prawidłom. Nikt nie próbował karczować drzew ani niszczyć czaszki; skrawek dżungli, w którym spoczywała, objęto ochroną jako bezcenny dla narodowej kultury. Mówiło się wprawdzie, że zgłębienie jego sekretów jest niezbędne dla zrozumienia współczesnej Temalagui, ale historycy traktowali go po macoszemu. Woleli udawać, że nie istnieje, niż ryzykować życie podczas badania jego

głównego zabytku; jest to zresztą taktyka powszechnie stosowana w miejscach, których historia jest historią łotrów i niczemności. Na zachodnim skraju dżungli wyrosły slumsy. Tworzyły strefę buforową między czaszką i miastem i powodowały ciągłą migrację porzuconych i molestowanych dzieci, wędrujących w jednym lub drugim kierunku (w głąb miejskiego krajobrazu lub bliżej łona natury), gdzie czekał je los, który - choć przewidywalny - był trudny do zweryfikowania. Przez następne czterdzieści lat, kiedy ubożęjące w szponach chciwych korporacji i narkobiznesu miasto osuwało się ku nowemu tysiącleciu, slumsy stały się wylęgarnią zajadłych gangów, korzystające w walce o władzę na ulicach z pomocy szwadronów śmierci, złożonych z przedstawicieli wojskowej ekstremy prawicowej. Jednakże nawet oni niechętnie zapuszczali się do dżungli i obawiali się kwitnącego tam ponoć tajemniczego kultu.

W tym właśnie momencie nasza historia staje się historią kobiety nazywanej *la Endriaga*, oddala się od faktów historycznych i zanurza w królestwo domniemań, niepotwierdzonych informacji oraz czystej fikcji - które, jakkolwiek by na to patrzeć, są najrzetelniejszymi formami kodyfikacji ludzkich doświadczeń. Przyszła na świat jako Xiomara Garza (większość ludzi znała ją po prostu jako Yare) w Barrio Zanja, dzielnicy ruder i bezimiennych uliczek na wzgórzu ponad dżunglą. W porze deszczowej lawiny błotne regularnie przerzynały *barrio* szerokim pasem, zabijając dziesiątki mieszkańców, a setki pozbawiając dachu nad głową. Ponieważ jednak tutejsze szalasy budowano ze sklejki, dykty i tym podobnych materiałów, a przewodniczka najczęściej i tak nie wchodziła w grę, po tygodniu, najdalej dwóch, w tym samym miejscu wyrastało nowe osiedle, równie nietrwałe jak poprzednie. Wielu było takich, którzy twierdzili, że Yara miała szczęśliwe dzieciństwo, choć nie jest to wcale pewne; życie w Barrio Zanja nie sprzyjało szczęściu i nie brakuje świadków, którzy podkreślali raczej posępną i stoicką naturę dziewczynki. Prawdę mówiąc, liczba rzekomych znajomych Yary przewyższa ówczesną liczbę mieszkańców slumsów, dlatego najbezpieczniej będzie chyba stwierdzić, że jej wczesne dzieciństwo okrywa mgła tajemnicy.

Fotografie jedenastoletniej Yary znaleziono w aparacie cyfrowym austriackiego pedofila Antona Scheve'a, którego ciało spoczęło w kałuży krwi w pokoju hotelowym, po tym, jak odniósł liczne rany klute klatki piersiowej. Zdjęcia przedstawiały śliczną ciemnowłosą dziewczynkę o niemal przezroczystej cerze, leżącą na łóżku (tym samym, obok którego Scheve wyzionął ducha) w różnych fazach roznegliżowania, z sennie przymkniętymi oczyma. Jej senność tłumaczyła pognieciona papierowa torebka z klejem, porzucona obok niej na materacu. Ponieważ były to ostatnie obrazy zarejestrowane aparatem Scheve'a, policja

podjęła szczerze wysiłki zmierzające do odnalezienia Yary (sekssturystyka, mimo że oficjalnie zabroniona, stanowiła pokaźne źródło dochodów w rozchwierutanej gospodarce Temalagui). Dziewczynka przepadła jednak bez śladu i władza, której nieobecność Yary uniemożliwiła zademonstrowanie egalitaryzmu w ściganiu morderców (bez względu na nikczemny charakter ofiar), wydrukowała jej zdjęcia (z przesłoniętymi czarnym paskiem genitaliami) w największej stołecznej gazecie, wraz z artykułem potępiającym dręczącą kraj moralną zarazę.

Następna wzmianka o Yarze przybiera postać tendencyjnego pamiętnika opublikowanego w *Mało Znanym Dzienniku Literackim* (to zarówno celny opis, jak i autentyczny tytuł tego periodyku) przez George'a Craiga Snowa, uderzająco przystojnego ekspatrianta, kpiarza i cynika o ciemnoblond włosach i wiecznie zmęczonych niebieskich oczach, który od 2002 do 2008 roku mieszkał w Ciudad Temalagua. W dzieciństwie nie chciał myśleć o sobie jako George'u, ponieważ imię to kojarzyło mu się z mięczakami, dziwakami i likwidatorami szkód ubezpieczeniowych, przyjął więc imię Craig, które było panińskim nazwiskiem jego matki. W początkowym okresie pobytu w Temalagui pracował jako korespondent w oszukańczej organizacji dobroczynnej o nazwie Aurora House. Do jego obowiązków należało pisanie (kaleką angielszczyzną i udającymi dziecinne pismo gryzmołami) listów, które miały udawać wyrazy wdzięczności małych półanalfabetów wspieranych finansowo przez Aurora House. Wysyłano je do łatwowiernych darczyńców w Stanach, a ci łożyli po dwadzieścia dolarów miesięcznie na utrzymanie jakiejś Pilar, Marisol albo Estebana. Do listów dołączano prośby o dalsze wpłaty, oraz zdjęcia, które Snow pstrykał całkiem przypadkowym zdrowym i roześmianym dzieciakom w szkolnych mundurkach na dowód korzystnego wpływu dotychczasowych donacji na życie niedożywionych malców z poprzednich fotografii. Naturalnie, żadne z dzieci przedstawionych na zdjęciach nie oglądało na oczy ani centa z wpłat na konto Aurora House; w ogóle żadne dzieci nie odnosiły korzyści z całego przedsięwzięcia. Większość pieniędzy trafiała do kieszeni Pepe Salido, szczupłego i siwowłosego mężczyzny, który Snowowi przywodził na myśl wychudzonego jak szkielet psa o wąskiej czaszce i wydłużonym pysku. Resztę funduszy wypłacano w postaci miniaturowych pensyjek pracownikom Aurory, w tym kilkunastu *gringo* pokroju Snowa - cynicznym obibokom, których cały szwindel poniekąd bawił, ponieważ rozumieli, że nawet gdyby pieniądze naprawdę szły na szlachetny cel, dwudziestodolarowe wpłaty od dowolnie dużej liczby pełnych najlepszych intencji gospodyń domowych, idealistycznych studentów i zżeranych wyrzutami sumienia alkoholików i tak byłyby niczym wobec sił, które przysięgły się przeciw dzieciom z Temalagui.

Mieszkał z kobietą, w której żyłach płynęła krew Majów, lewicującą asystentką z San

Carlos University imieniem Nadzieja (jego pamiętnik nosił tytuł *Żyje z Nadzieją*), zamieszkała w Barrio Villareal - robotniczej dzielnicy osuwającej się z wolna w slums. Czas wolny wypełniały mu dwie ulubione rozrywki: seks z Nadzieją oraz palenie heroiny (przy czym to drugie zmniejszało częstotliwość tego pierwszego). Wieczorami siadywał na wysokiej werandzie domu, półnagi i bosy, palcami nóg grzebał w ziemi, patrzył na gwiazdy wynurzające się z całunu smogu ponad krytymi dachówką niskimi domkami i napawał się paradą przechodniów. Sprzedawczynie ze sklepów przemykały z pracy do domu ze wzrokiem wbitym w ziemię i zawiniątkami przyciśniętymi do piersi. Uzbrojeni w maczety niscy, żyłaści robotnicy pozdrawiali go uprzejmym skinieniem głowy. Karzełkowaci obszarpańcy z nieodłącznymi nasiąkniętymi klejem torebkami włożyli się w małych, rozmemłanych grupkach; czasem jakby wyczuwali w nim bratnią duszę, bo przystawali pod werandą, patrzyli po dachach i śledzili wzrokiem rzeczy, których nie widział. Pewnego wieczoru siedział tak na werandzie w towarzystwie pomarszczonego dzieciaka, który wyglądał na dziesięć lat, ale pewnie miał z piętnaście, a gdyby nie brudne ciemne włosy mógłby uchodzić za malutkiego staruszka w niechlujnych szortach i wyblakłej koszulce z Disneylandu... Zatem, pewnego wieczoru dostrzegł w fioletowiejącym zmierzchu nastoletnią dziewczynę. Szczupła, długonoga, jasnoskóra. Czarne loki spadały jej kaskadą na ramiona, ale przepych tej fryzury dziwnie nie pasował do reszty wizerunku, utrzymanego raczej w estetyce gotycko-punkowej: czarne dżinsy, czarne trampki, czarny golf z długim rękawem. Do tego czarne paznokcie. Mocny makijaż. Szła nieśpiesznie, ruchy miała oszczędne i zdecydowane, a emanowała przy tym taką energią, że Snow miał wrażenie, że obserwuje nadciągającą burzę. Wyobraził sobie sunącą jej śladem trąbę powietrzną, zasysającą piasek i kamienie, i uśmiechnął się głupawo, gdy dziewczyna znalazła się na wysokości werandy. Nie unikała jego wzroku, przeciwnie, zatrzymała się i skinęła wyzywająco głową, jakby pytała: „Masz coś do mnie? To mów”.

- *Buenos noches* - powiedział Snow.

Dzieciak schował twarz w torebce i zaciągnął się wściekle.

- Co to za dupek? - spytała go dziewczyna po hiszpańsku.

- Mieszka tu - odparł półprzytomnie chłopak.

- Znam hiszpański - wtrącił Snow. - Możesz porozmawiać ze mną.

Udając, że go nie słyszy, spytała dzieciaka, czemu zadaje się z takim *pichicatero*. Ten wzruszył ramionami.

- *Pichicatero*? - powtórzył Snow, patrząc pytająco na chłopca. - Co to znaczy?

- Jebany narkoman - odparła dziewczyna po angielsku z lekkim obcym akcentem.

- To on jest uzależniony. - Snow wskazał na chłopaka. - Dla mnie to tylko hobby.

Pod maską z tuszu i krwawego blysczyku do ust jej twarz była niepiękna, choć upiękuszona. Kiedy jednak Snow w myślach starł cały makijaż, uświadomił sobie, że surowiec jest przedniej marki. Przypadkowy obserwator stwierdziłby może, że twarz jest zbyt nijaka, nazbyt standardowa w swej perfekcji, jak na rysunku uczniaka, który portretuje swoją ukochaną nastoletnią zdziwę-wampirzycę, ale dla Snowa - konesera - była żywiłowa, bujnie kobieca, z drapiezną determinacją ujawniającą się w zakrzywieniu warg nad minimalnym przodozgryzem, delikatnym zarysie drobnego, spiczastego podbródka, rozdętych nozdrzach i widoczną obok nosa nieodzowną skazą - nieregularną różową blizną po ranie, która, gdyby należycie się nią zająć, wymagałaby jednego, najwyżej dwóch szwów, żeby zasklepić się jak trzeba. Skóra dziewczyny jaśniała własnym światłem. Oczy i brwi tak silnie z nią kontrastowały, że przywodziły na myśl otwory w ciele, przez które prześwieca pozbawione światła tło. Była przerażająco piękna.

- Brudne nogi - powiedziała. - Brudne paznokcie. Brudne włosy. - Otaksowała go spojrzeniem. - Brudne serce.

Zbyt upalony, żeby się obrazić, Snow poczuł jednak, że powinien wyrazić sprzeciw.

- Ej... - zaoponował bez przekonania. - Licz się ze słowami.

- Uważaj. - Dziewczyna znów przeszła na hiszpański i zwróciła się do chłopca: - Bo skończysz tak jak on, z tak samo zasuszoną duszą.

- Kiedyś pewnie byłaś emo, co? - spytał Snow. - Założę się. A potem poznałaś jakiegoś gotha i przeszłaś na ciemną stronę.

- Tak właśnie było. Wpadnij kiedyś, to mu cię przedstawię. Uwielbia poznawać nowych ludzi.

- Chętnie. Daj mi swój adres.

Jej twarz straciła wyraz, a oczy się zamglily, jakby słuchała jakiegoś wewnętrznego głosu. Milczała tak długo, że Snow w końcu pomachał jej ręką przed twarzą.

- Halo?! - zawołał.

Odwróciła się i odeszła bez słowa. Przechodzień z naprzeciwka ominął ją szerokim łukiem.

- To było dziwne... - mruknął Snow.

- Yara.

Dzieciak wyłuskał z kieszeni tubkę z klejem i zaczął go wyciskać do torebki.

- Słucham?

- To była Yara. Jest szalona.

- I to ma ją odróżniać od innych?

Snow spodziewał się, że przyjdzie mu teraz tłumaczyć, że jego zdaniem człowiek jest niczym innym jak tylko zbiorem przypadkowych impulsów spętanych siecią więzów społecznych, ale dzieciak chyba instynktownie wiedział, o co mu chodzi, bo zamiast dopominać się o wyjaśnienia, powiedział:

- Yara nie jest szalona jak małpa, tylko jak wąż.

Już miał zanurzyć twarz w oparach kleju, lecz zamiast tego najpierw podsunął torebkę Snowowi, a ten, poruszony niespodziewanym przejawem uprzejmości, wziął ją od niego.



## II

WYJĄTKI Z  
*ŻYJE Z NADZIEJĄ*  
CRAIGA SNOWA

...Nadzieja znów wykopała mnie z domu. I to z tego samego co zwykle powodu: niemożności pogodzenia jej radykalnej ideologii z posiadaniem chłopaka, którego poglądy polityczne ograniczają się do „Wiem, Ameryka jest do bani. Ale cały świat taki jest”. Jak zwykle zameldowałem się w hotelu Spring, żeby wiedziała, gdzie mnie szukać, kiedy już przemyśli swoje stanowisko. Przez następne kilka wieczorów grałem na automatach w salonie przy Avenida Seis i piłem w „Club Sexy”, gejowskim barze, do którego chętnie zaglądały żony i dziewczyny prawicowych wojskowych, słynące ze swojej atrakcyjności i wprost gigantycznej trywialności prowadzonych konwersacji. Można było przesiedzieć tam całą noc i nie usłyszeć ani jednego poważnego zdania. Bardzo rzadko zdarzało się, że atmosfera robiła się naprawdę gorąca - kiedy rozmowa schodziła na fryzury.

Klub był idealnym miejscem do popełnienia samobójstwa przez uwiedzenie - wielgachna sala z lodową klimatyzacją, przyćmionym oświetleniem, okrągłymi stolikami ze szkła i bambusa i dziecinnym malowidłem na ścianie przedstawiającym tropikalną plażę pod palmami i gwiazdzistym niebem. Prawie każdego wieczoru podstarzały pedzio w smokingu telepał się na scenę i wygrywał na Casio latynoskie aranżacje Beatlesów i temu podobny szajs, kiwając posrebrzoną siwizną głową w takt szeptanych samb. Jeżeli byłeś atrakcyjnym facetem, mogłeś bez problemu zaliczać tutejsze kobitki, ryzykowałeś tylko, że na koniec wylądujesz w piwnicy, gdzie jakiś sobowtór pułkownika Noriegi przypnie ci elektrody do kutasa. Na wszelki wypadek siadywałem więc przy barze, wtapiając się w tłum wielbicieli właściciela, Guillermo, gościa mniej więcej w moim wieku, o jasnej karnacji, ekscytującej fryzurze i aparycji męskiego niewiniątka.

W dni powszednie, około czwartej rozpoczynała się *la hora feliz* i do klubu napływały podekscytowane damy w głęboko wydekoltowanych sukienkach, ciemnych okularach od Gucciego i makijażu jak z palety Sherwina-Williamsa. Kiedy patrzyło się na nie spod zmrużonych powiek, miało się wrażenie, że stoliki obsiadło kilkadziesiąt wściekle

kolorowych motyli. Piły ostro - głównie tequilę z sokiem pomarańczowym na popitkę - i nie trzeba było długo czekać, żeby zaczęły rozkosznie gawędzić, zagłuszając syntezator.

Utrzymywałem luźną znajomość z jedną z nich, Vivianą, dziarską blondyną ze sztucznym cycem; w ten czwartek, kiedy Nadzieja mnie pogoniła, zaszyliśmy się w ostatniej kabinie w damskiej toalecie na szybki numerek. Nie znaczy to, że śpieszno mi było umierać. Nasz związek zaczął się, kiedy jeszcze nie znałem tutejszych realiów, a potem, kiedy zorientowałem się, co jest grane... Cóż, utajone dążenie do samozniszczenia zgrabnie współgrało z moim nonszalanckim stosunkiem do bezpieczeństwa osobistego, co w połączeniu z typowym dla Amerykanina poczuciem, że wszystko mi wolno, stąpiło moją czujność. Świadomość tylu piczek dostępnych na wyciągnięcie ręki była zbyt kusząca.

Na początku romansu zdarzyło się nam z Vivianą, że kiedy wychodziliśmy z damskiego kibelka, przyłapał nas jej chłopak, typowy kapitan tutejszego wojska, świr i miłośnik szwadronów śmierci. Przyszła mi wtedy z pomocą: rzuciła się z wrzaskiem na oszołomionego młodego psychopate, kazała mu przestać mnie bić i wyjaśniła, że pomagałem jej układać włosy.

- Nie widzisz, że to pedryl?! - darła się.

Od tamtej pory czułem się względnie bezpiecznie, posuwając ją od tyłu nad sedesem, chociaż dla uwiarygodnienia się w roli geja musiałem później wdzięczyć się i flirtować z Guillermo.

Kiedy w tamten czwartek załatwiliśmy swoje sprawy w łazience, przysiadła się do mnie na drinka. Powiedziałem jej, że Nadzieja się mnie wyparła. Współczuła mi, głaskała mnie po głowie i mamrotała coś, żeby dodać mi otuchy, ale wszystko to bez większego przekonania. Jej wzrok błędził po sali, aż w końcu zatrzymał się na stoliku pod sceną.

- A to wszawa pizda... - mruknęła jadownicie.

Yara - dziewczyna w czerni, która tydzień wcześniej naubliżała mi, kiedy siedziałem sobie na werandzie - rozmawiała z niejaką Dolores, do której Viviana miała słabość (w swojej niewierności nie ograniczała się bynajmniej do facetów; tłumaczyła mi, że wiele kobiet czuje się - tak jak ona - więźniami w swoich związkach i są gotowe rypać wszystko, co się rusza, bo w ten sposób mogą dać upust frustracji i przynajmniej psychicznie odgryźć się na swoich drugich połówkach. A „Club Sexy” zapewniał im idealną przykrywkę). Viviana zerwała się ze stolka. Złapałem ją za rękę, pytając, co się stało, ale odtrąciła moją dłoń, doskoczyła do tamtego stolika i zaczęła mieszać z błotem Yare, która przyglądała się jej z obojętną miną. Kiedy zrobiła przerwę na złapanie tchu, Yara coś wtrąciła. Cokolwiek to było, musiało mieć niezłego kopa, bo Viviana bez zbędnych słów poszła się dąsać przy stoliku w kącie.

Przez chwilę obserwowałem Yarę. Gestykulowała powoli, spokojnie, leniwie, jakby wykladała jakiś poważny problem, cierpliwie, bez pośpiechu. Kobiety też się jej przyglądały. Z czułością, takie przynajmniej miałem wrażenie. Na pewno z uwagą. Tak jak się patrzy na gwiazdy filmowe. Dziewczyna miała osobowość, bez dwóch zdań. Wyróżniała się w sali pełnej pięknych kobiet. Przyciągała wzrok.

- Ej, Guillermo? - Skinąłem na właściciela. - Przyrządziłbyś dla Viviany to swoje eleganckie *mojito* o smaku mango?

- Oczywiście.

Wsparłem łokcie na barze, splotłem palce dłoni i oparłem na nich podbródek. Patrzyłem, jak Guillermo przygotowuje drinka.

- Może ja też się napiję... - dodałem. - Dośladzane. - Nachyliłem się nad barem i spytałem szeptem: - Czemu Viv jest taka zgaszona?

- Wydaje się jej, że *la Endriaga* podrywa Dolores.

- Ta dziewczyna w czarnym? Jak powiedziałaś, *la...* co? *La Endriaga*?

Guillermo dodał soku z limonki.

- Nie znasz tej historii? *La Endriaga* to taki stwór: po części wąż, po części smok, a po części kobieta. Naprawdę dziewczyna nazywa się Lara albo Mara, jakoś tak... Wiesz, że nie mam pamięci do imion. Ludzie nazywają ją *la Endriaga*, bo mieszka w dżungli. Niedaleko czaszki.

- Zawsze myślałem, że to tylko takie bajki, z tą czaszką.

- Ja tam jej nigdy nie widziałem. - Guillermo odrzucił włosy z czoła. - Ale Jamie Solis... Kojarzysz gościa? To ten, co sobie stale farbuje bródkę na różne kolory... No więc on mi mówił, że ta czaszka istnieje naprawdę. Nawet proponował, że mnie do niej zaprowadzi, ale zapytałem go, po co miałbym oglądać jakieś stare gnaty? Są lepsze sposoby, żeby mi zaimponować.

Kończyłem swoje *mojito*, kiedy Dolores podała Yarze pękata kopertę; na filmach w takich kopertach daje się łapówki. Yara schowała ją do słomianej torby na zakupy, podstawiała Dolores policzek do pocałowania i ruszyła do wyjścia. Zaintrygowany wyszedłem za nią. Dochodziła ósma, chodniki były zatłoczone, ubrana w neony ulica dławiała się zgiełkowym ruchem samochodowym, a nocne powietrze było duszne i cuchnące spalinami. Muzyka wylewająca się ze sklepów i samochodów szła w zawody ze zgiełkiem tłumu i piskliwym jazgotem automatów. Brudne dzieciaki - głównie dziewczynki, ósmio-, dziesięcio-, góra dwunastoletnie, w rodzaju tych, którym Aurora House powinno pomagać - szarpały mnie za rękawy, wyciągały prosząco ręce i robiły błagalne miny. Pozbyłem się drobnych i pogoniłem

tałatajstwo. Tymczasem tłum zdążył połknąć Yare, rozpoznałem za to hummera należącego do kapitana-psychopaty, z maską przybraną festonami odbitego czerwono-fioletowego światła. Szukał miejsca do zaparkowania, trzymając wciśnięty klakson, który, zamiast po prostu trąbić, wygrywał pompatyczne cyfrowe fanfary. Wprawdzie dawno się już pogodziliśmy, ale mimo to, uznałem, że lepiej będzie zniknąć. Ruszyłem Avenida Seis na zachód, nie bardzo wiedząc, dokąd idę. Przystawałem przy wystawach, aż w końcu dostrzegłem Yare w pustym poza tym sklepie z elektroniką: rozmawiała ze sprzedawcą. W oślepiającym blasku jarzeniówek jej czarna sylwetka rysowała się szczupło i ostro jak wykrzyknik na jasnym tle. Sprzedawca - wysoki, tykowany facet z białym kosmykiem w grzywce - sprawiał wrażenie zdenerwowanego i gestykułował zamasyście, ale uspokoił się, kiedy wręczyła mu otrzymaną od Dolores kopertę. Zajrzał do środka, rozejrzał się, jakby chciał się upewnić, że nikt ich nie widzi, po czym wyciągnął z koperty kilka banknotów i dał je Yarze. Schowała je do przedniej kieszeni dżinsów i skierowała się do wyjścia. Odwróciłem się, udając zainteresowanie wystawą z telefonami komórkowymi, ale podeszła do mnie i zagadnęła wesoło:

- Zastanawiałam się, kiedy znów na siebie wpadniemy.

- Doprawdy? - wykrztusiłem, zbity z pantałyku różnicą w jej zachowaniu między naszym pierwszym i drugim spotkaniem.

- Nie jesteś ciekaw, skąd wiedziałam, że się jeszcze spotkamy?

- Pewnie, że jestem. Jeśli tego chcesz.

- Ja zawsze wiem takie rzeczy.

Czekałem na głębszą analizę, a kiedy nie nastąpiła, odparłem:

- To miło, ale wiesz, śpieszę się.

- Nie odchodź. - Złapała mnie za rękę i zrobiła taki przymilnie króliczy gest, szturchając mnie nosem w ramię. - Chcę ci coś pokazać.

- Chwila! - Odsunąłem się od niej. - Tydzień temu potraktowałaś mnie jak zasyfiałego, a teraz...

- Przepraszam! Miałam paskudny humor.

- Kleisz się do mnie jak jakiś niedorozwój. Co jest grane?

Cofnęła się o krok i odparła z powagą:

- Nie wiem, czy uda się nam stworzyć trwałą związek. Jesteś atrakcyjnym mężczyzną, ale przypuszczam, że skończy się na seksie.

- Dobra, wystarczy tego pieprzenia w bambus. Zdzwonimy się.

Wygięła usta w podkówkę.

- Nie chcesz zobaczyć, jak mieszkam?

- A po co? Co ci chodzi po głowie?

- Amerykanie to paranoicy. Zresztą, chyba słusznie. Tu u nas nastroje antyamerykańskie są dość silne. Może się zdarzyć, że dziewczyna zaprosi cię na kolację tylko po to, żeby potem urznąć ci głowę.

- Żebyś wiedziała!

- Mógłbyś się przed tym zabezpieczyć - zauważyła. - Powiadomić policjanta, podać mu swoje nazwisko i powiedzieć, dokąd się wybierasz. Wiedziałabym, że jeśli znikniesz, będą mnie ścigać. Musiałabym powściągnąć swoje mordercze zapędy.

- Teraz naprawdę mam ochotę z tobą pójść - przyznałem. - Kiedy tak mówisz, to widzę, że ze swoją podejrzliwością wychodzę na paranoicznego dupka.

Do sklepu z elektroniką weszło czterech młodych chłopaków ubranych w designerskie dzinsy i koszulki polo, z drogimi zegarkami na przegubach - typowe bogate nastolatki. Byli zdyszani i śmiali się do rozpuku, jakby dopiero co zrobili komuś kawał i ledwie uciekli przed karą. Jeden z nich zauważył Yarę i powiedział coś o dziwkach. Nie wiadomo dlaczego jego uwaga mnie rozwścieczyła. Kazałem im się odpierdolić. Twarze całej czwórki stężały w jedną i jedno oblicze, z którego spojrzały na mnie bezduszne oczy zombie. Nagle poczułem, że stoję twarzą w twarz z czterogłową podobizną potwora, który ma siedem miliardów łbów.

Splunąłem im pod nogi i postąpiłem krok w ich stronę. Zaklęli i rozpierzchli się w tłumie. Wchłonęło ich cielsko bestii.

- Ty naprawdę się na nich wkurzyłeś! - zauważyła rozbawiona Yara. - Znienawidziłeś ich.

Znów zaczęły do mnie docierać dźwięki ulicy: muzyka z radia, klaksony, zgiełk rozmów, śmiech - jakby ktoś podniósł kurtynę oddzielającą mnie od nowego, głośniejszego spektaklu.

- Dziwisz mi się? Wyrosną na faszystowskich skurwieli, takich samych jak ich ojcowie.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

- Nihilista z ciebie.

Parsknąłem śmiechem.

- To stanowczo zbyt oficjalne określenie tego, kim jestem.

Nie odpowiedziała.

- Powiedz, kręcą cię nihiliści?

- Naprawdę powinieneś ze mną pójść. Nie żartuję.

- Daj mi powód.

- Spodoba ci się to, co chcę ci pokazać. Jeśli to nie jest wystarczający powód... -  
Wzruszyła ramionami. - Stracisz dobrą zabawę.

- O jakiej zabawie mówimy?

- Tej, co zwykle. Może o czymś więcej.

Oparła się o mnie i otarła piersią o mój łokieć. Nie przestałem być paranoikiem, ale mój opór osłabł.

- Chodź ze mną, mężczyzno. Jeśli umrzesz, obiecuję ci, że umrzesz szczęśliwy.

\* \* \*

Pojechaliśmy taksówką do dżungli. Yara wyjaśniła mi, że gdybyśmy poszli pieszo przez Barrio Zanja, musielibyśmy przedzierać się dobre dwie mile przez las, a tak przespacerujemy się piętnaście, może dwadzieścia minut. Zrobiliśmy pół kółka na Plaza Obelisco, minęliśmy paskudny betonowy pomnik niepodległości Temalagui (ponury żart jakiegoś despoty) i Pochodnię Wolności (upamiętniającą obalenie tegoż despoty), po czym wkrótce wtoczyliśmy się na wyboistą bitą drogę, która zwążyła się coraz bardziej, aż w końcu skończyła się w wiosce Chajul, zapadłej dziurze na skraju dżungli, wśród niebotycznych awokadowców.

Yara zapłaciła kierowcy banknotami otrzymanymi od sprzedawcy w sklepie z elektroniką. Zapytałem, czy to łapówka.

- To składka - wyjaśniła. - Na fundusz.

- Jaki fundusz?

- Nie jestem pewna.

Znalazszy się z dala od miasta, widziałem wyraźnie gwiazdy i księżyc wschodzący nad wzgórzami na wschodzie, ale kiedy zagłębiliśmy się w dżunglę, otoczył nas nieprzenikniony mrok. Yara wzięła mnie za rękę i przyświecając sobie latarką, ostrzegała o przeszkodach na drodze. Owady świergotały, żaby popiskiwały i rechotały. Zewsząd dobiegały jakieś szelesty. Pachniało słodką zgnilizną i wilgocią. Komary bzycały mi we włosach. Upał był gorszy niż w mieście, zacząłem się pocić. Szurałem nogami, brnąłem w ciemnościach wśród niewidzialnych istot, poszturchiwany przez gałązki i liście, które ocierały mi się o skórę - i wyobrażałem sobie, jak pnącza zwijają się w pętle nad moją głową, pająki wślazą mi do nogawek spodni, a węże opuszczają się z konarów w moją stronę, wyciągając szpadlowate łby i wysuwając rozdwojone języki. Yara musiała chyba wyczuć mój lęk, bo zapewniła mnie, że to już niedaleko, ale nie uwierzyłem jej; wiedziałem, że prowadzi mnie w pułapkę. Zacząłem przemyślać o tym, żeby wziąć ją na zakładniczkę i w ten sposób

powstrzymać atak tego, kto na mnie czeka - ale w tej samej chwili w gęstwinie mignęło mi rdzawe światło, powietrze mocno zaśmierdziało odchodami i wyszliśmy na polanę wielkości boiska piłkarskiego, nieco tylko węższą, od góry osłoniętą gęsto splecionymi koronami drzew i okoloną litą ścianą roślinności. W wyznaczonej tymi ścianami i tym sklepieniem przestrzeni w sam raz zmieściłaby się odwrócona do góry dnem Arka Noego. Wśród karp i placków poszycia wyrósł zajmujący większość polany dzunglowy slums, łączący surowe realia życia w epoce kamiennej z okrutną wielkowiejską nędzą. Szałasy, namioty, chaty kryte strzechą i parę szop z zardzewiałymi blaszanymi dachami. Dym z ognisk zalegał nad polaną jak mgła, w której majaczyły ludzkie sylwetki. Uderzyło mnie, że wszyscy poruszają się z jakąś przesadną ostrożnością. Niektórzy machali Yarze na powitanie, nikt jednak nie wypowiadał jej imienia. Na moje oko mieszkało tam dobre kilkaset osób, spodziewałbym się więc szmeru rozmów, pokrzykiwań, wybuchów śmiechu, dźwięków muzyki i tak dalej, tymczasem w osadzie było cicho jak w kościele. W powietrzu wyczuwało się ciężką aurę pobożności - całkowicie zrozumiałą, jeśli wziąć pod uwagę obecność gigantycznej gadziej czaszki, poźółkłej ze starości, oświetlonej pochodniami, zajmującej cały przeciwległy koniec polany i piętrzącej się wysoko wśród drzew.

Ze Stanów wyjechałem pięć lat wcześniej, zniechęcony i znudzony swoim nędznym żywotem, bezbarwnością amerykańskiej tragedii, konsumpcyjną mentalnością i siłami rynku odpowiedzialnymi za jej stworzenie, skandalami z udziałem gwiazd (starannie reżyserowanymi, żeby odciągać uwagę gawiedzi od prawdziwych problemów) i innymi składnikami tego karnawału kłamstw. Miałem nadzieję, że barwniejszy krajobraz pomoże mi zeskrobać zdrewniałą otoczkę z mózgu, odnosiłem jednak wrażenie, że gdziekolwiek trafiam, zawsze przynoszę ze sobą to samo zniechęcenie i nudę, przez co w moim życiu stale brakuje zapалу i zaangażowania. Ta czaszka dokonała pierwszego wyłomu w moim światopoglądzie. Jej rozmiary, niesamowity wygląd, barbarzyńskie ozdobniki dodane na przestrzeni wieków przez ludzi i naturę, gryzmoły mchu i grzybów, inkrustacja z mlecznego jadeitu i czarnego onyksu, spatynowane kły, pysk pokryty wyblakłymi malunkami jakiegoś dawno zapomnianego plemienia, a wszystko to widoczne w migotliwym blasku pochodni... W jednej chwili wydała mi się błazeńska, groteskowo fałszywa, jak olbrzymia maska z *papier mâché* przygotowana na Mardi Gras - a w następnej zdjęła mnie zgroza, że lada chwila wielki łeb ożyje i zaryczy. Roślinny kobierzec pokrywał większość pochylego czoła, gruba warstwa splecionych pnączy przesłaniała jeden oczodół, tylko wznoszący się czterdzieści stóp nad ziemią pysk prawie wcale nie był porośnięty zielskiem, jeśli nie liczyć paru kępek epifitów. Z boku szczęki stała teleskopowa drabina aluminiowa, górną częścią oparta o kość żuchwy na

wysokości kła. Kiedy dotarło do mnie, że właśnie w jej stronę się kierujemy, mój strach sięgnął zenitu. Nie podobał mi się pomysł, że mam się wspiąć wprost do paszczy, ale ponieważ Yara nie okazywała nawet cienia obaw, nie podzieliłem się z nią swoimi wątpliwościami. Czaszka emanowała niepokojącą aurą, podobną do tej, jaka potrafi czasem otaczać stare ruiny; charakterystyczny brak wszelkich dźwięków, który każe wyteńczyć słuch i dostroić się do potencjalnych wibracji, żeby, być może, wychwycić coś tam, gdzie nie ma nic do wychwycenia... Tyle że tutaj ta pustka zdawała się wyjątkowo nieprzyjazna, jakby czaszka zachowała cień swojej dawnej zawartości, niczym kieliszek, w którym kiedyś podano komuś truciznę.

Yara wdrapała się po drabinie z szybkością i swobodą cechującą kogoś nawykłego do tej wspinaczki, ja zaś, poruszając się mniej pewnie, szedłem znacznie wolniej, przystawałem, łapałem równowagę i zastanawiałem się, czy cała ta eskapada to na pewno rozsądny pomysł. Kiedy jednak dotarłem na samą górę, kiedy stanąłem obok złowieszczo zakrzywionego, brązowo-zielonego kła i spojrzałem z góry na slumsy, poczułem niewytłumaczalny przypływ sił. Zupełnie jakbym wspiął się na dziewiczy górski szczyt i na krótką chwilę stał się panem wszystkiego, co widzę. Yara wzięła mnie za rękę i jej dotyk wzmógł jeszcze to wrażenie. Poczulem się jak na heroinowym haju, w tej jego fazie, kiedy początkowy kop słabnie i osiągam pełnię harmonii z każdą cząstką swojego ciała, a najmniejsze poruszenie (zgięcie małego palca albo drgnienie stopy) znamionuje radosną moc. Poprowadziła mnie w głąb czaszki, wśród zmysłowych kosztnych wolut i zawijasów, dalej wąskim tunelem w górę, do pieczary, w której niegdyś mieścił się mózg potwora. Jej przeciwległy kraniec rozświetlały skupione w grupach świece, a na jej wyposażenie składały się wielokrotnie łątane łóżko wodne, biurko, stół, trzy drewniane krzesła i stareńki kufer podróżny, pełniący jednocześnie rolę szafy na dokumenty i komody. Poza tym, zewsząd otaczały mnie niknące w półmroku puste, białe krzywizny kości. Widok tej kolekcji używanych gratów wciśniętych w kąty przepastnej jak jaskinia czaszki, zrodził myśl, że przez przypadek trafiłem do bajki o zaginionej dziewczynce, która zamieszkała w opustoszałym pałacu z kości.

Zwróciłem uwagę, że świece palą się od niedawna, i zapytałem, kto je zapalił.

- Wyznawcy. - Z najniższej szuflady kufra Yara wyjęła dwa ręczniki. - Zawsze wiedzą, kiedy wrócę.

- Mówisz o tych ludziach z dołu?

- Tak. Opiekują się mną.

- Dlaczego?

- Są bardzo opiekuńczy.



- Doprawdy? Musisz się im chyba jakoś odwdzięczać?

- Przysługa za przysługę. - Rzuciła mi ręcznik. - Niedługo przyniosą jedzenie. Powinniśmy się pośpieszyć, jeśli chcemy się umyć przed kolacją.

\* \* \*

Z tyłu czaszki, u wylotu kostnego kanału okrywającego dawniej górny odcinek kręgosłupa, wśród paproci, pęków liści i stłoczonych ciasno pni drzew stała drewniana balia pełna wody. Była naprawdę ogromna, można by przy niej urządzić przyjęcie jak nad basenem. Ponad nią z ciemności wyłaniała się ociekającą wodą rura. Na powierzchni wody nie pływały żadne liście, domyśliłem się więc, że wyznawcy dopiero niedawno napełnili balię.

Yara zapaliła zamocowane wokół balii pochodnie. Płomienie odbijały się w wodzie, a ona zaczęła się rozbierać. Miała ciało o doskonałych proporcjach, a włosy łonowe wygolone w elegancki pas startowy. Spodziewałem się, że będzie cała wytatuowana, ale miała tylko dwie takie ozdoby: maleńkiego ptaszka w locie, narysowanego niebieskim atramentem nad prawą piersią (był trochę rozmazany, nie wyglądał mi na dzieło zawodowca) i romboidalny deseń z ciemnozielonych łusek u dołu kręgosłupa, dość nowy i cudownie szczegółowy. Wskoczyłem z nią do balii i patrzyłem, jak spłukuje makijaż (już wcześniej częściowo zmyła go chusteczkami) i miejski brud, spod których wyłaniają się wyraziste kości policzkowe przydające jej twarzy nieco egzotyki. Następnie zanurzyła się tak, że nad powierzchnię wystawiła tylko nos i oczy. W migotliwym blasku pochodni unoszące się na wodzie macki jej włosów poruszały się i lśniły, niczym płynące w jej stronę i zlewające się z ciałem ogniste węże.

Dżungla otulała nas ciasno, a żaby głośno rechotały. Ich obecność mogłaby tłumaczyć brak owadów, gdyby nie fakt, że już w samej czaszce nie widziałem żadnych insektów. Kiedy o tym wspomniałem, Yara zrobiła zdziwioną minę. Jej oczy lśniły w świetle pochodni.

- Potrzebujesz owadów do czegoś?

- A mogłabyś jakieś zorganizować?

- Mogę spróbować.

Zatoczyłem półkolisty gest dłońmi, popychając w jej stronę falę wody.

- To po to mnie tu ściągnęłaś? Żeby się ze mną wykapać?

- Bywam kapryśna.

- Może po prostu powiedz mi, co jest grane?

Oparła się łokciami o brzegi balii i uniosła stopy nad powierzchnię wody.

- Wolalabym, żebyś sam wyciągnął wnioski. Przynajmniej nie będziesz mnie mógł

oskarżać o manipulację.

- Moja opinia jest aż tak ważna?

- Trudno powiedzieć.

- To całe pieprzenie o kobiecie owianej mgłą tajemnicy... Na mnie takie bzdety nie działają.

- Nie dajesz im szansy.

Światło pochodni rozlewało się po okolicy; ruchliwe fale pomarańczowego blasku wyląwiały z mroku pióropusze liści, fragmenty pni drzew, kostne ściany. Gdzieś z góry dobiegł przeciągły, terkotliwy trel ptaka zachwyconego żywą jeszcze kolacją. To taki pierwotny świat z *National Geographic*, pomyślałem, starając się hamować emocje, ale czaszka jeszcze raz zawładnęła moją wyobraźnią i znów zacząłem się bać.

- Wiesz, co ja myślę? - zagadnąłem. - Myślę, że ty ich jakoś wykorzystujesz, tych ludzi na dole. Wyznawców.

- Nie ty pierwszy mi to mówisz.

- A mam rację?

- Czasem sama się zastanawiam.

- Tylko takich odpowiedzi mogę od ciebie oczekiwać?

- Na razie tak.

Dekoncentrował mnie widok jej wynurzających się nad wodę piersi: przy każdym ruchu brodawki przebijały powierzchnię, pastelowo różowe jak deserowe miętówki, idealne kręgi na tle jaśniejszej, leciutko gruzełkowej skóry. Zastanawiałem się, jak to by było, pieprzyć się z nią w tej kościanej sypialni; w myślach porównywałem ją z Nadzieją o ciężkich piersiach i grubej talii, o brodawkach sutkowych tak dużych i obłych, że niemal zdeformowanych. Mimo że Nadzieja wyrzuciła mnie z domu i że oboje miesaliśmy kochanków na boku, liczyłem na to, że jeszcze się zejdziemy; nasz związek był zbyt wygodny (dla nas obojga), żeby tak po prostu go odrzucić. Miałem leciutkie wyrzuty sumienia, ponieważ Yara była od niej ładniejsza, nie powstrzymało mnie to jednak przed podpłynięciem do niej i podłożenia ręki pod jej uda, żeby przytrzymać je w górze. Buchało od niej ciepło. Drugą ręką odgarnąłem jej włosy z twarzy i przysunąłem się, żeby ją pocałować. Powstrzymała mnie jednak i odchyliła głowę, jakby w poszukiwaniu lepszego punktu widzenia.

- Chcę ci przynieść szczęście - powiedziała.

Miałem na końcu języka ciętą ripostę na temat szczęścia, ale postanowiłem zatrzymać ją dla siebie. Na twarzy Yary nie było śladu rozbawienia, w jej głosie nie słyszałem cienia

przekory.

Głosem ochryplym z pożądania odparłem, że odrobina szczęścia z pewnością nie zawadzi.

\* \* \*

Kolacja (kurczak i ryż z szafranem) stygła, a my rzuciliśmy się na wodne łóżko i ostro wzięliśmy do roboty. Yara była energiczna i pomysłowa, na przemian dająca i wymagająca, ale seks wypadł po prostu nieźle, poprawnie, bynajmniej nie fantastycznie. Jak to czasem bywa, element wyczynowy nieco przyćmił inne zalety naszych małych ćwiczeń gimnastycznych i ograniczył zaangażowanie emocjonalne. Miło było słyszeć jej jęki i krzyki, ale czułem, że nie są do końca szczere. Nie udawała, nie w tym rzecz, po prostu dorzuciła coś ekstra dla mnie, żebym miał pewność, że jest jej dobrze. Moje wykonanie było męskim odpowiednikiem jej gry. Najbardziej zaskoczyła mnie jednak później, kiedy zamiast po prostu leżeć i wygadywać jakieś głupotki, analizowaliśmy nasz seks pod kątem autentyzmu.

- Zdarza się czasem, że kiedy spiknie się para atrakcyjnych ludzi, narcyzm im przeszkadza - powiedziała.

- Nie uważam się za narcyza!

- Nie kłam!

- Prawdę mówiąc, odczuwam raczej nienawiść do siebie.

Prychnęła pogardliwie.

- I co, uważasz, że nie można być narcyzem, który darzy się nienawiścią?

- Mogę się od biedy zgodzić, że taka nienawiść to ekstremalna postać narcyzmu.

- To jego istota. Miłość i nienawiść do samego siebie wcale się wzajemnie nie wykluczają. Przeciwnie, jedna jest zapowiedzią drugiej.

Splotłem dłonie pod głową. Gra świateł na suficie nadawała mu kremową fakturę, jakby gładkiego sera.

- Ile masz lat? - spytałem.

- Siedemnaście. Myślałeś, że więcej?

- W ogóle niewiele o tym myślałem, ale owszem, dałbym ci ze dwa lata więcej.

- Teraz pewnie myślisz, że jestem dla ciebie za młoda? Mam rację? Obym nie miała, bo byłem już z facetami starszymi od ciebie. Dużo starszymi!

To była specyficzna rozmowa. Słowa Yary mogły brzmieć dojrzałe, jeśli wziąć pod uwagę jej młody wiek, ale ta dygresja uświadomiła mi, że jej osobowość to poza doprawiona odrobiną nastoletniej niepewności. Zapewniłem ją, że jej wiek nie ma dla mnie żadnego znaczenia. To ją ugłaskało.

- Dziwne... - mruknęła, wracając do poprzedniego tematu. - Mam wrażenie, że w twoim wypadku miłość do samego siebie ulega rozkładowi i przekształca się w nienawiść. Zwykle jest odwrotnie.

- Nie wiem, czy tak ze mną jest. Odkąd skończyłem piętnaście lat, odczuwam jedno i drugie jednocześnie.

- Piętnaście lat, tak? To wtedy dziewczyny zaczęły się tobą interesować?

- Nie. Wtedy zacząłem je wykorzystywać, żeby dobrać się do ich mam. I wtedy siebie znieawidziłem.

- Nie rozumiem.

- Kręciły mnie mamuśki dziewczyn, z którymi się spotkałem.

- Uprawiałeś z nimi seks?

- Z niektórymi tak. Rene... Moja pierwsza. Wysłała córkę po sprawunki i przyszła do mnie. Dzięki temu w szkole średniej byłem kimś.

- Pochwaliłeś się kumplom?! Ale z ciebie prosię!

- Miałem piętnaście lat, byłem idiotą. Zresztą Rene też się pochwaliła swoim koleżankom. Z paroma mnie nawet umówiła. Nikomu nie stała się krzywda, a ja się co nieco nauczyłem.

- O seksie?

- O seksie... i o kobietach.

Yara westchnęła. Wyrozumiale, jak mi się wydawało.

- Mamuśki musiały znudzić się mężami.

- W ogóle o tym nie myślałem. Traktowałem je jak cele do osiągnięcia. Pewnie masz rację, były znudzone i mężami, i same sobą, ale nie sądzę, żeby tym właśnie się kierowały. Kręciło je to, że mnie deprawują. Potrzebowały takiej ekstrawagancji w swoim życiu. Udawałem więc niewiniątko i pozwalałem się deprawować. To był taki mój znak firmowy: zaliczanie mam i córek. Kiedy mamuśki dowiadywały się, że posuwam także ich małe Madisony czy Brooki, okrutnie się wkurwiały, ale potem im przechodziło. Dwie nawet zaproponowały trójkącik.

- Miałeś się pewnie za niezłego skurczybyka, co?

- Byłem skurczybykiem.

- Na swój niewinny sposób.

Podmuch ciepłego powietrza przecisnął się krętymi korytarzami z kości i owionął sypialnię.

Yara odwróciła się w bok, twarzą w moją stronę.

- Do zeszłego roku w ogóle nie interesowałam się seksem.

- Późno zaczęłaś.

- To nie tak. Miałam jakieś tam doświadczenie, ale wspomnienia były nieprzyjemne.

W większości. Kiedy się tu sprowadziłam, przestałam uprawiać seks. Dopiero rok temu wzięłam sobie kochanka, ale nie pasowaliśmy do siebie w łóżku. Była chemia, lecz niewiele z tego wynikało. - Przespacerowała się palcami po moim brzuchu z góry na dół. Zatrzymała się na biodrze. - Za to my dwoje świetnie do siebie pasujemy. Reagujemy nawzajem na swoje sygnały.

- Serio?

- Doświadczenie z mamuškami musiało cię wyczulić na potrzeby kobiet; wiedziałeś, czego i kiedy mi potrzeba. A ja jestem przekonana, że równie dobrze odgadywałam twoje zachcianki... co jest dość niezwykle. Nigdy nie umiałam czytać mężczyzn.

- Daj mi jakiś przykład.

- Przecież pamiętasz, jak było.

- Odśwież moją pamięć.

- Chcesz usłyszeć, jak mówię świństwa.

Uśmiechnąłem się.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu...

- Dobrze. Pod sam koniec, kiedy waliłeś mnie jak dziki, wiedziałam, że dochodzisz, i chciałam, żebyś skończył w moich ustach. I tak właśnie zrobiłeś, mimo że nic ci nie powiedziałam.

- Wydawało mi się, że tak będzie najlepiej.

Zmrużyła oczy.

- Wprawiam cię w zakłopotanie?

- Nie.

- Ależ tak! Zawstydyłam cię!

- Nie, naprawdę nie. Po prostu to dla mnie dziwne, że tak rozmawiamy.

- Co w tym dziwnego?

- Jak się ludzie zejda, to są dla siebie nawzajem delikatni. Szepczą sobie czułe słówka, różne głupstewka, pytają „Kiedy się zorientowałeś?” albo mówią „Jak cię tylko zobaczyłem, to mi się w głowie zakręciło”. Przekomarzają się, żartują. Nie walą sobie takiej poważnej analizy na dzień dobry.

- Takie rozmowy są z natury trochę nieszczerze...

- Nie zawsze.

- To prawda, nie zawsze.

Wiatr się wzmógł. Coraz częściej było słycać piskliwy świst powietrza w kostnych kanałach, jakby gdzieś nieopodal stare organy parowe miały lada chwila wyzionąć ducha.

- Dobrze jest wyciągać takie sprawy - dodała Yara. - Pozbywamy się zbędnego bagażu.

- Tak uważasz? Mnie to onieśmiela.

- Z początku tak musi być, ale na dłuższą metę to pomaga.

Na myśl o tym, że w grę może wchodzić jakaś „dłuższa meta”, przypomniałem sobie o Nadziei. Oczyma wyobraźni zobaczyłem, jak staje w progu naszego domu, ściąga stary wojskowy płaszcz, który zwykle nosi zimą, i uśmiecha się do mnie przez ramię, a jej zaplecione w gruby sznur włosy lśnią.

- Do niedawna mieszkalem z kimś - powiedziałem.

- I co z tego?

- Od prawie czterech lat jesteśmy razem. Z przerwami.

- Ona nie będzie miała nic wspólnego z tym, jak nam się ułoży.

- To brzmi arogancko.

- Jeśli jest się czegoś pewnym, to nie ma to nic wspólnego z arogancją. A ja jestem pewna.

Yara zdrzemnęła się, leżąc na brzuchu, ja jednak nie mogłem zasnąć. Wciąż przypominałem sobie najlepsze momenty z ubiegłej godziny czy półtorej, aż w końcu, znudzony, podparłem się na łokciu, pocałowałem ją w bark, przesunąłem dłonią po krzywiźnie pleców i musnąłem tatuaż. Poruszyła się przez sen i mruknęła z zadowoleniem. Dotknąłem środkowej z tworzących romb łusek; zaskoczyło mnie, że jest taka twarda i wypukła. Zanim jednak zdążyłem się jej lepiej przyjrzeć, Yara odtrąciła moją dłoń i usiadła.

- Przestań! - zezłościła się.

- Co to jest? Jakiś implant?

- Tak, implant. Zostaw go w spokoju.

- Jak to jest zrobione? Nie wiedziałem, że można coś takiego wszczepić.

Wyciągnąłem rękę, ale Yara znów odbiła ją w bok.

- Nie chcę, żebyś mnie tam dotykał!

Roześmiałem się.

- Nie ma w tym nic zabawnego! - Spuściła nogi na podłogę, jakby zamierzała wstać. -

To nie są żarty!

- Zdarzało mi się, że kobiety tak do mnie mówiły, ale miały wtedy na myśli zupełnie

inną część ciała.

Zgarnęła z podłogi lekki szlafrok i narzuciła go na ramiona. Kiedy spytałem, co chce zrobić, odparła, że idzie zjeść.

- Jedzenie wystygło - zauważyłem.

- Jest smaczne na zimno.

Usiadła przy stole i zaczęła jeść. Nabiła kęs na widelec, przeżuła, połknęła, nabiła drugi... Posilanie się w jej wykonaniu stało się pokazem mechanicznej zaciekłości.

Po chwili ja też wstałem i naciągnąłem bokserki. Yara nawet na mnie nie spojrzała. Mimo wiatru było mi gorąco, myśli też kłębiły mi się w głowie, wciąż te same, zatechłe, powtarzalne. Drażniły mnie te lite, gładkie jak skorupka jaja ściany sypialni.

- Przydałoby się tu jakieś okno - zauważyłem. - Albo dwa.

\* \* \*

Śpię za głęboko i budzę się zbyt gwałtownie, żeby pamiętać, co mi się śniło, ale choć przez następny tydzień jak zwykle nie pamiętałem swoich snów, budziłem się z przeświadczeniem, że były nadzwyczaj niespokojne, i to nie w taki zwykły sposób, jaki mogłby wynikać ze stresu czy zmęczenia. Miałem wrażenie, że coś dobiera się do mojej świadomości, usiłuje się wcisnąć w szczelinę w okrywającej ją skorupie, przebić się do środka. Ponieważ odczucie to nie ustępowało, wspomniałem o nim Yarze. Odparła, że to częsta reakcja.

- Na co? - zdziwiłem się.

- Na pobyt w tym miejscu - odparła i zniknęła w małym pomieszczeniu przed komorą mózgową, w którym każdego ranka spędzała godzinę albo dwie.

Część następnego dnia przeznaczyłem na eksplorację czaszki. Przeciskałem się kanałami, które zwykle prowadziły do innych kanałów, często jednak kończyły się małymi komorami. Wszędzie było tak nieskazitelnie czysto, że zacząłem podejrzewać, że ktoś tam się zakrada i ukradkiem zamiata. W większości pomieszczeń nie zauważyłem niczego niezwykłego (poza samym niecodziennym faktem ich istnienia), lecz komora, w której Yara zniknęła codziennie rano, działała na mnie usypiająco: gdy tylko przekroczyłem jej próg, natychmiast robiłem się senny. Zapytałbym Yare, dlaczego tak się dzieje, gdybym miał powody spodziewać się, że uzyskam jasną odpowiedź. Zadowolilem się jednak ustaleniem, że senność nie jest wytworem mojej wyobraźni, i uznałem ją za anomalię, pomniejszą tajemnicę zaszytą we wnętrzu innej, większej.

Po pierwszym kontakcie z wyznawcami zostało mi w pamięci przekonanie, że są nieśmiali, ponurzy, niedouczeni, czasem zwyczajnie ograniczeni - typowi przedstawiciele

wykluczonych, którzy w swoim nędznym życiu kierują się złudzeniami. Jednakże, mimo że żyli nędźnie, a ja w dalszym ciągu uważałem, że ich społeczność jest oparta na fundamencie iluzji, musiałem przyznać, że pomyliłem w ich wypadku obłąd z zuchwałością, a egocentryzm z ponuractwem. Większość z pięciuset mieszkańców polany należała do klasy średniej - nauczyciele, lekarze, artyści, naukowcy, prawnicy i tym podobni. Oczywiście znaleźliby się wśród nich robotnicy i sklepikarze, a także eks-włóczędzy, nawróceni pijacy i ćpuny po odwyku, ale ich wpływ w pewnym sensie równoważyła obecność takich osobistości jak generał Amadis de Lugo, mieszkający w szałasie blisko czaszki: drobny człowieczek z pooraną wiekiem, lecz wciąż przystojną twarzą, potarganą siwą grzywą i wystrzępioną brodą, najczęściej ubrany w spodnie od munduru polowego i białą koszulkę z krótkim rękawem, który mimo podeszłego wieku (był po siedemdziesiątce) nadal robił imponujące wrażenie, przynajmniej na mnie. Kiedy przybyłem do Temalagui, był nominalnym przełożonym Departamentu 46, niesławnej jednostki bezpieczeństwa wewnętrznego odpowiedzialnej za śmierć kilkorga uniwersyteckich znajomych Nadziei oraz tysiący innych ludzi, których rząd z powodów politycznych uznał za niegodnych zaufania. Byłem wstrząśnięty jego widokiem (rozpoznałem go ze zdjęć w gazetach) i zaskoczony, że był w stanie przetrwać w tej społeczności. Na pewno byli w tym slumsie ludzie, którym szwadrony śmierci de Lugo zabiły przyjaciół lub krewnych, i spodziewałem się, że będą szukać zemsty. Tymczasem jedną z żelaznych zasad obowiązujących członków kultu było puszczenie w niepamięć grzechów popełnionych przed wstąpieniem w jego szeregi - nawet w wypadku takich łotrów jak de Lugo - i na razie nikt się nie przeciwstawił temu przykazaniu.

Czwartego dnia po tym, jak zamieszkałem u Yary, spędziła poranek w swojej prywatnej kościanej izbie, a wczesnym popołudniem wyszła do obozowiska, żeby porozmawiać z wyznawcami. Właściwie były to nie tyle rozmowy, ile raczej udzielanie porad: mówiła głównie Yara, wyznawcy zaś ograniczali się do potakiwania i kiwania głowami. Drepcząc za nią, próbowałem usłyszeć, co dokładnie mówi, i odniosłem wrażenie, że stara się dodać im zapału w dążeniu do jakiegoś niesprecyzowanego celu, podrzucając im takie ogólnikowe bzdety, jakimi zachwycają się miłośnicy Tony'ego Robbinsa czy Doktora Phila. Dużo jej jeszcze do nich brakowało w kwestii wygadania, za to prezencją biła ich na głowę; gdyby przydzielić jej menedżera z prawdziwego zdarzenia, porządnych fryzjerów i specja od makijażu, można by z niej zrobić prawdziwą maszynkę do zarabiania pieniędzy. Do tego miała genialną przeszłość: molestowana seksualnie ulicznica, która tajniki życia zgłębiała u dżunglowych mędrców, żeby z czasem wydzwignąć się z zaszczurzonych lochów społecznych i stać ucieleśnieniem marzeń każdego frajera śniącego o życiowym sukcesie -



zaradną diwą z roleksem na przegubie i w ciuchach od projektanta, której udało się wspiąć na piedestał, skąd sprzedaje teraz światu swoją wersję perfumowanych bzdur. Wyobrażałem sobie siebie w roli jej doradcy i współnika. Rozgrzewałbym tłum, ja, fagas w garniturze od Armaniego; wygłaszałbym wyćwiczoną mowę o ekumenicznej miłości, bezzębnym liberalizmie i kapitalistycznej chciwości, a potem schodził ze sceny, ustępując miejsca Yarze, która dopinałaby transakcję podwójną dawką tego samego lukru, zapodanego tą jej cudnie akcentowaną angielszczyzną, tym bardziej czarującą, że wyszlifowaną specjalnie w tym celu, by uzyskać pożądaną efekt.

Dzień był wilgotny, w powietrzu unosiła się ciężka woń deszczu. Dym z ognisk snuł się przy ziemi, przez co zwykła w tym miejscu mgła gęstniała jak skłębiony smog, w którym ludzie znajdujący się dalej niż na wyciągnięcie ręki upodabniali się do widm; ich niewyraźne sylwetki materializowały się częściowo z półmroku, a potem znów w nim rozplywały. Kiedy zmęczyło mnie przysłuchiwanie się, jak Yara urabia swoich zwolenników, przysiadłem na prowizorycznej ławeczce przy zgaszonym ognisku i zacząłem szkicować w notatniku, opatrując rysunki krótkimi podpisami. Siedziałem tak ze dwadzieścia minut, gdy nagle ktoś w pobliżu chrząknął w sposób typowy dla człowieka, który chce zwrócić na siebie uwagę. Podniosłem wzrok i zobaczyłem generała de Lugo: stał obok mnie oparty na lasce i częściowo zasłaniał mi widok na czaszkę. Na widok tego uosobienia śmierci nakładającego się na majaczącą w tle olbrzymią czaszkę przeszedł mnie dreszcz, ale de Lugo się uśmiechnął (nie był to najprzyjemniejszy widok) i na migi dał mi do zrozumienia, że chce się przysiąść. Zrobiłem mu miejsce, a on - z jękiem i z wyraźnym wysiłkiem - osunął się na ławkę.

Spojrzałem na niego wyczekująco, z ciekawością, co powie. Miał niezwykle jedwabiste włosy, jego ubranie załatywało pleśnią. Dostrzegłem też sińce pod oczami - zapewne skutek niewyspania.

- Proszę kontynuować. - Wskazał mój szkicownik. - Ja sobie popatrzę.

Znów uśmiechnął się promiennie, zachęcająco, ale kiedy wróciłem do rysowania, zacmokał z dezaprobatą i stęknął, jakby coś go zabolowało. Albo jakby nie spodobało mu się moje dzieło. Rysowałem akurat różową pinię rosnącą na skraju polany - krzyk koloru jak krew z odsłoniętej żyły, obnażona plama życia na tle przydymionej zieleni - gdy zniecierpliwiony generał prychnął. Zapytałem, czy popełniam jakiś błąd.

- Rysujesz drzewa, cienie, ludzi... - Wskazał czaszkę, która piętrzyła się w odległości sześćdziesięciu, może siedemdziesięciu stóp od nas. - A smoka nie. Dlaczego? Przecież to jedyna rzecz warta narysowania.

- Mam narysować czaszkę? Proszę bardzo.

Po kilku falstartach z cienkim piórkiem udało mi się w końcu zapoczątkować miniaturkę, na której czaszka wynurzała się z gęstwiny. Tak się skoncentrowałem na szczegółach, że dopiero po zakończeniu szkicu zorientowałem się, że jeszcze troje ludzi dołączyło do nas i usiadło wokół wygasłego ogniska: dwoje młodych, w typie studentów (chłopak miał dłuższe włosy niż dziewczyna), oraz mężczyzna w średnim wieku, ze szpakowatą brodą, w szortach i brudnej, znoszonej koszuli od garnituru z podwiniętymi rękawami.

De Lugo wziął ode mnie szkicownik, dokładnie obejrzał rysunek i podał go dziewczynie, która podsunęła go pozostałej dwójce. Zaszemrali z podziwem.

- Bardzo dobrze. - De Lugo poklepał mnie po ramieniu. Odruchowo się wzdygnąłem.  
- Doskonale go uchwyciłeś.

Udałem, że nie słyszę, jak personifikuje czaszkę, i spytałem, co sprowadziło jego i jego towarzyszy do obozowiska na polanie.

Dziewczyna - wyglądała dość przeciętnie, miała cerę koloru niewypalanej cegły i sprawiała wrażenie, jakby ostatnio bardzo schudła - przedstawiła się jako Adalia i przytłumionym kontraltem spytała, czy ja wiem, co mnie sprowadza.

- Jestem z Yarą - odparłem.

- A ja z Timo. - Oparła się o ramię chłopaka. - Ale nie dlatego tu jestem.

- Powiedz mi, w takim razie, dlaczego?

- Jesteśmy ingrediencjami - wtrącił mężczyzna w średnim wieku, prawnik imieniem Gustavo.

- Czego? - zdziwiłem się.

- Cudu - odparła Adalia.

Kiedy pytającym tonem powtórzyłem jej odpowiedź, dodała:

- Cudu, który zmieni świat.

Wszyscy czworo pokiwali głowami. Timo objął Adalię.

- Dzięki niemu osiągniemy doskonałość - powiedział.

Podchwycili szaloną wizję Yary i dostrzegli w niej klucz do świętej tajemnicy, o której wiedzieli chyba nie więcej ode mnie.

- Naprawdę oczekujecie, że to zrobi? - spytałem, wskazując czaszkę.

- Z pomocą Yary - wyjaśnił Timo. - Tak.

- Znasz jego historię? - zapytała Adalia.

- Te pierdoły, jak to miał zostać sparaliżowany w magicznym pojedynku, ale potem mocą umysłu dorównał bogom? Pewnie. Wszyscy znają te bajki.

- Jesteś niesprawiedliwy - orzekł z powagą Gonsalvo. - Przeleżał tysiące lat na równinie w Teocinte. Jego umysł rozwinął się w chmurę, która ogarnęła cały świat i ma wpływ na wszystkie aspekty naszego życia.

- No, teraz jest trupem i nie ma wpływu nawet na swojego wacka.

- Jakiego Wacka? Kim jest Wacek? - zdziwił się Gonsalvo.

Adalia mu wyjaśniła.

W naszej małej grupce zapadło milczenie, a ja zorientowałem się, że właśnie mijają nas jacyś dwaj mężczyźni; kroki, urywki słów, pokasływanie. Potem Gonsalvo zasunął mi jakiś tendencyjny bełkot o smoku, który przetrwał swoją śmierć, lecz stał się cieniem samego siebie i ocalił tylko ułamek dawnej kolosalnej mocy, wobec czego potrzebuje naszej pomocy, żeby się odrodzić i odzyskać prymat nad światem.

- Jak chcecie to zrobić? - zapytałem. - Reanimujecie go? Usta-usta? Masaż serca? Nie, zaraz, przecież jego serce jest w Mińsku, Szanghaju, Las Vegas, wszędzie... pokrojone na milion kawałeczków!

- Oddamy mu swoją energię - oznajmił dostojnie de Lugo.

Starłem się powstrzymać dalszy wylew sarkazmu, ale bez powodzenia.

- W jaki sposób? W odpowiednim momencie zaczniecie śpiewać? Kierować ku niemu czyste myśli?

De Lugo przygwoździł mnie spojrzeniem, od którego w innym miejscu i czasie zmiękłyby mi kolana. Timo patrzył na mnie spode łba.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - przypomniała mi Adalia. - Co cię tu sprowadza? Tylko szczerze.

- Ciekawość. I przypadek. Jestem liściem, który wiatr przyniósł pod wasze drzwi.

- A Yara? Co ona ma z tym wspólnego?

- Fajnie się rżnie, chociaż jest dla mnie trochę za młoda. - Postukałem się w czoło. - Tutaj za młoda, rozumiesz.

- On nie wie - powiedział de Lugo.

Adalia wtuliła się w Timo.

- Może tym właśnie jest: liściem. Któregoś dnia, już niedługo, wiatr go stąd zabierze.

- Moglibyście przynajmniej zaczekać, aż sobie pójdę, jeśli chcecie mnie obgadywać za moimi plecami - burknąłem zirytowany.

Utkwili we mnie kamienne spojrzenia nawalonych, których nic już nie wzrusza, jakbyśmy byli gośćmi na przyjęciu u Szalonego Kapelusznika, a oni spokojnie czekali, aż zmienię się w wielbłąda.

- Co to ma znaczyć, do kurwy nędzy? Czego nie wiem?

- Dlaczego tu jesteś. - De Lugo grzebał laską w popiele. - Nie obrażaj się, proszę. Każdy się nad tym czasem zastanawia: dlaczego sam się tu znalazł i dlaczego znaleźli się inni.

Nie dałem się ugłaskać i zapytałem, skąd on się tu wziął. Odpowiedział, że ze wszystkich osób zgromadzonych na polanie „ingredencji” jest najprawdopodobniej najważniejszą.

- Jeżeli Griaule ma osiągnąć to, co mu się należy, będzie musiał być okrutny - wyjaśnił. - A Bóg mi świadkiem, że kiedyś potrafiłem być okrutny.

Adalia poklepała go po kolanie, Gustavo pośpieszył z pocieszającymi komunałami; tylko czekałem, aż chórem odśpiewają mu jakiś harcerski klasyk ogniskowy. „Kiedyś” w wypadku de Lugo oznaczało czasy nie dalsze niż przed rokiem, kiedy to w bocznej kaplicy katedry narodowej znaleziono zwłoki siedmiu księży, którym ktoś wyciął mózgi. Po tym incydencie generał musiał się podać do dymisji. Nie wierząc w jego skruchę, wolałem wycofać się z dalszej dyskusji i słuchając jej jednym uchem, zacząłem szkicować ich twarze, pozy, wszystko, co wpadło mi w oko. Dopiero kiedy sobie poszli (de Lugo był ostatni, na pożegnanie poklepał mnie po ramieniu jak dobry wujaszek)... Dopiero wtedy pomyślałem o pytaniach, które zadawali. Co mnie sprowadza na polanę? Czy i ja jestem niezbędnym elementem w procesie odrodzenia smoka? Czy do tutejszego slumsu nie ściągnęła mnie wcale kobieta imieniem Yara, tylko pomocnica smoka? I co właściwie mieli na myśli, mówiąc o „ingredencjach”? To słowo miało złowieszczy wydźwięk, sugerowało poświęcenie swojego „ja” w imię jakiejś posepnej idei.

W szarówce liście drzew zlewały się z gałęziami, za to czaszka jakby zyskiwała na wyrazistości i żywotności, odcinała się od mętnego tła, szaro-granitowa w tutejszym półświetle, niczym jedyny prawdziwy obiekt w tej scenie. Wyobraziłem sobie, jak na kościach materializują się mięśnie pyska i szczęki, jak odtwarza się gęsty bruk złoto-zielonych łusek, i dałbym sobie uciąć głowę, że dostrzegłem poruszenie w wypełniających oczodoły oleistych cieniach, drgnienie błony mrużnej, odbłysek światła, dowód tłącego się w środku życia, które po stuleciach uśpienia wciąż zachowało dawną moc. Poczułem na skórze uderzenie widmowego serca, jak vibracje gongu. To pewnie przez to, że jestem wrażliwy na sugestie, pomyślałem, lecz zarazem nie mogłem się wyzbyć podejrzeń, że czaszka stanowi zagrożenie i zwiastun bliskiej już katastrofy; że spod iluzji zagrzybionych kości eksploduje inne, bardziej przerażające oblicze; że smok zrzuci roślinny całun i rzuci się na miasto, biorąc Temalagę za Teocinte, które przez tysiące lat było miejscem jego zniewolenia... Może

zresztą dowolne miasto nadawałoby się na obiekt jego zemsty. Był to nonsens, jedna wielka bzdura, ale taka myśl nie dawała mi spokoju i tak długo wpatrywałem się w czaszkę, że utwierdziłem się w przekonaniu, iż tylko moja czujność zapobiega transformacji. Bałem się, że kiedy zdekoncentruję się ze zmęczenia, przemiana niepostrzeżenie się rozpocznie. Fluktuacje na poziomie subatomowym. Dyskretne zmiany, które zauważymy poniewczasie, gdy ich wstrząsające zakończenie będzie już o krok.

\* \* \*

Tamtego dnia pogodziłem się poniekąd z myślą, że jakaś część smoczjej *anima* przetrwała w czaszce, a mój sceptycyzm wypływa z uczuć, jakie żywię wobec Yary - uczuć, które przez kolejne tygodnie przybrały na sile. Zdawałem sobie sprawę, że się w niej zakochuję, a przecież w tym wypadku wolałbym uniknąć zaangażowania. Nie była dziewczyną, której chętnie oddałbym serce - chyba że byłem gotowy odebrać je później pokrojone na plasterki i wmielone w paszteciki z oficjalną pieczęcią Inspekcji Sanitarnej. Pod wieloma względami stanowiła kobiecą wersję mnie samego, tyle tylko, że ona była okrutnie skuteczna, ja zaś okrutnie beztroski; była bardziej wyrachowana i mniej cyniczna, ale tak samo jak ja manipulowała ludźmi. Nie zaufałbym komuś takiemu. Próbowałem porównać miłość do Yary z fascynacją czaszką, traktując jedno i drugie jak przejawy jakiejś przypadłości psychicznej, słabości wywołanej przebywaniem w toksycznym duchowo środowisku. Yara wciąż była kobietą-dzieckiem, którą poznałem w Barrio Villareal i choć dziś wiedziałem o niej więcej niż wtedy, w żaden sposób nie zmieniało to tej podstawowej prawdy. Mimo to nauczyłem się minimalizować jej wady i uwypuklać silne strony. Powtarzałem sobie, że ta idealizacja to najzwyczajniejsza deformacja wynikająca z zakochania, produkt uboczny miłosnego szaleństwa, ale nie potrafiłem równie łatwo nazwać - i zbyć - swoich emocjonalnych i fizycznych reakcji na jej osobę. Poza tym, nawet jeśli miałem jakieś wątpliwości co do jej uczciwości i zdrowia psychicznego, nie zamierzałem ich dokarmiać.

Zdarzało mi się wieczorami przez godzinę albo dwie przesiadywać w oczodole czaszki (tym niezarośniętym przez pnącza). Udałem brakującą źrenicę smoczego oka, jeśli można tak powiedzieć, i wodziłem wzrokiem po jego królestwie. W ciemnościach polana stawała się płachtą czerni, którą wyróżniały tylko rozrzucone po niej czerwone, słabo jarzące się plamki ognisk, niby węgle dogasające po wielkim pożarze, którego dym wciąż przesycił powietrze. W ich nędznym blasku widziałem czasem ledwo widoczne niekształtne szalasy i namioty, oraz ludzkie sylwetki, poruszające się niemrawo, jakby miały kłopot z przestawianiem grzęznących w miałkim popiele stóp. Mimo tych iście piekielnych wizji zachowywałem pogodę ducha, rozpamiętując widok Yary, strzępy wspomnień, spojrzenia,

dotyk, figlarny uśmiech. W pewną wilgotną noc przysłała do mnie na górę i razem pełniliśmy straż.

- Kiedy pierwszy raz tu przysłała, to miejsce wyglądało zupełnie inaczej - powiedziała w pewnym momencie.

- Tak?

- Mieszkało tu osiem, może dziewięć osób, w większości obłąkanych. Bezdomni mężczyźni, dwie stare kobiety... Sama polana była malutka, nie zajmowała nawet ćwiertni tej powierzchni, co teraz.

Zawiesiła głos, a ja nie próbowałem zagadać tej ciszy. Pierwszy raz usłyszałem nostalgię w jej głosie i nie chciałem psuć takiej chwili. Liczyłem na objawienie.

Ptaki szeleściły w gałęziach drzew, układając się do snu.

- To dziwne - odezwała się w końcu. - Nie spodziewałam się, że tak to się ułoży. Kiedy tu trafiłam, byłam nieszczęśliwa. I wściekła. Chciałam umrzeć... i swoją śmiercią skrzywdzić innych. Tamten gniew wciąż we mnie tkwi, ale dziś wydaje mi się bez znaczenia. Kiedy tym razem umilkła, pomyślałem, że przyda jej się delikatna zachęta.

- Twoi wyznawcy mówią, że...

- Nie są moimi wyznawcami! - zachnęła się.

- Ci ludzie, którzy mieszkają na dole, powiedzieli mi, że mają pomóc smokowi się odrodzić.

- A ty ich wyśmiałeś?

Na dole dwie osoby tańczyły przy ognisku, dwie sylwetki w blasku płomieni, nie słyszałem jednak żadnej muzyki. Czując na sobie spojrzenie Yary, odparłem ostrożnie:

- Nie jestem już tak skory do śmiechu jak dawniej.

- Snują dziesiątki teorii. Nie zgadzam się z żadną z nich.

- Jaka jest zatem twoja teoria?

- Ja nie mam teorii.

- Przecież im doradzasz. Jesteś ich przewodniczką. Mentorką.

Jej westchnienie obudziło chór cykad.

- Codziennie rano chodzę do tej małej komory... Wiesz, o której mówię.

- Mhm.

- Zapadam tam w drzemkę. Budzę się, schodzę na polanę i kiedy kogoś zobaczę... Nie byle kogo, ale konkretną osobę. Kiedy ją zobaczę, to wiem, że powinnam przemówić. Zdaję sobie sprawę, że mam coś do powiedzenia, ale nie mam zielonego pojęcia, co to będzie. Słowa przychodzą do mnie na bieżąco, kiedy już mówię. Zwykle przekaz jest pozytywny,

sam słyszałeś. Ale bywa i tak, że wyznaczam im jakąś pańszczyznę do odrobienia.

Zebrała włosy w koński ogon i na sekundę znieruchomiała w tej pozie, jakby zastanawiała się, co jeszcze powiedzieć.

- To wszystko? - spytałem. - Wszystko, co masz?

- Wiem, że w grę wchodzi jakieś odnowienie. Przemiana alchemiczna. Zespolenie dusz. I wiem, że stoi za tym Griaule. Jestem tu od tak dawna, że potrafię wyczuć jego obecność. Tak jak czasem czujesz, że ktoś stoi za twoimi plecami i cię obserwuje.

Spodziewałem się poplątanej gadki tłumaczącej dobrą nowinę z niebios. Ta skąpa deklaracja niespecjalnie pasowała do moich oczekiwań.

- Każe mi robić rzeczy, których nie rozumiem - mówiła dalej Yara. - Na przykład, pieniądze. Mamy ich całe tony, więcej, niż moglibyśmy kiedykolwiek wydać, a ja cały czas zbieram więcej i więcej. Wysyła mnie do różnych ludzi w mieście i każe im płacić. To frustrujące, kiedy nie wszystko rozumiesz.

- Co to za ludzie, którym płacisz?

- Najczęściej młodzi mężczyźni. Niektórzy są z wojska. Tak przypuszczam. Mówię im różne rzeczy, ale nigdy nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Mam takie dziury w pamięci.

Powstrzymałem się przed zapytaniem, ile pieniędzy już zebrała.

- Musi wiązać z tobą wielkie nadzieje - zauważyłem zamiast tego.

- Ze mną? Być może.

Położyła się na wznak i pociągnęła mnie za rękę. Opadłem na zimną powierzchnię kości obok niej.

- Dlaczego tak długo zwlekałaś z powiedzeniem mi tego?

- Nie chcę więcej rozmawiać - odparła, bawiąc się guzikiem mojego rozporoka.

Odsunąłem jej dłoń.

- To też sprawka smoka? Kazał ci powiedzieć właśnie teraz, nie wcześniej?

- Nie. Nie chcesz się pieprzyć?

- Jeszcze jedno pytanie. Przypuśćmy, że masz rację z tym smokiem. Dlaczego mu ufasz? To potwór, gigantyczny jaszczur, który ma wszelkie powody ku temu, żeby nas nienawidzić. Jak możesz myśleć, że zmiana, której ma być sprawcą, będzie zmianą na lepsze?

Nim skończyłem zadawać to pytanie, wiedziałem, że odpowie mi tak samo jak Nadzieja, kiedy parę miesięcy wcześniej spieraliśmy się o wartość rewolucji:

- Jak długo tu jesteś? Cztery lata? Pięć? To powinno wystarczyć, żebyś się zorientował, że w Temalagui każda zmiana jest pożądana. Każda szansa, że będzie lepiej, choćby tylko odrobinę, jest mile widziana. Nie da się do tego przyłożyć waszej amerykańskiej

logiki. Zostaliście tak zamuleni przez media, kłamstwa, jedwabną pościel i tuczące żarcie, że już nawet nie widzicie, w jakiej czarnej dupie jesteście. A nasz rząd niczego nie próbuje przed nami ukrywać. Bestialstwo, nędza, niesprawiedliwość... To nasz chleb powszedni. Jesteśmy zdesperowani, kurwa, rozumiesz?! Zdesperowani jak chuj! Jeżeli nawet zmiana będzie na gorsze... to co z tego?

Odpowiedź Yary była bardziej lakoniczna, lecz nie mniej celna. Powiedziała, co miała do powiedzenia, i przywarła do mnie całym ciałem.

- No chodź! Dość tego gadania!

Pocałowała mnie w szyję, usta, powieki i choć miałem więcej pytań, dałem się nawrócić. Ze śledczego stałem się kochankiem.

Tej nocy zbliżyliśmy się do siebie jak nigdy przedtem. Przytknąłem usta do jej ucha i powiedziałem, że ją kocham - ale zamiast to wyszeptać, tylko bezgłośnie uformowałem słowa wargami. Trochę obawiałem się wagi tych słów, gdybym wypowiedział je na głos, przypuszczam jednak, że miałem też inną, bardziej złowieszczą motywację. Taka niema, niepewna deklaracja miała, być może, posłużyć przekonaniu mnie samego, że nie padłem ofiarą seksualnego zauroczenia, tylko jestem prawdziwym chłopakiem zdolnym do prawdziwej miłości; udawałem więc, że obawiam się niewłaściwej reakcji Yary na moje wyznanie, że mogłaby mnie wyrzucić albo coś... Prawda zaś była taka, że nie miałem zielonego pojęcia, co naprawdę sądzi o mnie, o miłości i tak dalej. A może przeciwnie, może prowokowałem ją, żeby mnie usłyszała: wyznanie to ukształtowałem bowiem na granicy słyszalności, ocierając się o nią, tak że mogła usłyszeć ruch moich ust, domyślić się, że coś powiedziałem, i dojść do wniosku, że najprawdopodobniej było to „kocham cię” - w ten sposób ewentualne przeniesienie naszego związku na wyższy poziom uzależniałem od jej stanu emocjonalnego i sprawności jej zmysłu słuchu. Ktoś kiedyś napisał, że miłość to napój, który nie gasi pragnienia, co miało oznaczać, że pragnienie miłości jest niewyczerpane, albo że miłość jest nałogiem, którego zaspokojenie wymaga coraz większych i większych nakładów - a przy tym niczym narkotyk coraz słabiej oddziałuje na organizm, aż w końcu popyt przewyższy podaż. Jednakże, mimo że te interpretacje są spójne i bez wątplenia prawdziwe, w naszym przypadku miłość stała się perwersyjną rywalizacją psychologiczną, walką o władzę, w której wykorzystywaliśmy nasze poglądy i zasady (jakikolwiek by one były) do zniszczenia tego, czego oboje pragniemy, zanim zdąży nas to rozczarować. Wiedzieliśmy, że gra jest ustawiona.



### III

Opowieść Snowa ciągnie się przez dalsze sto pięćdziesiąt sześć stron. Wiele z nich koncentruje się na nużącej rutynie życia w slumsie, drugie tyle jest poświęcone rozważaniom o naturze miłości (również nużących i przesadnie analitycznych, co zwiastuje już powyższy akapit), resztę zaś wypełniają szczegółowy opis i wyjaśnienie („usprawiedliwienie” byłoby chyba precyzyjniejszym terminem, czytelnik ma bowiem wrażenie, że Snow zmaga się z ciężkim brzemieniem winy) okoliczności, w których - cztery miesiące po rozpoczęciu związku z Yarą - wymknął się ukradkiem z obozowiska, zamierzając nigdy do niego nie wrócić. Jako główną przyczynę swojego odejścia wskazuje gęstniejącą złowieszczą atmosferę slumsów, a następnie opisuje wydarzenie, które przyśpieszyło jego decyzję.

\* \* \*

Pewnego ranka, pisze Snow, Yara weszła do paszczy, stanęła na samym jej czubku i stała tak - całkowicie nieruchoma, nic nie mówiąc - przez dobre kilka godzin. Po piętnastu minutach na dole zgromadzili się skonsternowani wyznawcy. Z początku pokrzykiwali do niej, szemrali między sobą, ale wkrótce umilkli i znieruchomieli tak jak ich królowa... Tak jak ich bóg. Stali tak w luźnej grupie przez blisko cztery godziny, jakby przymuszeni przez jakieś niesłyszalne głosy. Zrobiło się cieplej (na mój gust wyraźnie cieplej), tak jakby to ich modlitewne skupienie, ten akt patologicznej koncentracji w jakiś sposób przyśpieszało ruchy tworzących ich atomów, które generowały ciepło... Sądzę jednak, że to tylko mój lęk sprawił, że przesadnie odczuwałem drobną w istocie zmianę temperatury. Przez cały ten czas balansowałem na skraju paniki. Mroczna polana, ponury slums, wyznawcy przywodzący na myśl zombie oddających cześć swojej królowej... Upiorne widowisko wywoływało we mnie skojarzenia z Jonestown. Fakt, że mnie, jako nienależącemu do społeczności, przypadła w udziale rola widza, turysty niegodnego współudziału w tym doświadczeniu, dodatkowo potęgował we mnie wrażenie wyobcowania. Powtarzałem sobie, że to nie miejsce dla mnie. Nie byłem częścią tego oblędu, lecz liściem, który wiatr przez przypadek zaniósł pod ich drzwi - w przeciwnym razie byłbym tak samo bezrozumny i niemy jak oni, istoty z dżungli (które również umilkły) słuchające poleceń kobiety przekazującej im życzenia i kaprysy gigantycznej gadziej czaszki.

Kiedy Yara odwróciła się tyłem do zgromadzonych, dżungla eksplodowała zgiełkiem,

rechotem i wrzaskiem. Wyznawcy rozeszli się, szurając nogami, i wrócili do swoich codziennych zajęć. Yara utrzymywała, że niczego nie pamięta, ale moja opowieść nie wzbudziła w niej najmniejszych oznak niepokoju, co chyba ostatecznie przekonało mnie, że od katastrofy, której się obawiam, dzieli nas najwyżej dni, jeśli nie godziny. Błagałem, żeby oddaliła się od czaszki, kiedy jednak przyznałem, że scena na polanie przypominała mi Jonestown, wpadła w szal i oskarżyła mnie o podważanie jej wysiłków i odrywanie jej od pracy.

Tamtej nocy leżałem w łóżku i rozmyślałem, co powinienem zrobić. Wpatrywałem się bezmyślnie w odsłonięte plecy Yary, a punkciki aktywności zapalały się i gasły przed moimi oczami jak miniaturowe żaróweczki. Wtedy właśnie zwróciłem uwagę, że skóra na obrzeżach implantu jest zaogniona. Intensywna czerwień barwiła nawet sąsiadujący z nią implant, który wydał mi się mniej regularny w kształcie, za to bardziej wypukły niż przedtem. Tak jakby ciało próbowało go odrzucić. Delikatnie nacisnąłem palcem skórę przy jego krawędzi, a wtedy Yara zaczęła poruszać biodrami na wszystkie strony; wykonywała powolne, okrężne ruchy, jakby uprawiała seks z niewidzialnym kochankiem. Zaskoczony jej reakcją cofnąłem rękę. Yara znieruchomiała. Zdarzało się już ostatnio, że prosiła mnie, żebym dotykał implantu, kiedy się kochaliśmy, byłem jednak zbyt skoncentrowany na własnej rozkoszy, żeby zwrócić uwagę, czy czuje coś więcej niż zwykle. Wydało mi się, że faktycznie reagowała na ten dotyk, ale archiwa pamięci bywają takie zawodne...

- Yaro! - zawołałem.

Powtórzyłem jej imię jeszcze kilkakrotnie, ale zgasła jak zdmuchnięta świeca.

Nacisnąłem implant nasadą dłoni. Yara zaczęła się miotać, jakby znalazła się o krok od orgazmu. Znów spróbowałem ją obudzić, krzyczałem na nią, nawet nią potrząsałem, lecz bez powodzenia. Przerażony tą śpiączką i erotyczną reakcją nie mogłem zebrać myśli, ale jakaś częśćka mojego mózgu musiała chyba funkcjonować, pęk neuronów pobudzonych zgrozą musiał zaiskrzyć i przekazać ostrzeżenie, bo kiedy niebo zaczęło szarzeć, doszedłem do wniosku, że muszę się ratować.

\* \* \*

Prorokowana przez Snowa katastrofa nie nastąpiła, przynajmniej nie w oczekiwanej przez niego perspektywie, toteż po miesiącu zaczął odczuwać pokusę powrotu na polanę w dżungli. Wstyd i strach zdławiły w nim ten impuls. Próbował znów wprowadzić się do Nadziei, szybko jednak okazało się, że ich znajomość się popsowała, podobnie jak jego związek z Temalaguą, wrócił więc do Concrete w stanie Idaho, gdzie zamieszkał za darmo w mieszkaniu będącym własnością ojca i znalazł pracę w miejscowej księgarni. Zamierzał

odzyskać siły, zarobić trochę pieniędzy i znów wyjechać, tym razem może do Tajlandii. Dał się jednak uwieść leniwemu, ospałemu rytmowi życia w Concrete i spędził tam następne dziesięć lat, wiedząc byle jaki żywot zdominowany przez romanse z kobietami, z którymi nie mógł być, bo albo miały mężów, albo interesowały się nim wyłącznie dla rozrywki. Jedynym wartym wzmianki osiągnięciem z tego okresu była publikacja subiektywnego pamiętnika, który po dziś dzień pozostaje nieukończony. (Powodem nie jest zresztą niedostatek wysiłków ze strony Snowa ani jego młodzieńcze rozleniwienie, lecz fakt, że było to dzieło niedojrzałe, do którego szybko stracił zapał). Zauroczenie Yarą przerodziło się u niego w prawdziwą obsesję i chociaż, kiedy go o to pytano, potrafił opisać ich miłość w słowach zgodnych ze swoimi wcześniejszymi stwierdzeniami na jej temat, to jednak z czasem Yara nabrała w jego pamięci cech romantycznego ideału. Przekopał Internet w poszukiwaniu informacji na jej temat, a kiedy nic nie znalazł, zaczął nurzać się we wspomnieniach i gryzmolić w notatnikach, usiłując nadać spójną formę relacji z czterech miesięcy spędzonych w dżungli. Kiedy byli razem, rysował akty Yary, na których albo odwracała głowę, albo włosy skrywały jej twarz. Nie pamiętał, dlaczego zawsze pozowała mu w ten sposób, czy to był jej pomysł, czy jego, ale te szkice teraz idealnie odzwierciedlały cechujące ich związek niedostateczne zaangażowanie. Spróbował narysować jej twarz z pamięci. Podobizny wychodziły mu całkiem wierne, tyle że pozbawione życia i charakteru, niczym ulepszone wersje policyjnych portretów pamięciowych. Postrzegał je jako symbol tego, co stracili - szansy na emocjonalną doskonałość, na wzniesienie się ponad przeciętność. Połączenie upływającego czasu i omylnej pamięci dało mu pewność tego, co wcześniej mógł sobie tylko wyobrażać: kochał Yarę, a ona kochała jego, lecz nie wykonali ostatniego, decydującego kroku, który ostatecznie potwierdziłby ich uczucia.

Włączając się pewnego wieczoru po Internecie, natapoczył się na artykuł sprzed dwóch lat, opisujący różne niewyjaśnione i tajemnicze zjawiska w Ameryce Środkowej. Parę zdań poświęcono w nim także temalaguańskiemu kultowi religijnemu, którego członkowie w liczbie około ośmiuset przepadli ostatnio bez śladu wraz z obiektem swojego uwielbienia - gigantyczną czaszką przedstawiciela rodzaju *Megalania* (to ostatnie twierdzenie nie znalazło naukowego potwierdzenia). Przywódczynią kultu miała być, jak napisano w artykule, „młoda, charyzmatyczna kobieta”. I tyle. Snow z niejakim niepokojem stwierdził, że temalaguańska prasa z tamtego okresu nawet słowem nie zająknęła się o zniknięciu kultystów. Nie znalazł też żadnych innych relacji. Opierając się na tym jedynym - jakże mało wiarygodnym - skrawku informacji, rzucił pracę, kupił bilet lotniczy i tydzień później wylądował w Temalagui.

Miasto było nędzniejsze i bardziej zanieczyszczone, niż je zapamiętał - chociaż dopuszczał i tę możliwość, że dziesięć lat temu był po prostu zbyt skoncentrowany na sobie, żeby dostrzegać fakty. Całkiem możliwe, że zawsze wyglądało jak zadymiony, slumsowaty kawałek Mordoru, takie Detroit pozbawione przemysłu, za to bardziej kolorowe, położone wśród wzgórz i rojące się od biedoty, biedoty anonimowej jak karaluchy, często noszącej dom na własnym grzbiecie. Żebracy zaszarżowali na niego w sile plutonu, obnosząc się ze swym kalectwem i otwartymi ranami. Dziecięce prostytutki, niektóre najwyżej ośmio-, dziewięcioletnie, pokrzykiwały na niego z zaułków i drzwi domów, piskliwymi głosikami z placu zabaw, obiecując spełnienie najbardziej perwersyjnych zachcianek. Wdowy w czarnych sukniach i szalach siedziały ze spuszczoneymi głowami na krawężnikach przy Avenida Seis, dosłownie o parę cali od rzeki pojazdów, jakby, porzuciwszy wszelką nadzieję, czekały już tylko na samochód, który wpadnie w poślizg i skróci ich męki. Wielu dawnych znajomych pomarło albo w inny sposób wypadło z obiegu. Nadzieja straciła rewolucyjny zapał i wyszła za właściciela domu towarowego, który nazywał ją „swoją małą komunistką” i uwielbiał szczypać w całkiem już pokaźny tyłek; była w ciąży z ich czwartym dzieckiem i nie miała ochoty rozmawiać ze Snowem. W biurze Aurora House rozgościła się agencja turystyczna, Pepe Salido został zamordowany w porachunkach hazardowych, a inni koledzy Snowa z pracy porozjeżdżali się nie wiadomo gdzie. „Club Sexy” prawie się nie zmienił. Zamontowali nowe reflektorki nad barem i wstawili aparaturę do karaoke. O dziwo, ten sam staruszek nadal wygrywał swoje mizerne beatlesowskie kawałki w tej samej tandetnej scenerii - srebrny brokat, światło księżycy i palmy. Kobiety w drogich sukniach tłoczyły się przy stolikach. Snow nie znał żadnej z nich, chociaż doskonale znał typ, który reprezentowały. Fantastyczny Guillermo nadal przyrządzał drinki. Poza zarysem drugiego podbródka i wątpliwej urody kocią bródką specjalnie się nie zmienił. Na widok Snowa wybiegł zza baru i go objął.

- Świetnie wyglądasz! - orzekł, odsuwając się od niego. - Fantastycznie! Jak ty to robisz?

- Ty też chyba nie możesz narzekać, co?

- Ja? Ja to jestem chodząca katastrofa! Ale to już nie ma znaczenia. Mam męża, muszę o siebie dbać.

Zaprowadził Snowa do stolika w kącie i kazał drugiemu barmanowi - Canelo był młodym czarnym chłopakiem o piegowatej cerze i krótkich rudych włosach; nosił diamentowe wkrętki w policzkach - przynieść butelkę tequili. Snow uświadomił sobie, że zapomniał gejowskiej gwary, i spróbował dyskretnie (jak mu się wydawało) zmienić sposób mówienia, żeby odzyskać stary kamuflaż.

Guillermo położył dłoń na jego dłoni i powiedział:

- Proszę cię, naprawdę nie musisz...

Zaskoczony Snow zapytał, o co chodzi.

- O twoją grę. - Guillermo nalał mu tequili. - Wiesz, nikogo nią nie zwiodłeś. Za to niektórzy się wściekli; myśleliśmy, że się z nas nabijasz. Dopiero kiedy sobie uświadomiliśmy, że wykorzystujesz nas, żeby zbliżyć się do kobiet, mieliśmy niezły ubaw. A że byłeś sympatyczny, poszliśmy ci na rękę.

- Wcale nie byłem sympatyczny. Byłem skończonym dupkiem.

- No to przynajmniej sympatycznie ci patrzyło z oczu. I potrafiłeś być miły. To się wtedy najbardziej liczyło.

Napili się, chwilę powspominali, aż w końcu Snow zapytał o Yare.

Guillermo zniżył głos.

- Słyszałeś, co się z nią stało? - spytał.

- Tylko trochę. Przeczytałem tydzień temu i chciałem się dowiedzieć coś więcej. Po to przyleciałem.

- Uważaj, z kim o tym rozmawiasz. Bądź ostrożny.

- Czemu?

- PZP. - Guillermo napełnił im obu kieliszki. - Partia Zorganizowanej Przemocy. - Wypił duszkiem. - Pojawili się jakieś piętnaście lat temu, ale było o nich raczej cicho i nikt nie traktował ich poważnie, dopóki w zeszłym roku po wyborach nie weszli do Kongresu. To bandyci. Okrutni prawicowi bandyci. Przeróżający. Jeżeli w następnych wyborach zdobędą większość, a wszyscy mówią, że tak się stanie... - Udał, że się wzdryga. - Oni nie lubią gejów. Joselito, mój mąż, uważa, że powinniśmy się wyprowadzić do Kostaryki.

- Jaki to ma związek z Yarą?

- Po jej zniknięciu pewien dziennikarz wybrał się do Chajul. Na pewno kojarzysz, to ta wioska niedaleko czaszki. Wrócił, ale zaraz potem milicja PZP otoczyła tę okolicę kordonem.

- Mają swoich żołnierzy?!

- Nikt im nie podskoczy. Na dobrą sprawę już dziś rządzą. Ale o czym to ja... - Guillermo wychylił następny kieliszek, który chyba nie sprawił mu przyjemności. - Mój kumpel znał tego dziennikarza. Facet opowiadał, że większość mieszkańców już wtedy uciekła, ale udało mu się porozmawiać z kobietą, która twierdziła, że z dżungli buchnęło gorąco, taki żar, że trzeba było zasłaniać twarz, tak mówiła. Potem nad drzewami rozbrzysły falujące światła, wielokolorowe. Pomyślała, że to jakieś wydarzenie religijne, że pewnie Jezus

zstępuje na ziemię po tęczowym dywanie, schowała się więc w domu i zaczęła się modlić do Najświętszej Pani. Słyszała, że po ulicach chodzą jacyś ludzie; zarzekała się, że przyszli z dżungli, ale ich nie widziała. Bała się i wołała się schować. Tyle powiedziała dziennikarzowi, zanim ci z PZP ją zabrali. Dziennikarz zdążył uciec przez okno z tyłu domu.

Wiekowy klawiszowiec zapowiedział krótką przerwę i zamiast dźwięków Casio zabrzmiał latynoski pop.

- Mogę z nim porozmawiać? - zapytał Snow. - Z tym dziennikarzem.

- Zniknął - odparł z emfazą Guillermo.

Snow nakrył kieliszek dłonią, odmawiając kolejnej dolewki.

- Nie rozumiem - przyznał. - Dlaczego PZP zainteresowała się takim popieprzonym kultem?

- Musiałbyś ich o to zapytać... Ale nie radzę. Lepiej nie przyciągać ich uwagi.

Guillermo został wezwany do baru, a Snow, rozglądając się po sali, zauważył siedzącą przy innym stoliku brunetkę. Mogła mieć około trzydziestu lat i taksowała go wzrokiem. Była ubrana w perkalową sukienkę z pomarańczowo-żółtym wzorkiem i obcisłym stanikiem, który podkreślał jej piersi. Uśmiechnęła się półgębkiem i powiedziała coś do towarzyszącej jej pulchnej blondynki. Blondynka zerknęła przelotnie na Snowa. Obie się roześmiały. Snow miał ochotę wykonać jakiś ruch, poddać się nostalgii i wrócić do swojego dawnego życia.

Guillermo wrócił do stolika i skinieniem głowy wskazał brunetkę.

- Trzymaj się od niej z daleka - poradził. - To kochanka Juana Mazariegosa.

- A to jakiś zły człowiek?

- Najgorszy. Gruba ryba w PZP. Tutaj co druga kobieta jest od nich.

Snow zapytał, czy mógłby bezpiecznie odwiedzić obozowisko.

- Tak przypuszczam. Ale to nie ma sensu, wiesz przecież, jak szybko dżungla odzyskuje teren. Wszystko tam dokumentnie zarosło, w Chajul nikt dziś nie mieszka, a Yara... - Guillermo wykonał gest. - Yary już nie ma.

Snow nie chciał w to uwierzyć. Nic nie powiedział, a kiedy Guillermo wziął do ręki butelkę i spojrzał na niego pytająco, pokręcił głową.

- No, stary, napij się ze mną. Kto wie, kiedy znów przyjedziesz?

- Trochę tu teraz posiedzę. I tak nie mam dokąd iść.

- W takim razie wypijmy za to, żebyś został. Sprzedam ci wszystkie ploteczki, nadrobisz zaległości z dziesięciu lat.

Snow niechętnie (nie przepadał już za tequilą tak jak kiedyś) zgodził się, żeby Guillermo nalał mu podwójną porcję.

Guillermo wznosił toast:

- Za stare czasy!

Snow zawahał się, nim stuknęli się kieliszkami.

- Za *la Endriagę*.

\* \* \*

Guillermo miał rację. Miejsce po slumsie wchłonęła świeża roślinność i Snow wykopał tylko parę kawałków zardzewiałej blachy. Mimo opowieści o zarze buchającym z wnętrza dżungli nie znalazł osmalonych drzew ani w ogóle żadnej spalenizny. Nic. Pokręcił się godzinę po polanie, ale nie dogrzebał się nawet popiołów. Co to by musiał być za ogień, żeby strawić czaszkę, a na blasze nie zostawić żadnych znaków? Brak zarówno czaszki, jak i śladów wskazujących na przyczyny jej unicestwienia, przyprawiał go o szybsze bicie serca. Szybko wrócił do hotelu.

Przez ostatnie dziesięć lat oszczędzał i teraz w Temalagui mógłby przeżyć szmat czasu bez pracy, uznał jednak, że rozsądniej będzie znaleźć sobie jakieś zajęcie, i załatwił sobie posadę nauczyciela angielskiego w prywatnej szkole na przedmieściach. Codziennie rano dojeżdżał tam autobusem z centrum, gdzie wynajął mieszkanie, i przez większą część dnia przygotowywał zamożne, rozpuszczone nastolatki (przywożone do szkoły hummerami i limuzynami w obstawie uzbrojonych ochroniarzy) do konfrontacji z ich równie rozpuszczonymi odpowiednikami w Stanach. Przeważały wśród nich małe, aroganckie potwory, ponure i niegrzeczne nawet wobec siebie nawzajem. Traktowały Snowa z ugrzecznoną pogardą, którą można było wziąć za uprzejmość, dopóki człowiek nie próbował jej zbyt usilnie analizować. Lubił sobie wyobrażać, jak wchodzi do klasy z przyczepionym do piersi ładunkiem wybuchowym.

Regularnie spotykał się z ich rodzicami i informował ich o braku postępów i problemach z zachowaniem pociech. Właśnie podczas jednego z takich spotkań poznał Luisę Bazan, krągłą trzydziestopięcioletnią brunetkę, matkę Onofria, jaszczurowatego dzieciaka z zamiłowaniem do zaglądania aparatem fotograficznym koleżankom pod spódnice, za co zagrożono mu wydaleniem ze szkoły (spełnienie tej groźby wydawało się jednak mało prawdopodobne, ponieważ ojcem chłopaka był Enrique Bazan, w którym widziano przyszłego ministra obrony po wygranych przez PZP wyborach).

Snow, który zbliżał się do trzydziestych dziewiątych urodzin, nie stracił młodości urody, nie zdziwił się więc zbytnio, kiedy Luisa zaczęła nalegać na coraz częstsze spotkania nauczycielsko-rodzicielskie, podczas których częściej rozmawiali o jej życiu osobistym niż o kłopotach edukacyjnych Onofria. Skarżyła się na męża, który był dla niej nonszalancki,

znęcał się nad nią psychicznie, nie przejmował się jej problemami i po chamsku traktował jej rodzinę; czyniła również aluzje do innych, bardziej odrażających jego przewin. Snow słuchał, współczuł, odczytywał zakamuflowane zaproszenie i odczuwał pokusę, żeby z niego skorzystać. Dopóki zamiast spełnienia prawdziwie kobiecych potrzeb musiała się zadowalać słodyczami i odbywanymi co dwa tygodnie wypadami na zakupy do Miami (które, jak twierdziła, zaspokajały wszystkie jej zachcianki), groziła jej przedwczesna otyłość - na razie jednak pozostawała kobietą wyjątkowo atrakcyjną, a jej niemal namacalna desperacja, by wykorzystać uroki swego ciała, zanim wiek i inne słabości całkiem je unicestwią, działała na Snowa jak egzotyczne perfumy. Był jednak twardy i gdy któregoś dnia rzuciła się na niego, nie odrzucił jej awansów (mógłby ją w ten sposób zniechęcić do siebie i pchnąć wprost w ramiona Enrique, któremu nagadałaby, że dopuścił się niestosownych czynów), lecz wyjaśnił, że oplakuje utraconą miłość (co tylko po części było kłamstwem), a ona, Luisa, jest pierwszą od lat kobietą, która zdołała przebić ten całun smutku i dosięgnąć jego serca. Potrzebował trochę czasu, żeby dojść do ładu ze swoją żalobą i oswoić się z tą nieoczekiwaną zmianą; nie chciał wnosić do ich znajomości niepotrzebnego brzemienia przeszłości, bo Luisa z pewnością zasługuje na coś lepszego. Gdyby więc zechciała tylko odrobinę poczekać, aż on oczyści się z resztek dawnych uczuć, wtedy nie będzie rzeczy niemożliwych. Mając doświadczenie z takimi kobietami, wiedział, że potrzebują odrobiny niezwykłości w życiu, jakiegoś dramatu, który przełamałby wygodną tyranię małżeństwa, i spodziewał się, że zmyślone na poczekaniu nieszczęście osobiste spełni oczekiwania Luisy. Nie pomylił się. Od tej pory ich spotkania stały się wręcz wzorem skromności maconej jedynie przypadkowymi muśnięciami skóry o skórę (kiedy pomagał jej włożyć kurtkę lub podawał jakieś dokumenty) oraz powłóczytymi spojrzeniami ociekającymi niespełnioną namiętnością.

Gdyby go zapytać, dlaczego został w Temalagui, kiedy już dowiedział się wszystkiego, co mógł, o losie Yary (a było tego bardzo niewiele), mógłby twierdzić, że odpowiadało mu tamtejsze tanie życie i umiarkowany klimat. Tymczasem w rzeczywistości wcale nie wyzbył się swojej obsesji i zaczął dyskretnie rozpytywać o poczynania Yary w okresie poprzedzającym jej zniknięcie. Na prawie dwa następne lata popadł w niezmienną rutynę: za dnia uczył, a nocami i w weekendy prowadził swoje prywatne śledztwo w Internecie i rozmaitych przybytkach (biurach, sklepach, knajpach) wymienianych przez Yarę jako miejsca, w których odbierała (lub do których dostarczała) pieniądze. Jednakże, mimo najszerszych chęci i wysiłków, jedyny efekt, jaki przyniosło mu całe to dochodzenie, osiągnął całkiem przypadkowo. Pewnego dnia, około dwudziestu miesięcy po przybyciu do Temalagui, przeglądając niedzielną gazetę, znalazł na stronie szóstej artykuł o zamordowaniu



(przez terrorystów, jak sugerował reporter) niejakiego Hernana Ortiza, funkcjonariusza PZP. Obok zamieszczono portret ofiary: szczupłego, wręcz wynędzniałego mężczyzny z wyraźnie widocznym siwym kosmykiem włosów w grzywce. Zdjęcia, które następnie wyszukał Snow w Internecie, przedstawiały chudzielca w mundurze polowym. Natychmiast przypomniał sobie sprzedawcę w sklepie z elektroniką, któremu Yara przyniosła pękata kopertę z pieniędzmi. Wtedy nie zdążył mu się lepiej przyjrzeć, ale biorąc pod uwagę zainteresowanie PZP kultem, któremu przewodziła Yara, jej stwierdzenie, że niektórzy z odbiorców gotówki służą w armii, a teraz to zdjęcie człowieka z siwym kosmykiem... To nie mógł być zbieg okoliczności.

Tego samego dnia - był ciepły wiosenny poranek - umówił się z Guillermo na kawę w „Moccas”, popularnej kawiarni z ogródkiem przy Avenida, z witrażowymi oknami od frontu i ciężkimi przeszklonymi drzwiami. Niełatwo zdobywał przyjaciół; jako notoryczny manipulator nie ufał swoim emocjom w stosunku do innych ludzi i - w konsekwencji - także samym ludziom. Gdyby jednak musiał jednym słowem określić związek łączący go z Guillermo, nazwałby go właśnie przyjaźnią. W jego obecności czuł się swobodnie, zazdrościł mu jego otwartości i gotowości do dyskusji o każdym aspekcie życia i z czasem ich niedzielne spotkania nabrały prawie regularnego charakteru. Siadali pod wyrastającym z blatu stolika parasolem z logo Flor de Cana, przy jednym z kilkadziesiątu identycznych stolików, nad którymi unosił się gwar rozmów i śmiechów z górą setki dobrze sytuowanych mieszkańców miasta. Uliczny ruch i zgiełk były mniej dokuczliwe niż w dzień powszedni, aromat kawy konkurował z wonią spalin. Kelnerzy w czerwonych koszulkach i czarnych spodniach uwijali się wśród stolików z tacami wyładowanymi jedzeniem i pićm. Przepędzali również żebraków, którzy przeniknęli do ogródka, gdzie byli całkowicie ignorowani przez ludzi tak od nich różnych - dobrze odżywionych, eleganckich, przybranych złotem, klejnotami i drogimi okularami słonecznymi - jakby należeli do innej jednostki systematycznej. Wróble wśród pawli.

Guillermo zdominował konwersację: uszczypliwie komentował pogoń za żebrakami, wskazywał Snowowi miejscowe sławy, relacjonował najświeższe ploteczki. Kiedy jednak Snow pokazał mu wycięte z gazety zdjęcie Hernana Ortiza i zapytał o jego związek z Yarą, beztraska barmana ulotniła się bez śladu. Przykrył fotografię serwetką.

- Co z tobą jest? - spytał. - Przeżyłeś z nią parę miesięcy, rzuciłeś ją, a teraz wracasz po latach, kiedy ona od dawna nie żyje, i zaczynasz o nią wypytywać.

- Ciekawość. Stracone możliwości i tak dalej.

- Znajdź sobie inne hobby. Bo to może cię zabić.

- Znałeś Ortiza? Wtedy?

Guillermo prychnął z irytacją.

- Daj spokój, stary... Musiałeś znać wszystkich przy Avenida.

- Tak, znałem go. Oprych. Zadawał się z gangiem z dworca autobusowego; okradali handlarzy, którzy wieczorami wracali z utargiem do swoich wiosek. Potrafili pobić do nieprzytomności za garść quetzali. A takich jak ja bili za darmo, dla zabawy. Jakies dwa lata później pojawił się w mieście czyściutki, ulizany... Zatrudnił się w sklepie z elektroniką. Mówiło się, że związał się z jakąś poważną organizacją, ale pozostał oprychem.

- Poważną organizacją? Masz na myśli PZP?

- Ciszej! - Guillermo podniósł do ust filiżankę z kawą, strzelając oczami na boki. - Tak.

- Czemu mi nie powiedziałeś?

- Właśnie ci mówię.

- Czemu nie powiedziałeś mi, kiedy zacząłem się spotykać z Yara? Albo od razu kiedy wróciłem?

- PZP - (Guillermo szeptem wymówił skrót) - nie była jeszcze taka ważna, kiedy kręciłeś z Yara. Nie przyszło mi do głowy, że powinienem ci o nim wspominać. A kiedy wróciłeś... No, pewnie powiesz, że jestem sentymentalny, ale nie chciałem, żebyś zginął. - Otarł usta serwetką. - Teraz mówię ci to tylko po to, żebyś dał sobie spokój. Bo jeśli będziesz drążył, zawrzesz bliższą znajomość z bardzo nieprzyjemnymi ludźmi i narobisz poważnych kłopotów przyjaciom.

- Stale to powtarzasz, ale nic z tego nie wynika.

Indianka o zmęczonej twarzy, z dzieckiem na ręku, w sukience, której kolor i deseń prawie całkiem zniknęły po zbyt wielu praniach, przystanęła przy sąsiednim stoliku i podsunęła pęk wisiorków siedzącemu tam mężczyźnie o ostrych rysach, w lotniczych okularach i żółtej, wykrochmalonej *guayaberze*. Mężczyzna odwrócił się i spojrzał w lewo, na inne stoliki. Jego towarzyszka, śliczna kobieta o cerze barwy kawy z mlekiem i karminowych ustach, w wysadzanych strasami okularach, wydmuchnęła papierosowy dym i coś powiedziała. Mężczyzna się uśmiechnął.

- Dla twojej damy - powiedziała Indianka, dla zachęty potrząsając naszyjnikami. Ledwie słyszalnym głosem wyrecytowała litanie nieszczęść: chore dziecko, głód, brak pieniędzy na powrót do domu.

Widząc, że Snow ją obserwuje, podeszła do niego. Widok Amerykanina tchnął w jej rysy odrobinę ożywienia. Guillermo odwrócił wzrok, ale Snow nie czekał, aż kobieta zacznie

wylewać swoje żale: od razu dał jej dziesięć quetzali (co najmniej dwa razy więcej niż mogłaby zażądać) i wybrał jeden z wisiorków - kawałek jadeitu miernej jakości z wydrapanym wizerunkiem ptaka, nanizany na pętlę z czarnego sznurka.

- Dlaczego ich zachęcasz? - spytał Guillermo, gdy kobieta pośpiesznie się oddaliła, uprzedziwszy zawziętego kelnera, który już szedł ją przegonić.

- A ty nie uważasz, że biednym należy się zachęta? - Snow założył wisiorek na szyję. - I nie tłumacz mi, że wszystkim nie mogę dać pieniędzy, bo to tylko usprawiedliwienie dla niedawania pieniędzy w ogóle. Poza tym byłem na ciebie zły i wiedziałem, że się wkurzysz.

- Ty byłeś zły?! Niby o co? O to, że pilnuję, żebyś nie wpakował się w kłopoty?

- Niczego nie pilnujesz. A ja tylko podpytuję ludzi, którym ufam. Czyli, krótko mówiąc, ciebie. Niczego więcej nie planuję.

- Kłamczuch! Co ty myślisz, że ja głuchy jestem? Ludzie co rusz przychodzą do mnie i mówią: „Ten twój kumpel, *gringo*, przyszedł wczoraj wieczorem i zadawał pytania”. Cud, że jeszcze cię nie zgarnęli.

- Ale to już chyba mój problem, nie uważasz?

Guillermo wzruszył ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że kwestia życia lub śmierci Snowa niezbyt go interesuje. Było widać, że poczuł się urażony, kiedy Snow zarzucił mu obojętność. Bez względu na stan faktyczny lubił myśleć o sobie jak o egalitaryście, który zupełnie nie przejmuje się różnicami klasowymi.

- No dobrze, przepraszam - zmitygował się Snow. - Byłem zły, mówiłem ci przecież.

Guillermo udał, że bardziej interesują go wydarzenia przy sąsiednim stoliku.

- Nie wygłupiaj się, stary!

- Ja się wygłupiam? - Guillermo wyjął komórkę i sprawdził, czy nie przyszły jakieś nowe wiadomości.

Dzień, i tak już ładny, roz pogodził się jeszcze bardziej. Słońce przebijało się przez cieńszy niż zwykle całun smogu.

- Dobra. Umówmy się, że następnym razem to tobie kupię wisiorek - zaproponował Snow. - To cię pocieszy?

Guillermo starał się zachować obojętność, ale w końcu musiał się uśmiechnąć.

- Ależ Joselito byłby zazdrosny...

- A może po prostu oddam ci ten? - Snow dotknął czarnego sznurka na szyi.

- Nie, nie! To musiałoby być coś modniejszego. Pomogę ci wybrać. - Westchnął, moszcząc się na krześle. - W taki piękny dzień nie mogę się długo złościć. Napiję się wina. Tobie też zamówić?

- Ja wezmę jeszcze jedną kawę.

- W takie dni mógłbym się zakochać w każdym człowieku. - Guillermo parsknął śmiechem i poklepał Snowa po ręce. - Nawet w tobie. - Skinął na kelnera i odwrócił się z powagą do Snowa. - Wiesz, że cię kocham, prawda?

- Taa, jasne - przytaknął sardonicznym tonem Snow, speszony tym przyływem sentymentalizmu.

Guillermo ze smutkiem pokręcił głową.

- Ależ z ciebie dupek... Miałem nadzieję, że w końcu dorosłeś, ale tobie się cały czas wydaje, że miłość to coś, od czego musi się człowiekowi zakręcić w głowie.

Kiedy dwie niedziele później Snow zajrzał do „Club Sexy” w poszukiwaniu Guillermo, lokal był pusty, jeśli nie liczyć dwóch samotnych facetów przy kieliszku. Nie było nawet starego klawiszowca. Snow spytał Canelo (drugiego barmana, piegowatego Murzyna z rudymi włosami), gdzie się wszyscy podziali.

- To ty nie słyszałeś? - zdziwił się Canelo.

Snow przyznał, że nie, nie słyszał, na co Canelo (ostatnio zapuścił kozią bródkę, która w połączeniu z wkrętkami, ryżą czupryną i ponurym sposobem bycia upodabniała go do zasmuconego diabła) wyjaśnił mu, że Guillermo i Joselito zostali znaleźni martwi w *barranca* pod miastem. Przed śmiercią byli torturowani. Wszyscy byli wstrząśnięci, z szacunku dla zmarłych lokal został na trzy dni zamknięty, ale teraz już biznes pomalutku się rozkręca, zwłaszcza wieczorami. Nawet niektóre kobiety znów zaczęły przychodzić. Canelo mówiłby pewnie dalej, ale Snow uciekł z klubu - wybiegł przez frontowe drzwi i zatrzymał się przed nimi. Brudny miejski zgiełek eksplodował wokół niego, oczy mu się zaszklily, światło się rozmyło, sylwetki przechodniów rozplynęły się w kolorowe cienie.

Canelo wyszedł za nim i zaczął namawiać, żeby wrócił i czegoś się napił.

- Kto ich zabił? - zapytał Snow.

Zaskoczony Canelo odparł, że nie wie.

- PZP, prawda? - Snow postąpił krok w jego kierunku.

- Kiedy człowiek prowadzi taki styl życia jak Guillermo, ma wielu wrogów.

- Co ty mi tu pierdolisz?!

Canelo bezradnie rozłożył ręce.

- Nie byłem przy tym. Skąd mam wiedzieć, kto ich zabił? Może jakiś zazdrosny eks, szaleniec. Gliny mówią, że ciała były potwornie zmasakrowane. Ktoś ich wykastrował, a potem... Guillermo miał w ustach kutasa Joselito, i na odwrót.

- Guillermo śmiertelnie bał się PZP. Mówił, że ta partia nienawidzi gejów.

- To niczego nie dowodzi. Nienawiść do gejów jest tu w modzie.

Frustracja wzięła u Snowa górę nad żalem po stracie przyjaciela. Wezbrana fala emocji przerwała tamę. Pchnął Canelo w pierś, aż ten zatoczył się na ścianę.

- Dobrze wiesz, że to sprawa polityczna! Gdyby tak nie było, dlaczego ludzie przestaliby przychodzić do klubu?

- Wyluzuj, facet... Okej? - Canelo otrzepał sobie siedzenie z tynku. - Wejźmy do środka. Powiem ci, co wiem.

Przytrzymał drzwi przed Snowem, który, już spokojniejszy, przestąpił próg. Ledwie drzwi się za nimi zamknęły, usłyszał mechaniczny szcęk. Canelo pchnął go na ścianę. Coś zimnego i ostrego dotknęło jego szyi. Canelo przytknął usta do jego ucha; cuchnący oddech zdławił zapach wody kolońskiej.

- Nie waż się mnie więcej tknąć!

Snow zamarł bez ruchu.

- Dobrze. Jasna sprawa.

- Gdybyście nie przyjaźnili się z Guillermo, wypatroszyłbym cię tu i teraz. I niech ci się nie wydaje, że jesteś moim przyjacielem. Dla mnie jesteś tępym *gringo*, który gównem wie.

Canelo się cofnął. Rozległ się drugi charakterystyczny szcęk i Snow odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak barman chowa do kieszeni nóż motylkowy.

- Wiesz, kto moim zdaniem zabił Guillermo? - spytał barman. - Ty. Nie ty go pokroiłeś, ale to przez ciebie zginął.

- To jakiś obłąd.

- Ty nie rozumiesz, gdzie jesteś, facet. Żaden z was, pierdolce, tego nie kuma. Miotacie się bez sensu, wydaje się wam, że rozwiążecie wszystkie problemy, bo przecież jesteście lepsi od tych żalonych, popieprzonych Temalaguańczyków, a my przez was mamy tylko kłopoty.

- Myślę, że to PZP go zabiła - wtrącił bez przekonania Snow.

- Być może. To mogła być sprawa polityczna i PZP faktycznie mogła go stuknąć. Albo jakaś inna partia. Nie chwytasz jednej rzeczy: Guillermo, jeśli chciał prowadzić ten interes, musiał być informatorem. Te wszystkie zdziury, które tu przyłaziły, i ich mężowie, grube ryby... Ci mężowie go wypytywali. A on próbował zachować spokój. Coś im tam mówił, nic poważnego, co najwyżej ktoś czasem dostał potem po pysku, ale nic gorszego się nie działo. Nie chciał, żeby komuś przez niego urznął łeb. Stał po cienkiej linie, a kiedy ty zacząłeś wypytywać o *la Endriagę*, ta lina stała się jeszcze cieńsza. Powinien był cię wsypać. Przekonywaliśmy go, tłumaczyliśmy, że jak wyda *gringo*, to mu trochę odpuszczą, ale on

chciał cię chronić. „To mój przyjaciel”, mówił. „Nie zdradzę przyjaciela”.

- Dlaczego mi nie powiedział?! Przecież gdybym wiedział o jego sytuacji, gdybym wiedział, w jak trudnym położeniu...

- Bądź realistą, facet. Zastanów się. Przecież on co chwila cię ostrzegał, tylko ty nie chciałeś słuchać.

- Nie mówił mi wszystkiego. Nie rozumiałem... Nigdy mi nie powiedział, że to taka poważna sprawa.

- Może liczył na to, że jesteś bystry i sam połączysz kropki. A może myślał, że jesteś jego prawdziwym przyjacielem. Tak jak on twoim; że szanujesz go i naprawdę słuchasz tego, co mówi. Przejechał się, co?

Snow milczał, analizując słowa Canelo.

- Dla ciebie to była błahostka - ciągnął barman. - Fajnie było znać pedzia, który prowadzi klub nocny.

- Wcale tak nie było!

- Właśnie, że tak. Jesteś jak niewydarzony aktorzyzna: prawie wchodzisz w rolę, ale tylko prawie. - Canelo wskazał Snowowi drzwi. - Wypierdalaj.

Snowowi nie śpieszyło się do wyjścia.

- Mylisz się. Może faktycznie pomyliłem się raz czy drugi...

- Może?! Kurwa, facet! - Pogarda Canelo uderzyła Snowa niczym pięść. - Nikogo nie obchodzi twoje zdanie, rozumiesz? Jebie nas, co myślisz. Wypierdalaj, powiedziałem. Na twoim miejscu wyjechałbym za granicę. Guillermo nie był bohaterem i podejrzewam, że na torturach mógł cię sypnąć. A nawet jeśli tego nie zrobił, to kusi mnie, żeby pierwszemu gliniarzowi, który do nas zajrzy, powiedzieć, że źle się wyrażasz o PZP. Nie żartuję. Nie wiem, czy oprę się tej pokusie. Co by mnie miało powstrzymać?

## IV

Po konfrontacji z Canelo Snow wrócił do swojego mieszkania i spakował się, wstrząśnięty słowami barmana i przestraszony nie tylko jego groźbami, lecz całym światem grózb, światem wariatów i krwawej polityki, z którego istnienia zdawał sobie sprawę wprawdzie już wcześniej, ale nigdy nie sądził, że ten świat zagrozi mu osobiście. Zamierzał wsiąść do pierwszego samolotu lecącego na północ, dokądkolwiek na północ, ale kiedy czekał na taksówkę, a potem jechał na lotnisko, wyrzuty sumienia z powodu śmierci Guillermo zepchnęły paranoję w cień i zamarzyło mu się odkupienie win. Nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać, ale los chyba postanowił mu sprzyjać, bo kiedy przy kasie na lotnisku okazało się, że najbliższy samolot odlatuje do Miami, w głowie Snowa zrodził się załączek pomysłu. Godzinę później, w drodze do miasta drugiego sortu śmietanki towarzyskiej i ususzonych na słońcu seksownych mamusiek, zastanawiał się już tylko nad tym, czy warto zaryzykować. Doszedł do wniosku, że wykona przynajmniej pierwszy krok; gdyby sprawy źle się układały, zawsze zdąży się wycofać. Wylądował w Miami w wilgotne środowe popołudnie, wynajął pokój w tanim motelu w Coral Gable i zaczął się szykować do romansu z Luisą Bazan. Co drugi piątek Luisa meldowała się w apartamencie w „Bon Temps”, eleganckim hoteliku w samym sercu South Beach, który zajmowała aż do niedzieli wieczór. Kilkakrotnie zapraszała Snowa do siebie, proponowała nawet, że opłaci mu przelot, on jednak za każdym razem jakoś się wymigiwał. Miał nadzieję, że ucieszy ją perspektywa spotkania (ostatnio Luisa traktowała go raczej oschle, zniecierpliwiona nieskonsumowanym związkiem), a przede wszystkim, że zdąży się z nią umówić, zanim ona znajdzie sobie miejscowego kochasia na weekend.

W pierwszy piątek po przylocie zaczął się wieczorem w hotelowym barze „Tres Jolie”, gdzie do północy bez powodzenia czekał na Luisę. Był na to przygotowany (rozkład jej rozrywek był uzależniony od kaprysów męża) i nie wątpił, że Luisa prędzej czy później się pojawi, ale z najwyższym trudem zniósł tygodniowe oczekiwanie i, prawdę mówiąc, był bliski porzucenia swojego planu. Bo też czego takiego mógł się od niej dowiedzieć w jeden weekend, co diametralnie zmieniłoby sytuację? Luisa na pewno nie wie nic istotnego na temat PZP... Zresztą, gdyby nawet wiedziała, to jak miałyby te informacje wykorzystać? To był szalony pomysł, który tylko z początku wydał mu się cudownie chytry i przebiegły; jeden z wielu przebłysków geniuszu kierujących jego meandrującym życiem.

Został w Miami tylko dlatego, że i tak nie miał gdzie się podziać. W Temalagui rzucił pracę w prywatnej szkole, po śmierci Guillermo nie miał tam żadnych przyjaciół, a po wyrzuceniu z „Club Sexy” nie mógł liczyć na znajomych. Żadnego celu. Żadnego kierunku. Myśl o powrocie do Idaho napawała go taką zgrozą, że nie zamierzał jej nawet rozważać, i w ten sposób została mu tylko wizja przytępiałego, siwobrodego Snowa spijającego męty życia w jakimś niewydarzonym środkowoamerykańskim piekielku w rytmie *Margaritaville* i *The Pina Colada Song*, w towarzystwie wytatuowanej lwicy salonowej wyczekującej jego końca, który pozwoliłby jej przetrząsnąć mu kieszenie w poszukiwaniu kasy i prochów. Kiedy ten widok stanął mu przed oczami, perspektywa weekendu z Luisą Bazan wyraźnie zyskała na atrakcyjności.

W następny piątek o wpół do ósmej wieczorem Luisa wparowała do „Bon Temps”: szpilki stukwały głośno o marmur, falbaniasta bluzka zwracała uwagę na imponujący biust, podkreślając każde jego najmniejsze drgnienie, w pięknej fryzurze połyskiwały blond pasemka, a w obcisłych spodniach jej tyłek wyglądał wprost cudownie, jak uwieczniony w spizgu majestatyczny zad konia dosiadanego przez herosa ze szpadą i w kapeluszu z piórem. Gdyby przytyła jeszcze z dziesięć, piętnaście funtów, mogłaby pozować do zdjęć w pisemkach dla fetyszystów, na razie zaś przypominała obdarzoną bujnymi krągłościami bohaterkę erotycznego komiksu.

Z recepcji roztaczał się doskonały widok w głąb „Tres Jolie”. W barze zebrał się tłumek pokrzykujących i pogwizdujących dwudziestoparolatków, którzy wpadli na jednego przed wieczorną rundką po nocnych klubach. Snow usiadł przy barze w takim miejscu, żeby rzucać się w oczy; rzucił marynarkę na sąsiedni stół, żeby przypadkiem nikt się do niego nie dosiadł, i kątem oka obserwował, jak Luisa zagaduje recepcjonistę, boya, kierownika. Kiedy go dostrzegła, jej twarz skamieniała. Zrobiła krok w stronę wind, jakby chciała przemknąć obok baru, udając, że go nie zauważyła, ale potem zmieniła zdanie i, zachowując wyniosłą rezerwę, podeszła na odległość wyciągniętej ręki.

- Craig?

Podniósł wzrok i uśmiechnął się wyćwiczonym uśmiechem wyrażającym chłopięcy zachwyt przemieszany z odrobiną smutku.

- Co ty tu robisz? - spytała Luisa. - W szkole... powiedzieli mi, że nie wiedzą, co się z tobą dzieje.

Przekonał ją, żeby usiadła, i opowiedział wyćwiczoną tak samo jak chłopięcy uśmiech historyjkę złożoną z półprawd i beczelnych kłamstw. Przeszedł, jak twierdził, kryzys emocjonalny. Doszedłszy do wniosku, że nigdy już nie zdoła wyrugować z siebie



szczętkowych uczuć do swojej dawnej sympatii, postanowił zachować się szlachetnie wobec Luisy i zniknąć z jej życia, i pod wpływem tego nagłego impulsu po prostu uciekł. Był to akt desperacji, może nawet tchórzostwa, za który teraz przeprasza. Nawet chciał się pożegnać, lecz Luisa nie jest kobietą, z którą pożegnania przychodzą łatwo. Gdyby do niej przyszedł, jej uroda, jej duchowość stanowiłyby zbyt silną pokusę, w obliczu której nie zdołałby wytrwać w swym postanowieniu. Jednakowoż po drodze do Miami doznał objawienia. Przed oczami stanęła mu Luisa, nie mógł myśleć o niczym innym. Jej zapach, jej usta, jej wrażliwość, całe jej jestestwo przeniknęło jego myśli na wskroś, i obsesja na punkcie dawnej miłości ulotniła się bez śladu. Czyż to nie doskonała ironia losu, ciągnął, że uciekając przed przedmiotem swego pożądania, zerwał więzi, które uniemożliwiały mu jego zdobycie? To typowe, że ironia rządzi jego życiem.

Nic nie wskazywało na to, żeby Luisa mu uwierzyła. Słuchała go z tak obojętną miną, że był już gotów podkreślić temperaturę i dodać, że niczego od niej nie oczekuje, bo ma świadomość tego, jak okrutnie ją zranił, i że jeśli ona tego chce, po prostu pójdzie swoją drogą... Lecz zanim do tego doszło, porwała go w ramiona i namiętnie pocałowała, topiąc w woni perfum, przyciągając językiem i piersiami, co wywołało entuzjastyczne komentarze („Ale jazda, kurwa!” oraz „Stary, jeśli ty jej nie weźmiesz, to zostaw ją mnie!”) siedzących w pobliżu młodziaków, którzy podsłuchiwali, co się dzieje. Luisa spiekła raka i przy wtórce oklasków odciągnęła Snowa od baru i zaciągnęła najpierw do windy, gdzie swobodne pocałunki i macanki zastąpiły konwersację, a następnie do swojego apartamentu na ósmym piętrze - mokrego snu dekoratora wewnątrz marzącego o „trawertynowych posadzkach, pasiastych dywanikach ze sztucznej skóry i stolikach zdobionych motywami ze skamieniałego drewna” (czekając na Luisę, Snow z nudów przeczytał - i to nie raz - broszurę reklamową hotelu). Dalszy ciąg wieczoru w wycenionym na tysiąc dolarów za noc odrażającym splendorze skrywał niewiele niespodzianek, chociaż Snow z pewnym niepokojem odnotował to, jak bardzo wymagająca okazała się Luisa w sypialni. Czuł się jak owczarek niemiecki na ostrym szkoleniu. Mocniej, szybciej, głębiej. I do nogi! Domyślał się, że jej agresja i skłonność do dominacji wynikają z wymuszonej potulności w domu. Na szczęście, zaopatrzył się w viagrę i udało mu się doszłusować do narzuconych przez Luisę standardów, dzięki czemu z treningu wyszedł cały i zdrowy, jeśli nie liczyć obolałego języka i jednego czy dwu śladów po jej zębach.

Koło południa poszli na zakupy do sklepu z bielizną. Podczas krótkiego wypadu Luisa nabyła kilka peniuarów, kompletów bielizny, a także odważniejszych kostiumów i po powrocie do „Bon Temps” urządziła małą rewię mody, prezentując się Snowowi w każdej

sztuce z osobna i robiąc od czasu do czasu przerwę na krótki *coitus interruptus*. Intensywność związku pokrzyżowała plany Snowowi, który nie miał kiedy wyciągnąć od Luisy informacji na temat PZP; dopiero podczas pokazu mody miał szansę zadać jej pierwsze pytania. Spodziewał się, że będzie musiał delikatnie i subtelnie prowadzić to przesłuchanie, ale Luisa sama chętnie opowiadała o swoim mężu, słabości jego charakteru i niecnych postępkach. Typowy fragment rozmowy wyglądał następująco:

Luisa (z drugiego pokoju): Już idę, skarbie!

Snow: Czekam.

(kilka sekund przerwy)

Snow (ściszonym głosem): Mój Boże...

Luisa: Ładne, prawda?

Snow: „Ładne” to złe słowo. Wyglądasz... niesamowicie. Niewiarygodnie. Brak mi słów. Enrique oczy wyjdą na wierzch, jak cię w tym zobaczy.

Luisa (stanowczo): Enrique mnie takiej nie zobaczy. Nigdy. Te stroje... One są tylko dla ciebie, dla nikogo innego.

Snow: Nie musisz mu czegoś pokazać, żeby uwierzył, że byłaś na zakupach?

Luisa: Kupię jakieś barachło na lotnisku, w wolnocłowym. O, proszę. Podobam ci się?

Snow: Jeszcze jak!

Luisa: Gotowy?

Snow: A jak myślisz?

Luisa (chichocze): Widzisz? Mogę je odsunąć na bok, o tak, i usiąść... Mmmm... Jak przyjemnie.

(minuta albo dwie ciężkich, przyśpieszonych oddechów)

Luisa (figlarnie): Puść mnie, kotku. Nie chcę, żebyś już doszedł.

Snow: Ty mnie zamordujesz!

Luisa (ze śmiechem): Taki mam zamiar!

Podczas przymierzania następnego kompletu:

Snow: Nie rozumiem. Przecież zobaczy wyciągi z banku, zorientuje się, że kupiłaś bieliznę.

Luisa: Enrique nie interesuje się wyciągami. On w ogóle nic nie robi. Rachunki, wyciągi, banki... Wszystko jest na mojej głowie. Wszystko. Stąd wiem, dokąd wyjeżdża i co

kupuje kobietom. *Puto pendejo! Lambioso!* W ogóle mu nie przeszkadza, że o nich wiem!

Snow (od niechcenia): A dokąd wyjeżdża?

Luisa: Do Meksyku, czasami. Ale najczęściej do Tres Santos.

Snow: Tres Santos? Przecież to dziura! Przynajmniej kiedyś była. Co on tam robi?

Luisa: Spotyka się z Jefe. Facetem, który rządzi PZP. Co ty na to?

Snow: Bardzo seksowne. Śliczne. Jak on się nazywa?

Luisa: Jefe. Nazywają go Jefe, bo jest szefem. Wodzem. Nie lubi nazwisk. Ma mnóstwo tajemnic i w ogóle nie wyjeżdża z Tres Santos. Enrique mówi, że niezły z niego dziwak. Nic, tylko lata w tym wielkim budynku.

Snow: Pierwsze słyszę... Lata w budynku?

Luisa: Ja tam się nie znam. Ale tak mówi Enrique.

Snow: A Enrique? Co robi? Też lata?

Luisa: Gzi się z kurwami. Śmierdzi nimi, kiedy wraca do domu. I wiem, że ma ich dużo, bo kupuje im ubrania. Takie jak te. Różne rozmiary.

Snow: Kiedyś nie było kurew w Tres Santos. Nie miałyby z czego wyżyć.

Luisa (zniecierpliwiona): Teraz są. A Enrique kupuje im prezenty. Co cię to w ogóle obchodzi? Chcesz rozmawiać o Enrique czy wolisz popatrzeć?

Snow: Po prostu w głowie mi się nie mieści, że chodzi na dziwki, kiedy ma w domu taką piękną kobietę.

Luisa (onieśmielona): Podobają ci się?

Snow: Kiedy tak nimi potrząsas, nie jestem w stanie myśleć o niczym innym.

I dalej:

Snow: Może jest pedziem? Myślałaś o tym?

Luisa: Enrique?

Snow: Może dlatego tak często jeździ do Jefe. Ruchają się.

Luisa: Nie, nie Enrique.

Snow: Sama mówisz, że ten Jefe to dziwak. Wpływowy dziwak. Władza bywa seksowna. Enrique nie byłby pierwszym, który w takich okolicznościach przeszedł na drugą stronę barykady.

Luisa (z wahaniem): Jefe ma kobietę, ale...

Snow: Ale co?

Luisa: Ona jest chora, czy coś... Nie wiem.

(cisza)

Luisa: Przymierzę to czarne koronkowe coś. Jak to się nazywa?

Snow: Peniuar.

Luisa: No właśnie. Zaraz go włożę.

I na zakończenie:

Snow: Jeżeli włożysz go na noc, podrę go na tobie na strzepy.

Luisa: Drzyj, ile chcesz. Kupimy nowy.

Snow: Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Mógłbym ci zrobić krzywdę. Oczywiście niechcący.

Luisa: Wczoraj zrobiłeś mi krzywdę, kocie. Skarżyłam się?

(podśpiewuje w zadumie)

Snow: Wiesz co, im dłużej o tym myślę, tym bardziej się przekonuję, że coś jest nie tak z Enrique i Jefe. Powiedziałaś, że Jefe mieszka sam, tak? Bez ochrony? Nie ma strażników? Żołnierzy?

Luisa: Nie potrzebuje ich. Wszyscy się go boją. Kiedy idzie przez wieś, ludzie chowają się po domach. A on się wtedy śmieje, tak mówi Enrique.

Snow: A przy tym żyje w tej wsi kilkadziesiąt dziwek. To się kupy nie trzyma. Może te prezenty kupowane przez Enrique... Może próbuje w ten sposób ukryć to, co naprawdę się tam dzieje? Mówił ci, co robią z Jefe?

Luisa: Rozmawiają o wyborach, o skierowaniu kraju znowu na właściwe tory. Chcieliby wzmocnić armię.

Snow: (mamrocze niezrozumiale)

Luisa: Hm?

Snow: Nie, nic.

I tak to szło. Seks, okruchy informacji i znowu seks. Jedyнным przerywnikiem były wypadki na Collins Avenue i do „Mynt Lounge”, ekskluzywnego klubu, w którym odźwierny przywitał się z Luisą, łypnął podejrzliwie na Snowa i gestem zaprosił oboje do zaskakująco ponurego wnętrza wyłożonego czarnym dywanem. Przestronne boksy dla gości miały zielone oświetlenie i czarne ściany, na których projektory malowały obrazy (kiedy weszli, wyświetlały się akurat sceny z ogromnego akwarium - płaszczki, rekiny i barakudy, o jejku, jejku!). Nad wszystkim niczym najwyższy kapłan czuwał didżej w powłóczyściej szacie

zdobionej symbolami Iluminatów: wszechwidzącymi oczami, ankhami i innymi świetlistymi znakami. Hymniczne techno pulsowało z natężeniem, od którego krwawiły uszy, na parkiecie tłoczyły się rozbrykane modelki w mikro-mini, dilerzy narkotyków, ich klientki potrzęsające tyłkami dla Jezusa (albo, co bardziej prawdopodobne, Świętego Mikołaja), oraz tłumek miejscowych gwiazd i gwiazdeczek, wśród których wyróżniał się odziany w czerń wpływowy i irytujący reżyser filmowy nazwiskiem Brett (zdaniem Snowa, producent wyjątkowych mówien), z ego rozdętym do niemożliwości i kocią bródką, która Snowowi kojarzyła się z Guillermo.

Podszedł, napuszony jak paw, do ich stolika, w towarzystwie osobistego asystenta - malutkiego, gładko ogolonego diabełka, również ubranego na czarno i niosącego designerską butelkę wódki i trzy kieliszki (diabełek najwyraźniej miał szlaban na picie, pewnie z obawy, że po wódce mógłby niepotrzebnie napęcznić z dumy). Cmoknęli się z Luisą w policzki, Kozia Bródka zainteresował się osobą Snowa, po czym, gdy tylko upewnił się, że Snow nie jest nikim ważnym, prowadzona podniesionymi głosami rozmowa przemieniła się w nużący i wyniosły ciąg upokorzeń. Snow nie był jednak pewien, czy nie popada w paranoję, ponieważ nieco wcześniej tego wieczoru Luisa poczęstowała go dużą niebieską pigułką, od której postradał trzeźwość osądu sytuacji, oczy zaczęły go swędzieć od środka, a w powietrzu zaroilo się od seledynowych pajaków tkających ciemne i zdumiewająco skomplikowane pajęczyny, w których dostrzegał wzorce odkrywające przed nim tajniki przeszłości i przyszłości, dające mu niepowtarzalną szansę prorokowania najdonioślejszych wydarzeń. Zmarnował ten dar na przewidzenie pojawienia się modelki z lodowatym cieniem do powiek i pierściami jak stożkowe pachołki do robót drogowych, która podkrađła się do nich tuż przed tym, jak zmyli się do „Bon Temps”, i upierała się, żeby Brett i Luisa spróbowali galaretowych drinków wprost z jej pięknie opalonego brzucha. Po krótkim namyśle zaproponowała to samo także Snowowi, wyłączyła jednak z grona zaproszonych diabełka. Snow, kompletnie już zdezorientowany, zgodził się, powiedział, że mu to pochlebia, udał zachwyty i zapał, lecz samo doświadczenie okazało się nieprzyjemne, jak zlizywanie rzygowin z drgającego konwulsyjnie trupa. Podniósłszy głowę znad upiornej uczty, stwierdził, że piękni przekłęci na parkiecie odpalili zimne ognie i wymachują nimi na wszystkie strony. Pajęczyny zajęły się ogniem, pająki czmychnęły, a nad tym wszystkim niósł się grzmiący kobiecy głos, nawołujący wszystkich, żeby „poculi się wolni... póki czas!”. To były słowa godne życiowego motto. Snow wziął je sobie do serca i wyszedł, zanurzył się w ciepłym i miękkim powietrzu rozjaśnionym poświatą blyszczących neonów, które pismem klinowym reklamowały modernistyczne hotele przy promenadzie. Zgiełk Collins Avenue - seksownej i

niebezpiecznej, ociekającej odbitym światłem, pełnej rozkrzyczanych imprezowiczów i pomrukujących sportowych samochodów - przynosił ulgę przez kontrast z hałasem „Mynt Lounge”. Kiedy szli ulicą, usiłował sobie przypomnieć interesujące spostrzeżenie, które przed chwilą uczynił, coś o narodzie, na którym należałoby dokonać brokatomii, ale po wyrwaniu ze środowiska, które tę metaforę zrodziło, wykarmiło i określiło, jej celność gdzieś się ulotniła. Snow ulotnił się wraz z nią.

\* \* \*

W niedzielę wieczorem, po ostatnim dymanku i serii płaczliwych pożegnalnych pocałunków, Luisa pojechała limuzyną na lotnisko, obiecując wrócić za dwa tygodnie. Apartament był opłacony do poniedziałku rano, przykazała więc Snowowi, żeby się w nim jeszcze przespał, a ewentualne zakupy dopisał do rachunku. Poradziła mu tylko, żeby nie przesadził z napiwkami i - pół żartem, pół serio - zabroniła sprowadzania dziewczyn. To ostatnie zastrzeżenie mogła sobie darować; Snow był wypompowany. Zamówił do pokoju cheeseburgera za trzydzieści dolarów, frytki i colę, usiadł na balkonie i jedząc tę kolację, patrzył na biegnące ku plaży grzywacze, przed dotarciem do lądu kurczące się do rozmiaru drobnych falek. Był zbyt śpiący, żeby trzeźwo myśleć. Około wpół do dziewiątej wrócił do łóżka i zdrzemnął się do pierwszej. W South Beach imprezy trwały w najlepsze; przyszło mu nawet do głowy, że mógłby się jeszcze rozerwać, i dziesięć lat temu pewnie tak właśnie by zrobił, ale teraz wziął tylko z lodówki butelkę wody i stanąwszy z nią przy blacie w kuchni, próbował się skupić na najważniejszych sprawach - co dalej, dlaczego i w ogóle. Zobaczył jakiś cień w głębi blatu. Włączył światło: ozdobne pudełko na prezent, a w środku jarmarczna koszula, którą zachwycił się na wystawie sklepu, buteleczka zawierająca około dwudziestu niebieskich pigułek oraz napisany po hiszpańsku liścik następującej treści:

*Nie przejdę z tym przez cię. Niech Cię ręka boska broni, żebyś brał więcej niż jedną na raz.*

Był podpisany odciskiem uszmiękanego ust i komiksowym rysunkiem pulchnego serduszka.

Schował pigułki do kieszeni; po ostatniej nocy pajęczyny do tej pory majaczyły mu na krańcach pola widzenia. Pewnie rozdęte albo popękane naczynka, pomyślał. Może jednak nadejść taki czas, kiedy niebieska pigułka wyda mu się atrakcyjnym pomysłem. Apatyczny, jak w letargu, zjechał windą do holu, gapiąc się na swoje odbicia w lustrzanych ścianach. Poszedł nad pusty o tej porze basen i wyciągnął się na leżaku. Warstewka chmur

przyćmiewała gwiazdy. Prostokąt gładkiej wody o barwie akwamaryny, podświetlony podwodnymi reflektorami i otoczony pustymi białymi leżakami, pasował do stanu jego umysłu. Zamknął oczy i zaczął myśleć o Yarze, Guillermo, Tres Santos i odkupieniu win, ale nie znalazł jasnej odpowiedzi na pytanie, które stanowili. Niby coś wiedział, miał jednak wrażenie, że rozumie mniej niż przedtem. Jedno było jasne: nie odczuwał żadnych amerykańskich namiętności, może nawet w ogóle nie był już Amerykaninem, lecz obywatelem jakiegoś międzynarodowego slumsu, kraju przegranych, pozbawionego granic, paszportów i zasad. Konstatacja, że zmarnował życie, spowodowała łzę samorozczulenia. Domyślał się, że każdy się tak czasem czuje, nawet ci, którzy mogą się pochwalić wspaniałymi osiągnięciami - tyle że oni mają jakieś podstawy dalszego istnienia, fundament, na którym mogą budować nowe życie. On tego nie miał.

- Hej! - zawołał ktoś za jego plecami.

Chuderlawy dzieciak, trzynasto-, może czternastoletni, w workowatych kąpielówkach i granatowej koszulce z krótkimi rękawkami, spoglądał na niego spod opadających mu na oczy długich, ciemnych włosów.

- Można się jeszcze kąpać? Czy już za późno?

- Chyba za późno, ale nie jestem pewien - odparł Snow. - Wskocz do wody, to się przekonasz.

- Tata spuści mi manto, jeśli wpakuję się w jakieś kłopoty.

- Przyjechałeś z rodzicami?

- Z tatą i jego dziewczyną.

Chłopak klapnął ciężko na leżak obok Snowa. Malujący się na jego twarzy smętny wyraz bezgranicznej nudy do złudzenia przypominał minę Snowa z młodości lat. Wystudiowana obojętność miała go chronić przed potencjalną interakcją z innymi ludźmi... A mimo to, najwidoczniej szukał towarzystwa.

- I jak się wam układa?

- Chujowo jak sto pięćdziesiąt.

Na koszulce był wydrukowany białymi literami następujący napis:

*pojechałem z ojcem do south beach, gdzie mieszkają grzeszne, piękne i chore kobiety targane nienaturalnymi żądzami, ale załapałem się tylko na tego drętwego T-shirta.*

- Fajną masz koszulkę - powiedział Snow.

Dzieciak spojrział na swoją pierś i pociągnął nosem.

- Tata ją dla mnie zamówił. Jego zdaniem jest śmieszna.

- A twoim nie? To po co ją nosisz?

- Bo jeśli będę ją nosił codziennie, to w końcu zacznie go wkurwiać.

Woda w basenie chlupotała o kafelki, w oddali syczała piana przyboju, wiatr miesił nachlorowane powietrze.

- Dlaczego pan płakał?

- Hę?

- Płakał pan, kiedy przyszedłem.

- Aaa... no tak.

- Co się stało?

- Przypomniał mi się taki stary film.

- Jaki?

- *Blade Runner*.

Chłopiec nie zareagował w żaden sposób.

- Widziałeś go?

- Nie. O czym jest?

- Więc są tacy... ludzie, nazywają się replikanci. Trochę jak klony, tylko że krótko żyją. Chyba dwanaście lat, o ile dobrze pamiętam. No i to ich wkurza. Wykonują niebezpieczną robotę w kosmosie, w najdalszych zakątkach Galaktyki. Walczą w toczonych przez ludzi wojnach. Są lepsi niż ludzie. Silniejsi. Ładniejsi. Tak jak mówiłem, wkurza ich to, i kilkoro z nich wraca na Ziemię, żeby sprawdzić, czy mogą jakoś przedłużyć sobie życie.

- I co się z nimi dzieje?

- Nie chcę ci psuć przyjemności.

- Pewnie i tak nigdy tego nie obejrzę. Wolę gry.

- Umierają. Nie ma dla nich lekarstwa. A blade runnerzy, tacy specjaliści gliniarze, polują na zbiegłych replikantów i ich zabijają.

Chłopak się zamyślił.

- Mogliby dać w tytule coś z tymi replikantami, nie?

- Mogliby, to prawda. Ale „Blade Runner” pewnie brzmiało bardziej sexy.

- Smutne to - przyznał dzieciak po chwili zadumy. - Ale nie aż tak, żeby się miał popłakać.

- Najsmutniejsze nie jest wcale to, że replikanci są silniejsi i ładniejsi, ale to, że żyją intensywniej od zwykłych ludzi. Nawet od tych gliniarzy, którzy ich ścigają.



- Znałem kiedyś gościa, którego postrzeliły gliny... Ale to była stara kanalia. -  
Chłopak zdjął koszulkę. - Chrzanić to!

Skoczył na główkę i zaczął pływać, ostro, szybko, zmieniając styl; najlepiej wychodził mu motylek. Snow próbował znów skupić się na swoich kłopotach, ale co rusz wracał myślami do Rutgera Hauera, łez w deszczu i sceny, w której Daryl Hannah zabija zabawkarza. Romantyczne bzdury. Ciekawe, czy książka jest lepsza.

Chłopak wygramolił się z basenu, usiadł, zebrał włosy w kucyk i zaczął z nich wyciskać wodę.

- Tak szybko? - zdziwił się Snow.

Po wyjściu z wody chłopak zareagował bardziej opryskliwie niż wcześniej, tak jakby zwinne ruchy w wodzie wzmocniły jego pozycję.

- Nie chciałem, żeby mnie ktoś przyłapał.

- Nieźle pływasz.

- Radzę sobie.

Chłopak przerzucił koszulkę przez ramię i zaczął się zbierać do wyjścia.

- Posłuchaj, mam problem - odezwał się nagle Snow, rażony irracjonalną myślą, że dzieciak może mu pomóc, że został mu zesłany przez Boga, los albo czuwającą nad wszystkim agencję międzygwiazdową. - Nie umiem się zdecydować. To dlatego wcześniej tak się rozkleiłem. Nie chodziło o film.

- No i? - spytał czujnie chłopak.

Snow w skrócie przedstawił mu sytuację, bez wnikania w szczegóły.

- To jakiś żart? - prychnął wyniośle chłopak. - Gówniana robota na zadupiu albo wielka przygoda za granicą: nad czym tu się zastawiać? Ja bym już dawno tam poleciał.

Jego arogancja nie przypadła Snowowi do gustu.

- Gdyby tylko ojciec cię puścił - zauważył.

- Pierdol się, cioto!

Dzieciak szybkim krokiem ruszył w stronę hotelu.

- To sobie znalazłem wyrocznie... - mruknął Snow.

## V

Pod groźnym niebem, na wyciągnięcie ręki od nisko sunących, napęczniałych ołowianych chmur, zmęczony wysiłkiem i wysokością (osiem tysięcy stóp) Snow siedział na górskiej grani wznoszącej się nad Tres Santos. Zajadał batonik czekoladowy i obserwował wioskę przez lornetkę. Poza paroma niezwykleymi dodatkami wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał: nędznie i nijako. Z tej odległości ubóstwo mniej biło w oczy, a rozlazłość i nieokreśloność przydawały jej iluzorycznego spokoju. Wybudowano ją na kawałku względnie płaskiego terenu, z dwóch stron ograniczonym skalistymi wzgórzami, których dolne partie porastał sosnowy las; strzępy i macki porannej mgły zwieszały się z gałęzi drzew. Bita droga rudej barwy, z koleinami wypełnionymi wodą, wbijała się pod kątem pomiędzy sterane wzgórza, kierując się ku wsi Nebaj. Bielone wapnem jedno- i dwuizbowe domki stały na wytyczanej błotnistymi uliczkami szachownicy. Na tyłach większości z nich ciągnęły się grządki z warzywami i rosły bananowce. Wszędzie wałęsały się kozy i świnie. Nieopodal baru z odręcznie wymalowanym szyldem *Cantina Alhambra* stały dwa pickupy, toyoty w szpetnym żółtym kolorze. Na szczycie wschodniego wzgórza wznosił się najbardziej imponujący z nowych dodatków: przysadzisty biały budynek bez drzwi i okien, o zupełnie gładkich ścianach, sterczał na wierzchołku jak dziwnie symetryczny ząb w pleśniejącej zielonej szczęce. U stóp wzgórza, jakieś sto stóp od skraju wioski, znajdowała się długa klockowata budowla z różowego betonu z mnóstwem drzwi i okien. Wyglądała jak przybudówka przepelnionej podstawówki.

Odłożył okulary i dojadł batonik. Wzdrygnął się, gdy przeszył go zawiewający z dołu wiatr. Naciągnął kaptur na głowę i zapiął wiatrówkę. Przeklinał pochmurne niebo; zdążył już zapomnieć, jak zimno bywa na wyżynach. Założył plecak i ruszył w dół zbocza. Wśród drzew stracił wioskę z oczu.

Z każdym krokiem czuł się coraz lżejszy, coraz bardziej uskrzydłony, jakby głupota tego, co robi, czysty bezsens jego zachowania jakimś cudem rozwiewały strach. Kiedy, znalazłszy się u stóp wzgórza, znowu dostrzegł zabudowania Tres Santos, jego determinacja przygasła, ale dopiero na uliczkach odczuł prawdziwą słabość w kończynach i zwolnił kroku. Miał wrażenie, że zмага się z niewidzialną falą przyływu, który usiłuje wypchnąć go z wioski z powrotem między sosny. Po poprzedniej wizycie domyślał się, że mężczyźni pracują

na polach ułożonych tarasowato na przeciwległych - łagodniejszych - zboczach wzgórz, a mimo to, ich nieobecność jakby dowodziła, że wioska jest opuszczona. Kobiety, które kiedy indziej machałyby mu na powitanie lub zza uchylonych drzwi zerkwały, kto idzie, kryły się za firankami. Jedyńm człowiekiem, który wyszedł się z nim przywitać, był goły maledc pogryzający rozgniecione mango - ale i jego matka porwała i schowała gdzieś w cieniu. Żadnej muzyki. Żadnych rozmów. Napięcie miało zawieszistą woń, na którą składały się kuchenne zapachy, smród łajna i odór dieslowskich spalin.

„Cantina Alhambra” była obskurna i ciasna. Obrzucone tynkiem ściany zdobiły religijny kalendarz i oprawione w ramkę zdjęcie starszego mężczyzny z plemienia Majów, ubranego w wyświechtaną marynarkę i pozującego sztywno przed obiektywem, przepasane w rogu na skos kawałkiem czarnej krepy. Trzy drewniane stoły i osiem krzeseł rozstawiono bez ładu i składu po całym wnętrzu. W głębi sali ciągnął się toporny drewniany kontuar, za którym stała dziewczyna w wieku piętnastu, może szesnastu lat. Jej twarz o wyraźnie indiańskich rysach miała obojętny wyraz. Lśniące czarne włosy opadały jej kaskadą na plecy. Była ubrana w białą sukienkę wkładaną przez głowę, z wyhaftowanym na piersi deseniem z różyczek. Za jej plecami znajdowało się przejście na zaplecze, przesłonięte ceratą w białoczerwoną kratę. Nie mówiła ani po angielsku, ani po hiszpańsku, znała tylko miejscowy język *mam* i Snow musiał jej przekazać na migi, że chciałby się napić kawy. W odpowiedzi wyjęła butelkę piwa i zakurzoną szklanę, a Snow uznał, że nie warto się wysilać i precyzyjniej określać swoich potrzeb. Zaniósł piwo do stolika i usiadł, oparłszy się plecami o ścianę. Wodził wzrokiem po pustej ulicy, od czasu do czasu popatrując na dziewczynę, która z nudów przecierała kontuar ścierką.

Ciepłe piwo nie poprawiło mu humoru. Uznał, że posiedzi tak piętnaście minut, nie więcej, a potem przespaceruje się po wiosce, zobaczy, co się zmieniło, po czym, w zależności od nastroju, albo pójdzie obejrzeć różowy betonowy klocek (przypuszczalnie burdel), albo zwieje, gdzie pieprz rośnie; w tej chwili skłaniał się raczej ku tej drugiej możliwości. Powtarzał sobie, że wystarczająco już udowodnił swoje zaangażowanie. Był to z jego strony pusty, romantyczny gest, głupstwo, ochłap rzucony sumieniu. Przyjechał do Tres Santos, nie znalazł tu nic ciekawego, nie zobaczył nic, co miałoby związek z Guillermo, czaszką ani jego własną przeszłością - w takim razie mógł bez żalu wracać do domu.

Gdziekolwiek ten dom był.

Akurat podniósł butelkę do ust, gdy zza oddzielającej zaplecze ceraty wynurzył się chudy, niski, blade człowieczek. Mógł mieć trzydzieści kilka lat, był wzrostu tutejszej barmanki (czyli o dobrą głowę niższy od Snowa), miał przyszczyżone ciemne włosy i luźną

koszulę bez guzików, uszytą z szorstkiego płótna. Cechowała go plastikowa uroda telewizyjnego gwiazdora, symetria rysów, które wydawały się dziełem chirurga zamierzającego stworzyć męską lalkę o wyrazistych kościach policzkowych i kanciastej szczęce, ale zarazem po kobiecemu delikatną, o czym świadczyły pełne usta i ogromne oczy. Odgarnął na bok włosy dziewczyny i pocałował ją w szyję, nie pozostawiając wątpliwości co do natury ich związku. Skinął uprzejmie głową Snowowi, oparł łokcie na kontuarze i zagadnął:

- Przyjechał pan pozwiedzać?

- Słucham? - zdziwił się Snow, zbity z pantałyku nieoczekiwanym wtrętem intruza.

Domyślał się, kogo ma przed sobą. - Co pan powiedział?

- Pytałem, czy przyjechał pan pozwiedzać. - Mężczyzna wskazał plecak Snowa. -

Powłóczyć się. Popodziwiać widoki.

- A tak, tak... Wybieram się do Nebaj.

- Nebaj? Tam nic nie ma. To dziura zabita dechami.

- Jeździ stamtąd autobus... do miasta.

- No tak!

Mężczyzna wyszedł zza kontuaru i nieproszony przysiadł się do Snowa, mocno zaniepokojonego tą niespodziewaną bliskością. Nagle sala wydała mu się znacznie mniejsza niż przedtem, jakby intruz zajmował dużo większą przestrzeń niż w rzeczywistości. Jego ruchy były zwinne, mierzone, a zarazem teatralne w swojej precyzji. Oczy miał osadzone dziwnie nisko w oczodołach, co przydawało jego spojrzeniu drażniącej beznamiętności. Wskazał stojącą na stole butelkę.

- Nie za wcześnie na piwo?

- Chciałem kawę, ale nie umiałem zamówić.

Mężczyzna rzucił coś zdawkowo do dziewczyny, która zniknęła na zapleczu.

- Kawa już się robi - zapewnił Snowa wesołym tonem. - Może zjadłby pan jajecznicę?

Albo tortillę?

- Nie, to... Dziękuję.

- Itzel coś przyrządzi, to żaden kłopot.

- Nie jestem specjalnie głodny.

- No, gdyby pan zmienił zdanie, to proszę się nie krępować.

- Dzięki.

Snow nie umiał umiejscowić akcentu, z jakim tamten mówił. Na pewno nie pochodził z Temalagui. Może gdzieś dalej z południa... Argentyna? Chile?

- Wie pan co... Wygląda mi pan znajomo.
- Wątpię - odparł Snow.
- Wątpi pan, że wydał mi się znajomy? To się nazywa tupet.
- Chodziło mi o to, że raczej nie mieliśmy okazji się spotkać.
- Nie mówiłem, że się spotkaliśmy.

W głosie mężczyzny zabrzmiała nuta irytacji, a Snow odniósł wrażenie, że facet dosłownie kipi gniewem. Gniew musiał być jego podstawowym uczuciem.

Wróciła Itzel z tacą, na której niosła słoik z kawą rozpuszczalną, drugi słoik, ze śmietanką rozpuszczalną, filiżankę gorącej wody i łyżeczkę. Na ulicy gdakały kurczaki, z boku przetruchtała Świnia, pochrzając rytmicznie.

Kawa otrzeźwiła Snowa, który zaczął szukać sposobu na zagajenie rozmowy i rozproszenie przyciężkiej atmosfery.

- Był pan w mojej głowie - wypalił nieznajomy.

Snow dał się zaskoczyć niecodziennym doborem słów.

- Pan albo ktoś bardzo do pana podobny - ciągnął intruz. - Próbowałem sobie przypomnieć.

- Nie wiem, o czym pan mówi.
- Oczywiście, że nie. Skąd miałby pan wiedzieć?

Niepokój Snowa nagle sięgnął zenitu.

- Proszę posłuchać, ja...

- Wie pan, kim jestem, prawda?

- Być może... - odparł Snow. Nie był pewien, czy kłamstwo w żywe oczy uszło mu teraz płazem.

- Kim? Słucham.

- Przypuszczam, że to pan mieszka w tym dużym domu na wzgórzu.

- Tak pan przypuszcza, ponieważ...

- Nie jest pan stąd, to widać, a mimo to, zachowuje się pan tak, jakby tu rządził.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

- Oj, chyba wie pan coś więcej na mój temat. Hmm?

Snow wyprostował się na krześle.

- Nie bardzo wiem, dlaczego podejrzewa mnie pan o jakąś szczególną wiedzę. Tak jak nie bardzo wiem, w co pan ze mną pogrywa. Dopiję kawę i sobie pójdę.

- Szkoda. Rzadko miewamy tu gości.

Wzrok Snowa zbłądził ku Itzel. Stała ze spuszczoną głową, obiema rękami oparta o

kontuar, nieruchoma, jakby zbierała siły.

- Naprawdę powinien pan chwilę u nas zostać. Przenocuję pana.

- To miłe z pana strony, ale muszę zdążyć na autobus.

- Tres Santos wygląda niepozornie, ale przygodnemu turyście oferuje wiele atrakcji.

Oczywiście, główną z nich - mężczyzna wykonał zamaszysty gest, jakby kłaniał się przed publicznością - jestem ja. Ludzie z całej okolicy przychodzą prosić mnie o radę. Doradzam im, owszem, czasem robię z tego małe przedstawienie. Dla rozrywki. Nic wielkiego, rutyna, powiedziałbym, mówiono mi jednak, że robi wrażenie.

- Pięknie. - Snow jednym haustem dopił kawę. - Szkoda, że nie mogę zostać.

Mężczyzna bez uprzedzenia przeciągnął plecak Snowa na swoją stronę stołu.

- Chwileczkę! - Snow wyciągnął rękę po swoją własność, ale tamten opędził się od niego. - Co pan robi?!

- Chcę zajrzeć do środka.

Intruz otworzył suwak na górze i zaczął przeglądać zawartość plecaka.

Snow zmartwił - ale zaraz doszedł do wniosku, że brak reakcji z jego strony tylko nasilił podejrzenia, że wie więcej, niż mówi, i znów sięgnął po plecak. Mężczyzna złapał go za przegub dłoni i ścisnął, aż zgrzytnęły kości. Snow krzyknął z bólu. Próbował się wyrwać, lecz uścisk był prawdziwie żelazny.

- Proszę tego więcej nie robić - powiedział intruz, zanim go puścił.

Snow rozmasował obolały nadgarstek, wyglądając na ulicę. Widoczne przez otwarte drzwi szare niebo, rdzawe błoto, kałuże, domy i skrawek zbocza drżały, jakby powietrze i wszystkie obiekty w zasięgu wzroku składały się z tej samej niestałej materii, poruszonej teraz wspólnym zaburzeniem.

Wpadł jak śliwka w gówno. Nerw w szczęcie zadrżał mu nerwowo.

Intruz przeglądał tymczasem jego paszport.

- Snow... - przeczytał. Kilka razy powtórzył nazwisko, jakby go bawiło. - George Snow.

- Craig - poprawił go odruchowo Snow.

- Tu jest napisane George.

- Nie lubię tego imienia. Na drugie mam Craig i tego używam.

- George lepiej do pana pasuje - stwierdził obojętnym tonem nieznajomy.

Wyjął z plecaka brudną roboczą koszulę, rzucił ją na ziemię. Wyciągnął dzinsy.

- Rzeczy do prania - mruknął Snow, rozcierając nadgarstek.

- Na to wygląda. - Mężczyzna sięgnął do kieszeni dzinsów. - A to co?

Wyłuskał buteleczkę, otworzył ją i wytrząsnął sobie na dłoń trzy niebieskie pigułki.

- To chyba nie na receptę, co?

Zaniepokojony, że nieświadomie przemycił pigułki przez granicę, a następnie wystraszony, że intruz za chwilę każe mu je połknąć, Snow wykrztusił:

- Dostałem je od pewnej kobiety w Miami. Zapomniałem, że mam je przy sobie.

- To kontrabanda, prawda? Narkotyki? Sensowny jakiś?

- Jeśli ktoś lubi halucynować...

Mężczyzna spojrział na trzymane na dłoni pigułki, po czym wrzucił je sobie do ust. Po krótkiej wewnętrznej dyskusji Snow doszedł do wniosku, że jeśli facet poczuje się otruty, może mu chcieć zrobić krzywdę, i uznał, że nadmiar ostrożności nie zawadzi.

- Na pańskim miejscu wypłułbym je - powiedział. - Kobieta, która mi je dała, ostrzegła, żebym nie brał więcej niż po jednej.

Intruz wyłuskał dwie kolejne pigułki i też je połknął.

- Jezus, Maria! Idźże, człowieku, wsadź sobie palec w gardło! Słowo daję, to gównem może ci nieźle zlasować mózg!

- Proszę się nie obawiać, nic mi nie będzie.

- No, nie wiem... Ja mam spore doświadczenie z narkotykami, a jedna taka piguła zwarzyła mnie na ponad dobę.

Rozmówca Snowa chyba poczuł się urażony, bo odparł wyzywająco:

- Jestem dość odporny na narkotyki. Mógłbym połknąć całą tę fiołkę i nic by mi się nie stało.

- Skoro na pana nie działają, to po co je pan łyka?

- Czasem działają. Po prostu mi nie szkodzą. - Mężczyzna stracił zainteresowanie plecakiem i odsunął go nogą. - Kawa pewnie panu wystygła. Napije się pan świeżej?

Wszystko, żeby zyskać na czasie, pomyślał Snow. Potrzebował czasu, żeby wykombinować, jak spławić tego kurdupla. Poprosił o dolewkę i skinął filiżanką na Itzel.

- U siebie zaparzę panu lepszą. - Mężczyzna zgrzytnął odsuwającym krzesłem. - Proszę wziąć plecak, każe komuś wyprać pańskie rzeczy.

Nie wiedząc, jak się zachować, Snow zerknął pytająco na Itzel, która jednak nadal wpatrywała się w blat kontuaru. Może to samo w sobie powinno być dla niego informacją. Przyszło mu do głowy, żeby rzucić się na intruza z pięściami, wziąć go przez zaskoczenie - ale wątpił, żeby dobrze się to dla niego skończyło. Mimo mikrej postury znaczna siła mężczyzny sugerowała sprawność fizyczną, więc ucieczka też raczej nie wchodziła w grę.

Nieznajomy pierwszy wyszedł na pustą ulicę i żwawym krokiem ruszył w stronę

różowego budynku. Po chwili jednak zatrzymał się znieca, odwrócił i oparł dłoń o pierś Snowa.

- Wiesz, kim jestem. Nie zaprzeczaj.

Snow był przekonany, że przyznanie się do jakiegokolwiek wiedzy byłoby fatalnym błędem. Czuł, że serce wali mu jak młotem.

- Nigdy przedtem pana nie widziałem.

Mężczyzna go spoliczkował - lekko, tak jakby próbował go obudzić, ale dłoń miał twardą jak kość. Głowa Snowa odskoczyła w bok, on sam zatoczył się krok w tył.

- A może jednak?

- Przysięgam, że nie! Nic o panu nie wiem!

Mężczyzna zrobił zawiedziona minę, jakby nie oczekiwał wyznania prawdy, tylko raczej miał nadzieję czegoś się dowiedzieć. Odwrócił się i ruszył dalej. W szarym świetle wszystko stawało się płaskie. Wzgórze z dwoma nowymi budynkami wyglądało jak malowane tło.

- Możesz mnie nazywać Jefe. Wszyscy tak mnie nazywają, chociaż wcale nim nie jestem.

\* \* \*

Kobiety zerkały na nich z okien różowego budynku, jedna nawet pomachała zachęcająco, ale Jefe udał, że jej nie widzi, i wszedł do środka przez drzwi, przy których znajdował się interkom. Za drzwiami ciągnął się betonowy tunel z sufitem zawieszonym zaledwie stopę nad głową Snowa, na całej długości oświetlony jarzeniówkami. Oczyma wyobraźni ujrzął toczące się tunelem wózki elektryczne wiozące umundurowanych mężczyzn do centrum dowodzenia. Mieli zawzięte miny, pistolety, tajne rozkazy i kody do odpalenia rakiet. Kątem oka zerkał na Jefe, wyczekując skutków działania niebieskich pigułek, ale Jefe szedł miarowym, niezmaconym krokiem, a kiedy się odzywał, mówił krótko i do rzeczy.

Po trzech, czterech minutach (według Snowa) znaleźli się w sporym pokoju wyłożonym boazerią i bordowym dywanem, dyskretnie oświetlonym i zaopatrzonym w troje drzwi prowadzących, jak domyślał się Snow, do sypialń, kuchni i tym podobnych. Poczesne miejsce zajmował w nim podłużny stół bankietowy otoczony krzesłami z wysokim oparciem, z blatem zrobionym z drzwi starego kościoła, na których wyrzeźbiono skomplikowaną scenę zaczerpniętą z typowej dla Temalagui pomieszanej kosmologii: udrczeni mężczyźni i kobiety zanosili błagania do aniołów, którzy szybowali w powietrzu tuż poza ich zasięgiem i sprawiali wrażenie zarówno obojętnych na cierpienie ludzi, jak i nieświadomych machinacji innych, mniej wyraziście przedstawionych istot, które nad ich głowami przemierzały



firmament jakimś statkiem solarnym. Przy ścianie stał mahoniowy kredens, a na nim bateria trunków, rzędy kieliszków i wiaderka na lód. Nad nim był zawieszony płaski telewizor. Na przeciwległej ścianie wisiały cztery zdjęcia w aluminiowych ramach, przedstawiające wyjątkowo efektowne układy chmur. Luksusowy pokój wydawał się pustawy, jakby skromna liczba sprzętów nie wypełniała należycie przestrzeni, i Snow doszedł do wniosku, że jego mieszkaniac ma wprawdzie pewne pojęcie o wnętrzarstwie, ale cierpi przy tym na poważny niedowład ogólnego poczucia estetyki.

Jefe wskazał mu miejsce przy stole, powiedział coś do zawieszzonego na ścianie interkomu i zwrócił się do Snowa:

- Idę na górę, wrócę za godzinę, może dwie. - Otworzył drzwi, za którymi znajdowały się schody. - Yara przyniesie ci kawę i przekąski, gdybyś miał ochotę.

Snow żywił wprawdzie słabiutką nadzieję, że Yara przetrwała zagładę kultu czaszki, jednakże dotychczas traktował tę swoją wiarę jak pobożne życzenie. Teraz, na dźwięk jej imienia, na beztroską wzmiankę o jej istnieniu poczuł się tak, jakby bomba wybuchła mu pod czaszką i zmiotła wszelką zdolność rozumowania. Po wyjściu Jefe wstał od stołu - i natychmiast musiał usiąść z powrotem; doznał tak silnych zawrotów głowy, że omal nie zemdłał. Gapił się na dwoje drzwi w głębi pokoju, okruchy wspomnień przecinały niebo jego psychiki, a kiedy do pokoju weszła kobieta w bezkształtnym czarnym kitlu (który w pierwszej chwili wziął za koszulę nocną), poruszająca się sztywno, powoli, ostrzyżona krótko, przywodząca na myśl mniszkę, z twarzą poźłobioną bruzdami o wiele głębszymi, niżby się można spodziewać po trzydziestolatce... I kiedy rozpoznał w niej Yarę, swoją Yarę, w cudowny sposób ożywioną i wciąż piękną mimo niszczącego wpływu lat, zerwał się z krzesła, żeby ją przytulić. Wezbrała w nim wielka radość, otuliła go jak szata, którą szykował na taki dzień jak ten, lecz której nigdy przedtem nie włożył... I nagle znieruchomiał. Na twarzy Yary nie malowały się podobne uczucia, nie było na niej cienia szczęścia ani sympatii. Odsunęła sobie krzesło i oklapła na nie ciężko, dysząc płytko.

- Podobno masz coś do prania? - spytała, zebrawszy się na odwagę.

- Yaro, to ja... Craig.

- Wiem, kim jesteś. Daj mi swoje ubranie, to je wypiorę.

Zbity z tropu jej reakcją zapytał, czym ją rozzłościł.

- Poza tym, że mnie rzuciłeś? - Pociągnęła nosem. - Niczym.

- Próbowałem cię przekonać, żebyś poszła ze mną.

- Trzeba było się bardziej postarać. Albo przynajmniej uprzedzić mnie, że odchodzisz.

Nie musiałeś wymykać się po kryjomu.

- Chyba nie mówisz...

- Wszędzie cię szukałam. Ludzie brali mnie za wariatkę, bo ciągle o tobie mówiłam. Trzeba mi było powiedzieć. Nie próbowałabym cię zatrzymać, a przynajmniej moglibyśmy się należycie pożegnać.

- To wszystko było... - Pokręcił głową, sfrustrowany. - Nie masz pojęcia, jak się zniechęciłem za to, że cię porzuciłem. Ale bałem się. Nie wiedziałem, co robić.

- A ja chyba nie powinnam mieć do ciebie pretensji, że jesteś sobą.

To go zabolalo, ale upomniał się w duchu, że każda taka emocjonalna sekcja zwłok musi się zacząć od gorzkiej litanii.

- Właściwie to wcale nie twoja wina - ciągnęła Yara. - Nie byłeś częścią tego, co się tam działo. Ale zraniłeś mnie i na długi czas cię zniechęciłam. Dzisiaj twój widok budzi we mnie gniew i tęsknotę, ale to chyba tylko szczątki tamtych prawdziwych emocji.

- Posłuchaj, Yaro, ja...

- Daruj sobie. To przeszłość.

- Może dla ciebie. Dla mnie to trzynastoletnia terażniejszość.

Yara zaśmiała się smutno.

- Nie mów, że w głębi duszy jesteś romantykiem!

- Posłuchaj mnie przez chwilę, dobrze?

- Jeżeli przyjechałeś z myślą o tym, że uda ci się na nowo rozpalić nasz romans, to lepiej o tym zapomnij. Ten etap mojego życia jest zamknięty.

- Jak to możliwe? Przecież wciąż jesteś młoda. I piękna.

Widział, że te słowa sprawiły jej przyjemność, lecz próbowała ukryć ten fakt, zaciskając usta w wąską krechę dezaprobaty.

- Nie umiem powiedzieć, po co przyjechałem. Myślałem, że nie żyjesz. Może i miałem nadzieję, że cię spotkam, ale to nie była prawdziwa nadzieja, tylko...

- Przestań!

Uderzyła otwartą dłoń w stół. Jakby na dany w ten sposób sygnał, od strony schodów dobiegł mechaniczny chrzęst, który z każdą sekundą narastał, uniemożliwiając rozmowę.

- A to co, u licha? - zdziwił się Snow.

- On lata. Zamknij drzwi.

Snow zrobił, co mu kazano (hałas zmalął dwukrotnie) i wrócił do stołu.

- Zwróciłeś uwagę, że w wiosce nie ma mężczyzn? - spytała Yara, nie dając mu dojść do słowa. - W ciągu miesiąca od naszego przybycia do Tres Santos Jefe zabił wszystkich.

Niektórzy próbowali uciekać, ale on jakby wiedział, kiedy i gdzie uciekają, i dopadł ich po kolei. Zabija zresztą wszystkich mężczyzn, którzy tu przyjadą, z wyjątkiem członków PZP, ale ich też zabije, kiedy przestaną być mu potrzebni. Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że lepiej dogaduje się z mężczyznami niż z kobietami, tylko że jakiś zwierzęcy imperatyw każe mu ich mordować. Jakby pozbywał się konkurencji. - Zawiesiła głos. - Ciebie pewnie też zabije.

Snow miał ochotę zbyć jej słowa lekceważeniem, ale nie potrafił.

- Nie rób takiej zdziwionej miny. Nie wiem, jak znalazłeś to miejsce, ale przecież musiałeś wiedzieć o PZP, prawda? Wiedziałeś, że przyjazd tutaj to ryzyko.

- Musi być na niego jakiś sposób. Powiedz mi, co mam zrobić.

Twarz Yary, która przed chwilą nieco złagodniała, znów stała się nieprzenikniona jak kamienny mur.

- Nie mogę ci pomóc.

Snow nie wiedział, co powiedzieć.

- Mam ci to wyjaśnić? - spytała Yara. - Dasz radę mnie wysłuchać, nie przerywając mi i nie wyśmiewając mnie? Bo ja już nie mam do tego cierpliwości. Wielu rzeczy nie rozumiem, ale wiem swoje.

- Ile mi zostało?

- Myślę, że dzisiaj już nic ci nie grozi. - Odgarnęła włosy z czoła i nie bez złośliwości dodała: - Zresztą, nawet gdybym się myliła, masz jeszcze trochę czasu. Będzie latał godzinami.

\* \* \*

- Na pewno pamiętasz - zaczęła Yara - że kiedy jeszcze byliśmy razem, spotykałam się w mieście z różnymi mężczyznami. Przekazywałam im polecenia Griaule'a i dostarczałam pieniądze odebrane z „Club Sexy” i innych źródeł. Niewiele pamiętam z tych spotkań, ponieważ byłam wtedy jego marionetką, dość szybko jednak zorientowałam się, że pieniądze są przeznaczone na funkcjonowanie PZP, zakup broni, kampanie werbunkowe... Także na budowę tego kompleksu, który został ukończony całe lata przed tym, jak zamieszkałam w nim z Jefe. Wybudowano go według projektu, który osobiście przekazałam architektowi. Tego oczywiście też nie pamiętam, ale zapewniono mnie, że tak to się właśnie odbyło. PZP rosła w siłę, jej szeregi pęczniały i zadanie gromadzenia funduszy powierzono w końcu mężczyznom skuteczniejszym w tej roli ode mnie, ja zaś w dalszym ciągu pełniłam rolę łączniczki między partią i smokiem. Może się wydać dziwne, że to kobieta była szarą eminencją w zdominowanej przez mężczyzn organizacji, zwłaszcza później, gdy partia już

mocno stanęła na nogi. No, przynajmniej dla mnie zawsze było to trochę niezwykle. Zrozumiałam jednak, że ekstremiści często potrzebują jakiegoś tajemnego fundamentu, mistycznego składnika, który przydawałby powagi ich działaniom. Dla PZP stałam się takim właśnie składnikiem, taką Najświętszą Panienką, która urodziła im mesjasza, dlatego nie dotyczyły mnie ich uprzedzenia i nie groziła mi przemoc z ich strony. Jeżeli jakiś mężczyzna przekroczył granicę w kontaktach ze mną, a zdarzyło się tak nie raz i nie dwa, partia rozprawiała się z nim bezlitośnie. Kiedy jeszcze byliśmy razem, wielu rzeczy nie byłam pewna. Zdarzało się, że powątpiewałam, czy jestem jeszcze przy zdrowych zmysłach; wtedy twoje wątpliwości, twoje oskarżenia bolały znacznie bardziej, niż dawałam to po sobie poznać. Przechodziłam kryzys wiary i gdybyś został, kto wie, czy nie uciekłabym wkrótce razem z tobą. Kwestionowałam istnienie smoka, a w tych chwilach, gdy byłam pewna, że naprawdę istnieje i nie jest tylko wytworem mojej wyobraźni, podawałam w wątpliwość sensowność jego planu. Związanie się z PZP było dokładnym przeciwieństwem tego, czego chciałam dla siebie i dla kraju. Tylko że, kiedy ciebie zabrakło, mój kontakt ze smokiem stał się bardziej intensywny. Wcześniej, kiedy chodziłam do tej małej komory w czaszce, po prostu zasypiałam tam i wracałam z jakimiś mętными komunikatami w głowie. Po twoim odejściu te przekazy stały się wyraźniejsze i zaczęłam je odbierać także na jawie. Wyczuwałam ich ton, ich konfigurację. Stało się dla mnie oczywiste, że PZP to tylko jeden z etapów w długofalowym planie Griaule'a: partia miała chronić odrodzonego Griaule'a, aż nie będzie mu już dłużej potrzebna. Przez jakiś czas wydawało mi się, że połączył mnie z tobą w jakimś celu, na przykład, żeby wystawić na próbę moją wiarę. Dziś jednak wiem, że było to z mojej strony zarozumiałe. Pozbawiony ciała był słaby i naginanie ludzi do swojej woli zajmowało mu całe lata. Przeceniłam jego wpływ na naszą znajomość. Wraz z tym natężeniem komunikacji pojawiły się też bolesne skutki uboczne, które mocno ograniczyły moją zdolność poruszania się. Wkrótce nie byłam już w stanie chodzić do miasta i musiałam skupić się na wyznawcach: tłumaczyłam im, że coraz lepiej pojmuję naturę smoka, służyłam radą, przewodziłam uroczystościom takim jak ta, która cię spłoszyła. Okazało się, że miałeś pełne prawo się bać, ale ja po każdym takim wydarzeniu byłam zachwycona, wprost urzeczona, bo rozumiałam, że pewnego dnia w ten właśnie sposób urzeczywistnimy swój cel. Nasza społeczność to rosła, to znów się zmniejszała. Pułkownik de Lugo zmarł, zdążył jednak zwerbować kogoś na swoje miejsce. Tak to szło: jedni odchodzili, inni przybywali i tak pomału dążyliśmy do właściwej mieszanki ludzkiej, która miała umożliwić dokonanie się cudu. Tak silnie związałam się ze smokiem, że praktycznie zatraciłam świadomość własnego życia. Aż któregoś ranka obudziłam się z przeczuciem, że to będzie właśnie ten dzień.

Wszystko było takie jasne, takie ostre. Dokładnie wiedziałam, co robić. Od samego początku, od pierwszej chwili, gdy smok dotknął mojej jaźni, wiedziałam, że będę narzędziem jego odrodzenia, ale dopiero tamtego ranka w pełni pojęłam naturę tego aktu i przeobrażenia, którego wymagał. W tym aspekcie wyznawcy byli bliżsi prawdy ode mnie. Może złożył im szeptaną obietnicę, że będą dalej żyć w nim. O ile mi wiadomo, tak właśnie jest. Mnie jednak niczego nie obiecał i spodziewałam się, że to będzie dzień mojej śmierci. Zgromadziłam wyznawców przed czaszką i wprowadziłam ich w trans. Umysły smoka i mój osiągnęły stan doskonałego zespolenia, przeniknęły się nawzajem. Jego myśli były moimi myślami i na odwrót. To, co miało się wkrótce wydarzyć, rzeczywiście mogło napawać zgrozą i twoje skojarzenia z Jonestown były jak najbardziej uzasadnione, ja jednak widziałam tylko doskonałość zamiaru Griaule'a i byłam wniebowzięta, że jestem jego częścią. Zrobiło się bardzo ciepło, aż nieprzyjemnie. Ludzie zaczęli mdleć. Pamiętam, że martwiłam się o nich, ale znacznie bardziej niepokoiłam się tym, czy nie powinni być przytomni, żeby cud się udał. Potem coś zaćmiło mi umysł, straciłam jasność myślenia, a gdy doszłam do siebie, stwierdziłam, że błąkam się po dżungli daleko od czaszki. Nadal było bardzo ciepło, a na dodatek po paru sekundach spomiędzy drzew buchnęła fala gorąca jak po jakiejś eksplozji. Jej impet powalił mnie na ziemię. Najszybciej, jak mogłam, wróciłam na polanę. Domostwa zostały zdruzgotane, wyznawcy zniknęli. Czaszki również nie było, za to drzewa i krzewy pozostały nietknięte, nigdzie też nie widziałam śladów przypalenia czy choćby osmalenia. Byłam zrozpaczona, zginęły setki ludzi... Wiem, niby się tego spodziewałam, ale kiedy naprawdę się to stało, nie mogłam czuć się inaczej. Moja rozpacz brała się jednak mniej z żałoby po nich, a bardziej z żalu, że nie byłam świadkiem cudu. Tyle lat harowałam, żeby go przygotować, a potem go przegapiłam! No bo jakie były jego skutki? Czy jedyne, co się wydarzyło, to zniknięcie tłumu ludzi? Zaczęłam się rozglądać po polanie, szukać śladów, które pomogłyby mi odkryć, co się stało. Wtedy chyba znalazłam się na skraju obłądu. Chodziłam, potykając się, to w jedną stronę, to w drugą, w szale okładałam kijem krzaki, aż w końcu znalazłam Jefe. Leżał skulony na spłachetku szmaragdowego mchu, niedaleko miejsca, w którym opierała się o ziemię żuchwa smoka: piękny mały mężczyzna, nagi i doskonały. Spodziewałam się, że smok odrodzi się w swojej dawnej postaci, ale od razu go rozpoznałam. Cała scena była tak urocza, tak spokojna, prawdziwy balsam dla mojej duszy. Miała w sobie coś z mitu. Jego mlecznobiała skóra na owalnym płacie jaskrawego mchu, pięści zaciśnięte jak u noworodka... Podeszłam i wzięłam go w ramiona. Obudził się pod moim dotykiem i powiódł dookoła zdezorientowanym wzrokiem; nie umiał mówić, wczepił się tylko we mnie. Oczekałam, aż sam stanie na nogi, i wyprowadziłam go na drogę. Niedługo potem znaleźli

nas ludzie z PZP i zabrali do Tres Santos.

Yara wzięła głęboki wdech, po czym powoli wypuściła powietrze.

- Od tamtej pory minęły lata. Poczynił niesamowite postępy. Nauczył się mówić i zachowywać jak człowiek. Właściwie nawet nie nauczył, to nie tak... Kiedy próbowałam go czegoś uczyć, po dniu albo dwóch nagle przejawiał całe spektrum odpowiednich zachowań. Tak jakby dostawał ode mnie klucz do otwarcia drzwi, za którymi kryła się skarbnica wiedzy. Kierują nim jednak instynkty różne od naszych i nie do końca nas rozumie. Pomaga PZP w realizacji jej planów; ma genialne wyczucie polityki i jest błyskotliwym taktikiem. Nie pamięta nic ze swojego życia przed odrodzeniem, pamięta natomiast, że planował polityczną dominację nad światem, i ma świadomość, że coś mu nie wyszło. Ma taki powtarzający się sen, w którym stoi na arenie w obliczu tysięcy ludzi; mówi, że kiedy ten sen się ziści, on się zmieni. Jeżeli dobrze go rozumiem, chodzi o kolejną alchemiczną transformację, bardziej radykalną, która pozwoli mu odzyskać pierwotną formę i latać jak dawniej, bez mechanicznego wspomagania. - Yara zaśmiała się promiennie, czym zbiła Snowa z tropu. - Gdybym mu pozwoliła, najchętniej nic innego by nie robił, tylko latał. Ani ja, ani PZP nie wrywamy się do opowiadania mu o przeszłości: ja się boję, że pośpiech mógłby mu zaszkodzić, a oni wolą, żeby jak najmniej wiedział, bo wtedy łatwiej go kontrolować. Wydaje im się, że kiedy przestanie im być potrzebny, pozbędą się go. Nie przyjmują do wiadomości, że kontrolują go w bardzo ograniczonym stopniu... o ile w ogóle. - Skrzywiła się i usiadła wygodniej. - To by było tyle, tak w skrócie. Wiem, że brzmi to jak wariactwo, ale... - Wzruszyła ramionami.

Rzeczywiście, brzmiało to jak wariactwo, klasyczny przypadek urojeń, i Snow chętnie złożyłby zachowanie Yary na karb obłądu. Widział jednak dość, żeby myśleć inaczej, i był w zasadzie pewny, że grozi mu niebezpieczeństwo. Słuchał jej jednym uchem, zamartwiając się o swoją przyszłość, gdy nagle jedno zdanie zwróciło jego uwagę: „Gdybym mu pozwoliła, najchętniej nic innego by nie robił, tylko latał”. Wynikało z tego, że Yara ma wpływ na Jefe.

- Jaka właściwie jest w tym twoja rola? - spytał. - Jesteś zastępczą matką?

- Na początku takie określenie pasowałoby idealnie. Potem dojrzał, a ja stałam się bardziej pielęgniarką i służącą. Czasem pyta mnie o radę. Ufa mi, i to już się chyba nie zmieni.

- Czy możesz mi powiedzieć coś, cokolwiek, co by mi w tej chwili pomogło? Na pewno umiesz nim manipulować. Wiesz, który guzik nacisnąć.

- Pochlebstwo. Lubi pochlebstwa, tylko że jest taki nieprzewidywalny, taki kapryśny... Może uda ci się w ten sposób odwlec nieuniknione, ale prędzej czy później zwróci się

przeciwko tobie.

- No to chyba powinienem wiać. To moja jedyna szansa.

- Nie! - Yara wyciągnęła rękę, jakby chciała go powstrzymać, lecz nagle zmieszała się tym wyrazem troski. - Jest wyjątkowo okrutny wobec tych, którzy próbują uciekać. PZP rozlokowała kiedyś na wzgórzach snajperów, żeby mieli na niego oko. Wytropił ich, dopadł i rozszarpał na kawałki.

- Widziałaś to?

- Widziałam, co zrobił z człowiekiem, który wydał snajperom rozkazy. Widziało to także dwóch innych oficjeli z PZP, a mimo to, nadal uważają, że mogą nim sterować.

- A to w ogóle możliwe?

- Pytasz, czy ja to potrafię? Ja nie chcę. On jest naszą jedyną szansą.

Znów ten wyświechtany polityczny argument: każda zmiana jest dobra, bez względu na ryzyko. Była to teza całkowicie odporna na logikę, mimo to, Snow zapytał:

- A koszty? Wyrznął wszystkich mężczyzn w wiosce i cholera wie, ilu poza nią. Następni...

- A co ty wiesz o kosztach? Ja mam na sumieniu ponad osiemset dusz, wśród nich wielu przyjaciół. Od lat wiem, że jestem przeklęta. Chcę, żeby przeszedł tę drugą przemianę, nawet za cenę życia tysięcy ludzi. My go wcale nie interesujemy. Kiedy będzie mógł latać, pójdzie swoją drogą, a my zostaniemy sami ze swoimi problemami. PZP nie przetrwa jego odejścia, to nieudacznicy. Wiem, co mówię, osobiście pomagałam rekrutować ich wierchuszkę. Kraj wybuchnie, armia pogrzeży się w chaosie i wreszcie pojawi się szansa na jakieś reformy w Temalagui.

- Jeżeli sytuacja wygląda tak, jak mówisz...

- Tak właśnie wygląda!

- Przyjmujesz ryzykowne założenia. A jeśli się mylisz? Co będzie, jeśli wcale was nie porzuci? Albo jeśli okaże się, że ta cała „druga przemiana” to mrzonka? Pchniesz ojczyznę w łąpska potwora!

- Bywało gorzej. - Głos Yary zdradzał teraz mniej napięcia, a więcej czułości. - Nie znasz go tak dobrze jak ja. Nie obchodzi go nic, co ludzkie: zemsta, polityka... To tylko środki do osiągnięcia celu, nic więcej. Oczywiście, on jeszcze nie widzi tego celu, bo nie zna swojej przeszłości. Nie pamięta stuleci, które spędził sparaliżowany na równinie. Ma niewielkie pojęcie o tym, co się działo, zanim przebudził się wtedy w dżungli. Kieruje się instynktem, powtarza zachowania wykształcone w czasach, kiedy był smokiem. Chce latać i posuwać smoczyce, to wszystko. Kto jak kto, ale ty powinienes go rozumieć.

Snow udał, że nie słyszy docinka.

- Wkurwi się, kiedy się dowie, że nie ma żadnych smoczyc.

- Tego nie wiesz.

- Wierzysz w te bajki o smokach żyjących gdzieś w Argentynie? - Snow prychnął pogardliwie. - Albo w Australii?

- Widzisz? Zawsze reagujesz tak samo. Nie da się z tobą porozmawiać, żebyś ze mnie nie drwił. Tak, masz rację! Nie znam wszystkich odpowiedzi i ostatecznie może się okazać, że nie miałam racji. Ale do tej pory się nie pomyliłam, prawda?

Dobiegający zza drzwi mechaniczny chrzęst wzniósł się o ton wyżej i uciszył ich na dłuższą chwilę.

- Mogłabyś mi pomóc, gdybyś chciała - burknął Snow.

Yara westchnęła, zniecierpliwiona.

- Co robiłeś po tym, jak mnie rzuciłeś?

- A co to ma do rzeczy?

- Zrób mi tę przyjemność i powiedz. Kiedy wyjechałeś z Temalagui, dokąd poleciałeś?

- Do domu.

- Co tam robiłeś?

- Znalazłem pracę. Trochę pisałem.

- Przez twoje życie przewinęło się pewnie sporo kobiet. I narkotyków.

- No, fakt... Ale wiesz, dużo myślałem o tobie, bo dotarło do mnie...

- Czyli miałeś pracę, pewnie akurat wystarczającą, żeby się utrzymać. Pisywałeś jakieś rzeczy, które nigdy nie ujrzały światła dziennego...

- Coś niecoś opublikowałem!

- ...i bzykałeś wszystko, co się akurat napatoczyło. Żyłeś w Idaho tak samo jak tutaj. I co, mam wszystko poświęcić dla kogoś takiego? Gdybym mogła ci pomóc, a nie mogę, to dla ciebie miałabym odrzucić...

- To nie fair!

- Czyżby? Przecież sam tak powiedziałaś.

- Upraszczasz. Tak było, przywykłem do takiego życia, ale w mojej głowie dużo się działo.

- Aha, czyli skrywasz ukrytą głębię? To właśnie chcesz mi powiedzieć? Że wyrosła ci dusza? A kogo to obchodzi? Dla ciebie mam zaprzepaścić naszą jedyną szansę pozbycia się prawdziwych bandytów? Tylko przez wzgląd na to, co kiedyś do ciebie czułam? - Yara



machnęła ręką, jakby oganiała się od natrętnych much. - Wal się! Dość tego pieprzenia, mam ci uprać rzeczy.

Oparła się o stół, przygryzła wargę i wstała z wysiłkiem. Zachwiała się na nogach. Snow złapał ją za łokieć i podtrzymał, a ona, posłuszna staremu odruchowi, przysunęła się i wtuliła mu w ramię. Objął ją w talii; mimo osłabienia była gibka jak zawsze. Spięła się i zaczęła szybciej oddychać, a Snow złapał się na tym, że zastanawia się, od jak dawna nie miała kochanka.

\* \* \*

Tego samego wieczoru zaciągnęła go do wychodzącego z jadalni wąskiego korytarza, przy którym znajdował się ciąg małych pokoi, bardziej przypominających cele niż sypialnie: gołe betonowe ściany, mała łazienka, brak zamka w drzwiach. Kazała mu się rozgościć i zapowiedziała, że będzie w innym pokoju, w głębi korytarza, gdyby czegoś potrzebował. Chciał jej powiedzieć, że potrzebuje jej szczerości i pomocy, ale zdał sobie sprawę, że jeśli ma liczyć na jej pomoc, to na pewno nie powinien prosić o nią wprost. Delikatny nacisk, który stosował od początku tej pierwszej rozmowy, wspomnianie złotych chwil sprzed lat, dotykanie jej przy każdej okazji i jak najczęstsze zasiewanie wątpliwości na temat Jefe, ale dyskretnie, chytrze... Tylko tak mógł na nią wpłynąć. Wiedział, że robi postępy, ale jak długo będzie mógł być delikatny?

Leżąc w łóżku, trochę jeszcze pokombinował, ale w końcu przysnął. Niedługo potem (sądząc po tym, jaki był otepiały, minęła godzina, może dwie) obudził się z silnym wrażeniem, że ktoś jeszcze jest w pokoju.

Uchylił powieki i przez szparki dostrzegł stojącego przy łóżku mężczyznę, właściwie same nogi odziane w dżinsy. Udał, że śpi. Sekundy wlewały się niemiłosiernie. Płuca Snowa skomlały, serce waliło jak młotem - i nagle poczuł ciepły oddech na policzku. Przypomniał sobie opowieści Yary o dzikim charakterze Jefe. Wyobraził go sobie, jak kuca przy łóżku, zaciąga się wonią strachu i zastanawia się, co zrobić z więźniem. Z najwyższym trudem powstrzymał się od wrzasku i panicznej ucieczki; nie otworzył oczu i starał się oddychać normalnie, dopóki nie usłyszał cichego szcęknięcia zamykanych drzwi. Wciąż przerażony podszedł do umywalki i przemył twarz zimną wodą. Jego umysł się zatarł, oleisty szlam strachu oblepił trybiki myśli. Naciągnął dżinsy i upewniwszy się, że droga wolna, wyśliznął się na korytarz i na palcach przemknął do pokoju Yary. Działał bez żadnego planu, zwykły przerażony człowiek w poszukiwaniu czegoś znajomego.

Drzwi były uchylone na pół cala. Ostrożnie otworzył je szerzej.

Siedziała naga na łóżku i smarowała maścią jasną skórę, a zwłaszcza coś, co w

przyćmionym żółtym świetle lampki do czytania wyglądało jak ciemnozielone smugi, nieco podobne do tygrysyich pręg, na nogach i tułowiu. Zaokrągliła się od czasów młodości, piersi miała większe i cięższe, włosy łonowe gęste i splątane, ale wciąż była piękna, a jej ciało zachowało idealne proporcje, i dlatego, kiedy zrozumiał w końcu, że ciemnozielone krechy to rodzaj narośli z tej samej twardej substancji, z której składał się położony w centrum tego tatuażowego deseni wypukły romb, podobizna smoczej łuski, implant, jak twierdziła... Dlatego, kiedy to zrozumiał, poczuł jednocześnie odrazę, współczucie i podniecenie.

Odłożyła tubkę z maścią na nocną szafkę, gdzie stała już cała armia fiolek z lekarstwami, sięgnęła po plastikowe pudełko i wycisnęła na dłoń trochę balsamu. Stara romboidalna łuska (Snow domyślał się już, że to naprawdę łuska) straciła wyrazisty kształt, nieregularną plamą rozlała się po całym krzyżu; sprawiała wrażenie epicentrum, z którego choroba rozprzestrzeniła się na resztę ciała.

Kiedy Yara sięgnęła ręką za plecy i wykręciła szyję, żeby widzieć, gdzie się smaruje, dostrzegła Snowa. Wypuściła balsam z ręki, stęknęła, rzuciła się bokiem na łóżko i złapała koc, żeby się zasłonić. Snow wszedł do pokoju.

- Nie chcę, żebyś to widział! Proszę! - powiedziała.

Przysiadł na łóżku i uciszył ją, kładąc jej palec na ustach. W oczach Yary zalśniły łzy.

- Proszę - powtórzyła.

Chciał jej zadać pytania, ale wiedział, czego w tej chwili od niego potrzebuje. Podniósł pojemnik i zaczął ją nacierać balsamem, koncentrując się na tych miejscach, gdzie łuska stykała się ze skórą. Ukryła twarz w dłoniach, szlochając cicho, on jednak nie ustępował. Wcierał balsam w skórę i czuł, jak napięcie odpływa z jej ciała. Kiedy skończył jej smarować plecy, odwrócił ją na wznak i zajął się pręgami (teraz przypominały mu żyły jakiegoś niezwykłego minerału) przecinającymi jej brzuch i piersi; zdawało się, że oplatają i częściowo podtrzymują biust, niczym jakieś okrutne narzędzie tortur. Patrzyła na jego twarz, wyczekując (jak się domyślał) jakiegoś podejrzanego drgnienia mięśni, nieprzewidzianej zmiany rysów, która zdradziłaby nadmierną litość, perwersyjny zachwyty - cokolwiek poza mile widzianym oddaniem. Widząc jego spokój i szacunek, odprężyła się w końcu, przymknęła oczy i poddała się jego zabiegom. Wkrótce pierwsze westchnienie wymknęło się spomiędzy jej warg, melodyjne i niemądre; taki dźwięk mogłoby wydać zadowolone niemowlę. Niecierpliwość dała o sobie znać drżeniem i wygięciem pleców w łuk. Uważając, żeby nie potraćić Yary zbyt gwałtownie, Snow ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją. Jej usta, z początku obojętne, po chwili odpowiedziały na pocałunek, a kiedy Snow odsunął się od Yary, zauważył, że bruzdy znużenia wokół jej oczu i ust stały się płytsze, jakby nagle opadło

z niej brzemie lat. Dotknął jej brzucha, sutków, miękkiego ciała pomiędzy chorobliwymi pręgami...

Złapała go za rękę.

- Pragnę cię - wyszeptała - ale nie możesz wejść. To by mnie bolało.

Był nią zbyt pochłonięty, żeby tłumaczyć, że akt współczucia wyewoluował u niego w akt pożądania. Znalazł wreszcie ujście dla dręczącej go od z górą dziesięciu lat obsesji i rozkosz Yary była dla niego dostateczną nagrodą. Niczego więcej nie pragnął. Wsunął palce w jej rozpaloną wilgoć i sprowokował ją do krzyku, lecz nie był to krzyk bólu. Prowadząc ją przez przedłużony, konwulsyjny orgazm, przysunął twarz blisko jej twarzy i szepnął:

- Kocham cię.

Powtarzał te słowa jak kontrapunkt dla jej jęków, jakby w ten sposób mógł dowieść swojej miłości, do chwili, gdy zacisnęła uda, unieruchamiając jego dłoń, wtuliła głowę w jego pierś i drząc, przeżywała ostatnie wstrząsy wtórne.

- W porządku? - zapytał.

Skinęła głową, ale nic nie powiedziała. Dyszała ciężko, drżała na całym ciele.

W końcu poczuł się niezręcznie, tuląc ją w ten sposób i milcząc, zapytał więc, czy ma wyjść. Kolejne skinienie głową. Pomyślał, że pewnie jest zawstydzona tym, co się wydarzyło. Albo zdeorientowana. Albo jedno i drugie.

Wstał i poprawił pasek w spodniach.

- Zobaczymy się rano?

Potakujące mruknięcie.

Chciał jej znów powiedzieć, że ją kocha, ale przyszło mu do głowy, że ona może nie chcieć tego słyszeć. Podeszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz.

- Craig.

Podciągnęła prześcieradło, tak że widział tylko jej głowę i ramiona, oraz - oddzielone płachtą białego materiału, która wydawała się częścią innego ciała - prawe podudzie oznaczone ciemnozielonymi pręgami.

- Jutro, a jeśli nie jutro, to na pewno niedługo... sprowadzi tu kobiety z różowego domu.

- prostytutki?

- Tak, ale nie tylko. Urządzi przyjęcie. Kobiety wystąpią w prowokujących strojach. Zrobisz, co zechcesz, ale nie flirtuj z nimi. Ignoruj je. Udawaj, że ich zainteresowanie ci uwłacza.

- Dobrze.

- To taka próba. Będzie chciał sprawdzić, czy interesują cię jego kobiety. Jeżeli okażesz im obojętność, zyskasz na czasie.

Czekał, czy powie coś więcej, a gdy milczała, znów wyjrzał ostrożnie za drzwi.

- Craig?

- Mhm?

- Ja... Nie, już nic.

- A co z nami? - Odwrócił się do niej. - To go nie wkurzy?

Czas stał się elastyczny, rozciągnął się w jedną długą, bezkresną chwilę, zanim Yara w końcu odparła:

- Nie jestem jego kobietą.

\* \* \*

W ciągu następnych dni wszystkie pytania Snowa wyparowały - zarówno te sprzed lat, jak i te, które wynikły z ponownego spotkania z Yarą. Było oczywiste, że miała rację w kwestii obecności magii na świecie, aczkolwiek była to magia wyjątkowo złowieszcza. Szpecących jej ciało pasów ciemnozielonej łuski nie dało się wytłumaczyć inaczej niż bliskim kontaktem ze smokiem. Musiał to być fizyczny skutek ich nienaturalnej jedności duchowej, kara za obcowanie z bestią, klątwa, którą przyjęła na siebie, by osiągnąć zamierzony cel. Snow prawie dał się jej przekonać, kiedy powiedziała, że Jefe może się okazać siłą dobroczynną i jeśli dać mu wolną rękę, pomoże Temalagui wytyczyć swoje przeznaczenie - lecz świadomość, że zanim do tego dojdzie, on sam będzie od dawna martwy, wydatnie pomniejszała jego entuzjazm.

Zgodnie z przewidywaniami Yary, w następną noc po ich spotkaniu Jefe zebrał w jadalni około dwudziestu atrakcyjnych kobiet w samej bieliźnie. Snow, pomny opowieści Luisy Bazan, był skłonny zgodzić się z nią, że to jej Enrique kupił każdy ozdobiący je w tej chwili skrawek jedwabiu i koronki, ale rozumiał również, że pretensje o niewierność męża nie miały racji bytu; gdyby było inaczej, to - jeśli wierzyć Yarze - Enrique dawno by nie żył. Jedną z kobiet była dziewczyna z baru, Itzel, którą Jefe pchnął prosto w objęcia Snowa, a ona bez entuzjazmu zaczęła go gładzić po genitaliach. Snow, idąc za radą Yary, odtrącił ją. Wkrótce w pokoju zaroilo się od podpitych, rozszczebiotanych i roznegliżowanych kobiet, które dopadały Snowa pojedynczo i parami, zalecały się do niego i gruchały, próbowały go pieścić. Stojący w drzwiach Jefe przyglądał się temu lodowatym wzrokiem. Niewzruszony Snow odpierał czule ataki, splewiał adoratorki, udawał znudzenie, aż w końcu wylądował sam w kącie pokoju i doszedł do wniosku, że legendarną subtelność Griaule'a szlag trafił razem z jego wspomnieniami, bo w zachowaniu Jefe nie było nic subtelnego. Snow sam, nawet bez

pomocy Yary, przejrzałby ten podstęp. Zaczynał podejrzewać, że Griaule nigdy nie był naprawdę subtelnym, a jego reputacja w tej kwestii jest wielce przesadzona z powodu jego ogromnych rozmiarów (nawet bezczelne matactwo postrzegano by jako subtelną manipulację, gdyby manipulator był wielkości hrabstwa w Rhode Island) oraz łatwości, z jaką ludzie dają sobą manipulować - co z kolei wynika z ich skłonności do rozgrzeszania się z odpowiedzialności i zrzucania winy za swoje zachowanie na czynniki zewnętrzne, jakby byli zdani na łaskę sił, których nie są w stanie kontrolować.

W ciągu następnego tygodnia Snow kilkakrotnie widział samego siebie w roli wyrachowanego geniusza podstępny. Dęczony perspektywą bliskiej śmierci postrzegał te chwile jako krótkie i ulotne, a zarazem niezwykle ważne, wręcz kluczowe dla podtrzymania jego wysokiego mniemania na swój temat, poczucia własnej wartości i ogólnej samoświadomości, włączając w to wolę przetrwania. Co noc, niczym męska Szeherazada, odwiedzał Yarę w jej sypialni i ją pieścił; co noc wyciągał z niej nowe informacje (wskazówki, wzmianki, aluzje), które mogły przedłużyć jego życie. Później odczuwał z tego powodu krótką satysfakcję, może nie triumf, ale z pewnością zadowolenie ze swojej przebiegłości, a przy okazji pogłębiał łączący go z Yarą związek uczuciowy i odczuwał coraz silniejszą potrzebę zadowolenia jej, ulżenia w cierpieniu; z przykrością patrzył, jak za dnia porusza się po domu - była taka krucha, taka słaba. Te dwa rysy w jego zachowaniu spłótły się nierozzerwalnie jak spirale podwójnej helisy. Żaden z nich nie górował nad drugim, nie usiłował wysforować się naprzód, nie próbował uchodzić za bardziej autentyczny, mimo to, Snow był pewien, że jeden z nich zrodził drugi. Próbował zaskoczyć samego siebie, zajrzeć sobie zniechęcająco w głąb duszy, przekonać się, czy glebą, z której kiełkuje wszystko inne, jest w jego wypadku egoizm czy altruizm - albo czy oba ucieleśniają naturalny ludzki dualizm, dwie strony jednego medalu. Oczywiście nie udało mu się dojść do żadnych wniosków. Miał za to wrażenie, że strach przed śmiercią wcale nie jest u niego większy niż lęk, że nigdy nie zdoła zgłębić tajników swojego serca.

Którejś nocy, pod koniec tygodnia, Yara usiadła na nim okrakiem i pozwoliła mu wejść. Poruszała się niepewnie, z wahaniem, było widać, że odczuwa ból, który w końcu pokonała i zatraciła się w rozkoszy. Trzymał ją za biodra, prowadził, pomagał jej poruszać, sam zaś pozostał bardziej bierny niż zwykle, żeby przypadkiem nie zrobić jej krzywdy. Na widok pręg na jej ciele wyobrażał sobie, że przeniósł się do celi w tybetańskim klasztorze, a ona - widoczna w świetle maślanej lampki - jest kobietą z legend, do których ilustracje wiszą wszędzie na ścianach, służką jakiegoś mrocznego boga. Albo sama jest kobiecym wcieleniem nieosiągalnego archetypu, a znaki na jej ciele to rytualne symbole

doskonałego języka znanego tylko dziewięciu bodhisattwom, które raczej podkreślają jej urodę, niż jej ujmują. Opływała go jak miód i on również zatracił się w tej wspólnej chwili, w staro-nowym chaosie ich związku. Kiedy jednak zmęczeni się i legli bez słowa obok siebie, jego umysł wrócił w dawne koleiny i Snow zapytał, dlaczego wybrała właśnie tę noc, żeby się z nim kochać.

- Kochać się... - powtórzyła przekornie. - Kiedy pierwszy raz byliśmy razem, nigdy tak nie mówiłeś. Zawsze proponowałeś: „Pobzykajmy się”. Ależ się z ciebie zrobił dżentelmen...

- No dobrze - zniecierpliwiał się Snow. - Dlaczego się ze mną bzykałaś?

- Bo nie mogłam dłużej wytrzymać.

- To znaczy, że to nie było z litości? Pożegnalne dymanko?

Spodziewał się, że zaprzeczy, ale odpowiedziała tylko:

- Nie wiem.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że nie wiem!

Czekał na wyjaśnienie.

- Jefe może rano zaprosić cię, żebyś popatrzył, jak lata. Będzie...

- Powinienem powiedzieć „nie”, zgadza się? Udać chorego czy coś.

- Nie. Musisz się zgodzić. I musisz mu cały czas schlebiać, kiedy będzie latał. Jeżeli się zgodzi, pójdę z tobą, ale może mnie odesłać. Wtedy będziesz musiał klaskać i wiwatować, i to z zapałem, przez cały czas. A on może długo latać. Kilka godzin.

Na wpół uformowane myśli rozpychały się w głowie Snowa. Plama zimna rozlewała się mu się spod mostku na całe ciało.

- Muszę coś zrobić - powiedział.

Yara przytuliła się do niego.

- Nie mogę tak po prostu siedzieć i czekać na egzekucję.

Zarzuciła mu rękę na brzuch i oparła skroń na piersi, tak że nie widział jej twarzy.

- Yaro?

- Jestem tutaj.

\* \* \*

Codziennie rano o dziesiątej Jefe zjadał jedyny w całym dniu posiłek, złożony z czterech pieczonych kurcząt. Zasiadał u szczytu stołu w jadalni, szarpał mięso na pasy, przeżuwał je metodycznie, ogryzał kości do czysta i zostawiał z ptaków gołe szkielety. Siedzący na krzesłach Yara i Snow patrzyli, jak je. Na dany przez Yarę znak Snow

wyskakiwał z nedorzecznie lizusowskimi uwagami w rodzaju „Świetnie dziś wyglądasz” albo „Chciałbym mieć taki apetyt”. Jefe zerkał wtedy na niego, chrząkał, po czym odwracał wzrok, jakby w innej części pokoju dostrzegł coś ciekawszego. Czasem odzywał się do Yary, przypominając jej o jakichś obowiązkach, poza tym zaś kompletnie ją ignorował. Tego dnia jednak cały czas wpatrywał się w Snowa stalowym, obojętnym wzrokiem, a Snow patrzył na znikające kurczaki, odmierzał kolejnymi kęsami chwile do swojej śmierci i odczuwał przewidywalny, cyklicznie zmienny koktajl uczuć (strach, miłość do Yary, żal, złość na Yarę za współudział w jego decyzji o pozostaniu, gniew na siebie za tę złość, znowu strach i tak dalej), aż w końcu uznał, że ma tego dość i musi zrobić lub powiedzieć coś, co doprowadzi do konfrontacji.

Kwestia tego, czy faktycznie zadziałałby pod wpływem tego impulsu, pozostała nierozstrzygnięta, ponieważ w głośnikach telewizora rozległo się głośnie bzyczenie, a na ekranie wyświetlił się ziarnisty obraz trzech mężczyzn stojących przy wejściu do różowego budynku. Jeden wyglądał na ucznia szkoły średniej, miał króciutki jeża i błyszczącą wiskozową kurtkę z nadrukowanym godłem New York Yankees. Dwaj pozostali byli starsi, po czterdziestce, przy kości, ubrani jak zamożni obywatele, w kurtkach nie z wiskozy, lecz ze skóry. Jefe nie stracił panowania nad sobą, było jednak widać, że jest wściekły. Podeszedł do telewizora z połówką kurczaka w ręce i jedząc, patrzył, jak tamci przestępują z nogi na nogę.

- Jefe! - powiedział najwyższy z mężczyzn do zawieszanej przy drzwiach skrzynki. - Musimy porozmawiać!

Nie odwracając się od telewizora, Jefe skinął na Yarę. Podeszła z wahaniem do interkomu, włączyła mikrofon i zapytała:

- Czego chcecie? Wiecie, że nie lubi takich niezapowiedzianych wizyt.

- Mamy pilną sprawę. Próbowaliśmy dzwonić, ale nie było sygnału.

Jefe dotknął palcem ekranu w miejscu, gdzie stał młody chłopak.

- Co to za dzieciak? - spytała Yara.

- Chuy Velasquez. Jest z naszych. Zepsuł nam się samochód i Chuy zaproponował, że nas podrzuci.

- To dla mnie zaszczyt... - zaczął Chuy, ale ten wyższy go uciszył.

Yara spytała Jefe, czy chce, żeby Chuy zaczekał na zewnątrz. Jefe odgryzł następny kawałek kurczęcia.

- Yaro? - zaskrzeczał interkom.

- Zastanawia się - odpowiedziała.

- To niedopuszczalne - orzekł Jefe tak beznamiętnym tonem, jakby niedopuszczalność

była zwykłym faktem istnienia. - Zapytaj, o czym chcą rozmawiać.

Yara przekazała jego pytanie, na co wysoki mężczyzna odparł:

- Mamy kłopot z Ortegą. Moglibyśmy użyć siły i zrobimy to, jeśli będzie trzeba, ale to nam skomplikuje przyszłe kontakty. Jutro spodziewamy się dostawy, nie chciałem działać bez konsultacji z tobą.

Jefe zasyczał i wskazał drzwi prowadzące na schody.

- Zaczekaj tam na mnie.

- Kto, ja? - spytała Yara.

- Nie, on. - Jefe obejrzał się przez ramię na Snowa. - To sprawy prywatne, nie będziesz miał nic przeciwko temu, prawda?

Klatka schodowa była nieogrzewana i po kwadransie Snow zaczął marznąć. Ponieważ i tak nie słyszał, co dzieje się w pokoju, ruszył po schodach na górę. To wygnanie podniosło go na duchu: fakt, że Jefe nie chciał, żeby Snow słyszał, jak załatwia prywatne sprawy, można było interpretować jako zapowiedź zachowania go przy życiu, przynajmniej przez jakiś czas. No, chyba że był po prostu ostrożny. Zresztą takie rozważania miałyby sens, gdyby Jefe kierował się jakąkolwiek logiką i namiastką zdrowego rozsądku - co oczywiście nie było prawdą.

Tym sposobem Snow odzyskał swój naturalny pesymizm, zanim pokonał cztery biegi schodów i zatroskany otworzył drzwi na górze klatki schodowej. Zrobił jeszcze kilka kroków, zanim dotarło do niego, że przeniknął do samego serca kompleksu - a przy okazji prawdopodobnie także do sedna smoczej duszy Jefe.

Znajdował się na dnie olbrzymiego, jasno oświetlonego szybu, który na szerokość spokojnie pomieściłby trzy lub cztery obszerne stodoły. Uświadomił sobie, że zakończeniem szybu musi być wznoszący się na szczycie wzgórza biały budynek bez okien. Sklepienie (zawieszane na wysokości dobrych pięciuset, sześciuset stóp) miało ciemnoniebieski kolor jesiennego nieba. Ściany zdobiła fototapeta - gigantyczne powiększenia odbitek z jadalni: ośnieżone Himalaje w chmurach przeświecanych szklistymi jak diamenty promieniami słońca; spiętrzone warstwy malarskich chmur barwy pergaminu, obrzeżonych biało-złotą i brzoskwiniową lamówką, złożone formy pyłu i światła dopominające się o jakąś wyrafinowaną muzykę; turnerowski chaos dymów zlanych czerwienią i złotem, emanujący spizową poświatą i przywodzący na myśl wojnę w niebie; oraz kłęby chmur przechodzących od jasnych odcieni do głębokiego indygo, czasem przypominających jakieś prawie rozpoznawalne twarze i postaci, niczym rozplywające się w zmierzchu duchy sławnych ludzi. Z sufitu zwisały się setki, jeśli nie tysiące naprężonych srebrnych łańcuchów o drobnych



ogniwach, rozmieszczonych w dziesięciostopowych odstępach i opadających aż na dno szybu, gdzie znikwały w łukowatych prowadnicach w betonowej posadzce. Snow próbował przesunąć jeden z nich wzdłuż prowadnicy, ale nie był w stanie ruszyć go z miejsca. Przyszło mu do głowy, żeby poszukać jakiegoś mechanizmu sterowniczego. Zaczął się rozglądać i wśród łańcuchów dostrzegł płamę na podłodze. Z bliska wyglądała jak zakrzepła kałuża krwi.

Czując się jak dziecko porzucone w lesie cienkich srebrnych drzew, które nie dają cienia ani schronienia, zbiegł po schodach i usiadł na najniższym stopniu. Próbował pogodzić w myślach wspaniałość i niezwykłość szybu z osobą znajdującego się tuż za drzwiami bezwzględno mordercy. Gdyby ten smok w ludzkiej postaci miał w sobie choć odrobinę finezji, z pewnością przejawiałaby się właśnie w umiłowaniu nieba. Trudno jednak było uwierzyć, że taki mikrus jak Jefe mógłby czerpać przyjemność z czegoś innego niż upajanie się władzą. Wyczerpany nadmiarem napięcia Snow darował sobie dalszą analizę sytuacji i oparł głowę na przedramionach. Pod czaszką bębniła mu tylko jedna, makabryczna myśl.

Jakieś pół godziny później Yara wezwała go do jadalni. Znany mu z telewizora wysoki mężczyzna w asyście dwójki swoich kompanów stał przy wyjściu z tunelu. Miał gęste, lśniące włosy, wąsy przyszytych w równą kreskę ponad aroganckimi ustami i wylewający się z nadbrzusza brzuch. Ziarnisty obraz w telewizorze uniemożliwił Snowowi rozpoznanie go, teraz jednak nie mogło być wątpliwości: Enrique Bazan. Spotkali się przypadkiem raz albo dwa, kiedy Snow jeszcze pracował w szkole. Licząc na to, że Bazan go nie zapamiętał, Snow usiadł obok Yary i nie dał po sobie poznać, że go zna, ale Bazan natychmiast zareagował na jego widok.

- A ten palant co tu robi? - zapytał wyniośle.

- Pan Snow jest moim gościem. - Stojący między nim i stołem Jefe spoglądał z zaciekawieniem to na jednego, to na drugiego. - Znać się?

- Uczy mojego syna - burknął Bazan.

Wzrok Jefe spoczął na Snowie.

- Jaki ten świat mały...

- Już go nie uczę - poprawił Bazana Snow. - Rzuciłem pracę w szkole.

- Doprawdy? - spytał Bazan, podnosząc głos. - To dlaczego Luisa ciągle o tobie mówi, co? Wyjaśnij mi to!

- Nie masz innych zajęć, Enrique? - wtrąciła się Yara.

- Istotnie - zgodził się z nią Jefe. - Kiedy indziej do tego wrócimy.

Bazan poczerwieniał.

- Chuj tam, kiedy indziej! Chcę mu zadać parę pytań!

Starszy z jego towarzyszy - trochę do niego podobny, z identycznym wąsikiem i brzuchem, ale niższy i łysiejący - zastąpił mu drogę, żeby nie rzucił się Snowowi do gardła.

- Skurwiel posuwa moją żonę! - Bazan próbował odepchnąć kumpla, który dopiero z pomocą Chuya zdołał go obezwładnić.

- Naprawdę? - Sądząc po afektacji w jego głosie, Jefe świetnie się bawił. - Igrasz sobie z uczuciami Luisy?

- Skądże!

Snow próbował się zerwać na równe nogi, gotów dać upust zbyt długo powstrzymywanej złości, ale Yara wbiła mu paznokcie w rękę.

Bazan potrząsnął wściekle głową, jak byk osaczony przez rój natrętnych pszczoł.

- Co on tu robi, do kurwy nędzy?!

- Wybrałem się na wycieczkę - wyjaśnił Snow. - Jefe zaprosił mnie do siebie. A co się tyczy pańskiej żony, nigdy nie byłem z nią nawet na kawie.

- Uspokój się, Enrique. - Jefe podszedł do przygwożdżonego do ściany Bazana. - Ktokolwiek dobiera się do twojej żony, na pewno go dopadniesz.

- To on! Ja to wiem! Wiem, jak ona o nim mówi!

- I to ma być dowód? Że Luisa o nim mówi? Niezbyt przekonujące.

- Kurna, przecież od jedenastu lat jestem żonaty z jej grubym dupskiem! Znam ją!

- Nie ma znaczenia, kto się spuszcza w twoje łóżko. Prawdziwe draństwo nie ma nic wspólnego z twoją żoną. Dobrze mówię, Chuy?

Jefe poklepał Chuya po plecach, po czym przesunął dłoń wyżej, na kark. W odpowiedzi na ten przyjazny gest Chuy zerknął na niego przez ramię, na jego twarz wypłynął uśmiech... który nie zdążył nawet dobrze się uformować, gdy przeszedł najpierw w wyraz zaskoczenia, a zaraz potem w grymas bólu. Prawa noga chłopaka zadrżała konwulsyjnie. Ślina pociekła mu z ust.

- Prawdziwe draństwo to przyprowadzenie tu kogoś, kto nie był zaproszony - ciągnął Jefe, zwróciwszy się do Bazana. - Kogoś, kogo nie znam.

Chuy próbował chwytać i drapać dłoń Jefe. Dobywające się z jego gardła kwilenie stawało się coraz bardziej piskliwe. Jego stopy nie dotykały już ziemi, tylko wlokły się nad dywanem; czubkami palców ledwie szorował o koniuszki bordowego włosia.

- Jefe, przestań - powiedział Bazan. - To dobry chłopak.

Ramiona Chuya zadygotały konwulsyjnie, gwałtownie rozłożył ręce na boki, jak marionetka, którą ktoś szarpnął za sznurki.

Yara dźwignęła się z krzesła.

- On nie zrobił nic złego - odezwała się. - Puść go!

Zaskoczony Jefe odwrócił się w jej stronę, machnąwszy przy tym Chuyem jak szmacianą lalką.

- Nikt cię nie skrzywdził. - Yara usiłowała odgiąć jego palce, żeby poluznić chwyt na szyi chłopaka. - Chłopak wyświadczył ci przysługę, przywożąc ich tutaj. Wolałbyś nie wiedzieć o Ortedze? Puść go. Niech Enrique powie, co go sprowadza.

- Nie mieszaj się do tego! - warknął Jefe.

- Tak właśnie przywódcy traktują przyjaciół. - Yara znów zaczęła mu odginać palce. - Prezydenci, generałowie, królowie... Jakkolwiek każą się tytułować, wszyscy są świniami. Złoczyńcami. Musisz być od nich lepszy.

Na twarzy Jefe malowała się taka wściekłość, że Snow bał się, że za chwilę wybuchnie.

Głos Yary przybrał nudziarską, belferską nutę, jakby czyniła wymówki nieposłusznemu dziecku, poprawiając mu jednocześnie kołnierzyk:

- Obiecałeś słuchać moich rad, więc ci radzę. Nie możesz rzucać się od razu na każdego, kto zrobił coś, co ci się nie podoba. Musisz być rozważniejszy.

Jefe uderzył ją na odlew, puszczając jednocześnie Chuya. Zatoczyła się do tyłu, wpadła na stół, krzyknęła przeraźliwie, złapała się za biodro i osunęła na podłogę - ale natychmiast pozbierała się, usiadła i znów zaczęła go strofować, jakby rzucenie nią o ziemię było trywialnym, nic nieznaczącym przerywnikiem. Jefe ruszył w jej stronę i Snow, spodziewając się, że za chwilę znów będzie chciał ją uderzyć, poderwał się i zawołał:

- Świetnie! Mężczyzna musi umieć zaprowadzić porządek w domu!

Głowa Jefe błyskawicznie zwróciła się w jego kierunku.

- Bez porządku w domu nie może być mowy o dyscyplinie - ciągnął Snow. - Kim są ci ludzie, którym wydaje się, że mogą tobą rządzić, kiedy ty rządzisz ich krajem? To niedorzeczne!

- W działaniu powinieneś się kierować rozumem, nie emocjami. - Yara dźwignęła się na kolana. - Nie możesz tylko reagować na wydarzenia.

Jefe spojrzał na nią.

- Rozumem... Tak, bez dwóch zdań. - Snow zaczynał pojmować, do czego może prowadzić ten wątek poboczny. - Ale nie możesz tolerować podważania twojego autorytetu. Kara musi być.

Bazan i jego towarzysz podnieśli półprzytomnego Chuya. Nogi się pod nim ugięły, z piersi wydarł się jęk. Na ten dźwięk Jefe okręcił się na pięcie, ale dialog Yary ze Snowem

znów przykuł jego uwagę.

Yara:

- Musisz zachować równowagę...

Snow:

- Demonstracja charakteru ma swoją wartość.

- ...bo inaczej przestaniesz panować nad sytuacją.

- Nie możesz skutecznie rządzić, kiedy ludzie się ciebie nie boją.

Ciągnęli dalej w podobnym tonie, aż na twarzy Jefe odmalowało się niezdecydowanie.

Zdenerwował go dopiero Bazan, gdy zapytał, czy może odejść.

- Przede wszystkim musisz się nauczyć samokontroli - powiedziała Yara. - Ludzie nie będą szanować kogoś, kim rządzą nagłe impulsy.

- Chuy potrzebuje lekarza - wtrącił Bazan.

- Zgadzam się z Yarą - powiedział Snow. - Ale sama świadomość, że bywasz nieobliczalny, groźny, żelazna pięść w aksamitnej rękawiczce...

Bazan:

- Jefe, proszę!

- To właśnie jest coś, czym ich sobie podporządkujesz - dokończył Snow.

Jefe skinął mu głową, jakby przyjmował jego słowa do wiadomości, i całkiem opanowany ruszył ku schodom.

- Przeszłość to przeszłość - odezwała się Yara. - Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby wciąż ją powtarzać.

- Ale też nie powinniśmy się jej wyrzekać - zauważył Snow.

- Na miłość boską! - jęknął Bazan.

Jefe przykucnął i ryknął na niego. Grzmiący ryk z głębi gardła niósł taki ładunek dzikości, jakby miał być wstępem do ataku, lecz Jefe przemówił spokojnie:

- Zabierz swoje śmieci i zmiataj stąd. I nie dzwoń przez jakiś czas.

Głowa Chuya opadła do tyłu. Gęsta, ciemna krew spłynęła mu z ust.

Snow pokazał to Bazanowi.

- Wasz chłoptaş przecieka - zauważył.

Bazan, choć poruszony wybuchem Jefe, otrząsnął się już na tyle, żeby skłąć Snowa.

- W Nebaj jest przychodnia - powiedziała Yara. - Powinna być czynna.

Bazan jakby jej nie usłyszał.

- Jaja ci wyrwę, gnoju!

- Oszalałeś?! - Yara podkuśtykała do Bazana. - Wynoście się stąd, ale już! Zanim Jefe

zmieni zdanie!

Dwaj mężczyźni weszli do tunelu, ciągnąc ze sobą Chuya. Kiedy Bazan się obejrzał, Yara zamachała rękami i krzyknęła:

- Idźcie już! Idźcie!

Kiedy nieoczekiwani goście ruszyli w końcu w drogę do Nebaj, przydrożnego rowu lub gdziekolwiek indziej, gdzie zawiedzie ich przeznaczenie Chuya, Yara opadła ciężko na krzesło.

- I ty chcesz, żeby ten gość rządził twoim krajem? - spytał z niedowierzaniem Snow. - Serio?

Yara potarła obite biodro, odchyliła głowę w tył i zamknęła oczy. Jej twarz przybrała woskowo blade odcień.

Roztrzęsiony Snow zachwiał się na nogach i usiadł.

- Przy tym nadętym kutafonie Hitler będzie wyglądał jak przedszkolanka!

Znowu roztarła biodro. Spojrzała na swoją dłoń.

- Dobra, w porządku - mruknął Snow. Próbował się uspokoić, spowolnić tętno i oddech, ale wściekłość jeszcze raz wzięła w nim górę. - Kurwa, ty naprawdę wyobrażasz sobie, że z nim będzie wam lepiej?! - wybuchnął. - Upiorny nastolatek z moralnością Kaliguli! Powiem ci, że diametralnie zmieniłem zdanie na temat smoków. Zawsze miałem je za szlachetne potwory, przynajmniej w jakiejś mierze, ale teraz widzę, że to wyposażona w miotacze ognia banda szczyli, które wszystko podpalają i się tym brandzlują! - Zaśmiał się pogardliwie. - Pewnie zaraz sypniesz mi jakąś mądrością, jak to przemiana zmiażdżyła mu duszę, która jest teraz cała pomarszczona i zdeformowana jak ukrecone z balonika zwierzątko, ale kiedy tylko odzyska smocze ciało, od razu wróci do formy. Już to widzę: taka gadzia wersja Króla Lwa, kurwa jego mać!

Od nadmiaru adrenaliny kręciło mu się w głowie. Przed oczami przemknęła mu błyskawiczna sekwencja obrazów: Chuy ze stopami wierzgającymi w powietrzu, maleńka postać na tle boskiej nieskończoności chmur, i przepastna otchłań, w której dyndają srebrne łańcuchy.

- To miejsce z łańcuchami, czy to...?

- Pomożesz mi wrócić do pokoju?

- A może odpowiedziałabyś mi najpierw na pytanie? - odparował z goryczą.

Z góry dobiegł znajomy chrzęst.

Yara uniosła prawą rękę. Dłoń i palce były całe we krwi.

- Ja krwawię - powiedziała.

\* \* \*

W miejscu, którym uderzyła biodrem o kant stołu, krew sączyła się ze styku skóry i zielonego liszaja. Snow zatamował krwawienie i opatrzył ranę, po czym przysunął sobie krzesło i usiadł obok łóżka. Yara położyła się na zdrowym boku, trzymając go za rękę i ściskając ją mocniej przy każdej kolejnej fali bólu. Miał wrażenie, że w czaszce przemieszcza mu się jakiś półpłynny ciężar, koloidalny żel złożony z beznadziei i czegoś jeszcze, czegoś ciemnego i lodowatego. Musiał spuścić głowę, żeby zapobiec jego przelewaniu się.

Kiedy znów podniósł wzrok, Yara patrzyła na niego badawczo. Rumieńce wracały jej na policzki.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Dobrze.

Zapadła niezręczna cisza (przynajmniej Snow tak właśnie ją odbierał), po której oboje zaczęli mówić jednocześnie.

- Ty pierwsza - zaproponował Snow.

- Nie, ty.

- Nie mam nic konkretnego do powiedzenia. Chciałem po prostu mruknąć coś współczująco.

Oblizwała wargi.

- Chyba wiem, jak ci pomóc.

W duszy Snowa rozbłysnął jasny jak zapalka płomyk ożywienia.

- Kojarzysz jego legowisko, ten szyb z łańcuchami? Tam najchętniej zabija. A łańcuchy pozwalają mu latać. Tak naprawdę to nie jest latanie *per se*, tylko akrobacje, ale widok jest niesamowity. Na ścianach są półki, na których...

- Nie widziałem żadnych półek.

- Większość jest bardzo wysoko, nie widać ich z dołu. A te niższe zlewają się z malowidłami; musiałbyś wiedzieć, gdzie ich szukać. Tam przysiada. Odpoczywa.

- To twoja robota? Te półki, chmury... Pomogłaś mu przy szczegółach?

- To pomysł Griaule'a. Od siebie dodałam tylko jedną rzecz: w wypadku awarii łańcuchy da się odczepić od szyn w suficie. Każdy łańcuch można wymienić, ale każdy ma własny, odrębny kod. Kiedy się tu sprowadziliśmy, Jefe był jeszcze za słaby, żeby latać. Wynajęliśmy inżyniera i robotników, żeby wszystko przygotowali. - Yara upiła łyk wody i odstawiła szklankę na stolik. - Po kilku tygodniach opieki nad Jefe, takiej non stop, dwadzieścia cztery godziny na dobę, uświadomiłam sobie, jaki potrafi być krnąbrny, i zaczęłam się martwić, że nie będzie taki, jak chciałam.

- To ci niespodzianka...

- Chciałam mieć jakiś sposób, żeby go powstrzymać. Przekupiłam inżyniera. Dał mi kod, który odłącza cały centralny pęk łańcuchów jednocześnie. Najpierw poprosiłam o kod, który odczepiałby wszystkie naraz, ale inżynier uprzedził mnie, że wystąpi wtedy coś w rodzaju fali uderzeniowej i łańcuchy mogą zabić wszystkich w szybie. Kilkakrotnie już mnie kusilo, żeby użyć tego kodu, ale na razie wytrwałam przy swojej pierwotnej decyzji.

Domyślał się, co się zmieniło z jej punktu widzenia, dlaczego właśnie teraz postanowiła działać, ale chciał mieć pewność, chciał zapytać: „Dlaczego teraz?”, bo wątpił, żeby miało to coś wspólnego z Chuyem. Ugryzł się w język. Bał się, że naciśnięcie akurat tego guzika wywoła przyływ negatywnych emocji i Yara zmieni zdanie.

- Jaki jest ten kod? - zapytał.

- W legowisku, na lewo od drzwi, na wysokości wzroku znajduje się mała skrzynka z klawiaturą w środku. Kod to siedem, jeden, trzy, dziewięć, jeden. To data moich urodzin: trzynasty lipca dziewięćdziesiąty pierwszy. Potem w odpowiednim momencie wciśniesz Enter i Jefe spadnie. Ale to ja powinnam wpisać kod.

Usiadła na łóżku. Snow jej pomógł i podłożył poduszki pod plecy.

- Tak będzie najlepiej - ciągnęła, usadowiwszy się wygodnie. - Najprawdopodobniej zabierze cię na jedną z półek i tam zostawi, żebyś patrzył, jak lata; zwykle tak właśnie robi. Ja dokładnie wiem, które łańcuchy spadną, poza tym, wiele razy widziałam go w locie i mogę przewidzieć jego ruchy, a ty nie. Gdyby się nie zgodził, żebym poszła z wami na górę... No, może wtedy zostawi cię na dole, wtedy miałbyś szansę użyć kodu. Najlepiej byłoby, gdyby zabrał nas oboje. Powinniśmy udawać, że złościmy się na siebie nawzajem i kłócimy o to, jak powinien rządzić.

- Jak to?

- Nasz spór go zainteresował. Jeżeli uda nam się podtrzymać w nim to zainteresowanie, to, kiedy postanowi cię zabić, będzie chciał mieć mnie przy sobie, żebym zobaczyła, jak kładzie kres naszej kłótni.

- Mam lęk wysokości - przyznał Snow po chwili wahania.

- To się go pozbądź. - Yara pokręciła głową, żeby rozluźnić mięśnie karku. - Jeszcze jedno: może się zdarzyć tak, że będziesz musiał go dobić.

- Zaraz... Myślałam, że ma po prostu spaść z dużej wysokości i się zabić?

- Nie wiadomo, czy sam upadek go zabije. Na początku, kiedy dopiero uczył się latać, nieraz spadał. Musiał potem robić sobie dzień przerwy, ale to wszystko.

- Z wysoka spadał?

- Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stóp...

- Spadł z wysokości sześćdziesięciu stóp na beton i przeżył?!

- Tym razem łańcuchy zwałą mu się na głowę. To powinno załatwić sprawę, chociaż musimy być przygotowani na każdą ewentualność. Zabiorę ze sobą maczetę, ale to ty będziesz musiał jej użyć. Ja jestem za słaba.

- Nie mogłabyś zdobyć jakiegoś pistoletu?

Pokręciła głową.

- Mowy nie ma. Od tego wydarzenia ze snajperem nie pozwala się do siebie zbliżyć nikomu z bronią palną. Potrafi ją wywęszyć.

- A maczetę się nie boi?

- Codziennie widuje mnie z maczetą: zarzytam kurczaki, pielę ogródek... Poza tym nie obawia się ataku wręcz.

- Jezu, Chryste, ja pierdolę...

- Dasz radę! Będzie oszołomiony i zaplątany w łańcuchy.

- Nie dałoby się go spuścić z większej wysokości?

- Chce, żeby publika wszystko dobrze widziała. Zwykle sadza swoje przyszłe ofiary na którejś z niższych półek. Potem się rozpędza, wykonuje serię akrobacji przez środek szybu i wyskakuje na trzydzieści, czterdzieści stóp w górę. Porywa ofiarę z półki, przenosi jeszcze wyżej i wtedy ją puszcza. Wiele razy patrzyłam, jak to robi, i wiem, kiedy czego się spodziewać. Poza tą jedną sztuczką lata dość nieregularnie i szanse, że wtedy go dobrze wyczuję, bardzo maleją. Jeśli chcesz, możemy to jeszcze przedyskutować, ale gdyby w grę wchodziło moje życie, nie zaryzykowałabym.

Zarówno sam plan, jak i nagłe nawrócenie Yary wydały się Snowowi dziwnie kruche i nietrwale. Stanowczo za łatwo to poszło. Oczywiście, w rzeczywistości nie było w tym nic nagłego, pracował nad nią ponad tydzień, zanim przemyślała, co do niego czuje, i przeszła tę przemianę... Mimo wszystko był to szybki zwrot akcji.

- Masz dziwną minę... Coś się stało? - spytała.

- Próbuję to sobie... wyobrazić.

Przeszli do szczegółów. Yara wyjaśniła, że łańcuchy przesuwają się w górę i w dół, a także na boki w prowadnicach. Ich ruch można było dowolnie programować z klawiatury, ale Jefe zwykle wprowadzał kod gotowej wyreżyserowanej sceny. Pickupy - stojące w wiosce stare żółte toyoty - należały do PZP. Wyglądały jak wraki, ale były regularnie serwisowane i miały pełne baki; na pewno dałoby się nimi dojechać do granicy. Po śmierci Jefe nie będą mogli zostać w Temalagui, bo byliby ścigani do skutku. Gdyby jednak udało im się



przedostać do Stanów, mogliby gdzieś przycupnąć i pomyśleć, co dalej. Plan obrósł rozlicznymi „jeśli”, „i” oraz „ale”. Bez względu na to, jak starannie się przygotowują, będą musieli mieć ogromne szczęście.

Jedna rzecz nie dawała Snowowi spokoju, dręczyła go, przyprawiała o wątpliwości, aż w końcu nie wytrzymał i zapytał, dlaczego Yara zaryzykowała wtajemniczenie w sprawę inżyniera.

- Ryzyko było niewielkie. Wyboru nie miałam, a wiedziałam, że PZP zadba o to, żeby wszyscy zaangażowani w projekt zniknęli.

- Rozumiem, ale przecież mógł się wygadać, zanim go wykończyli. Zdradziłby cię, gdyby myślał, że w ten sposób się uratuje.

Yara spochmurniała.

- Więcej wiary... Zabiłam go, zanim miał szansę mnie zdradzić. Upewniłam się, że kod działa, i zadzgałam gościa. Tym z PZP wyjaśniłam, że chciał mnie zgwałcić.

Snow - skonsternowany tym wyznaniem i spokojną pewnością siebie Yary - pochylił głowę i podrapał się po karku, żeby ukryć swoją reakcję.

- Teraz rozumiesz, dlaczego powiedziałam, że jestem przeklęta?

\* \* \*

Przez następne dni Snow roił skomplikowane, paranoiczne fantazje z Yarą w roli głównej. W jego ulubionej, do której najczęściej wracał, cały plan zabicia Jefe był w rzeczywistości torturą mającą dodatkowo udręczyć Snowa, kłamstwem, które zapewni jego potulność, gdy Yara powiedzie go na rzeź. Wyobrażał sobie, jak Yara drwi z niego, gdy on modli się o śmierć. Na jej żądanie zaczęli sypiać osobno, żeby podkreślić fakt, że nie układa im się najlepiej, co tylko podsycalo jego paranoję. Skończyła z nim, zastawiła pułapkę i odrażający (dla niej) akt seksualny stał się zbędny - stąd pomysł z osobnymi łózkami. Nie do końca w to wierzył, ale kiedy uświadomił sobie, jak bardzo jego los jest od niej uzależniony i jak wiele zrobiła w przeszłości, żeby ocalić smoka, odczuwał pokusę, żeby myśleć o niej jak najgorzej.

- Pewnie wydaje ci się dziwne, że nigdy ci nie powiedziałam, że cię Kocham - powiedziała następnego dnia wieczorem, kiedy przyszedł powiedzieć jej dobranoc.

Był pewien, że powiedziała, i próbował sięgnąć pamięcią wstecz, żeby przypomnieć jej tę chwilę.

- Nie jestem pewna, skąd brał się we mnie ten opór. To znaczy, teraz chyba już to rozumiem, ale... - Udała, że uderza się pięścią w skroń. - Czasem wszystko mi się pieprzy. Poza tym, to chyba oczywiste.

- Co?

- Że cię kocham - odparła bez przekonania.

W przyćmionym świetle lampki (narzuciła niebieski szal na abażur) trudno było wyczytać coś z jej twarzy.

- Nie myśl, że mam wątpliwości. Po prostu najpierw musiałam zdecydować, co dalej z Jefe, a potem zaczęłam się zastanawiać, czy ty naprawdę mnie chcesz. Były też inne względy, inne naciski. Kocham cię, ale powiedzenie tego wprost wydawało mi się niezręcznością.

Usiadł na łóżku.

- Wiem, że masz problem z ufaniem ludziom.

- Nie w tym rzecz. Bardzo się zmieniłeś, odkąd...

- Wcale się nie zmieniłem. Jestem tym samym posthipisem, co zawsze.

Przetrawiła jego słowa.

- A ja? Zmieniłam się? Nie chodzi mi o wygląd...

- O tak. Jesteś zaradniejsza, bardziej pragmatyczna. Mniej humorzasta.

- Tak to bywa, jak człowiek staje się mordercą. Albo go to zniszczy, albo da mu cudowną pewność siebie.

- Nie sądzę, żeby to o to chodziło. Kiedy cię poznałem, miałaś już jednego gościa na rozkładzie.

Yara zrobiła zdziwioną minę.

- Tego Austriaka. Pedofila.

- Skąd o nim wiesz? Chyba nie ja ci powiedziałam?

- Nie, nie ty. Guillermo.

- Nie pamiętam, żebym zabiła Scheve'a - odezwała się Yara po długiej chwili milczenia. - Pamiętam, jak krwawił, ale nie jestem pewna, czy to prawdziwe wspomnienie. Kiedy byłam dzieckiem, chodziłam wiecznie naćpana i mnóstwa rzeczy nie jestem dziś pewna. Mniejsza z tym. - Pstryknięciem palca zbyła kwestie swojego dzieciństwa. - W głowie czuję się mniej więcej tak samo, jak kiedy się poznaliśmy, a ty mówisz, że się zmieniłam. Z tobą na pewno jest podobnie. Skoro zatem ja stałam się inną osobą, musisz się pogodzić z tym, że i ty nie jesteś dawnym sobą.

- To możliwe.

Tym razem milczenie trwało kilkanaście sekund.

- Zapomniałam, co chciałam powiedzieć. Zamąciłeś mi w głowie tą wzmianką o Schevie.

- Przepraszam.

- Przypomnę sobie. Być może. - Przycisnęła pięści do skroni. - Może nie odtworzę całego rozumowania, ale pamiętam, do czego zmierzałam. Oboje jesteśmy porąbani.

Snow parsknął śmiechem.

- Serio?

- Wysłuchaj mnie! To wcale nie jest śmieszne!

- No dobrze, słucham.

- Oboje jesteśmy porąbani, ty i ja. Ja od początku miałam pod górkę w życiu, a ty...

- Osiągnięcie stanu porąbania było w pewnym sensie moją ambicją - wtrącił Snow, lecz Yara puściła jego słowa mimo uszu.

- ...rozczarowałeś się światem w sposób, którego nie rozumiem. I nie jest to ważne. Kiedy się poznaliśmy, rzadko mówiliśmy o „kochaniu”. Nie wiem, czy to słowo w ogóle padło z naszych ust, ale oboje czuliśmy, że coś nas łączy. Coś mocnego. Nie analizowaliśmy tego, ślizgaliśmy się tylko dookoła. Tamtej nocy, kiedy przyszedłeś tu do mnie i powiedziałeś, że mnie kochasz, miałam świadomość, że nie jesteś ze mną całkowicie szczery. Ale też nie kłamałeś. Nigdy przedtem nie dałeś mi tak wiele. Poczułam to i dlatego zareagowałam. A potem... - Do tej pory mówiła pośpiesznie, teraz się zawahała. - Potem było już tylko lepiej. Każda kolejna noc jest lepsza. - Posłała mu bezradne spojrzenie. - Niepotrzebnie wspomniałeś o Schevie, cały czas mam go teraz przed oczami. Nie mogę myśleć.

Położył się obok niej, a kiedy odwróciła się do niego, pocałował ją w czoło i poczuł, jak się odpreża.

- Skończę tylko, co mam do powiedzenia. Za dzień, dwa możemy oboje nie żyć. Tego, co ma się wydarzyć, nie da się uniknąć, ale jest jeszcze dla nas szansa. Jeżeli przetrwamy, jeśli staniemy nawzajem w swojej obronie i zrobimy to, co zrobić trzeba, może uda nam się przekuć to nasze porąbanie, wszystkie nasze niedoskonałości w siłę. Niewielka to nadzieja, biorąc pod uwagę całą naszą przeszłość, moje straszne błędy, i twoje... Ale jeżeli zdołamy choć tyle ocalić, jeśli ocalimy nasz związek, naszą miłość, nasz potencjał, nazwij to, jak chcesz, to może na takim fundamencie uda się coś zbudować.

Tym razem przerwa w jej słowach trwała tyle, co skurcz przepony przy czkawce.

- Jezu, ale to drętwo zabrzmiało... Poukładałam sobie wszystko, dokładnie, co i jak powiedzieć, a ty nagle wyskoczyłeś z tym Schevem i puf! Wszystko wyleciało mi z głowy.

Snow powiedział jej, że nie musi się śpieszyć. Na minutę zamknęła oczy.

- Pamiętam jakies strzępki... - powiedziała. - Że jeśli uda nam się zabić Jefe, będziemy mieli dług u ludzi, których musieliśmy zniszczyć, żeby mieć tę szansę. I że jeśli go zabijemy,

to się zmienimy. To będzie nasza alchemia. Tylko że bez całej stojącej za tym logiki, bez ładu, bez porządku, w jakim miałam ci to przedstawić... to wszystko brzmi jak jedna wielka bzdura.

Yara wydawała się tak autentyczna w swojej niepamięci, że Snow poczuł wyrzuty sumienia, że w nią zwątpił.

- Niesamowite, że byle wzmianka o tym skurwysynu tak mnie potrafi rozwalić. Niewiele pamiętam. Z tego, jak z nim byłam, znaczy się. Został mi tylko taki obrzydliwy dystans, jakby wszystko działo się we śnie. Pamiętasz, jak zabrałeś mnie do kina w Antigui? Jak się wtedy przestraszyłam? Jego twarz była rozmazana i zniekształcona, co chwila pojawiała mi się w kadrze i znikwała, jak tego gościa z filmu. I tyle. To wszystko, co pamiętam. Ale wystarczy, że powiesz „Scheve” i się rozklejam.

- Przepraszam, że o nim wspomniałem. - Jeszcze raz ją pocałował. - Lepiej ci już?

- Tak, jestem tylko zła na siebie.

- W takim razie powinienem już chyba iść.

Powiodła palcem po żyłkach na wierzchu jego dłoni, badając je jak zagadkę, która wymaga rozwiązania.

- Nie, nie powinienes. Naprawdę nie powinienes.

\* \* \*

Za każdym razem, gdy Jefe pojawiał się w zasięgu głosu, wracali do swojej kłótni i dyskutowali o sprzecznych modelach władzy. Snow - może ze względu na zależność od Yary i wynikające z niej poczucie bezradności - odczuwał banalną satysfakcję z faktu, że potrafi bronić prawicowego punktu widzenia. W duchu wcale się z nim nie zgadzał, lecz miał świadomość, że z dwóch przeciwstawnych wizji politycznych to właśnie ta jest bardziej pragmatyczna. Twierdzenie Yary - że stanowczość złagodzona altruizmem przyniesie Temalagui pokój i dobrobyt - wykpiwał jako „lewacką bajkę” i nie mógł się nadziwić, że takie słowa padają z ust kogoś związanego z PZP od jej zarania.

- To dobre dla dzieci - powiedział. - O ile ktoś chce wychować dzieci pozbawione kręgosłupa. To papka moralna, która je osłabia i zmusza do czepiania się matczynej spódnicy. Przywódca, który ma rządzić, musi się wyzbyć takiej naiwności. Powinien myśleć o kraju. Codziennie będzie rozwiązywał problemy, których każde rozstrzygnięcie będzie budziło wściekłość i ból. Musi się nauczyć sięgać wzrokiem dalej niż ta prosta moralność, której jedyną funkcją jest przykrojenie jego instynktów, ograniczenie zachowania. Taka rola wymaga szerszego spojrzenia i światlejszych sądów.

Ich spory przestały już niepokoić Jefe. Ba, wyglądało na to, że zaczęły mu sprawiać

przyjemność i coraz częściej dawał wyraz swojej aprobaty dla słów Yary lub (częściej) Snowa, aż w końcu pewnego ranka, piątego dnia po incydencie z Chuyem, zaproponował im obojgu, żeby popatrzyli, jak lata. Zachowywał się przy tym zupełnie szczerze i swobodnie, jakby zapraszał ich do kina. Snow był przerażony.

Jefe poklepał go po plecach.

- No chodź, stary! Obiecuję, że ci się spodoba.

Yara sięgnęła po leżącą obok krzesła maczetę, ale kazał jej ją zostawić. Sarkastycznym tonem zauważył, że na górze nie znajdzie raczej kurczaków do zarżnięcia.

Taka zmiana planów na samym wstępie nie wróżyła najlepiej na przyszłość, ale kiedy weszli na schody, Snow (poznający właśnie tę samą mieszanię lęku i niedowierzania, którą odczuwa skazaniec idący na szubienicę) odczuł ulgę płynącą ze świadomości, że wkrótce wszystko się skończy. Jefe zdjął wierzchnie ubranie, został tylko w czarnych rajtuzach. Ciało na piersi i ramionach miał niezwykle gładkie, mocniej rzeźbione były tylko mięśnie na grzbiecie i w sąsiedztwie stawów.

Otworzył klapkę w ścianie (zamaskowaną jako fragment granatowej chmury) i wprowadził numer na klawiaturze. Rozległ się znajomy chrzęst i zgrzyt i łańcuchy zaczęły się poruszać - w górę i w dół, a także na boki w prowadnicach, jedno wolniej, drugie szybciej. Światło spływało jak woda po ich srebrnych ogniwach. Jefe nałożył cienkie czarne rękawiczki i chwycił jeden z łańcuchów, który wyniósł go w górę.

Yara złapała Snowa za rękę.

- Jak tylko zejdziesz na dół, biegnij po maczetę! - wykrzyczała mu do ucha.

Na wysokości około dwudziestu stóp Jefe wyskoczył w powietrze, złapał drugi łańcuch, rozhuśtał się, przeskoczył na następny, i następny, wznosząc się coraz wyżej i wyżej, aż w oczach Snowa stał się maleńką sylwetką w ruchomym lesie srebrnych łańcuchów, widoczną na kinematograficznym tle spizowego światła i chmur skłębionych jak dym nad polem bitwy. Następnie w podobny sposób sfrunął na dół, serią spiral i salt, nawrotów i skoków, które w kilka minut sprowadziły go na wysokość zaledwie kilku stóp nad głowami widzów - tylko po to, żeby natychmiast się wznieść, gwałtownie zmieniając łańcuchy. Wzbił się o czterdzieści stóp, zanim zmienił kierunek lotu, wplatając weń przewroty, śruby i inne skomplikowane akrobacje. Yara klaskała z całych sił i głośno wiwatowała, chociaż szansa, że Jefe ją usłyszy, była znikoma. Szturchnęła łokciem Snowa, który bez szczególnego entuzjazmu, ale jednak przyłączył się do niej w zachwytach - które nawet nie były całkiem nieszczerze, bo nigdy przedtem nie widział takiego pokazu siły, wytrzymałości i koordynacji ruchów. Jefe zniknął mu wśród chmur i łańcuchów i Snow musiał poprosić Yare, żeby mu go

pokazała: wskazała ledwie widoczny punkcik na tle złocistego blasku, przycupnięty na niewidocznej z dołu półce. Nagle znów poderwał się w powietrze i poszybował wśród łańcuchów, i tym razem zdawało się, że nie korzysta z nich do stabilizowania i zmiany kierunku lotu, jakby wykorzystywał naturalne prądy wznoszące. Skręcał, nurkował i wznosił się tak płynnie i z takim wdziękiem, jakby naprawdę latał.

Snow nie umiałby powiedzieć, jak długo to trwało. Godzinę najmarniej. Wystarczająco długo, żeby jego entuzjazm do klaskania i wiwatowania się ulotnił. Stał w milczeniu i bezruchu, gdy Jefe zjechał w końcu na dno szybu, i podszedł do nich. Tylko warstewka potu na skórze świadczyła o niedawnym wysiłku fizycznym. Yara pogratulowała mu z uśmiechem i poklepała go po ramieniu, lecz Snow, niezdolny dłużej uczestniczyć w tej farsie, zdezorientowany i bliski paniki, przepowiadał sobie w myślach, na czym powinien się po kolei skoncentrować. Jefe uśmiechnął się z wyższością, podszedł do niego dumnym krokiem, rozluźnił ramiona i pchnął go pod ścianę wymalowaną w chmury jak kłęby dymu. Snow próbował uskoczyć, ale po kolejnym pchnięciu aż zatoczył się do tyłu i przewrócił, młócąc ramionami na wszystkie strony. Zanim upadł na ziemię, Jefe doskoczył do niego, złapał go za pasek od spodni i przeniósł pod ścianę, wymachującego rękami i nogami jak żywy worek. Tam chwycił łańcuch, owinął go sobie raz wokół przedramienia i obaj ze Snowem pojechali do góry.

Widząc oddalającą się podłogę, Snow przestał się szarpać i zamknął oczy. Kręciło mu się w głowie, mdliło go ze strachu. Wczepił się w nogę Jefe. Po jakimś nieokreślonym czasie poczuł, że coś podnosi go w powietrze, i wrzasnął, przekonany, że nadeszła chwila, której przez cały czas się obawiał. Zamiast jednak polecieć w dół, nagle znalazł oparcie dla stóp, a zaciśnięta na jego gardle dłoń Jefe przycisnęła go do ściany. Półka. Przesunął lewą stopę w przód, szukając skraju, i namacał go w odległości dwóch, może trzech cali.

- Nie bój się - usłyszał przy uchu głos Jefe. - Nie zrobię ci krzywdy.

Snow spojrzął spod zmrużonych powiek na Jefe, który stał obok niego twarzą do ściany, a potem zerknął w dół, w stronę dna szybu. Znajdowali się tak wysoko, że wątpił, czy to dno widać - widział tylko dżungłę poruszających się lśniących łańcuchów, jasne chmury na przeciwległej ścianie, oraz - kiedy podniósł wzrok - jesienny błękit sufitu na wyciągnięcie ręki. Żołądek fiknął mu koziołka, nogi się pod nim ugięły i gdyby Jefe nie przytrzymał go mocniej (prawie go dusząc), Snow by spadł.

Jefe potrząsnął nim lekko.

- Nie słyszałeś, co powiedziałem?

Mroczne zakamarki świadomości Snowa eksplodowały umysłowym blokiem jak

podwodny wulkan łąwą. Szlam opadał powoli, tworząc osad dziecińczych pragnień i modlitw.

- Spokojnie, przyjacielu! Nic ci nie grozi!

Podobno - tak Snow słyszał - kiedy spada się z dostatecznie dużej wysokości, przed uderzeniem o ziemię traci się przytomność.

- Wiem, że ci się tu nie podoba - ciągnął Jefe - ale trzymam cię, widzisz? Odpręż się.

Z tak bliska Snow nie był w stanie nic wyczytać z jego twarzy - widział tylko ucho, kawałek policzka i bok szyi. Jefe wydzielał suchą, kwaskową woń, trochę jak alkaliczna pustynia.

Snow wypuścił z drzeniem powietrze z płuc i znów zamknął oczy. Chrząst łańcuchów wgrzyzał mu się w mózg.

- Twoje rady dodają mi sił - mówił dalej Jefe. - Bardzo je sobie cenię. Chcę, żebyś był tu ze mną. To taki żart, mały żarcik kosztem Yary. Nic więcej. Rozumiesz?

Snow nie rozumiał.

- Nie uważasz, że na to zasłużyła? - kontynuował Jefe. - Miałeś rację co do niej.

Słyszał głosy w zgrzycie łańcuchów, takie jak czasem można usłyszeć w szumie opon, kiedy człowiek przyłoży głowę do szyby jadącego szybko samochodu: hipnotyzujące, wibrujące, wysokie, przywodzące na myśl Alvina i wiewiórki, jednocześnie złowieszcze i pogodne. Śpiewały prostą piosenkę, radząc mu, żeby się poddał, poddał się, poddał...

- Spójrz na mnie! - rozkazał mu Jefe.

Odchylił się w tył, dzięki czemu Snow mógł wreszcie zobaczyć całą jego twarz, która całą sobą wyrażała pewność i wsparcie.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział, przysuwając się ponownie do Snowa. - Wygrałeś.

Snow nie wiedział, co powiedzieć. Spróbował się uśmiechnąć, ale nie był pewien, czy mu się udało.

- Rzadko rozmawialiśmy - mówił tymczasem Jefe. - To moja wina, przepraszam. Gdy znalazłem cię wtedy w wiosce, wziąłem cię za szpiega. Niewiele brakowało, żebym pierwszej nocy cię zabił. Z czasem doceniłem jednak twoje przemyślenia na temat mojej sytuacji. Inni mogliby powiedzieć, że to los mi cię zesłał, ale ktoś taki jak ja sam kształtuje swój los. Wyczułem cię instynktownie i przyzwałem, byś stał się głosem mojego serca.

Puścił Snowa i poklepał go po policzku. Czując zew pustki pod nogami, Snow usiłował wtopić się w ścianę.

- Intuicja podpowiada mi - ciągnął Jefe. - że możesz mi pomóc odkryć tę część mojego życia, która na razie jest przede mną zamknięta. Wiedziałem o tym chyba od samego

początku, dziś jednak rozumiem, że się bałeś. Dlatego mi odmówiłeś. Musiałeś się ze mną oswoić, przyzwycząić do mojej obecności. Zapominam czasem, jaki mam wpływ na ludzi; zdarza mi się go nie zauważać. Sam na siebie tak nie działałam, to oczywiste.

Snow wolałby go nie słyszeć i skoncentrować się na utrzymaniu równowagi, ale nie miał wielkiego wyboru, dopóki Jefe w najlepsze wygadywał mu bzdury do ucha. Przyszła mu do głowy spójna, choć nieco historyczna myśl, że mógł mieć rację, kiedy gromił Yare po wizycie Enrique Bazana; może w ludzkiej postaci smoki odradzały się jako szczebiocące półgłówki obdarzone nadludzką mocą, ale po odzyskaniu swojej właściwej formy dorastały do niej i stawały się mistycznymi kosmicznymi bestiami rodem z legend. A może nie, może bez względu na postać fizyczną zawsze były zwykłymi idiotami.

Jefe uściskał go i pocałował w policzek. Snow się wzdrygnął.

- Długo już tu siedzimy - zauważył Jefe. - Porozmawiamy później, a na razie może byśmy wrócili na dół, co? Dokończmy ten żarcik. Yara się zdziwi, kiedy się dowie, że przegrała. Już my tej dziwce pokazemy, co?

Snow miał pewne podejrzenia, co za chwilę może się wydarzyć, ale myśl o tym, że zostanie zniesiony na dół, chwilowo zepchnęła inne myśli w cień.

Jefe mrugnął do niego porozumiewawczo, lewą ręką złapał go z tyłu za pasek i zanim Snow zdążył jakoś zareagować, skoczył w kierunku najbliższego łańcucha. Był taki ułamek sekundy, w którym Snowowi przeszło przez myśl, że Jefe go okłamał, i to on padnie ofiarą żartu, ale nagle poczuł szarpnięcie, które wyhamowało upadek, a sprzączka paska z takim impetem werżnęła mu się w brzuch, że nie mógł złapać tchu. Kiedy doszedł do siebie, stwierdził, że bardzo szybko się zniżają, a dno szybu rośnie w oczach. Tym razem nie zamknął oczu. Rozpaczliwie tęsknił za podłogą, pragnął jej ponad wszystko, chciał, żeby podniosła się i wybiegła mu na spotkanie. Kiedy Jefe złożył go na betonie, którego szorstka powierzchnia zdarła mu naskórek na policzku, Snow prawie rozplakał się z ulgi. Leżał nieruchomo, chłonąc solidność i piękny ogrom posadzki.

Przypomniawszy sobie o Yarze, uniósł głowę i zaczął jej szukać. Dostrzegł ją na półce trzydzieści stóp nad ziemią, przy ścianie przedstawiającej chmury o zmierzchu. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Nie widział wyraźnie jej twarzy, ale nagle przeszył go promień zgrozy, jakby Yara strzeliła mu nim prosto w serce. Jefe, który latał wysoko nad jej głową, właśnie zapikował, po czym wzbił się jeszcze wyżej, trzymając się środka szybu. Coś w jego locie się zmieniło - mniej było w nim piruetów i salt, stał się mniej widowiskowy, miał w sobie jakąś dziwną senność, jakby rozleniwiony mistrz trapezu wykonywał ćwiczenia rozluźniające, zbierał siły do kolejnej mrożącej krew w żyłach akrobacji.



Zdjęty nagłym strachem, przeświadczony, że wie, jaka będzie ta następna akrobacja, Snow zerwał się na równe nogi i pognał do skrzynki z klawiaturą. Zaczął wpisywać kod... ale zapomniał. Jej urodziny. Siedem... siedem... Co dalej, kurwa, co dalej?! Trzynasty lipca dziewięćdziesiąty pierwszy. Wpisał kod i zawiesił palec wskazujący nad klawiaturą, wypatrując Jefe wśród łańcuchów. W końcu dostrzegł go, jak obniża lot serią śrub i salt, celując z przeciwległej ściany szybu prosto w półkę, na której stała Yara, jak szalony mistrz olimpijski w ostatnim, samobójczym skoku do wody. Już pokonał pół drogi, nawet więcej...

Snow wcisnął Enter. Wiedział już, że się spóźnił.

Gdyby Jefe wykręcił jedno salto mniej, gdyby odpuścił jeden manewr, jeden ozdobnik, mógłby się uratować. Nawet teraz niesiony siłą rozpędu prawie zdążył opuścić strefę zagrożenia. Chrzęst łańcuchów ustał nagle i wdzięczne ruchy Jefe splątały się i straciły wszelką grację wysoko nad betonową posadzką. Jego upadek trwał dwie, może trzy sekundy, nie więcej, ale powtórka, kiedy Snow odtwarzał go sobie w pamięci, ciągnęła się o wiele dłużej.

Jefe wyciągnął rękę w kierunku jednego z łańcuchów wciąż przytwierdzonych do sufitu. Jego palce tylko musnęły srebrne ogniwa, a potem spadł - bez machania rękami, bez wierzgania, jego ciało wykonało tylko pół śruby i obróciło się na bok. Nie wydał żadnego krzyku, gdy z makabrycznym traskiem uderzył o beton, najpierw stopą, jakby w ostatniej chwili próbował lądować na nogach, potem resztą ciała. Osunął się na wznak; gdyby zachował świadomość, widziałby spadające na niego łańcuchy, które w locie przywodziły na myśl chmurę splątanych srebrnych węży o długich, młócących wściekle ogonach. Z głośnym szcękaniem grzmotnęły o posadzkę. Kilkanaście z nich strzeliło na boki w momencie zderzenia, jeden - szybki jak kobra - skoczył prosto w stronę Snowa i chybił o cal. A potem zapadła cisza - cisza, która zdawała się złowieszczą, mimo że zwiastowała szczęśliwe zakończenie. Smocze leże zmieniło się w dzieło sztuki gotyckiej, scenografię do finału surrealistycznego dramatu, ponurej średniowiecznej bajki, której zakończenie można było różnie interpretować. Sporo łańcuchów nie spadło i w dalszym ciągu przesłaniały malowidła na ścianach. Tuman kurzu wypełniał szyb do jednej trzeciej wysokości, niczym mgła księżycowego pyłu częściowo zasłaniająca olbrzymi kopiec łańcuchów, który tkwił na samym środku posadzki niczym kurhan przeznaczony dla jakiegoś nieśmiertelnego potwora.

Yara zawołała Snowa i kazała mu iść po maczetę.

- Najpierw zejdziesz na dół! - odkrzyknął.

- Maczeta!

Snow uparł się przy swoim i zapytał, jak może jej pomóc zejść.

Stała na wąskiej półce, z plecami przyciśniętymi do ściany i rękami rozłożonymi na boki dla zachowania równowagi. Snow wiedział, że w obawie przed spadnięciem będzie się pewnie bała choćby skinąć głową, ona jednak gestem wskazała stertę łańcuchów.

- Co mi chcesz pokazać? - zdziwił się, nie widząc niczego niezwykłego.

- On żyje! Spójrz na łańcuchy!

- Gdzie? Nic nie widzę!

- Łańcuchy! Z mojej strony, zobacz!

Nic nie widział - żadnych śladów krwi ani oznak życia - ale podszedł bliżej, przestępując nad łańcuchami rozrzuconymi na boki jak żebrowane, poskręcane korzenie metalowego drzewa, jak ogony krokodyli, jak grzbiety przedpotopowych stworów, których łby zostały pogrzebane pod górą srebrnych ogniów. Kopiec był trzy razy wyższy od niego i emanował zimnym światłem. Snow zaczął go okrążyć - powoli, ostrożnie, wypatrując ruchu i nadal nic nie widząc.

- Gdzie dokładnie?! - zawołał i nagle zauważył, jak srebrne ogniwa zsuwają się po małej wypukłości u dołu, gdzie spiętrzyły się zaledwie na wysokość czterech, pięciu stóp. Serce podeszło mu do gardła, ale łańcuchy znieruchomiały. - Po prostu osiada, nic więcej. - Podniósł wzrok na Yarę. - Jak cię stamtąd ściągnąć?

- Jesteś pewien?

Odczekał chwilę, obserwując kurhan.

- Tak!

- Wpisz na klawiaturze dziewięć, dziewięć, dziewięć. Łańcuchy zaczną jechać w dół.

- Nie chcesz, żebym tam po ciebie wszedł?

- Nie. Złapię się łańcucha i sama zjadę, dam radę.

Metaliczny szczepek za plecami Snowa: łańcuchy się poruszyły, kopiec się wybrzuszył i nagle ze środka przebiła się zakrwawiona pięść. Palce Jefe chwyciły powietrze.

Zelektryzowany strachem Snow rzucił się ku schodom. Pędem zbiegł na parter, chwycił maczetę i tak samo szybko wrócił na górę. Przystanął na podeście, złapał oddech, zebrał się na odwagę i wrócił do legowiska smoka.

Jefe miał tułów i nogi oplecione łańcuchami, ale prawie się z nich wygrzebał i udało mu się uklęknąć. Krew wzbierała mu w ranach na piersi i ramionach, jakby łańcuchy nie tyle zdarły mu skórę, ile raczej skruszyły ją, przez co popękała jak muszla. Spojrzał złowrogo na Snowa, nie poruszył się jednak ani nie odezwał.

- Zabij go! - krzyknęła Yara. - Zabij!

Jefe nie zareagował. Nie odrywał wzroku od Snowa, który z niepokojem wznosił

maczetę ponad głową, biorąc zamach do uderzenia.

Spodziewał się, że Jefe rzuci się na niego, gdy podejdzie bliżej, ale zbliżył się już na odległość paru stóp i znalazł tuż poza jego zasięgiem, a Jefe w żaden sposób nie zareagował. Tylko patrzył.

Czując się pewniej, Snow wymierzył mu cios w głowę. Jefe zablokował uderzenie ręką. Ostrze ześliznęło mu się po wewnętrznej stronie ramienia, ścinając cienką warstwę skóry - nie ludzkiej skóry, lecz okrywy grubej i twardej jak pancerz. Snow się cofnął. Przypomniał sobie teraz, jaka ciężka wydała mu się ręka Jefe, gdy ten go spoliczkował.

- Nie daj mu wstać! - zawołała Yara. - Jeżeli wstanie, będzie ci go trudniej dopaść!

Snow wątpił, żeby Jefe w ogóle dał radę wstać, a poza tym Yara chyba i tak nie miała racji. Spiętrzony kłęb łańcuchów uniemożliwiał zajście Jefe od tyłu, a on sam miał dostateczną swobodę ruchów, żeby się bronić przed atakami ze wszystkich dostępnych kierunków. Gdyby wstał, Snow mógłby spróbować jakiegoś innego podejścia; na razie jednak nie pozostawało mu nic innego niż ewentualny kolejny szturm od frontu.

Pchnął na próbę czubkiem maczety, ale Jefe bez wysiłku sparował cios. Snow udał, że zamierza ciąć na odlew, po czym przeniósł ciężar ciała i uderzył pionowo, z góry na dół, mierząc w czubek głowy Jefe. Zapуścił się jednak zbyt blisko niedoszłej ofiary. Jefe uderzył go w przegub dłoni, wytrącił mu maczetę, która poleciała na podłogę, i złapał go za połe kostki. Snow się wyrwał i pobiegł po maczetę. Kiedy się po nią schylił, Yara krzyknęła ostrzegawczo. Jefe zdołał wstać i ruszył w stronę klatki schodowej. Szedł przechylony, powłóczył prawą nogą, potykał się i co chwila musiał korygować kurs - złamany człowiek na nierównej drodze. Snow rzucił się za nim i ciął maczetą na wysokości zdrowego kolana, zamierzając przeciąć mu ścięgno. Uderzał jednak w niewygodnej pozycji, cios nie miał wielkiej siły i nie narobił większych szkód. Jefe - poruszający się sztywno i nieustępliwie jak starzec - odwrócił się do niego i prychnął wściekle, jak rozjuszony kocur. Jego twarz straciła wszelkie pozory człowieczeństwa; okazała się sprytną maską, pod którą kryła się odrażająca ohyda, i teraz, gdy tworzące maskę tkanki rozplýwały się, przeświecał przez nią palący gniew kierowany nie tylko przeciw Snowowi, ale przeciw wszystkiemu, co nie było Jefe - bestialska smocza nienawiść, która przez tysiące lat utrzymywała go przy życiu, aż stała się jedyną racją jego bytu. To wszystko zawierało się w jednym spojrzeniu.

I nagle wirus smoczego plugastwa jakby pokonał dzielący ich dystans, zagnieździł się w mózgu Snowa i obudził w nim podobny gniew. Jefe brnął z mozołem ku schodom, a Snow dał upust swojej wściekłości i pozwolił, żeby pokierowała jego ręką. Skoczył naprzód, wziął zamach maczetą i czując, że tym razem cios sięgnie celu, ciął Jefe głęboko w szyję, od tyłu, z

boku, czubkiem zahaczając o nasadę żuchwy. Jefe zachrypiał i szarpnął się w bok, wrywając tkwiącą w kości maczetę z dłoni Snowa. Krew spłynęła po ostrzu. Jefe wytoczył się na podest schodów. Szedł ciężkim, nierównym krokiem. Pośliznął się, próbował złapać się poręczy, chybił i spadł po schodach na następny podest. Upadł na brzuch (maczeta wypadła z rany), ale pozbierał się i szedł dalej. Krew okryła mu plecy szkarłatną peleryną.

Snow doświadczył przyływu niezwyklego spokoju. Właściwie nie byłoby w tym nic dziwnego - miał świadomość, że Jefe jest umierający i nie stanowi już zagrożenia - gdyby nie fakt, że wypływał ze źródła, którego istnienia nigdy nie podejrzewał. Odprowadził wzrokiem ślaniającego się na nogach Jefe, po czym wrócił do legowiska. Yara nawoływała go, żeby wykończył Jefe, on jednak podszedł do klawiatury przy drzwiach, wbił trzy dziewiątki i puścił łańcuchy w ruch. Ich chrzęst zagłuszył krzyki Yary. Dopiero teraz, wiedząc, że już nic jej nie grozi, bez pośpiechu zszedł po schodach, podniósł maczetę i wszedł do jadalni. Przystanął przy kredensie, spokojnie zrobił rozeznanie wśród alkoholi i nalał sobie podwójną porcję jednosłodowej szkockiej. Popijał ją małymi łykami, rozkoszując się smakiem. Ręka mu drżała. W końcu dopił whiskey i zagłębił się w tunel, podążając krwawym tropem Jefe.

Od blisko dwóch tygodni nie wychodził z budynku. Widok słonecznego światła u wylotu tunelu zdeorientował go, podobnie jak rozległość rozciągającego się za nim świata i bliskość wzgórz okalających nagi płat ziemi, na którym wybudowano wioskę. Osiem lub dziewięć kobiet (dwie z nich ubrane w zwiewne peniuary, reszta w długich spódnicach, szalach i haftowanych bluzkach z miejscowego samodziła) stało pod posepnym niebem w połowie drogi do wioski. Z zawziętymi minami wpatrywały się w coś, czego Snow z tego miejsca nie widział. Dopiero wynurzywszy się z tunelu, zobaczył po prawej stronie Jefe. Wciąż powłóczył nogą, ale chwiejnym krokiem rozpędził się po krótkiej pochyłości, dziwnie zarzucając barkami. Najdalej po dziesięciu jardach pośliznął się i padł jak długi w kałużę. Udało mu się wstać dopiero po kilku próbach. Piers i plecy miał umazane breją z krwi i rdzawego błota, jego twarz przybrała żałośnie uparty wyraz. Nie zwracając uwagi na Snowa, potruchtał z powrotem w stronę wylotu tunelu i zakończył podbieg lekkim podskokiem, co również nie przyniosło szczególnego efektu. Snow zdał sobie sprawę, że Jefe próbuje pofrunąć. Ciekawe, pomyślał, czy wie, że nie ma smoczego ciała.

Czarna kobieta o bujnych kształtach i nastroszonych blond włosach, przytrzymując rozchylające się poły peniuaru, obesła Jefe szerokim łukiem i zbliżyła się do Snowa. Dotknęła rękojęści maczety.

- Ty to zrobiłeś? - spytała.

- Tak. Yara mi pomogła.

- Yara? Jaka Yara? Nie znam jej.

- *La Endriaga*.

- To *la Endriaga* nie jest kobietą Jefe?

- Była jego więźniem. Tak jak wy.

Jefe znów spróbował wzbic się w powietrze, a podekscytowana kobieta zawołała coś w miejscowym języku; Snow zrozumiał tylko słowa „*la Endriaga*”. Jedna z kobiet coś jej odrzyknęła i Murzynka spytała Snowa, czy rany Jefe są śmiertelne.

- Tak. Stracił dużo krwi. Mimo to, nadal może być groźny.

Kiedy przekazała to swoim towarzyszkom, dwie z nich pobiegły do wioski - zapewne po to, żeby rozpowszechnić dobrą nowinę.

Jefe znów się przewrócił. Długo leżał na boku, dysząc ciężko.

Spokój Snowa rozplątał się w uczucie szare i anemiczne jak niebo nad Tres Santos. Chmury miały bezwładność i twardość poobtlukiwanej zbroi płytowej, tylko z północy nasuwały się burzowe kolosy o ciemnych brzuchach. Zanim Jefe zebrał się do kolejnej próby, z tunelu wyszła kulejąca Yara. Stała u boku Snowa i patrzyła, jak Jefe próbuje swej godnej pożałowania sztuczki. Oczy zasły jej łzami. Snowowi przyszło do głowy, że musi być jej ciężko: oto ktoś, kto wydał jej się obiecujący i komu poświęciła swój cenny czas, zmienił się w zniedołężniałego degenerata z na wpół przeżartą wątrobą i robi z siebie przedstawienie na parking, żeby swoją ułomnością wzbudzić litość i zarobić parę ćwierćdolarówek, za które kupi sobie flaszkę podkręconego taniego wina.

Murzynka dotknęła ramienia Snowa i szepnęła mu do ucha:

- Jeżeli nie jest kobietą Jefe, to dlaczego płacze?

- Przez większość życia była jego więźniem. Kiedy jest się z kimś tak długo, nawet w roli niewolnika, czuje się potem różne rzeczy.

Pokiwała głową na to kłamstwo czy półprawdę, jakby je zrozumiała, ale na jej twarzy wciąż malowała się konsternacja.

Nowe kobiety dołączyły do grupy, której liczebność wzrosła już czterokrotnie. Niektóre przyniosły narzędzia ogrodnicze, inne zastrzone kije, jeszcze inne kamienie. Młoda dziewczyna w piżamie z seledynowego atłasu wymachiwała sekatorem. Wrząc z oburzenia, zbliżyły się do Jefe i złorzeczyły mu chórem, ale nie atakowały, wciąż miały się na baczności przed swym dręczycielem, który chyba darował już sobie próby latania. Przycupnięty na czworakach w dużej kałuży, od stóp do głów wysmarowany czerwonawą mazią, ze zwieszoną głową, zlepionymi schnącym błotem włosami, krwią sączącą się z ran i pasemkami rubinowej śliny spływającymi z ust, mógłby być wiejskim zwierzęciem, bezdomnym psem,

wyczerpanym gorączką wściekliczny, którego cały świat ogranicza się do ohydnych odbicia w mętnej wodzie. Na jego widok Snow nie odczuwał litości, zniesmaczenia ani gniewu. Jeżeli w ogóle coś czuł, to co najwyżej emocje funkcjonariusza zmuszonego uporać się z nieprzyjemnym obowiązkiem. Stał nad Jefe i oparł mu ostrze maczety na karku. Kobiety umilkły, dał się słyszeć gardłowy, bulgoczący oddech Jefe. Próbował unieść głowę - może chciał o coś zapytać Snowa, a może po prostu zaniepokoił go dotyk ostrza, lecz albo miał za ciężką głowę, albo po prostu zabrakło mu ciekawości, żeby się przekonać, czym jest ten zimny i ostry przedmiot. A może wiedział, tylko już się tym nie przejmował.

Snow zebrał wszystkie siły i ciął okrutnym łukiem. Ostrze weszło głęboko, do kości, lecz reakcja Jefe była ledwie zauważalna: stęknął, zadrżał, pochylił się minimalnie w przód, ale się nie przewrócił. Sfrustrowany swoją nieporadnością Snow szarpnął maczetę, ta jednak znów ugrzęzła w kości. Oparłszy stopę między łopatkami Jefe, pchnął maczetę w dół i przekreślił ją w ranie, zanim udało mu się ją w końcu wyszarpnąć. Jefe runął twarzą w błoto. Z rany trysnęła krwawa powódź.

Snow zamierzył się do kolejnego uderzenia. Jefe puścił bańkę z błota, zakrztusił się, rozkaszał i wyskoczył w górę, wykonując w powietrzu obrót na plecy. Był to ruch wymagający takiej sprawności, że Snow przez moment zaniepokoił się, że jego ofiara jakimś cudem odzyskała siły - zrozumiał jednak, że był to tylko jaszczurczy odruch, ostatni przedśmiertny przypływ witalności. Ręce i nogi Jefe zadrgały spazmatycznie, jego twarz zwiotczała makabrycznie, a z gardła zaczęło się dobywać lepkie mlaskanie, dowodzące raczej zaburzenia jakiejś funkcji życiowej niż próby artykulacji. I tylko w oczach przetrwał błysk jadowitej nienawiści, która przez tysiące lat zatruwała świat.

Kobiety rzuciły się na niego; pierwsza była Itzel z motyką - krew wezbrała w dziurze, którą wyryła mu w piersi - a potem reszta zaczęła dźgać, ciąć i tłuc, mszcząc się za gwałty, mordy i niezliczone upokorzenia. Ciasno otoczyły Jefe, zasłoniły go całkowicie, przepychały się, roznoszone zapalem i żądzą współuczestnictwa w dziele zniszczenia, orgiastycznymi wrzaskami obwieszczały swoją wściekłość i radość, aż w pewnym momencie ze szczątków ciała i potrzaskanych kości buchnęła fala gorąca i tęczego światła (nie bardziej efektowna niż fajerwerk drugorzędny magika). Kobiety poprzewracały się i, skamłając ze strachu, rzuciły do ucieczki, zbryzgane tą samą mieszanką błota i gęstej, ciemnej krwi, co ich wiekowy nieprzyjaciel. Niektóre miały siniaki i rany, które niechcący pozadawały sobie nawzajem; inne odniosły dziwne oparzenia, jakby od jakiejś wrzącej, stopionej substancji - skutki mizernego wybuchu magii towarzyszącego śmierci Jefe. Snow spojrział w niebo, obawiając się błyskawic wśród chmur, takich jak te, które trzynaście lat wcześniej objawiły

się nad Chajul, zwiastując odrodzenie smoka, ale niczego nie zobaczył. Jefe nie żył. Był całkowicie i nieodwołalnie martwy.

W końcu starsza kobieta przytaszczyła bańkę z benzyną i oblała zwłoki nieprzypominające już żadnej żywej istoty, tylko raczej krwisty posiłek, który okazał się niestrawny i został wypluty przez istotę, która go spożyła. Kobieta podpaliła zwitek papieru i rzuciła go na szczątki. W gasnącym świetle dnia płomień był niski, rdzawy i półprzezroczysty, targany przynoszącym burzę zimnym wiatrem z północy, który szybko rozwiewał oleisty dym. Zebrały się wszystkie kobiety z wioski i z różowego domu. Tuliły się w grupkach, poważne i milczące w tym podłym, nędznym miejscu, szeptem dodając sobie otuchy i pocieszając się nawzajem. Kiedy ogień się wypalił, część z nich wróciła do domu, ale inne dołały benzyny i zostały, żeby obejrzeć drugie palenie i grzebać w popiołach, z których wzbijał się czasem jęzor przezroczystego ognia, sygnalizując spalenie jakiegoś strzępu wnętrzości, okruchu chrząstki. Niebo pociemniało. Spadły krople lodowatego deszczu, ale kobiety tylko okryły głowy szalami, upodabniając się do okrutnych zakonnic śledzących przebieg rytuału, i trwały jak wartownicy na posterunku, aż w końcu stały się cieniami w mroku i poczuły na języku niesiony wzmagającym się wiatrem smak popiołu, a ze smoka Griaule'a i jego ludzkiego awatara zostały grudki zwęglonych kości (później kobiety zbiorą je i zmielą na proszek, który dodadzą do potraw podczas mistycznej wieczerzy) i szary proch, nie do odróżnienia od pyłu, który wiatry unosił nad tutejszymi wzgórzami, kiedy czas dopiero się rodził, a niebo pałało ogniem stworzenia.

## VI

Rozpadało się na dobre, zanim pod wieczór zabrali jeden ze sfatygowanych żółtych pickupów i wyjechali z Tres Santos, kierując się do Nebaj i dalej na północ. Kobiety z wioski nie zaprosiły ich do udziału w ceremonii. Chciały jak najszybciej wrócić do normalności, do swoich tradycji. Snowa i Yare - mimo odegranej przez nich roli - traktowały pogardliwie; nie było wśród nich miejsca dla *gringo* i jego bladej, kalekiej kobiety. Snow nie miał zresztą ochoty zostawać w Tres Santos ani sekundy dłużej niż to absolutnie konieczne. Wyglądało na to, że kobiety już zawsze będą pełnić straż przy tym ogniu, palić jakąś podobiznę lub erzac swojego wroga, albo przynajmniej śnić o tym, że to robią. Ich nowi mężowie - o ile znajdą sobie nowych mężów - będą mogli mówić o szczęściu, jeśli przetrwają taką namiętność.

Od śmierci Jefe Yara prawie się nie odzywała i teraz też nie bardzo miała ochotę mówić. Samochód telepał się po wybojach, Snow mieszał biegami, żeby złapać choć minimalną przyczepność w błocie, a Yara co rusz głaskała go po udzie (choć nie umiałby powiedzieć, czy w ten sposób próbuje dodać pewności siebie jemu, czy raczej sobie), niczego nie komentując ani nie doradzając. Zresztą, Snow i tak nie bardzo mógłby z nią rozmawiać; jego uwagę zaprzętały porywisty wiatr, zacinający deszcz na bocznej szybie oraz przepaść z prawej strony wąskiej drogi. Pokonali nieco połowę drogi do Nebaj, kiedy rozpętała się burza. W tym rejonie nikt nie nazwałby jej szczególnie gwałtowną ani długą. Była wręcz niepozorna, jeśli chodzi o intensywność, kaskady grzmotów i jaskrawe eksplozje światła, które rozświetlały sosnowy las, wypalały do białości pojedyncze drzewa, otulały je olśniewającą fioletową aureolą niczym płonące na zboczu wzgórza święte relikwie, talizmany i amulety zabezpieczające przed makabrycznymi drapieżcami. Wystarczyła jednak w zupełności, by przekonać Snowa do zgaszenia silnika i wyłączenia bezużytecznych wycieraczek. Uchylił okno, żeby szyby nie parowały. Deszcz płynął strugami gęstymi jak szara farba, dudnienie kropel brzmiało wprost ogłuszająco. Wcześniej Snow chciał porozmawiać z Yarą, ale burza i zrodzone z niej światło i dźwięki wydały mu się błogosławieństwem, ponieważ zbyt wiele musieli przesiać, przetrwać i przemieścić, zanim będą mogli dyskutować o tym, co się wydarzyło i co wydarzy się w przyszłości. Kiedy jednak siedzieli tak razem, otorbieni w zalatującej pleśnią kabinie, ślepi na cały świat, w otoczeniu duchów prawdziwych i nieprawdziwych, rozdzieleni ciszą, skrzynią biegów i uchwytem na



mapy i napoje, nie było lepszego rozwiązania. Jego umysł pędził naprzód, Snow martwił się tym, jak przekroczą granicę, gdzie zamieszkają i co w ogóle pocznie z kobietą tak poranioną jak Yara, myślał o całej tej poniżającej rzeczywistości i żenujących problemach, w nieunikniony sposób prowadzących do osłabienia więzi, którą udało im się odnowić, a która już raz została zerwana. Chciałby umieć odepchnąć te ponure myśli, ale miał je wytrawione w głowie; zbyt długo żył w przekonaniu, że miłość zrodzona z iluzji nie ma szans przetrwać i że każdą prawdę można przekształcić w przeczące jej kłamstwo. Miał wrażenie, że wszystko, przez co przeszli, co zrobili i co czuli, pewnego dnia zostanie pomniejszone i sprowadzone do zwykłej opowieści, której bohaterowie będą przesadnie uproszczeni, ich heroiczna natura przytłoczona przez przyziemne szczegóły, sama historia zaś tak błaha, tak odarta z cudowności przez wielokrotne powtarzanie, że - mimo miłości i odkupienia, cierpienia i straty, tajemnicy i śmierci - skończy się, jakby nic się nie wydarzyło.

Deszcz osłabł, burza przeniosła się nad nizinę. Snow uruchomił silnik. Kiedy Yara wyciągnęła do niego rękę, rozgrzał jej zmarznięte palce. Na jej twarzy malował się niezgłębiony spokój. Domyślał się, że czerpie siłę z tajemnych kobiecych zasobów, do których on nie ma dostępu, ale coś w nim drgnęło, obudzone do życia jej miną, i nagle na nowo docenił to, co razem osiągnęli: zniszczyli potwora. Zabili coś, czego zabić się nie dało.

I choć przeczyło to całej jego opartej na niewierze przeszłości, odważył się uwierzyć... w alchemię, w zespolenie dusz, w pomyślne zakończenie i szlachetne zobowiązanie. Uwierzył też, że nigdy już jej nie zawiedzie, tak jak ona nie zawiedzie jego.

W trzeszczącym radiu *salseros* skarżyli się na niesprawiedliwość, a divy popu celebrowały niekończące się banały. Yara wtórowała kruchym głosikiem piosenkom, które znała, a poza tym rozmawiali o mało ważnych sprawach, o ulubionych zespołach i kiepskich filmach, dotykając się często, by potwierdzić łączący ich związek, bo teraz we dwoje stanowili swój własny kraj.

Umilkli, kiedy wyjechali na autostradę (Yara gapiła się przez okno, a Snow skoncentrował się na prowadzeniu wozu), zatopieni we własnych myślach i usiłujący nie zwracać uwagi na wyłaniające się z mroku bastiony wątpliwości i strachu, tak samo wyraziste w swojej wrogości, jak kompleks łączący w sobie stację benzynową, hotel i burdel, gdzie zajechali, żeby zatankować: wielgachny, brzydki, surowy budynek obłany cytrynową poświatą, przywodzący na myśl lokalny oddział korporacji „Zło i Synowie”, przed którym przy drodze stało w rzędzie sześć bezwstydnie w kusych spódniczkach, z rękami opartymi na biodrach, mroczne sylwetki obnażające piersi przed pędzącymi samochodami, obserwowane przez diabła ze złotymi siekaczami, który odpalał papierosa od papierosa, przechadzał się w tę

i z powrotem, przeklinał samochody, kobiety i wszystko, co mu wpadło w oko. Alfons apokalipsy. Pijane nastoletnie żołnierzyki, indiańskie małolaty z kałasznikowami, kręciły się przy wejściu i naprzykrzały klientom. Jeden z nich dla żartu lufą karabinu podwinął spódnicę Yary, ale widząc jej oszpecone nogi cofnął broń, przeżegnał się i poszedł naradzić się z kumplami. Snow zagonił ją do samochodu, zanim żołnierze postanowili bliżej się nimi zainteresować, i pośpiesznie ruszył. Potem trzymali się już bocznych dróg, zaznaczonych na mapie na niebiesko lub niezaznaczonych w ogóle, jadąc na północny zachód do królestwa zwyczajności, zwyczajnych potworów i zwyczajnych romansów; przez miasteczka, których jedyną racją bytu był fakt, że nie chcą umrzeć; do kraju cynicznych zaklęć i maratońskich wyprzedaży, dobroczynnych tańców na rurze i doktryny politycznej opartej na nowoczesnych bajeczkach, Wielkiego Amerykańskiego Salmagundi w pełni chwały kryminalnego delirium - nie mając żadnego źródła utrzymania, nic pewnego, poza siłą swych niedoskonałości i nadzieją, która jak smok odrodziła się w ich sercach. Za nimi stary świat zadrżał, a światło stanęło w ogniu i ryknęło.